

Judith Krantz

Bez skrupułów

Autobiografia

Sex and Shopping

Confessions of a Nice Jewish Girl

Tłumaczenie Stefan Baranowski

Książkę tę dedykuję dzieciom, które są przyszłością mojej rodziny:
moim wnukom: Kate Mattie Krantz i Michaelowi Ryanowi Krantz;

wnukom Mimi: Adamowi Michaelowi Guren, Julie Valerie Guren, Matthew Tarcher Valji;

Andrei Lauren Valji; wnukowi Jeremy'ego, Jamesowi Abrahamowi Tarcher Hood.

Rozdział pierwszy

Pchałam i wlokłam swoją ciężką walizkę, która podskakiwała w wąskim korytarzu nocnego pociągu do Paryża. Wypełniała mnie ogromna radość i dobry humor, których nie mącił nawet problem znalezienia wolnego miejsca. W końcu triumfalnie wcisnęłam bagaż w prawie nieistniejącą szczelinę, którą właśnie dostrzegłam doświadczonego okiem starej bywalczyni nowojorskiego metra.

Byłam jednym z ostatnich pasażerów wśród tłumu narciarzy, którzy próbowali znaleźć siedzące miejsce w pociągu. Powoli jadący pociąg zaczął nabierać szybkości i wkrótce byliśmy już na dobre w drodze powrotnej z Megève w Alpach Francuskich, gdzie spędziłam dwa tygodnie na nartach. Za dwanaście godzin będę w domu, ale muszę je jakoś przetrzymać oparta o ścianę i zaopatrzona w wielką kanapkę schowaną w kieszeni kurtki narciarskiej.

Zdałam sobie sprawę, że nawet gdyby udało mi się zdobyć miejsce w przedziale, byłam zbyt podniecona, żeby zasnąć tej nocy. Właśnie w tej chwili, dokładnie w tym momencie, 8 stycznia 1949 roku, Judy Tarcher, miałam dwadzieścia lat, ale już za dwie godziny, dokładnie o północy, skończę dwadzieścia jeden. Stanę się pełnoletnia, będę mogła głosować, będę mogła legalnie pójść do baru, będę mogła otrzymać prawo jazdy — wreszcie, *wreszcie* zostanę oficjalnie uznana za dorosłą! Jutro odbędą się trzy przyjęcia urodzinowe i ta cudowna perspektywa przyprawiała mnie o zawrót głowy, kiedy rozglądałam się wokół, tryskając humorem na myśl o nocy w zatłoczonym korytarzu.

Otaczały mnie dziesiątki narciarzy, pochłoniętych lekturą gazet i książek. Na dworcu byłam zbyt zajęta, starając się utrzymać równowagę z nartami na ramieniu i walizką w ręku, żeby kupić nowy numer *Paris Match* czy *Elle*. Ponieważ i tak spędzałam większość czasu czytając, powitałam więc z radością tę perspektywę spokojnej podróży, kiedy będę mogła nie myśleć o niczym. Potrzebowałam czasu przed powrotem do Paryża i do zawrotnego tempa mego nowego życia w tym mieście. Mieszkałam jako sublokatorka w domu Nicole Bouchet de Fareins, rozwichrzonej trzydziestoparoletniej rozwódki, mającej trzy kilkunastoletnie córki, i moje życie codziennie było pełne niespodzianek.

Wiedziałam, że jestem niemądra, ale nie mogłam się powstrzymać, kiedy otworzyłam torbę i wyłowiłam kalendarzyk, żeby jeszcze raz sprawdzić, jaki jutro dzień. Niedziela, 9 stycznia 1949 roku. Nie, w ciągu ostatnich dwóch godzin nic się nie zmieniło.

Kiedy chowałam kalendarzyk, zdałam sobie sprawę, że z ledwie skrywanym zainteresowaniem przygląda mi się dobrze odżywiony Francuz w średnim wieku, który co raz pociągał z butelki. Był na tyle blisko, że czułam zapach brandy i wyobrażałam sobie, że potrafię czytać w jego myślach. Oto niedoświadczona młoda dziewczyna, o dziecinnie zaróżowionych, okrągłych policzkach, o wiele za młoda, żeby się nią poważnie zainteresować, ale nie pozbawiona pewnego wdzięku. Doskonale wiedziałam, że moje jasnobrązowe włosy i puszysta grzywka otaczają prostoduszną, niewinną twarz. Ponieważ byłam drobna, ten człowiek nigdy by nie uwierzył, że mam dwadzieścia jeden lat. Jeżeli będzie się we mnie wciąż wpatrywał, pomyślałam, może w końcu zauważy to, co uważałam za swoje jedyne wyróżniające cechy, czyli wydatną dolną wargę, która była znacznie pełniejsza niż górna i duże szarozielone oczy.

Oczywiście mógł na pierwszy rzut oka poznać, że w żaden sposób nie mogę być Francuzką. Miałam w sobie coś — nie potrafię powiedzieć co takiego — co zalatywało Ameryką. Może później, kiedy długa podróż pociągiem stanie się nie do wytrzymania, zaproponuje mi trochę swojej brandy. A może nie. Z pewnością uzna, że nie mówię wystarczająco dobrze po francusku

(o ile w ogóle mówię), żebym mogła być źródłem jakiegokolwiek rozrywki.

Straciwszy zainteresowanie próbą czytania w myślach, zamknęłam oczy i powróciłam do swoich rozmyślań o jutrzejszym dniu i powitaniu Nicole.

* * *

Ach, dumałam sobie, ta Nicole, jakżeż ona wypełniała mój pobyt we Francji. Byłam wciąż niesamowicie szczęśliwa, że w końcu zaprzyjaźniłyśmy się. Podczas owych pierwszych ponurych dni we wrześniu, kiedy po powrocie mojej rodziny do Nowego Jorku z wakacji spędzonych w Europie zamieszkałam w jej domu, nie śmiałam wyobrazić sobie, że coś takiego może się wydarzyć. Przez długie tygodnie w jej ciemnych i często przerażająco chłodnych oczach widziałam wyraźną podejrzliwość. Była tak nieprzyjemna, że zdałam sobie sprawę, iż jedynie poważne kłopoty finansowe zmusiły ją do przyjęcia sublokatorki. Ale, dobry Boże, miałam tyle szczęścia, że wylądowałam w jej domu a nie u jakiejś prawdziwej francuskiej damy.

Fascynujące i tajemnicze ukryte nici intrygi, dramatu i wewnętrznego humoru przenikały Nicole, jej dwie siostry i grupę czterech czy pięciu młodych, dwudziestoparoletnich ludzi, którzy wpadali prawie co wieczór na drinka i często zostawali na skromnym obiedzie, który wjeżdżał do salonu na wózku i który podawałam wraz z trzema młodymi dziewczynami. Wciąż nie mogłam dokładnie pojąć, dlaczego ci faceci przychodzili tak często, ale nauczyłam się przyjmować ich wizyty z radością.

Oparta wygodnie o ścianę przedziału i kołysząc się w rytm pędzącego pociągu, stwierdziłam z radością, że w owym czasie każda godzina spędzona w Paryżu była dla mnie cennym doświadczeniem. Uczyłam się u Nicole, uczyłam się w swojej nowej pracy w branży *public relations*, uczyłam się nawet wtedy, gdy sprowokowałam czyjś śmiech oraz gdy mnie krytykowano.

Zaledwie parę miesięcy wcześniej, w październiku, Nicole i jej siostry pokazały mi dobitnie, gdzie jest moje miejsce. Właśnie odważyłam się wypowiedzieć nieśmiało kilka słów w języku, którego się szybko uczyłam, po trzech latach nauki w szkole, która obejmowała prawie zapomniane ćwiczenia z czasowników i słówek.

Po lunchu, kiedy córki Nicole wracały do szkoły, mogłam dołączyć do Nicole i jej sióstr, Francette i Annę, towarzysząc im w *demitasse* i dostając jeden, starannie wybrany kawałek nieoczyszczonego cukru, który stanowił jedyny deser, jaki podawano w owych powojennych latach, kiedy obowiązywało ściśle racjonowanie żywności. Siedziałam i słuchałam jak szczebioczą z ożywieniem, tu i ówdzie chwytając pojedyncze słowa, a niekiedy nawet sens całych zdań. Wydawało mi się, że Francette, młodsza z sióstr, powiedziała coś wysoce lekceważącego o miłości, więc pośród ciszy, jaka zapanowała, zmusiłam się do wypowiedzenia jakiegoś zdania i w końcu udało mi się wykrztusić, że „*l'amour est très agréable*”.

Trzy rozwścieczone harpie napadły na mnie, informując z wyraźną pogardą, że żadna amerykańska dziewczina nie ma prawa *mówić* o miłości, *ośmielać się* wyrażać na ten temat jakąkolwiek opinię, ponieważ takie nieopierzone stworzenie jak ja nie może wiedzieć zupełnie nic o miłości i nigdy nie będę wiedziała, dopóki będę pogrążona w tej absurdalnej, prowincjonalnej, śmiesznej i dziecinnej niewiedzy.

Och, jasno dały mi do zrozumienia, co o mnie myślą, dumałam wciąż trochę poirytowana, ale zarazem wygadały się. Zdałam sobie sprawę, że dziewictwo, ten niezwykle ważny stan, ten cenny skarb, który należy chronić za wszelką cenę, miał we Francji znacznie mniejszą wartość niż w Stanach Zjednoczonych.

Nie potrafię powiedzieć, kiedy po raz pierwszy usłyszałam słowo „dziewica” lub zrozumiałam

jego znaczenie, ale jak sięgam pamięcią, najgorszą rzeczą, jaką można było powiedzieć o dziewczynie było, że nie jest dziewicą. O ile mi wiadomo, budzący grozę nakaz zachowania dziewictwa do chwili zawarcia małżeństwa przenika wszystkie religie i dotyczy w równym stopniu Żydów, protestantów i katolików.

Z punktu widzenia moich koleżanek z Wellesley, dziewczyna, która utraciła dziewictwo, była napiętnowana w oczach wszystkich, którzy wiedzieli o tym skandalu. Jej szanse na dobrą partię były poważnie zagrożone, ponieważ straciła reputację, a reputacja dziewczyny... no cóż, nie mając dobrej reputacji, jakie znaczenie miało, że jesteś fajna i lubiana?

Dałam spokój tej łamigłówce i kiedy przypominałam sobie o urodzinach, otworzyłam oczy i sięgnęłam po puderniczkę. Dokładnie się przejrzałam w lusterku. Lepiej już nie będzie, powiedziałam w myślach do swego odbicia, przyglądając się z przyjemnością swoim jasnym oczom i lśniącym włosom. Dwa tygodnie na świeżym powietrzu i fizyczny wysiłek były jak zasłużony lek wzmacniający po trudnych miesiącach spędzonych w Paryżu. Przez cały czas byłam w pogotowiu, opanowana, tak że mogłam wypłynąć na nieznane wody we francuskim domu, a ostatnio także i we francuskim biurze.

Niecierpliwie oczekiwałam na ekscytujące przyjęcia urodzinowe i na tę myśl serce zaczynało mi szybciej bić. Nicole przygotowywała na moją cześć uroczysty rodzinny obiad, John Cavanaugh, asystent projektanta mody i nowo poznany przyjaciel, zaprosił mnie na herbatkę, a Harrison Elliott, mój szef pochodzący z Kalifornii, zorganizował koktajl, po którym miał być obiad z udziałem jego dawnych kolegów od Diora, gdzie do chwili otwarcia swojej własnej firmy był szefem sekcji *public relations*.

Opowiedziałam rodzicom o tych wszystkich olśniewających perspektywach w trzech listach, które napisałam na ich życzenie, ale ponieważ rzadko odpisywali, nie miałam pojęcia, co sądzą o moim nowym świecie — świecie, którego wyrafinowania wciąż nie potrafiłam ogarnąć i nie mogłam się nadziwić, że w ogóle się przede mną otworzył.

Kiedy kupowałam napój pomarańczowy u sprzedawcy przepychającego się przez zatłoczony korytarz, pomyślałam z wdzięcznością, że znalazłam w Paryżu pracę i teraz moi rodzice musieli dotrzymać obietnicy, zgodnie z którą mieli mi pozwolić na pozostanie w Paryżu do następnego lata. Oni jeszcze tego nie wiedzieli, ale ja już wiedziałam, że nigdy nie wrócę do domu. Kiedy mnie pytano, jak długo zamierzam zostać w Paryżu, odpowiadałam, „Na zawsze!” Im lepiej poznawałam to miasto, tym bardziej je kochałam. Kiedy myślałam o Paryżu, czułam, że mogę go zamknąć w dłoniach, to moje odkrycie, którego dokonałam jako pierwsza na świecie; skarb, który na zawsze chciałam zachować.

Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa! Jedynym źródłem rozczarowania był fakt, że moje urodziny przypadły o dwa miesiące za późno, abym mogła podczas wyborów oddać głos na Harry Trumana, co było dla mnie, zdeklarowanej demokratki, rzeczą naprawdę ważną. Kiedy Truman wygrał wybory, po tym jak opowiadałam naokoło, że należy się spodziewać zwycięstwa Deweya, straciłam wszelką wiarygodność polityczną. Francuzi tłumaczyli to moim brakiem zmysłu politycznego.

Francuzi byli dobrzy w obarczaniu kogoś winą, pomyślałam i policzki nagle pokrył mi rumieniec. Jakies sześć czy siedem tygodni wcześniej, Hubert, jeden z tych, którzy przychodzili na obiad, musiał spędzić noc w domu Nicole, ponieważ była straszna mgła i było zbyt niebezpiecznie iść do metra. Wyznaczono mnie do przygotowania mu spania na wielkiej sofie w salonie. W porządku, pozwolę mu się pocałować, doprawdy nic wielkiego — Hubert był słodki — i, pomyślcie tylko, następnego dnia Nicole wyrzuca mnie z domu. Była tak wściekła i tak się na mnie darła, że przez pół godziny nie mogłam się połapać, o co jej chodzi. Hubert miał w nocy polucje i poplamiał obicie sofy, a cała wina spadła oczywiście na mnie! Według niej, byłam

„*allumeuse*”, osobą, która podnieca mężczyzn, co nie przystoi żadnej przyzwoitej kobiecie. Co gorsza, oskarżyła mnie, że jestem „*demi-vierge*”, czyli, o ile się mogłam zorientować, najgorszym gatunkiem nimfomanki. A myśmy się tylko trochę całowali i, na miłość boską, to nie było nic takiego, ale spróbuj to wytłumaczyć Francuzce, która nie posiada się z oburzenia.

Tak, tu we Francji, to był z pewnością zupełnie inny świat. Gdybym zgodnie z planem pojechała do domu, spotykałabym się z wychowankami Ivy League, którzy podobnie jak ja znali wszystkie reguły, kandydatami na męża, którzy zaczynają robić karierę w firmach swoich ojców, bogatymi i nadskakującymi, którzy zalecali by się do mnie na całego. Ale byłam pięć tysięcy kilometrów od rodziców, od mojej rodzinnej ziemi, od wszystkich tych, którzy wiedzieli kim jest Judy Tarcher i z jakiej rodziny pochodzi — rok pełnej anonimowości, w którym miałam odnaleźć swoje miejsce i rozwinąć skrzydła.

Zdecydowałam, że czas na kanapkę. Kiedy mój ciekawy sąsiad zobaczył, jak rozpakowuję bagietkę z szynką i serem, wyciągnął w moją stronę butelkę i spytał grzecznie, „*Voulez-vous en goûter un peu, Madame?*”, ale udałam, że nie rozumiem po francusku. „Nie, dziękuję.” Wykonując odmowny gest, uśmiechnęłam się najuprzejmiej jak potrafiłam. Jeden łyk i mogłabym zostać wciągnięta w całonocną rozmowę, a pragnęłam być sama. W ten sposób mogłam uporządkować myśli.

Ponieważ mieszkałam u Nicole, spotykałam mnóstwo francuskich arystokratów, zupełnie niepodobnych do kolegów z college’u. Czego dokładnie powinnam od nich oczekiwać? Nie byli nawet w przybliżeniu materiałem na męża dla porządnej żydowskiej dziewczyny. Nie, żebym, broń Boże, chciała wychodzić za mąż! Małżeństwo zawsze jawiło mi się jako droga do zniewolenia i naprawdę było mi żal tych koleżanek, które wychodziły za mąż zaraz po ukończeniu szkoły.

Myślałam sobie, że to bardzo dziwne, iż po czterech latach odpierania ataków mężczyzn, którzy mnie chcieli poślubić, za godzinę mam skończyć dwadzieścia jeden lat, a nawet nie mam chłopaka. Kiedy bywaliśmy w restauracji, zawsze była nas cała paczka z Nicole na czele. Kiedy tego chciała, była czarująca i uwodzicielska; miała wspaniałe długie, ciemne włosy, których nie chciała obciąć i fantastyczne nogi, które umiała świetnie pokazać. Czy to możliwe, pytałam samą siebie, prawie dławiąc się szynką i serem, że jestem zbyt amerykańska, żeby chłopcy, którzy byli zaledwie o parę lat starsi ode mnie, w ogóle brali mnie pod uwagę jako potencjalną partnerkę?

Nie, do diabła, to po prostu niemożliwe. Jedną z moich niewielu cech, których istnienia byłam zupełnie pewna, była zdolność przyciągania płci przeciwnej. Chyba jej nie utraciłam tylko z powodu odległości pięciu tysięcy kilometrów, prawda? Czyż nadal nie byłam dziewczyną, która miała trzynaście randek z trzynastoma mężczyznami w ciągu kolejnych trzynastu wieczorów, kiedy byłam na ostatnim roku college’u? Czyż nie powstał ruch, niestety ograniczony do mego akademika, żeby na mnie głosować jako „Najbardziej milutką”, kiedy w klasie głosowano na „Najbardziej wyrafinowaną”, „Najpiękniejszą” i „Największą intelektualistkę”?

Skuliłam się i głęboko zamyśliłam. Oto byłam tutaj i cały ocean oddzielał mnie od rodziców i ich znajomych, którzy mogli mnie obserwować. Nie było żadnych możliwości kontaktu ze światem żydowskich chłopców, którzy nadawali by się na męża i którzy mogliby się o mnie czegokolwiek dowiedzieć; z tym światem, do którego najprawdopodobniej powrócę kiedyś w odległej przyszłości, kiedy w końcu się poddam i wyjdę za mąż. Byłam wolna, zabezpieczona przed plotkami i bardziej niezależna niż kiedykolwiek w życiu byłam czy będę. Byłam dostatecznie dorosła, żeby głosować i, na Boga, traciłam czas z facetami, którzy nie traktowali mnie poważnie.

Byłam sama we Francji już całe cztery miesiące i osiem dni i w ciągu tego czasu pocałował mnie tylko Hubert. To było niedorzeczne, idiotyczne, pomyłone! Z prawnego punktu widzenia

odpowiadałam sama za siebie, a jednak wciąż trzymałam się kurczowo mego dziewictwa w kraju, gdzie fakt ten nie tylko nie miał zasadniczego znaczenia, ale był znamieniem braku dojrzałości.

Nagle wyprostowałam się, uderzona myślą, która przemknęła mi przez głowę. *Teraz gdy jestem dostatecznie dorosła, żeby głosować, jestem także dostatecznie dorosła, żeby utracić dziewictwo.* Poczulałam się wolna od dawnych ograniczeń i tabu. Nie pojmowałam jaki związek ma głosowanie z dziewictwem, ale to nie miało znaczenia. Byłam absolutnie pewna, że taki związek istnieje; widziałam to równie jasno jak to, że nagle uwolniłam się od wszystkich dawnych zasad i obaw, które dotychczas stanowiły gwarancję mego dziewictwa. Pomyślałam, że czas jest odpowiedni, a jedynym odpowiednim miejscem był Paryż. I nikt w domu nigdy się o tym nie dowie! Okazja była znakomita! Tak, naprawdę *miałam zamiar się przespać z pierwszym mężczyzną, który mi to zaproponuje* i nic mnie nie powstrzyma!

Czułam się jak nowo narodzona, jak gdybym nagle ujrzała świat całkowicie odmienny od tego, który mnie otaczał, kiedy wsiadałam do pociągu. Byłam zdecydowana, pewna i całkowicie świadoma, że w końcu się opamiętałam i ledwo się mogłam doczekać powrotu do Paryża, żeby zacząć działać. Nie wiedziałam, co właściwie uczynię, ale teraz gdy zrzuciłam dawne więzy, z pewnością otoczy mnie inna aura i ktoś to wyczuje.

Och, ta chwila absolutnie wymagała toastu i rozejrzałam się za moim korpulentnym sąsiadem. Wciąż nie spał, pogrążony w lekturze jakiegoś magazynu. Szturchnęłam go lekko, uśmiechnęłam się i grzecznie przypomniałam mu jego propozycję, najbardziej płynną francuszczyzną jaką potrafiłam. Spojrzał na mnie zaskoczony, ale po chwili uśmiechnął się i wyciągnął butelkę, odkręcił mały metalowy kubek, napelnił go i podał mi. Wyciągnęłam kubek w jego stronę, ale w myślach ten toast był przeznaczony dla mnie. *„Merci mille fois, Monsieur. A votre santé”*, powiedziałam i jednym haustem wychyliłam jego zawartość.

* * *

Drogi czytelniku, owa podróż pociągiem miała miejsce pięćdziesiąt lat temu. Zdaję sobie sprawę, że dzisiaj niewiele amerykańskich dziewcząt w wieku dwudziestu jeden lat przejmuje się swoim dziewictwem, ale pół wieku temu miało ono ogromną wartość. Spoglądając wstecz na dziewczynę, jaką wtedy byłam; dziewczynę, której uczucia wciąż pamiętam tak żywo; dziewczynę, która wkraczała w najszcześniejszy okres swego życia; dziewczynę, której niewinność pod wieloma względami była nienaruszona; dziewczynę, która nigdy nie płakała po utracie ukochanego, mogę tylko powiedzieć: Czyż nie miałaś nieprawdopodobnego szczęścia, mając przy tym pełną świadomość jego obecności?

Rozdział drugi

Wiele autobiografii rozpoczyna się od pełnego nostalgii spojrzenia na dzieciństwo i od zdania w rodzaju, „Było lato i pamiętam niekończący się ciąg błogich dni, wypełnionych brzęczeniem uwijających się pszczół.” Albo też rozwijają się powoli, od drzewa genealogicznego sięgającego wiele pokoleń wstecz, bez związku z tematem autobiografii. Lata mojego dzieciństwa składały się, ogólnie biorąc, z częstego stosowania płynu kalaminowego z powodu oparzeń wywołanych trującym bluszczem, a moje drzewo genealogiczne jest krótkie. Nawet wyjątkowo krótkie; to nie drzewo, a wręcz gałązka. Nawet nie znam nazwiska panińskiego matki mego ojca, choć wiem, że była nierządnicą, której imienia nie wolno było wymawiać w jego obecności.

Pierwsze żywe wspomnienia wiążą się z dniem, kiedy mignął przede mną podniecający i pełen blasku świat dorosłych. Musiałam mieć siedem lat, kiedy rodzice, Jack i Mickey Tarcher, doszli do wniosku, że moja siostra Mimi i ja jesteśmy na tyle duże, żeby zabrać nas po raz pierwszy na wieczorną imprezę, którą był występ Les Ballets Russes w Carnegie Hall. Mimi miała wtedy pięć i pół roku, a nasz brat, Jeremy tylko trzy i oczywiście został w domu z opiekunką.

Jak zwykle, obie byłyśmy ubrane podobnie. Mimi, która była ode mnie wyższa, miała na sobie koralowo-białą luźną sukienkę we wzorek, a moja sukienka była turkusowo-biała. Na nogach miałyśmy lakierki i białe skarpetki, a we włosach kokardy. Byłyśmy rozkoszными dziećmi i byłyśmy wyjątkowo dobrze wychowane. Albo raczej ja byłam dobrze wychowana, a Mimi tylko wtedy, gdy patrzyła na nią Mama.

Nie pamiętam samego baletu, ale doskonale pamiętam przerwę. Jeden z przyjaciół naszej rodziny, ogólnie znany jako Joffe, pojawił się zaraz po zakończeniu pierwszej części przedstawienia i rozkazał, „Judy i Mimi, chodźcie ze mną, mam dla was coś specjalnego.” Joffe był menażerem Marian Anderson i szychą u Sola Huroka, impresaria Ballets Russes. Myślałam, że nas zabiera za kulisy, ale Joffe, to wielkie, dobrotliwe, wiecznie spocone chłopisko, zaprowadził nas do łoża w środku pierwszego rzędu balkonu. Niezwykle oficjalnie przedstawił nas p. Sarze Delano Roosevelt, matce prezydenta. Żadne angielskie dziecko, które zostało przedstawione królowej, nie mogło odczuwać większego respektu i czci, niż ja, kiedy uściśnęłam rękę tej lekko uśmiechniętej, okrytej szalem wielkiej damy, która była matką jedyne go prezydenta, jaki kiedykolwiek dla mnie istniał, prawie boskiej postaci aż do jego śmierci w dziesięć lat później, kiedy byłam studentką pierwszego roku college’u.

„Będziecie musiały wyjść przed następną częścią przedstawienia”, powiedziała poważnie p. Roosevelt, „i ja także. Wiecie dlaczego? Ponieważ wy jesteście za młode a ja za stara.”

Po przerwie rodzice zaprowadzili nas do rosyjskiej herbaciarni i był to pierwszy raz, kiedy byłyśmy wieczorem w restauracji. Od tej pory byłam tam setki razy i każda wizyta przypomina mi owo pełne zachwyty podniecenie tamtego pierwszego wieczoru.

Mieszkanka Nowego Jorku, urodzona demokratka, najstarsza z trojga dzieci, córka światowych rodziców — tyle można wydedukować z moich wspomnień.

Byłam wówczas w trzeciej klasie, ale moja nauka zaczęła się znacznie wcześniej, w niezwykle młodym wieku osiemnastu miesięcy, kiedy to rodzice posłali mnie do eksperymentalnej szkoły w okresie, gdy kształcenie dzieci od najmłodszych lat było przedmiotem intensywnych badań.

Moje pierwsze wrażenia ze szkoły to zabawa klockami i jeszcze dzisiaj mam książkę, w której zostały poddane analizie rozmaite, zbudowane przez nas konstrukcje, w tym kilka moich. Najbardziej rozbudowaną i najambitniejszą z nich nazwałam z braku wyobraźni i skromności

„Dekoracją”.

Zdumiewająco żywe pozostaje jeszcze inne wspomnienie. Pewnego gorącego czerwcowego dnia, kiedy miałam dwa i pół roku, nauczyciele postanowili, że dzieci rozbiorą się do naga i pobaraszkują na dachu szkoły w strumieniach wody tryskających z gumowych węży. Natychmiast ukryłam się w ogromnej szafie, w której trzymano lalki, gdzie odnaleziono mnie dopiero w godzinę później. Żaden chłopak nie mógł zobaczyć mnie nago! Sama myśl o tym była oburzająca i do dziś dnia nie mogę całkiem dojść do siebie. Czy ci nauczyciele nie mieli żadnego szacunku dla mojej skromności?

Wedle rodzinnej legendy, kiedy obcy odwiedzali moją szkołę, widzieli jak spokojnie oglądam książeczkę obrazkową, siedząc na krześle, pogrążona we własnym świetle i z uznaniem wyrażali się o moim zachowaniu. „Mamy z nią problem”, wzdychał mój nauczyciel. „Z nią?” pytano. „A co z tymi wrzeszczącymi dzieciakami, które ciągną się za włosy i biją?” „Na tym właśnie polega problem, Judy jest zbyt dobrze wychowana”, brzmiała odpowiedź.

Kiedy urodziłam się, rodzice mieszkali w wynajętym mieszkaniu, w domu z piaskowca, na 29 ulicy, o jedną przecznicę od Washington Square Park w Greenwich Village. Ojciec miał własną, dobrze prosperującą agencję reklamową, J. D. Tarcher & Co. Matka, przyszły prawnik, właśnie otrzymała tytuł magistra ekonomii na uniwersytecie Columbia.

Jesienią 1933 roku, kiedy miałam pięć i pół roku, wyprowadziliśmy się z centrum miasta, do St. Urban i zamieszkaliśmy przy 285 Central Park West, w malowniczym, późno — edwardiańskim domu. Ogromny dwunastopiętrowy blok mieszkalny miał bramę wjazdową, przez którą podczas jego budowy wjeżdżały konie i wozy.

Rodzina opuściła Greenwich Village, tak że mogłam pójść do pierwszej klasy — jako najmłodsza i najniższa uczennica — w Birch Wathen, małej, prywatnej szkole koedukacyjnej, do której uczęszczałam przez następne jedenaście lat. Opuściłam pierwszy rok w szkole średniej i ukończyłam ją w 1944 roku, mając szesnaście lat, ciągle jako najmłodsza i najniższa uczennica.

Przyjęto mnie do pierwszej klasy w Brearley, jednej z pięciu modnych i „odpowiednich” szkół dla przyszłych debutantek, ale matka postanowiła, że placówka z tak niewielkim limitem miejsc dla Żydów może w przyszłości stanowić problem. Jednak mała szkoła Birch Wathen popadła w kłopoty podczas Kryzysu i dwie niezamężne panie, panna Birch i panna Wathen, w których szkole uczyło się bardzo niewielu Żydów, zostały zmuszone do przyjęcia tylu ile się dało, aby szkoła mogła przetrwać.

Jedynymi osobami wyznania niemojżeszowego, jakie pamiętam z lat spędzonych w tej szkole, byli nauczyciele oraz dzieci mające stypendium, z których większość stanowili chłopcy, ponieważ ta koedukacyjna szkoła była w przeważającej części żeńska. Niemniej jednak w każdy piątek rano odbywało się nabożeństwo, a także obchodziliśmy Boże Narodzenie i wówczas panna Birch uroczyście czytała nam ze swojej rodzinnej Biblii historię narodzenia Chrystusa. Następnie śpiewaliśmy kilka kolęd, które uprzednio ćwiczyliśmy przez parę miesięcy, po czym podchodziliśmy pojedynczo do dosyć mizernej choinki, gdzie czekał nas uścisk dłoni i słodycze. Do dziś dnia pamiętam dokładnie słowa „Good King Wenceslas” i lubię śpiewać „It Came upon a Midnight Clear”, kiedy nikt mnie nie słyszy, bo fałszuję. Ale ani odrobina chrześcijańskiej religii nie mogła mieć na nas wpływu, ponieważ wiedzieliśmy doskonale, że jesteśmy Żydami.

Z drugiej strony, w przeciwieństwie do innych dziewcząt z klasy, nie odebrałam żadnego żydowskiego wykształcenia. Rodzice byli bardzo zaangażowani w żydowską działalność filantropijną i często spędzali cztery wieczory w tygodniu, uczestnicząc w różnych zebraniach, ale jako całkowicie świeccy Żydzi nigdy nie czuli potrzeby odwiedzenia synagogi. Pewnego dnia, kiedy Mimi i ja miałyśmy mniej więcej siedem i dziewięć lat, matka powiedziała nam, że zapisała nas do niedzielnej szkoły w synagodze hiszpańsko-portugalskiej na tej samej ulicy.

Wróciłyśmy do domu szlochając z gniewu i oburzenia po jednej niezrozumiałej lekcji, podczas której nauczyciele uparli się, żeby zwracać się do nas pełnymi imionami, Judith i Miriam, co rozgniewało nas jeszcze bardziej. „No, dziewczynki, tylko nigdy nie narzekajcie, że nie dałam wam szansy poznania religii”, powiedziała matka wzruszając ramionami i na tym, się dzięki Bogu, skończyło.

Byliśmy na jednej czy dwóch świątach Paschy w domu Fanny i Leonarda Cohenów, najbliższych przyjaciół moich rodziców, którzy byli jedynymi świadkami na ich ślubie w ratuszu. Fanny i Len zostali wyznaczeni jako chrzestni rodzice całej naszej trójki, co jak sądzię funkcjonuje w judaizmie, ale matka chciała mieć pewność, że jeśli ona czy lata zginą w wypadku, Fanny i Len zajmą się naszym wychowaniem. Wciąż mam przed oczyma rubinowe wino w kieliszku stojącym na stole Fanny, wciąż pamiętam jakie było wyśmienite, jak się nim opiałam i jak zanieśono mnie do łóżka, gdzie straciłam przytomność.

Rozumiem potrzebę posiadania przekonań religijnych i ogromnie zazdroszczę wszystkim tym, którzy mają tę zdumiewającą rzecz zwaną „wiarą”, ze względu na pociechę i oparcie, jakie w niej znajdują. Moja instruktorka i przez ostatnie dwadzieścia lat oddana przyjaciółka, Diane Severino, urodziła się jako katoliczka i ponownie narodziła się jako chrześcijanka ponad dwadzieścia lat temu. Wierzy w każde słowo Starego i Nowego Testamentu. Diane zapewnia mnie, że nawet jeśli dopiero na łożu śmierci uznam Chrystusa jako swego Zbawiciela, pójdę prosto do nieba jako „doskonała Żydówka”. W przeciwnym razie, chociaż bardzo mnie lubi, jestem skazana na ogień piekielny. Nie uważa tego za brak tolerancji, lecz za ostateczną prawdę, którą objawiła jej wiara.

Ale moja masażystka, Darlene Jamen, była kiedyś świecką Żydówką, która doświadczyła klasycznego i udokumentowanego przeżycia z pogranicza śmierci, kiedy „utonęła” na prawie pół godziny podczas nurkowania z akwalungiem. Znalazła się w gigantycznym, jarzącym się, wielobarwnym i śpiewającym kryształ. Powróciła do swego ciała niechętnie, myśląc, że została wygnana z nieba za złą ortografię. Darlene zapewnia mnie, że bez wątplenia pójdę do nieba, niezależnie od tego, czy wyznaję jakąś religię albo wierzę w życie pozagrobowe. Ponadto, dodaje, Hitler także pójdzie do nieba, chociaż później niż cała reszta. Obiecuje mi, że w niebie będę umiała śpiewać bez fałszowania. Mogę się z tego tylko śmiać i życzyć Diane i Darlene powodzenia. Jeżeli niebo istnieje, znajdę się tam, chociaż moja ortografia jest też do niczego. Czyż Diane nie będzie zaskoczona? *Czyż ja sama nie będę zaskoczona?*

Mam jeszcze jedno wspomnienie z dzieciństwa. Mój brat, Jeremy, urodził się 2 stycznia 1932 roku, prawie dokładnie cztery lata po mnie. Pewnego razu Mimi i ja patrzyłyśmy jak go przewijano. Spojrzałam na jego członek i raz na zawsze nabrałam przekonania, że posiada coś *lepszego* niż ja, coś czego rozpaczliwie pragnęłam i czego nie będę miała nigdy. To zwinięte i pulchne coś stało się natychmiast obiektem pożądania, chociaż nie rozumiałam dlaczego.

Freud mylił się w wielu sprawach, ale dla małej Judy Tarcher ten przedmiot zazdrości był równie rzeczywisty jak komputer, na którym teraz piszę, pominiawszy fakt, że mam komputer... w istocie nawet dwa. Natomiast Mimi nie miała tego rodzaju przeżyć. Chociaż także pamięta jak przewijano Jeremy'ego, pomyślała, że jest w pewien sposób zdeformowany. No więc macie... różne zdania na ten sam temat. Może pójdę do nieba i tam odkryję, że mam członek! Gdybym była tego pewna, umarłabym szczęśliwa.

Postanowiłam napisać tę autobiografię w lipcu 1998 roku, kiedy w końcu dotarło do mnie, że sześć miesięcy temu skończyłam siedemdziesiąt lat. Dobry Boże, siedemdziesiąt lat! Cóż, mój czytelniku, może brzmieć bardziej ostatecznie? Trzy razy po dwadzieścia lat i dziesięć — klasyczny wiek biblijny. Nie dociera do mnie, że liczba siedemdziesiąt odnosi się do mojej osoby, ale prosta arytmetyka dowodzi, że dziewczynka urodzona 9 stycznia 1928 roku, w 1998 roku powinna mieć siedemdziesiąt lat. I, w przeciwieństwie do Oskara Wilde'a, zawsze

przyznawałam się do swego wieku, z wyjątkiem krótkiego okresu czasu zaraz po napisaniu pierwszej powieści. Wilde powiedział, „Nigdy nie przyznałem się, że mam więcej niż dwadzieścia dziewięć lat, najwyżej trzydzieści. Dwadzieścia dziewięć gdy jestem w różowym nastroju, a trzydzieści gdy nie dopisuje mi zdrowie.”

Kiedy miałam sześćdziesiąt dziewięć lat, nie miałam pojęcia, jak będę uradowana mając siedemdziesiąt. Brzmi to bardzo efektownie. Nie możesz się pozbyć siedemdziesiątki, dopóki nie skończysz osiemdziesięciu lat. Kiedy daję komuś jakąś radę, teraz, choć to głupie, oczekuję odrobiny respektu z powodu wieku, który podobno niesie ze sobą mądrość. Jednak to czego się nauczyłam to fakt, że nikt nigdy nie staje się dorosły wewnątrz. Można złagodnieć, zgoda, ale pełna dojrzałość nie istnieje. Jest wielką tajemnicą, że zadni dorośli nigdy nie przemierzali tej planety i ani Eleanor Roosevelt ani Georgia O’Keeffe nigdy nie przebudziły się pewnego ranka i nie pomyślały, „Dzisiaj, teraz, dokładnie w tej chwili jestem w stu procentach dorosła.”

Prywatne szkoły, opiekunka, jedwabne sukienki, wyprawa na przedstawienie baletowe... wszystko to sugeruje osobę bardzo uprzywilejowaną. I tak było, zwłaszcza w czasach Kryzysu, ale nie jest to historia przyszłej Marjorie Morningstar; jest to historia porządnej żydowskiej dziewczyny, która świetnie się bawiła i trochę zeszła z kursu.

Rozdział trzeci

Jeśli chodzi o moje pochodzenie, ma ono równie krótkie korzenie jak u wszystkich innych, chyba że jesteś imigrantem. Mój dziadek ze strony ojca, Ben, miał nazwisko które się wymawiało Tataczuk, chociaż nie wiem jaka była jego pisownia. Był stolarzem wyrabiającym meble i przybył na Ellis Island w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku z jakiejś małej osady w Rosji. On i jego żona, Tilly, osiedlili się na Mott Street, która wówczas stanowiła zatłoczone żydowskie getto we wschodniej części Manhattanu. Tam też w lipcu 1896 roku urodził się mój ojciec, Jack David, jako ich pierwsze dziecko. Ilekroć słyszę beztroskie słowa „Oh, tell me what street compares to Mott Street in July”, z ballady „Manhattan” Rodgersa i Harta, myślę o mojej babce, rodzącej w nędznym pokoju z niskim sufitem, w małej kamienicy czynszowej, podczas tropikalnych upałów nowojorskiego lata.

Wkrótce stało się jasne, że dla stolarza Bena Tataczuka nie ma tam przyszłości, więc przeprowadził się wraz z rodziną do Bergen County w New Jersey, gdzie prowadził kurzą fermę jako najemny rolnik. Tam też przyszło na świat dwoje dzieci, Max i Bess. Mam zdjęcie ojca jako młodego chłopaka, w kombinezonie i słomkowym kapeluszu, jak trzyma w ustach trawkę. Kiedy był starszy, nigdy nie mógł nawet spojrzeć na martwego, oskubanego kurczaka nie krztusząc się i kiedyś wyznał mi, że jednym z jego obowiązków na farmie było zbieranie złożonych jaj.

Kiedy ojciec miał czternaście lat, w rodzinie wydarzyła się tragedia i niemal niewyobrażalny skandal. Babka Tilly, która najwyraźniej miała żyłkę awanturniczą, uciekła z gospodarzem, niejakim p. Janksem, który miał żonę i pięcioro dzieci. Zostawiła męża i troje dzieci. W owym czasie, w tym środowisku głęboko ortodoksyjnych Żydów, nie mógł się wydarzyć gorszy skandal, chyba z wyjątkiem morderstwa.

W dzieciństwie matka często ostrzegała naszą trójkę, aby nigdy nie zadawać ojcu pytań dotyczących jego życia, ponieważ porzucenie przez matkę było przeżyciem tak traumatycznym, że nie pamiętał nic z tego, co się wydarzyło przedtem. Stanowiło to wielkie rodzinne tabu, ale nigdy za bardzo nie wierzyłam w ten przypadek amnezji. (Myślę, że amnezja jest zarezerwowana dla szoku doznanego podczas eksplozji pocisku oraz występuje w operach mydlanych.) Ojciec, człowiek niewiarygodnie powściągliwy, nie chciał, co jest zrozumiałe, rozmawiać na temat swojej matki, podobnie jak, co nie jest zrozumiałe, nigdy nie pozwalał swoim dzieciom na omawianie żadnych osobistych spraw. Tabu związane z jego dzieciństwem obejmowało wszelkie przejawy zażyłości ze swymi dziećmi płci żeńskiej w ciągu całego jego życia. Ku memu zaskoczeniu, kiedyś brat powiedział mi, że potrafił z ojcem rozmawiać na wiele tematów, z wyjątkiem baseballu, bo to go nudziło.

Niebawem kurza ferma upadła i nieszczęsny dziadek Ben powrócił na Manhattan, gdzie otworzył stoisko z gazetami, które wkrótce spotkał ten sam los. Mając szesnaście lat, mój ojciec porzucił szkołę średnią, żeby zarabiać na utrzymanie rodziny, drugiej żony Bena i dwóch przyrodnych braci. Najwyraźniej skrajna bieda nie powstrzymała Bena od zawarcia ponownego małżeństwa, chociaż istnieją poważne i niewyjaśnione wątpliwości, czy on i Tilly kiedykolwiek się rozwiedli i czy jego nowe małżeństwo było legalne.

Ojciec zaczął jako goniec w agencji reklamowej, gdzie wypróżniał kosze na śmieci i temperował ołówki. Pomimo braku wyższego wykształcenia, okazał się urodzonym copywriterem. Kiedy miał dwadzieścia cztery lata, otworzył wraz z partnerem własną agencję. Ich pierwszym klientem była firma Smith Brothers' Cough Drops — znana jako „Trade” i „Mark” — znana amerykańska firma, która już od dawna nie istnieje.

Tata zmienił też nazwisko na łatwiejsze do wymówienia Tarcher, a reszta rodziny poszła jego śladem. O ile wiem, poza naszymi krewnymi w całym kraju nie ma nikogo o nazwisku Tarcher. Dlaczego przy całej swojej pomysłowości nie wybrał jakiegoś znanego nazwiska, takiego jak Westinghouse — pytam samą siebie, kiedy po raz kolejny muszę literować swoje nazwisko. Judith Westinghouse? Kupiłabym książkę napisaną przez kobietę noszącą takie nazwisko.

Matka urodziła się w 1900 roku, ale nie w Stanach Zjednoczonych tylko w Wilnie. W owym czasie to miasto, które wielokrotnie przechodziło z rąk do rąk, należało do Rosji, która wydarła je Litwie. Jej ojciec, Joe Barger, który był krawcem, przybył do Ameryki, zostawiając w kraju żonę i półtoraroczną wtedy córeczkę. Kiedy zaoszczędził pieniądze na bilety, ściągnął je do siebie — moja matka miała wtedy cztery lata. Osiedlili się w Williamsburgu, zamieszkałym przez ubogich Żydów.

Imię mamy, według mojej metryki, spisanej przez ojca, brzmiało Michael, ale musiała to być zamerykanizowana wersja jej prawdziwego imienia, które wymawiało się Mikel. W jej dokumentach naturalizacyjnych, wydanych kiedy miała jedenaście lat, widnieje imię Mollie. Ale na długo przedtem katolicycy nauczyciele w jej szkole zdecydowali, że za bardzo przypomina Irlandkę, aby nosić imię Mikel i nazwali ją Mary — to imię stało się jej legalnym imieniem, chociaż przez całe życie nazywano ją Mickey.

Mickey Tarcher niezbyt mądrze wybrała moje drugie imię. Przez wiele lat skrzętnie je ukrywałam jak zenujący sekret. Wiem, że zgodzicie się, iż żadna dziewczynka nie zaakceptuje imienia *Bluma-Gittel*! W języku jidysz znaczy to „ładny kwiat” i matka tłumaczyła to mówiąc, że wybrała takie imię, żeby zrobić przyjemność swojej matce, ale dla mnie to nie miało żadnego znaczenia.

Kiedy musiałam podać swoje drugie imię do dyplomu ukończenia szkoły średniej, powiedziałam, że brzmi ono Beryl, ale skąd je wytrzasnęłam jest dla mnie taką samą tajemnicą jak to, dlaczego mi się wtedy podobało... albo dlaczego nie wybrałam imienia Westinghouse. Cała ta historia z pewnością dowodzi próby transformacji w osobę z wyższych sfer. Wicehrabianka Beryl brzmi jak trzeba.

Kiedy kończyłam college, zdecydowałam się po prostu na Judy Tarcher. Kiedy potrzebowałam metryki do zawarcia ślubu, odkryłam, że moje drugie imię zapisano po prostu jako Bluma. W moich uszach brzmi to jak „bloomer”, czyli fragment damskiej bielizny. Dlaczego matka wprowadziła mnie w błąd? Teraz, kiedy wymyśliłam setki imion postaci moich powieści, nauczyłam się doceniać specyficzny wdzięk imienia Bluma-Gittel, co nie przestaje budzić powszechnej wesołości.

Mikel-Mary-Mollie-Michael-Mickey szybko nauczyła się angielskiego, wysławiając się z elegancką precyzją, ale ze swoimi rodzicami nadal rozmawiała w jidysz, w którym to języku mój ojciec, urodzony w Ameryce, znał tylko kilka słów. Celia urodziła jeszcze czworo dzieci, z których trzy przeżyły, podczas gdy dziadek, którego moja matka opisywała jako człowieka nadużywającego alkoholu i ulegającego „nieprzewidywalnym, ale zawsze złym nastrojom”, starał się zarabiać na życie.

Matka, podobnie jak ojciec, musiała porzucić szkołę średnią po pierwszym roku nauki, przytaczając jej własne słowa, „ze łzami w oczach, nie mając gdzie pójść i bez butów”. Pewnego razu powiedziała mi, że w Williamsburgu jedynym sposobem odróżnienia bardzo, bardzo biednych od bardzo biednych była możliwość zapisania się do szkoły. Przekonała się, że należy do klasy najbiedniejszej, gdy mając czternaście lat musiała iść do pracy w fabryce słodczy, gdzie pracowała przy wyrobie wiśni w czekoladzie, żeby pomóc w utrzymaniu młodszych dzieci. Jak tylko zaoszczędziła dość pieniędzy, zapisała się na wieczorowe kursy biznesu i kiedy skończyła szesnaście lat, była dyplomowaną księgową, stenografistką i maszynistką.

Błyskotliwa, pracowita i nieugięta Mickey Barger miała ogromne ambicje i w ciągu następnych siedmiu lat zmieniała pracę sześć razy, nie opuszczając przy tym ani jednego dnia pracy i dochodząc do stawki czterdziestu dolarów tygodniowo, co w 1924 roku było zdumiewająco dobrym wynikiem. Wieczorami uczyła się w szkole średniej.

Przez całe dziesięciolecie domagałam się, aby spisała historię swego życia. Była kobietą, która nie znosiła pisania i kiedy zbuntowałam się w ogóle nie dostając od niej listów przez cztery lata mego pobytu w college'u, skąd podobnie jak z Paryża posłusznie pisałam do domu trzy razy w tygodniu, w końcu przysłała mi list, w którym napisała tylko, „Wiesz jak nie lubię pisania listów, proszę nie proś mnie o to.” Jednak wciąż domagałam się jej historii i w końcu niechętnie przygotowała liczącą cztery strony elegancką relację.

„Uczęszczałam na wykłady”, wspomina ten okres swego życia. „Nie kładłam się do rana rozmawiając, dyskutując, spierając się, krytykując, podziwiając i dorastając. Dorastałam z dala od Brooklynu, cały czas spędzałam na Manhattanie, a kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, prze — niosłam się tam, dzieląc mieszkanie z inną dziewczyną.” Jej rodzice nie sprzeciwili się tej decyzji, która w owym czasie była czymś niezwykłym, ponieważ zdawali sobie sprawę, że to nie ma sensu, a poza tym jej sukcesy tak ich zdumiewały, że czuli, iż nie mają prawa mieszać się w jej życie.

Wkrótce matka poznała mego ojca i gdzieś w 1923 roku zamieszkali razem. 27 października 1924 roku udali się do ratusza i wzięli ślub. Różnili się od siebie tak bardzo, że stanowili interesującą i atrakcyjną parę. Matka miała czarującą sylwetkę, była drobna i pełna wdzięku, miała 155 cm wzrostu, niby podłotek żywcem wyjęty z powieści F. Scotta Fitzgeralda. Krótkie, rzadkie brązowe włosy otaczały kształtną głowę, a grzywka sięgała prawie do starannie wyskubanych i podkreślonych brwi. Miała mały prosty nos, wielkie szare oczy i filigranowe usta. Tata miał prawie 180 cm wzrostu, owalną twarz, zakola sięgające prawie czubka głowy i zawsze nosił wielkie okulary. Jego wygląd, który z latami w ogóle nie ulegał zmianie, przywodził na myśl mądrego, zamyślonego, dobrotliwego Buddę. Czasami niespodziewanie na jego twarzy pojawiał się uśmiech, który odmieniał jego poważny wygląd, chociaż dominowało ogólne wrażenie wewnętrznego spokoju. Był bardzo podobny do niezapomnianego Benny Goodmana.

Od chwili zawarcia małżeństwa życie mojej matki uległo całkowitej zmianie. Była to klasyczna historia Kopciuszka. Agencja reklamowa Taty szybko rozwijała się, niebawem wykupił swego partnera i natychmiast uwolnił mamę od wszelkich trosk.

„Wypełnij sobie życie czym chcesz, Mickey”, powiedział jej. W ciągu miesiąca matka zapisała się do college'u na Uniwersytecie Nowojorskim, unikając zaliczenia szkoły średniej. Małżeństwo umożliwiło jej zdobycie formalnego wykształcenia, na co ojciec nigdy nie miał czasu, choć jest niewielu samouków tak gruntownie wykształconych dzięki lekturze książek. Typowy obrazek jaki pozostał w mojej pamięci to ojciec, który siedzi cierpliwie koło frontowych drzwi, już w płaszczu, kapelusz na stolicku pod lustrem, pogrążony w lekturze książki, a matka kończy się ubierać przed wyjściem z domu. Gdyby zabrało jej to dwie godziny dłużej, nawet by tego nie zauważył.

W swojej relacji z pierwszych lat małżeństwa matka napisała, „Miałam wszystko. Miałam miłość, komfort, historię, ekonomię i filozofię. Moje młodzieńcze marzenia i emocje znajdowały uzasadnienie intelektualne, a moje potrzeby estetyczne — zaspokojenie.” Przynajmniej umieściła miłość na pierwszym miejscu.

Matka miała się okazać doskonałą studentką i geniuszem jeśli chodzi o planowanie rodziny. „Nigdy nie zaszłam w ciążę, kiedy tego nie chciałam”, wyznała mi z dumą, „i zawsze zachodziłam w ciążę, kiedy tego pragnęłam.”

Urodziłam się podczas przedłużonych wakacji w okresie Bożego Narodzenia, kiedy matka

była na ostatnim roku college'u, po czym natychmiast znalazłam się w rękach niemieckiej niańki nazwiskiem Glentz. Tymczasem młoda matka wróciła na zajęcia i ukończyła naukę w czerwcu tegoż roku. Moja siostra, Mimi, urodziła się w siedemnaście miesięcy później, w czerwcu 1929 roku, latem, co zapewniło mamie parę miesięcy wolnego czasu na zajęcie się dzieckiem, przed rozpoczęciem następnego roku szkolnego, kiedy to zaczęła studiować ekonomię na uniwersytecie Columbia. Mój brat, Jeremy, urodził się w 1932 roku, podczas kolejnych wakacji w okresie Bożego Narodzenia, tuż przed tym jak matka zaczęła pisać pracę dyplomową.

W 1934 roku, po dziesięciu latach małżeństwa, moja energiczna matka miała dyplomy dwóch college'ów i troje dzieci w wieku od dwóch do sześciu lat. Wybrała ten moment bezczynności i zapisała się do college'u kształcącego nauczycieli, zamierzając uzyskać doktorat w dziedzinie edukacji. Wkrótce doszła jednak do wniosku, że nie ma w sobie dość cierpliwości, żeby zostać nauczycielką — właściwa i szczęśliwa decyzja dla całych pokoleń uczniów — zapisała się więc na wydział prawa Uniwersytetu Nowojorskiego.

Mickey Tarcher nie mogła jeszcze wtedy wiedzieć o oryginalnym pomysłe spędzania czasu z własnymi dziećmi. Zamiast tego, jak napisała, „wolałam bronić biednych, swobód obywatelskich i prawa w ogóle”.

Matka pozostała wierna temu idealistycznemu credo przez znaczną część swego życia. Zaczęła karierę polityczną jako Młoda Socjalistka, a następnie pomagała zakładać Partię Liberalną w Nowym Jorku, wraz z przywódcą związkowców, Davidem Dubinskim, ponieważ dla niej Demokraci nie byli wystarczająco liberalni. W latach czterdziestych ubiegała się nawet o miejsce w radzie miejskiej z ramienia Partii Liberalnej i choć przegrała, zebrała więcej głosów niż jakikolwiek kandydat trzeciej partii w tej zdominowanej przez Demokratów części Manhattanu. Jednakże ostatnio oddała głos na Richarda Nixona! Jest to rodzinna hańba, której nikt nie jest w stanie zrozumieć ani wyjaśnić, chyba że została fanatyczną antykomunistką.

Nasze życie rodzinne było zdominowane przez dwa czynniki: dystans mego ojca i siłę mojej matki. Przez całe życie, w momencie gdy Tata usłyszał podniesiony głos Mamy czy choćby wyczuł w jej głosie chwilową irytację, w milczeniu wstawał, wychodził z pokoju i szedł do sypialni, gdzie natychmiast pogrążał się w książce. Reakcja ta była szczególnie skuteczna podczas wspólnego obiadu.

Wskutek takiego podejścia ojca, cała władza rodzicielska znalazła się w rękach matki, która nie miała zresztą nic przeciwko temu. Ona decydowała, które z nas miało rację w przypadku sporu; ona przyznawała nagrody i wymierzała kary; ona wybierała dla nas szkoły; ona decydowała, czy nasze kieszonkowe można zwiększyć z dziesięciu do piętnastu centów; ona zajmowała się wszystkimi szczegółami naszego codziennego życia. Stanowiła wszystkie trzy elementy naszego rodzinnego rządu. Od jej wyroków nie było odwołania.

* * *

Nigdy nie spotkałam bardziej enigmatycznego człowieka niż mój ojciec. Ten zazwyczaj milczący człowiek był znany w świecie żydowskich filantropów ze swej umiejętności wysławiania się i potrafił tak skutecznie zdobywać fundusze, że rozchwytywano go na imprezach charytatywnych, organizowanych dziesiątki razy w roku. Kiedy trwała zbiórka pieniędzy, rzadko wieczorami bywał w domu; matka też była nieobecna, pochłonięta własną działalnością filantropijną, pracując głównie dla HIAS, organizacji pomagającej żydowskim imigrantom osiedlić się w Stanach Zjednoczonych. Ponieważ oboje byli całkowicie świeccy, ta nieprzerwana aktywność była niewątpliwie formą manifestacji ich potrzeb duchowych.

Podczas każdego przyjęcia w naszym domu Tatę nieodmiennie otaczało grono pełnych

podziwu i oddania kobiet, które dosłownie siedziały u jego stóp i godzinami słuchały jego intelektualnych wywodów, podczas gdy ich mężowie rozprawiali w grupkach o codziennych sprawach. Ilekroć zapragnął się wybrać na przedstawienie śpiewu i tańca — jego ulubionymi artystami byli Ravi Shankar, wielki indyjski mistrz sitary i chór Don Cossacka — co zupełnie nie interesowało mojej matki, zabierał jedną z przyjaciółek rodziny, ze swego „haremu” jak je nazywaliśmy.

Kiedy pracowałam u niego latem podczas nauki w szkole średniej, byłam oszołomiona odkrywając, że osobowość mojego ojca ulegała w biurze kompletnej metamorfozie. Stawał się człowiekiem, o którego istnieniu nie miałam pojęcia, którego głosu nigdy nie słyszałam. J. D. Tarcher był niezwykle dynamicznym, praktycznym, skutecznym i szanowanym szefem, który kierował wieloma pracownikami, prowadził duże zebrania, którego pracownicy darzyli podziwem i który tryskał oryginalnymi pomysłami.

Ale w domu ojciec izolował się od życia rodzinnego tak bardzo, jak gdyby był pensjonariuszem, który płaci jedynie za jedzenie i dach nad głową. Z okresu dzieciństwa pamiętam tylko jedną rozmowę z ojcem w charakterze osobistym. Bałam się odgłosów dobiegających w nocy i wtedy Tata usiadł przy mnie na łóżku i wyjaśnił, że to drewno rozszerza się i kurczy w cyklu dobowym. Chętnie poruszał jedynie tematy naukowe. Jedyną ojcowską radą, jakiej mi udzielił, było: „Nic nigdy nie ginie. Dokładnie poszukaj.” To jest jak magia. Wielokrotnie znajdowałam okulary czy klucze pod zupełnie płasko leżącymi arkuszami papieru. Cóż jeszcze mógł być mi powiedzieć, jakie jeszcze znał czary?

Cała nasza trójka była przeświadczona, że Tata bardzo nas kocha, ale z jakiegoś niezrozumiałego dla nas powodu nie potrafi okazać tej miłości. Z drugiej strony, chociaż żadne z nas nie pamięta, aby kiedykolwiek wpadł w gniew, wszyscy traktowaliśmy go jak uspiony wulkan. Jak wszystkie wrażliwe dzieci, wyczuwaliśmy intuicyjnie, że kipi w nim jakaś niepojęta wściekłość. W istocie moja siostra była przekonana, że kiedy nikt na niego nie patrzył, stawał się wilkołakiem i kiedy się do niego zbliżała, zawsze wydawała ostrzegawczy dźwięk, żeby zdążyć powrócić do swojej postaci. Ja nie miałam tak rozbudzonej wyobraźni. Byłam po prostu przekonana, że gdyby się kiedykolwiek na mnie rozżłościł, byłby to koniec świata.

Z drugiej strony, matka często wpadała w gniew i niedbale zasłane łóżka czy bałagan w szafie dawały powód do długiej tyrady. Karano nas, odmawiając możliwości wysłuchania ulubionego programu radiowego — pozwalano nam na słuchanie radia w weekendy tylko przez godzinę lub dwie — albo pozbawiając tygodniowego kieszonkowego, co było drobnostką, ale towarzyszące naszym przewinieniom karcące uwagi zapadały głęboko w pamięć.

Jednak mimo że matka była często poirytowana, traktowała nas w sposób, w jaki ojciec nie potrafił. Zawsze wiedzieliśmy, że mamy matkę, która nas obserwuje, gotowa zareagować, żeby nas popchnąć we właściwym kierunku; która, gdy była w szczególnie tkliwym nastroju, sadzała nas na kolanach, nawet wtedy gdy byliśmy już więksi od niej — ojciec nigdy tego nie uczynił. Jedynym przejawem fizycznej bliskości ojca było czytanie komiksów, zanim nauczyliśmy się czytać i wtedy siadał na sofie, mając Mimi i mnie po obu bokach.

Poza ogromnym wpływem, jaki na nas wywarła, matka dała nam dwie rady. „Nigdy nie wychodźcie za mąż za mężczyznę, który pali cygara; to najbrzydliwszy z nałogów”, powiedziała, dodając, „Wszystkie odcienie zieleni dobrze do siebie pasują, ale nigdy, przenigdy nie używajcie koloru turkusowego.” Bardzo lubię odrobinę turkusowego w ma — jolice, którą kolekcjonuję i nie wszystkie odcienie zieleni pasują do siebie, chyba że w naturze. Ale miała zupełną rację, jeśli chodzi o cygara.

* * *

Najszczęśliwszym aspektem naszego dzieciństwa było to, że Tata kochał sztukę i nauczanie, dzięki czemu czasami w weekendy wychodził ze swojej skorupy i zabierał nas do galerii sztuki w Nowym Jorku, do Cloisters, do planetarium i akwarium; matka wołała nie brać udziału w tych eskapadach, pozostając w domu i w spokoju czytając książkę.

Ojciec był pełnym entuzjazmu i cierpliwym nauczycielem, który lubił nas uczyć. Byliśmy w Jones Beach i w Palisades Park i wielokrotnie odwiedziliśmy Światowe Targi 1939 roku. W pawilonie brytyjskim rzuciłam się na siedzenie Rolls-Royce'a, wysłane rozkosznie pachnącym materiałem. W domu! Nareszcie w domu! Od razu wiedziałam, że nie może być nic lepszego niż ten zapach i przywarłam do materiału, rozkoszując się tym zapachem i nie chcąc wyjść z samochodu, aż musieli mnie stamtąd wyciągnąć za nogi.

Kiedy poszliśmy zobaczyć slumsy w Central Parku, gdzie bezdomni w czasie Wielkiego Kryzysu pobudowali sobie maleńkie domki, byłam pod wrażeniem nędzy, jaką tam ujrzałam, ale mimo to urzekła mnie chatka zbudowana całkowicie z luster. Pamiętam jak chodziłam wokół niej, podziwiając własne odbicie w błyszczących fragmentach budowli. Najlepiej zapamiętałam wspólną wycieczkę na Mott Street, gdzie oglądaliśmy kamienicę, w której Tata się urodził; także dlatego, że wówczas po raz pierwszy poczułam fantastyczny smak kiszzonego kopru prosto z beczki. Wydarzeniu temu poświęciłam esej z angielskiego, co przyniosło mi ocenę z wyróżnieniem.

Mój nieprzystępny i tajemniczy ojciec ubierał się z szykiem, a jego drogie garnitury były szyte na miarę przez najlepszych krawców w Nowym Jorku. Jego koszule, piżamy i bielizna zawsze były robione na zamówienie. Nigdy nie wychodził z domu nie mając trzystu dolarów w kieszeni, co w owych czasach było naprawdę dużą sumą. Tata nie grał na wyścigach ani w karty, nie dawał też dużych napiwków, ale obnosił się ze swoją zamożnością, co musiało sprawiać przyjemność komuś, kto jako szesnastoletni chłopiec temperował ołówki. Kryzys nie dotknął agencji mego ojca, ponieważ ludzie musieli się ogłaszać albo szli na dno. Z drugiej strony nie interesowało go robienie pieniędzy i wszystkie decyzje inwestycyjne i zakupy dzieł sztuki pozostawiał matce. Ale zdarzył się jeden zaskakujący wyjątek.

Pewnego wieczoru, przy obiedzie, gdzieś w połowie lat trzydziestych, spokojnie oznajmił, że spędził cały dzień poza domem poszukując wiejskiej posiadłości, którą pragnął kupić — zawsze wynajmowaliśmy domek na lato — i właśnie sfinalizował kupno domu nazwanego przez jego irlandzkich właścicieli Connemara. Dom był położony na szczycie wzgórza i otaczało go pięćdziesiąt akrów zadrzewionego terenu, na skraju hrabstwa Fairfield, w North Stamford, w stanie Connecticut. Matka nic o tym nie wiedziała, dopóki nam nie powiedział, i kiedy wyskoczył z tą niespodzianką, bez słowa wstała i odeszła od stołu.

Byliśmy zbyt małymi dziećmi, żeby snuć domysły, co się między nimi wydarzyło, że Tata postąpił w tak niezwykły dla siebie sposób. Z perspektywy czasu widzę, że rodzice musieli mieć poważną kłótnię i to był sposób pokazania kto tu naprawdę rządzi. Przez wiele lat Connemara stanowiła ośrodek naszego życia weekendowego; tam też spędzaliśmy lato. Tam właśnie zawsze urządzano wielkie, tradycyjne urodziny ojca; tam projektował nowe aleje, wybierając drzewa przeznaczone do wycięcia; tam zajmował się ogrodnictwem.

Jestem pewna, że przez cały ten czas matka nienawidziła tego domu, choć nikt o tym nie wiedział. Zaledwie w parę dni po śmierci ojca, jakieś dwadzieścia pięć lat później, nie namyślając się długo, sprzedała wielki, piękny dom wraz z całą zawartością pierwszej osobie jaka się nawinęła, za śmiesznie niską cenę. Biurko ojca, pełne albumów z rodzinnymi zdjęciami, które zbierał przez wiele lat, przekazała Janet Robertson, córce Fanny i Lena, nie zabierając ani

jednego zdjęcia i zostawiła setki puszek z filmami, na których uwieczniał lata naszego dzieciństwa. Czyż wszystko to nie dowodziło długiego i dobrze skrywanego pęknięcia w ich małżeństwie?

Ojciec lubił drogie i egzotyczne jedzenie i nigdy nie patrzył na ceny w restauracjach, co matkę doprowadzało do wściekłości. Jednak jeżeli zgłaszała zastrzeżenia, mówił tylko „Mickey” tym szczególnym, cichym głosem, co zamykało jej usta. Na swój pełen dyskrecji sposób, stanowił cichą i niewidoczną ale skuteczną siłę, która nadawała ton życiu naszej rodziny, pozwalając matce na sprawowanie pełni władzy, dopóki nie odebrał jej jednym słowem.

Im więcej myślę o ich na pozór zwyczajnym związku trwającym trzydzieści trzy lata, tym bardziej skomplikowany mi się wydaje. Kiedyś, gdy miałam około siedmiu lat, obudziłam się z jakiegoś koszmarnego snu i poszłam ich szukać w salonie, gdzie wciąż o czymś rozmawiali. Po cichu przeszłam korytarzem i zatrzymałam się na zewnątrz. Stojąc tam, usłyszałam coś jakby „żadnego rozwodu” i „pewno będzie lepiej dla dzieci”, ale to wszystko co pamiętam, zanim szybko wróciłam do łóżka, zbyt przestraszona, żeby się rozplakać.

Z tego co teraz wiem, mogli rozmawiać o jakichś znajomych, ale na to raczej nie wyglądało. Niepokoiłam się w tajemnicy przed innymi możliwością rozwodu rodziców przez wiele lat, nie śmiejąc powiedzieć Mimi, co przypadkiem usłyszałam, bo bałam się, że ją wystraszę. Powoli, kiedy dorośliśmy, przestałam się tym przejmować: rodzice pozostali ze sobą i najwyraźniej żyli w zgodzie przez trzydzieści trzy lata, aż do przedwczesnej śmierci ojca w 1962 roku z powodu nieuleczalnego guza mózgu.

W testamencie ojciec zapisał ćwierć miliona dolarów jakiejś nieznanym osobie w Filadelfii, gdzie często bywał, ponieważ jeden z jego klientów, Schenley Distillers, miał tam swoją siedzibę. Jego przyrodni brat, wujek Len, który pracował u ojca, był wykonawcą jego testamentu i Len odmówił ujawnienia tożsamości tej osoby. Z pewnością musiała to być przyjaciółka ojca, a ponieważ była to tak duża suma, musiała mieć dziecko na utrzymaniu.

Kiedy dostrzegłam ten wierzchołek góry lodowej w testamencie mego ojca, stopniowo zaczęłam sobie uświadamiać, że miał co najmniej trzy inne długotrwałe związki z kobietami; wszystkie one były „przyjaciółkami rodziny”, a jedna z nich była kobietą, która poznała ojca z matką. Po śmierci matki, Fanny Cohen, która była w wyjątkowo zażytych stosunkach z Mimi, ujawniła, że owe zdrady zaczęły się w okresie między narodzinami Mimi i Jeremy’ego i głęboko dotknęły matkę.

Kobiety te, a znałam je wszystkie, były mocno zbudowane, piersiaste, hałaśliwe, dowcipne, kochające życie, odważne i rozwiedzione. Od dawna ich nie lubiłam i nawet nie wiedziałam dlaczego. Były przeciwieństwem mojej wymagającej, wyjątkowo zadbanej i delikatnej matki, która, choć wyróżniała się urodą, nigdy nie była kobietą seksowną.

Dlaczego matka tolerowała sytuację, o której nie mogła nie wiedzieć? Po pierwsze, uważam, że głęboko kochała ojca i wiedziała, że pomimo wszystko on kocha ją także. Musiała także podtrzymywać *status quo*, żeby zapewnić stabilność naszej egzystencji i własnej kariery, tak aby mogła realizować swoją potrzebę studiowania i pracy, co hojnie wspierał ojciec. Rozwód nie był wtedy tak łatwą decyzją jak teraz i jestem pewna, że oboje uczyniliby wszystko, żeby tego uniknąć. Przez trzydzieści trzy lata utrzymywali pozory szczęśliwego małżeństwa.

Oczywiście Tata był zbyt inteligentny, żeby nie wiedzieć, że coś w jego życiu jest zdecydowanie nie tak. Odwiedził dwudziestu sześciu psychoanalityków. Tylko raz. Do żadnego z nich nie poszedł powtórnie, ale czytał dużo literatury naukowej na ten temat, mając nadzieję, że sam się zdoła wyleczyć. Niestety, tak się nie da.

* * *

Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że chociaż bardzo cierpiałam nie mogąc porozmawiać z ojcem, umiał okazać mi miłość i dumę poprzez nieoczekiwany gest. Na przykład, kiedy pojechałam na pierwszą wycieczkę, płynąc statkiem przez całą noc, żeby odwiedzić przyjaciółkę ze szkoły, przyszedł nas pożegnać w porcie i przyniósł nam wielkie bukiety kwiatów. W dzień mego pierwszego balu w szkole średniej przysłał mi kwiaty, chociaż już dostałam inne od mego partnera. W parę lat później, kiedy napisałam swój pierwszy artykuł pt. „Miłość, życie i szminka” dla niewielkiego magazynu wydawanego przez jednego z klientów ojca, kazał go pięknie oprawić w skórę, wraz z czekiem na piętnaście dolarów, starannie wklejonym w wewnętrzną stronę okładki.

Były i inne okazje. Podczas pierwszej randki moich rodziców, ojciec zabrał matkę do Voisin, która była wtedy zdecydowanie najbardziej elegancką i najdroższą francuską restauracją w Nowym Jorku. Nawet Le Pavillon w swoim najlepszym okresie nigdy nie dorównywał Voisin. Matka zamówiła kanapkę z kurczakiem, najwykwintniejszy lunch, jaki sobie wtedy mogła wyobrazić.

W dwudziestą piątą rocznicę ślubu cała rodzina poszła do Voisin na obiad i jak tylko usiedliśmy, kierownik sali przyniósł ogromny srebrny półmisek przykryty srebrną kopułą. Uroczyście postawił go przed matką i podniósł kopułę, pod którą spoczywała miniaturowa kanapka z kurczakiem, po czym, dla upamiętnienia tego wydarzenia, ojciec dał każdemu z nas dwadzieścia pięć srebrnych dolarów.

Tata bardzo lubił dawać prezenty dla przyjemności, dla uczczenia jakiejś okazji i tę cechę cała nasza trójka odziedziczyła po nim; z pewnością nie mogliśmy się tego nauczyć od naszej zdyscyplinowanej i wyjątkowo oszczędnej matki.

Ale pomimo tej barwnej dwudziestej piątej rocznicy ślubu, pomimo faktu, że wszyscy zasadniczo wierzyliśmy, iż nasi rodzice stanowią szczęśliwe małżeństwo, na długo przed tym jak ich wzajemny stosunek zaczął nas interesować, staliśmy się ofiarami metody, która uchodziła za wzorzec światłego wychowywania dzieci.

Wszyscy troje urodziliśmy się w epoce, w której wiele wykształconych kobiet, w tym i nasza matka, czytały książki diabelskiej figury, nazwiskiem dr Watson, który kazał im wierzyć, że wszelka miłość okazywana małym dzieciom powoduje nieodwracalne szkody. Zalecał, aby dzieci całować tylko wtedy gdy śpią, w tylną część szyi, albo jeszcze lepiej zafundować im „mocny uścisk dłoni”. Wedle dr Watsona, małe dzieci od chwili narodzin są prawdziwymi mistrzami manipulacji i szantażu i trzeba je złamać dla ich własnego dobra, co jest pediatrycznym odpowiednikiem spalania wioski po to, aby ją ocalić.

Wszyscy podlegaliśmy ściśle przestrzeganiem harmonogramowi karmienia, a jeśli zgłodnieliśmy wcześniej, tym gorzej dla nas. Jeśliśmy się awanturowali lub wrzeszczeli z emocji czy z radości, kiedy leżeliśmy znużeni w łóżeczkach, w czasie gdy nad głową nie dyndały jakieś grzechotki, sprawdzano czy nie mamy mokrych pieluszek. Jeżeli stwierdzono, że nie, natychmiast kładziono nas z powrotem i pozostawiano samym sobie, abyśmy się nauczyli, że nasze popisy do niczego nie prowadzą. Intuicja podpowiada mi, że całowano nas i przytulano bardziej niż zalecał dr Watson, ale pozostaje faktem, iż matka polegała na Watsonie, tak jak następne pokolenie polegało na Spocku. Odpowiadało to jej purytańskiemu charakterowi. Od najwcześniejszych chwil naszego życia przyzwyczajano nas do klimatu chłodu emocjonalnego i bardzo ograniczonych kontaktów a matką. Oczywiście nie zdawaliśmy sobie sprawy, że coś jest nie tak, dopóki nie dorośliśmy. Przez wiele lat zastanawiałam się, jak ograniczyło to naszą zdolność okazywania uczuć. Był to przerażająco *nieludzki* i okrutny okres wychowywania dzieci

w czasach nowożytnych. Zamiast tego powinni byli nas wysłać na wieś, gdzie zajęła by się nami niania, tak jak robili francuscy arystokraci ze swymi wysoko urodzonymi bachorami! Teraz gdy widzę moją siostrzenicę, Mallory, i jej pięciomiesięcznego synka Jamie, zdaję sobie sprawę, jak bezgranicznie bliskie, ciepłe i emocjonalnie pełne musi być dzieciństwo i że w ten sposób zarówno dziecko jak i potem dorosła osoba zaznają więcej szczęścia.

Mieliśmy nawet metalowe „pokrowce”, zakładane na kciuk, żebyśmy nie ssali palca. Pamiętam wyraźnie jak wpadłam w potworną wściekłość, kiedy po raz pierwszy odkryłam, że zimny metal zastąpił moje ciepłe ciało. Wybuchłam, dosłownie eksplodowałam — nigdy w życiu nie byłam potem tak rozszoszczona — aż ktoś nie mógł wytrzymać moich wrzasków i zdjął mi „pokrowiec”. Kiedy się nad tym teraz zastanawiam, jest to moje pierwsze wspomnienie... frustracji i gniewu, ale, dzięki Bogu, nie bezradności czy uległości.

Rozdział czwarty

Kiedy trochę dorośliśmy, każdego wieczoru, zaraz po obiedzie i kąpieli, rodzice przez chwilę się z nami bawili, dokładnie tak jak się to odbywa w rodzinach dobrze urodzonych Anglików. Zaraz potem niemiecka niańka kładła nas do łóżka. W późniejszych latach, kiedy byli u nas goście, matka mówiła tylko, „Dobranoc, dzieci”, co było dla nas sygnałem, że trzeba się już pożegnać i zniknąć bez żadnych protestów. W kręgu znajomych moich rodziców byliśmy znani z karności — troje idealnie posłusznych dzieci — byliśmy rzeczywiście bardzo dobrze „wytresowani”.

Podczas gdy matka dostawała amoku, jeśli chodzi o studia, surowe niemieckie niańki z pewnością gorąco popierały taką dyscyplinę. Matka często mówiła mi z dumą, że już w wieku jedenastu miesięcy umiałam się sama załatwiać.

Temu osiągnięciu powinno towarzyszyć ostrzeżenie: NIE PRÓBUJ ROBIĆ TEGO W DOMU. Nie miałam wyboru: jestem osobą, która wszystko pragnie mieć pod kontrolą. Czytelniku, jestem maniaczką na punkcie kontrolowania, jednak nie innych lecz siebie samej i swego otoczenia. (Czy w tym wazonie jest zwiędły kwiat? Czy potrafię o tym zapomnieć i dalej jeść obiad? Nie, chyba że jestem u kogoś z wizytą.) Psychoanaliza pomaga tylko trochę w przypadku, gdy wzorzec zachowania utrwalił się tak wcześnie. Do dziś dnia, na przykład, nie pozwalam sobie na najmniejsze spóźnienia. Znaczątwardych zasad przed pierwszym rokiem życia.

Właśnie zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę miałam wybór. Mogłam była reagować tak jak Mimi, która buntowała się na różne sposoby. Po prostu nigdy mi to nie przyszło do głowy, byłam tak beznadziejnie grzeczną dziewczynką.

Jednak w latach trzydziestych moją matkę powszechnie podziwiano za jej zdolności organizacyjne i nikt, a już na pewno nie ona, nie kwestionował faktu, że dzieci zostały wychowane przez służbę. Takie panowały wtedy zwyczaje i wcale jej za to nie winię. Pracujące kobiety są zawsze zdane na łaskę tego, co jest politycznie poprawne, a moja matka miała szczęście, że nie ponosiła winy.

Kiedy zamieszkaliśmy w St. Urban, dokładnie pięciu osobom matka zawdzięcza to, że osiągnęła tak wiele: mieszkającym na miejscu niańce i małżeństwu (ona była kucharką a on kamerdynerem i kierowcą), sprzątacze, która przychodziła pięć razy w tygodniu i pracze. Wszyscy oni kosztowali wówczas tylko niewielki ułamek tego, co trzeba by im zapłacić dzisiaj.

Mieliśmy bardzo duże mieszkanie, które zajmowało połowę szóstego piętra, z ogromnym salonem. Dwa okna wykuszowe wychodziły na Central Park; widać z nich było staw, większą część Piątej Alei i co najmniej połowę południowej części Central Parku. Rodzice mieli osobne pokoje, których okna także wychodziły na park. Nigdy nie mieli wspólnego pokoju, ponieważ ojciec chrapał tak potwornie głośno, że nikt nie mógł przy nim zasnąć. Kiedy byli w podróży i w hotelu nie mieli dwóch pokoiów, ojciec bez słowa skargi układał się do snu w wannie. Potrafił, i często mu się to zdarzało, spać na stojąco albo z otwartymi oczami podczas przyjęcia, ale w tej pozycji nie chrapał.

W mieszkaniu była duża spiżarnia i ogromna kuchnia z własną windą, która się pojawiała w moich najgorszych snach. Codziennie przychodził sprzedawca z wielkim kawałem lodu, który umieszczano w lodówce.

W najdalszym końcu mieszkania znajdował się ogromny pokój, w którym mieszkałam razem z Mimi; miał wielkie okna, z których można było oglądać rzekę Hudson i Palisades, oraz

zachody słońca.

Mieszkanie było pomalowane w stylu Art Deco, według projektu znanego artysty nazwiskiem Lucien Bernhardt, który właśnie wymyślił nowe okładki do książek z serii Modern Library. Łagodne światło wpadało przez matowe szkło pod sufitem; wszędzie były wbudowane regały na książki, szafki i szafy w ścianach; kolory były delikatne: zieleń, beż, różowy, a większość ścian pokrywała trawiasto — zielona tkanina. Nigdzie nie było tkanin drukowanych czy tapet. (Ja sama mam mieszkanie w żywych kolorach, wypełnione mnóstwem rozmaitych drobiazgów.)

Rodzice zgromadzili piękną kolekcję chińskiej ceramiki, wiele rzadkich książek o sztuce oraz obrazy, która matka kupiła za niewielkie pieniądze na aukcji w Parke-Bernet; były tam dzieła Renoira, Degasa, Soutine'a, Modiglianiego, Pasquina i Marie Laurencin oraz obrazy ich ulubionych malarzy, Diego Rivery i Orozco. (Kiedy pewnego razu ją zapytałam, dlaczego nie kupiła ich więcej, ponieważ ceny podczas Kryzysu były tak niskie, zamknęła mi usta, zadając chytre pytanie, „Dlaczego nie kupiłam koncernu IBM?”) Pralnia w suterenie oraz armia portierów i windziarzy dopełniały obrazu St. Urban, gdzie mieszkałam do dwudziestego czwartego roku życia.

W wieku trzydziestu jeden lat Mickey Tarcher miała za sobą daleką drogę od owej osamotnionej choć zdecydowanej piętnastolatki, zatrudnionej w fabryce słodczy; dom prowadziła doskonale i często przyjmowała gości.

W sylwestra rodzice wydawali tak wielkie i eleganckie przyjęcie, że musieli angażować do tego całe mieszkanie. Mimi i ja mogłyśmy wtedy nie kłaść się aż do końca przyjęcia, ponieważ nasz pokój był wykorzystywany jako drugi bufet i drugi bar. Często zabawiali swoich przyjaciół, organizując występy popularnych piosenkarzy, takich jak Pete Seeger, Josh White, Burl Ives i Woody Guthrie. Ci barwni i niedbale ubrani ludzie z innego świata brzdąkali na gitarze i śpiewali o ciężkich czasach i rewolucji. Czułam się wyjątkowo nieswojo, słuchając ich występów, ponieważ gryzłam się tym, że wykonawcy mają wrażenie, iż rozmieniają się na drobne, podczas gdy w rzeczywistości byli prawdopodobnie radzi, że uczestniczą w dobrze płatnym koncercie dla burżujów. Ojciec żywił wielki, podszyty tęsknotą podziw dla tych legendarnych postaci i wspierał finansowo Burla Ivesa przez wiele lat. Myślę, że rodzice mieli skłonność do radykalizmu, jeszcze zanim stał się on naprawdę radykalny.

Liczne niańki pozostawiły w mojej pamięci parę wspomnień. Jedna z nich, której Mimi i ja szczególnie nie znośmy, przeraziła nas wpadając do pokoju i histerycznie wykrzykując rozmaite szczegóły związane z pożarem sterowca Hindenburg, o czym właśnie usłyszała przez radio. Miała na imię Klara i została zwolniona następnego dnia.

Irna, jedyna niańka jaką w ogóle lubiłyśmy, była łagodną kobietą, która uciekła z hitlerowskich Niemiec. Szyła ubranka dla mojej małej lalki, które mi się ogromnie podobały. Zawsze podejrzewałam, że gdyby w okresie mego dzieciństwa istniały lalki Barbie, wyrosłabym na zupełnie innego człowieka i może nigdy nie czułabym potrzeby, żeby czegoś w życiu dokonać. Albo może zostałabym jeszcze jedną Donną Karran? Irna poślubiła później wziętego dentystę. Niańki były zatrudniane w naszym domu aż do czasu, gdy Jeremy skończył sześć lat a ja dziesięć, kiedy to matka zdecydowała, że może się bez nich obejść, chociaż właśnie zdała egzamin adwokacki. Od tego czasu nasza trójka mogła jadać razem z rodzicami, nie zaś przy osobnym stole w naszym pokoju.

Przez wiele lat, z niańką czy bez, prześladował mnie strach przed kidnaperami. W owym czasie odbywał się proces porywacza dziecka Lindbergha i prasa podawała wiele makabrycznych szczegółów; prym wiódł wszędzie poszukiwany i zakazany brukowiec, *Daily News*, który kucharka mi zostawiała w tajemnicy przed innymi. Byłam przekonana, że Mimi i ja będziemy następne. Uważałam za swój obowiązek nie kłaść się, żebym mogła podnieść alarm, podczas gdy

Mimi smacznie spała.

Próbowałam przemówić sobie do rozsądku. Mieszkaliśmy na szóstym piętrze dwunastopiętrowego budynku i wydawało się niemożliwe, żeby porywacze dostali się do nas przez dach czy też z ulicy. Ale to było na nic. Ten wcześniej zrodzony lęk, o którym wstydziłam się z kimkolwiek rozmawiać, przyczynił się do bezsenności, która bardzo się nasiliła po narodzinach Nicka, mego pierwszego syna; często zrywałam się w środku nocy, żeby się upewnić, czy nadal oddycha. Dopiero ostatnio, w wyniku hipnoterapii, częściowo się tego pozbyłam.

Kiedy pozwolono nam siadać z rodzicami przy stole, staliśmy się obiektem wieczornych testów ze słownictwa, które urządził ojciec, wierząc, że bogate słownictwo jest jednym ze źródeł sukcesu. Wychodził wtedy ze swojej skorupy, dzieląc się z nami swoją fascynacją nauką, a zwłaszcza kosmosem, jego ogromem i zdumiewającą małością Drogi Mlecznej, nie wspominając o naszej maleńkiej planecie. Kolejnym obiektem jego fascynacji był atom oraz postrzeganie pozazmysłowe i złośliwe duchy. Tata często odrzucał ciekawe uwagi, mówiąc że nie możemy powątpiewać w coś, co można sprawdzić w słowniku czy podręczniku, ale zawdzięczamy mu dar ciekawości intelektualnej i, w przeciwieństwie do większości ojców owych czasów, rozmawiał z nami na „dorosłe” tematy.

Chociaż wiedział tak wiele na temat wielu spraw, prawie nie był w stanie zapamiętać imion ludzi, których poznał. Od dzieciństwa uczono nas, żebyśmy udawali, że nie jesteśmy z nim, kiedy spotkał kogoś kogo znał i od razu nas nie przedstawił. Pewnego razu, kiedy miałam już dwadzieścia parę lat, jechaliśmy autobusem i Tata wdał się w rozmowę ze znajomym, którego imienia najwyraźniej nie pamiętał. Przez cały czas wyglądałam przez okno, aż w końcu zerknęłam na ojca i zauważyłam, że ma przekrzywiony krawat. Automatycznie sięgnęłam i poprawiłam go, po czym nadal w milczeniu przyglądałam się mijanym ulicom. Nie padło ani jedno słowo. Do dziś dnia zastanawiam się, co ten człowiek musiał sobie pomyśleć.

Matka bezwiednie próbowała nas odwieść od zawodu prawnika, opowiadając ponure historie ludzi bez grosza przy duszy, którym pomagała. W owym czasie zaczęła pracować jako nieopłacana wolontariuszka w sekcji cywilnej Towarzystwa Porad Prawnych. W końcu doszła do wniosku, że jedynym sposobem, żeby ją traktowano poważnie, było przejście na etat. Stopniowo doszła do stanowiska przedstawiciela prawnego, nadzorującego pracę stu dwudziestu prawników. Kiedy w wieku siedemdziesięciu lat przeszła na przymusową emeryturę, minęły dwa lata, zanim znaleziono dwóch mężczyzn, którzy przejęli jej obowiązki.

Mickey Tarcher była pod wieloma względami wzorem kobiety, ale rola matki była wyraźnie, wręcz tragicznie nie dla niej. Miała bardzo słaby instynkt macierzyński, a jego resztki zużyła na mnie, co — jak się miałam o tym przekonać — miało swoje dobre i złe strony.

Byłam dzieckiem pierwotnym, byłam do niej bardzo podobna, a nigdy nawet nie próbowała uczynić najmniejszego wysiłku dla ukrycia faktu, że jestem jej ulubienicą, bardzo krytykowaną, ale jednak ulubienicą, którą kochała najbardziej. Kiedy Mimi i ja byliśmy już po czterdziestce, próbowała nam to wyjaśnić w możliwie logiczny sposób. „Kiedy widziało się jedno dziecko jak się uczy chodzić i mówić, cóż może być ciekawego w obserwowaniu innego, które robi to samo?” Tak, to są jej własne słowa i wcale nie próbowała się usprawiedliwiać. Podzielałaby zdanie Spiro Agnew w sprawie gett.

Nowoczesny ideał „miłości bezwarunkowej” wydawałby się mojej matce absurdem. Kochała dobre dziecko za jego dobroć, a dobrze wychowane za jego dobre wychowanie. Miłość była *nagrodą*, czymś na co trzeba było zasłużyć i na co wciąż trzeba było pracować.

Chociaż fakt, że byłam najbardziej kochanym dzieckiem miał swoje dobre strony, miał także i wady. Matka uważała mnie za przedłużenie jej samej, jej ramię. Nie mogłam nic uczynić czy

posiadać, czego ona nie mogłaby uczynić czy posiadać. Ten trudny aspekt jej miłości przywołał na myśl zazdrosną starszą siostrę, a nie kochającą matkę.

Tak uważała przez całe życie i rozciągnęła to także na jedno z wnuków. Kiedy Aliza, starsza córka Mimi, ukończyła Wydział Prawa na Harvardzie, moja matka przyglądała się ceremonii z rosnącym gniewem. „Gdybym miała takie szanse jak ona”, powiedziała gwałtownie, „zostałabym prezydentem!”

Kiedy napisałam powieść *Skrupuły*, wiele rzeczy ją zaskoczyło, a w szczególności fakt, że mam wyobraźnię. „Kiedy byłam młoda, w ogóle nie miałam wyobraźni”, poskarżyła się. „Dlaczego?” zapytałam. „Byłam zbyt biedna”, odpowiedziała poważnie ta skądinąd inteligentna kobieta. Teraz jest już chyba jasne, że nie miała poczucia humoru.

Jej typowy zwrot, który był znany w całej rodzinie, brzmiał, „Z tobą, Judy, jest ten kłopot, że...”, po czym wymieniała jakąś wadę mego charakteru, którą właśnie odkryła. (Chociaż byłam jej ulubienicą, nie była ślepa na moje wady.) Kiedyś brat powiedział do mnie, „Z tobą, Judy, jest ten kłopot, że jesteś zbyt lekkowierna.” „Myślałam, że mówi się «łatwowiezna»”, odpowiedziałam, a kiedy Jeremy wybuchnął śmiechem, zdałam sobie sprawę z pułapki, w którą wpadłam.

Matka i Mimi żyły w stanie nieustannej wojny. Mama twierdziła, że Mimi ją ugryzła podczas karmienia piersią, co doprowadziło do owrzodzenia; fakt, który zapowiadał jej wichrzycielską naturę. Przez całe życie byłam samozwańczym rozjemcą tej dwójki, a także opiekun — ką siostry we wszystkich sprawach, prawdziwą Madeleine Albright, i biegałam od jednej do drugiej, aby je pogodzić. Zwróciłam uwagę, że nowo narodzone dziecko nie ma zębów, ale nigdy jej nie przekonałam, że Mimi nie zrobiła tego umyślnie.

Mimi, która była uroczym dzieckiem, wkrótce wyrosła na śliczną dziewczynę. Przez długi czas była podobna do Modiglianiego. Miała długą szyję, długi, prosty nos, owalną twarz i fascynujące oczy, które prawie znikaly, kiedy się śmiała. Była szczupła i miała bujne, sięgające do ramion brązowe włosy, wspaniałe nogi i 168 cm wzrostu; prawie bogini w porównaniu z matką czy ze mną.

Chociaż bez mojego wsparcia miałyby naprawdę marne życie, Mimi odplaciła mi szantażem. Przez długie lata mnie terroryzowała. Używała angielskiego egzemplarza francuskiej książki, którą nam wyznaczono w szkole jako pracę do tłumaczenia i groziła mi, że powie rodzicom o *Emilu i detektywach* przez co najmniej trzy lata, aż w końcu wyrzuciłam obciążającą książkę przez okno i powiedziałam jej, żeby poszła do diabła.

Do owej chwili musiałam słać jej łóżko, wykonywać za nią prace domowe, być na jej rozkazy i — co najgorsze — podczas obiadu czekać aż niańka wyjdzie z pokoju i wtedy wyrzucać przez okno jedzenie, które nam nie smakowało. Mimi szantażowała mnie jeszcze przez rok, tym razem z powodu szylkretowego grzebienia niańki, który przypadkowo zламаłam i do czego się nie przyznałam. Później, kiedy byłam w domu na wakacjach, Mimi ukradła mi z walizki kilka ważnych części garderoby, a kiedy wściekła zadzwoniłam do domu, w ogóle się do tego nie przyznała. Teraz, gdy ma sześćdziesiąt dziewięć lat, bezwstydnie się zachwyca swoimi diabelskimi pomysłami. „Byłam taka bezsilna”, chichocze, „więc musiałam coś robić.” Ale swemu dobroczyńcy?

Według jej zdania, którego nie kwestionuję, zawsze wiedziałam „w głębi serca”, że mnie czci, podziwia i kocha „szczenięcą miłością”, a ponadto, biorąc pod uwagę klimat panujący w naszej rodzinie, potrzebowałam kogoś, żeby go kochać i chronić. Utrzymuje także, iż wiedziałam, że nie zrealizuje swego szantażu. To ostatnie to zdecydowanie nieprawda. Być może by nie zrealizowała, ponieważ, jak mówi, za bardzo się bała naskarżyć matce na mnie, ale wówczas nie miałam o tym pojęcia.

Zawsze czułam, że ponieważ ja mam matkę, sprawiedliwie będzie zostawić ojca Mimi, chociaż miałam wątpliwości, czy do czegoś z nim dojdzie i — jak się okazało — miałam rację. Ale nie to było powodem, że pozwoliłam się jej szantażować. Winny był mój nędzny strach, że w oczach matki zostanę uznana za winną i że utracę jej miłość, która miała dla mnie tak wielkie znaczenie.

W każdym razie, pomimo owej przeszłości, zawsze byłam z siostrą bardzo blisko i obie byłybyśmy bardzo nieszczęśliwe, gdybyśmy dorastały z dala od siebie. Teraz dzwoniemy do siebie przynajmniej raz dziennie. Niewiele jest w życiu cenniejszych rzeczy niż kochająca i kochana siostra.

Jeśli chodzi o Jeremy'ego, matka nie powitała jego przyjścia na świat z entuzjazmem typowym dla większości matek, które doczekały się upragnionego syna. W jej oczach wszyscy mężczyźni, mam nadzieję z wyjątkiem mego ojca, stanowili znacznie gorszy podgatunek człowieka, co było widać na każdym kroku. Matka była tego znacznie bardziej pewna niż większość współczesnych ultrafeministek, być może z powodu pogardy, jaką żywiła do własnego ojca.

Ze względu jej dar wymowy, żadne z nas nigdy nie było w stanie wygrać z nią jakiegokolwiek sporu; niekiedy widać to było także w jej życiu towarzyskim. Choć często była czarująca i jej bliskie przyjaciółki ją kochały, rozkoszowała się opowiadaniem jak to wciągała do rozmowy sąsiada na przyjęciu, który reprezentował odmienny punkt widzenia i „walała go między oczy”. Poznaliśmy to uczucie aż nadto dobrze.

To że Jeremy przetrwał w obliczu tej obojętności własnej matki zawdzięcza mojej siostrze i mnie. Jeremy był bardzo ładnym blondynkiem, więc na przemian brałyśmy go na ręce i całowałyśmy. Stale też zabiegałyśmy, żeby „był po mojej stronie” podczas częstych utarczek, w których zwyciężcą zostawała ta z nas, na której ciele odcisnęły się charakterystyczne ślady zębów, żeby pokazać matce, która bardzo tego nie lubiła.

Wszystkie nasze przyjaciółki podziwiałały Jeremy'ego i próbowały z nim flirtować. Przez lata swego dzieciństwa Jeremy Benjamin Philip Tarcher wierzył niezachwianie, że jest członkiem brytyjskiej rodziny królewskiej, którego wykradziono i uwięziono w naszym domu. Któż mógłby w to wątpić?

Byliśmy i jesteśmy rodziną o bardzo słabych więziach rodzinnych. Obaj moi dziadkowie zmarli zanim byłam na tyle duża, żebym mogła ich poznać, a otoczona atmosferą skandalu Tilly, chociaż wciąż żyła, została wykreślona z rodzinnego grona. Matka mojej matki, Celia, była jedynym ogniwem łączącym nas ze starszym pokoleniem.

Pamiętam ją jako drobną, łagodną kobietę, zawsze ubraną na czarno, która z rzadka przychodziła do nas na obiad i wpatrywała się oczami szeroko otwartymi ze zdumienia w swoje wnuki, z którymi nie była się w stanie porozumieć, ponieważ znała tylko jidysz. Lubiliśmy jej wizyty, bo przynosiła w torbie karpia po żydowsku, siekaną wątróbkę, chrzan i chałę. Gdy tylko je spróbowaliśmy, od razu wiedzieliśmy, że będą to nasze przysmaki. Oczy babki były pełne zdumienia, kiedy patrzyła na nas i na to, co nas otaczało. Byliśmy dla niej istotami z innego świata. Byliśmy jak obcy, dwie małe księżniczki i księżę, którzy mieszkali w pałacu.

Babka zmarła, kiedy miałam dziewięć lat. Gdyby nie filantropijna działalność rodziców, gdyby nie istnienie antysemityzmu i państwa Izrael, być może trudno byłoby nam odczuć naszą żydowską tożsamość. Ale nie przejmujcie się, antysemityzm przetrwa nawet śledzie marynowane i bajgle. Czy wiecie, co to jest prawdziwy bajgiel?

Czasami zastanawiam się, czy gdybym została zaadoptowana przez małżeństwo wyznania episkopalnego żyjące w świecie, w którym nie ma Żydów, czy wtedy bym czuła, myślała, reagowała tak jak oni? Albo gdybym się znalazła w dużej, wesołej i rozkrzyczanej rodzinie

irlandzkiej, czy bym do nich pasowała? Teoretycznie myślę, że tak, ale jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić, chociaż próbuję z całych sił. Czy to brak wyobraźni? Czy też istnieje jakieś genetyczne piętno, utrwalone w ciągu tysięcy lat, kiedy to Żydzi żenili się z Żydówkami? Czy „bycie Żydem” jest wrodzone czy wyuczone? Czy jest to natura czy wychowanie, czy też może kombinacja obu tych czynników? Nigdy nie poznam odpowiedzi, ale fakt ten był znacznie ważniejszym elementem mojego życia niż sobie wyobrażałam, zanim napisałam tę autobiografię.

Jedynym nie-Żydem jakiego spotkałam, który wydał mi się bardzo żydowski, był Sammy Davis Jr., z którym kiedyś przeprowadziłam długi wywiad. Od pierwszej chwili poczułam silną żydowskość; myślał jak Żyd, czuł jak Żyd, reagował jak Żyd i miał wszystkie znane mi cechy Żyda. On *był* Żydem. Może nie żył całkiem jak Żyd, ale to nie miało znaczenia. Przychodzi mi do głowy, że ponieważ był także dobrym aktorem i imitator, może mógłby z równym powodzeniem być Murzynem czy Włochem... Nigdy się tego nie dowiem.

* * *

Kiedy rodzice przerwali szkołę, żeby iść do pracy, odwrócili się od swego rodzeństwa, dla którego zmuszeni byli porzucić naukę, choć pomagali im, kiedy już byli dorośli. Odwrócili się także od religii, która wydawała im się częścią ograniczeń życiowych, które tak bardzo pragnęli pozostawić za sobą. Wychowaliśmy się w domu, wolnym od jakichkolwiek obrzędów religijnych.

Kiedy dorastaliśmy, obchodziliśmy święta Bożego Narodzenia. Wieszaliśmy na gzymsie kominka nasze pończochy, wiedząc, że rano znajdziemy tam banknot jednodolarowy, co przez długi czas stanowiło dla mnie odpowiednik kieszonkowego. Dostawaliśmy mnóstwo wspaniałych prezentów, z których większość pochodziła od pracowników mego ojca i jedliśmy na obiad tradycyjnego indyka.

Nie było tylko u nas choinki, ale w świąteczne popołudnie zawsze odwiedzaliśmy naszych bliskich przyjaciół, Herba i Grace Mayes, którzy mieli fantastyczną choinkę, wypełniającą prawie cały salon. Jeśli choinka stała w cudzym domu, matka ją akceptowała; musiała jakoś łączyć zieleń z kultem Chrystusa. Jedynym ustępstwem mojego ojca na rzecz judaizmu była nieobecność w pracy w najważniejsze żydowskie święta; jako jedyny powód podawał, że pragnie w ten sposób okazać szacunek. Ale nigdy nie powiedział komu.

Myślę, że nie przychodził do pracy, żeby jego pracownicy wiedzieli, iż zwraca uwagę na na swoje pochodzenie etniczne, bo zawsze spędzał ten dzień na wsi, przechadzając się wśród jesiennych liści. Za zgodą rodziców, przez wiele lat jedna z nianiek uczyła nas malować pisanki, które chowała a my znajdowaliśmy. Może miało to dla niej jakiś mglisty związek z religią, ale dla nas była to po prostu zabawa.

Byłyśmy z siostrą nad wiek rozwiniętymi snobkami, jeśli chodzi o tę część rodziny, którą rodzice trzymali na dystans i która się z nami nie kontaktowała na gruncie towarzyskim. Raz zabrano nas na rodzinne wesele, które odbywało się w Brooklynie. Kiedy gapiliśmy się, jak kobiety tańczą w kole, patrzyłyśmy na siebie w osłupieniu. Nigdy nie widziałyśmy, żeby dorośli robili coś, co uważałyśmy za dziwaczne i tak strasznie żenujące.

Teraz życie zatoczyło pełny krąg i spośród czterech wnuków mojej siostry, dwaj chłopcy właśnie obchodzili Bar Micwę, a dwie dziewczynki będą obchodzić Bat Micwę. Moje dwa wnuki są pół-żydami, pół-katolikami, ale obchodzą wszystkie święta. A ja sama tańczyłam w kole, chociaż było to na luterańskim weselu dwóch nawróconych chrześcijan!

Rozdział piąty

Zdecydowanie najgorsza część mojego życia trwała dokładnie osiem lat, w których kształtowała się moja osobowość i których nie wolno nie doceniać. Wszystko zaczęło się, kiedy poszłam do pierwszej klasy. Szkoła Birch Wathen znajdowała się wówczas na ulicy Dziewięćdziesiątej Trzeciej i Dziewięćdziesiątej Czwartej, między alejami Kolumba i Amsterdamu; zajmowała kilka budynków z piaskowca, otaczających wielkie podwórze pośrodku, którego część była ogrodzona i przeznaczona do uprawiania lekkoatletyki; zwano ją „Srebrną Klatką”. Szkoła była świetnie utrzymana: mahoniowe schody wypolerowane na wysoki połysk, ściany zawsze świeżo pomalowane, lśniące miedziane wazony ze świeżymi kwiatami na każdym półpiętrze; ale dla mnie było to piekło na ziemi, a moi koledzy i koleżanki to były istne potwory.

Od dnia rozpoczęcia pierwszej klasy, ja, która uzyskałam najwyższą ocenę za budowlę z klocków, odkryłam, że jestem *nie lubiana*. Natychmiastowa antypatia, jaką wzbudziłam u kolegów i koleżanek, wynikała z trzech powodów. Byłam zdecydowanie najmłodsza w klasie, byłam bardzo niska i, co najważniejsze, zostałam natychmiast pupilką nauczyciela, świetnym małym celem, z włosami zaplecionymi w warkocz, co jeszcze pogarszało sprawę.

Zamiast usiąść z tyłu i szeptać, podawać ściągawki i zawiązywać przyjaźnie, ulokowałam się w pierwszym rzędzie, gdzie patrzyłam na nauczyciela i słuchałam go z niezachwianą uwagą, szybko podnosząc rękę ilekroć znałam poprawną odpowiedź, co, na nieszczęście, zdarzało się dosyć często. Utrzymywałam z nauczycielem kontakt wzrokowy, na wiele lat przed tym, nim zrozumiałam czym właściwie jest kontakt wzrokowy. Nie było mowy, żebym była niegrzeczna a ponieważ lubili mnie tylko nauczyciele, jeszcze bardziej starałam się zyskać ich aprobatę, co stale zwiększało moją niepopularność.

Bardzo szybko nauczyłam się czytać. Pamiętam dokładnie ów dreszcz emocji, kiedy osiągnęłam to już pierwszego dnia nauki. Książka nosiła tytuł *Człowiek z piernika*. Była to po prostu kwestia prawdziwej chęci czytania, ale reszta klasy nie zaczęła mnie przez to lubić.

Matematyka, jeśli wykraczała poza mnożenie, miała na zawsze pozostać dla mnie tajemnicą. Byłam beznadziejna w lekkoatletyce. Kiedy stałam w Srebrnej Klatce, rzucano we mnie piłką baseballową — taka piłka może uczynić krzywdę! — oczekując, że ją odbiję. Byłam też zupełnie do niczego, jeśli chodzi o śpiew. Mieliśmy sławnego nauczyciela chóru, nazwiskiem Hugh Ross, z którym lekcje odbywały się raz w tygodniu. Pierwszego dnia nauki poprosił każde dziecko, żeby wstało i zaśpiewało jedną linijkę piosenki. Ten szorstki, przerażający mężczyzna posłuchał jak śpiewam, położył mi delikatnie rękę na ramieniu i powiedział tonem uprzejmym i zarazem pełnym smutku, „Możesz usiąść, kochanie. Nie musisz próbować śpiewać.” Och, co za ulga! Niech go Bóg błogosławi. Co ciekawe, nie jestem pozbawiona słuchu. Potrafię natychmiast powiedzieć, czy melodia została sfalszowana i mam ucho do nauki języków: potrafię niemal doskonale odtworzyć wymowę i melodię zdania.

W wiele lat później nie pozwolono mi śpiewać podczas uroczystości wręczania świadectw w szkole średniej, ponieważ każdy, kto mnie usłyszał, zaczynał fałszować. W domu matka powiedziała mi, że mogę śpiewać jeśli zechcę, ale zanim zacznę muszę wyjść na półpiętro i zamknąć frontowe drzwi.

Co do moich planów na przyszłość, po tym jak zrezygnowałam z zostania wołyżerką w cyrku, miałam już tylko jedno pragnienie. Przez długie lata tęskniłam, żeby zostać żoną ambasadora Stanów Zjednoczonych w Turcji i żeby stać u szczytu kręconych schodów, witając gości w długiej, wieczorowej sukni. Nie pytaj o nic więcej, czytelniku.

W szkole podstawowej byłam przez osiem lat, od piątego do trzynastego roku życia, przy czym każdy rok pogłębiał moje cierpienia i gorzkie, gorzkie wrażenie poczucia niższości. Cierpienia te były znacznie bardziej *intensywne niż cokolwiek czego doświadczyłam jako osoba dorosła*, ponieważ nie miałam doświadczenia życiowego, które pomogłoby mi uporać się z problemami, znaleźć ich przyczyny i sposób pokonania, a co najgorsze nie miałam nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać.

Tata, nie, na pewno nie. Mimi, nie, była zbyt młoda i nie rozumiałaby, o co chodzi. Najlepsza przyjaciółka? Nie miałam takiej, poza dwiema także nielubianymi dziewczynami, a nasze ciężkie położenie nie było tematem, na który miałyśmy ochotę rozmawiać. Mama, ona przede wszystkim *nigdy* nie może się o tym dowiedzieć.

Nie było żadnej starszej osoby, która mogłaby służyć za przewodnika, wskutek czego byłam wtedy zdana na samą siebie; byłam naprawdę bezradna i czułam się bardzo, bardzo samotna. Jakoś nie potrafiłam z nikim dzielić mojego nieszczęścia. Godzinami wpatrywałam się w swoje odbicie w lustrze pod wszystkimi kątami, patrząc głęboko w oczy i próbując zrozumieć, co też we mnie było takiego, że mnie tak nie lubiano. Myślałam, że wyglądam jak zwykła dziewczyna, ale musi być jakiś powód, którego nie mogę dostrzec.

W tym czasie zrodziło się we mnie poczucie niepewności i nieśmiałość wobec kobiet, dopóki nie poznałam ich naprawdę dobrze. Niektóre z tych uczuć przenikają mnie w pewnym stopniu do dziś dnia, pomimo uzdrawiającego wpływu paru bliskich przyjaciół.

Kiedyś rozmawiałam na ten temat z kimś, kto utrzymywał, że „każdy jest w szkole nielubiany”, ale to jest kompletna bzdura! Ja zostałam oficjalnie wybrana jako jedna z „najbardziej nielubianych” dziewcząt w klasie. Pozostałymi były Barbara Blustein, prawdziwa piękność, której zbrodnia polegała na tym, że była wyjątkowo wysoka jak na swój wiek i Sally Frowenfeld, która miała ostry język i była nazbyt sarkastyczna wobec samej siebie.

Z konieczności troje wyrzutek utworzyło *salon de refusées* i, chcąc nie chcąc, spędzałyśmy czas razem; nigdy nas nie zapraszano na przyjęcia urodzinowe, czy do wspólnego stołu podczas lunchu, nigdy nie należałyśmy do żadnej drużyny, stale byłyśmy ofiarami drobnych złośliwości i nieprzyjemnych, kąśliwych uwag, które pochodziły zarówno od lubianych dziewcząt jak i tych mniej lubianych.

Nasza pozycja przypominała pozycję pariasów w Indiach. Inne dziewczyny były klasyfikowane w porządku numerycznym. Joan Rosenberger, której rodzina posiadała firmę jubilerską, zajmowała pierwszą pozycję. Nie wyobrażam sobie niczego czy nikogo, kogo mogłabym poświęcić, żeby być Joan Rosenberg, zwłaszcza wtedy gdy pokazywała wszystkim dziewczętom w klasie, nawet nam, szpilkę do klapy, najpiękniejszy klejnot jaki kiedykolwiek widziałam.

Kto wie, gdybym była zamożniejsza, czemu mogłabym przypisywać fakt, że nie byłam lubiana, jeśli nie temu, że jestem Żydówką... albo może wtedy sytuacja byłaby zupełnie inna?

Poza nauczycielami, jedynymi moimi wielbicielami była mała grupka chłopców w klasie. Zachowywałam się wobec nich obojętnie, ale ich ewidentne zainteresowanie moją osobą uratowało tę odrobinę mojego ja, podobnie jak to, że kiedy się znalazłam w domu, byłam niekwestionowanym numerem jeden.

Przez osiem lat odbierałam swoją niepopularność jak rzecz *wstydlivą*; wstyd, który nosiłam na swoich barkach i który musiałam ukrywać, kiedy byłam w domu. Kiedy matka wracała z pracy, natychmiast przebierała się w szlafrok i kładła się w swoim pokoju na wąskiej sofie, pokrytej zielonym jedwabiem i czytała popołudniowe gazety, *Post* i *PM*. Tylko ja mogłam zapukać do jej drzwi i przerwać jej lekturę, zdając relację z wydarzeń dnia. Ze stoicyzmem ograniczałam się do swoich szkolnych sukcesów, dając niezłe przedstawienie. Byłam

przekonana, że gdyby matka się dowiedziała, iż jestem nielubiana, byłaby głęboko zawiedziona i wiele straciłabym w jej oczach. Ponieważ jej miłość i aprobata były dla mnie najważniejszymi rzeczami, jakie posiadałam, nie mogłam ryzykować utraty choćby odrobiny jej sympatii.

Nie myślałam się. Znaczenie zachowywania w tajemnicy tego bolesnego faktu potwierdziło się wielokrotnie, kiedy już byłam dorosła i kiedy matka, usłyszawszy o jakimś konflikcie w moim życiu osobistym, zawsze — i często irracjonalnie — brała stronę „przeciwnika”, choćby jego stanowisko było nie do obrony. „Jestem ci to winna, że jestem adwokatem diabła”, mawiała. „Matka powinna ci mówić prawdę, której nawet najlepsza przyjaciółka nie ośmieliłaby się powiedzieć.”

Mimi, której wiek i wzrost były zawsze odpowiednie i która była obdarzona wielkim wdziękiem i wrodzoną krnąbrnością, odnosiła w szkole oszołamiające sukcesy. W niektórych dziedzinach była prawie analfaberką, ale zawsze wodziła rej... tak, tak, opłaca się być złym!

W końcu jakoś doszłam do pocieszającego wniosku, że powodem, dla którego jestem nielubiana, jest to, że się niewłaściwie ubieram. Były rzeczywiście powody, żeby tak myśleć. Birch Wathen była małą szkołą, pełną bogatych i przerażająco materialistycznych dzieciaków, które dokładnie wiedziały, jak grube powinny być skarpetki, o ile lepszy jest sweter kaszmirowy niż szetlandzki, jak wyglądają prawdziwe spódnice w szkocką kratę i tak dalej.

Matka, pamiętając własne dzieciństwo, przysięgała, że nie ma zamiaru wychować rozpieszczonych dzieci, co jej się zresztą pod wieloma względami udało. Na przykład pilnowała, żeby żadne z nas nigdy nie nosiło takich samych ubrań jak któreś z rodzeństwa. Mimi i ja we własnych oczach byłyśmy kopcuszkami, zwłaszcza że matka zawsze pięknie się ubierała i miała wiele strojów, ponieważ przekonała samą siebie, że nie powinna powtarzać tego samego zestawu więcej niż raz w miesiącu. Kiedy dorosłyśmy, spędzałyśmy z siostrą wiele godzin, oglądając, podziwiając, zazdroszcząc i w końcu przymierzając jej stroje, gdy spędzała wieczór poza domem. Kiedyś wysmażyłyśmy list, w którym znalazło się dramatyczne zdanie, że ona „ubiera się w atłasy i jedwabie, a my chodzimy w łachmanach.” Nie odniosło to żadnego skutku — odtąd był to dowcip, stale powtarzany w rodzinie.

W siódmej klasie matka podarowała mi swój stary płaszcz z wielbłądziej wełny, ponieważ właśnie kupiła sobie nowy, a obie byłyśmy tego samego wzrostu. Ledwie mogłam uwierzyć we własne szczęście; ten płaszcz reprezentował wszystko, czego przez całe lata pragnęłam i za czym rozpaczliwie tęskniłam. Pierwszy raz poszłam w nim do szkoły w dwunaste urodziny, z gołymi nogami, jak wszystkie dziewczyny, bo wtedy nie nosiło się spodni. Oprócz podręczników, miałam dla kolegów i koleżanek pudełko czekoladek, którymi tradycyjnie częstowano z okazji urodzin. Byłam upojona szczęściem i niecierpliwa, przekonana, że wreszcie, wreszcie, zarówno jako właścicielka tego doskonałego płaszcza, jaki nosiły wszystkie cieszące się popularnością dziewczyny oraz jako ofiarodawczyni czekoladek, w końcu zostaną potraktowana życzliwie przez dzieciaki, które odnosiły się do mnie złośliwie od pierwszej klasy.

Oczywiście nic nie uległo zmianie, płaszcz nawet nie zauważono, czekoladki przyjęto. Chciałabym móc powiedzieć, że była to dla mnie dobra lekcja na temat systemu wartości, ale nie, ten gigantyczny zawód tylko mnie utwierdził w mniemaniu, że powinnam nosić lepsze ubrania, aby mnie zaakceptowano, chociaż nosiłam ten płaszcz przez cały okres szkoły średniej i college'u.

Moja silna i wcześnie odkryta mania dotycząca strojów, która nasilała się z każdym rokiem, bardzo mi się w życiu przydała, jako redaktorce działu mody a potem jako powieściopisarce. Potrafię wykorzystać ten element w sposób pomysłowy, jako jedną z wielu metod stosowanych przez kobiety, ukazując w ten sposób ich dobre lub złe strony. Stosuję liczne inne sposoby uwiarygodnienia moich fikcyjnych postaci, ale kiedy przychodzi do ubioru, jestem w swoim

żywiolo.

Matka miała inne sposoby, żeby nas nie rozpieszczać. Często robiła nam wykłady o niepewnej sytuacji firm reklamowych. „Nigdy, dziewczynki, nie zapominajcie o tym, że gdyby Tata stracił jednego ze swych największych klientów, co zawsze może się zdarzyć, nie moglibyśmy mieć tego mieszkania i nie moglibyśmy sobie pozwolić na posyłanie was do prywatnej szkoły.” Wieczorami, kiedy już leżałam w łóżku, bałam się tej perspektywy. Poza tym bałam się porywaczy i rozvodu rodziców. Przeczytałam *Drakulę*, w związku z czym ogarniał mnie paniczny strach na myśl o wampirach. Przez wiele lat spałam z zębkiem czosnku, ukrytym pod poduszką, ponieważ niestety nie miałam krucyfiks, z którym mogłabym stawić czoło wampirom. Nie ma się co dziwić, że czytanie do późna, żeby odwlec nieprzyjemny moment gaszenia światła, jest wciąż jednym z moich najgorszych przyzwyczajzeń.

Dopiero gdy byłam znacznie starsza, zdałam sobie sprawę, że żaden z klientów mego ojca nigdy go nie porzucił. Jednak matka wybitnie mnie zniechęciła do podejmowania ryzyka finansowego, kiedy już byłam dorosła, a strach przed rynkiem papierów wartościowych kosztował mego męża i mnie tyle pieniędzy, że wolę o tym nie myśleć.

Mama nigdy nie przestawała podkreślać potrzeby zdobycia zawodu przez obie jej córki. „Kiedy dorośniesz, ważną rzeczą będzie zdobycie dobrej pracy i zarabianie pieniędzy”, było jej zawołaniem bitewnym. Nigdy nie wspomniała nawet słowem o małżeństwie i dzieciach. W rezultacie, kiedy byłam w szkole średniej i college’u, każdego lata podejmowałam pracę, a zaraz po ukończeniu nauki zaczęłam pracować i pracowałam też, kiedy w wieku dwudziestu sześciu lat wyszłam za mąż, a następnie na pół etatu, dopóki nie wychowałam dzieci. Od czterdziestego ósmego roku życia pracowałam „w pełnym wymiarze godzin”, wliczając w to większość weekendów; na pewno będę też pracowała jutro.

Siostra, która odebrała te same nauki, wyszła za mąż młodo. Chociaż zawsze miała trudne zajęcie w postaci wychowywania dwojga dzieci, poszła do pracy jako wolontariuszka i nie zarobiła ani grosza aż do śmierci matki w 1980 roku. Wtedy zaczęła naprawdę pracować, buntowniczo do samego końca.

Jak matka mawiała, kiedy była poirytowana, „Niczego was, dziewczyny, nie potrafię nauczyć.” Ale nigdy nie przestała próbować.

* * *

Kiedy w Birch Wathen utworzono szkołę średnią, klasa została powiększona. Teraz było nas razem dziesięciu chłopców i dwadzieścia sześć dziewcząt. Żadna z nowych uczennic nie wiedziała, że ze względów historycznych miałam najniższą możliwą pozycję i od pierwszego dnia pierwszego roku znalazłam się w grupie trzech nowych dziewcząt, Barbary Himmel, Elaine Wiener i Janice Cohen. Nasza czwórka natychmiast stała się naj bardziej lubianą paczką w klasie, a stało się to za sprawą jakiegoś zupełnie niezrozumiałego mechanizmu. Ledwie mogłam uwierzyć, że mi się to przydarzyło. Nagle plusem stała się sympatia nauczycieli, bystrość i powodzenie u chłopców. Cały szkolny system kastowy uległ odwróceniu, a ja rozkoszowałam się każdą chwilą, choć blizny wyniesione ze szkoły podstawowej nadal krwawiły.

(W końcu muszę przyznać, że z przeżyć tych ośmiu długich lat, kiedy byłam pariasem, niezależnie od tego, jak wiele czasu minęło i jak dobrze to teraz rozumiem, nigdy nie będę w stanie się całkowicie wyzwolić. Wyrły się na zawsze w moim umyśle. Kiedy będę wydawała ostatnie tchnienie, prawdopodobnie będę się czuła trochę niepewnie, zastanawiając się czy mam na sobie odpowiedni strój.)

Miałam wspaniałych nowych przyjaciół i spędzałam każde popołudnie ucząc się razem z nimi,

słuchając płyt z nagraniami big-bandów i starając się zapamiętać słowa „Chattanooga Choo-Choo”. Wydaje mi się, że ta kochana i nieskomplikowana pani Himmel każdego dnia wracała do domu z ubraniami, które kupowała przez cały dzień dla Barbary i jej siostry, Joanny. Nigdy nie zapomnę ani jej ani weekendów, które spędziłam u nich na wsi... to był taki ciepły i pełen szczęścia dom. I choć pan Himmel palił cygara, natychmiast zamieniłabym się z Barbarą na domy.

W 1942 roku, gdy w Paramount śpiewał Frank Sinatra, który był sensacją roku, nasza czwórka urwała się ze szkoły, żeby pójść na jego koncert. Oczywiście uprzedziłam matkę o naszym planie, ponieważ bałam się, że ktoś ze szkoły może zadzwonić do domu, żeby zapytać co się stało, a ona dowiedziałyby się o moim występkę. „Zasłużyłaś sobie na wolny dzień”, powiedziała ku memu zdumieniu. Wraz z przyjaciółkami patrzyłyśmy z poczuciem wyższości jak rozhisteryzowane nastolatki wokół nas z trudem łapały powietrze, piszczały i szlochały. My nigdy nie ośmieliłybyśmy się zachować w *taki* sposób.

Podczas tego pierwszego roku w szkole średniej głównym tematem naszych rozmów był seks. Zostałam uświadomiona w wieku sześciu lat. Matka wyjaśniła mi wszystko ze szczegółami, używając terminów medycznych, pomijając jedynie grę wstępną i fakt, że erekcja jest niezbędna, żeby włożyć „członek Taty do pochwy Mamy”. Słuchałam tego ze spokojem, starannie ukrywając zainteresowanie tymi wszystkimi fantastycznymi informacjami. Brzmiało to CUDOWNIE. Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy będę dorosła. W rok później powiedziałam matce, że zapomniałam jak rodzą się dzieci, więc opowiedziała mi to jeszcze raz. Kiedy spróbowałam po raz trzeci, kiedy miałam już osiem lat, oświadczyła sucho, „Myślę, że pamiętasz”, i odmówiła podania pikantnych szczegółów.

Jednakże moje przyjaciółki nie otrzymały takiego wykształcenia i uważałam, że moim obowiązkiem jest je uświadomić. Ale mi nie uwierzyły, ponieważ uważały, że wszystko to jest zbyt obrzydliwe. Każdemu według jego zasług.

Spędzałyśmy długie godziny, omawiając szczegóły nocy poślubnej. Dwoma najpoważniejszymi problemami były koszula nocna i pójście do łóżka. Jak koszula nocna może być ślubna i zarazem nieprzezroczysta? Żadnej z nas nie przyszło do głowy, że możemy być na tyle bezwstydne, żeby włożyć coś z przezroczystego materiału, jak koronka czy szyfon. I czy same wślizgniecie się do łóżka, gdy mąż w łazience myje zęby, czy też rozłożycie się w niedbałej pozie na otomanie, czekając aż was tam zanieśie? Pograżyłyśmy się w szalonych spekulacjach na ten temat, ale na szczęście nigdy nie znalazłyśmy satysfakcjonującej odpowiedzi, ponieważ żadnym innym tematem nie byłyśmy tak głęboko zafascynowane.

Rozdział szósty

Na początku drugiego roku szkoły średniej, tj. w 1942 roku, miał miejsce cały łańcuch wydarzeń, które na zawsze pozbawiły mnie niewinności. Pewnego popołudnia zatelefonowała do mnie jedna z bliskich przyjaciółek matki z pytaniem czy chcę pojechać do Annapolis na randkę w ciemno. Młody człowiek był synem jednej z jej najlepszych przyjaciółek i potomkiem bogatej niemiecko-żydowskiej rodziny. Randka miała się odbyć podczas weekendu w Akademii Marynarki. Do tego czasu miałam jedynie kilka popołudniowych spotkań z chłopcami, którzy byli chyba tylko o rok starsi ode mnie. Nikt mnie nigdy nie pocałował. Miałam tylko czternaście lat; brakowało czterech miesięcy do moich piętnastych urodzin. Oszołomiona i znęcona tą perspektywą, natychmiast przyjąłem zaproszenie; byłam przerażona, lecz nie mogłam odrzucić tej nieodparcie „dorosłej” propozycji.

Kiedy matka wróciła do domu i dowiedziała się o tym, trochę gderała, ale nie wyraziła sprzeciwu. Miałam nadzieję, że nie pozwoli mi jechać. W istocie liczyłam na to, ale kiedy zgodziła się, nie wiedziałam jak mogę się wycofać. Patrząc wstecz, fakt, że matka pozwoliła na taką niestosowną randkę czternastoletniej dziewczynie, można wyjaśnić jedynie tym, że nie wiedziała, co jest dla mnie odpowiednie w tym wieku. Sama wychowała się w takim ubóstwie i musiała radzić sobie sama od tak młodych lat, że nie miała pojęcia, o ile lepiej ja byłam chroniona niż kiedyś ona.

W parę tygodni później, kiedy po raz pierwszy pojechałam do Annapolis, osiągnęłam już swój maksymalny wzrost, czyli 159 cm. Czytelniku, każdy centymetr miał dla mnie znaczenie! Chociaż miałam okrągłą, dziecienną twarz, mój wygląd miał się nie zmienić przez następne dziesięć lat. Ponieważ jest to historia mego własnego życia, muszę powiedzieć, że byłam ładna, a co ważniejsze miła. Być miłą jest najważniejszą rzeczą dla dziewczyny, i co więcej jest to coś, co można zachować długo po tym jak przeminie uroda. Miałam wyjątkową ładną skórę, pozbawioną porów i pryszczycy; zabawny mały nosek; wielkie, szelmowskie, zielono-niebiesko-szare oczy; i łatwo wybuchałam śmiechem. Chociaż nigdy nie byłam piękna, coś we mnie zawsze przyciągało przeciwną płęć i miałam zazwyczaj większe powodzenie u mężczyzn niż dziewczęta znacznie ładniejsze ode mnie.

Na Penn Station wsiadłam w pociąg do Baltimore, mając na sobie szary kostium i futrzaną kurtkę, którą pożyczyłam od matki; na nogach miałam czarne zamszowe pantofelki na niezbyt wysokim obcasie. Nosiłam sięgające do ramion, jasnobrązowe włosy z rudymi pasemkami, które co wieczór zakręcałam na lokówki, a usta pomalowałam ciemnoczerwoną, prawie fioletową szminką, dopasowaną barwą do lakieru do paznokci, co uważałam za szczyt wyrafinowania. Namówiłam znajomego dentystę, dawnego chłopaka mojej matki, który oczarował mnie nazywając „małym chłopcem”, żeby w przeddzień wyjazdu zdjął mi aparat korekcyjny. Wymieniłam z Joem listy, dodając sobie ponad dwa lata (powiedziałam mu, że mam siedemnaście lat). On miał dwadzieścia lat i był na drugim roku przyspieszonego trzyletniego kursu wojskowego.

W Baltimore pojechałam taksówką na drugi dworzec i złapałam pociąg jadący do Annapolis, który włókł się niemiłosiernie, zatrzymując się co pięć minut, a ja z każdą stacją denerwowałam się coraz bardziej. Potem znowu wzięłam taksówkę, którą dotarłam do pensjonatu, w którym Joe zarezerwował dla mnie pokój. Kadeci nie mogli mieć pieniędzy, więc wszystkie rachunki zostały zapłacone gotówką, którą przysłała mi jego matka, co wówczas stanowiło normalny zwyczaj. W moim pokoju w pensjonacie bezskutecznie walczyłam z włosami, które w wilgotnym powietrzu

rozkręciły się i, sparaliżowana treścią, miałam ochotę umrzeć.

„Twój facet już tu jest”, zawołała do mnie gospodyni. W końcu zmusiłam się, żeby zejść na dół, gdzie czekał Joe. Kiedy go zobaczyłam, przeżyłam prawdziwy szok. Był bezsprzecznie *mężczyzną* i to naprawdę wspaniałym mężczyzną. Moje zdumienie, spowodowane faktem, że był tak atrakcyjny, było o wiele większe, niż gdybym ujrzała ropuchę. Pogodziłabym się z tym, że jest ropuchą i odprężyłabym się. Joe był blondynem, miał krótko przycięte, lekko falujące włosy, tak jak Paul Newman, miał piękne rysy i wydatne usta. Nie miałam pojęcia, dlaczego ktoś kto tak wygląda, wybiera się na randkę w ciemno. Nagle zdałam sobie sprawę z ogromu wyzwania, przed jakim stanęłam jadąc do Annapolis.

Byłam zbyt zdenerwowana faktem, że Joe jest dojrzałym mężczyzną i zbyt przejęta swoim uczesaniem, żeby zapamiętać cokolwiek z owego popołudnia. Na potańcówce, która odbyła się tego wieczoru, miałam na sobie różową, tiulową sukienkę, jaką dziewczęta zakładają na szkolne bale. Zaraz po zakończeniu potańcówki, wszyscy ruszyli biegiem do pensjonatu, rzucili się na podłogę w salonie i, stłoczeni jak śledzie w beczce, oddali się cielesnym igraszkom, dopóki ktoś nie zawołał, że już czas i wtedy mężczyźni gorączkowo doprowadzili do porządku mundury i, jak maniacy, pocałowali do koszar. Joe uściśnął mi dłoń i pożegnał się. Zaciekawiona i zaszokowana patrzyłam z ciekawością na wijącą się i jęczącą masę ciał w salonie — wszystkie inne dziewczęta miały około dwudziestu lat i były zaręczone ze swoimi chłopakami — po czym poszłam na górę do łóżka.

Następnego dnia poszłam spotkać się z Joem na „przyjęciu kościelnym”, jak nazywano żydowskie nabożeństwa. Wtedy po raz pierwszy w życiu uczestniczyłam w ceremonii religijnej. Siedziałam sama w pustym kościele, który wynajęto dla przyjezdnego rabiego, dopóki nie wmaszerowało do środka trzystu kadetów, którzy siedli po drugiej stronie kościoła. Najwyraźniej nie przyszły żadne inne dziewczyny, oprócz mnie. W końcu zebrałam się na odwagę i zerknęłam na mężczyzn w niebieskich mundurach. Wielu z nich gapilo się na mnie. Nigdy, przenigdy, nie widziałam tylu wspaniałych mężczyzn w jednym pomieszczeniu.

Owego popołudnia odbyła się parada z udziałem trzech tysięcy kadetów, maszerujących w idealnym szyku — co za wspaniały widok. Gdyby wszyscy oficerowie w każdym kraju zostali przeszkoleni i wysłani na wojnę w podartych łachmanach, myślę, że byłyby pewne szanse na powszechny pokój.

Niebawem znalazłam się znów w pociągu, wracając do domu i nie mogąc opanować płaczu prze całą drogę z Annapolis na Manhattan z dwóch powodów: puściło potworne napięcie, które mi towarzyszyło przez cały weekend i fakt, że ani jeden kadet nie próbował zawrzeć ze mną znajomości. W wiele miesięcy potem odkryłam, że o ile ktoś nie został oficjalnie przedstawiony, było to niemożliwe, a przed potańcówką nie znałam właściwie nikogo oprócz Joego.

Wysłałam mu list z podziękowaniami, ale przez parę miesięcy nie miałam od niego wiadomości, aż nieoczekiwanie zadzwonił w przeddzień sylwestra. Najwyraźniej został wystawiony do wiatru przez swoją partnerkę. Czy chciałabym pójść na bal, który następnego wieczoru USO wydawało dla wszystkich oficerów, obcokrajowców i Amerykanów, w tym także kadetów? Zgodziłam się natychmiast, chociaż było już za późno, żeby pozbyć się aparatu korekcyjnego.

Powinno to być wieczór pełen blasku: były tam setki oficerów sił sprzymierzonych w mundurach, którym towarzyszyły piękne kobiety — wszyscy tańczyli w zatłoczonej sali balowej hotelu Carlton House. Ale miałam na ręku zegarek i myślałam tylko o zbliżającej się północy. Za dziewięć dni miałam skończyć piętnaście lat i nikt mnie jeszcze nie pocałował. Jednego byłam pewna: o północy to się stanie. Przez ponad dwadzieścia cztery godziny myślałam o tym z mieszaniną przerażenia i oczekiwania.

Wreszcie ta godzina nadeszła i poczułam wargi Joego na moich i łaskotanie jego wąsów, ale nie umarłam ani nie zemdlałam — pocałował mnie tylko raz. Potem zawiózł mnie do domu i, ku memu zdumieniu, wkrótce napisał, prosząc, abym była jego partnerką podczas Czerwcowego Tygodnia.

Trzeba wiedzieć, że zaproszenie na Czerwcowy Tydzień było zdarzeniem wielkiej wagi, czymś w rodzaju kamienia milowego. Kadet zapraszał na Czerwcowy Tydzień swoją „najlepszą” dziewczynę; impreza trwała pięć dni i obejmowała trzy oficjalne potańcówki, szereg parad i wszelkiego rodzaju tradycyjne uroczystości, których zwieńczeniem była uroczystość wręczenia świadectw ukończenia pierwszego roku.

I znów matka zgodziła się na mój udział. Co najdziwniejsze, w sobotę zabrała mnie do dobrze znanego sklepu na Madison Avenue, Fashion for Girls, i kupiła mi trzy wspaniałe suknie wieczorowe.

Zanim nadszedł Czerwcowy Tydzień, odbył się bal na zakończenie drugiego roku college’u a Joe dostał przepustkę, dzięki czemu mógł mi towarzyszyć. W tym czasie — był rok 1943 — byłam jedyną dziewczyną w klasie, której partner nosił mundur; inni byli uczniami szkoły średniej albo college’u. Jakież wspaniałe był ten mundur i jak bohatercko wyglądał Joe, który wkrótce miał zostać żołnierzem!

Przez cały wieczór byłam obiektem wielkiego, nieskrywanego podziwu i pełnego niedowierzania respektu. Ponieważ większość moich kolegów i koleżanek traktowała mnie przez osiem lat jak trędowatą, był to dzień mojej wielkiej, wspaniałej zemsty. Był to najpiękniejszy wieczór mojego życia. Po raz pierwszy miałam na sobie czarną suknię bez ramion, przetykaną srebrną nitką, z rozkloszowanym, tiulowym dołem. Miałam piętnaście i pół roku i byłam niesamowicie szczęśliwa. Ale nie na długo.

Sam Czerwcowy Tydzień zatarł mi się w pamięci, z powodu chwili, która wyparła wszystkie pozostałe wspomnienia. Jeden z tańców nosił nazwę „tańca w kole”. Na podium układa się ogromny krąg z kwiatów i kadet, który pragnie ofiarować partnerce kotylion, tańczy w kole, zatrzymuje się i przypina go wybrance. Rozumiało się samo przez się, że było to niemal równoznaczne z propozycją małżeństwa.

Czy jesteście w stanie wyobrazić sobie moje przerażenie, gdy bez żadnego ostrzeżenia, nagle zdałam sobie sprawę, że Joe prowadzi mnie w kierunku kręgu? Byłam zbyt oniemiała, żeby zaprotestować, kiedy przypinał mi do sukni kotylion. Nie chciałam tej cholernej rzeczy, małżeństwo było nie do pomyślenia, miałam tylko piętnaście lat, nie kochałam go... ale cóż mogłam uczynić? Po prostu nie wiedziałam, jak się z tego wyplątać. Kłamałam zbyt przekonująco, a teraz, nie mając żadnego doświadczenia ani pewności siebie, nie miałam pojęcia, jak się pozbyć owego kotyliona. Tamtego lata udało mi się go zgubić, kiedy pieliliam ogród, ale ta okropna Mimi znalazła go i oddała.

Po Czerwcowym Tygodniu, latem 1943 roku, Joe spędzał kilkutygodniowy urlop w Nowym Jorku, gdzie zatrzymał się w pustym mieszkaniu swojej matki, zaledwie kilka przecznic od naszego domu. Natychmiast zaczął mnie zmuszać do zniechędzonych praktyk seksualnych na swoim łóżku. Do owej chwili, powoli się zgodziłam na prawdziwe pocałunki. Teraz, stale się opierając, pozwoliłam, aby całował mi sutki. Uwielbiałam wywołane tym podniecenie, ale z pewnością posunęliśmy się już znacznie dalej niż chciałam.

Jednak wkrótce sytuacja uległa zmianie. Joe zmusił mnie, żebym onanizowała go aż do osiągnięcia orgazmu. Był głuchy na wszelkie moje protesty. Jeżeli wykorzystywanie seksualne nie obejmuje gwałtu, z pewnością byłam jego ofiarą.

Właściwie pod wieloma względami gwałt byłby lepszy, ponieważ tylko to zmusiłoby mnie w końcu do wyznania wszystkiego matce, zamiast zachowywania całkowitego milczenia na temat

tego, co się działo. Gwałt byłby ewidentnie winą Joego, czymś, na co z pewnością bym nie pozwoliła, czemu bym się opierała. Zamiast tego, wdałam się z nim w zapasy, w których nie miałam żadnych szans.

Przez cały okres jego urlopu, matka pozwalała mi przebywać samej w mieszkaniu. Codziennie wieczorem, po obiedzie, szliśmy do mieszkania jego matki, gdzie Joe bezustannie szczytował z moją niechętną pomocą. Kiedy miał wrócić do akademii, odprowadziłam go na dworzec, po czym pojechałam autobusem do domu. Podczas tej podróży ogarnął mnie przytłaczający, ponury nastrój; życie wydało mi szare i beznadziejne — trwało to przez wiele tygodni. Później zdałam sobie sprawę, że byłam ofiarą typowej depresji.

Byłam tak owładnięta poczuciem winy z powodu wstrętnych rzeczy, które tyle razy robiłam, że napisałam do Joego, że nigdy więcej już go nie zobaczę. Odpowiedział pełnym namiętności listem, że o ile nie zatrzymam jego kotyliona, załamie się i obleje egzamin w akademii. „Wyślą mnie na morze jako zwykłego marynarza, statek zostanie storpedowany, a ja utonę.”

Z górą trzydzieści lat później, w powieści *Księżniczka Daisy*, udało mi się odtworzyć coś z moich ówczesnych uczuć, kiedy opisywałam reakcję Daisy, która została uwiedziona przez swego przyrodniego brata, Rama.

Daisy przepelniała rozbudzona świadomość fizycznego pożądania, Pomieszanego z pewnego rodzaju wstydem, którego nigdy przedtem nie doświadczyła. Jej najskrytsze myśli i ciało trawił przenikliwy ból i uraza, chciała gryźć, kopać, krzyczeć, zemdleć, uciec. Chciała powrócić do chwili, w której była ledwie godzinę temu, ale wiedziała, że już nie ma Powrotu. Coś w niej zadźwięczało, niby potrącona struna wielkiej wiolonczeli; jakaś nuta odległego, tajemniczego ostrzeżenia... Daisy nie śmiała się poruszyć ani przemówić. Była współwinna tego, co się stało. Pozwoliła, żeby jej to zrobił... zostawił ją przepelnioną obrzydzeniem do samej siebie i palącym wstydem.

Jednak w wieku piętnastu lat, zamiast dostrzec tchórzliwy i obrzydliwy szantaż Joego, byłam przekonana, że umrze na wojnie i że to będzie moja wina. Wskutek głupiej naiwności pozwoliłam się wykorzystać. Podobnie jak Daisy, pozwoliłam Joemu zmusić mnie do tego. Byłam zbyt przepelniona wstydem, żeby opowiedzieć nawet Mimi szczegóły tego, do czego mnie nakłonił, choć pokazałam jej jego listy. Teraz wiem oczywiście, że nie było najmniejszej obawy, że Joe obleje egzamin; za bardzo dbał o własną skórę. Każda minuta lat 1942, 1943 i 1944, spędzonych w Annapolis, przybliżała go do końca wojny i faktycznie ukończył akademię zaledwie rok przed jej zakończeniem, objął dowództwo ścigacza torpedowego i nie odniósł najmniejszych ran.

Oczywiście jak zawsze w przypadku czegoś niegodnego, czegoś co może mnie postawić w niedobrym świetle, nie pisałam ani słowa matce, która pozwoliła piętnastoletniej dziewczynie spędzić tego lata tyle wieczorów na Manhattanie, w towarzystwie dwudziestoletniego mężczyzny. Gdybym miała odwagę jej o tym powiedzieć, natychmiast położyłaby kres całej sprawie, ale nawet teraz nie mogę sobie wyobrazić takiej rozmowy, wzięwszy pod uwagę, jaką osobą wtedy byłam.

Dzisiaj dla mnie najgorszą rzeczą w całej tej sprawie jest to, że *nigdy* nie uległabym żądaniom Joego, gdybym nie chciała zabłysnąć w oczach swoich koleżanek. Silna część mojego ja zdecydowanie pragnęła i potrzebowała możliwości noszenia kotyliona Akademii Marynarki, co zapewniało wysoki status w klasie. Trudno dzisiaj zrozumieć, że byłam takim strasznym tchórzem, ale wszystko potwierdza taką diagnozę. Powinnam była odesłać Joemu kotylion i nie odpowiadać na jego listy. Istotnie, jeśli chodzi o niechciane praktyki seksualne, zawsze mogłam

wstać i odejść, ale nigdy tego nie uczyniłam. Byłam tak oczarowana faktem posiadania wspaniałego i starszego ode mnie chłopaka, że zgodziłam się zapłacić tę wysoką cenę za poczucie niepewności.

Kiedy zaczęła się szkoła, spędzałam czas z moimi najlepszymi przyjaciółkami, które zgodnie stwierdziły przyciszonym głosem, który wciąż dźwięczy mi w uszach, że „najgorszą rzeczą, jaką dziewczyna może zrobić, jest dotykanie tej rzeczy u chłopca”. Kiedy potakiwałam ze zrozumieniem, stawał mi przed oczyma Joe, jak rozpina marynarkę, zdejmując podkoszulek i podchodzi do mnie, a ja leżę na łóżku, zmieszana i niezdolna do walki. Próbuję przypomnieć sobie, co się wtedy działo w mojej głowie, ale odnajduję tylko strach i coś w rodzaju ponurej rezygnacji.

Przepaść między tym, co mi się przydarzyło, a tym, co przyjaciele traktowali jak ewangelię, była nie do zasypania. Zostałam wypchnięta z kolein mego rozwoju seksualnego i rzucona w życie pełne wstydu i oszustw. W dzisiejszych czasach łatwego seksu można to uznać za przesadę, ale w 1942 i 1943 roku nie istniało nic takiego jak seks nastolatków, przynajmniej nie w świecie, w jakim żyłam.

Wiedziałam, że nie mogę pozwolić, aby Joe dalej to ze mną robił. Ostatecznie napisałam mu, że wszystko, do czego mnie zmuszał i co nie było „powyżej pasa” oznacza koniec naszego związku. Kiedy to nastąpiło, byłam już w starszej klasie szkoły średniej. Rok wcześniej matka, nie porozumiewając się ze mną, stwierdziła, że trzy lata to zbyt dużo czasu „straconego w szkole średniej”. Udała się do p. Birch i p. Wathen i załatwiła „przeskoczenie” jednego roku dzięki dodatkowym zajęciom w ciągu roku szkolnego.

Byłam niepokieszona. Ledwie zdobyłam trzy naprawdę bliskie przyjaciółki, już musiałam się z nimi rozstać i wylądować pośród nieznanymi mi osób, z których część miała już po osiemnaście lat (ja wciąż tylko piętnaście) i żadna nie była sympatyczna. Teraz naprawdę potrzebowałam prestiżu i ochrony, które dawał mi ów kotylion z Annapolis. Niektóre z moich nowych koleżanek paradowały z pierścionkami zaręczynowymi i zamierzały wyjść za mąż zaraz po ukończeniu szkoły.

Podczas tego roku szkolnego byłam redaktorką szkolnego magazynu i rocznika, a kiedy szkoła zatrudniła korepetytora z zewnątrz, który miał nadzorować wystawienie sztuki na zakończenie roku, w wyniku przesłuchania, w którym brały udział wszystkie dziewczęta, dostałam główną rolę.

Prawie zawsze dostawałam główną rolę we wszystkich szkolnych Przedstawieniach, chociaż rodzice nigdy nie znaleźli czasu, żeby mnie w nich zobaczyć. W dzisiejszej, nastawionej na dzieci atmosferze, jestem pewna, że czuli by się w obowiązku wyjść z pracy i wziąć w tym udział, ale wówczas spokojnie tłumaczyli, jak trudno jest wykroić tyle czasu z normalnego dnia pracy. Po prostu to akceptowałam jako rzecz normalną w naszej rodzinie... i nie pamiętam, żebym tego żałowała.

Sztuką na zakończenie roku był gniot pt. *Kamienie milowe*, w której to sztuce ja i mój mąż, Jon Epstein, mieliśmy po pięćdziesiąt lat i świętowaliśmy nasze złote gody. Próby odbywały się w mieszkaniach różnych dzieci i wszystkie dziewczęta w klasie chciały nas instruować podczas sceny pocałunku. Jedna z najgorszych, mająca duże powodzenie, zazdrosna i w pełni rozwinięta dziewczucha, nazwiskiem Patsy March, udając, że interesuje się moją osobą, podczas jednej z prób zaplotła mi włosy w długie, cienkie warkoczyki. Byłam mile polechtana jej zainteresowaniem, dopóki nie odkryłam, jak potwornie trudno było je rozpleść.

Ponieważ sztuka była wystawiana wieczorem, tym razem rodzice przyszli, żeby ją obejrzeć. Po przedstawieniu, za kulisami, matka wprawiła mnie w zdumienie i gniew, stwierdziwszy, że powinnam się była zapisać do szkoły dramatycznej, a nie do college'u. Jakim cudem — skoro

uważała, że wykształcenie jest takie ważne — wpadła na ten szalony pomysł, do dziś dnia pozostaje dla mnie zagadką. Do owego wieczoru nie miała pojęcia, że potrafię grać.

Warto zdać sobie sprawę, że był to kluczowy moment, żeby starać się o przyjęcie do college'u. W testach z rozumienia słowa czytanego, które odbywały się w całym mieście, z roku na rok zajmowałam pierwsze miejsce. Byłam tak szalenie arogancka, że złożyłam podanie tylko do Wellesley i Smitha. Na wiosnę, po moich szesnastych urodzinach, miałam rozmowę kwalifikacyjną w Wellesley i po prostu zakochałam się w ich miasteczku uniwersyteckim.

W owych czasach nie było żadnych egzaminów sprawdzających zdolności kandydata; jedynie rady college'u organizowały trzy jednogodzinne testy z angielskiego, francuskiego i matematyki — odbywały się one na uniwersytecie Columbia. Otrzymałam najwyższe oceny z angielskiego i francuskiego, pisząc wypracowanie na temat owej wycieczki na Mott Street.

Kiedy zobaczyłam tematy z matematyki, zdałam sobie sprawę, że znam odpowiedź tylko na dwa pierwsze z wielu pytań testowych. (Do dziś dnia nie potrafię wykonać bardziej skomplikowanego dzielenia.) Uznałam, że znacznie bardziej wymowne będzie, jeśli nie odpowiem na żadne pytanie. Kompletna ignorancja wydawała mi się lepsza niż marny wynik. Z rozmachem podpisałam swój arkusz egzaminacyjny, przemaszerowałam przez salę i położyłam go przed egzaminatorem. Wszyscy unieśli głowy, kiedy wychodziłam z sali, a mnie ogarnęło uczucie wielkiej, niewytłumaczalnej ulgi, radości i swobody. Zawsze uważałam, że matematyka to bzdura i oburzałam się na samą myśl, że mam ją opanować. Zdałam egzamin z algebry i geometrii w szkole średniej tylko dlatego, że ściągałam, czego nie zauważył żaden nauczyciel, ponieważ nikt się tego po mnie nie spodziewał. Miałam w nosie wszystko to, co w oczach przemądrzałej nastolatki wydawało się mało ważne. Dzisiaj nigdy nie dostałabym się do dobrego college'u.

Potem przyszedł długi okres oczekiwania na wyniki. Smith przyjął mnie bez rozmowy kwalifikacyjnej, ale nie miałam żadnych wiadomości z Wellesley. Napięcie rosło. Pewnego wiosennego dnia, kiedy brałam udział w pokazie gimnastycznym, trzy młodsze koleżanki wybiegły na balkon sali gimnastycznej i wstrzymały cały pokaz, podskakując z podniecenia i krzycząc, że właśnie były w moim mieszkaniu, gdzie zastały zawiadomienie, że zostałam przyjęta do Wellesley. Wszystko wokół zamarło, kiedy koleżanki rzuciły się do mnie z gratulacjami. Był to jeden z najpiękniejszych dni mego życia.

Może komisja kwalifikacyjna uznała mój pusty arkusz egzaminacyjny z matematyki za dowód mojej głupoty, albo może zdecydował wynik egzaminu z angielskiego i rozmowa kwalifikacyjna — w każdym razie w 1944 roku zostałam przyjęta do Wellesley, gdzie, o ile wiem, byłam w owym roku jedyną Żydówką z Nowego Jorku. (Gdyby była jeszcze jakaś inna, jak mogłabym ją przegapić?) W owych czasach obowiązywały dziesięcioprocentowe kontyngenty dla katolików i Żydów, co było powszechnie akceptowane, a w co tak trudno dzisiaj uwierzyć.

Dzień po tym, jak dowiedziałam się, że zostałam przyjęta do Wellesley, pojechałam do Annapolis na mój ostatni Czerwcowy Tydzień. Joe właśnie kończył studia. W wieczór przed uroczystością wręczenia świadectw znowu mi się oświadczył. Zawsze udawało mi się odrzucać jego oświadczenia, ale tym razem powiedziałam, „*W żaden sposób nie mogę wyjść za ciebie.*” „Dlaczego?” „Bo mam tylko szesnaście lat!” wykrzyknęłam.

Kiedy w to wreszcie uwierzył, wpadł we wściekłość: „Chyba zdajesz sobie sprawę, że zepsułaś mi całą uroczystość.” Wzruszyłam ramionami. Znosiłam go przez cały czas, kiedy był w akademii i gównu mnie obchodziło, jak się teraz czuł. Byliśmy na siedmiu pośpiesznych ślubach, po czym wróciliśmy do Nowego Jorku, nie odzywając się do siebie ani słowem. Owego wieczoru spotkałam się z koleżankami na dachu hotelu Astor, gdzie odbywało się przyjęcie dla naszej klasy. Harry James grał na trąbce, a Betty Grable słuchała gry swego męża. Och, jak wspaniale

było znów być dzieckiem i uwolnić się od Joego, wyznając mu wreszcie prawdę.

Na początku lat pięćdziesiątych, zaraz po moim ślubie, jakaś kobieta na przyjęciu usłyszała moje panieńskie nazwisko. „Wielki Boże”, wykrzyknęła, „pani jest dziewczyną, która zrujnowała Joemu życie!” „Nie”, odpowiedziałam bez namysłu, „to on mnie zrujnował życie.” Okazało się, że jej mąż jest jego szwagrem. Powiedziała mi, że zaraz po wojnie Joe porzucił służbę w marynarce, wstąpił do szkoły medycznej, ożenił się, ma czworo dzieci i mieszka daleko od Nowego Jorku. „Zrujnowałam mu życie?” Och, nie, nie sądzę.

W 1978 roku, z górą dwadzieścia pięć lat po owym przyjęciu, nadal miałam w pamięci lukę, jeśli chodzi o pewien aspekt naszego związku. W żaden sposób nie mogłam sobie przypomnieć żadnych swoich doznań, kiedy Joe nakłonił mnie do wielokrotnego onanizowania go. Byłam pewna, że nigdy nie pozwoliłam mu się dotknąć poniżej pasa, ale nie mogłabym przysiąc. W mojej pamięci ziała po prostu pustka. W drugim roku moich sesji z psychoanalitykiem wreszcie postanowiłam wyjaśnić, jak to naprawdę było.

Zadzwoiłam do informacji w mieście, którego nazwa wciąż tkwiła mi w pamięci, dostałam numer jego telefonu i wykręciłam numer. Joe podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku. Powiedziałam mu, kim jestem. Zapanowała prawie dwuminutowa cisza, po czym głosem, który zdawał się wskazywać, że włosy mu się zjeżyły z zażenowania, zapytał, jak się miewam.

„Doskonale”, odpowiedziałam. „Właśnie wydałam pierwszą powieść.”

„Gratulacje.”

„Joe”, spytałam bez dalszych wstępów, „kiedy leżeliśmy na twoim łóżku i robiliśmy te rzeczy, kiedy byłeś w akademii, czy kiedykolwiek miałam orgazm?”

Zastanawiał się przez parę minut. W końcu odpowiedział, „Kompletnie nie pamiętam.”

„To po prostu niemożliwe. *Musisz* pamiętać. Na miłość boską, *musisz* to pamiętać!”

„Nie”, odpowiedział po kolejnej długiej przerwie, „bardzo mi przykro, ale nie pamiętam.”

„Cholera, cholera jasna!” odłożyłam słuchawkę kompletnie sfrustrowana, wiedząc, że kłamie. Po namyśle zdałam sobie sprawę, że gdybym kiedykolwiek miała orgazm, powiedziałaby mi o tym, żeby jakoś usprawiedliwić swoje zachowanie. Jestem całkowicie pewna, że myślał tylko o własnej przyjemności.

W kilka lat później jedna z koleżanek z klasy przysłała mi list, w którym był jego nekrolog. Zmarł nagle, w wieku pięćdziesięciu paru lat.

„Dobrze mu tak, gnojkwowi! *Dobrze mu tak!*” Usłyszałam jak mówię do siebie w dzikim gniewie, trzymając w ręku ten kawałek gazety. Dopiero później pomyślałam o jego żonie i dzieciach i jedynie przez wzgląd na nich nie podaję tutaj jego prawdziwego imienia.

Jak powiedział mi jeden z psychoanalityków, ujmując to oględnie, mam „problem z ekspresją swego gniewu”. Joe musiał umrzeć, zanim zdołałam poczuć złość, do której zawsze miałam prawo. A może była to złość na samą siebie, żalną i tchórzliwą piętnastolatkę?

Rozdział siódmy

Przybyłam do Wellesley, onieśmielona, pełna obaw i nieprzytomna z podniecenia. Skierowano mnie do akademika Little House. W owym czasie wszyscy studenci pierwszego roku tam mieszkali, ponieważ na terenie miasteczka uniwersyteckiego nie było wystarczającej liczby miejsc, jako że kilka akademików zajmowali oficerowie rezerwy marynarki, którzy odbywali tam szkolenie.

Little House, które musiało kiedyś należeć do jakiejś rodziny, było wspaniałym przykładem typowej klasycznej architektury Nowej Anglii. Znajdowało się tuż przy głównej ulicy Wellesley, dwie minuty drogi od miejscowego sklepu, w którym wkrótce zaczęłam się wieczorami zaopatrywać w koktajl mleczny.

Odszukałam swój pokój na parterze, najlepszy w całym domu, duży, z oknem wykuszowym i równocześnie poznałam swoją współlokatorkę. Nazywała się Toddy (Marilyn) Melvoin. Pochodziła z Highland Park, na północ od Chicago; uczęszczała do New Trier, sławnej szkoły średniej dla bogatych mieszkańców miasta; była mniej więcej mego wzrostu, miała blond włosy, niebieskie oczy i była niezwykle sympatyczna, choć trochę zwariowana. Toddy jest jedyną osobą spoza rodziny, która zawsze składa mi życzenia urodzinowe.

Przez kilka pierwszych dni ja i pozostałe dwadzieścia jeden dziewcząt w domu obchodziłyśmy się z daleka, nie rozmawiając ze sobą zbyt wiele na tematy osobiste. Ponieważ Toddy położyła na swoim stolczku nocnym Biblię, doszłam do wniosku, że jest chrześcijanką. Dopiero po trzech dniach zorientowałam się, że jest Żydówką, a Biblia była pamiątką z bierzmowania. Byłam zdumiona, że Żydzi mogą mieć Biblię. „No a Stary Testament?” zapytała. „Ach tak, oczywiście”, wymamrotałam, nie chcąc odkrywać głębi swojej ignorancji.

W owych czasach edukacja w szkółce niedzielnej kończyła się czymś, co zwano bierzmowaniem, nie zaś Bat Micwą. Dziewczętom w Birch Wathen, które były bierzmowane, często dawano w prezencie futrzane kurtki. Joan Rosenberger dostała dwie takie kurtki, obie z bobrowego futra, po jednej od każdego z dziadków, którzy mieli bzika na jej punkcie. Kiedy zobaczyłam te kurtki rozłożone na łóżku w jej pokoju, pożałowałam, że nie chciałam chodzić do szkółki niedzielnej. Z okazji ukończenia szkoły średniej dostałam od rodziców płaszcz z nutrii, ciepły i ładny, którego krótki włos, jak wkrótce odkryłam, po zmoczeniu przypominał wycieraczkę.

W Little House była jeszcze jedna Żydówka, Marion „Mikę” Wise, która pochodziła z Pittsburga i dostała pojedynczy pokój. Dopiero w jakiś czas później zdałyśmy sobie sprawę, że dziesięcioprocentowy kontyngent dla Żydów dotyczył także mieszkań w akademikach. Jeżeli w akademiku mieszkały dwadzieścia trzy dziewczyny, tak jak w Little House, i trzy z nich były Żydówkami, dwie z nich dzieliły pokój a trzecia musiała mieszkać sama, ponieważ nikt z administracji nie ośmieliłby się umieścić w jednym pokoju Żydówki i nie — Żydówki. Przepuszczalnie wyobrażano sobie, że osoba nie będąca wyznania mojżeszowego nie przeżyłaby takiego szoku.

Tak, wy wszyscy absolwenci Wellesley, którzy mi nie wierzycie; dyrektorzy college’u, którzy z przerażeniem mówicie mi, że to nie mogło mieć miejsca, ponieważ nigdy o tym nie słyszeliście (byliście wówczas zbyt młodzi); wszyscy Afro–Amerykanie, Azjaci i Latynosi, którzy teraz jesteście w Wellesley, uwierzcie mi: zanim Mildred McAfee Horton opuściła stanowisko szefa WAVES i podjęła na nowo obowiązki kierowniczkę college’u, usuwając z formularza zgłoszeniowego pytanie dotyczące wyznania, sprawy miały się zupełnie inaczej.

Nie o to chodzi, że — jak Jerry Seinfeld powiedziałby o homoseksualizmie — myślałyśmy, że wszystko jest w porządku. Niekwestionowana zasada kontyngentów była w 1944 roku powszechnie stosowana. Co ciekawe, nigdy nie zdawałam sobie sprawy z antysemityzmu w college'u. Było kilka osób, które na początku zdecydowanie nie uwierzyły, że Toddy i ja jesteśmy Żydówkami... nigdy przedtem nie widziały Żydów i spodziewały się zobaczyć jakieś karykatury, a nie buzie z jasnymi oczami i małymi nosami. Były nawet dwie dziewczyny tak ciemne, że w istocie spodziewały się zobaczyć u nas rogi — nigdy bym w to nie uwierzyła, gdyby nie przydarzyło mi się to naprawdę. Ale kiedy całe to początkowe podniecenie opadło, sprawa ucichła.

Przez następne cztery lata Wellesley miało być dla mnie miejscem magicznym. Miejscem absolutnie doskonałym. Moje koleżanki z akademika dały mi przydomek „Torchy”, który przetrwał do dziś. Uznałam, że jest to znaczny krok do przodu, w porównaniu z przydomkiem, który wymyśliła moja siostra, „Pussy” (przez wiele lat starałam się ją przekonać, że nie jest to najlepszy sposób zwrócenia mojej uwagi w zatłoczonym pokoju), czy pomysłem Jeremy'ego, żeby zwracać się do mnie „Ju”.

Miałam coś, co miało niewiele studentek, mianowicie dokument o dziwacznej nazwie „Blanket permission”, podpisany — jakże by inaczej — przez matkę. Wszystkie miałyśmy prawo spędzać dwa wieczory, do północy, poza akademikiem. Wspomniany dokument pozwalał mi zostać na całą noc gdziekolwiek chciałam, w hotelu czy prywatnym mieszkaniu, pod warunkiem że wychodząc z akademika podam adres, pod którym będę przebywać. Wkrótce zaczęły się urywać telefony od chłopaków, którzy chcieli umówić się na randkę.

Wyjaśnienie tej niezwyklej popularności było proste. *Wellesley Freshman Handbook*, cienka, czerwona broszurka, w której znajdowały się nasze zdjęcia, nazwiska i adresy, szybko została przeszmygowana do wszystkich męskich college'ów Ivy League. A w tych szkołach, od Dartmouth na północy do Princeton na południu, uczyło się sporo chłopców pochodzenia żydowskiego, którzy właśnie wrócili z wojny, zaopatrzeni w stanowcze instrukcje matek, żeby znaleźć sobie jak najszybciej porządną żydowską dziewczynę.

Ci chłopcy z Ivy League, którzy nie służyli w wojsku, szukali równie zażarcie jak weterani. Ale ponieważ — zwłaszcza na Harvardzie — było znacznie więcej chłopców niż dziewcząt, niebieskooka Żydówka była naprawdę w cenie. Wellesley było idealne z geograficznego punktu widzenia, bowiem znajdowało się niedaleko Bostonu i — w przeciwieństwie do Smith czy Vassar — łatwo się było tam dostać, a w owych czasach niewielu studentów miało samochody. Poza tym moje zdjęcie było naprawdę udane. Pomimo że Tacher nie było żydowskim nazwiskiem, Nowy Jork był żydowskim miastem. Ktoś musiał skojarzyć te fakty i wkrótce wiadomość rozeszła się szeroko.

Niekiedy organizowano randkę w ciemno, tak jak Fanny Cohen zorganizowała mi randkę z Anthony Lewisem, tym samym Anthony Lewisem, który przez długie lata był autorem artykułów na pierwszej stronie dziennika *New York Times*. Nigdy dwoje ludzi nie było bardziej niedobrych. Było to, „Och, nie!”, od pierwszego wejrzenia i to z obu stron; coś takiego przydarzyło mi się tylko raz w życiu. Tony potrafił rozpoznać osobę frywolną, a ja intelektualistę. Zabrał mnie na fascynującą wycieczkę, oprowadzając po zakamarkach gazety *Harvard Crimson*, w której wtedy pracował i dzięki temu owa randka nie była zupełnym niewypałem.

W trzecim tygodniu pierwszego roku zapisałam się na mecze futbolowe, które odbywały się w każdą sobotę aż do Bożego Narodzenia: Harvard–Yale, Yale–Dartmouth, Harvard–Princeton. Tylko MIT nie brał w tym udziału. Może nie mieli drużyny piłkarskiej.

Niemniej jednak to właśnie w MIT wypiliśmy po raz pierwszy i ostatni martini z ginem.

Zwymiotowałam w łazience, przeczuwając z góry co się może wydarzyć. Od tej pory nawet nie wążam ginu. Mój niczego nie podejrzewający ojciec obiecał mi sto dolarów, jeżeli nie wypiję alkoholu ani nie zapalę papierosa do dwudziestego pierwszego roku życia. Spróbowałam papierosa, kiedy miałam trzynaście lat, przy czym zapalając go osmaliłam sobie rzęsy. W końcu udało mi się go zapalić, raz się zaciągnęłam i wyrzekłam się papierosów na całe życie. Nie tylko miał okropny smak, ale żaden papieros nie sprawiłby, żeby ktoś o moim wyglądzie mógł zrobić wrażenie światowca. Alkohol to była inna sprawa.

Chociaż gin nie wchodził w rachubę, poncz był w porządku. Przed każdym meczem futbolowym na Harvardzie, z wielkich czerwonych wiader, które miały służyć do gaszenia ognia, wysypywano piasek i napełniano je ponczem, będącym mieszaniną taniego trunku i dużej ilości soku owocowego dla zabicia smaku. Roznoszono go wśród widzów, siedzących na trybunach; podczas mroźnej pogody rozgrzewał nas i pozwalał wytrwać do końca rozgrywki. Po jej zakończeniu, chodziło się parami od jednego pokoju do drugiego, próbując poncz, który serwowano w każdym z nich. Nie ma wątpliwości, że podczas weekendów nigdy tyle dziewcząt nie było kompletnie pijanych, jak podczas tych czterech lat mego pobytu w college'u. Dotyczyło to oczywiście także wszystkich chłopców. Tak wtedy żyliśmy i nikt się temu nie dziwił.

Z drugiej strony, gdyby nas nakryto na picu na terenie college'u, natychmiast by nas wylano. Czasami, kiedy się meldowałam po powrocie do akademika, byłam tak zalana, że mój podpis nie przypominał mego normalnego podpisu. Dla ukrycia tego faktu, wymyśliłam dwa sposoby: śmiałam się tak bardzo, że trzęsła mi się ręka, albo udawałam pośpiech pędząc do łazienki.

Szkoła Birch Wathen zapewniła mi tak gruntowne wykształcenie, że pierwszy rok w college'u nie sprawił mi żadnych trudności. Wybrane przeze mnie przedmioty oczywiście nie obejmowały matematyki ani francuskiego. Nie chciałam, żeby znów mnie zmuszano do uczenia się obcego języka na pamięć: nauka języka w szkole średniej polegała na tłumaczeniu i bezmyślnym zapamiętywaniu reguł gramatycznych i form czasowników — była zupełnie pozbawiona konwersacji.

Ponadto namówiłam mego kochanego lekarza, który był moim jedynym lekarzem przez całe życie i wiedział, jak bardzo nie znoszę lekkiej atletyki, żeby mi napisał zwolnienie z zajęć w sali gimnastycznej. („Judy”, powiedział łagodnie dr Anderson, podpisując drogocenny dokument, „wiesz, że nie możesz tu już więcej przychodzić, prawda?” Gestem wskazał poczekalnię, w której stały małe krzeselka i znajdowały się gry dla dzieci.) Przydzielono mnie do klasy dziewcząt, które były naznaczone prawdziwym kalectwem. Leżałyśmy na podłodze sali gimnastycznej, gdzie uczono nas technik relaksacyjnych, co wkrótce kończyło się miłą drzemką.

Na koniec, zawstydzona, zapisałam się na zajęcia z tańców ludowych. Okazało się to znacznie bardziej wymagające niż myślałam, kiedy wielkie dziewczyny ciskały mną z jednego końca sali w drugi. Wioślarstwo, choć mnie interesowało, nie wchodziło w rachubę: wszystkie słyszałyśmy i wierzyłyśmy, że wiosłowanie powoduje bezpłodność. W końcu zapisałam się na kajakarstwo, z którego nieoczekiwanie oblałam egzamin końcowy. Egzamin polegał na wyprowadzeniu kajaka z przystani i wykonaniu rozmaitych manewrów na środku jeziora Waban. Wiało wtedy tak mocno, że nie byłam w stanie kontrolować kajaka, więc musiano wysłać na ratunek motorówkę, która wzięła mnie na hol i, dygocząc z zimna i upokorzenia, zawiozła na brzeg. Jedynym sportem jaki lubiłam był tenis, nosiłam więc ze sobą szorty, dzięki czemu mogłam ćwiczyć między lekcjami, ale nigdy nie osiągnęłam przyzwoitego poziomu w tym sporcie, który wymagał ciągłego biegania w słońcu.

Jednak lekcje angielskiego traktowałam całkiem poważnie. Pewnego razu zadano mi napisanie wypracowania na poniedziałek rano. Weekend spędziłam w college'u Browna, a w sobotni wieczór odkryłam daiquiri. Wypiłam trzy szklanki tego słodkiego, podobno bezalkoholowego

napoju, po czym wróciłam do hotelu, w którym się zatrzymałam i w jakimś przypiływie natchnienia napisałam odręcznie wypracowanie na temat rozkoszy podróżowania żółtą, nowojorską taksówką. Profesor dał mi piątkę z plusem, z adnotacją „znakomite osiągnięcie w wieku szesnastu i pół roku”. Nigdy więcej nie pisałam po pijanemu — właściwie nie wiem dlaczego — nigdy więcej nie dostałam też piątki z plusem. Może znów powinnam spróbować napisać coś odręcznie, ale w szkole średniej nauczyłam się pisać na maszynie; jest to najcenniejsza umiejętność, jaką posiadałam.

Codziennie studentki pierwszego roku musiały przejechać na rowerze ładnych parę kilometrów, ponieważ mieszkaliśmy w dość znacznej odległości od miasteczka uniwersyteckiego. Lunch jadałam w jednym z akademików dla studentek wyższych lat, bo było za mało czasu, żeby pojechać do domu między zajęciami. Pewnego dnia wspomniałam jednej z zaprzyjaźnionych koleżanek z drugiego roku, że dostałam zaproszenie na spotkanie towarzyskie w bostońskiej synagodze, ale nie zamierzam na nie iść.

„Popelniasz wielki błąd”, powiedziała.

„Och, daj spokój, spotkanie w synagodze — dlaczego, u licha, miałabym iść na coś takiego?” zapytałam. „Już znam wystarczająco wielu chłopców.”

„Zobaczysz tam więcej chłopców niż sobie możesz wyobrazić w najśmielszych snach.”

„Ale jakich chłopców?” spytałam podejrzliwie.

„Pójdź i zobacz sama. Chłopców nigdy za wiele.”

Niechętnie wybrałam się więc na to spotkanie i prawie od razu Poznałam świeżo upieczonego absolwenta Harvardu z Brookline’u, przedmieścia Bostonu, nazwiskiem Bob Feinberg. Był bardzo przystojny, ciemnowłosy, miał orli nos i najpiękniejszy garnitur, jaki widziałam u mężczyzny. Niebawem zaczęliśmy się spotykać kilka razy w tygodniu.

Jedzenie w Wellesley było nijakie albo okropne i w weekendowe wieczory Bob zabierał mnie do miejscowego klubu, gdzie zamawialiśmy stek i homary, po czym na dziesiątą odwoził mnie do akademika. Często spędzałam weekendy w jego wspaniałym rodzinnym domu, gdzie jego rodzice i siostra przyjmowali mnie zawsze z otwartymi ramionami. Rodzice moich żydowskich sympatii byli zawsze bardzo mili. Byłam w końcu dziewczyną, mającą wszelkie zadatki na doskonałą synową: właściwe wyznanie, odpowiedni głos, dobrze sytuowani i szanowani rodzice, właściwe, skromne maniery; wreszcie chodziłam do odpowiedniej szkoły. No i odpowiedni nos.

Oprócz wyznania, nos był niewątpliwie najistotniejszym szczegółem. Nos z jakim się urodziłam. Żadna operacja plastyczna nie mogła dać w wyniku tego zabawnego ale autentycznego nosa, który mój ojciec nazywał żartobliwie „cukierkowatym”. Dla żydowskiej dziewczyny nieżydowski wygląd, niezależnie od tego czy inni się z tym zgadzali czy nie, był nadzwyczaj ważny, równie ważny jak jasna skóra w społeczności osób pochodzenia Afro-Amerykańskiego. Chłopak mógł jeszcze ujść, mając typowy żydowski wygląd, ale dla dziewczyny mały, prosty nos był nieoceniony. Każda rodzina, która jest choćby trochę zakłopotana z powodu swoich żydowskich korzeni, powinna mnie podziwiać. (W mojej własnej rodzinie wszystkie nosy miały właściwy kształt.)

W małym pokoju, przy kominku, godzinami całowaliśmy się z Bobem. Był odpowiedzią na moje modlitwy, chłopcem, który umiał całować jak anioł i w którym było zbyt wiele dżentelmena, żeby ośmielił się dotknąć moich piersi. Przybyłam do Wellesley tak dobrze opancerzona przeciw najmniejszym próbom wykorzystania seksualnego jak tylko można. Jeżeli czegoś byłam absolutnie pewna to tego, że w moim życiu już nigdy nie będzie żadnego Joego. Niech cierpią — takie było moje motto.

W college’u żyłam w rozleglejszym, bardziej wolnym świecie, niż mogłam sobie wyobrazić. Nigdy nie znałam więcej niż parę nie-Żydówek, a teraz byłam nimi otoczona; ściśle biorąc,

stanowiły one dziewięćdziesiąt procent otaczających mnie dziewcząt. I były fantastyczne: pełne życia, interesujące, piękne, inteligentne i lubiące poszaleć — *i lubiły mnie*. Prawdę mówiąc, polubiły mnie od razu. Po raz pierwszy w życiu znalazłam się w tak sympatycznej atmosferze; lubiano mnie po prostu za to, że jestem. Nawet uważały, że mam świetne ubrania!

Nigdy przedtem nie żyłam z dala od rodziców; nigdy nie otaczała mnie przyroda; nigdy nie mogłam nosić męskiej koszuli i granatowych dzinsów; nigdy nie zawałam tyłu nowych przyjacieli; nigdy nie rozmawiałam tak długo w nocy. Wszystkie musiałyśmy być tak samo otumanione naszą nagle zyskaną swobodą; dziewczyny z Little House ułożyły piosenkę, zaczynając się słowami „Srać, pierdolić, gwałcić, onanizować”. Nie pamiętam dalszego ciągu — być może w ogóle go nie było — ale to daje pojęcie jak bardzo czułyśmy się wyzwolone.

Jedynym nowym elementem życia, którego nikt nie lubił, było „usługiwanie”, co oznaczało granie na zmianę roli kelnerek, usługujących innym dziewczętom, które wówczas jadły jak damy. Większość pokojówek z college’u została skierowana do innych zajęć w związku z toczącą się wojną i miała już nigdy nie wrócić, więc teraz musiałyśmy przejąć ich obowiązki, nosząc obowiązkowo siatki na włosy. Wkrótce przekonałam się o korzyściach płynących z usługiwania. Jedną z nich była możliwość pożywienia się przed innymi. Kucharki zakładały, że nikt nie będzie chciał podrobów i wątróbki i chętnie dawały mi te przysmaki. Czasami miałam też okazję dostać kawałek krwistej pieczeni, a nie przesmażonych porcji, które podawano w jadalni. Po tym, jak całymi miesiącami narzekałam na jedzenie, matka przysłała mi koszerne salami, którym podzieliłam się ze współlokatorkami. Był to taki przysmak, że gdyby nadszedł w piątek, moje katolickie przyjaciółki czekałyby do północy na swoją porcję.

Większość moich nowych przyjaciółek spędzała wolny czas paląc papierosy, grając w brydża i robiąc na drutach, i to zazwyczaj równocześnie. Ja zaś każdą chwilę wolną od szkolnych zajęć poświęcałam na czytanie, obowiązkowo dziennika *New York Times*, który zaprenumerowałam i który był źródłem wiadomości, trudno dostępnych w Wellesley. W domu naturalnie czytywałam dwie gazety poranne i dwie popołudniowe. Jeśli chodzi o książki, zawsze byłam prawdziwym mołem książkowym, typowym dzieckiem, które czyta pod kołdrą w świetle latarki. W Wellesley była biblioteka wypełniona tysiącami książek, których nigdy nie czytałam i o których nigdy nie słyszałam; niezwłocznie się do nich zabrałam.

Uczyłam daremny wysiłek, żeby się nauczyć robić na drutach, nie wiem właściwie po co i nawet zrobiłam nieforemny sweter dla Jeremy’ego, który sięgał poniżej kolan, zanim dałam spokój i wróciłam do powieści. Zamiast tego zapłaciłam przyjaciółce, żeby zrobiła kilka par skarpetek w barwach rozmaitych college’ów, które wysłałam do swoich sympatii, udając, że sama je wykonałam. Nigdy też nie zależało mi na nauczaniu się gry w brydża, która, jak sądziłam, wymaga znajomości matematyki czy też czegoś równie odpychającego. Nie, czytanie zupełnie mi wystarczało, o ile mogłam też flirtować ze studentami z Ivy League, chodzić na szkolne bale, często bywać w restauracjach i utrzymywać przyzwoitą średnią ocen.

Rozdział ósmy

Nagła śmierć prezydenta Roosevelta w kwietniu 1945 roku uświadomiła mi pewną zasadniczą różnicę między Toddy, Mike Wise i mną a resztą przyjaciółek z Little House. Właśnie dotarła do nas ta wiadomość i nasza trójka siedziała szlochając w pokoju jednej z nas, podczas gdy inne dziewczyny wrzeszczały rozradowane, „Ten stary kaleka nie żyje!” Trzy Żydówki–demokratki i dwadzieścia nie–Żydówek–republikanek. Byłam jak ogłuszona, kiedy usłyszałam, co wykrzykiwały i przez długi czas potem nie potrafiłam czuć się swobodnie w ich towarzystwie. Dzisiaj, w pięćdziesiąt lat później, kilka z tych kobiet jest demokratkami.

W Wellesley odbyło się specjalne zebranie, ale atmosfera była chłodna. Czułam głęboką potrzebą udania się na nabożeństwo żałobne. Bob Feinberg zabrał mnie do dużej synagogi w Brookline; wtedy po raz pierwszy byłam wewnątrz prawdziwej świątyni. Poczułam się trochę pocieszona po tym pierwszym spotkaniu ze śmiercią.

Kiedy w piętnaście lat później zmarł mój ojciec, miałam trzydzieści dwa lata i uroniłam niewiele łez. Bardziej niż smutek, odczuwałam głęboką utratę ważnego, niezastąpionego związku, który nigdy naprawdę nie istniał. Właściwie nigdy nie odczuwałam więzi z ojcem, która dla każdej dziewczyny jest niezbędna dla jej prawidłowego rozwoju. Miałam wsparcie finansowe i wygodny dom, w którym mieszkał człowiek będący moim „ojcem”, ale nic ponadto. Nigdy nie wiedziałam jak to jest mieć opiekuńczego ojca, do którego zawsze można się zwrócić, który otwarcie okazuje swoją miłość, który mnie wysłucha, pocieszy i wskaże drogę, tak jak powinien każdy dobry ojciec.

Chociaż fakt, że porzuciła go matka, pozostawił głęboki uraz w jego psychice, zachowywał się wobec mnie — a także wobec Mimi — jak tchórz, czego nigdy nie potrafiłam mu wybaczyć. Staram się, ale nie potrafię. Rozumiem, że był człowiekiem mocno pokreconym, skoro odwiedzał aż dwudziestu sześciu terapeutów, ale dlaczego, dlaczego nie trzymał się jednego? Żaden odpowiedzialny dorosły człowiek, choćby nie wiem jak wrażliwy, nie powinien kryć się przez całe życie za zasłoną urazu z lat dzieciństwa. Tak, jego matka uciekła, ale czy to usprawiedliwiało fakt, że jako ojciec zamknął się w sobie na zawsze, wyrządzając w ten sposób szkodę, która była nie do naprawienia? Nie sądzę. Na dźwięk tego cukierkowego zwrotu „córeczka Taty” zawsze tracę oddech i czuję gwałtowne ukłucie zazdrości, kiedy jedna z moich przyjaciółek opisuje stosunki jakie łączyły ją z ojcem.

Nie do końca rozumiem, nawet po wielu latach, jaki to wywarło na mnie wpływ, ale niewątpliwie był on bardzo niekorzystny. Z pewnością stałam się wskutek tego przedwcześnie dojrzała i silna... ale za jaką cenę. Musiałam nauczyć się tłumić normalne uczucia, które są udziałem każdej małej dziewczynki i udawać kogoś, kto świetnie się bawi. Nauczyłam się jak nie zwracać uwagi na silne emocje i być duszą towarzystwa, co oznaczało ukrywanie swego życia wewnętrznego, nawet przed sobą, dopóki nie odkryłam tego w wiele lat później dzięki psychoanalizie. Podczas pierwszych seansów miałam wrażenie jak gdyby intensywność moich uczuć była bardzo niewielka, jakbym ślizgała się po ich powierzchni... po powierzchni cienkiego lodu. W owym czasie było już za późno na wyrażanie uczuć; zdałam sobie tylko sprawę, że prawdopodobnie istniały, ale zostały stłumione, kiedy przyszłam na świat. Dopiero gdy zaczęłam pisać książki, udało mi się *odczuwać* emocje, kiedy odczuwały je postaci moich powieści, ale oczywiście z oddali. Fikcyjne postacie nie żyją prawdziwym życiem, chociaż często są bardzo tego bliskie. Kiedy jakaś postać ma depresję, ja także.

Po śmierci ojca po raz pierwszy i jedyny w życiu miałam napad potwornej pokrzywki, która

utrzymywała się przez kilka tygodni. Powiedziano mi, że pokrzywka jest prawdopodobnie substytutem łez. Ale nie odczuwałam przecież silnej emocjonalnej więzi z ojcem, tak jak odczuwałam ją w stosunku do zmarłego prezydenta.

Niektórzy politycy są jakby wyobrażeniem ojca, którego zastępują. Płakałam całymi godzinami, kiedy Adlai Stevenson dwukrotnie przegrał wybory; szlochałam przez cztery dni po śmierci Johna Kennedy'ego a potem po śmierci jego brata, ale już krócej. Potem straciłam serce do polityków... byłam zbyt stara, żeby szukać ojca w prezydencie czy w kandydacie na prezydenta.

* * *

Późną wiosną, podczas pierwszego roku studiów w Wellesley, matka i siostra Boba Feinberga odwiedziły Nowy Jork, kiedy byłam w college'u. Moja matka, kobieta, która codziennie, kiedy była w pracy, kupowała zwykłą kanapkę w najbliższym barze, poświęciła całe popołudnie, żeby zabrać je do restauracji Voisin, która serwowała najdroższe posiłki w całym mieście; coś, czego nigdy by nie uczyniła, nawet dla najbliższej przyjaciółki, nawet w dniu jej urodzin.

Zaczęła się wylaniać pewna prawidłowość, którą miałam zrozumieć dopiero wiele lat później. Joe i Bob Feinberg oraz wielu innych chłopców, których miałam później, pochodzili z bogatych rodzin. Ubranie, które matka niespodziewanie kupiła mi na Czerwcowy Tydzień, łamiąc wszelkie reguły, miało służyć temu, żebym się zaprezentowała jak najkorzystniej, co wówczas było może podświadome. Gdybym się zaręczyła z Joem i po wojnie wyszła za niego za mąż, nie sądzę, żeby się sprzeciwiała, mimo że miałabym wtedy tylko szesnaście lat.

Matka nigdy nie lubiła i nie akceptowała żadnej mojej sympatii, o ile nie był to ktoś, kto mógł liczyć na duży spadek. Choć w pracy była idealistką i mimo że stale namawiała Mimi i mnie, żebyśmy znalazły sobie pracę, w głębi serca musiała pragnąć, żeby jej córki miały zapewniony komfort materialny, którego ona sama nie miała, dopóki nie dał jej tego ojciec, nawet gdyby to miało oznaczać wczesne zamążpójście. Była mimo wszystko odległa tylko o jedno pokolenie od epoki planowanych małżeństw i przez całe życie obawiała się, że to co zdobył ojciec, może w mgnieniu oka wyparować.

Siostra i ja często zadawałyśmy sobie pytanie, dlaczego Mama nawet nie wspomniała, że chce abyśmy poślubiły bogatych mężczyzn, skoro tego pragnęła. Inne matki bez wahania mówią to swoim córkom, ale nasza matka zawsze pogardliwie unikała jakichkolwiek wzmianek o małżeństwie, a co dopiero o „dobrej partii”. W przeciwieństwie do nas, wzgardziłaby terapią jako dowodem słabości; niemal na pewno nie znała siebie samej na tyle, żeby zdać sobie sprawę, że nigdy by nie zaakceptowała starającego się, który nie jest bogaty.

Mickey Tarcher nie zgodziła się nawet, żeby posyłać mnie na lekcje tańca, które dla dzieci z żydowskich rodzin prowadziła na Manhattanie Viola Wolff. „Kiedy będziesz musiała się nauczyć tańczyć, ktoś cię nauczy”, zapewniała, odsuwając na bok moje protesty. Była zbyt bystra, żeby nie zdawać sobie sprawy, iż chłopcy na lekcjach tańca nie byli dostatecznie dorośli, aby stanowili odpowiedni materiał na męża.

Pod koniec pierwszego roku musiałam zerwać z Bobem Feinbergiem. Chciał, żebym za niego wyszła i żebyśmy znaleźli mieszkanie w pobliżu college'u, tak abym mogła kontynuować naukę. Przez cały okres mego pobytu w college'u powtarzał się ten sam schemat; zmianom ulegał jedynie sposób podejścia kandydatów do mojej przyszłej nauki. Jak tylko pojawiał się temat małżeństwa, mówiłam chłopakowi do widzenia i zaczynałam się rozglądać za następną ofiarą. „Fluktuacja kadr” była całkiem spora. W Walentynki, pod wpływem impulsu, kupiłam kartki, na których przykleiłam swoje zdjęcie i wysłałam do dwudziestu siedmiu chłopców.

Nigdy nie trzeba mnie przekonywać co do siły oddziaływania reklamy bezpośredniej. Każdy z tych biednych frajerów myślał, że dostał walentynkę przygotowaną specjalnie dla niego i przez następny tydzień telefonicznie ustalałam kalendarz moich spotkań. „Dlaczego wszystkie telefony są do ciebie, Torchy?” spytała poirytowana koleżanka. Rozradowana, odpowiedziałam ładnej, jasnowłosej Mary — Lou Lindquist, „Gdybyś była Żydówką, do ciebie też by dzwonili.”

Przeoglądając ponownie *Córkę Mistrala* i szukając czegoś zupełnie innego, natrafiłam przypadkiem na dokładny opis mego życia seksualnego w college’u, tak jak rzeczywiście się przedstawiało, w związku z postacią Teddy Lunel, która zostaje matką Fauve, prawdziwej córki Mistrala.

...W tym okresie udręki, Teddy Lunel miała na sumieniu więcej rozbolanych pachwin, niż jakakolwiek inna dziewczyna w wielkim Bostonie... Kilku spośród jej faworytów mogło ją całować godzinami, ocierając się o nią w gorączce na tylnym siedzeniu kabrioletu albo na kanapie w ciemnym pokoju w klubach czy siedzibach bractw, starając się osiągnąć orgazm, mimo ubrań dzielących ich ciała. Ale Teddy żadnemu z nich nigdy nie pozwoliła rozpiąć rozporka czy wsunąć dłoni pod spódnicę. Panowała nad ich pożądaniem, nie pozwalając mu się uwolnić, a przynajmniej wydawała się tego nie widzieć. Żaden z nich nie był na tyle przytomny, żeby odgadnąć, że Teddy także zawsze przeżywała orgazm, nie wydając żadnego dźwięku ani nie wykonując żadnego ruchu, który można by dostrzec; orgazm wywołany samym naciskiem zeszywniałego członka, potajemny orgazm, który mógł się pojawić nawet na parkiecie. Nigdy nie pozwoliła żadnemu z nich na bliskość, która mogłaby być owocem świadomości tego faktu, a oni oddawali jej hołd składając propozycję małżeństwa.

Teddy nie była obojętna wobec mężczyzn, którzy ją kochali, ale gdzieś głęboko w niej tkwiła obojętność na ich ból. Tak kochała swoje powodzenie u mężczyzn, że nigdy nie zakochała się w żadnym z nich. Ta niedostępna, nie dbająca o nic, nieprzytomna zmysłowość była jak kilka kropli wody dla mężczyzny pragnącego ugasić pragnienie: doprowadzała go do szaleństwa, znacznie bardziej niż gdyby odmówiła mu pocałunków, które rozdawała tak szczerze... „Mam tylko nadzieję, Teddy Lunel, „powiedział jeden z nich w gniewie, „że kiedyś ktoś sprawi, że będziesz cierpieła, tak jak ja teraz.”

Zrobiła skruszoną minę, ale wiedziała, że to się nigdy nie zdarzy.

Ach, Teddy, naprawdę żałuję, że musiałaś umrzeć zaraz po urodzeniu Fauve, ale twój zgon był niezbędny ze względu na rozwój akcji.

W college’u grałam fair. Nigdy nie rozbudzałam fałszywych nadziei i żaden z moich dawnych chłopaków nie popełnił samobójstwa z powodu mego odrzucenia.

Czy byłam podrywaczką, o co oskarżała mnie Nicole podczas pierwszych miesięcy mego pobytu w Paryżu? Mój mąż zapewnia mnie, że byłam typową podrywaczką, ale dodaje, iż było to typowe zjawisko wśród „porządnych” dziewcząt z jego rocznika, czyli starszych ode mnie zaledwie o cztery i pół roku.

Dziewictwo, jak wiedziałam w wieku dwudziestu lat, było sprawą tak zasadniczej wagi, że stało się nieledwie mistycznym przykazaniem, bez względu na to, jak do tego podchodzono.

Ostatnio rozmawiałam z paroma kobietami w moim wieku, które chodziły do dobrych college’ów i które są zgodne co do tego, że tylko taktyczna penetracja może kobietę pozbawić dziewictwa. Możesz się tarzać po podłodze, eksperymentując ile się da, nago albo w ubraniu, i nadal pozostać porządną żydowską dziewczyną. Ważne jest, aby tych igraszek nie uprawiać ze zbyt wieloma chłopcami — co najwyżej z sześcioma w życiu — i aby chłopcy nie znali się między sobą.

Kiedy to pisałam, zapytałam brata, jak z punktu widzenia mężczyzny określi dziewczynę jako „porządną”. Miał precyzyjną odpowiedź. „Możesz jej włożyć rękę za stanik, ale nigdy nie uda ci się go zdjąć.” Wraziłam swoje zdumienie z powodu tak zawężonej perspektywy. „Myślałem, że masz na myśli licealistki”, wyjaśnił. „W college’u próbujesz je wypieprzyć.”

Jednak Jeremy mówił o sytuacji w latach pięćdziesiątych, kiedy na pierwszym roku do jego college’u, St. John’s w Annapolis, zaczęto przyjmować dziewczęta. Za moich czasów, pod koniec lat czterdziestych, moi chłopcy nigdy nie mieli na myśli faktycznego stosunku. Nawet dla najbardziej napalonych spośród nich byłoby to czymś nie do pomyślenia. Pomyślcie, do czego to mogło prowadzić... ciąża, furia rodziców, pośpieszny ślub... mogło z tego wynikać mnóstwo niepotrzebnych powikłań. Tylko jeden chłopak w ciągu czterech lat, student Harvardu nazwiskiem Tom Langner rzeczywiście chciał, a nawet oczekiwał, że — dobry Boże! — „pójdziemy na całość”. Byłam tak przepełniona oburzeniem, że napisałam do niego obelżywy list, który odczytałam przyjaciółkom, zyskując ich pełną aprobatę.

Chociaż zachowałam dziewictwo, byłam poza tym najbardziej wstrętnym, nic nie wartym członkiem społeczności w Wellesley jaki kiedykolwiek istniał. Zapewne mogłabym znaleźć czas na zapisanie się na zajęcia ponadprogramowe, czego od nas oczekiwano. Ale nie zapisałam się na nic. Głównym wydarzeniem w ciągu czterech lat mego pobytu w Wellesley była rewia pod nazwą „Junior Show”. Na początku 1947 roku w moim pokoju zjawiała się delegacja najwyższych przedstawicielek zarządu klasowego.

„Torchy, nie zapisałaś się na Junior Show.”

„Po prostu nie mam czasu”, powiedziałam.

„Wszyscy mają czas. Jeżeli nie możesz grać, możesz malować dekoracje czy sprzedawać bilety, ale coś musisz robić.”

„Słuchajcie, po lekcjach każda minuta jest dla mnie droga, bo albo idę pracować do biblioteki albo kończę pracę domową, a wieczorem zwykle wychodzę albo nadal się uczę. Po prostu nie dam rady.”

„Sprawiasz nam wszystkim zawód. Jesteś jedyną osobą, która w niczym nie pomaga.”

„Och, dajcie spokój, przykro mi, ale nic na to nie poradzę.”

Wyszły wściekle, ale nie mogły mnie zmusić, a ja miałam w nosie, co o mnie pomyślą. Miałam własną paczkę bliskich przyjaciółek i to mi wystarczało. Nie miałam ochoty być częścią grupy liczącej czterysta osób. Mój mały świat był tym czego pragnęłam. Moje przyjaciółki z Little House mieszkały w pobliżu, na tym samym korytarzu co ja. (I w dalszym ciągu krążyły między nami listy.) Poznałam parę innych dziewcząt, kiedy siedziałam koło nich podczas różnych zajęć, zwłaszcza sympatyczną paczkę zwaną, nie bez racji, „parszywą jedenastką”. W akademiku zaprzyjaźniłam się z trzema nowymi dziewczynami, Audrey Chamberlain, Barbarą O’Neill i Doris Sommer. Były na wyższym roku; Audrey wybrano „najbardziej wyrafinowaną”, a Barbarę „najpiękniejszą”. Doris pochodziła z Montrealu; była studentką filozofii, była też bardzo ładna. Każdego wieczoru parzyłyśmy prawdziwą herbatę w czajniczku należącym do Audrey i dyskutowałyśmy o książkach. Uważano nas za dziwaczki i intelektualistki, zdecydowanie cygański odłam wśród zapalonych graczy w brydża.

Owe napalone dziewczyny, które zjawily się na pierwszym roku, były jak Hillary Clinton tamtych czasów. Po latach spędzonych w szkole Birch Wathen, nigdy w najmniejszym stopniu nie pragnęłam przewodzić rówieśniczkom, ponieważ byłoby to zupełnie niemożliwe. Nie widziałam żadnego sensu w posiadaniu jakiegokolwiek władzy — to co się naprawdę liczyło, to była przyjaźń.

Od początku mego pobytu w college’u byłam całkowicie zapatrzona w siebie, koncentrując się na tym aby się jak najlepiej bawić i czytać ile się da: dzieła staromodnych autorów, takich jak

Arnold Bennett, John Galsworthy i G. B. Stern, których nigdy nie przerabiano na lekcjach literatury, jak również Scotta Fitzgeralda, Henry Jamesa, Edith Wharton, Trollope'a, Tolstoja, Edny Ferber, Colette i wielu innych. Listy Trollope'a, Colette i Virginii Woolf, a potem Prousta, z czasem stały się książkami, do których wciąż powracam.

Oprócz jednego krótkiego opowiadania, które napisałam na drugim roku, w college'u i w ciągu wielu lat potem nie napisałam nic więcej, aż do czasu *Skrupułów*. Moja nauczycielka literatury, Sylvia Berkman, powiedziała, że stawia mi czwórkę zamiast piątki, żeby dać mi „lekcję, której nigdy nie zapomnę”, ponieważ moja ortografia „jest najgorsza, z jaką się kiedykolwiek zetknęła w college'u”. To zniechęciło mnie do pisania na ponad trzydzieści lat!

Byłam i jestem dyslektyczką w zakresie ortografii, podobnie jak w matematyce. Jeśli jakieś słowo wydaje mi się napisane błędnie, zaglądam do słownika. Problem polega na tym, że bardzo niewiele słów uznaję za napisane błędnie i często nie wiem, pod jaką literą ich szukać. W istocie dopiero po napisaniu czwartej powieści, *Tylko Manhattan*, nauczyłam się pisowni słowa Manhattan. Ilekroć wysyłam gotowy rękopis powieści do wydawcy, załączam krótki list do nieznanego mi i zazwyczaj za każdym razem innego redaktora z wyjaśnieniem, że nie jestem zupełnie pozbawiona wykształcenia, tylko po prostu mam problemy z pisownią.

Moim ulubionym miejscem w college'u była czytelnia. Było tam cicho, w pokoju stały w znacznej od siebie odległości głębokie fotele klubowe. Spędziłam tam najszcześniejsze godziny życia czytając i nikt mi nie przerywał.

Ze wszystkich przedmiotów, jakie pamiętam, najciekawszy nazywaliśmy „Biblią”; obejmował on jednoroczny kurs historii biblijnej. Jak sięgam pamięcią wstecz, zawsze byłam zdeklarowaną ateistką i Biblia niczego tu nie zmieniała. Ale odkrywała przede mną nowy, nieznaną świat i była niezwykle wciągająca jako mit, literatura i historia.

Jest dla mnie zagadką, dlaczego już w bardzo młodym wieku doszłam do wniosku, że nie ma żadnego Boga. Nie jest to typowy pogląd małego dziecka, ale ja zawsze, zawsze wiedziałam, że taka właśnie jest prawda i mój brak wiary nigdy nie zachwiał się ani na chwilę. Gdyby istniała religia, w której ludzie by czcili ocean, mogłabym się do tego skłaniać, albo gdybym miała w domu statuetkę kobiety, u której stóp składałabym dary i mogłabym pomyśleć jakieś życzenie, pewnie bym to robiła. Mam jakieś dziwne upodobanie do oczywistych przesądów i kiedy wieczorem w ogrodzie piję alkohol, upuszczam parę kropli na zegar słoneczny, którego metalowa tarcza pochodzi z 1652 roku. Ale Bóg wymyślony przez mizerny umysł człowieka i na jego omylne podobieństwo? Nie. To absolutnie nie dla mnie. Zinstytucjonalizowana religia dała początek większej liczbie zbrodni i przyniosła więcej ofiar niż jakakolwiek inna siła od początku świata. Zaraza i głód są niczym w porównaniu ze spustoszeniami, które pozostawia religia.

Ostatnio widziałam zdumiewającą barwną fotografię, wykonaną przez teleskop Hubble'a w październiku 1998 roku. Podpis głosił, że obiektyw teleskopu „patrzył w głąb tunelu na południowym niebie, sięgając dwanaście miliardów lat świetlnych w przeszłość i obserwując menażerię, złożoną z tysięcy nigdy dotąd nie widzianych galaktyk, przy czym niektóre z nich zderzały się bądź łączyły ze sobą”. Czy tam, pośród tysięcy galaktyk, mógł być ktoś taki jak ja? Nie sądzę, choć taka świadomość mogłaby być pocieszająca. Życie pozagrobowe wydaje mi się równie mało prawdopodobne jak poprzednie wcielenia. Moje istnienie jest przypadkiem, wynikiem podróży jednego maleńkiego, ruchliwego plemnika, który wniknął do komórki jajowej; zbiegiem okoliczności, który nastąpił w określonym miejscu i czasie, niezaplanowanym przez żadną inteligentną istotę; wynikiem ewolucji i niezliczonych przypadkowych zdarzeń, które skończyły się szczęśliwie dla mnie a pechowo dla innego możliwego kandydata na pierwotną córkę lub syna Tarcherów.

Wydaje mi się jednak, że musi być istnieć jakaś „wyższa potęga”, bo w przeciwnym razie

każdy z nas byłby najwyższą potęgą, a to jest logicznie niemożliwe i bardzo nie-boskie. Ale czym jest owa wyższa potęga? Chętnie się zgodzę, żeby ta wyższa potęga określiła samą siebie i będę bardzo zadowolona, jeśli nie będę wiedziała, dopóki nie zechce mi tego powiedzieć, co o tym myśleć albo w co wierzyć. W braku lepszego terminu, nazwijcie to ślełą wiarą, ale nie „wiarą” w znaczeniu, jakie temu słowu nadaje większość ludzi. Czuję, że każdy spełniony przeze mnie dobry uczynek musi być spełniony tu i teraz, bo inaczej nie jest wart funta kłaków.

* * *

Wiosną, na pierwszym roku studiów, poznałam Jimmy Kahna, który studiował w Princeton. Gdybym była wtedy gotowa do przeżycia prawdziwej miłości, byłby nią Jimmy, wyjątkowo uroczy chłopak: wysoki, jasnowłosy i bardzo dobry, o nieco surowych rysach. Matka akceptowała go bez zastrzeżeń. Był nie tylko bardzo bogaty, ale i tak mną oczarowany, że żartował, iż chce zmienić nazwisko na Tarcher. Służył w Marynarce i był o rok niżej niż ja.

Pewnego dnia, wczesną wiosną w rok później, Jimmy przyjechał odwiedzić mnie w Wellesley — nasz romans wciąż trwał. Wybraliśmy się na przejażdżkę kajakiem — chociaż nie powinnam nigdy więcej wchodzić do kajaka — i kiedy byliśmy już daleko od brzegu, przyznał się, że w pakunku, który miał ze sobą, znajduje się butelka jego ulubionej whisky, Haig & Haig Pinch. Przybiliśmy bezpiecznie do brzegu, wyciągnęliśmy kajak na ląd, akurat naprzeciw terenów college’u i parę razy pociągnęliśmy z butelki. Po chwili, przepelnieni miłością do całego rodzaju ludzkiego, zaprosiliśmy inne pary z kajaków, żeby się do nas przyłączyły.

Żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie. Naprawdę nie. Następnego dnia Babs Butterfield, kierownik akademika, któremu towarzyszyli pozostali funkcjonariusze, wkroczyli do mego pokoju z bardzo poważnymi minami.

„Doniesiono nam, że wczoraj nad jeziorem piłaś alkohol, Torchy.”

„Nie byłam nad jeziorem, byłam na plaży Hunnelwell.”

„Ten teren należy do college’u.”

„Jakże to możliwe? Nie nazywa się Wellesley. Należy do Hunnelwell.”

„Naprawdę tak myślisz?”

„Oczywiście”, odpowiedziałam, szczerze oburzona. Do dziś dnia jestem święcie przekonana, że miałam rację, a oni całkowicie się mylili. W trzydzieści lat później, dla upamiętnienia tego zdarzenia, dałam mojej pierwszej bohaterce, Wilhelminie „Billy” Winthrop, właścicielce Scruples, drugie imię Hunnelwell.

Komisja opuściła mój pokój, żeby podjąć decyzję co do moich dalszych losów. W końcu postanowili, że ponieważ brakuje mi niecałego semestru do ukończenia college’u, karą nie będzie wydalenie, ale zakaz opuszczania Wellesley wieczorem aż do zakończenia roku szkolnego.

W tym semestrze dostałam same piątki. Matka zareagowała wściekłością. „Zawsze mówiłam, że powinnaś być członkiem korporacji Phi Beta Kappa.” „Nie masz racji”, odrzekłam. „Znam wielu jej członków i są oni nie tylko znacznie zdolniejsi ode mnie, lecz także są dziesięć razy bardziej pracowici.” Byłam na tyle przebiegła, iż nie dodałam, że spotykają się ze swoimi sympatiami znacznie rzadziej niż ja. Po co jej dawać do ręki dodatkową broń?

Gdzieś w latach osiemdziesiątych miałam wykład w Wellesley i zostałam zaproszona wraz z mężem do domu dyrektorki college’u. Przeżyłam szok, kiedy otworzyła nieźle zaopatrzone barek i zaproponowała mi drinka. „Drinka? Na terenie college’u?!” powiedziałam, „Och, nie, w żadnym wypadku!” Śmiejąc się, wyjaśniła, że jedynym przepisem, jaki się utrzymał, jest nakaz opuszczenia pokoiów podczas ćwiczeń przeciwpożarowych i dotyczy to także chłopców. „Chłopców?” wykrzyknęłam. „Och, tak, mogą tu nocować, ale po spędzeniu trzech nocy muszą

na jedną noc opuścić teren college'u, zanim tu znowu wrócą." No, nie, córko Wellesley, powiedzcie, że to nieprawda. „Nocować”, na miłość boską! Nic nie mogło mi lepiej uświadomić, jak bardzo wszystko uległo zmianie.

Na ostatnim roku odbył się egzamin końcowy, budzący ogólne przerażenie „egzamin ogólny”, który trwał cztery godziny i podczas którego miałyśmy napisać wypracowanie na temat dotyczący głównego kierunku studiów. Po egzaminie otrzymałam niezwykle list od szefa sekcji języka angielskiego, który mi gratulował i napisał, że moje wypracowanie upewniło sekcję co do potrzeby utrzymania tego egzaminu, nad czym często dyskutowano.

Temat, który wybrałam, brzmiał, „Jaka jest rola bohatera w literaturze angielskiej?” Oczywiście w owych czasach nigdy nie myślano o roli bohaterki. Teraz przychodzi mi do głowy, że mimo wszystko w Wellesley nauczyłam się wiele, jeśli chodzi o umiejętność pisania, dzięki kierunkowi, jaki wybrałam i moim lekturom. Wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, ponieważ nastąpiło to tak bezboleśnie.

Uważam, że pięćdziesiąt procent podstawowego przygotowania pisarza polega na tym, żeby czytać, czytać i jeszcze raz czytać, aż podstawowe elementy i schematy konstrukcyjne wejdą w krew. Pozostałe pięćdziesiąt procent to w połowie talent narracyjny a w połowie bezcenna i dość rzadka umiejętność wytrwania, pisania i przepisywania, aż do końca powieści. Wszystkie talenty tego świata nie wystarczą do napisania powieści, jeżeli nie zdołamy się zmusić do napisania utworu do końca, przy czym ostatnie rozdziały powinny być co najmniej równie interesujące jak pierwsze. W pracy powieściopisarza zasadnicze znaczenie ma wytrwałość i raczej nie wierzę, aby tej cechy można się było nauczyć. Z pewnością miało dla mnie ogromne znaczenie to, że czuję przymus pisania.

Jednak ile byśmy nie przeczytali i ile byśmy się nie namęczyli, nie napiszemy dobrej powieści bez umiejętności opowiadania. Ja to potrafię, może dzięki wyższej potędze?

* * *

W międzyczasie Jimmy Kahn nie mógł stale trwać w zawieszaniu. Pragnął się ze mną ożenić zaraz po ukończeniu college'u i zamieszkać w Princeton, gdzie miał studiować jeszcze przez rok. Musiałam przestać się spotykać z moim kochanym, seksownym chłopakiem, z którym gotowa byłam na każde szaleństwo, z wyjątkiem prawdziwego stosunku. Na bal na zakończenie college'u zaprosiłam swego platonicznego przyjaciela z Yale, Larry'ego Goodmana.

W tym czasie nie potrafiłam na serio zastanawiać się nad możliwością małżeństwa. W istocie przez następne pięć lat w ogóle o tym nie myślałam. Prawie wszystkie z moich koleżanek były już zaręczone i kiedy składałam im życzenia i podziwiałam ich pierścionki zaręczynowe, nie mogłam zrozumieć, dlaczego robią takie głupstwo. Wyjść za mąż? Przestać się bawić? Zamieszkać na stałe z jednym mężczyzną? Życie się dopiero zaczynało, jak mogły nie chcieć poczuć jego smaku?

W wieczór przed ukończeniem college'u nie mogłam zasnąć. Miałam całkowitą pewność, że nigdy więcej nie znajdę się w miejscu, gdzie będę tak doskonale szczęśliwa. Cokolwiek się wydarzy, nigdy już nie powrócą te wspaniałe cztery lata. Miałam rację co do lat spędzonych w college'u. Ale myliłam się co do szczęścia.

Rozdział dziewiąty

W tydzień po ukończeniu przeze mnie college'u, w czerwcu 1948 roku, rodzina Tarcherów weszła na pokład *Queen Mary* i wyruszyła w podróż do Europy. Ojciec planował tę wycieczkę od zakończenia II Wojny Światowej i wreszcie kraje europejskie zaczęły wabić turystów obietnicą, że nie zabraknie benzyny na podróżowanie po kontynencie. Ojciec i matka wiele podróżowali przed wojną i chcieli pokazać dzieciom wszystkie miejsca, które polubili.

Za bardzo opłakiwałam Wellesley, żeby móc się cieszyć na tę podróż. Mimi, która właśnie skończyła dziewiętnaście lat, była „zaręczona” z księciem przemysłu futrzarskiego. Pierwsze dwa lata nauki spędziła w college'u Finch Junior, a potem przeniosła się na Uniwersytet Nowojorski, wciąż mieszkając z rodzicami i żywiąc daremną, jak się okazało, nadzieję, że pod moją nieobecność stanie się centrum zainteresowania matki.

Kiedy wielki statek wyruszył w drogę, zapomnieliśmy o tym, co zostawiłyśmy za sobą. Mieliśmy kabiny pierwszej klasy, ale trzecią klasą podróżowało mnóstwo chłopców z college'u, z którymi natychmiast nawiązałyśmy znajomość, dzięki pośrednictwu Larry'ego Goodmana, który potem został wybitnym senatorem ze stanu Nowy Jork. Mimi i ja przeszmygowałyśmy tyłu chłopców ile zdołałyśmy do baru na pokładzie pierwszej klasy, aż w końcu uprzejmy steward zwrócił nam uwagę, żebyśmy się odpowiednio zachowywały. Starsi pasażerowie zauważyli nieproszonych gości i złożyli skargę. Od tej pory całe dni spędzałyśmy na pokładzie trzeciej klasy, czego matka nie mogła nam darować, gderając, że marnują się drogie miejsca, które wykupiliśmy.

Każdego wieczoru pojawiałyśmy się na głównym pokładzie, wystrojone w długie suknie i dołączałyśmy do rodziców i Jeremy'ego, z którymi jadłyśmy obiad, ponieważ jedzenie w pierwszej klasie było o wiele lepsze niż to, które podawano na dolnym pokładzie. Zaraz po obiedzie, nie tracąc czasu na przebieranie się, niecierpliwie dołączałyśmy do chłopców. Pamiętam jak pewnego wieczoru zbiegałyśmy wielkimi schodami, ja ubrana na biało a Mimi na czarno, kiedy zauważyłyśmy księcia Windsoru, który właśnie wchodził po schodach w towarzystwie swojej świty.

„Nie gap się”, syknęłam do siostry i przemknęłyśmy obok, udając, że rozmawiamy. Gdy tylko znalazłyśmy się w bezpiecznej odległości, przystanęłyśmy i obejrzałyśmy się za siebie. Księżę także się zatrzymał i patrzył na nas z zainteresowaniem. Nie mogąc się powstrzymać od śmiechu, podekscytowane umknęłyśmy czym prędzej.

W owych czasach nie można było wynająć samochodu, więc ojciec zabrał ze sobą naszego Cadillaca, rocznik 1941, jeden z ostatnich egzemplarzy wyprodukowanych przed wojną. Był to ogromny, luksusowy szary pojazd, w którym swobodnie mieściło się sześć osób, trzy z przodu i trzy z tyłu.

Portem docelowym był Southampton, ale statek specjalnie się zatrzymał w Cherbourgu, gdzie wysiedli Windsorowie i my. Wszyscy na pokładzie stłoczyli się przy relingu, patrząc jak dźwig przenosi nasz samochód na barkę, która czekała obok statku, zakotwiczonego w sporej odległości od portu.

Nasza piątka przeszła na pokład barki, a następnie przeniesiono nasze trzy kufry i kilka walizek, które utworzyły na pokładzie spory stos. Potem, przesyłając pocałunki naszym chłopakom, czekałyśmy, dopóki cały bagaż, przynajmniej piętnaście razy większy niż nasz, nie wylądował na barce, niedaleko od naszego. Na koniec pojawili się w pełnej chwale księżę i księżna Windsoru, którzy ani razu nie zaszczycili nas swoją obecnością w jadalni na statku i

stanęli obok ogromnej góry swego dobytku. Podczas całej podróży do portu ignorowali nas całkowicie, jak gdyby byli sami na pokładzie, chociaż Mimi i ja nie spuszczałyśmy ich z oczu. W 1980 roku, w trzydzieści dwa lata po tym wydarzeniu, wykorzystałam upiększoną wersję tej sceny w mojej drugiej powieści, *Księżniczka Daisy*.

Podczas gdy ojciec załatwiał formalności celne, Mimi i ja miałyśmy odszukać młodego Francuza, nazwiskiem Gérard Tournauer, który przez najbliższe dwa miesiące miał być naszym kierowcą. Ojciec, który był na tyle rozsądny, żeby przyznać, że jest beznadziejnym kierowcą, przy pomocy swego przyjaciela, Rogera Falka, załatwił żeby jego daleki kuzyn, Gérard, który był studentem architektury w École des Beaux-Arts, zamieszkał z nami jak członek rodziny i był naszym kierowcą i przewodnikiem.

Kiedy nieśmiało zaczęłyśmy kilka osób i, nerwowo chichocząc, zapytałyśmy o ich nazwiska, zaczęłam się irytować. „Jak wiele młodych Amerykanek włóczy się dzisiaj koło odprawy celnej?” pytałam. „Dlaczego nas nie rozpoznaje? Przecież chyba rzucamy się w oczy.”

Może Gérard był po prostu zbyt nieśmiały, bo w końcu znalazłyśmy go opartego o jakąś kolumnę. Było oczywiste, że nigdy jeszcze nie spotkałyśmy nikogo w tym rodzaju, mężczyzny tak odmiennego od tych, których znałyśmy dotąd, dowcipnego, bardzo inteligentnego i wyraźnie sardonicznego; na sto kroków było widać, że jest Francuzem. Na dodatek był wysoki i szczupły, ze wspaniałą czupryną, starannie uczesaną, ciemną i falującą. Nie mogłyśmy uwierzyć w nasze szczęście. Ów cudowny przedstawiciel tego narodu miał przez osiem tygodni należeć do nas.

Mimi i ja nigdy przedtem nie konkurowałyśmy o względy tego samego mężczyzny. Byłyśmy razem na randkach niezliczoną liczbę razy i nigdy nie było żadnego problemu, ponieważ podobają nam się inne typy mężczyzn. Gérard miał nam udowodnić, że jest inaczej.

Tymczasem byliśmy już w drodze do Paryża, jadąc przez Normandię i zatrzymując się jedynie na obiad, podczas którego, jękając się, wypowiedziałam pierwsze słowa łamaną francuszczyzną, „*Toilet, si vous plaisir?*” — jedyne słowa, które odważyłam się wykrztusić.

Było już ciemno, kiedy dotarliśmy do hotelu George V, gdzie padłyśmy na łóżko, oszołomione wspaniałością naszego pokoju i łazienki. Mama, Tata i Jeremy dostali osobne pokoje i ojciec był wściekły, że przedsiębiorczy Gérard, któremu powierzył sprawy związane z planem naszego pobytu i rezerwacjami hoteli, nie znalazł czegoś mniejszego, bardziej oryginalnego i bardziej francuskiego niż ten najbardziej typowy i okazały ze wszystkich hoteli.

Prawie nie pamiętam Paryża z owego wieczoru. Ulice były słabo oświetlone, a ja byłam zbyt zmęczona. Ale następnego ranka otworzyłam okna, które wychodziły na aleję George’a V i tego widoku Paryża nie zapomnę do końca moich dni. Natychmiast znalazłam się w środku francuskiego lata. Zapach powietrza, zapach, który można smakować, symfonia odgłosów ulicy, światło sączące się przez gałęzie drzew, długa perspektywa alei... Wyobraźcie sobie wszystkie romantyczne i legendarne rzeczy, o których czytaliście czy też widzieliście w filmach o Paryżu, a potem pomyślcie o tym wszystkim, zatrzymanym w jednej chwili, a może zrozumiecie moje wrażenia, kiedy otworzyłam to okno. Wówczas nie przypuszczałam, że to odmieni całą moją przyszłość, ale byłam po prostu oszalała z podniecenia.

Podczas gdy matka robiła zakupy, a ojciec zwiedzał muzea, nasza trójka spędziła następne dziesięć dni oglądając wszystkie najważniejsze pomniki w Paryżu. Gérard potraktował swoje obowiązki przewodnika poważnie, chociaż jęczeliśmy, żeby trochę odetchnąć. Próbując zrobić przystanek w każdej napotkanej kawiarni i przy każdej wystawie, musieliśmy obejrzeć każdą trzy gwiazdkową atrakcję z przewodnika Michelina. Wieczorem Gérard łągodniał i zabierał mnie i Mimi do nocnych klubów na bulwarze Saint-Germain. W Le Club śpiewała Juliette Greco, owa pociągająca cyganka, która później została aktorką, a w La Rosę Rouge nastolatki, nazywane *Jes rats* tańczyły jak oszalałe. Jedyнным dostępnym alkoholem był Pernod, paskudny ale dający się

wypić, bo pod ręką nie było nic innego. Wkrótce nauczyłyśmy się używać koedukacyjnych łazienek, gdzie toaletę stanowił otwór w wyłożonej kafelkami podłodze, nachylony z punktu widzenia kobiet w niewłaściwym kierunku. W ciągu roku wszystko to miało stać się legendą i ludzie przychodzili popatrzeć na *Jes rats*”, jak gdyby oglądali płatne przedstawienie, ale wtedy, latem 1948 roku, było to pełne szaleństwa, pozbawione zahamowań, prowokacyjne i przede wszystkim autentyczne.

Dopiero dobre trzy lata później przybyli dziennikarze z *Paris Review* i zaczęli pisać o Paryżu w sposób tak „zazdrosny”, jakby to oni go odkryli.

Paryż w 1948 roku był zupełnie inny niż Paryż dzisiaj. Nie było ruchu, z wyjątkiem autobusów i paru staromodnych, ciemnoczerwonych taksówek Renault; nie było zanieczyszczeń, które pokryły ciemnym nalotem lśniące, srebrno-szare kamienie na placach i murach kościołów; nie było ohydnych nowoczesnych budynków; nie było reklam. To był Paryż, jaki zbudowałby scenograf komedii muzycznej w mieście z 1938 roku, ponieważ miasto pozostało nietknięte przez II Wojnę Światową — Niemcy traktowali Paryż jak własny park zabaw i mimo że tuż przed przybyciem aliantów francuski ruch oporu stoczył krótką bitwę o wyzwolenie miasta, nie pozostawiło to żadnych widocznych śladów. Wszystkie restauracje były pełne, kawiarnie zatłoczone, a Paryżanie cieszyli się piękną czerwcową pogodą, przepełnieni taką radością, jakiej nie okazywali już nigdy potem, podczas mojego pięcioletniego pobytu w tym mieście.

Kobiety spacerujące po ulicach były ubrane w stroje od Diora, zaprojektowane zaledwie rok wcześniej: bardzo kobiece suknie i kostiumy, z ciasno dopasowanymi zakietami, wciętą talią i spódnicami na halce, sięgającymi do połowy łydki; na głowach miały fantazyjne kapelusze a na nogach buty na wysokich obcasach. Wszyscy czuliśmy się niemodnie ubrani; w porównaniu z nimi wyglądaliśmy żałośnie. Spódnice zwisały luźno, podtrzymywane paskiem w talii, zakiety lekko dopasowane, a płaskie buty miały służyć wygodzie.

Ilekoć wracałyśmy do hotelu po całodziennym zwiedzaniu miasta, przemierzałyśmy, postępując za matką, ogromny hall, wypełniony wystrojonymi Paryżankami w średnim wieku, które popijały herbatę i jadły ciastka, siedząc przy maleńkich stolikach. Przez pierwsze dwa dni musiałyśmy to znosić; wszystkie wpatrywały się w nas w milczeniu i z wyrazem pogardliwego zdumienia. Szybko przemykałyśmy obok, z wzrokiem wbitym w podłogę i marząc, abyśmy były niewidzialne. W końcu wpadłam na pomysł. „My też zacznijmy się w nie wpatrywać”, zaproponowałam Mimi. „Patrzmy na nie, jak gdyby to one wyglądały niemodnie. Idźmy powoli, nawiążmy kontakt wzrokowy, postawa wyprostowana, głowa do góry, uniesione brwi, twarz bez wyrazu. Pamiętaj, *jesteśmy młode a one nie*.

Zadziałało! Paradowałyśmy bezczelnie, zuchwale lustrując kobiety, które w nas budziły lęk. Spuszczaly oczy i powracały do rozmów.

Jak za dawnych czasów, ojciec zabrał nas wszystkich na lunch do La Tour d'Argent. Owładnięty nostalgią, zamówił dla wszystkich bliny z kawiozem i śmietaną, kaczkę i truskawki z bitą śmietaną. Mimi i ja przez całe popołudnie gwałtownie wymiotowałyśmy. Pomiędzy atakami nudności, czytałyśmy na zmianę *Zwrotnik Raka*, książkę, którą podarował mi Larry Goodman. Byłam ogromnie zaintrygowana. Po raz pierwszy w życiu czytałam coś, co było uważane za pornografię. Do licha, to była pornografia... i dlatego było to takie interesujące.

Roger Falk przedstawił nas uwielbianej przez siebie kuzynce, Ginette Spanier — było to zdecydowanie najważniejsze wydarzenie tego tygodnia. Ginette piastowała wysokie stanowisko *directrice* wielkiego domu mody Pierre'a Balmaina.

Była niesłychanie dynamiczną, ekscytującą i uderzająco ładną kobietą o ciemnych oczach i ciemnych włosach, zaczesanych do tyłu, z przedziałkiem pośrodku, niezwykle wyrafinowaną, można nawet powiedzieć przerafinowaną. Ginette miała na sobie, co jak się potem dowiedziałam

stale nosiła, trzy sznury pereł, perłowe kolczyki i najnowszą kreację Balmaina, zawsze w kolorze szarym. Królowała, siedząc za biurkiem u szczytu schodów, skąd sprawowała nadzór nad przyjmowaniem klientów i zachowaniem sprzedawczyń. Jak tylko to uosobienie paryskiej elegancji usłyszało nasze nazwisko, dosłownie krzyknęło z radości, zerwało się od biurka i wyściskało nas wszystkich, podskakując z podniecenia — takiej reakcji najmniej bym się po niej spodziewała.

Roger Falk należał do grona jej ulubionych przyjaciół i oczekiwała naszego przybycia. Ginette była Żydówką, pół–Angielką, pół–Francuzką, wychowaną w Anglii. Tuż przed wkroczeniem Niemców do Francji wyszła za mąż za francuskiego Żyda, Paula–Emila Seidmanna, i oboje ukrywali się przed Niemcami aż do końca wojny; pracowała w amerykańskiej armii jako tłumaczka. Prawie trzydzieści lat później Ginette wystąpiła pod własnym nazwiskiem na kartach powieści *Skrupoty*, a *Córka Mistrala* jest jej zadedykowana.

Owego wieczoru rodzina Tarcherów została zaproszona na drinka do wielkiego mieszkania Ginette i Paula–Emila przy alei Monceau. Ginette przyjmowała gości każdego wieczoru, wybierając ich spośród wielu osób, które gromadziły się u Balmaina, żeby zobaczyć pokaz mody, który się odbywał każdego popołudnia. Odniosłam wrażenie, że zna absolutnie wszystkich i właściwie nie byłam zaskoczona, kiedy poznałam ją lepiej i dowiedziałam się, że czwórkę jej najbliższych przyjaciół stanowili Noel Coward, Laurence Olivier, Danny Kaye i Marlena Dietrich.

Paul–Emile był lekarzem wszystkich ludzi zatrudnionych w przemyśle rozrywkowym, którzy zatrzymywali się w Paryżu i w wiele lat później opowiedział mi, jak to pewnego wieczoru wrócił z teatru do domu i w swojej sypialni zastał Vivien Leigh i Petera Fincha, którzy mieli namiętny romans i razem uciekli. Paula–Emila wprowadziła we wściekłość nie sama sytuacja, ale fakt, że Peter Finch miał na sobie jego nowy płaszcz kąpielowy. Ginette wyprawiła ich oboje z powrotem do Londynu i małżeństwo Olivierów zostało uratowane.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Ginette jeździła co roku do Stanów Zjednoczonych, gdzie dawała wykłady w klubach dla kobiet w całym kraju na temat prowadzenia domu mody. Kiedyś pojechałam z nią do dużego klubu koło Filadelfii i towarzyszyłam jej, kiedy przebierała się w biały kostium z kołnierzem z nerek i odpowiednio dobrany kapelusze. Pociągnęła duży łyk wódki ze srebrnej flaszki i ruszyła na scenę, gdzie przez godzinę czarowała swoją widownię. Był to jeden z najlepszych występów, jakie kiedykolwiek widziałam. Nic dziwnego, że uwielbiała ludzi z show–biznesu. Była jedyna w swoim rodzaju.

Kiedy napisała do mnie dziękując za dedykację *Córki Mistrala*, wyznała, że jedyną rzeczą, która w tym roku sprawiła jej taką samą przyjemność był fakt, że została wymieniona aż pięćdziesiąt dziewięć razy w autobiografii Noela Cowarda. Jestem przekonana, że ta autobiografia była dla niej dużo ważniejsza niż moja dedykacja.

Matka zamówiła kostium z kolekcji Balmaina i po raz pierwszy w życiu miała przymiarkę. Wkrótce potem opuściliśmy Paryż, wyruszając na wycieczkę, która trwała prawie dwa miesiące. Zamierzaliśmy wrócić tylko po to, żeby odebrać gotowy kostium, zanim wyjedziemy do Londynu i ruszymy do Nowego Jorku na pokładzie *Queen Elisabeth*. Nasze kufrы zostały w hotelu i każde z nas, w tym i Gérard, mogło zabrać dwie średnie walizki, które umieszczono na dachu Cadillaca. Ładowanie ich na dach i mocowanie do bagażnika każdego ranka zajmowało ponad pół godziny. Przed hotelem zbierał się tłum, żeby obserwować to wydarzenie — coś, czego przez cały rok nie widziano w Paryżu.

Wybraliśmy klasyczną trasę na południe Francji, przez Lyon, Avignon i Aix, kierując się w stronę niewielkiej miejscowości na Lazurowym Wybrzeżu, o której nigdy nie słyszeliśmy, a którą zaproponował Gérard. I znów rodzina Tarcherów wyprzedziła tłumy turystów.

Wylądowaliśmy w Saint-Tropez, na osiem lat przed odkryciem tej miejscowości przez Brigitte Bardot i spółkę.

Podczas naszej podróży na południe, moja biedna matka patrzyła z wyraźnym niesmakiem, jak w dyskretny sposób — tak się nam wydawało — Mimi i ja próbowałyśmy zająć miejsce koło Gérarda. Nie mogłam uwierzyć, że Mimi, która była „zaręczona” z sympatycznym chłopakiem, o którego miała się troszczyć, w istocie miała czelność otwarcie zalecać się do Gérarda — to było nieuczciwe i w najwyższym stopniu oburzające. Niewątpliwie, jako starsza i nie związana z nikim, ja miałam do tego prawo, ale Mimi miała na to odmienny pogląd. Sam Gérard nie zdradzał swoich preferencji. Byłam wściekła i nie mogłam w to uwierzyć, ale Mimi nie ustępowała. Wkrótce, zbyt dumna, żeby walczyć, zostawiłam go siostrze i pozwoliłam Jeremy’emu zająć moje miejsce z przodu samochodu.

Matka, nie mogąc znieść, jak wpychamy pięciodaniowy lunch i pięciodaniowy obiad, prawie każdego wieczoru jadła w swoim pokoju zupę z chlebem. Ojciec, który wciąż świętował, namawiał nas, żebyśmy spróbowali wszystkiego, co jest w karcie. W miarę posuwania się coraz bardziej na południe, uzyskując znakomity czas na prawie pustych drogach, Mimi i ja zaczęłyśmy się chować na podłodze samochodu, kiedy przejeżdżaliśmy powoli i ostrożnie wąskimi ulicami małych wsi, gdzie widok naszego wielkiego, obładowanego samochodu przyciągał tłumy ludzi. Byłyśmy zawstyżone siedząc w tym luksusowym aucie i mijając miasta, w których wciąż były widoczne liczne ślady zniszczeń wojennych. W przeciwieństwie do Paryża, wszędzie na wsi widać było ślady walk, które tam się toczyły.

W Saint-Tropez zatrzymaliśmy się w hotelu parę kilometrów za miastem, ponieważ w jedynym hotelu nie było dla nas wystarczającej liczby miejsc. Spacerując po Saint-Tropez, tej walącej się, uroczej i absolutnie nietkniętej wsi rybackiej, w której było tylko kilka kawiarni, doznaliśmy niemal takiego samego olśnienia jak wtedy, gdy znaleźliśmy się po raz pierwszy w Paryżu.

Pierwszego wieczoru, po obiedzie, z jakiegoś powodu czujność Mimi osłabła, dzięki czemu mogliśmy z Gérardem przejść się na parking.

„*Enfin seul*” powiedział, zatrzymując się.

„Co to znaczy?” spytałam. Podczas trzech lat nauki francuskiego w szkole średniej, nasza nauczycielka, mademoiselle Gaillrand, nigdy nie odezwała się do nas w swoim ojczystym języku.

„Nareszcie sami.”

Coś takiego! Wygrałam! Pobiałam tę sukę, moją siostrę. Dopiero po paru sekundach, kiedy przetrzymałam swój triumf, zdałam sobie sprawę, że nadszedł czas pocałunków. Od tego wieczoru, kiedy podróżowaliśmy dalej wzdłuż Lazurowego Wybrzeża w kierunku Włoch, przez Florencję i Rzym do Wenecji (zaliczyliśmy wszystkie widoki), wymykałam się z pokoju, który dzieliłam z Mimi i spotykałam się z Gérardem, z którym całowaliśmy się godzinami na przednim siedzeniu samochodu.

W Rzymie udało nam się nawet wybrać razem do katakumb, rajy dla zakochanych par; epizod ten wykorzystałam w jednej ze scen *Córki Mistrala*. Każdego wieczoru Mimi patrzyła na mnie podejrzliwie, kiedy wychodziłam i każdego wieczoru próbowała mnie szantażować, groząc, że powie Mamie co się dzieje, ale koniec końców ani ja nie zrezygnowałam ani też ona mnie nie wydała.

W końcu stosunki między mną a moim pierwszym Francuzem zaczęły się psuć. Gérard, co było całkiem naturalne, spodziewał się więcej, niż miałam ochotę mu dać. A ja, przywykła do chłopaków z college’u byłam zdumiona, że muszę wysłuchiwać jego cierpkich uwag na temat amerykańskich dziewczyn. Cóż on sobie wyobrażał, czym innym, na miłość boską, mogłam być?

Koniec nastąpił w Szwajcarii, kiedy Jeremy, który dzielił z nim pokój, powiedział mi, że

Gérard każdego wieczoru przed pójściem do łóżka zakłada na włosy siatkę! A więc taki był sekret jego pięknie falujących włosów. W innych czasach Gérard miałby wspaniałą czuprynę afro, ale w 1948 roku obraz mężczyzny w siatce na włosy wystarczył, żeby się zniechęcić do niego na dobre. W przyszłości Gérard miał zdobyć Prix de Rome i zostać bardzo cenionym architektem.

Właśnie w Rzymie postanowiłam nie wracać do Nowego Jorku, wieczorem siedzieliśmy razem w kawiarni i nagle kształt wielkiego Placu z obeliskiem pośrodku przypomniał mi plac Vendôme. W jednej chwili wiedziałam, byłam tak pewna jak nigdy w życiu, że *muszę* zostać w Paryżu, że żadna siła na ziemi nie zmusi mnie do powrotu z rodziną do Nowego Jorku, że jest to szansa mojego życia.

W Nowym Jorku czekała na mnie bardzo interesująca praca. Herb Mayes był jednym z najlepszych przyjaciół mego ojca i redaktorem naczelnym magazynu *Good Housekeeping*. Każdego lata, podczas mego pobytu w college'u, pracowałam jako praktykantka w różnych działach magazynu. Herbert od dawna był moim mentorem. Zamówił u mnie artykuł dla swego magazynu pt. „Wielka szansa na sukces”, który opublikował w czerwcu, kiedy byłam na ostatnim roku college'u i za który zapłacił mi ogromną sumę pięciuset dolarów. Ponadto każdego miesiąca przygotowywałam dla niego analizę krytyczną poszczególnych działów magazynu i dostawałam za każdą całe dwadzieścia pięć dolarów, które to pieniądze w istotny sposób uzupełniały moje kieszonkowe.

Znałam Maysesów od czwartego roku życia, czyli od czasu, kiedy ugruntował się we mnie pogląd, którego nie porzuciłam do dziś dnia, że Herb i Grace, którzy wówczas byli bezdzietni, *kupili* mnie od rodziców, ponieważ naprawdę byli znacznie bardziej mną zainteresowani niż inni przyjaciele rodziny. Nigdy nie zwracali najmniejszej uwagi na Mimi i Jeremy'ego, co naturalnie sprawiało mi wielką przyjemność. Ich córka, Alex Mayes Birnbaum, która przyszła na świat, kiedy miałam trzynaście lat, do dziś odgrywa w moim życiu ważną rolę, chociaż mieszka w Nowym Jorku a ja w Los Angeles. Często do siebie dzwonic i rozmawiamy o swoich matkach, które były ze sobą tak blisko.

Ale mniejsza o pracę; postanowiłam przekonać rodziców, żeby pozwolili mi spędzić rok w Paryżu. Zabrało mi to całe tygodnie, zanim udało mi się złamać ich upór, nalegając z wytrwałością, o którą siebie nie podejrzewałam. Matkę ostatecznie przekonała obietnica, że nauczę się mówić po francusku. Ona i Grace Mayes chodziły na lekcje francuskiego przez długie lata i chociaż Mamę trudno byłoby uznać za romantyczkę, kochała język francuski i uważała, że ktoś kto nie zna tego języka, nie jest naprawdę wykształcony.

Tatę trudniej było przekonać. Jego argumenty były oczywiście filozoficzne. Nie uważał, żeby było mu dane „moralne prawo do podejmowania decyzji, które zmieniają moje życie”. Dopiero gdy w nagłym olśnieniu zwróciłam mu uwagę, że będzie odpowiedzialny, jeżeli wyśle mnie na drugą stronę ulicy, żebym kupiła gazetę, a ja wpadnę pod samochód, w końcu ustąpił. „Nie chcę, żebyś się pałętała i nic nie robiła”, powiedział i dodał, że jeśli nie dostanę pracy, będę musiała na Boże narodzenie wrócić do domu. Przyrzekłam, że pójdę do pracy, równie ochoczo jak obiecałam, że będę się uczyć francuskiego — obiecałabym cokolwiek, żeby móc zostać w Paryżu.

Oczywiście dziś zdaję sobie sprawę, że ojciec miał całkowitą rację. Jego decyzja niewątpliwie zmieniła całe moje życie. Bez Paryża, nic nie byłoby takie same. Bez Paryża nadal byłabym sobą, ale z zupełnie inną przeszłością i terażniejszością, miałabym innego męża, inne dzieci, zapewne inaczej potoczyłaby się moja kariera, zapewne wyznawałabym inną filozofię życiową... ale wierzcie mi, nadal byłabym ateistką. Jednak Paryż był moim przeznaczeniem i moją przyszłością i jestem bardzo rada, że tak się stało.

Nasza wycieczka doprowadziła nas z powrotem do Paryża, gdzie zatrzymaliśmy się na tydzień, czekając na skończenie kostiumu matki. Ginette znowu zaprosiła nas na drinka. Zapewniła moich rodziców, że będzie na mnie uważać i pilnować mojego morale. Z kolei Paul-Emile miał dbać o moje zdrowie.

Nieco uspokojeni rodzice zajęli się problemem miejsca mego zamieszkania. Jednym z klientów mego ojca była firma Coty, wówczas ekskluzywne przedsiębiorstwo produkujące kosmetyki i perfumy, które miało swój butik na placu Vendôme. Porozumiano się z kierowniczką butiku, Rosemarie Aubert. Okazało się, że zna „bardzo dobrą” rodzinę, nazwiskiem Bouchet de Fareins, u której mogłabym zamieszkać jako sublokatorka, ponieważ każdego roku przyjmowali do siebie jedną dziewczynę. W tym czasie przebywali na wsi, w Honfleur, w Normandii, ale wkrótce nas zawiadomiono, że się zgadzają i sprawa została załatwiona. Poszłam zrobić sobie zdjęcie do paszportu, bo nadal byłam wpisana do paszportu matki, po czym otrzymałam wizę i kartki żywnościowe.

Pozostało jeszcze dziesięć dni do końca pobytu. Wyjechaliśmy do Londynu, zabierając ze sobą tyle kartonów świeżych jaj, ile zdołaliśmy, dla przyjaciół moich rodziców, którzy nie widzieli jajek od lat. Londyn robił koszarne wrażenie: biedny, zniszczony, ponury i szary; żywność była ściśle racjonowana i jeszcze nie zaczęła się odbudowa ze zniszczeń wojennych. To było miasto z zupełnie innego świata niż Paryż. Anglicy zapłacili straszliwą cenę za walkę z Niemcami i uratowanie naszej cywilizacji i miało upłynąć wiele lat, zanim sytuacja wróci do normy.

Kiedy czekałam z rodziną w odrapanym, staromodnym i bardzo podnoszącym na duchu Brown's Hotel, z każdym dniem ogarniały mnie coraz większe wątpliwości. Nic nie byłoby dla mnie bardziej druzgocące niż gdyby mi powiedziano, że z jakiegoś powodu nie mogę zostać w Paryżu. Ale z drugiej strony zaczęłam sobie zdawać sprawę, że znalazłam się w naprawdę trudnej sytuacji, podejmując największe wyzwanie, jakie sobie mogłam wyobrazić.

Miałam zamieszkać zupełnie samotnie, pośród obcych mi ludzi, prawie nie znając ich języka i historii, manier i stosunku do małych Amerykanek. W jaki sposób się wpakowałam w tę ryzykowną, przerażającą sytuację? Jak mogłam walczyć tak zawzięcie o coś, co do czego nie miałam żadnej pewności, że się uda?

Sama przed sobą udawałam, że wszystko jest w porządku, nie zdradzając przed nikim swego przerażenia, ponieważ wiedziałam, że rodzice natychmiast by wszystko odwołali. Chociaż byłam przerażona, mimo wszystko *musiałam mieć ten Paryż*. Jedyny jaśniejszy moment nadszedł, gdy matka zabrała Mimi i mnie do Simpsona i kupiła każdej z nas kaszmirowy sweter, taki sam o jakim marzyłam od czasów szkoły podstawowej.

Z upływem dni moja lewa powieka zaczęła coraz bardziej puchnąć, aż osiągnęła rozmiary piłki ping-pongowej. Dwaj lekarze z Harley Street stwierdzili, że nic mi nie jest. W końcu nadszedł ten straszny dzień i, po smutnym pożegnaniu z resztą rodziny, Tata zawiózł mnie na lotnisko, po czym powrócił do hotelu, żeby zająć się pakowaniem kufrów, które wkrótce miano załadować na *Queen Elisabeth*.

Przelot z Londynu do Paryża trwał trochę ponad godzinę. Kiedy mieliśmy już lądować na Orły, wyjęłam puderniczkę i spojrzałam w lusterko. Powieka powróciła do normalnej wielkości.

Rozdział dziesiąty

Mogłam od razu pojechać do domu Bouchet de Fareins w Normandii, ale już poprzednio postanowiłam, że najpierw chcę przez tydzień sama pobyć w Paryżu, bez rodziny. Miałam zarezerwowany pokój w maleńkim hotelu koło placu Etoile. Spędziłam tam najbardziej samotny tydzień mego życia, uzbrojona jedynie w mapę metra i przewodnik.

Wyruszałam każdego ranka na zwiedzanie tych części miasta, gdzie nie było żadnych wielkich budowli, „kameralnego” Paryża z małymi parkami i muzeami. Była wczesna jesień i pogoda dopisywała, w metrze można się było łatwo zorientować, a widoki były przepiękne, ale świadomość, że nagle znalazłam się sama i nie znałam języka, gnębiła mnie na każdym kroku. Jediną ludzką istotą, do której przemówiłam, był dziesięcioletni boy hotelowy, do którego wymamrotałam „Dzień dobry” i „Dobry wieczór”, nie osmielając się powiedzieć *bonjour*. Gardło miałam jak sparaliżowane.

Codziennie na lunch zamawiałam w kawiarni sandwicza z szynką i serem, bo „sandwicz” jest słowem międzynarodowym, a na obiad jadłam dania chińskie, bo potrafiłam zrozumieć przetłumaczone na francuski nazwy tych dań, wymienione w karcie. Popołudniami katowałam się chodząc na francuskie filmy bez napisów. Miałam nadzieję, że osłucham się z mówionym francuskim, śledząc akcję na ekranie, ale to w rzeczywistości tylko ujawniło głębię mojej ignorancji.

Aby moje życie uczynić jeszcze bardziej nędznym, Gérard powiedział mi, że jest dobrze znanym faktem, iż jedną stroną Chaps–Elysees chodzą prostytutki, a przyzwoite kobiety drugą. Zapomniałam, która strona jest która, starałam się więc jak mogłam unikać tej ulicy. Zastanawiałam się, jakim cudem ktoś mógłby wziąć mnie, typową amerykańską dziewczynę z college’u, noszącą typowe buty, ubranie i fryzurę, za szanującą się francuską prostytutkę. Ale moja ignorancja była tak niesłychana, że wówczas naprawdę myślałam, iż to się może zdarzyć.

W końcu wsiadłam w pociąg do Deauville i z dworca pojechałam taksówką do „Le Bois Normand”, domu rodziny Bouchet de Fareins, który stał przy drodze o nazwie Côte de Grace, kilometr za wsią rybacką Honfleur. Znalazłam się przed wysoką bramą w jeszcze wyższym murze i, trzęsąc się ze strachu, zadzwoniłam. Bramę otworzył ogrodnik, popatrzył na mnie podejrzliwie i poszedł poprosić Madame. Pojawiła się postać jak ze złego snu, wysoka, chuda kobieta o płonących oczach, wąskich wargach i wyraźnie poirytowana, że jej przeszkadzam; jej długie włosy powiewały na wietrze jak u czarownicy. Szybko uściśniła mi dłoń.

„Nie rozumiem Amerykanów”, powiedziała cichym, przerywanym, syczącym głosem i były to ostatnie słowa, jakie wypowiedziała do mnie po angielsku. Z powodu silnego akcentu, ledwie zdołałam zrozumieć jej angielski, ale ton był zdecydowanie wrogi. „Jak mogą przysyłać swoje córki do ludzi, których nie znają?”

To przyjęcie oszołomiło mnie. Byłam sublokatorką i wiedziałam, że rodzice zapłacili niemało za mój pokój i utrzymanie.

Madame poprowadziła mnie do domu przez wspaniały ogród, a ogrodnik wziął moje walizki. Mój pokój znajdował się na drugim piętrze; był to mały pokój z pięknym widokiem na grupę trzech rozróżnionych sosen, za którymi rozciągało się błękitne ujście Sekwany, a jeszcze dalej port Le Havre. Ściany pokoju były obite wystrzępionym i wyblakłym zielonym adamaszkiem; stało tam także wysokie łóżko z wałkiem pod głowę, przykryte takim samym materiałem; oraz biurko, krzesło i mały pokoik z bidetem, umywalką i lustrem. Na końcu długiego korytarza znajdowało się ciasne pomieszczenie, w którym była toaleta, służąca wszystkim, którzy mieli

pokoje na drugim piętrze.

W *Księżniczce Daisy* zmieniłam Le Bois Normand na La Maree. Nie potrafię opisać tego lepiej niż w tej powieści.

Był to dom, który można opisać tylko tym jednym słowem: zaczarowany. Na świecie musi być wiele dużych domów na wierzchołkach porośniętych gęstym lasem wzgórz, wznoszących się nad morzem, ale każdy, kto spędził choćby kilka dni w La Marée, został naznaczony na całe życie jego osobliwą, poetycką, pełną nostalgii atmosferą... La Marée było dowodem, że magia wciąż jeszcze istnieje. Był to rozbudowany stary wiejski dom, zwieńczony dachem, który miał trzydzieści różnych „pięter” krytych strzechą, gdzie wiosną kielkowały zawleczone tam nasiona, wydając dzikie kwiaty... różne jego fragmenty... pokrywał bluszcz o wielkich liściach, zwany la vigne vierge, który jesienią przybierał jasnoczerwoną barwę. Ogromny dom robił wrażenie czegoś, co żyje... przez cały dzień wysokie okna były otwarte... za domem znajdowało się obszerne, pokryte żwirem patio, skąd strome zbocza porośnięte gęstym, pachnącym lasem opadały ku dwóm małym farmom. Las przecinała płatanina niewidocznych ścieżek. Za farmami rozciągało się morze, na którym unosiła się ruchliwa flotylla łodzi rybackich wpływających i wypływających z portu... wieczorem, gdy... z ciemności wylaniały się światła dalekiego Le Havre, człowieka opanowywało przejmujące uczucie, które kazało mu mówić przyciszonym głosem albo milczeć.

Miałam pokochać Nicole Bouchet de Fareins prawie tak bardzo jak pokochałam Le Bois Normand. Szkoda, że wtedy tego nie wiedziałam. Jej nieuprzejme powitanie sprawiło, że poczułam się zupełnie zbita z tropu i opuściły mnie resztki odwagi. Bałam się zejść na dół na spotkanie z resztą rodziny: trzema niebieskookimi i jasnowłosymi młodymi dziewczynami, w wieku od dwunastu do szesnastu lat, które przywitały się ze mną obojętnie, oraz ponurą, chudą kobietą imieniem Jeanne, która pełniła rolę gosposi i kucharki. Był wrzesień i ponieważ nocą robiło się zimno, Nicole rozpałała w jadalni kominek, mówiąc, jak się potem dowiedziałam, że naturalnie żadna Amerykanka nigdy się nie nauczy jak należy rozpałać kominek, a jak można żyć bez kominka, skoro nie ma centralnego ogrzewania? Mieliliśmy zostać w Le Bois Normand aż do października, kiedy to dziewczęta wracały do szkoły w Paryżu; wszystko to wynikało z braku opału w okresie powojennym. W Normandii nigdy nie jest ciepło. Nawet lata bywają chłodne i wilgotne. Ponieważ zawsze byłam wrażliwa na zimno, musiałam spać w kupionym w Anglii swetrze, który służył mi jako góra od pidżamy.

Stopniowo dziewczęta zaczęły nabierać indywidualnych cech: Claire, szesnastolatka, była despotyczna, inteligentna, zdecydowana i małowówna, ale muszę przyznać, że miała pełną uroku twarz. Jani, pulchna czternastolatka, wydawała się względnie przyjaźnie nastawiona. Marie-Ange, dwunastolatka, była najbardziej zwariowana i, jak mi się wydawało, w przyszłości może być najładniejsza z całej trójki.

Madame Bouchet de Fareins zwracała się do swoich córek per *vous*, zamiast normalnej formy *tu*, a one ją uwielbiały, czekając na jej uśmiech czy słowo pochwały.

Swój czas poświęcała przede wszystkim na układanie niezwykle pięknych kompozycji z kwiatów. Każdy, kto ośmielił się jej przerwać to zajęcie, narażał się na wybuch szalonego gniewu. Inni sublokatorzy, jej przyjaciele, przyjeżdżali w weekendy i wtedy w każdym pokoju pojawiały się kwiaty. Nawet w moim pokoju stał mały wazonik.

Często Nicole, do której się zwracałam po prostu „Madame”, mówiąc na przykład „*Oui, Madame*”, ukrywała się w swoim pokoju, uskarżając się na migrenę, która trwała kilka dni i nikt wtedy nie śmiał się głośniej odezwać, dopóki nie wyzdrowiała.

Zorientowałam się, że mała czerwona wstążka, którą Madame Bouchet de Fareins zawsze

nosiła w klapie swego rozpinanego swetra, oznaczała, że jej posiadacz jest kawalerem Legii Honorowej. Dopiero później dowiedziałam się, że otrzymała ją na początku wojny. Po bitwie pod Dunkierką, wielu brytyjskich żołnierzy, którzy nie zdołali się wydostać na brzeg, zostało przez uczestników Ruchu Oporu, do którego należała, przemyconych do Le Bois Normand. Nicole ukrywała ich na poddaszu przez dziewięć miesięcy, po czym pojedynczo przerzucono ich do Hiszpanii a stamtąd do Anglii. Gdyby znaleziono któregokolwiek z nich, ona i wszyscy członkowie jej rodziny zostaliby rozstrzelani.

W końcu nadszedł dzień powrotu do Paryża, gdzie rodzina Bouchet de Fareins miała mieszkanie na bulwarze Lannes, dokładnie naprzeciw Łasku Bulońskiego, w szesnastej dzielnicy, najdroższej części prawobrzeżnego Paryża. Taszcząc tyle masła, ile zdołałyśmy unieść — masło zaczęło się topić w upale, który niespodziewanie nadszedł — dziewczęta i ja wyruszyłyśmy w podróż.

Nicole wyjechała do Paryża przed nami, a nas na stacji powitał uroczy, atrakcyjny i najwyraźniej figlarny młodzieniec w wieku dwudziestu jeden lat, nazwiskiem José Wechter. Był zaledwie parę miesięcy starszy ode mnie, miał twarz siejącego spustoszenia łobuza i pewny siebie uśmiech, kiedy stał na peronie, bawiąc się od niechcienia modnymi zamszowymi rękawiczkami, a dziewczęta podniecone stłoczyły się wokół niego. Nigdy nie zapomnę beztroski i arogancji czy też może zadowolenia z siebie, które ten gest wyrażał. W owych czasach żaden dobrze wychowany mężczyzna nie wychodził z domu bez rękawiczek w październiku.

José był absolwentem Le Rosey, najbardziej elitarnej szkoły dla chłopców w Europie, do której posyłali swoich synów milionerzy i królowie. Był egzotyczną mieszkanką Brazylijczyka i Francuza i mówił po angielsku z amerykańskim akcentem, wtrącając od czasu do czasu slangowe wyrażenia typowe dla brytyjskiej arystokracji. Od razu pomyślałam, że jest chłopakiem Claire, kiedy zobaczyłam jak się ucieszyła na jego widok. Ta zazwyczaj oschła dziewczyna nie próbowała ukryć swojej radości.

Przestronne mieszkanie na trzecim piętrze, w którym miałam zamieszkać, przed wojną niewątpliwie należało do luksusowych. Wielki salon i sypialnia Nicole wychodziły prosto na Łasek Buloński. Chociaż było tam wiele pokoi, dostałam ponury mały pokój, który wychodził na jeszcze bardziej ponury dziedziniec. Miałam u siebie, tak jak poprzednio, bidet, umywalkę i lustro. W toalecie, którą dzieliłam z Nicole, znajdowała się rolka francuskiego cienkiego, szorstkiego i śliskiego papieru toaletowego. Jeżeli chciałam wziąć kąpiel, musiałam o tym poinformować Nicole przynajmniej dwa dni wcześniej i korzystać z wanny w jej łazience, do której nie mogłam napuścić więcej niż siedem–osiem centymetrów gorącej wody, co — jak nigdy nie omieszkała zaznaczyć — pozbawiało ją samą możliwości kąpeli. Mycie włosów było możliwe tylko wtedy, gdy zagotowałam garnek wody na piecu i zaniósłam go do jej umywalki. Płukałam włosy w lodowatej wodzie, a w ciągu mego rocznego pobytu we Francji centralne ogrzewanie w ogóle nie funkcjonowało. Trzy razy w tygodniu w całej dzielnicy wyłączano prąd od rana do wieczora. Jakimś cudem teraz, gdy byłam znów w Paryżu, wszystkie te niedogodności nie miały znaczenia; były po prostu fragmentem przygody, którą codziennie przeżywałam.

Na szczęście w przestronnym, słonecznym salonie, gdzie jedliśmy lunch i obiad, znajdował się wielki kominek, przy którym ogniskowało się całe życie rodzinne. Dostatni Paryż, który znałam z hotelu George V, zniknął. Tak właśnie wyglądało życie we Francji zaraz po wojnie, chociaż w restauracjach można było dostać wszystko.

Na naszym pierwszym lunchu dołączył do nas milczący, poważny mężczyzna i, ku memu zaskoczeniu, zostałam przedstawiona panu Bouchet de Fareins. On i Nicole byli od dawna rozwiedzeni, ale nadal mieszkał w swoim wielkim pokoju, który kiedyś był jadalnią, ponieważ brak mieszkań uniemożliwiał mu znalezienie odpowiedniego miejsca dla siebie. Prawie cały czas

milczał, a jeśli się odezwał, to tylko do swoich córek. Wkrótce nauczyłam się zupełnie go nie dostrzegać, poza grzecznym przywitaniem się. Po lunchu znikał i nie pojawiał się aż do następnego dnia.

Siostry Nicole często przychodziły na lunch, na którym zjawiały się także trzy córki, ubrane w skromne mundurki przyklasztornej szkoły, do której uczęszczały. Najmłodsza z sióstr, Francette Drin, miała wesołe oczy i żartobliwy sposób bycia, który bardzo lubiłam. Podobnie jak Nicole, także nosiła wstążkę Legii Honorowej, otrzymaną za działalność w Ruchu Oporu. Francette była wdową; jej mąż został złapany, kiedy drukował podziemną gazetę i został uwięziony. Zmarł w więzieniu tuż przed wyzwoleniem, zostawiając żonę i córkę. Najstarsza z sióstr, Anna, była nauczycielką; była poważna i przyzwoita, jeśli nie brać pod uwagę faktu, o którym wtedy nie wiedziałam, że miała nieślubne dziecko, jedynego męskiego potomka w rodzinie. Nigdy nie zdradziła nazwiska jego ojca. Trzy siostry, których nazwisko panieńskie brzmiało Joba, były pół-Włoszkami; jeden z ich przodków był ostatnim dożą w Wenecji. Monsieur Bouchet de Fareins pochodził z arystokratycznej rodziny z Lyonu i był dziedzicem licznych fabryk jedwabiu, które uległy zniszczeniu podczas wojny.

Po lunchu, kiedy dziewczęta wracały do szkoły, a ja siedziałam popijając *demitasse* i słuchając rozmów trzech sióstr, choć rozumiałam niewiele, zdałam sobie sprawę, że trafiłam do rodziny, jakby wyjętej z jednej z książek Colette. Czułam się niezmiernie zaszczycona, że mogłam przebywać w ich towarzystwie.

José wpadał prawie każdego wieczoru, w towarzystwie grupki przyjaciół, samych mężczyzn, wszystkich młodych i przystojnych, którzy byli bądź absolwentami bądź właśnie dostali pierwszą pracę. Byli wśród nich Philippe Hersent, syn jednego z najbogatszych ludzi we Francji; hrabia Hubert d'Andlau; hrabia Aimery de Comminges; oraz hrabia Edouard de Moustiers, najstarszy z nich i najbardziej dostojny, ponieważ jego matka była księżniczką Burbon–Parme, z bocznej gałęzi rodziny królewskiej. Odniosłam wrażenie, że Edouard miał pewność siebie i manieri samego Króla–Słońce.

Niebawem odkryłam, że mimo wszystko potrafię powiedzieć po francusku parę słów... motywacja, motywacja, motywacja. Nauczono mnie powtarzać obelżywe zwroty, które, jak się później dowiedziałam, można było przetłumaczyć jako „gówno komarów” i „zbieg z bidetu”; poprawiano też bezlitośnie wszystkie błędy, jakie popełniałam podczas pierwszych, nieśmiałych prób włączenia się do rozmowy.

Tylko raz zadano mi pytanie dotyczące mego żydowskiego pochodzenia. Pewnego popołudnia, kiedy siostry już wyszły, Nicole, która dowiedziała się o tym od Rosemarie Aubert, chciała sprawdzić otrzymaną informację i spytała mnie, czy rzeczywiście jestem Żydówką.

„Tak, oczywiście.”

„Nie przejmuj się”, powiedziała uspokajająco, „nikomu nie powiem.”

Wstrząśnięta faktem, że spodziewała się przejawów antysemityzmu i zaskoczona impulsem, który kazał jej zataić moje pochodzenie, starałam się moją nędzną francuszczyzną przekonać ją, żeby jak najszybciej powiedziała o tym wszystkim. Jeżeli im się to nie spodoba, niech to diabli. Na pewno nie chciałabym spędzać czasu w towarzystwie kogoś, kto dyskryminuje Żydów. W grupie młodych mężczyzn nie zauważyłam żadnej zmiany. Traktowali mnie dokładnie tak samo jak przedtem, jak kogoś, kto ich bawi, ktoś, komu można podokuczać.

Pewnego wieczoru, podczas ożywionej rozmowy, zamierzyłam się na Edouarda pogrzbaczem. Najwidoczniej była to niedopuszczalna śmiałość, bo natychmiast położył mnie na kolana i wymierzył parę mocnych klapsów. Szybko uciekłam do swego pokoju, żeby ukryć gniew i upokorzenie, jakiego doznałam. Rozpłakałam się i upłynęło pół godziny, zanim wróciłam do salonu i zachowywałam się jakby nic się nie wydarzyło.

Może te klapsy wydawały się Edouardowi jeszcze jednym żartem, ale skarcono mnie w ten sposób tylko raz w życiu. Było to dawno temu, miałam wtedy zapewne trzy i pół roku. Ojciec dał mi parę raczej symbolicznych klapsów, kiedy umyślnie zbiłam jego kieliszki, ponieważ podarował mi mały zestaw narzędzi i wpadłam w złość, jako że uważałam, że jest to „prezent dla chłopców”. Tata bardzo nie miał ochoty mnie karać i dokładnie wytłumaczył, dlaczego musi mi spuścić lanie. Nigdy przedtem nie byłam taka niegrzeczna... i nigdy potem! Oczywiście nie zrobił mi żadnej krzywdy, ale zapadło mi to głęboko w pamięć. Było nie do wyobrażenia, żeby amerykański chłopak ośmielił się dać mi klapsa, ale nie wiedziałam jak zareagować na Edouarda, zwłaszcza dlatego, że wszystko rozegrało się tak szybko.

Miałam wielkie szczęście, że José i ja nie czuliśmy do siebie żadnego pociągu, chociaż potem przyjaźniliśmy się przez ponad dwadzieścia lat. Powoli zaczęłam się orientować w sytuacji, ale zupełnie nie potrafiłam zrozumieć czy wyczuć życia tych skomplikowanych Francuzów. W końcu jeden z chłopców wyjaśnił mi, że José jest kochankiem Nicole, a nie chłopakiem Claire. Ledwie mogłam w to uwierzyć — była prawie dwa razy od niego starsza, a ja byłam szalenie konwencjonalna. José był synem byłej — zdecydowanie byłej — przyjaciółki Nicole, brazylijskiej dziedziczki i dla Nicole zerwał zaręczyny z atrakcyjną i bardzo bogatą młodą Amerykanką. Gdyby nie przychodził do niej do domu z towarzyszącą mu paczką kumpli, nigdy nie poznałabym żadnego młodego Francuza.

W końcu zrozumiałam, że jedyny powód, dla którego Nicole przywitała mnie tak chłodno, zniknął, gdy tylko zorientowała się, że José się mną nie interesuje, a ja nie zamierzam go podrywać. Zniknęły nawet jej migreny, kiedy zaczęła się ponownie spotykać z chłopakiem, którego darzyła uwielbieniem.

Powoli Nicole i ja zaczęłyśmy się zaprzyjaźniać. Choć nigdy nie była piękna, potrafiła każdego oczarować, kiedy tego chciała; miała też bardzo miły, cichy i pieszczotliwy głos, który przyciągał mężczyzn. Na pewno kiedyś mój ojciec, a teraz mój mąż, mogliby to potwierdzić. Po paru tygodniach zaproponowała, żebym zwracała się do niej po imieniu. Kiedy uczyniłam to po raz pierwszy podczas lunchu, jej córki były wyraźnie złe i zazdrosne, że pozwoliła mi na poufałość, której im samym zakazano. Był to zapewne jeden z powodów, że zdecydowała się na taki krok, ponieważ uwielbiała wyprowadzać je z równowagi i nastawiać mnie przeciw nim, tak jak nastawiała je przeciwko sobie, wskutek czego zawsze rywalizowałyśmy o jej łaski. Oczywiście byłam jej ogromnie wdzięczna za ten dowód sympatii, którego w ogóle nie oczekiwałam. Bardzo ją polubiłam, tak jak tego chciała i dołączyłam do grupy jej wielbicielek.

Wkrótce Nicole zaczęła mi pomagać w wyborze właściwych ubrań. W owym czasie w Paryżu prawie nie było sklepów z gotową odzieżą, ale udało mi się znaleźć jeden z nich, gdzie kupiłam zakiet, który — jak sądziłam — doda szyku moim starym spódnicom. Spojrzała na mnie tylko raz i w jednej chwili, której nie zapomnę, pokazała mi dziewięć miejsc, w których był źle dopasowany. Następnego dnia odniosłam go z powrotem do sklepu i, ku nieukrywanemu zdumieniu sprzedawcy, zażądałam dziewięciu poprawek.

Wkrótce po tej niezapomnianej lekcji, która procentowała przez całe życie, Nicole zdradziła mi nazwisko i adres swojej „małej krawcowej”. Normalnie nazwiska krawcowych były przez Francuzki trzymane w tajemnicy — wszystkie z wyjątkiem najbogatszych miały taką krawcową — ponieważ nie chciały im podrzucać nowych klientek.

Taka krawcowa kopiowała tylko gotowe wzory i nie doradzała żadnych fasonów, zapewniała jedynie fachowe wykonanie zamówienia. Sama musiałam znaleźć fotografię albo rysunek czegoś, co mi się podobało, następnie udać się do sklepu z materiałami i kupić odpowiednią ilość tkaniny, podszewkę, lamówki, guziki (w sklepie z guzikami, oczywiście) i zanieść to wszystko do krawcowej, która w ciągu sześciu tygodni i przynajmniej po czterech przymiarkach,

uszyje modny strój. Na szczęście krawcowa była bardzo, bardzo tania i bardzo dobra.

W owych czasach Francuzki z wyższych sfer miały, nie licząc swetrów, trzy podstawowe stroje, które nosiły codziennie: czarny kostium, szary kostium i czarną sukienkę koktajlową. Nawet Ginette Spanier nie zamawiała więcej niż te trzy stroje plus suknią wieczorową z kolekcji Balmaina. Amerykański zwyczaj posiadania wielu rozmaitych strojów Po prostu tutaj nie funkcjonował.

Jak napisałam w powieści *Skrupuły*, prosty sweter do szarej spódnicy oraz szal od Hermesa wystarczały, żeby każda kobieta, z królową angielską włącznie, była ubrana wystarczająco dobrze, aby móc się Pokazać w każdej sytuacji, z wyjątkiem tych, które wymagały założenia sukienki koktajlowej czy sukni balowej. Za namową Nicole, wybrałam się do Hermesa, gdzie przez godzinę wybierałam szal, który wykorzystywał klasyczne motywy jeździeckie, w kolorach bordo, zielonym i kremowym, ze złotą metką; szal, który miałam przez trzydzieści pięć lat, pierwszy we wciąż rosnącej kolekcji. Wówczas kosztował równowartość dwudziestu pięciu dolarów, co stanowiło dla mnie sumę o wiele za dużą, ale był tego absolutnie wart. Nie mogłam się oprzeć pokusie kupienia małego notesika Hermesa z małym srebrnym ołówkiem, czegoś co natychmiast dowodziło wysokiego statusu jego posiadacza.

Miałam szczęście, że Balmain stale zatrudniał niską modelkę, dzięki czemu projektowano i prezentowano stroje dla drobnych kobiet. W ciągu następnego roku pięć czy sześć razy zaproszono mnie na bal i udało mi się wówczas wypożyczyć u Ginette te wspaniałe suknie. Po zakończeniu popołudniowego pokazu mody zjawiałam się w sklepie, gdzie pośpiesznie skracano i dopasowywano suknię i dobierano do niej odpowiednie dodatki. Rano, po balu, zwracałam suknię, którą doprowadzano do dawnego stanu i prezentowano podczas kolejnego pokazu mody. Kiedyś, gdy poszłam na *bal de tete*, który wymagał odpowiedniej fryzury, paniom od Balmaina udało się umieścić mi we włosach małą grupkę gołębi — nigdy się nie dowiem, jak to uczyniły.

Hubert d'Andlau namówił mnie, żebym zajęła się szermierką. Jeszcze jeden psikus? W chwili szaleństwa ja, która nigdy nie potrafiłam powiedzieć, która ręka jest prawa a która lewa, jeśli przedtem nie pomyślałam, zapisałam się do prywatnej klasy szermierki w sławnym klubie szermierczym na Lewym Brzegu. Byłam zupełnie beznadziejna, ale *maître* zachęcał mnie, nalegając abym wzięła u niego dodatkowe lekcje, ponieważ potrzebował pieniędzy; przed laty zupełnie tak samo mój nauczyciel gry na pianinie powiedział matce, że mam talent, zmuszając mnie do trwających przez siedem lat i zupełnie niepotrzebnych lekcji gry na pianinie. Musiałam chyba doznać chwilowego pomieszania zmysłów, bo posunęłam się do tego, że zamówiłam sztytę na miarę strój do szermierki, którego nigdy nie założyłam.

Wciąż bardzo potrzebowałam jakiejś pracy, a za dwa miesiące miało być Boże Narodzenie. Na szczęście Ginette często mnie zapraszała na drinki i w jej domu zaprzyjaźniłam się z uroczym młodym Irlandczykiem, nazwiskiem John Cavanaugh, projektantem mody, który był zatrudniony jako asystent Balmaina. Później John stworzył własny, cieszący się powodzeniem dom mody w Londynie, w którym przez wiele lat ubierała się Marina, księżna Kentu, wówczas jedyna dbająca o elegancję kobieta z rodziny królewskiej.

Pewnego wieczoru, na początku listopada, John urządził koktajl w swym mieszkaniu w pobliżu wieży Eiffela. Cała komunikacja w Paryżu strajkowała, poszłam więc na avenue Henri Martin, dużą ulicę koło bulwaru Lannes i odważyłam się na podróż autostopem, śmiało przedsięwzięcie, które tylko perspektywa przyjęcia mogła usprawiedliwić. Zabrał mnie motocyklista, robiący wrażenie twardziela i wysadził w bardzo dżentelmeński sposób przed mieszkaniem Johna na Champ-de-Mars.

Podczas przyjęcia zwróciłam uwagę na wyjątkowo przystojnego mężczyznę, ubranego w tweedowy garnitur i najwyraźniej Amerykanina. Spytałam kogoś, kto to jest. „To Harrison

Elliott”, odpowiedziano. „To najbardziej czarujący mężczyzna w Paryżu.”

„Czy mógłby mnie pan przedstawić?”

Harrison i ja ucieliśmy sobie dłuższą pogawędkę, często wybuchając śmiechem. Ważne było to, że mogłam z nim rozmawiać po angielsku. Nagle odzyskałam moją dawną osobowość, której byłam pozbawiona przez ostatnie miesiące. Harrison był pierwszym Amerykaninem, jakiego spotkałam w Paryżu i od razu poczułam się jak u siebie w domu. Sposób w jaki dwoje Amerykanów, których sobie właśnie przedstawiono, potrafi się porozumieć, różni się zasadniczo od sytuacji, gdyby musieli rozmawiać po francusku. Już zapomniałam, jak bardzo swobodnie potrafię się czuć w towarzystwie kogoś, kogo poznałam dopiero przed chwilą.

Okazało się, że Harrison ma trzydzieści jeden lat i pochodzi z Kalifornii, z Hancock Park. Wtedy nic mi to nie mówiło, ale ponad dwadzieścia lat później dowiedziałam się, że jest to konserwatywna, bardzo szanowana dzielnica Los Angeles. Harrison wyglądał dokładnie tak jak sobie wyobrażałam Kalifornijczyka: włosy ciemnoblonde, niebieskie oczy i regularne męskie rysy. Nosił duże okulary w rogowej oprawie, był wysoki i muskularny. Służył w armii amerykańskiej jako tłumacz i po zakończeniu wojny zdecydował się zostać w Paryżu.

Następnie zaczął pracować u Diora, gdzie kierował działem *public relations*, kiedy Christian Dior w 1947 roku wymyślił New Look i zapoczątkował największą w tym stuleciu rewolucję w świecie mody, albo drugą co do doniosłości, jeśli uwzględnić firmę Chanel. Każdy twórca mody na świecie musiał od Harrisona otrzymać pozwolenie na sfotografowanie czy naszkicowanie stroju, który zamierzał zaprezentować. Szedł na rękę im wszystkim i był w doskonałych stosunkach z każdą ważną osobistością w świecie mody.

Powiedział mi, że ostatnio otworzył własną firmę *public relations*, reprezentującą potężny syndykat producentów kapeluszy w Paryżu — w owych czasach żadna kobieta nie wychodziła z domu bez kapelusza. Ponadto miał wielu innych klientów, którzy produkowali rozmaite drogie dodatki, takie jak torebki i parasolki; do jego klientów należał także Les Ballets de Paris Rolanda Petit.

„Nie miałbyś dla mnie jakiejś pracy?” zapytałam niecierpliwie, gdy tylko się o tym dowiedziałam.

„Właściwie miałbym, ale nie umiesz mówić po francusku.”

„Ale z każdym dniem umiem coraz więcej”, błagałam.

„No cóż... jeśli popracujesz za darmo, dopóki nie nabierzesz biegłości, coś dla ciebie znajdę. Zacznę ci płacić, kiedy będę zadowolony z twego francuskiego. Możesz przyjść jutro, ulica Jean Mermoz 13, koło ronda i od razu zacząć.”

Prawie tańczyłam przez całą długą drogę do domu; byłam jak w ekstazie. Teraz już nie muszę wracać do Nowego Jorku, teraz wszystko znalazło się na właściwym miejscu, teraz naprawdę byłam na właściwej drodze. Zatrzymałam się w małym bistro, gdzie zjadłam obiad, uśmiechając się do wszystkich wokół mnie. Wydawało się, że w ten pamiętny wieczór na ulice Paryża wyległo mnóstwo ludzi, którzy świętowali fakt, że dostałam pracę, co miało odmienić bieg mojego życia w sposób, którego żadna filozofia mego ojca nie była w stanie przewidzieć.

Rozdział jedenasty

Następnego dnia rano poszłam na przystanek autobusu numer 52 i po dwudziestu pięciu minutach jazdy na pomoście — zawsze tam stawałam, żeby lepiej widzieć miasto — dotarłam do biura Harrisona Elliotta, które było usytuowane w bocznej ulicy, zaraz za rogiem, koło ronda na Chaps–Elyseés — w centrum nie tylko samego miasta, ale i świata mody w Paryżu. Biuro znajdowało się na parterze i składało się z kilku zwyczajnie umeblowanych pokoi; siedziały tam dwie sekretarki, z których ważniejsza nazywała się Annick. Poza nimi, jedynym pracownikiem był księgowy, zatrudniony na pół etatu.

We Francji nikt nie może uruchomić interesu bez zarejestrowanego kapitału zakładowego, którego wysokość jest podawana w nagłówku papieru firmowego i, jak się niebawem dowiedziałam od Annick, cały, dość znaczny kapitał zainwestowany w firmę pochodził od czterdziestojednoletniej kobiety, nazwiskiem Rosine de la Marre, którą wszyscy nazywali Kiki. Kiki była sławną, zdecydowanie najwyżej notowaną projektantką kostiumów z epoki, wykorzystywaną we francuskiej kinematografii. Plotkowano, że łączył ją romantyczny związek z Harrisonem, ale plotkowano też, że jego interesowali wyłącznie mężczyźni.

Właściwie nie wiedziałam wiele na temat homoseksualistów. Po raz pierwszy usłyszałam o nich w szkole średniej i wymyśliłam, że wszyscy oni mieszkają na Diabelskiej Wyspie, gdzie oddają się swoim zakazanym praktykom, bo nie ma tam kobiet. Później, w college’u, chłopcy z Harvardu poinformowali mnie, że wszystkie pedały chodziły do Yale, w co w zasadzie wierzyłam przez parę lat, dopóki nie poszłam na mecz Harvard — Yale ze studentem Yale. Temat ten nie bardzo mnie interesował i po prostu przyjąłam, że w przypadku Harrisona nie ma dymu bez ognia.

Od razu zatrudniono mnie przy załatwianiu rozmaitych spraw; biegałam od jednego projektanta kapeluszy do drugiego, żeby wypożyczyć nowe kapelusze do sfotografowania, odbierałam wszelkiego rodzaju rzeczy, zwłaszcza fotografie i dostarczałam je tu i tam. Na początku byłam po prostu gońcem.

Szybko zaczęto mi powierzać bardziej odpowiedzialne zadania, wykorzystując mnie do pomocy przy prezentacjach kapeluszy, które odbywały się codziennie o tej samej porze co pokazy mody. Modelki prezentujące kapelusze, wybrane zależnie od tego jak dany kapelusz wyglądał na ich głowach, nie zaś pod kątem ich urody, paradowały przed klientami w prostych czarnych sukniach i bez żadnych dodatków, żeby lepiej zaprezentować nowe damskie kapelusze, które trafiały na pierwsze strony gazet i magazynów na całym świecie.

W owym czasie eleganckie kobiety miały inny kapelusz do każdego stroju. Kapelusze nie były projektowane przez krawców lecz przez projektantów kapeluszy. Kobiety miały trzy lub cztery przymiarki kapeluszy, zupełnie tak samo jak w przypadku odzieży. Zamówienie idealnego francuskiego kapelusza było poważnym zadaniem, od którego mogła zależeć przyszłość kobiety. Jak śpiewał Danny Kaye, „Jam Anatol z Paryża, moda to dla mnie wszystko, mój kapelusz tygodnia doprowadził do sześciu rozwodów, trzy konie poniosły...”

Nawet ode mnie wymagano, abym nosiła kapelusz. Moja naturalna skłonność do chodzenia z gołą głową została przez klientów Harrisona potępiona jako herezja, a słynna Susy, dom mody Gilberta Orcela, dom mody Maude et Nano i kilka innych ofiarowały mi kapelusze za darmo, bo inaczej, rzecz jasna, nie mogłabym sobie na nie pozwolić.

Moje sprawy finansowe były strasznie zagmatwane. Do chwili obecnej ojciec płacił za mój pokój i utrzymanie i przysyłał mi niewielkie kieszonkowe na codzienne wydatki, takie jak nowe

ubrania. Teraz gdy miałam pracę, zmniejszył moje kieszonkowe o wysokość pensji, którą miałam dostawać. Nie śmiałam się przyznać, że nie będą mi płacie, dopóki nie nauczę się dobrze mówić po francusku, ponieważ rodzice w ogóle nie uznali by tego za prawdziwą pracę. Ale kiedy tę urojoną pensję odjęto od kieszonkowego, oznaczało to zredukowanie moich codziennych wydatków niemal do zera. Chociaż zrezygnowałam z szermierki z chwilą, kiedy dostałam pracę, musiałam jeszcze zapłacić za ów superelegancki i bezużyteczny strój szermierczy.

Jedynym sposobem rozwiązania problemu mojej ciągłej niewypłacalności podczas pobytu w Paryżu było wymyślenie zawiłej historyjki o kłopotach z zębami, które wciąż wymagały wizyt u dentysty. Rodzice przysyłali mi dodatkowe pieniądze na nieistniejącego dentystę, ale na szczęście w owym czasie nie miałam żadnych kłopotów z zębami. Było to chyba moje pierwsze doświadczenie w kreowaniu fikcji, ale tak naprawdę przypominało zwykłe, staromodne łgarstwo. Jednak nie miałam wyboru i nie przejmowałam się popełnianym przeze mnie przestępstwem bardziej niż sprzedawaniem dolarów na czarnym rynku, tak jak to robili wszyscy Amerykanie w Paryżu. Trudno uwierzyć, ile franków można było dostać za dolara: przynajmniej cztery razy więcej niż po oficjalnym kursie.

Późną jesienią otrzymałam wiadomość, że wreszcie dotarły z Nowego Jorku moje stare zimowe ubrania. Musiałam się udać do urzędu celnego, żeby je odebrać i tam odkryłam, że wielka walizka jest zamknięta, a ja nie miałam klucza. Próbowałam wytłumaczyć celnikowi, że w walizce są tylko używane obrania, ale on uparł się, żeby ją otworzyć za pomocą łomu, niszcząc przy tym zamek i ramę, po czym zaczął dokładnie przeglądać każdą sztukę mojej starej garderoby.

Nagle, widząc ten wandalizm, coś eksplodowało mi w głowie pod wpływem głupiego uporu i czystej złośliwości celnika i ni stąd ni zowąd zaczęłam mu głośno wymyślać, wściekle i płynną francuszczyzną! Miałam rację w sposób tak oczywisty, że wzniosłam się na wyżyny swojej elokwencji. Prze całą drogę na bulwar Lannes, nie przestawałam mówić do taksówkarza, opowiadając mu o swoim nieszczęściu, nawet nie zdając sobie sprawy, że mówię po francusku. Kiedy wtaszczyłam walizkę na górę — był to jeden z tych dni, kiedy nie było prądu i winda nie działała — relacjonowałam moją historię wciąż od nowa wszystkim, którzy chcieli jej słuchać, w bogatej i barwnej francuszczyźnie. Stali słuchając mnie osłupiali, nie dowierzający i tym razem im samym zabrakło słów.

Dopiero po chwili zrozumiałam, dlaczego. Nagle zdałam sobie sprawę, że w ciągu kilku godzin uległam gwałtownej przemianie. W ułamku sekundy, kiedy wyładowywałam swoją złość na celniku, wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Wiedziałam, jak w ich języku coś opowiedzieć, jak złożyć zażalenie, jak opisać idiotę. *Potrafiłam mówić w ich języku.* Francuzi żywią do języka francuskiego taką miłość, jakiej żaden Amerykanin nie jest w stanie zrozumieć. Ktoś, kto nie zna ich języka, nie jest tak naprawdę istotą ludzką. Spełniłam daną matce obietnicę, ale co ważniejsze dokonałam istotnego przełomu, bez którego nigdy nie mogłabym stać się naprawdę częścią życia rodziny czy życia tego kraju.

Nigdy nie oglądałam się za siebie. Każdego dnia moja francuszczyzna stawała się coraz lepsza. Okazało się, że mam słuch językowy i teraz, kiedy ośmieliłam się mówić, przypominałam sobie nagle wszystko, czego przez trzy lata uczyła mnie Mademoiselle Gaillrand: słownictwo, czasowniki, a nawet tryb łączący. Całkowite „zanurzenie się” we francuskim na niecałe trzy miesiące załatwiło sprawę; coś, czego nigdy nie przeczuwałam w szkole, kiedy cztery lata temu mieliśmy tylko ćwiczenia pisemne z tego języka. Mój akcent był akcentem rodziny Bouchet de Fareins, ponieważ z żadnym innym się nie zetknęłam.

Kiedy naprawdę zaczęłam mówić po francusku, odkryłam, że rzecz nie polega tylko na tym, żeby właściwie stosować gramatykę i słownictwo; że ważne jest napięcie strun głosowych, ruchy

głowy, ramion i dłoni, układ ust, pochylenie głowy, wyraz oczu. Jest to język silnie powiązany z językiem ciała, tak odmienny od mojej normalnej ekspresji jak teatr Kabuki; w ten sposób stałam się kimś innym. Zyskałam drugą osobowość.

Powiedziałam Harrisonowi, że teraz mówię po francusku wystarczająco dobrze, żeby zaczął mi płacić. Ale jak mi wyjaśnił, ma przejściowe kłopoty z gotówką i muszę poczekać jeszcze przez jakiś czas. Sam pożyczył ode mnie trochę pieniędzy, żeby zapłacić rachunek telefoniczny. Nawet dla mnie było oczywiste, że za mało bierze za swoją pracę — miał nadzieję, że rozwinie swój interes pracując tak tanio — ale nie odważyłam się na udzielanie mu jakichkolwiek rad.

Ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, powiedziałam mu, że jadę na narty i wrócę rano 9 stycznia, w moje dwudzieste pierwsze urodziny. Obiecałam, że nadal będę pracować jako wolontariuszka, „aż będzie mógł mi zapłacić”, tak aby ojciec nie kazał mi wracać do Nowego Jorku. Miałam niewiele złudzeń co do obiecannej pensji, ale postanowiłam o tym nie myśleć.

Kiedy od rodziców wyciągnęłam jeszcze trochę pieniędzy — na leczenie kanałowe — wyruszyłam sama, wynajawszy maleńki pokój w Megeve. Za trzy dolary mogłam wynająć prywatnego instruktora na cały dzień.

Nauczyłam się jeździć na nartach, kiedy byłam na pierwszym roku college'u; pojechałam wtedy z Doris Sommer do Kanady, a potem na ostatnim roku wybrałam się znowu w towarzystwie Jimmy'ego Kahna. Naprawdę polubiłam narty, jedyny sport na wolnym powietrzu, jaki toleruję. Wzięłam ze sobą skórzane buty narciarskie i drewniane narty i zgłosiłam się do szkoły narciarskiej w Megeve, gdzie poprosiłam o instruktora na dwa tygodnie. Kierownik szkoły przyjrzał mi się uważnie, rozejrzał się wokół i spośród grupy dziarskich instruktorów wybrał najstarszego, bylejakiego mężczyznę w średnim wieku, który poza sezonem był zwykłym rolnikiem. Było to irytujące, ale nie miałam w sobie odwagi, jaką miałyby starsza i bardziej opanowana kobieta, która zapewne poprosiłaby o innego instruktora, młodego i przystojnego.

Następne dwa tygodnie spędziłam biorąc intensywne lekcje jazdy na nartach, których udzielał mi Emil, zawsze bardzo uprzejmy i cierpliwy. Byłam zbyt ostrożna, żeby kiedykolwiek nauczyć się jeździć naprawdę dobrze i tylko jeden raz odważyłam się zjechać „na krechę”; było to po lunchu w schronisku na szczycie Mont d'Arbois, gdzie razem z Emilem wypiliśmy butelkę czerwonego wina. Jednak przetrwałam dwa tygodnie, nie odnosząc żadnych obrażeń i sporo się nauczyłam.

W pociągu do Paryża, nie mając czerwonego wina, które dodałoby mi odwagi, jak tam, w górach, dokonałam przeglądu swojego życia i postanowiłam utracić dziewictwo.

Rozdział dwunasty

Kiedy pisałam tę autobiografię, wreszcie przyszło mi się zmierzyć z inną, znacznie głębszą i daleko poważniejszą przyczyną decyzji, jaką podjęłam w przeddzień swoich urodzin. Joe faktycznie pozbawił mnie „władzy”, kiedy miałam piętnaście lat i zmusił do przedwczesnej aktywności seksualnej. Moja kariera studentki college’u jako zdeklarowanej dziewczycy była próbą odzyskania tej władzy. Teraz, w Paryżu, używając własnej logiki, brałam decyzję dotyczącą mego dziewictwa we własne ręce. Bez żadnej zachęty ze strony jakiegokolwiek mężczyzny, świadomie planowałam odzyskanie władzy w tej dziedzinie w najprostszy i najbardziej ofensywny sposób, opierając się wyłącznie na własnej decyzji. Znowu mogłam kierować swoim życiem, a fakt, że jestem pełnoletnia, stanowił tylko wymówkę, której właściwie nie potrzebowałam.

Gdybym osiągnęła pełnoletniość seksualną w innym dziesięcioleciu, na przykład w permissywnych latach sześćdziesiątych albo jeszcze lepiej siedemdziesiątych, znaczenie dziewictwa nigdy nie byłoby dla mnie tak bardzo istotne. Jednak w moim wieku dziewictwo i jego utrata stanowiły kluczowy aspekt pełnoletniości. Dowodem na to, jak ważne były dla mnie te problemy, jest coś, z czego dotąd nie zdawałam sobie sprawy, a co przewija się przez wszystkie moje powieści, bez względu na to, jak współczesny jest ich kontekst.

Na stronie 79 *Skrupulów* traci dziewictwo moja pierwsza bohaterka, Billy Winthrop, a na stronie 194 spotyka to drugą bohaterkę, Valentine O’Neill. Księżniczka Daisy; wszystkie trzy bohaterki *Córki Mistrala*; Maxi Amberville z powieści *Tylko Manhattan*; Eve i jej dwie córki, Delphine i Freddy, które są trzema bohaterkami *Dopóki nie spotkamy się znowu*; Jazz Kilkullen z powieści *Olsnienie*; Gigi Orsini ze *Skrupulów Dwa* — lista defloracji jest długa. Nawet w najnowszej powieści, *Klejnoty Tessy Kent*, napisanej dwadzieścia dwa lata po *Skrupulach*, tracą dziewictwo zarówno Tessa jak i jej córka, Maggie. Kontekst tych wydarzeń nigdy nie jest taki sam; taki sam jest jedynie wynik.

Z nielicznymi wyjątkami, to moje bohaterki decydują, kiedy porzucą stan dziewictwa. W odróżnieniu od mojej własnej decyzji podjętej w dniu urodzin, ich decyzje dotyczą konkretnego mężczyzny, z którym zamierzają odbyć stosunek; prawie zawsze mężczyzny, które je silnie pociąga, któremu pragną ofiarować swą „drogocenną perłę”, jak zwykłyśmy to nazywać w college’u.

Żadna z moich bohaterek, z wyjątkiem zgwałconej Daisy, nie ma prawa mieć stosunku, dopóki jej na to nie pozwolę, dopóki nie wybiorę partnera i dopóki odpowiednio nie przygotuję sceny. (Oczywiście ten gwałt także zaplanowałam.) Ta wciąż powracająca kompensacja moich własnych przeżyć jest wyraźnie widoczna. Zdumiewające, że dopiero teraz widzę, jak w tym konkretnym obszarze funkcjonuje moja podświadomość. I to, można powiedzieć, bezustannie.

Kiedy patrzę na swoje zapiski z 1949 roku, widzę, że w poniedziałek, 10 stycznia, następnego dnia po urodzinach, napisałam, „*Le Commencement*”. Owego wieczoru wsiadłam jak zwykle do autobusu i wpadłam na Edouarda de Moustiers, którego nigdy przedtem nie spotkałam w autobusie. Gdybym pisała powieść, nigdy nie pomyślałabym o tak nieprawdopodobnym zbiegu okoliczności. Ale to była rzeczywistość.

Edouard, który pracował w dużej firmie pod nazwą L’Air Liquide, nadal mieszkał z rodzicami na bulwarze Suchet, zaledwie parę kroków od bulwaru Lannes. Kiedy wysiedliśmy z autobusu, spytał, czy może mnie odprowadzić do domu. Kiedy znaleźliśmy się przy drzwiach, zatrzymał się, położył mi dłonie na ramionach i zwyczajnie zapytał, „*Est-ce que tu voudra être à moi?*”

Czy chcesz być moja? Odpowiedziałam, że tak. Jak widać, moje nastawienie uległo zasadniczej zmianie.

Dotąd tylko się całowaliśmy i nigdy przedtem nie byłam z nim sama, ale nie trzeba się długo zastanawiać, żeby dojść do wniosku, że spośród mężczyzn, których znałam, Edouard stanowił wybór najbardziej prawdopodobny. Po pierwsze, zwróciłam na niego uwagę owego wieczoru, kiedy dał mi „lanie”, co miało też podtekst erotyczny, a z czego wówczas nie zdawałam sobie sprawy. Istniał nawet związek z pierwszym klapsem, jaki dostałam od ojca. Dla mnie, mimo że jestem „weteranka” psychoanalizy (pomińmy jednak ten aspekt całej sprawy), Edouard był zdecydowanie najciekawszym i najbardziej dojrzałym spośród mężczyzn, którzy przewijali się przez dom, w którym mieszkałam. Był wysoki i zaczynał trochę łysieć, ale rekompensowały to całkowicie inne cechy: duży, wyraźnie arystokratyczny, orli nos, gęste brwi, przenikliwe oczy, stanowcze usta i władczy wyraz twarzy. Wygląd miał naprawdę królewski.

„Będziemy musieli poczekać, aż moi rodzice wyjadą na weekend”, powiedział. Nie pojmowałam, dlaczego jest to konieczne, ale najwyraźniej Edouard, *grand seigneur*, uważał, że defloracja dziewicy nie powinna mieć miejsca w hotelu. A ponadto był problem konieczności okazania naszych dowodów tożsamości. (Nawet dzisiaj, we Francji nikt nie powinien się ruszać z domu bez dowodu tożsamości.) Nie można było wynająć pokoju w żadnym hotelu, nie składając swego dowodu tożsamości w lokalnym komisariacie policji, gdzie pozostawał przez całą noc.

Czy mogło mnie spotkać większe rozczarowanie? Po wszystkim co przeszłam, żeby zachować dziewictwo, oczekiwałam, że odbędzie się to przy dźwiękach fanfar.

Czytelniku, jego rodzice nie ruszyli się z domu przez cały miesiąc.

Trudno uwierzyć, ale 10 lutego, po paru drinkach i obiedzie z Michele Paulmier–Petersonem, pięknym pół–Szwedem pół–Francuzem, w Les Trois Canettes, popularnym bistro na Lewym Brzegu, wreszcie doszło do „*rendez–vous avec Edouard chez lui*”. (Jego rodzice zostali gdzieś na obiedzie.)

Pod tą datą mam w notatniku gwiazdkę; jest to pierwsza taka gwiazdka. Edouard posiadał mnie, *nawet nie stawiając obiadu*. Nie stawiając obiadu? Który z chłopców z college’u, chłopców, którzy zawsze zapraszali mnie do dobrej restauracji, uwierzyłby, że taka możliwość — taka zbrodnia! — jest do pomyślenia?

Przeżycie, jakie mnie czekało, było — jak można się było spodziewać — okropne. Utrata dziewictwa była rzeczywiście bardzo bolesna; zupełnie nie byłam na to przygotowana, pomimo wszystkiego, co przeczytałam na ten temat. Jednak Edouard był zdecydowany doprowadzić rzecz do końca, a ja — Bóg mi świadkiem — chciałam zrobić to, co zaplanowałam. Zacisnęłam zęby, patrzyłam w sufit i myślałam z goryczą, jaka byłam głupia, że nie pozwoliłam Jimmy’emu Kahnowi, żeby był pierwszy Bardzo mnie pociągał, a w stosunku do Edouarda nie czułam niczego podobnego. O świcie odwiózł mnie do domu Nicole swoim staromodnym, otwartym samochodem sportowym. Po cichu weszłam po schodach, włożyłam klucz do zamka i, nie czyniąc najmniejszego hałasu dotarłam do pokoju na bosaka, zadowolona, że nikt nie wie, iż spędziłam tę noc poza domem.

Moje zapiski dowodzą, że w ciągu następnych dwóch tygodni spędziłam jeszcze trzy wieczory sam na sam z Edouardem — jego rodzice musieli wyjechać na weekend — a jednego popołudnia pojechaliśmy na wieś. Był to jedyny przypadek, kiedy jak pamiętam przeżyłam orgazm, na stojąco, w ubraniu, całując się z nim gdzieś na podwórzu, po bezowocnych próbach w łóżku. Chociaż nie pamiętam tego dokładnie, mam powody sądzić, że musiał niewiele wiedzieć na temat orgazmu łechtaczkowego. Poza tym trudno uwierzyć, abym miała z nim normalne, pełne stosunki, za każdym razem coraz mniej bolesne, i abym ani razu nie przeżyła orgazmu. Sam Edouard nie był zadowolony z takiego przebiegu wypadków i faktycznie powiedział mi, że to, iż

przeżyłam orgazm na podwórzu było nie tylko niewłaściwe ale dosyć śmieszne.

Pewnego dnia Harrison zaproponował, żebyśmy odwiedzili stary i mało znany kościół Saint — Julien-le-Pauvre. Nie pamiętam, co dokładnie zwiedzaliśmy, ale w taksówce, w drodze powrotnej do centrum Paryża, nagle nachylił się i lekko mnie pocałował. Byłam oszołomiona. O ile mi było wiadomo, albo się romantycznie kochał w Kiki de la Marre albo nie interesował się kobietami i na codzień byliśmy w przyjacielskich, pełnych swobody, ale jednak dość oficjalnych stosunkach. Był to normalny rodzaj stosunków, jakie łączą Amerykanów.

Jeśli z Paryżu był jakiś mężczyzna, z którym nie flirtowałam, był nim Harrison. „Co to miało znaczyć?” spytałam zakłopotana. „Myślę, że mógłbym się w tobie zakochać”, odparł ze śmiechem. Pomyślałam, że musi żartować albo się ze mną droczy i potrząsnęłam głową, udając gniew.

W następnym tygodniu Harrison od niechcienia zaproponował, abym z nim spędziła następny weekend w małej wiosce pod Paryżem o nazwie Bertenoiville; mieliśmy tam pojechać w sobotę samochodem pożyczonym od Kiki. Zgodziłam się, nie przywiązując specjalnej wagi do tego spotkania. Nicole zdziwiła się, że wyjeżdżam na weekend ze swoim szefem. Odpowiedziałam, że muszę wyjechać z Paryża na kilka dni i odpocząć gdzieś na wsi... Byłam zmęczona tym wypytywaniem, a poza tym on był *pede*, jak w paryskiej gwarze nazywano homoseksualistów. Sardonicznie uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

Wyjechaliśmy z Paryża bardzo późno i dotarliśmy do Bertonville tuż przed obiadem. Zatrzymaliśmy się w bardzo skromnym hoteliku, którego właściciele dobrze znali Harrisona. Ledwie miałam czas pójść do łazienki i umyć ręce, po czym zasiedliśmy do długiego, wiejskiego obiadu. Po obiedzie żona właściciela zaprowadziła nas do naszych pokoiów na piętrze. Czy raczej do naszego pokoju. Był tam tylko jeden pokój dla gości na drugim piętrze, bardzo zimny, w którym stało ogromne łóżko, które zostało starannie przygotowane, a pościel specjalnie ogrzana.

Czytelniku, cóż miałam robić?

Pomyślałam, że postaram się jak najlepiej wyspać, nieco rozbawiona perspektywą spania w jednym łóżku. Nadal zakładałam, że Harrison jest homoseksualistą, chociaż nigdy nie byłam świadkiem niczego, co by potwierdzało tę plotkę; więc nic mi nie groziło. Miałam na sobie rajtuzy, bieliznę, skarpetki i sweter, a więc nie stanowiłam żadnej pokusy. Przysięgam na głowę mojej jedynej wnuczki, Kate Krantz, że kiedy wgramoliłam się do tego wielkiego łóżka, nie wierzyłam, że Harrison ma wobec mnie jakieś zamiary.

Oczywiście Harrison nie wiedział o moim cennym, pilnie strzeżonym dziewictwie. W odróżnieniu od rozmów, jakie prowadziłam z Nicole, a ona ze swoimi siostrami i Jose, jak również ze wszystkimi chłopakami z jej paczki, sprawa „głupiej amerykańskiej dziewicy” oczywiście nigdy się nie pojawiła w moim życiu zawodowym.

Odwróciłam się tyłem, układając się do snu. „Co my z tym mamy zrobić?” zapytał Harrison, klepnąwszy mnie lekko w ramię. „Z czym?” spytałam. „Z tym”, odpowiedział, kładąc moją rękę na swoim członku. Miał pełną erekcję, a jego członek był ogromny, znacznie, znacznie większy niż u jakiegokolwiek mężczyzny, jakiego przedtem dotykałam. „Wielki Boże”, wykrzyknęłam, zupełnie zaskoczona i skonsternowana. Nie powinien być podniecony! I chociaż miałam niemałe doświadczenie w ocenie rozmiarów członka z czasów, kiedy byłam w college’u, Harrison był zdumiewająco duży.

Następne parę godzin, kiedy gorąco próbowaliśmy się kochać, dowiodły dwóch rzeczy: musiałam być najbardziej nietkniętą spośród nietkniętych dziewczyc, a Harrison był największym heteroseksualistą. Po prostu penetracja okazała się niemożliwa. Żaden stosunek z Edouardem, którego wymiary były bez zarzutu, nie przygotował mnie na kogoś takiego jak Harrison, a ja z

całą pewnością nie mogłam przepuścić tej okazji, zesłanej mi przez los.

Nie pamiętam więcej szczegółów, ale musieliśmy chyba jakoś osiągnąć satysfakcję, bo w końcu zapadliśmy w sen.

Obudziłam się następnego ranka, zobaczyłam Harrisona obok siebie i ogarnęła mnie niesamowita radość. Po raz pierwszy w życiu byłam zakochana, zakochana do szaleństwa, bez żadnej wątpliwości. Nic nie było już takie, jak wczoraj. Moje pierwsze dwadzieścia jeden lat nagle znikło; liczyła się tylko chwila obecna. Była to chwila wszechogarniającej rozkoszy.

W pokoju nie mieliśmy łazienki i kiedy popędziłam przez podwórze do toalety na dole, czar wcale nie przysł. Dygocąc z zimna, wróciłam do sypialni, gdzie przez następne parę godzin próbowaliśmy się namiętnie kochać. W końcu musieliśmy wstać na śniadanie, ale potem znowu wróciliśmy do łóżka i zostaliśmy tam do lunchu. Nadal nie doszło do penetracji; on był za duży a ja za ciasna.

Zjedliśmy lunch w milczeniu, wyczerpani i zupełnie nam wystarczyło, że po prostu patrzymy na siebie; zastanawialiśmy się, co się, u licha, wydarzyło, kiedy, po tych kilku miesiącach znajomości, znaleźliśmy się w zupełnie innych okolicznościach. Gdyby nie Jose i ci młodzi mężczyźni, których poznałam u Nicole, na pewno zdałabym sobie sprawę, że od dnia, kiedy poznaliśmy się, powoli rodziła się nasza miłość. Z pewnością praca nie wymagała od nas, żebyśmy spędzali tyle czasu ze sobą. A jednak nie miałam pojęcia, co się między nami dzieje, albo może należałoby powiedzieć, że się nad tym nie zastanawiałam. Owego wieczoru zapisałam w notesiku: „*La plus belle matinée de ma vie — H., mon amour.*”

Kiedy kończyliśmy lunch, otworzyły się drzwi do jadalni i ze zdumieniem ujrzeliśmy Kiki, która nieoczekiwanie przyjechała wraz z grupą przyjaciół, żeby odebrać swój samochód. Była uderzająco piękna i doskonale ubrana; miała bardzo ciepły uśmiech i mnóstwo werwy; była wysoka, miała oliwkową skórę, ciemnobrązowe włosy i jasnobrązowe oczy. W moich oczach była wcieleniem światowej kobiety. Jedno krótkie spojrzenie i przyjacielskie powitanie, a od razu wiedziałam, że ta czterdziestjednoletnia Francuzka jest zupełnie zaskoczona moją obecnością w tym miejscu, natychmiast zrozumiała całą sytuację i postanowiła, że nie da tego po sobie poznać.

Nie czułam najmniejszego zakłopotania. To co się zdarzyło między mną a Harrisonem, było zbyt ważne, żeby się przejmować uczuciami innych. To co łączyło w przeszłości jego i Kiki nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Było trochę przekomarzania się, a potem Kiki i Harrison odwieźli mnie do domu. Siedziałam w milczeniu z tyłu, zbyt wyczerpana brakiem snu, wydatkiem energii seksualnej i odkryciem, że jestem zakochana, aby móc racjonalnie myśleć, co się dzieje albo co się może wydarzyć. Jak tylko dotarłam do domu Nicole, rzuciłam się na łóżko i zapadłam w głęboki sen.

Potem spotkałam Kiki jeszcze tylko raz, zupełnie przypadkowo. Wyglądało to tak jakby przestała istnieć, a ja, zajęta wyłącznie przeżywaniem swojej pierwszej miłości, nawet nie zapytałam, co się z nią dzieje.

Jednak Edouard nie zniknął tak bezboleśnie z mojego życia. Chociaż przy następnym spotkaniu powiedziałam mu, że nasza ledwie rozpoczęta przygoda właśnie się skończyła, bo zakochałam się w innym mężczyźnie, nadal był częścią paczki otaczającej Nicole i Jose, więc spotkania z nim były nieuniknione. Na początku był wytrącony z równowagi i nadal zapraszał mnie na drinki do Jockey Club, gdzie kobiety mogły jedynie wejść do baru, ale wkrótce się przekonał, że mówię poważnie. Starał się, ale raczej bez powodzenia, nie okazywać, że jest zraniony tym, iż został odrzucony dla jakiegoś Amerykanina. A może lepiej, że to był Amerykanin a nie Francuz?

Harrison i ja nadal zachowywaliśmy się w biurze normalnie, chociaż pewnego dnia Annick przyłapała nas na tym, że trzymamy się za ręce i to był koniec naszej konspiracji. Byliśmy oboje

tak zajęci, że nie widywaliśmy się zbyt wiele wieczorami, a kiedy nadarzyła się taka okazja nadal nie udawało nam się odbyć normalnego stosunku, choć bardzośmy się starali.

Miałam trzy lub cztery spotkania dziennie: lunch, herbata, koktajl i obiad, i pomimo faktu, że byłam zakochana po uszy, nie nawaliłam ani razu. Aż do dnia moich zaręczyn, mniej więcej w pięć lat później, nigdy więcej nie ograniczałam się do widywania tylko jednego mężczyzny.

W trzy tygodnie później postanowiliśmy spędzić jeszcze jeden weekend na wsi. Spóźniliśmy się na pociąg, którym musieliśmy jechać, ponieważ nie mogliśmy już korzystać z samochodu Kiki. W strugach ulewnego deszczu pobiegliśmy do małego, nędznego hoteliku przy ulicy Monsieur la Prince, noszącego dumną nazwę Hotel du Paradis. I znów nieoczekiwany szczegół, na który nigdy nie wpadłabym pisząc powieść. Wypiłam do obiadu sporo wina, żeby się odprężyć i wtedy wreszcie doszło do pełnej penetracji. Byłam upojona sukcesem i bardzo z siebie dumna.

Naprawdę utraciłam dziewictwo, aczkolwiek po raz drugi, 19 marca 1949 roku, prawie pięćdziesiąt lat temu. Jeśli powiem, że wydaje mi się jakby to było wczoraj, wybaczenie ten frazes, ale tak naprawdę, och naprawdę, czuję.

Rozdział trzynasty

Co wiedziałam o Harrisonie w czasie, gdy tak się w nim zakochałam w ciągu jednej nocy? Wydaje mi się, że bardzo niewiele, biorąc pod uwagę, że przez wiele miesięcy pracowaliśmy razem. Po raz pierwszy w życiu pochodzenie mężczyzny nie miało dla mnie znaczenia, a dla niego moje pochodzenie też było sprawą zupełnie nieistotną, podobnie jak polityka czy sytuacja na świecie nie obchodziła nas ani trochę. Wszystko co nie dotyczyło naszego wspólnego życia, wydawało się nie istnieć.

Różnica wieku jedenaście lat; fakt, że Harrison brał udział w wojnie, podczas gdy ja byłam w szkole średniej, a potem mieszkał w Paryżu, kiedy ja byłam w college'u; dystans kulturowy między Los Angeles i Nowym Jorkiem, który wtedy był ogromny — wszystko to sprawiało, że nie mieliśmy zbyt wielu punktów wspólnych. Nawet gdybyśmy się urodzili w tym samym roku i w tym samym mieście, cała przeszłość i tak przestała dla mnie istnieć pośród rozkosznego oszołomienia czasu teraźniejszego. Pewien szczegół uświadamia mi, jak bardzo się zmieniłam. Po latach nieustannego czytania książek, kiedy byłam pogrążona w lekturze największych dzieł angielskiej literatury, podczas całego roku, kiedy przebywałam w Paryżu, udało mi się przeczytać tylko jedną książkę. Jaką? *Źródło*.

Patrząc wstecz, stwierdzam, że Harrison mówił najpiękniejszą francuszczyzną jaką zdarzyło mi się słyszeć u Amerykanina, chociaż nie wiem, kiedy i jak się nauczył tego języka. Wiem, że jego matka była pobożną chrześcijanką i że on sam nie podzielał jej przekonań, ale nie wiedziałam, czy został wychowany w jakiejś wierze, chociaż jego wygląd wyraźnie przywołał na myśl białego Amerykanina o anglosaskim rodowodzie. Wiedziałam, że ma brata, ale nie wiedziałam, jak jego ojciec zarabiał na życie, ani do jakiego college'u chodził on sam, ani nawet czy w ogóle był w college'u — nie mogę zrozumieć, dlaczego nie zadałam choć tego jednego pytania, które powinnam była zadać po prostu automatycznie. Nawet po tylu latach spędzonych w Paryżu, wszystkie jego maniere i ubiór wskazywały niedwuznacznie na Ivy League.

Wiem, że zdawał sobie sprawę ze swojej dwuznacznej reputacji, ponieważ podczas jednej z naszych rzadkich poważnych rozmów ostrzegł mnie, że będą o nim wygadywać dziwne rzeczy. Jak powiedział, plotka miała swe źródło w jego przyjaźni z długoletnim klientem, gwiazdą baletu i choreografem, Rolandem Petit. Wiele razy byliśmy na obiedzie razem w Rolandem Petit i Margot Fonteyn, z którą Roland był wówczas związany w jakiś dziwny sposób, którego w ogóle nie pojmowałam. Świat biseksualistów, w którym Harrison czuł się jak u siebie w domu, był dla mnie wielką tajemnicą. Próbowalam ukryć, jak bardzo niepewnie się czułam. Taniec z Orsonem Wellesem na przyjęciu czy parę drinków z innym przyjacielem Harrisona, Robertem Capa, zapewne największym fotografem, dokumentującym wydarzenia II Wojny Światowej, jeszcze mieściły się w świecie rzeczywistym, który potrafiłam zrozumieć, ale podwójne randki z Margot Fonteyn, największą tancerką na świecie, już się wymykały memu umysłowi.

Dowiedziałam się, że powojenna praca Harrisona w wojsku polegała na tym, że jeździł na wieś i handlował z rolnikami. Wymieniał nadwyżki istniejące w armii na świeże produkty. Śmiejąc się przyznał, że praca ta doprowadziła go do nadużywania wojskowego jeepa. W wyniku jednej z eskapad znalazł się (albo nie) w wojskowym więzieniu — rozwiązanie tej zagadki nie zostało podane, ale kiedy poznałam go lepiej, doszłam do wniosku, że jednak był w więzieniu. Wśród niewielu znanych mi faktów dotyczących Harrisona był wyszczerbiony przedni ząb i krótkowzroczność, która zmuszała go do noszenia okularów. Kiedy zdejmował je, żeby się komuś przypatrzeć z bliska swymi wielkimi niebieskimi oczami, otoczonymi lekko widocznymi

zmarszczkami, efekt był druzgocący, ale nigdy nie wierzyłam, że robił to celowo. Odkryłam, że wiele osób nazywało go „H” i wkrótce sama zaczęłam to robić od czasu do czasu.

Urok Harrisona częściowo wynikał z faktu, że w jego towarzystwie ludzie czuli się lepiej niż z kimkolwiek innym w Paryżu. Jak powiedział John Cavanaugh, gdy spotkaliśmy się dwadzieścia lat później, „To był taki złoty chłopak — nie ma już takich”. Harrison potrafił wejść do kawiarni na kawę i sprawić, by po tym wydarzeniu pozostały niezatarte wspomnienia. Potrafił przejść przez ulicę tak, aby uczynić z tego przygodę. Był obdarzony naturalną umiejętnością cieszenia się i świetnym humorem, jak rozradowane dziecko i potrafił każdą chwilę uczynić pełną blasku. Bez wysiłku wciągał wszystkich wokół w stworzony przez siebie świat, który był równie fascynujący jak on sam. Harrison miał zdumiewający dar wytwarzania wokół siebie atmosfery intymności. Był czarujący z natury i nie było to w żaden sposób zamierzone. Wszyscy, którzy go znali, pragnęli przebywać w jego towarzystwie. A on wybrał mnie.

Często myślę, że jedynie moje przeświadczenie, iż jest homoseksualistą powstrzymało mnie przed zakochaniem się w nim, gdy tylko zaczęłam z nim pracować. Ten naturalny dystans, który był źródłem czysto przyjacielskiego stosunku do niego, mógł być jednym z powodów, dla których ten fascynujący mężczyzna się mną zainteresował.

Wiele lat później, w powieści *Olsnienie*, opisałam fotografa nazwiskiem Tony Gabriel. „Wdzięk, ten dar, który jest rozłożony tak nierówno, w zasadzie nie poddaje się żadnej analizie czy opisowi... Gabe nie mógł go tak po prostu włączać, bo nie mógł go wyłączać.” Podobnie Harrison.

Ale nawet owładnięta uczuciami, których nie doświadczyłam nigdy przedtem, jakaś mała część mojego ja zdawała sobie sprawę, że pod wieloma względami Harrison jest w zasadzie niesolidny. Wierzchołkiem góry lodowej była jego absolutna niepunktualność, zawsze i niezależnie od okoliczności; coś, co od najwcześniejszych lat było dla mnie ogromnie ważne. Wiedziałam, że jestem nadmiernie uczulona na punktualność, ale Harrison po prostu nie miał poczucia czasu, ani też nie obchodziło go to w najmniejszym stopniu.

Dla mnie było nie do pomyślenia, że ktoś może nie zwrócić pożyczonych pieniędzy, ale Harrison nigdy nawet nie wspomniał, iż ma zamiar mi oddać drobne kwoty, które pożyczył. W innych okolicznościach nie liczyłyby się zbytnio, ale ponieważ pracowałam za darmo, miały dla mnie istotne znaczenie. Nie był nieuczciwy, ale kompletnie nieodpowiedzialny. Nie płacił mi nie dlatego, że nie mógł. Oddałby mi ostatniego franka, gdyby miał, ale jeśli o niego chodzi, na długo przed tym jak odkryliśmy, że jesteśmy zakochani, moje pieniądze traktował jakby to były jego pieniądze. Nigdy nie potrafiłam mu odmówić. Zaraz po otrzymaniu pieniędzy od ojca, płaciłam Nicole za pokój i kupowałam bloczek biletów autobusowych, dzięki czemu miałam zapewnione rzeczy absolutnie niezbędne.

Pod tym względem charakter Harrisona wywoływał poczucie obcości. Niektóre jego cechy wprawiały mnie w zaniepokojenie. Nie nadawał się dla mnie i od samego początku zdawałam sobie z tego sprawę. Wiedziałam to równie mocno, jak starałam się odepchnąć od siebie tę myśl.

Można odnieść wrażenie, że byłam niezwykle rozsądna, jak na dwudziestoletnią dziewczynę, która przeżywa pierwszą namiętną miłość. Czyżbym była tak zaślepiona uczuciem, że nie dostrzegałam wad Harrisona? Mogłoby tak być, gdybym nie pracowała z nim przez wiele miesięcy, zanim nie zorientowałam się, że jestem w nim zakochana. Jednak wiedziałam aż za dobrze, jak działa w interesach; wielokrotnie widziałam, jak niewiele wagi przywiązuje do swoich obowiązków. I nie był to jakiś jeden szczegół; było ich wiele. Po prostu nie można było mieć do niego zaufania.

Zanim poczuję, że wszystko gra w związku uczuciowym dwojga ludzi, muszę mieć pewność, że mężczyzna jest przyzwoity, naprawdę dobry, z gruntu uczciwy, taki na którym mogę polegać.

Harrison był tych cech pozbawiony i nie potrafiłby ich nawet rozpoznać.

Jego *joie de vivre* i urok stanowiły odwrotną stronę braku charakteru i, koniec końców, znosiły się nawzajem. Oczywiście wtedy nie zastanawiałam się nad tym zbyt wiele... po prostu to ignorowałam.

Mnie także trudno było uznać za niedościgniony wzór: objąłam się w college'u ile tylko mogłam (byłam przeciwieństwem idealnej studentki Wellesley) i bezwstydnie okłamywałam rodziców, kiedy było mi to na rękę. Jednak zawsze wypełniałam zobowiązania, które podjęłam, zarówno ważne jak i drobne, i byłam w zasadzie osobą obowiązkową, która spełnia pokładane w niej nadzieje. Chociaż nie wymagałam, aby mm byli do mnie podobni, Harrison pod wieloma względami funkcjonował jakby w zupełnie innym wymiarze. Nigdy nie miał żadnego moralnego „rdzenia”. Nie nadawał się dla dobrej dziewczyny, dla Judv Tarcher.

Byłam i jestem pozbawiona cech samozniszczenia. Uczucia mogą mną owładnąć, ale tylko do pewnego punktu. W pewnym momencie rozsądek każe mi się zatrzymać; wiem jakie postępowanie jest właściwe a jakie nie; nie jestem lekkomyślna; wyraźnie widzę, gdzie są granice, których nie powinnam przekraczać. Podczas wywiadu w 1970 roku Peter Duchin powiedział mi, że jestem najbardziej uporządkowaną osobą jaką spotkał.

Harrison byłby zapewne najmniej uporządkowaną osobą.

Kiedy wczesną wiosną H. zaczął przebąkiwać o ślubie, powiedziałam mu, że nienawidzę idei małżeństwa, że jestem za młoda, żeby w ogóle o tym myśleć i błagałam go, żeby nie wspominał o tym więcej. Ale mnie nie posłuchał i często wracał do tego tematu, starając się nawet wygrzebać jakąś żydowską babkę, jak gdyby miało to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, ale zawsze udawało mi się zmienić temat. Nawet podekscytowana pierwszą miłością, zdawałam sobie podświadomie sprawę, że z naszymi charakterami nigdy nie będziemy mogli być udanym małżeństwem.

Najbardziej nieprzyjemne zdarzenie miało miejsce pewnego dnia, gdy spędziłam okropne dwie godziny, czekając na Harrisona na tarasie Cafe do Flore, zamawiając jedną wodę mineralną za drugą, a moje cierpienia były tym większe, że właśnie miałam okres. Harrison miał się ze mną spotkać i przynieść parę butów, które oddałam do naprawy. Zostawiłam mu pieniądze na szewca, a buty miały dla mnie istotne znaczenie: nigdy nie znalazłam francuskich butów, które by mi odpowiadały, a ta para była ostatnią względnie przyzwoitą parą jaką miałam. W końcu zjawił się bez butów. Przypadkowo spotkał ważnych klientów, poszedł z nimi na drinka i zapłacił pieniędzmi przeznaczonymi na moje buty. Po prostu „stracił rachubę czasu”. Był, rzecz można, nałogowo gościnnie. Wykorzystał pieniądze, których potrzebował i zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego tak mnie to wytrąciło z równowagi. To zdarzenie — to złe, złe, złe zdarzenie — miało miejsce podczas owej zaczarowanej wiosny, kiedy byliśmy ze sobą tak szczęśliwi.

Byłam coraz bardziej zakochana w Paryżu, ale moja sześciomiesięczna wiza już się skończyła i nie udało mi się uzyskać pozwolenia na pracę, którego zresztą w owym czasie nie wydawano żadnym Amerykanom. Moja darmowa praca u Harrisona nie mogła się pojawić w jego księgach rachunkowych, nawet gdyby mi płacił co tydzień. Ani Ginette ani Suzanne Lulling u Diora ani też żaden z naszych klientów nie mógł mnie legalnie zatrudnić.

Dzięki przyjaciółce rodziców, nazwiskiem Viola Ilma, na którą leciał pewien funkcjonariusz paryskiej policji, przedłużono mi wizę o dalsze sześć miesięcy i zdołałam przekonać innego funkcjonariusza, że moje środki na utrzymanie stanowią w istocie owoc transakcji związanej: pokój i wyżywienie za lekcje angielskiego dla córek Nicole. W rzeczywistości trzy dziewczyny spędziły szereg wakacji u angielskiej rodziny i kiedy zorientowały się, że umiem mówić po francusku, przyznały się, iż same mówią po angielsku.

Pomimo tych nieubłaganych faktów, udało mi się nie myśleć o tym, że nie będę mogła zostać

w Paryżu na zawsze. Dla mnie, podobnie jak dla Maggie z *Córki Mistrala*, „każdy dzień był pełny i doskonały jak jabłko dojrzewające w słońcu”.

Ileć się mnie pytano, kiedy wracam do domu, odpowiadałam beztrąsko, „Nigdy!” Zdziwiałe, że naprawdę w to wierzyłe. Wciąż żyłam w stanie jakby totalnej negacji, która zupełnie nie leży w mojej naturze. To był jedyne sposób, żeby w pełni przeżywać swoje szczęście. Nawet nie zapisywałam swoich wspomnień. Każda chwila spędzona z Harrisonem była zbyt żywa, żeby się ją dało jakoś opisać, a gdybym próbowała uchwycić jakiś konkretny moment, równałoby się to przyznaniu, że taka chwila już się nigdy nie powtórzy. Nie próbowałam sobie wyobrazić, że w przyszłości będę pamiętała szczegóły każdej godziny czy minuty. Wszystko miało trwać wiecznie... nie zastanawiałam się, w jaki sposób.

Jak napisałam w *Olśnieniu*, „Zapominając o rzeczywistości, Jazz i Gabe spędzali całe tygodnie, nie pytając o przyszłość ani nie myśląc o przeszłości. Istniał tylko czas teraźniejszy, doskonałe dni i doskonałe noce, które wycisną swoje piętno na wszystkich przyszłych dniach i nocach; dniach i nocach, w których wszystkie szczegóły zleją się w jednej doskonałej całości; dniach i nocach, które są dane nielicznym szczęśliwcom raz w życiu, a bardzo rzadko dwukrotnie.”

Rozdział czternasty

Owego roku na Paryż spadła nagle, prawie tropikalna wiosna. Od pierwszego kwietnia dni były pogodne i ciepłe, jakby dla zrekompensowania chłodnej zimy.

Nicole wraz z rodziną wybierała się do Le Bois Normand na czterotygodniowe wakacje, które wprowadzono w szkołach, ale ja oczywiście nie zamierzałam z nimi jechać. Jednak Nicole spodziewała się, że nadal będę płaciła za pokój i wyżywienie. Uważałam to za uczciwe, ponieważ zostałam przyjęta jako sublokatorka na określony czas, a ona liczyła na otrzymane ode mnie pieniądze i kartki żywnościowe. Jej cała rodzina mogła się dzięki temu wyżywić. Jak mogłaby sobie poradzić, gdybym się nagle wyprowadziła?

Szybko znalazłam maleńki, niewiarygodnie tani pokój na Lewym Brzegu, w hotelu Valence, na ulicy o tej samej nazwie, niedaleko Sekwany, parę kroków od skrzyżowania, na którym stoi kościół Saint-Germain-des-Prés. Przeprowadziłam się tam 11 kwietnia.

Była to moja okolica. Café de Flor, gdzie codziennie jadłam śniadanie, była moją kawiarnią — nigdy nie przestąpiłam progu Les Deux Magots, kawiarni równie znanej i usytuowanej tylko jedną przecznicę dalej. La Reine Blanche i Le Montana to były moje bary, Les Trois Canettes i naprawdę tanie Aux Assassins to były moje bistra.

Hotel Valence szczycił się tym, że posiadał łazienkę z wanną, gdzie za parę franków mogłam wziąć kąpiel. W moim pokoju była, jak zwykle, umywalka i bidet, a kiedy zapytałam o możliwość odwiedzin, życzliwa pani w recepcji zapewniła mnie, że o ile dżentelmen pokaże dowód tożsamości, nie muszę się martwić. Zdaje się, że oczekiwała prawdziwej parady gości.

Prawie ciągle przebywałam w towarzystwie Harrisona, chociaż nadal spotykałam się też z innymi mężczyznami, zwłaszcza z Philipem Hersent. W pewnym momencie, dzięki temu paskudnemu Jose, który mnie oświecił, dokonałam zaskakującego i zabawnego odkrycia.

Podczas owej pierwszej jesieni, kiedy wciąż się wyśmiewano z amerykańskiej dziewczyny, wszyscy dorośli ze świata Nicole, wraz z jej siostrami i paczką młodych mężczyzn, uważnie mnie obserwowali i czekali, który z facetów jako pierwszy zaciągnie mnie do łóżka. Nigdy nie zadawano sobie pytania „czy”, tylko „kto”. Nawet robili zakłady, coś w rodzaju totalizatora. Tej nocy, kiedy po raz pierwszy skradałam się na palcach, wracając od Edouarda, Nicole doskonale o tym wiedziała, widząc z okna swojej sypialni, jak idę ulicą. Z radością powiedziała o tym innym. Może sam Edouard dał jej cynk, chociaż to nie byłoby w jego stylu.

Tak, Francuzi to nieuleczalnie cyniczny naród. Bawili się moim kosztem przez parę miesięcy i mogłam sobie oszczędzić kłopotu.

21 kwietnia Harrison skończył trzydzieści dwa lata, postanowiłam więc, że wydam z tej okazji przyjęcie w swoim pokoju hotelowym. Włożyłam do bidetu dziesiątki stokrotek, kupiłam po butelce whisky i ginu i poszłam do mojej kawiarni, gdzie namówiłam sympatycznego barmana, żeby dał mi wielki kawał lodu, który zataszczyłam do hotelu, cała ociekając wodą. Zaprośmy wszystkich, których znaliśmy i wszyscy się stawili. Niewiele przyjęć jakie zorganizowałam udało się tak znakomicie: pokój był pełen ludzi, a wokół krążyły drogie trunki, co było w tych czasach rzadkością. Bóg wie, jak zdobyłam pieniądze na alkohol... na pewno jakieś dodatkowe plomby. Podczas pobytu w Paryżu piłam bardzo niewiele. Importowany alkohol był za drogi, a wino i aperitify mi nie odpowiadały.

Jeden z najbliższych przyjaciół Harrisona był podejrzanym, barwnym facetem, którego praca była tyleż tajemnicza co pachnąca kryminałem. Nazywał się Robert Cagnoli, a jego ojciec był właścicielem opuszczonego domu publicznego, który po słynnym na cały świat Sfinksie, był

drugim najbardziej znanym *maison close* w Paryżu. Chociaż został zamknięty przez władze i oficjalnie nie istniał, Robert wciąż miał do niego klucz i mieszkał tam nielegalnie wraz ze swoją przyjaciółką, imieniem Natalie. Nazywaliśmy go bez obsłonek „burdelem”.

Pod koniec kwietnia zdecydowaliśmy z Harrisonem, że zamieszkamy razem. Ażeby oszczędzić na kosztach wynajmu — Harrison był kompletnie splukany — przeprowadziliśmy się do burdelu rodu Cagnolich, który mieścił się na zdecydowanie brzydkiej uliczce na Montparnasse, niedaleko gmachu opery. Wprowadziłam się tam, kiedy Nicole była wciąż w Normandii.

Posłanka francuskiego Zgromadzenia Narodowego, niejaka Martę Richard, parę lat wcześniej zdelegalizowała wszystkie domy publiczne, wyrzucając na bruk setki dziewczyn i niszcząc biznes, który rozwijał się bez przeszkód przez całe dziesięciolecia, jeśli nie przez pokolenia. Była tam tylko zimna woda i trochę mebli na najwyższym piętrze budynku. Żeby dostać się do naszego pokoju, musiałam pokonać sześć kondygnacji, mijając puste pokoje o ścianach wciąż udekorowanych różnymi krzykliwymi afiszami: Madame de Pompadour, Turecka Rozkosz, Afrykańska Królowa i oczywiście ulubiona Sala Tortur.

Mieszkając tam, nasza czwórka czasami udawała, że prowadzi dom, robiąc zakupy na pobliskim targu i gotując niewyszukane obiady, kiedy nie mieliśmy innych planów. Ściśle mówiąc, to Natalie gotowała i płaciła za jedzenie. Harrison i ja zajmowaliśmy zapuszczony mały pokój, w którym ledwo mieściło się łóżko i szafa; Robert i Natalie mieszkali w drugim pokoju. Była tam także kuchnia, prysznic i salon/jadalnia, w której stał długi stół i kilka niedobrych krzeseł. Czasami w weekendy zapraszaliśmy gości, którzy przychodząc zaopatrywali nas w jedzenie i picie. W rewanżu Robert puszczał stare, nieme filmy pornograficzne, w których mężczyźni mieli na sobie tylko czarne skarpetki i buty. Były to śmiertelnie poważne i obrzydliwe filmy, ale wywoływały podniecenie, mimo staromodnej gry i mnóstwa zabawnych uwag, które padały podczas projekcji.

Chociaż naprawdę umiałam już mówić po francusku i byłam pochłonięta pracą w *public relations*, zdawałam sobie sprawę — nie mając przy tym w ogóle poczucia winy — że obecny układ prawdopodobnie nie jest *dokładnie* tym, co mieli na myśli rodzice, kiedy zgodzili się na mój pobyt w Paryżu. Mieszkalam nielegalnie w rozpadającym się burdelu, prowadząc zdecydowanie grzeszne życie, pracując bez pozwolenia i w dodatku za darmo.

Czytelniku, weź pod uwagę, że zaledwie rok wcześniej zostałam niemal usunięta z college'u za picie alkoholu i to nawet nie na jego terenie a na plaży! Gdyby tylko Babs Butterfield mógł mnie wtedy zobaczyć!

Pewnego wiosennego wieczoru leżeliśmy z Harrisonem w łóżku, czytając i nie kochając się. Czy to właśnie spotyka ludzi, kiedy się pobierają? Zastanawiałam się nad tym z mieszaniną zaskoczenia i ciekawości, a także z odrobiną niepokoju. Do owego wieczoru uważałam za niemożliwe, że mając okazję do kochania się nie zechcemy z niej skorzystać. Nie zdarzyło się to już więcej, ale moje wątpliwości były tak naiwne, że pamiętam to znacznie dokładniej niż większość szczegółów związanych z naszym współżyciem.

Kiedy rodzina Bouchet de Fareins wróciła z Honfleur, wreszcie musiałam powiedzieć Nicole o Harrisonie, bo nie miałam zamiaru wyprowadzać się z burdelu. Nie okazała wielkiego zaskoczenia. Myślę, że podejrzewała, co nastąpi po tym pierwszym weekendzie, który spędziliśmy razem, zwłaszcza po zerwaniu z Edouardem. Była prawdopodobnie zadowolona, że moja paryska edukacja jest kompletna, dopóki wciąż płaciłam za pokój i utrzymanie. Oczywiście Ginette Spanier wiedziała o wszystkim; podobnie John Cavanaugh, wspólny przyjaciel Harrisona i mój, oraz niewątpliwie wszyscy inni w Paryżu.

Do połowy maja moje życie wypełniała miłość i praca. Wiedziałam, że jestem szczęśliwsza

niż mogłabym sobie wyobrazić. Chłonełam to szczęście pełną piersią. Wordsworth trafnie wyraził moje uczucia, pisząc, „Rozkosznie było żyć w taki poranek/I to za młodu: istne niebo!”

Jednak w parę tygodni później z domu nadeszły niepokojące wiadomości. 23 maja ojciec wybierał się do Paryża w interesach. Napisał, że przyjeżdża, żeby odwiedzić producentów trunków, których reprezentował jeden z jego klientów, Julius Wile, importer szampana Bollin — ger, Benedyktyna, B & B i wielu innych. Następnego dnia dostałam ostrzegawczy list od Mimi. Pisała, że Tata w istocie nie jedzie do Paryża tylko w interesach. Wobec rosnących podejrzeń, postanowił się tam wybrać, żeby się przekonać, co się, u licha, dzieje. Sama Mimi zapewniła mnie, że jest zupełnie pewna, że nie mogę mieć nic złego na sumieniu, że nigdy bym nie poszła do łóżka z mężczyzną bez ślubu. Wciąż żyła według amerykańskich standardów.

Na nieszczęście, w listach, które regularnie wysyłałam do rodziców przez cały czas, napisałam o Harrisonie i wspomniałam, że jest uważany za homoseksualistą. W parę miesięcy później, zapomniawszy o tym całkowicie, napisałam, że pragnie mnie poślubić. Łatwo sobie wyobrazić konsternację, wywołaną tymi dwiema informacjami.

Postanowiłam, że chociaż muszę nadal mieszkać z Harrisonem, będę udawała, że mieszkam u Nicole. Problem polegał na tym, że jak tylko zwolniłam swój pokój, wynajęła go jakiejś innej dziewczynie, chociaż nadal za niego płaciłam! Tyle, jeśli chodzi o moje obawy czy potrafi zadbać o swoje interesy.

Stałam wobec *fait accompli*, ale musiałam sobie zapewnić jej współpracę. Byłam na nią wściekła, ale nie mogłam sobie pozwolić na robienie awantur. W końcu wykombinowałam, że podczas pobytu ojca w Paryżu, będzie mnie odprowadzał do domu Nicole, a ja się przyczaję na schodach, dopóki nie pojedzie do swego hotelu. Potem pojedę taksówką z powrotem do burdelu. Może mi nie uwierzycie, ale ten sposób zdał egzamin, chociaż często musiałam przejść spory kawał, zanim znalazłam taksówkę.

Kiedy podawałam taksówkarzowi adres, odwracał się i patrzył na mnie z nieukrywanym zdumieniem. Nazwa burdelu była identyczna z jego adresem. Po dokładnym zlustrowaniu mojej osoby, mrucząc coś do siebie, taksówkarz zawoził mnie na miejsce, po czym czekał, żeby zobaczyć, co się stanie. Ponieważ ustaliliśmy określony sposób sygnalizacji dzwonkiem, musiałam czekać dobrą chwilę, aż ktoś zejdzie sześć pięter w dół i otworzy mi drzwi. Kiedy znikaliśmy w środku, jeszcze jeden paryski taksówkarz myślał, że oto zobaczył ducha minionych dni.

Kiedy przybył mój ojciec, zaczęłam go oprowadzać po Paryżu. Poznał wszystkich moich przyjaciół, przede wszystkim Harrisona. Potem spędziliśmy weekend w Le Bois Normand w towarzystwie Jose, Edouarda i Francette, jak również córek Nicole. Nicole zabrała go na przechadzkę po ogrodzie, gruchając do niego swoją zabawną angielszczyzną, podbita jego czarem jak wszystkie kobiety. Tata zabrał mnie na lunch do Maxima, na którym towarzyszyła nam Stella Adler, jedna z najwspanialszych kobiet jakie kiedykolwiek widziałam; nosiła wielki czarny kapelusz z woalką. Poszliśmy coś kupić dla matki i zrobiliśmy wypad Ho Fecamp w Normandii, gdzie produkowano Benedyktyna. Zmuszono nas do spróbowania tyłu wyjątkowo dobrych próbek trunku z tyłu beczek, że przed lunchem byliśmy już wszyscy nieźle wstawieni.

Sylwia Lewis, kobieta, która poznała ze sobą moich rodziców, przebywała tego roku w Paryżu i, kiedy byłam w pracy, Tata spędzał większość czasu w jej towarzystwie. Mimi i ja nigdy nie lubiliśmy Sylwii, kłótlivej i nieciekawej osoby, która dołożyła wszelkich starań, żeby mnie przekonać, iż Harrison, o którym nic nie wiedziała, jest homoseksualistą. Była urodzoną plotkarą.

Fanny Cohen, najwierniejsza z przyjaciółek matki, która wzięła na siebie rolę opiekunki Mimi od dnia jej narodzin, po śmierci matki dzieliła z Mimi wiele wspólnych tajemnic i jedną z nich było to, że ojciec i Sylwia od dawna mieli romans. Nie mam co do tego wątpliwości. O innych

kobietach wiem na pewno, więc dlaczego także nie Sylwia, zwłaszcza że ojciec spędził w Paryżu całe trzy tygodnie, znacznie więcej niż naprawdę potrzebował.

2 czerwca, w Zielone Świątki, ja z Harrisonem i Tata z Sylwią wybraliśmy się jej samochodem na pięciodniową wycieczkę do Normandii i Bretanii; w programie były Mont Saint — Michel, i wioski rybackie Concarneau, Quimper i Douarnenez. Harrison prowadził, ja siedziałam obok niego, ale oczywiście dzieliłam pokój z Sylwią.

Wiedziałam, że jesteście obserwowani, ale codziennie po obiedzie udawało nam się na krótko wymknąć na pośpieszny akt miłosny; raz odbyło się to na podłodze łazienki hotelowej, którą znaleźliśmy na korytarzu, raz leżąc w trawie na pastwisku, gdzie wokół nas pasły się konie. Uważałam, żeby znaleźć się w pokoju przed Sylwią i przywitać ją w piżamie, nigdy nie zastanawiając się, co porabia, kiedy mnie nie ma. W ciągu dnia Harrison i ja stanowiliśmy — tak się nam wydawało — parę doskonałych przyjaciół.

Przez cały ten czas miałam bolesną świadomość, że ojciec i Harrison prawie ze sobą nie rozmawiają. Tata był jedyną osobą, na której Harrison Elliott, znany ze swego daru zjednywania ludzi, zupełnie nie wywarł wrażenia. W istocie H. bał się mego ojca i w jego obecności język stawał mu kołkiem. Chociaż starałam się przemówić mu do rozsądku, po prostu nie był w stanie przełamać dystansu. Uniemożliwiał mu to nie nasz skrywany sekret, ale wyjątkowa nieprzystępność ojca którą potem obserwowałam wielokrotnie w stosunku do innych mężczyzn. Posunęliśmy się nawet do tego, że wydaliśmy na cześć Taty wielki obiad w burdelu, jako że napisałam do domu o mieszkającym tam Robercie. Wszystkie ślady mojej tam obecności zostały usunięte i choć Harrison podczas obiadu siedział obok ojca, rozmawiali ze wszystkimi, tylko nie ze sobą. Kiedy mu robiłam wyrzuty, powiedział mi z nieszczęśliwą miną, że nie potrafi się z moim ojcem porozumieć.

13 czerwca, trzy okropnie długie tygodnie po swoim przyjeździe, ojciec wreszcie opuścił Paryż. Czekałam aż powie coś, *cokolwiek*, na temat Harrisona, ale kiedy jechaliśmy taksówką na Plac Inwalidów, skąd miał autobus na lotnisko, siedział nieporaszony, wyglądając przez okno, najwyraźniej nie zamierzając przerwać majestatycznego milczenia. Zawsze funkcjonujący w naszej rodzinie nakaz, aby „nie denerwować Taty”, powstrzymywał mnie przed otwartym pytaniem, co sądzi o Harrisonie.

W końcu, kiedy dojeżdżaliśmy już do celu naszej podróży, byłam zbyt sfrustrowana tym brakiem reakcji, żeby dłużej wytrzymać. Myślałam także, iż dobrze będzie uspokoić rodziców. „Tato”, powiedziałam, zbierając całą swoją odwagę, Jeśli chcesz wiedzieć, nie zamierzam poślubić Harrisona.” Jedyną reakcją było jakieś wymijające chrząknięcie. Z jednym krótkim wyjątkiem, który miał miejsce w cztery lata później, było to coś, co przypominało rozmowę, jaką kiedykolwiek odbyłam ze swoim ojcem.

Jednak po powrocie do Nowego Jorku, szybko przystąpił do działania. Musiał zauważyć więcej niż myślałam, ale zamiast powiedzieć mi o tym w oczy, jak uczyniłby każdy normalny ojciec, podyktował list. (Każdy list dyktował swojej sekretarce.) Ten krótki, brutalny list zawierał bilet powrotny do Nowego Jorku na statek *De Grasse*, francuski liniowiec, który odpływał 27 czerwca, dając mi zaledwie tydzień czasu na uregulowanie swoich spraw. Ojciec dodał tylko, że niestety nie zdążę do domu na jego tradycyjne przyjęcie urodzinowe w dniu 3 lipca, ponieważ *De Grasse jest* starym statkiem i jest to jego ostatnia podróż, która będzie trwała dziesięć dni. Nawet nie wspominał o swojej obietnicy, że pozwoli mi zostać w Paryżu przez cały rok, do września.

Później często myślałam, że WCALE NIE MUSIAŁAM WSIADAC NA TEN STATEK. Mogłam łatwo podejść rodziców, grożąc że wyjdę za mąż za Harrisona. Gdybym im napisała, że jeśli będę zmuszona wracać do domu, po prostu wyjdę za mąż, żeby tam zostać, zapłaciliby każdą sumę, jeżeli obiecałabym, że *nie* wyjdę za mąż. Mogłabym w ten sposób wymusić na nich

zgodę na dalszy pobyt w Paryżu — gdyby mi to wtedy przyszło do głowy. Ale wychowano mnie na tak posłuszną córkę, że *w ogóle nie przyszło mi to do głowy*.

Był jeszcze inny sposób. Mogłam była odesłać bilet i żyć w Paryżu z dnia na dzień, tak jak wszyscy inni. W końcu nikt nie miał pieniędzy, mieliśmy darmowe mieszkanie, jedzenie było tanie, jakoś dawaliśmy sobie radę i prawdopodobnie, przypuszczalnie mogłaby się pojawić jakaś nowa możliwość. Nikt nie miał takiej władzy, żeby zmusić mnie do powrotu. Ale zawsze byłam taką obrzydliwie dobrą, posłuszną i dobrze wychowaną dziewczynką, niech to wszyscy diabli!

Tylko małżeństwo z Harrisonem, którego propozycje odrzucałam raz po raz, mogło mnie uratować przed koniecznością poddania się i powrotu do domu, ponieważ nie miałam pieniędzy, ważnej wizy i pozwolenia na pracę. Musiałam stanąć twarzą w twarz z faktem, że po prostu nie mogę się zmusić do poślubienia kogoś takiego jak Harrison. Bez względu na to, jak bardzo go kochałam, małżeństwo było zbyt poważną sprawą, żeby się na nie decydować mając tak poważne wątpliwości.

Ale te miesiące, kiedy przeżyłam wielką miłość, przyczyniły się w istotny sposób do ukształtowania mojej przyszłości. Moje dalsze życie wyrasta z doświadczeń owego okresu.

Rodzice rozkazali, „Wracaj”, a ja wyjechałam, niemal natychmiast cofając się do okresu dzieciństwa, kiedy to po przedstawieniu nas gościom na gest matki wracaliśmy do siebie. Kiedy mnie wezwano do domu, moja cenna, z trudem wywalczona wolność, zwyczajnie znikła. Nigdy się nie zastanawiałam, czy mogę zrobić *coś innego niż to, czego oczekiwali rodzice*. W wieku dwudziestu jeden lat byłam wciąż pod ich Pantoflem, pomimo tego, że przez rok byłam zdana tylko na siebie, mając odwagę stawić czoło Francji i francuskiemu... i wygrać. Z perspektywy czasu rozumiem to aż nadto dobrze, chociaż wciąż przeraża mnie moja infantylna reakcja.

Mój świat rozpadał się na kawałki, kiedy w pośpiechu pakowałam walizki, kupowałam niezliczone ilości perfum i rękawiczek, które zamówiła matka i składałam pożegnalne wizyty wszystkim, których znałam, wszystkim klientom i wszystkim przyjaciółom.

Ostatni weekend z Harrisonem spędziłam w Bertenonville i w niedzielę, 26 czerwca, wróciłam do Paryża, gdzie zjadłam obiad w małej restauracji na Lewym Brzegu, naprzeciw Notre-Dame. Patrzyłam na światło księżyca, rozświetlające cienie tej wspaniałej budowli, jednego z cudów świata i pytałam samą siebie, jak taki wspaniały widok może wywoływać we mnie jeszcze większe poczucie nieszczęścia.

Następnego ranka Harrison odwiózł mnie na dworzec Saint-Lazare, skąd o dziewiątej trzydzieści odjeżdżał mój pociąg. Wszystko już zostało powiedziane. Milczeliśmy, przytłoczeni naszym nieszczęściem. Kiedy pociąg ruszył, nagle wstałam, chwyciłam torbę i popędziłam korytarzem z rozpaczliwym zamiarem wyskoczenia z pociągu, ale jechał zbyt szybko. W ostatniej chwili, kiedy wreszcie odzyskałam odrobinę odwagi, było już za późno. Kiedy pociąg dotarł do portu, cała odwaga mnie opuściła i jak robot wsiadłam na statek. W moim notesiku znajduję pod tą datą tylko trzy słowa: „Wszystko się skończyło.”

Rozdział piętnasty

Długa podróż statkiem była do zniesienia tylko dzięki temu, że znalazłam trzy bratnie dusze, z którymi jadałam posiłki, dwóch mężczyzn i dziewczynę. Wszyscy oni zostali zmuszeni do wyjazdu z Paryża, ale z innych powodów niż ja. Jeden z tych mężczyzn, cudowny młody człowiek, nazwiskiem Yves Manuel, został wysłany do Nowego Jorku, żeby przestał się spotykać z Juliette Greco, która później została damą serca Darryla Zanucka i jedną z jego pomniejszych gwiazd. Nasza czwórka utworzyła małą paczkę nieszczęśników, którzy rozstawali się między posiłkami tylko po to, aby w zaciszu kabin oplakiwać swój los.

Co mnie dzisiaj zdumiewa to fakt, że choć odczuwałam dotkliwy ból, byłam w stanie myśleć o przyszłości. Nic mnie nie zasmucało bardziej, niż świadomość, która zakradła się do mego umysłu, bardzo niemiła świadomość, że w odległej przyszłości nie będę już odczuwała takiej potwornej rozpaczki jak w tej chwili. Zdałam sobie sprawę, że pewnego dnia nie będę się już tym wszystkim tak przejmować, że pewnego dnia ten ból będzie jedynie wspomnieniem i że nie będę przez resztę życia tęsknić za Harrisonem i Paryżem. Była to najsmutniejsza myśl ze wszystkich.

Poczułam się wtedy *stara*, wypalona; jak starucha, pozbawiona wszystkich soków żywotnych. Hołubiłam w pamięci dotkliwy ból mego nieszczęścia. Uświadomienie sobie, że nigdy więcej nie przeżyję bólu rozstania z moją pierwszą miłością, było w jakiś przygnębiający sposób prawie tak smutne jak samo rozstanie. Oznaczało, że na zawsze zostawiłam za sobą romantyczne uniesienia, które — ponieważ były Pierwsze — nigdy już się nie powtórzą. Wciąż siebie widzę, jak szlocham godzinami, leżąc sama na górnej koi kabiny, którą dzieliłam z jakąś dziewczyną, ale prawie z nią nie rozmawiałam. Czy taka pamięć jest charakterystyczna dla przyszłych pisarzy? Nie mam pojęcia, chociaż wierzę, iż nie przeżywszy głębokiego uczucia utraty, nikt nie zostanie autorem beletrystyki.

Nie mogłam wiedzieć, że zakocham się jeszcze tylko raz; nie mogłam wiedzieć, jak silnie zostało naznaczone moje życie przez namiętne uczucie do Harrisona, ale pośród targających mną uczuć cichy, trzeźwy głosik gdzieś wewnątrz mnie nie przestawał mówić, że przyszłość istnieje. Patrząc wstecz, to właśnie podczas tej dziesięciodniowej podróży zaczęłam rozumieć i uznawać ograniczenia, które nakłada życie fakt, że jego tworzywem jest codzienność, nie zaś dramat.

W porcie czekały na mnie Mimi i matka. Ojciec był w pracy, a Jeremy dawał lekcje tenisa na obozie w Steamboat Springs. Jeszcze zanim spotkaliśmy się z Fanny i Lenem Cohenami na lunchu, uparłam się, żeby u Bonwita Tellera kupić sobie nowe buty. Chociaż miałam na sobie czarny strój wiosenny, będący dokładną kopią jednego z ostatnich modeli z kolekcji Jacquesa Fatha, czarne zamszowe buty, w których przyjechałam, miały z przodu wielkie łysiny, odklejone podeszwy i zdarte obcasy. Buty te pamiętały jeszcze czasy Wellesley i wkładałam je na każdą randkę, bo nigdy nie udało mi się znaleźć francuskich butów, które by mi odpowiadały.

Kilka par nowych butów osłabiło nieco moje uczucie nienawiści do Nowego Jorku i wilgotnej pogody lipcowej. Widzę z mojego notesika, że w dwa dni po powrocie poszłam z Larrym Goodmanem na potańcówkę do St. Regis Roof. Chociaż moja siostra pamięta, że wróciłam jako „najsmutniejsza osoba, jaką widziała w życiu”, było oczywiste, że nie zamierzam wstąpić do klasztoru.

Nigdy nie uwierzyłabym w tę wzmiankę o potańcówce, gdybym tej notatki nie zobaczyła na własne oczy, ale szybko znów zaczęłam się spotykać z tymi samymi konwencjonalnymi, bogatymi i stuprocentowo przyzwoitymi chłopcami, których poznałam w college'u. Chociaż byli o rok starsi, nic się nie zmienili, ja natomiast zmieniłam się w zasadniczy sposób, którego nie

mogli pojąć i prawie nie umiałam się już dobrze bawić w ich towarzystwie. Moje prawdziwe życie toczyło się w zupełnie innym świecie.

Bardzo żałuję, że nigdy nie prowadziłam dziennika, z wyjątkiem sporadycznych zapisków podczas pierwszych miesięcy pracy nad moją pierwszą powieścią, *Skrupuły*. Jedyne notatki jakie mam dotyczą, szczęśliwym trafem, lat 1949 i 1983, kiedy to na trzy lata przeprowadziliśmy się z mężem do Paryża.

Ale nawet bez mego notesika pamiętam sporo z okresu po powrocie do domu. Nikogo nie powinno zdziwić, że moje zęby wymagały wizyty u dentysty. Poza tym zapisałam się na lekcje jazdy samochodem w Stamford. Kiedy wreszcie, po trzech próbach, zdałam egzamin, zabrałam matkę na popołudniową przejażdżkę do Norwalk, gdzie chciała zrobić jakieś zakupy. Kiedy ojciec wrócił do domu i dowiedział się, gdzie byliśmy, zbladł i kazał mi obiecać, że nigdy więcej nie siądę za kierownicą... to jest zbyt niebezpieczne. Tak samo postąpił wobec mojej matki, kiedy nauczyła się prowadzić. Dlaczego zawsze musiał podcinać skrzydła kobietom w swojej rodzinie, chociaż zachęcał je do wykorzystywania swoich zdolności intelektualnych? Jeszcze jedna tajemnica dotycząca mego ojca. Na nieszczęście dotrzymałam danej mu obietnicy przez szesnaście lat, dopóki nie zaczęłam spędzać letnich miesięcy w Westport, gdzie musiałam wszędzie wozić dzieci... i, oczywiście, nie jestem zbyt dobrym kierowcą.

Wiedziałam, że czeka na mnie praca w *Good Housekeeping*, ale nie bardzo się do niej paliłam. Najpierw chciałam się przekonać, czy potrafię znaleźć pracę na własną rękę, poszłam więc na rozmowę z agentem literackim, Leahem Salisbury i Mikem Dannem, który był szycią w NBC. Żaden z nich nie miał ochoty zatrudniać kogoś, kto nie miał w ogóle doświadczenia, poza pracą w *public relations* we Francji, i to u projektantów kapeluszy. Wydało im się to niemal frywolne, a specjalizacja z angielskiego zupełnie nie zrobiła na nich wrażenia.

Byłam kompletnie przygaszona. Zupełnie mnie nie obchodziło, co się ze mną stanie. Sześć lat wcześniej, latem, przed rozpoczęciem nauki w Wellesley, pracowałam u ojca, zajmując się kampanią nowej szminki firmy Coty. Kampania okazała się udana.

„Powinnaś zostać copywriterem”, powiedział mi wtedy ojciec, ale obiecałam sobie, że nigdy więcej nie dam się zamknąć w pokoju z maszyną do pisania i szminką.

Czytelniku, nigdy nie przypuszczałam, że w przyszłości spędzę dwadzieścia dwa lata w pokoju, w towarzystwie maszyny do pisania i bez szminki.

Jednak udałam się na rozmowę do agencji reklamowej, gdzie usłyszałam, że gdyby mnie zatrudniono, „musiałabym jeść, oddychać i spać” pracując — co nie było zbyt kuszącą perspektywą. W końcu poszłam po linii najmniejszego oporu i zwróciłam się do wspaniałomyślniej Maggie Cousins, redaktorki działu beletrystyki w *Good Housekeeping*, która zatrudniła mnie od sierpnia.

Był to, rzecz jasna, absolutny nepotyzm. Wszystko zaaranżował mój mentor, Herbert Meyes, który, jak może pamiętacie, kupił mnie od rodziców, kiedy miałam cztery lata. Od 1927 roku Herb był zatrudniony w Hearst Corporation. Maggie pracowała u Herberta od 1936 roku i była także dobrą przyjaciółką rodziców. Herbert był nadzwyczajnym człowiekiem, fantastycznie uzdolnionym redaktorem, zdecydowanie największym i najbardziej wziętym spośród redaktorów magazynów dla kobiet. Po trzech miesiącach nauki w szkole średniej musiał iść do pracy... oto powtarzający się schemat awansu z pucybuta na milionera.

Nie sądzę, że jest przesadą, iż z wyjątkiem mnie i Maggie, wszyscy zatrudnieni w *Good Housekeeping* panicznie bali się p. Mayesa — sama nie jestem pewna, jak to było z Maggie. Był super perfekcjonistą, bezlitośnie wytykał ludziom błędy, obrzucał ich nieprawdopodobnymi obelgami, był niewrażliwy na jakiegokolwiek uczucia, a kiedy szedł korytarzem, poprzedzała go fala strachu. Podczas lunchu pracownicy szeptem opowiadali o nim potworne historie,

zafascynowani jego najnowszą awanturą. Jeżeli udało ci się zadowolić Herba Mayesa, mogłeś zadowolić każdego, a osoby, które zwolnił, zawsze znajdowały potem znacznie lepszą pracę. Magazyn handlowy *Printer's Ink* napisał, że Herb Mayes „codziennie na śniadanie zjadał redaktora i pisarza”, a jeden z pisarzy powiedział, że kierował swoim magazynem jak „strażnik więźniów skutych wspólnym łańcuchem”.

Znałam go jako dziecinnego psotnika, kochającego męża i ojca, najwierniejszego przyjaciela rodziców, człowieka, który uwielbiał opowiadać najobrzydliwsze dowcipy — dowcipy, o których jeszcze nie wiedzieliśmy, że są „niepoprawne politycznie”, ale które były zbyt śmieszne, żeby można było zachować powagę. Potrafił też być rzeczywiście zabawny. W 1927 roku wydał pierwszą biografię Horatio Algera, która była kompletnym oszustwem, ale ku jego zdumieniu, okazała się podstawowym materiałem źródłowym dla czterech dalszych biografii i była cytowana przez wszystkie encyklopedie, w tym przez *Encyclopaedia Britannica*. I co teraz myślicie o materiałach źródłowych?

Grace Mayes była czarującą, cudowną kobietą, obdarzoną bardzo specyficznym, sardonicznym poczuciem humoru. Moja matka w pełni odwzajemniała jej sympatię. Grace miała delikatną urodę, była bardzo szczupła, krucha i elegancka; była także urodzonym redaktorem, ale Herbert, u którego pracowały głównie kobiety, nigdy nie pozwoliłby jej pójść do pracy. Na Boże Narodzenie, Grace dawała Mimi i mnie prezenty, takie jak atlasowe narzuty na łóżko czy złote puderniczki, kiedy byliśmy na to jeszcze zbyt młode; sprawiało to jednak, że były dla nas tym bardziej ekscytujące.

Kiedy byliśmy małe, Herbert uwielbiał nas straszyć. Chował się w naszym długim korytarzu za zasłoną i kiedy przechodziłyśmy, chwycił nas za kostki, krzycząc, „Buuu!” Chociaż zdarzało się to wielokrotnie, zawsze dawałyśmy się nabrać i piszczaliśmy wniebogłosy.

Latem 1949 roku siedziałam za biurkiem w dziale beletrystyki *Good Housekeeping*, mozolnie przedzierając się przez ogromny stos niezamówionych rękopisów, które nazywaliśmy „breją”, i słysząc jak Herbert, obchodząc biuro, wchodzi do pokoju. Poza mną, w pokoju siedziały jeszcze trzy recenzentki, młode dziewczyny, i wiedziałam, że jestem jedyną, która nie zadrżała, kiedy zapytał, „No, która z was chce dać mi całusa?” Wiedziałam, że żartuje, ale one nie.

Powiedzieć, że Herbert miał włosy, to za mało; on miał „fryzurę”, która nigdy nie przestała mnie bawić. Jego bujne, kręcone loki, kiedyś czarne a potem siwe, otaczały niezwykle inteligentną twarz. Był średniego wzrostu, zawsze nieskazitelnie ubrany i zadbany; szalenie atrakcyjny mężczyzna, jeśli nie wiecie, że to Król Piekieł.

Zarówno Herbert jak i Grace byli tak niepowtarzalni, mieli tak silne osobowości, że w przeciwieństwie do większości ludzi, którzy już od dawna nie żyją, wciąż widzę ich tak żywo, jakbym zaledwie wczoraj jadła z nimi obiad.

Kiedy Herbert kierował magazynem *Good Housekeeping*, pismo było zdecydowanie najbardziej wpływowym magazynem dla kobiet w Ameryce, a jego nakład sięgał sześciu czy siedmiu milionów. Sławny „Znak Jakości Magazynu” stanowił rzeczywiście gwarancję zwrotu pieniędzy. Były u nas całe piętra modelowo urządzonej kuchni, gabinet piękności i laboratoria, gdzie testowano rozmaite urządzenia gospodarstwa domowego. Żaden produkt, który nie spełniał warunków reklamy, nie mógł się pojawić w naszym magazynie.

Kiedy zaczęłam pracować, nie wiedziałam, że bezlitosne artykuły krytyczne na temat magazynu, które napisała ta arogancka, zarozumiała i lekceważąca studentka ostatniego roku college'u, były znane nie tylko Herbertowi. Dał je do przeczytania szefom wszystkich działów magazynu, uważając, że dobrze im zrobi, jak przyłoży im ktoś inny. Sprawilo to, że powitano mnie w *Good Housekeeping* raczej bez entuzjazmu.

Wszyscy wiedzieli, że znalazłam się tutaj, bo mam „plecy”, mimo że kiedy byłam w

college'u, pracowałam w różnych działach magazynu w ciągu trzech kolejnych wakacji. Za pierwszym razem, kiedy byłam zatrudniona w gabinecie piękności, moja praca polegała na roznoszeniu po biurze rozmaitych nowych wyrobów, takich jak dezodoranty i przekonywaniu pracowników, żeby je wypróbowali i wypełnili odpowiednią ankietę. Kiedy pojawiałam się w drzwiach, wszyscy uciekali. Teraz, gdy powróciłam na dobre, nie ma się co dziwić, że powitanie nie było gorące. Nie zwracałam na to uwagi, ponieważ byłam zbyt zajęta własnym cierpieniem i zupełnie mnie nie obchodziło, co ludzie myślą o mnie czy też o kimkolwiek innym.

Owego lata codziennie dojeżdżałam do pracy z North Stamford razem z ojcem. Każdego ranka podróżowaliśmy samochodem piętnaście kilometrów do stacji kolejowej i stamtąd zniszczonym pociągiem do miasta. Ojciec jechał dalej do Grand Central Station, a ja wysiadałam przy 125 ulicy, łapałam tramwaj do metra na Ósmej Alei i czekałam na pociąg, który mnie dowoził do 59 ulicy. Stamtąd, po przejściu paru przecznic, docierałam piechotą do budynku Hearsta. Co za spacer!

W drodze do domu wcześniej wsiadałam do pociągu na Grand Central i w jednym z niewielu klimatyzowanych wagonów starałam się znaleźć dwa miejsca, dla siebie i dla ojca, który przychodził później.

Jego agencja, której wnętrze pięknie zaprojektował Lucien Bernhardt, znajdowała się na Rockefeller Plaza 30, gdzie firma J. D. Tarcher & Co. zajmowała połowę dziesiątego piętra. Ze wspaniałego narożnego gabinetu Taty widać było wieże katedry św. Patryka. W czasie, kiedy szedł do stacji, zawsze przychodząc w ostatniej chwili, musiałam odpierać ataki setek zmęczonych ludzi, wyłącznie mężczyzn, którzy byli gotowi mnie ukatrupić. Ten koszmar trwał przez pięć lat, ale ilekroć miałam randkę, oczywiście spędzałam noc na St. Urban.

Przynajmniej trzy lub cztery razy w tygodniu, szłam z trzema pozostałymi recenzentkami do pobliskiej rosyjskiej herbaciarni na lunch, który kosztował dziewięćdziesiąt pięć centów — wielki, pyszny sandwicz, szklanka herbaty i ciastko. Właścicielem herbaciarni był Sammy Kaye, znakomity gawędziarz, który wszystkich zabawiał swoimi dowcipami. W jakiś rok później poszłam z nim parę razy na randkę, ale wkrótce ze mną zerwał. „Nie mogę chodzić z dziewczyną, która jest równie gadatliwa jak ja”, powiedział. Wciąż się przyjaźnię z wdową po Sammym, Faith Stewart — Gordon, która też lubi dużo mówić, ale nie może się równać ze mną. Jak zresztą większość kobiet.

Odnowiłam starą przyjaźń z Sally Kellerman, która później napisała przełomową powieść, *Dziennik szalonej gospodyni* oraz pięć innych, znacznie mniej znanych. Zaprzyjaźniłyśmy się na pierwszym roku college'u, kiedy razem chodziłyśmy na randki z kilkoma chłopcami z Harvardu. Byłyśmy znacznie bardziej zainteresowane sobą nawzajem niż tymi chłopcami i chociaż ona wyjechała do Vassar, nasza przyjaźń nigdy nie wygasła, a teraz, kiedy obie mieszkaliśmy w Nowym Jorku, widywałyśmy się częściej niż kiedykolwiek.

Sue była wyjątkowo piękną dziewczyną, ciemną, o wspaniałych oczach i lekko neurotyczną. Ilekroć rozmowa schodziła na tematy zbyt osobiste, mówiła, „Kochanie, nie mówmy o *tym*” i wówczas „to”, czymkolwiek by było, znikало natychmiast. Byłam chyba jej najlepszą przyjaciółką, ale pod wieloma względami nigdy jej naprawdę nie poznałam. Ani nikt inny. Była zbyt wrażliwa, żeby można się było do niej naprawdę zbliżyć.

Odnowiłam także przyjaźń z Joe Eulą, malarzem i prawie na pewno czołowym ilustratorem naszych czasów. Poznałam go w Paryżu, kiedy tył tam z moją starą przyjaciółką, Beverly Gaussem. Beverly pracowała u niego ojca jako dyrektor d/s sztuki do chwili, kiedy postanowiła zupełnie odmienić swoje życie, rozwiodła się i wyjechała do Paryża.

Beverly była olśniewającą dziewczyną: nosiła buty na bardzo wysokich obcasach i wielkie kapelusze, mocno się malowała, miała duży biust i bujne rude włosy. Mimi i ja lubiłyśmy

odbywające się dwa razy do roku spotkania z jej udziałem, ponieważ była taka pełna seksu. Kiedy po kilkutygodniowej wyprawie na wieś, gdzie zajmowali się malowaniem, zjawiała się z Joem w Paryżu, oboje cuchnęli. Naprawdę cuchnęli obrzydliwie. Żadne z nich nie kąpało się od tygodni. Beverly przeistoczyła się w autochtona: obcięła włosy i przestała się malować.

Wystaliśmy ich z Harrisonem pod lodowaty prysznic, pożyczyłam Beverly parę sztuk czystej odzieży, których nigdy nie oddała i wyjechali. Joe wrócił do Stanów Zjednoczonych i do pracy w *Herald Tribune*, gdzie szkicował wszystkie paryskie kolekcje, opisywane przez Eugenię Shepherd, a Beverly wyszła za mąż za Billa Peppera, kierownika filii magazynu *Newsweek* w Rzymie i została sławną rzeźbiarką. Beverly Pepper kupiła zamek w Todi na Umbrii, zapoczątkowując w ten sposób snobistyczny trend kupowania zamków i nigdy nie wróciła do kraju. Jest dzisiaj legendą, a jej córka, Jorie, zdobyła nagrodę Pulitzera w dziedzinie poezji.

Joe był Włochem; mały, z kręconymi włosami, bardzo przystojny na swój szelmowski sposób, bardzo złośliwy ale nie skąpy, największy plotkarz na świecie i najlepszy przyjaciel, który znał wszystkich w świecie mody. Powiedział mi, że podczas wojny był policjantem. To absolutna prawda. Powiedział mi też, że podczas wojny złamał nogę — to także prawda — a kiedy leżał bezradny na wyciągu, został uwiedziony przez lekarza, co było jego pierwszym homoseksualnym przeżyciem. Nieprawda. Nie pierwszym.

Nawet Joe, z którym jeszcze dziś potrafię rozmawiać przez telefon jakby to było wczoraj, musi śmiać się z tego, że mu uwierzyłam. Często kupowaliśmy sobie butelkę wina i — zamiast popcornu — kurze wątróbki i podroby. Kiedyś, gdy wyjechał na miesiąc do Paryża, wypożyczył mi swoje mieszkanie w domu bez windy przy Trzeciej Alei, w którym nie było prądu. Na nieszczęście, właśnie byłam bez chłopaka i nie potrzebowałam go, więc tylko urządziłam tam przyjęcie przy świecach.

Później, tego samego lata, na parę tygodni przyjechał Philippe Hersant. Studiował budowę mostów, a jeśli chodzi o mosty nie ma lepszego miejsca niż Manhattan. Natychmiast zaciągnęłam go na ostatnie piętro budynku RCA, żeby zobaczył panoramę całej okolicy. Przyjechał na weekend do domu w Connemara i wreszcie, choć nie tam, jego długotrwałe zainteresowanie moją osobą i te wszystkie gorące kąpiele opłaciły się... i to dla nas obojga. Był pierwszym mężczyzną, z którym się przespaliśmy po powrocie z Paryża i okazał się pełnym wigoru kochankiem. Podczas pierwszej, wspólnie spędzonej nocy kochaliśmy się pięć razy. „Niewielu mężczyzn to potrafi”, powiedział mi Philippe z dumą, „nawet w niedzielę.”

Co ciekawe, chociaż rodzice zmusili mnie do powrotu z Paryża, teraz, kiedy już się znalazłam w domu, pod ich dachem, dali mi klucz od mieszkania i zupełną swobodę. Dopóki, w wiele lat potem, nie wyprowadziłam się do własnego mieszkania, mogłam robić wszystko co mi się podobało w swoim pokoju — czy w mieszkaniu kogoś innego — o ile nie było ich w domu. Wszystkie letnie wieczory i wszystkie weekendy w roku w ogóle spędzaliśmy w domu w Connemara. Kiedy przebywali w domu, mogłam wchodzić i wychodzić, kiedy miałam na to ochotę i wracać o dowolnej porze, byle bym noc spędzała we własnym łóżku. Miałam dzięki temu wiele swobody... coś jak niegdyś „blanket permission”. Właściwie było tak samo jak wtedy, gdy zostawili mnie samą z Joem, owym kadetem. Odniosłam wrażenie, że nigdy się nie zastanawiali i nie podejrzewali, że mogę prowadzić jakieś życie seksualne, czy, co bardziej prawdopodobne, nie obchodziło ich to i jedynym powodem, dla którego ściągnęli mnie z Paryża, była obawa przed możliwością małżeństwa z Harrisonem.

Rozdział szesnasty

Minęło wiele czasu — w istocie, lat — zanim znowu nauczyłam się traktować amerykańskich mężczyzn poważnie. Skoro nie mogłam mieć Harrisona, mężczyzną który mógł mnie naprawdę zainteresować, musiał być Francuz. Mój mąż mówi, że dowiedział się o mnie od naszego wspólnego przyjaciela, który poradził mu, żeby do mnie zadzwonił i umówił się na randkę. „Judy jest naprawdę fajna”, powiedział przyjaciel, „tylko jeśli usłyszysz *«La vie en rose»*, wybucha płaczem i nie może się uspokoić.” Chociaż parę razy próbował do mnie dzwonić, na szczęście nigdy nie zastał mnie w domu.

Joe Eula wprowadził mnie w świat nowojorskich fotografów mody, który mnie zafascynował i zapoczątkował moje zainteresowanie fotografami w ogóle. W moich powieściach pojawia się wielu fotografów — w istocie tak wielu, że w końcu, pracując nad *Olśnieniem*, zadałam sobie pytanie, dlaczego moi fotografowie i ich asystenci to zawsze mężczyźni. Powołałam więc do życia nową bohaterkę, Jazz Kilkullen, fotografa, a potem bezwiednie zepsułam cały zamysł, dodając trzech fotografów–mężczyzn, z których jeden, czarujący Tony Gabriel... tak, tak, odgadliście... odbiera Jazz dziewiectwo.

Tematy... tematy... każdy pisarz raz za razem powraca do tych samych tematów, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Ale wyobraźnia jest o wiele bogatsza niż prawdziwe życie pisarza. Miałam kiedyś krótki romans z fotografem, ale nie było to nic ważnego, a jego zawód nie miał tu nic do rzeczy.

Latem 1949 roku Joe Eula przedstawił mnie nieżyjącemu już Miltonowi Greene, znanemu fotografowi mody, który później zyskał światową sławę dzięki znajomości z Marilyn Monroe i znakomitym fotografiami, jakie wykonał w ostatnich latach jej życia. Milton był pełnym humoru, niefrasobliwym mężczyzną, żydowską wersją Huckleberry Finna, z twarzą pokrytą piegami; zawsze miał na sobie dzinsy i niebieską koszulę. To właśnie w jego pracowni odkryłam, że pracownia fotograficzna jest najbardziej ekscytującym miejscem pracy na ziemi. Jest jak nieustający afrodyzjak; jest miejscem, gdzie stale gra muzyka, gdzie unosi się zapach egzotycznego jedzenia i gdzie panuje podniecająca, nieco histeryczna, wyraźnie nasycona erotyzmem atmosfera, którą tworzą modelki, styliści, redaktorzy, asystenci i sami fotografowie. Atelier fotografa mody jest w rzeczywistości tym, jak wyobrażamy sobie, że wygląda plan filmowy.

Milton i ja zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi i niczym więcej, bo jego życie intymne było bardzo skomplikowane; często odwoził mnie do domu w Stamford swoim maleńkim, otwartym, starym MG, wiedząc, że matka zaprosi go na obiad, po czym wróci do swojej przebudowanej remizy w pobliskim Wilton.

Świat ten stanowił istną pajęczynę wzajemnych powiązań. Była żona Miltona, Evelyn, była zaręczona z Dickiem Avedonem, który właśnie powrócił ze swojej pierwszej albo jednej z pierwszych sesji zdjęciowych kolekcji mody dla magazynu *Harper s Bazaar*. Ginette dała mi numer telefonu Dicka i nalegała, żebym do niego zadzwoniła.

Dick natychmiast zaprosił mnie do siebie i próbował nauczyć grać w pokera, ale Evelyn kręciła się zbyt blisko nas, żebyśmy mogli poflirtować, chociaż miałam na to wielką ochotę. Dick miał przed sobą wielką przyszłość, był uważany za Leonarda Bernsteina fotografii, a poza tym, kiedy przypatrzyłam się jego twarzy skrytej za grubymi szklami, okazał się zaskakująco przystojny. Później, kiedy zostałam redaktorką d/s mody, zawsze byłam podekscytowana, kiedy przyszło nam razem pracować. Dick był pierwowzorem postaci Falka, wielkiego fotografa mody

w *Córce Mistrala*, z którym utraciła dziewictwo Teddy Lunel, przyszła matka córki Mistrala. Oczywiście. Jest to cholernie dobra scena, pełna erotyzmu i seksu, zabawna i wzruszająca.

W magazynie *Good Housekeeping* awansowałam na recenzentkę zamówionych rękopisów, chociaż wszystkie musiałyśmy nadal przekopywać się przez „breję”. Przygotowywałam krótką notatkę na temat resci każdego opowiadania, załączałam własną opinię i codziennie zносиłam stos tych materiałów Maggie Cousins. Maggie była główna autorką opowiadań, najbardziej utalentowaną spośród tych, które pracowały wówczas w magazynie. W owym czasie wszystkie magazyny dla kobiet zamieszczały w każdym numerze przynajmniej cztery opowiadania.

Wkrótce zaproponowano mi prowadzenie całostronicowej miesięcznej rubryki pod nazwą „Rady dla nastolatek”. Istniała od czterech lat i jej autorka zawsze podpisywała się „Helenę Wright”. Jako Helenę Wright, zarabiałam sto dolarów miesięcznie, co stanowiło dodatek do mojej żalostnej pensji, wynoszącej sześćdziesiąt dolarów tygodniowo. Praca w magazynie, wyjąwszy głównych redaktorów, jest skandalicznie nisko opłacana. Na magazyny niezasłużenie spada cały splendor, jaki należy się redaktorom. Kiedy w siedem lat później, mając dwadzieścia osiem lat, odeszłam z *Good Housekeeping*, moja podstawowa pensja wynosiła siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo. Matka zarabiała jako sekretarka czterdzieści dolarów tygodniowo, ale było to cztery lata przed moim urodzeniem! Jednak na koniec zostałam zastępcą redaktora. Awansowali mnie na odczepnego, myśląc, że to mi wynagrodzi niskie zarobki.

Rubryka „Rady dla nastolatek” była prawdziwym zbawieniem. Władcy *Good Housekeeping* niezachwianie wierzyli, że nastolatki nie mogą się doczekać, kiedy ich matki skończą czytać magazyn i wtedy same będą mogły przeczytać ostatnie doniesienia Helenę Wright na temat poprawnego zachowania. Było to, w końcu, na początku lat pięćdziesiątych. Co miesiąc wpadałam na parę godzin w trans i wyobrażałam sobie, że jestem złą nastolatką, która, powiedzmy, skradła chłopaka swojej najlepszej przyjaciółce. Porządnie siebie besztalam, dzięki czemu zyskiwałam silną motywację do zachowywania się w bardzo przyzwoity sposób, a wszystko to musiałam zawrzeć w stu odpowiednio dobranych słowach.

Od początku swojej pracy w *Good Housekeeping* posyłałam Herbowi Mayesowi propozycje dotyczące możliwych do wykorzystania tematów, które ja albo ktoś inny mógłby opracować dla potrzeb magazynu. Oto niektóre z nich, tak jak je zapisałam w notatniku: T-shirt: anatomia statusu społecznego; Za kulisami paryskiego Ritza; Jak to jest być modelką w akademii sztuk pięknych; Jakie są przyczyny klaustro —

Bez skrupułów

f bii; Kłopoty pięknych kobiet; Zazdrość i jak sobie z nią poradzić; Co zniży z kobiety poszukiwaczkę złota; Awaryjna książka kucharska dla mężów; Astrologia: czy coś w tym jest; Kodeks etyczny rozwódki; Wszystko, co kobieta powinna wiedzieć o podawaniu win; Trumana Capote’a Boże Narodzenie u Tiffany’ego; Jak uratować okolicę; Dziesięć najprostszych oszczędności w gospodarstwie domowym; Przyjacielska wrogość, czy można z nią sobie poradzić; Niewierna żona. I tak dalej, i tak dalej. Pomysły te były często nowe, niektóre z nich bardzo oryginalne i pod różnymi postaciami krążą w świecie magazynów po dziś dzień. Zapotrzebowanie magazynów jest tak olbrzymie, że bardzo trudno wymyślić jakiś nowy temat.

Ten schemat powtarzał się przez wiele lat. Kontynuowałam to po odejściu z *Good Housekeeping*, podczas dziesięcioletniej pracy w magazynach *Mc Calls* i *Ladies’ Home Journal*. Jednak w ciągu dziewięciu lat, które przepracowałam w *Cosmo*, aż do chwili, gdy zaczęłam pracować nad *Skrupułami*, większość tematów moich artykułów wybierali redaktorzy.

W ciągu tych lat zatrudniłam i zwolniłam trzech agentów, ponieważ sama wymyślałam sobie pracę i nie widziałam powodu, żeby płacić im dziesięć procent, kiedy sama walczyłam (walczyłam, nie pertraktowałam) z każdym redaktorem, żeby uzyskać możliwie największą

stawkę. John ssał zgaszoną fajkę, mrugał do mnie z uśmiechem i robił wrażenie zakłopotanego. „Zupełnie nie pamiętam, że uzgodniliśmy taką stawkę, Judy. Jesteś pewna?” Helen Gurley Brown, redaktorka *Cosmo*, która nie cierpiała wydawać pieniędzy Hearsta, potrafiła przez godzinę rozmawiać ze mną przez telefon, walcząc — nie, targując się — o zapłacenie mi o sto dolarów więcej niż za ostatni artykuł.

Jednak znałam wartość swojej pracy i nigdy nie zawahałam się żądać tyle, ile uważałam, że jest warta. Jeśli chodzi o ten aspekt mego życia, z którego jestem bardzo dumna, była to zapowiedź podejścia do spraw finansowych wszystkich moich bohaterek, które w interesach były kute na cztery nogi. Kiedy zajęłam się pisaniem opowiadań, zarabiałam już od dawna 3 500 dolarów za artykuł, co wówczas stanowiło najwyższe wynagrodzenie osoby pisującej do magazynu dla kobiet.

Rozdział siedemnasty

Ku memu zakłopotaniu, w niecałe pięć miesięcy po moim powrocie z Paryża, w sobotę 29 października 1949 roku, do Nowego Jorku przyjechał Harrison. Po wyjeździe z Paryża, wydawało się, że cała nasza idylla należy do innego czasu i innego miejsca. Uczyniłam wielki wysiłek, starając się przekonać samą siebie, że cała rzecz jest naprawdę skończona. Nasze dwa światy były sobie obce i odległe i nie śmiałam marzyć, że wkrótce znów się spotkamy. Harrison nie lubił pisać listów, dowiedziałam się więc o jego przyjeździe zaledwie parę dni wcześniej. Przyjeżdżał z dwóch powodów: aby się ze mną ożenić i zabrać mnie do Paryża oraz aby uruchomić nowy interes.

Chociaż od tej pory minęło już prawie pięćdziesiąt lat, wciąż odczuwam owo niezdecydowanie, które wtedy przenikało moje życie. Żaden z powodów, dla których nie chciałam wyjść za H., nie zniknął; kiedy udało mi się przetrwać cztery trudne miesiące bez niego i w końcu wrócić do prozaicznego, codziennego życia, było bardzo denerwujące, że się nagle pojawił, a mnie natychmiast ogarnęły uczucia, które jak myślałam, mam już za sobą.

Byłam tak niedoświadczona, że wyobrażałam sobie, iż tak wielka miłość zwyczajnie się rozwieje tylko dlatego, że podjęłam racjonalną decyzję, że to po prostu nie ma sensu. Wtedy nie uwierzyłabym, że miną jeszcze trzy lata, zanim wreszcie przestanę kochać Harrisona, trzy lata, podczas których nie mogłam, nie potrafiłam zainteresować się innym mężczyzną.

Przez następny tydzień widywałam się z Harrisonem codziennie na lunchu i na obiedzie i choć rodzice, zupełnie wbrew swoim zwyczajom, zapodzili się gdzieś na cały weekend, udało nam się spotykać tylko w jego pokoju hotelowym, kiedy nie pracowaliśmy... co nie miało większego znaczenia. Nawet gdy kochaliśmy się, zdawałam sobie sprawę, że beztronski, świeży i cudowny nastrój naszego paryskiego romansu już nie powróci. Wydarzyło się zbyt wiele.

Powoli do mnie dotarło, że Paryż minionej wiosny nie miał wiele wspólnego z samym miastem, ale z czasem, w którym wtedy żyliśmy. Była to wiosna namiętnej miłości, czas, którego już nigdy nie przeżyjemy, czas, który jest i pozostanie na zawsze poza naszym zasięgiem, bez względu na to, jak długo samo miasto będzie trwać na tej ziemi.

Harrison zatrzymał się w dużym, szarym hotelu Barbizon, w nieciekawej okolicy, która smutno kontrastowała z moim pokojem hotelowym na rue Valence, gdzie światło słoneczne padające na wazon tulipanów, stojący u stóp łóżka, wystarczyło, żebym płakała ze szczęścia. Nie mieliśmy wrażenia, że Nowy Jork należy do nas, tak jak należał do nas Paryż. Musieliśmy spiskować i planować i śpieszyć się, żeby być sami, a równocześnie staraliśmy się zachować pozory wobec moich rodziców, którzy, jakby realizując jakiś diabelski plan, zapraszali H. na obiad, jeszcze skracając ten krótki czas, jaki nam pozostał. Kiedy w naszym wspólnym życiu pojawili się moi rodzice, swoboda i spontaniczność naszego związku gdzieś przepadła.

Nowy interes, który Harrison chciał założyć, nazwał „boutique”; słowo to było wówczas nieznanne w Stanach Zjednoczonych. Według jego pomysłu, miała to być sieć małych, eleganckich sklepów, w których kobieta mogłaby znaleźć wszelkiego rodzaju francuskie artykuły luksusowe: torebki, parasolki, biżuterię, upominki, kapelusze, swetry, rękawiczki i perfumy.

Miałam poważne wątpliwości. Nigdy nie słyszałam o czymś takim jak boutique. Nikt tego jeszcze nie próbował. Nie wierzyłam, że Harrison, najgorszy biznesmen, jakiego kiedykolwiek spotkałam, zdoła uruchomić tak ambitne przedsięwzięcie.

Harrison Edward Elliott miał wszystko co potrzeba, żeby zostać wybitnym specem od *public relations*. Znał dosłownie wszystkie ważne figury w świecie mody i wszyscy lubili z nim

pracować, co stanowiło pięćdziesiąt procent sukcesu. Był błyskotliwy, jeśli chodzi o pomysły reklamowe i sprzedawanie ich wydawcom magazynów, co stanowiło pozostałe pięćdziesiąt procent. Ale ze względu na swój fatalny brak umiejętności zabiegania o sprawy finansowe, nigdy mu się nie udało zarobić większych pieniędzy, bez względu na to, ilu miał klientów. W wiele lat później, kiedy żona Arta Buchwalda, Anna, przejęła interes Harrisona, szybko zbiła na nim majątek.

H. spędził Boże Narodzenie w Connemara i pewnego ranka, po tym jak moja matka zjadła śniadanie w jego towarzystwie, niechętnie przyznała, „No cóż, muszę powiedzieć, że rozumiem, co ci się w nim podoba.” Ojciec nadal zachowywał nieprzenikniony dystans. Najszcześniejsze chwile spędziliśmy, kiedy udało nam się wyjechać we dwoje do remizy Milтона Greene’a w Wilton, gdzie mogliśmy się zachowywać w naturalny sposób, gdzie nikogo nie obchodziło, czy się ze wszystkimi przywitaliśmy, zanim zniknęliśmy w jednym z wielu gościnnych pokoi. Tam znowu mieliśmy czas tylko dla siebie; tam mogliśmy znów odnaleźć utracone uczucie zachwyty. Milton pozwolił nam nawet korzystać z domu pod swoją nieobecność.

Harrisonowi udało się pożyczyć od swego ojca pięć tysięcy dolarów. Promieniał z radości. Był przekonany, że mając taką sumę, możemy wziąć ślub, wrócić do Paryża i uruchomić interes. Ta kolejna propozycja, która — jak był pewien — w końcu pokona moje wahania, wywarła wręcz przeciwny skutek. Wiedziałam, na jak krótko wystarczy taka suma pieniędzy, i to, jak zwykle, pieniędzy *pożyczonych*. Co gorsza, mogłam się domyślić, że gdybym została jego żoną, wkrótce próbowałby pożyczyć pieniądze od moich rodziców. W chłodnym świetle nowojorskiej zimy znowu zobaczyłam aż nadto wyraźnie, w jakim świetle iluzji się obraca.

Był to naprawdę widok rozdzierający serce patrzeć na mężczyznę, którego kochałam i widzieć, że zupełnie nie rozumie jak ten świat funkcjonuje i nigdy tego nie zrozumie.

Gdybym była inną dziewczyną, mniej racjonalną, mniej ostrożną a bardziej szaloną i ryzykancką, być może przekonałabym samą siebie, że oto jest moja szansa powrotu do miejsca, za którym tak tęskniłam z człowiekiem, którego tak kochałam. Na pierwszy rzut oka nie była to propozycja zupełnie nierealna i mogłabym ją zaakceptować.

Ale z moją jasną i realistyczną wizją przyszłości, pomysł wyjścia za mąż z długiem pięciu tysięcy dolarów na karku był fatalny. Gdybym mimo wszystko jeszcze się wahała, to właśnie ostatecznie mnie przekonało, że muszę definitywnie rozstać się z Harrisonem.

Harrison wyjechał do Paryża 26 grudnia po pełnym łez popołudniu które spędziliśmy sami w domu Milтона. Wróciliśmy do Nowego Jorku i pomachaliśmy sobie na pożegnanie, stojąc na stopniach tej bezpiecznej fortecy St. Urban. Przez łzy przenikało nieznaczne ale wyraźne uczucie ulgi. Wiedziałam, że podjęłam jedyną słuszną decyzję.

* * *

Wróciwszy po świętach Bożego Narodzenia do pracy, dowiedziałam się, że pojawiły się problemy finansowe i że będę musiała recenzować rękopisy zarówno dla *Cosmo* jak i *Good Housekeeping*. Miałam przekazywać swoje sprawozdania redaktorowi wykonawczemu, Davi — dowi Brownowi. W ten sposób, na początku 1950 roku, zaczęła się nasza przyjaźń, która trwa do dziś dnia. David Brown nie był wtedy jeszcze producentem *Szczęk* i *Żądła*. Nie był też jeszcze mężem Helen Gur — ley Brown i nie wymyślił nowej wersji *Cosmo*.

David stał w hierarchii służbowej znacznie wyżej ode mnie i był wyjątkowo uprzejmym i szarmanckim dżentelmenem. Ale nie wiedziałam, że David potajemnie spotyka się z jedną z moich najlepszych koleżanek biurowych, Wayne List, która była najładniejszą i najbardziej tajemniczą kobietą pracującą w magazynie. Nikt nie wiedział o niej zbyt wiele... albo była nadal

zameżna, albo w trakcie rozwodu; podobnie David albo był nadal żonaty, albo w trakcie rozwodu.

Zaczęłam się obracać w towarzystwie trzydziestoletnich pisarzy, którzy spotykali się w najtańszym bistro w Nowym Jorku. Ich bohaterem, o którym lubili opowiadać zdumiewające historie, był na pół legendarny gość, nazwiskiem Harry Salzman, który przyjaźnił się z wielką pisarką, Colette. Pewnego wieczoru byli wyraźnie podekscytowani, bo Harry, którego nigdy przedtem nie widziałam, miał nam towarzyszyć podczas deseru. „Nie obiecuj sobie, kochana, zbyt wiele”, powiedziała niejaka Merle Miller złośliwie, co mnie od razu zirytowało. „Harry jest prawdziwym światowcem i nie zainteresuje się taką małą dziewczynką. Myślisz, że coś niecoś widziałas? Harry to facet, który dużo jeździł po świecie, to coś więcej niż jeden krótki rok w Paryżu.”

Harry przyszedł i usiadł obok mnie. Przypominał wielką pandę albo barylkę. Spojrzał na mnie, zamieniliśmy parę słów po francusku i Harry oświadczył, „Wychodzę z Judy. Chcemy znaleźć jakieś ustronne miejsce, gdzie będziemy mogli być sami.”

Przez parę miesięcy często spotykaliśmy się, ale pod względem seksualnym nie byłam nim zainteresowana. Po prostu nie był typem mężczyzny, jaki mi się podoba, a szkoda, bo Harry był fantastycznym kompanem, obdarzonym niezwykłą wyobraźnią. Dziwnym trafem, mój ojciec był nim zaintrygowany i nigdy nie miał dość jego opowieści. Myślę, że po prostu przypuszczał, że Harry jest zbyt pulchny i w związku z tym nie stanowi zagrożenia dla jego córki. Harry był prawie bez grosza, ale objawiało się to u niego w bardzo malowniczy sposób. Zajmował się wypożyczaniem drewnianych koni na karnawał i wakacje. Za dziesięć centów dziecko mogło się pobujać na grzbiecie takiego konia.

Kiedy odrzuciłam jego propozycję małżeństwa — pamiętajcie, że w tych czasach dziewczynom zawsze proponowano małżeństwo, a ja byłam typem dziewczyny, która zbiera takie propozycje jak motyl, za którym uganiają się łowcy motyli — myślał, że to dlatego, że nie ma pieniędzy. „Słuchaj”, zapewnił mnie Harry, „zrobię pieniądze, obiecuję. Mogę zarobić dziesięć tysięcy w ciągu roku, dwadzieścia, trzydzieści — prawdopodobnie mogę zarobić i pięćdziesiąt!”

Wkrótce potem Harry wraz z partnerem, Cubby Broccolim, wylądował w przemyśle filmowym. Ich pierwszym przedsięwzięciem był *Dr No*, pierwszy film z Jamesem Bondem.

W wiele lat później, wiele dziesiątek milionów dolarów później, Harry zaprosił mnie z mężem na przyjęcie sylwestrowe, które wydał w swym wielkim domu w Londynie. Musiało to być na samym początku lat sześćdziesiątych, bo kiedy mnie przedstawiono efektownemu, ciemnowłosemu młodzieńcowi, nazwiskiem Vidal Sassoon, spytałam go, „Czy jest pan spokrewniony z rodziną Sassoon?”, mając na myśli ekscentrycznych intelektualistów z Bloomsbury. „Nie, jestem po prostu biednym, żydowskim fryzjerem”, odparł. Nadal do widuję, gdy raz na jakiś czas wybiorę się do jego salonu, i wciąż jest tak samo atrakcyjny jak dawniej. Choć posiwały mu włosy, nadal ma wspaniałą czuprynę; jest ojcem pięciorga dzieci i znam jego obie żony, była i obecną.

Córka Harry’ego Salzmana, Hillary, wyszła za mąż a potem się rozwiodła z młodym baronem Hubertem de Bouillierie, synem mojej starej przyjaciółki, Elinor Marcus, którą poznałam w pracowni fotograficznej Milтона Greene’a. Elinor była najładniejszą dziewczyną, jaką potkałam, dopóki nie poznałam Jill St. John. Posiadłości rodziny de Bouillierie obejmowały słynne na cały świat ogrody Villandry. Siostra Elinor, Carol Marcus, która była najlepszą przyjaciółką Glorii Vanderbilt jest obecnie żoną Waltera Matthau, a Hubert, który odziedziczył po ojcu tytuł, ale go nie używa, pracował jako montażysta przy wielu filmach i miniseriałach mego męża.

Jestem zafascynowana, kiedy tropię wzajemne związki osób, które poznałam. Są wśród nich

Harry Salzman, fantastycznie bogaty producent filmowy; Milton Greene, wielki fotograf mody; Elinor Marcus, obecnie Elinor Pruder, amerykańska dziewczyna, która poślubiła francuskiego barona, a potem jeszcze dwukrotnie wyszła za mąż, w międzyczasie zdobywając rozgłos jako dekoratorka wnętrz; jej siostra, Carol, która wyszła za mąż za Williama Saroyana a potem za Waltera Matthau; Vidal Sassoon, najslawniejszy fryzjer na świecie; Hubert, syn barona, który wyjechał do Hollywood... połączyć ich razem, dodać jakąś intrygę i może z tego powstać interesująca powieść, prawda?

Kiedy piszę o ludziach, którzy odegrali, mimo wszystko, tylko niewielką rolę w moim życiu, zaczynam rozumieć, jak wielkie szczęście było moim udziałem. Poznałam i to dosyć wcześnie — zanim zyskali sławę — przyjaciół, dzięki którym dane mi było zetknąć się ze światem sławy, błyskotliwych osobowości i walki o odniesienie sukcesu, dzięki czemu mogłam pisać powieści, poruszając się w świecie, który dobrze znałam.

Przez czterdzieści lat żyłam w świecie, który został nazwany „powieścią Judith Krantz” albo, jak niedawno ochrzcił to magazyn *Town and Country*, „planetą Krantz”. Gdybym w tym świecie nie czuła się jak u siebie w domu, moje powieści nie byłyby przekonujące. To co wiele osób pracujących w przemyśle wydawniczym i wielu dziennikarzy uważa za wymyśloną przeze mnie sprytną sztuczkę reklamową, jest w istocie dowodem słuszności starej prawdy, „Pisz o tym, na czym się znasz.”

Rozdział osiemnasty

W latach 1950 i 1951 spędziłam dwa czterotygodniowe urlopy w Paryżu z Harrisonem. Mieliśmy się rozstać, ale po prostu nie potrafiliśmy wytrwać przy naszej decyzji, ani emocjonalnie ani psychologicznie. Każde z nas miało swoje życie, ale wciąż próbowaliśmy je ze sobą połączyć.

Z perspektywy czasu nie da się wyodrębnić poszczególnych okresów czasu, jaki spędziłam w Paryżu, ale niektóre chwile wciąż stoją mi w pamięci jak żywe.

Wydawało się, że do Harrisona wreszcie uśmiechnęła się fortuna, chociaż z pomysłu z butikami nic nie wyszło, a on sam przeprowadził się do małego mieszkania przy Faubourg Saint-Honoré. Pewnego ranka leżałam w łóżku, myśląc, żeby się wreszcie ubrać. Zaraz po wyjściu Harrisona do biura, usłyszałam głośny stukot wysokich obcasów kogoś, kto wchodził na górę i zbliżał się do jego drzwi w towarzystwie dźwięków przypominających szarżę kawalerii. Pod drzwi wsunięto list, czyniąc przy tym tyle hałasu, ile się dało. Zaciekawiona wstałam, podniosłam list i zobaczyłam nazwisko Kiki na odwrotnej stronie koperty, zaadresowanej do Harrisona.

Zrozumiałam, że chce, abym go przeczytała, bo w przeciwnym razie nie przyniosłaby go zaraz po jego wyjściu. Otworzyłam list i ujrzałam pełen namiętności apel, aby zrozumiał, że ta amerykańska dziewczyna nie nadaje się dla niego, że nie przyniesie mu szczęścia, że musi się opamiętać i na zawsze wykreślić ją ze swego życia. Wobec tego, co przeżyli przez ostatnie miesiące, wobec namiętności jaka ich połączyła, wobec ich bliskości, długotrwałego i cudownego romansu, po tym jak jej powiedział, że jest dla niego wszystkim, jak może pozwolić tej amerykańskiej dziewczynie, żeby znów stanęła między nimi?

Przeczytałam list dwa razy i zrobiło mi się jej żal. Według mnie, było to kompletnie upokarzające. Nic na świecie nie zmusiłoby mnie do napisania takiego listu do kogoś, kto mnie nie chce. Pomyślałam, że tylko zupełnie zrozpaczona kobieta mogła wpaść na pomysł, żeby mi to podrzucić. Moją reakcję może jedynie wyjaśnić arogancja młodości. Miałam wtedy nie więcej niż dwadzieścia dwa czy dwadzieścia trzy lata. Harrison był ode mnie starszy o jedenaście lat, a Kiki była od niego starsza o dziesięć lat. Musiała więc mieć czterdzieści trzy albo czterdzieści cztery lata, czyli wówczas była dla mnie niewyobrażalnie stara. O jakiej namiętności mogła mówić kobieta w tym wieku? Poza tym, spytałam kiedyś Harrisona, dlaczego on i Kiki nie pobraли się, na co odpowiedział bardzo poważnie, „Mężczyzna nie poślubia kobiety, która jest dziesięć lat od niego starsza.”

Wieczorem wręczyłam mu ten list. Kiedy powiedziałam, że otworzyłam go i przeczytałam, po raz pierwszy i jedyny zobaczyłam, że jest zaszokowany. „Był przeznaczony dla mnie”, powiedziałam spokojnie i więcej nie wypytywałam go o Kiki. Nie była dla mnie rywalką. Byłam pewna, że nie mam rywalki. To że potem wróci do Kiki, w ogóle nie miało dla mnie znaczenia. Tłumaczyłam sobie, że mężczyzna musi kogoś mieć, a lepiej, żeby to była Kiki, która finansowała interesy Harrisona, niż ktoś inny.

Ale każdy powrót do Paryża był trochę mniej cudowny niż poprzedni. Sam Paryż ulegał zmianom, stawał się coraz bardziej zatłoczony i pełen turystów; mieszkańcy byli mniej sympatyczni niż niegdyś. Nicole borykała się z poważnymi problemami finansowymi i wydawała się smutna i pełna obaw. Jose zniknął z jej życia. „Już z tym skończyłam na zawsze”, powiedziała mi. Tylko Ginette Spanier była jak zawsze pełna życia.

Paryż z 1949 roku, ten Paryż zaledwie sprzed roku czy dwóch, Paryż, który istniał w owym

zaczarowanym momencie czasu, zniknął z powierzchni ziemi. Nawet powietrze miało inny zapach, a podróże taksówką z Orły nie wywoływały, jak dawniej, bicia serca.

Pierwsza miłość, która została brutalnie przerwana, już nie powraca jako pierwsza miłość, ale jako inny rodzaj miłości. Może jako druga miłość. Wszyscy mężczyźni, z jakimi się spotykałam w Nowym Jorku jako młoda dziewczyna, kilku moich kochanków, wszystkie wysiłki aby stać się kobietą pracującą, sprawiły, że nie byłam już tym pisklęciem, które znał.

Podczas drugiego pobytu w Paryżu byłam na obiedzie z Violą Ilmą, przyjaciółką rodziców, która parę lat wcześniej tak bardzo mi pomogła w zdobyciu wizy. Podczas obiadu uparła się, żeby opowiedzieć mi ze szczegółami o swoim wieloletnim romansie z moim ojcem. Przypuszczam, że musiała się upić i tak jej się to wymknęło, niemniej jednak na tyle się przejęłam całą sprawą, że wkrótce po powrocie z Paryża opowiedziałam wszystko rodzicom.

„Powinniście oboje przestać się z nią przyjaźnić”, powiedziałam. „Ta kobieta jest naprawdę stuknięta. Próbowала mnie przekonać, że miała z Tatą romans. Myślę, że to cholerna kłamczucha.”

Żadne z nich nawet nie mrugnęło ani nie wzruszyło ramionami. Matka poprosiła mnie o sól i zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym. Wtedy pomyślałam, że to oskarżenie jest zbyt idiotyczne, żeby je w ogóle komentować, ale później, kiedy dowiedziałam się o zapisie w testamencie ojca na rzecz kogoś nieznanego w Filadelfii, przypomniałam sobie tę rozmowę. Czy oboje nie powinni byli wówczas *czegoś* powiedzieć? Czy nie powinni byli zapytać, „Co takiego?” albo wykrzyknąć, „Wielki Boże, ta baba musiała postradać zmysły!” Oczywiście powinni byli się rozgniewać i okazać zaskoczenie tym, co usłyszeli i mógł być tylko jeden powód, dlaczego tak się nie stało. Oboje musieli znać prawdę i nie byli na tyle dobrymi aktorami, aby potrafili udąć to, co powinni byli wtedy odczuwać.

Oto jeszcze jeden przyczynek do tajemnic życia mego ojca i wiedzy matki na ten temat.

* * *

W 1951 roku, podczas mojej ostatniej wyprawy do Paryża, wydarzyło się coś, co ostatecznie zakończyło długi, intensywny romans między mną a Harrisonem., chociaż nie wymazało moich wspomnień. Zatrzymałam się w Hotel du Theatre des Chaps–Elysées, tanim ale eleganckim hoteliku z barem, który w porze lunchu był pełen modelek. Umówiłam się z Harrisonem, że spotkamy się w mieszkaniu Ginette i Paula–Emila o siódmej, tak abyśmy przed pójściem na obiad mogli wypić z nimi drinka. Najbliższy weekend zamierzaliśmy spędzić razem na wsi.

Harrison oczywiście się spóźnił i chociaż znałam jego przyzwary, byłam zakłopotana tym, że Seidmannowie widzieli, jak każe mi na siebie czekać. Wypiłam drinka lub dwa — angielskim zwyczajem, Ginette zawsze serwowała porządną miarkę whisky bez lodu — a potem jeszcze jednego. Czas mijał, a Harrison nawet nie zadzwonił, więc wypięłam kolejnego drinka... cztery drinki na pusty żołądek. W końcu Ginette i Paul–Emile musieli wyjść do teatru i zamknąć mieszkanie. Była już wtedy prawie ósma trzydzieści, ale zapewniłam ich, że H. zjawi się lada chwila i że zaczekam na niego na dole, koło pokoiku konsjerżki. Jak zwykle we francuskim bloku, światło, które się włącza wchodząc do budynku, pali się bardzo krótko i ledwie wystarcza, żeby dojść do windy i nacisnąć guzik.

Spędziłam trzy kwadransy w bardzo zimnym holu, stojąc koło włącznika i naciskając go raz za razem, kiedy światło gasło i próbując uspokoić zdenerwowaną konsjerżkę, która wciąż wyskakiwała ze swego pokoiku, żeby mnie powstrzymać. W końcu poczekałam jeszcze parę minut w ciemności, po czym postanowiłam wrócić do hotelu.

Nawet nie muszę zamykać oczu, żeby znów ujrzeć Harrisona, jak wreszcie się zjawia, właśnie

kiedy zamierzałam już wyjść i wchodzi do ciemnego holu, uśmiechnięty i beztroski. Spóźnił się dwie i pół godziny, a ja byłam bardzo pijana i potwornie zła. Darłam się na niego wściekle, kiedy pakował mnie do czekającej taksówki i próbował przedstawić jakieś śmieszne usprawiedliwienie. Pojechaliśmy na obiad do bistro La Petite Chaise. Wypiłam dużo wina i z wciąż rosnącą wściekłością powiedziałam, co sędzę o jego paskudnym braku wychowania i charakterze. Byłam już wtedy znacznie bardziej pijana niż kiedykolwiek, przedtem czy potem. Harrison jakoś doprowadził mnie do hotelu, ale oboje wiedzieliśmy, że nasza miłość została zniszczona. Romans był definitywnie skończony.

Następnego ranka przysłał mi ogromny kosz kwiatów.

Nie widziałam go nigdy więcej.

Przez następne trzy dni gwałtownie wymiotowałam i byłam tak słaba, że w ogóle nie wychodziłam z pokoju, ledwie mogąc dowieść się do łazienki. Był to kac, który powalił moje ciało, serce i duszę.

Ponad pięć lat później, wiosną 1957 roku, w sześć miesięcy po urodzeniu pierwszego dziecka, dostałam zupełnie nieoczekiwanie list od Harrisona. Zawiadamiał mnie, że on i „stara, dobra Kiki” w końcu się pobrali. Upłynęło trochę ponad osiem lat od naszego pierwszego weekendu w Bertenonville, gdzie Kiki zobaczyła nas razem. Miałam wtedy dwadzieścia dziewięć lat, Harrison czterdzieści, a Kiki pięćdziesiąt.

W jakiś czas potem Harrison zbankrutował, w wyniku czego jego żona straciła wszystkie pieniądze zainwestowane w firmę oraz wszystkie swoje oszczędności i cały majątek. H. miał wielkie kłopoty z francuskim urzędem skarbowym z powodu niepłacenia podatków i musiał w pośpiechu opuścić Francję, żeby uniknąć konsekwencji prawnych.

O ile wiem, nigdy już nie powrócił do Francji, chociaż mogę się mylić. W jakiś czas potem Harrison i Kiki wzięli rozwód. Romans Kiki z Harrisonem jest najbardziej francuską historią jaką znam... smutną piosenką Edith Piaf o nieustającej namiętności, która, jak podejrzewam, przetrwała nawet ich rozwód. Kochała go o wiele bardziej niż ja. Był fatalną miłością jej życia, a ona zapłaciła za tę miłość wysoką cenę. Bardzo wysoką cenę i to pod każdym względem, ale niekoniecznie nie do przyjęcia przez prawdziwą Francuzkę. Była o mnie wściekle zazdrosna, tak jak ja byłabym na jej miejscu, ale to nie ja ją zniszczyłam. Walczyła o niego i zdobyła go. Walkowerem. Myślę, że niezależnie od ceny, jaką Kiki zapłaciła za miłość do Harrisona Elliotta, musiało to być dla niej tego warte, bo mogła żyć u jego boku przez tyle lat, tak owładnięta jego czarem, że jej francuski praktyczny zmysł zamienił się w ślepe obsesję.

Nie jestem Francuzką i nigdy nie mogłabym zostać postacią z francuskiej powieści. Ślepa obsesja zawsze była mi obca. Byłam w zasadzie logicznie myślącą amerykańską dziewczyną i podjęcie decyzji, która musiała doprowadzić do tragedii, kłóciło się z całym moim ego. W przeciwieństwie do kobiet z piosenek Edith Piaf, panowałam nad swoim sercem. Możliwość kompletnego zatracenia się w uczuciach nie do pokonania ujawniła się jedynie w moich powieściach.

Od wspólnych znajomych dowiedziałam się, że Harrison ożenił się i rozwiódł parokrotnie i jest ojcem kilkorga dzieci. Mam nadzieję, że ma się dobrze.

Nie jest przypadkiem, że blondyn z Kalifornii w powieściach *Skrupuły* i *Skrupuły dwa* nazywa się Peter Elliott i że to mężczyzna, który „głęboko, łapczywie, namiętnie i wytrwale uwielbiał kobiety pod każdym względem, nie tylko seksualnie.” W *Skrupułach* jest o wiele więcej zapożyczeń z mego życia niż w jakiegokolwiek innej powieści. Jest to bardzo typowe zjawisko u początkujących pisarzy i w moim przypadku okazało się, że nie jestem wyjątkiem.

Rozdział dziewiętnasty

Pewnego dnia 1952 roku wpadłam na Herba Mayesa, który mnie właśnie szukał. Był zdenerwowany i zasmucony. „Jesteś teraz nowym zastępcą redaktora w dziale mody”, powiedział pośpiesznie. „Idź zaraz do Nancy White.” „Ale Ann...” „Ann miała tętniaka i zmarła zeszłej nocy.” „Ann! To niemożliwe!” „Muszę zawiadomić jej ojca, idź już! Nancy na ciebie czeka.”

Ann Gohagan, urocza dziewczyna, córka bliskiego przyjaciela Herberta, zmarła nagle mając dwadzieścia parę lat. Nie znałam jej dobrze: dział mody był na drugim końcu długiego korytarza, przy którym znajdował się nasz pokój i rzadko widywaaliśmy redaktorów działu mody, zajętych własnymi sprawami, ale wszyscy znali z widzenia śliczną Ann. Kiedy przygotowywałam swoją ostatnią powieść, *Klejnoty Tessy Kent*, odkryłam, że niektórzy rodzą się z tą śmiertelną przypadłością i mogą umrzeć w każdej chwili, dosłownie w ułamku sekundy.

Ogłuszona tą wiadomością zgłosiłam się do Nancy White. Byłyśmy jeszcze wszystkie w szoku, kiedy powiedziała mi, że od tej chwili, na polecenie p Mayesa, zostałam zastępcą redaktora. Fakt, że — jak się później dowiedziałam — wiele innych kobiet z działu mody uważało, że stanowisko to powinna otrzymać jedna z nich — i miały absolutną rację — nie miał nic wspólnego z planami Herberta wobec mojej osoby czy sposobem, w jaki kierował magazynem. Nigdy nie miałam nic wspólnego z dodatkami i minęło wiele tygodni, zanim zaprzyjaźniłam się z którąś z moich nowych koleżanek. Wylądowałam w małym pokoju razem z redaktorką działu butów, Eileen, ale dawna atmosfera pokoju, w którym poprzednio pracowałam, przepadła.

Nancy White była kobietą trudną. Była następczynią tronu w królestwie Hearsta. Jej ojciec był jednym z najlepszych przyjaciół i najwyższych rangą pracowników Williama Randolpha Hearsta; jej ciotka Carmel Snów, była redaktorką naczelną *Harper s Bazaar*. Było sekretem poliszynela, że kiedy p. Snów przejdzie na emeryturę, jej stanowisko obejmie Nancy, co rzeczywiście się stało; pozostała tam przez wiele lat.

Nancy zjawiała się w pracy jak burza, zawsze doskonale ubrana, zadbana i uczesana; jej wspaniałą figurę podkreślał beżowy kostium, a nogi zdobiły eleganckie czółenka; nigdy nie miała na sobie żadnego okrycia. Wątpię czy kiedykolwiek musiała się przejmować pogodą, zbiegała tylko dwa stopnie do limuzyny, która stale czekała przed wejściem do budynku, żeby ją nieustannie wozić do rozmaitych salonów sprzedaży przy Siódmej Alei; w tych wyprawach towarzyszyła jej zazwyczaj Janet Livingston, dowcipna, starsza kobieta, która zajmowała stanowisko zastępcy redaktora działu mody.

W tych czasach, jeżeli jakąś sukienkę wytypowano na sesję zdjęciową dla *Good Housekeeping*, było pewne, że pięć do dziesięciu tysięcy sztuk zostanie sprzedanych od ręki. Ceny sukienek mieściły się w granicach osiągalnych dla naszych czytelniczek: od 12.95 dolarów za zwykłą sukienkę do 39.95 dolarów za suknię ślubną. Mieliśmy zdecydowanie największą siłę przebicia, jeśli chodzi o wielki rynek mody dla zwykłych kobiet.

Każdy dodatek musiał się mieścić w rozsądnym zakresie cenowym. Ja odpowiadałam za wyszukiwanie nowych kapeluszy, rękawiczek, biżuterii, pasków, sztucznych kwiatów i torebek, które pasowałyby do każdej sukienki. Wkrótce miałam się przekonać, że zadanie to należało wykonać nie wiedząc, jak sukienki będą wyglądać.

Zdumiewające było to, że od samego początku Nancy i Janet dawały mi tylko parę wskazówek — „sukienki w kwiaty na wiosnę” — przez co po raz pierwszy widziałam sukienki dopiero wtedy, gdy je rozpakowywałam w pracowni fotografa, żeby je uprasować, czego się

zresztą musiałam nauczyć.

Szybko zdałam sobie sprawę, że sukienkę trzeba przybrać wieloma dodatkami, tak aby zawsze wyglądała ładnie. Nancy i Janet bardzo rzadko się pokazywały na sesjach, bo cały czas kręciły się wśród naszych głównych agentów reklamowych. Odkryłam, że jeżeli nic nie działało sztuczka ze świeżymi kwiatami za dwadzieścia pięć dolarów w dłoni modelki zawsze uatrakcyjnia sukienkę i pomaga obudzić zainteresowanie. Okazało się, że nie mając żadnego doświadczenia, prawie przez cały czas pełnię rolę kierującej sesją. Na szczęście szybko podjęłam to wyzwanie.

Chociaż zdjęcia wykonywaliśmy tylko w atelier albo w plenerze raz na miesiąc, sesja trwająca cztery czy pięć dni wymagała wielkich przygotowań. A kiedy już się znaleźliśmy na miejscu, była to czysta zabawa! Uwielbiałam tę pracę, prasowanie sukienek, ubieranie modelek, które przypominały wielkie lalki Barbie, a potem dopasowywanie sukienek, które zawsze były za duże. Zwykle leżałam na podłodze, trzymając koniec nici, na której drugim końcu znajdował się haczyk, przymocowany do spódnicy modelki, tak że korzystając z wentylatora, mogliśmy nadać całej scenie nieco ruchu. Teraz, kiedy sesje fotograficzne są dopracowane w najdrobniejszych szczegółach, z dziesiątkami uwijających się wokół fryzjerów, to co wówczas robiliśmy przypomina produkcję niemego filmu, ale tak wtedy pracowaliśmy i większość zdjęć była znakomita.

Kiedy pracowałam z modelkami (z kilkoma z nich zaprzyjaźniłam się), nauczyłam się, że ważną rzeczą jest *nigdy* nie spojrzeć niechcący w lustro. Po paru godzinach spędzonych z modelkami w garderobie, kiedy się malowały i czesały, co było normalne w czasach gdy jeszcze nie pojawili się specjaliści od makijażu i układania włosów, łatwo się zapominało, jak piękne są te dziewczyny w porównaniu ze zwykłą dziewczyną taką jak ja. Przelotne odbicie w lustrze sprawiało wrażenie, że się nagle przemieniłam w gigantyczną jaszczurkę.

W ciągu trzech lat nauczyłam się, że te niezwykle piękne kobiety są zwykłymi ludźmi jak my wszyscy, że mają takie same problemy — ta myśl pojawia się w wielu moich powieściach, zwłaszcza w *Córce Mistrala*, *Kolekcji wiosennej* i *Klejnotach Tessy Kent*.

Piękno jest jednym z tematów, które stale eksploatuję w swoich powieściach. Kiedy zrozumiałam, co się kryje za wielką urodą, zdobyłam istotne źródło wiedzy, dzięki czemu potrafię pisać o pięknych kobietach. Dzięki temu dysponuję znajomością tematu, jaką może się pochwalić niewielu autorów. Jeżeli przez kilka lat nie pracowaliście z modelkami, nie potraficie wejść w ich skórę; nie wiecie, jak niewiele — albo jak bardzo — ich wygląd jest dla nich ważny w ich życiu osobistym.

Poznałam tylko jedną modelkę, której uroda zrobiła na mnie prawdziwe wrażenie: wielka Suzy Parker. Wysłano mnie do Hollywood, żebym napisała o niej artykuł, kiedy miała zagrać pierwszą rolę w filmie *Ten North Frederick*, u boku Gary Coopera. Rozmawiałam z nią przez trzy dni, codziennie jadłam z nią lunch i widziałam ją, bez stanika, w samych majtkach, jak przymierza rozmaite stroje. Codziennie wieczorem wracałam do hotelu z potwornym bólem głowy, co nie zdarzyło mi się nigdy w życiu. Była po prostu zbyt piękna, żeby oczy zwykłego śmiertelnika mogły długo znieść ten widok.

Artykuł nigdy nie ukazał się drukiem. Suzy twierdziła, że jest osobą tak niezależną, iż nigdy nie myślała o zamążpójściu, ale tuż przed oddaniem do druku numeru magazynu z moim artykułem, miała wypadek samochodowy, jadąc z mężczyzną, który, jak się okazało, był francuskim fotografem a zarazem jej mężem i, jeśli dobrze pamiętam, wcale nie pierwszym. Większość materiału w artykule była więc nieprawdziwa, albo może była to jej wersja prawdy. Teraz jej mężem jest aktor, Bradford Dillman, mieszka w Santa Barbara i ma czworo dzieci. Ale Suzy Parker w latach pięćdziesiątych! Nie było nikogo, kto choćby w przybliżeniu mógł się z nią

równać.

Magazyn *Good Housekeeping* współpracował z najlepszymi fotografami mody, chociaż nasze kreacje stanowiły przeciwieństwo mody szczególnie wykwintnej. Wszyscy fotografowie chcieli także uczestniczyć w pracach redakcyjnych i związanych z reklamą, aby stale o sobie przypominać wydawcom magazynów. Pracowałam więc z Avedonem, Billem Helburnem, Jimmym Abee, Lillian Bass, Glebem Durajnskym, Miltonem Greenem, Paulem Himmellem, Bertem Sternem, a nawet z wielkim Irvingiem Pennem. Trzeba pamiętać, że Avedon i Penn nie byli jeszcze kimś w rodzaju świętych, którymi stali się obecnie, ale i tak współpraca z tymi niezwykle utalentowanymi ludźmi była zupełnie wyjątkowym przeżyciem.

* * *

Po uzyskaniu dyplomu Uniwersytetu Nowojorskiego, Mimi zamieszkała w Los Angeles. Chciała, podobnie jak ja, zostać przez rok sama, ale nie zamierzała uczyć się języka obcego. Zaręczyła się tam z mężczyzną nazwiskiem David Karney, Izraelczykiem, którego ojciec był w Izraelu Rockefellerem od nieruchomości w czasie gdy izraelski funt znaczył w Stanach Zjednoczonych tyle co nic.

Mimi i David po raz pierwszy pokazali się u rodziców pewnej soboty, w 1952 roku, o godzinie dziesiątej trzydzieści. Nie było rzeczą łatwą wystąpić w charakterze przyszłego męża córki Tarcherów; uratowałam sytuację przynosząc butelkę sherry. Moja niepijąca matka i mój niepijący ojciec, Mimi, David i ja wysączyliśmy butelkę na długo przed lunchem.

Mimi urządziła wielkie wesele w Harmonie Club. Jako drużna, byłam ubrana w bledo zieloną sukienkę od Ceila Chapmana i mały kapelusik pokryty maleńkimi muszelkami, wykonany przez jednego z moich współpracowników. Harmonie Club stanowił staroświecki i okazały bastion nowojorskich snobistycznych rodzin niemieckich Żydów, bandy „naszych”, którzy patrzyli z góry na wszystkich innych Żydów, którzy zjawili się w Ameryce po nich. Działają mi na nerwy.

Jednak ojciec był jednym z pierwszych, o ile nie pierwszym, rosyjskim Żydem. Brał udział w tyłu zebraniach Federacji Żydowskich Organizacji Charytatywnych, że pewnego wieczoru, wyczerpany, oświadczył, że jeśli nie może zapłacić czekiem za obiad, mogą w przyszłości o nim zapomnieć. Pośpiesznie wybrano go członkiem, a my odwiedziłyśmy kiedyś ten klub, bo miał dobrze zaopatrzony bufet. Najciekawszą rzeczą była tam kręgielnia, mieszcząca się w podziemiach budynku.

Teraz Mimi i David mieszkali w Los Angeles, gdzie David zaczynał karierę jako budowniczy, a Jeremy był w college'u St. John w Annapolis. W szkole średniej w Horace Mann dostał fatalne oceny i nie zdołał się dostać do żadnego innego college'u. Został odrzucony przez Rutgersa, a nawet przez Oberlina i Barda, które wówczas przyjmowały prawie wszystkich. Jeremy przez cały czas twierdził, że nie zamierza spędzić najlepszych lat swego życia czytając, więc tego nie robił. W rzeczywistości cierpiał na lekką dysleksję, podobnie jak Mimi i ja. Czytelniku, czyż nie mówiłam, że to nie moja wina?

Teraz Jeremy znalazł się w instytucji, gdzie cały czteroletni program nauczania opierał się na pochodzącym z Uniwersytetu Chicagowskiego systemie, w ramach którego trzeba było przeczytać sto Wielkich Książek i nic ponadto. Mogąc, jak sam mówi, „swobodnie myśleć, swobodnie rozmawiać i wolny od elementu współzawodnictwa”, zabrał się z prawdziwym zapalem do lektury Wielkich Książek. Kiedyś, wracając z Paryża i głupio ryzykując karę więzienia, przywiozłam mu, ukrytą pod bluzką, pornograficzną powieść Henry Millera, *Różoukrzyżowanie*, arcydzieło erotyki, które Jeremy wypożyczał przyjacielom po dwadzieścia pięć centów dziennie. Nie należy mi przypisywać całej zasługi, ale koniec końców został

pierwszym i największym wydawcą książek New Age w Stanach Zjednoczonych. To tylko dowodzi, że... nauczmy kogoś łowić ryby...

Rozdział dwudziesty

Wkrótce po tym jak przestałam wyjeżdżać do Paryża na spotkania z Harrisonem, poznałam Francuza, obywatela amerykańskiego, nazwiskiem Andre Sussman. Andre, jego rodzice i siostra, Claudine, uciekli do Stanów Zjednoczonych tuż przed tym jak Hitler zaatakował Francję. Byli właścicielami dobrze prosperującego domu aukcyjnego i oboje byli prawdziwymi miłośnikami sztuki. Jednak w wyniku pośpiesznej ucieczki, podobnie jak większość francuskich Żydów, stracili wszystko. Jedynie własny przepis matki Andre na tusz do rzęs umożliwił im ponowny start.

Kiedy poznałam Andre, który podczas wojny był spadochroniarzem, tusz do rzęs p. Sussmann wytwarzany sposobem chałupniczym dał początek dobrze znanej firmie kosmetycznej o nazwie Aziza, którą później wykupił Charles od Ritza. Andre pracował u rodziców i jednym z jego obowiązków było demonstrowanie w domach towarowych jak się używa tuszu do rzęs, który Amerykanki dopiero zaczęły poznawać. Aż do początku lat pięćdziesiątych był on zarezerwowany dla gwiazd filmowych i prostytutek.

Spotkanie z Andre było randką w ciemno. Kiedy przyszedł po mnie do domu, porozmawiał chwilę z rodzicami i zaczęliśmy się zbierać do wyjścia. Nagle, kiedy już byliśmy przy drzwiach, usłyszałam wołanie matki, „Judy, wracaj tu zaraz.” Obróciłam się i spytałam, po co. „Masz na sobie majtki?” krzyknęła. „Co takiego?! Na miłość boską! Oczywiście że mam!” zawołałam, zirytowana i zażenowana tym idiotycznym pytaniem. Czy kiedyś wyszłam bez majtek? Co to za pomysł zadawać takie pytanie w obecności mężczyzny, którego nie znałam?

Tak, nawet moją matkę zbiła z tropu niepokojąca zmysłowość Andre. Wyglądał jak jeden z tych rysunków Jeana Cocteau, na których mężczyzna prawie przypomina byka. Andre miał bardzo wydatne wargi, duży nos, głęboko osadzone oczy i pięknie sklepione czoło. Nie był przystojny w potocznym znaczeniu tego słowa, ale miał w sobie coś więcej: był interesujący.

Spotkałam się z nim pięć czy sześć razy i nawet zaprosiłam go na weekend do Connemara. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, na samą myśl, że każdego mężczyznę, którym się zainteresowałam, zapraszałam do spędzenia weekendu wraz z moimi rodzicami, robi mi się niedobrze. Jest oczywiste, że wciąż potrzebowałam ich aprobaty.

Podczas owego weekendu doszłam do wniosku, że Andre nie jest właściwym kandydatem na męża. Nie byłam ani trochę bardziej zainteresowana wychodzeniem za mąż niż w college'u, niemniej jednak coś w atmosferze lat pięćdziesiątych kazało mi oceniać każdego mężczyznę, z którym się spotykałam, czy jest materiałem na męża czy też nie. Ilekroć patrzę na notki reklamowe na okładkach magazynów dla młodych kobiet, myślę, że ta atmosfera nadal tu jest. WYJDŹ ZA MAŻ! Do tego to się sprowadza, bez względu na kamuflaż. I pewnie zawsze tak będzie.

Jednak to czego szukałam, to nie były „kwalifikacje na dobrego męża” ale uczucia. Byłam na tyle długo z Andre, że zyskałam pewność, iż nigdy się w nim naprawdę nie zakocham. Wiedziałam już, jak taka miłość wygląda. Uważałam, że jest niezwykle atrakcyjny i podczas owego weekendu na wsi postanowiłam, że skoro nie zamierzam wyjść na niego za mąż, mogę mieć z nim romans.

Ta decyzja jasno dowodzi, że nadal bardzo mi zależało, żeby uchodzić za „porządną” dziewczynę. Dopóki możliwość małżeństwa z Andre nie została odrzucona, nie mogłam mu dać do zrozumienia, że jestem „osiągalna seksualnie”. Kiedy małżeństwo zostało wykluczone, przestało mieć znaczenie, czy dostrzeżga niezwykle skuteczny sposób, w jaki starałam się

zaprezentować z jak najlepszej strony.

Kiedy wybrałam się na pierwsze tournée z powieścią *Skrupuły*, mężczyźni, którzy przeprowadzali ze mną wywiady, byli zawsze naprawdę zaszokowani i prawie wszyscy pytali, „Jak *taka porządna* mężatka w pani wieku i z dwojgiem dzieci mogła napisać taką erotyczną powieść?” Bez względu na to, jak bardzo starałam się im wyjaśnić rolę fantazji i wyobraźni w kreowaniu scen erotycznych, oraz dowodząc że niezależnie od wieku i liczby posiadanych dzieci, kobietom nie zakazuje się zachowań erotycznych. Mogłabym z równym skutkiem mówić do ściany, aż pewnego dnia powiedziałam do jednego z tych mężczyzn „Gdybym tylko wiedziała co dzieje się w Pana głowie, miałabym dość materiału na cały tuzin scen łóżkowych.”

To go ostudziło i zmienił temat. Ostatnio, kiedy pojawiają się podobne protesty, stosuję jeszcze bardziej skuteczny sposób. Mówię wtedy spokojnie, „Aleja to wszystko robiłam, nie rozumie pan? Piszę na podstawie własnego doświadczenia. Sceny heteroseksualne, sceny lesbijskie, sceny homoseksualne...” W tym momencie wybuchają śmiechem. Moim błogosławieństwem albo przekleństwem jest niewinna twarz i język ciała.

Andre miał ogromne, jednopokojowe mieszkanie, w którym nad kominkiem wisiał zupełnie fantastyczny obraz Vlamincka, lepszy niż wiele spośród tych, które ostatnio sprzedano na aukcji za prawie siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie wiem, jak wszedł w jego posiadanie, ani nawet czy był własnością jego samego czy też jego rodziców. Nie zarabiał wiele, ale miał przed sobą przyszłość i myślał o zajęciu się czymś innym, zamierzając otworzyć razem z Jamesem Beardem szkołę kucharską.

Ponieważ, o ile się orientowałam, nie potrafił gotować, pomysł wydał mi się wyjątkowo niedorzeczny. Mimo że raz jadłam w jego mieszkaniu obiad, którego głównym daniem był pyszny kurczak na zimno, byłam pewna, że upiekła go jego matka. Jednak nie zniechęcałam go, bo wydawało się, że i tak nic z tego nie wyjdzie.

Przewidując realizację tego przedsięwzięcia, postanowił zmienić nazwisko z Sussmann na Surmer. Zwróciłam mu uwagę, że chociaż nazwisko takie brzmiało doskonale po francusku, będzie trudne do wymówienia po angielsku i zaproponowałam Surmain, które było łatwiejsze do wymówienia. I tak narodził się Andre Surmain, który otworzył szkołę kucharską, która zresztą szybko upadła, ale niedługo potem kupił za dziesięć tysięcy dolarów dom z piaskowca i założył Lutèce, która z miejsca stała się najlepszą i najslawniejszą francuską restauracją w Nowym Jorku i utrzymała bardzo wysoką pozycję przez czterdzieści lat, mimo że mody przychodzą i odchodzą.

Myliłam się sądząc, że nie potrafi gotować.

Andre pragnął mnie poślubić. Jeżeli doczytaliście do tego miejsca, zapewne spodziewaliście się takiego rozwoju wypadków. Ten sam schemat wciąż się powtarza, ale muszę trzymać się faktów. Zakochał się we mnie bardzo szybko. Gdyby dopasowanie seksualne było podstawowym warunkiem udanego małżeństwa, musiałabym zrewidować swoją decyzję; Andre był w łóżku jeszcze bardziej podniecający niż Harrisom Ale to nie był *odpowiedni* mężczyzna. Nie potrafiłabym zdefiniować, co to właściwie oznacza, ale musiałam przyjąć, że kiedy się pojawi, zdołam go rozpoznać.

W międzyczasie Andre pokazał mi, jak się nakłada tusz do rzęs i niebawem biegałam po dziale mody z zielonymi rzęsami i powiekami pomalowanymi na zielono, co jak powiedział, sprawiło, że zieleń moich oczu stała się jeszcze głębsza. Ludzie zatrzymywali mnie na ulicy, kiedy czekałam na zmianę świateł. „Przepraszam, czy zdaje pani sobie sprawę, że użyła pani zielonego tuszu do rzęs?” pytali z wyraźną troską na twarzach, jak gdyby ktokolwiek mnie do tego zmusił.

Zimą postanowiliśmy pojechać na narty do Kitzbuhel w Alpach Austriackich. Musiałam wykorzystać darmowy bilet lotniczy. Każdego roku, w okresie świąt Bożego Narodzenia,

dostawałam prezenty od producentów dodatków, które wykorzystywałam w pracy. Nancy White musiała prosić swego kierowcę, żeby dwa razy dziennie wywoził prezenty z jej gabinetu. Prezenty z Siódmej Alei były tak liczne i imponujące, od kilogramów kawioru do etoli z nerek, że w okresie świąt w jej pokoju trudno się było ruszyć.

Nancy miała w swoim domu pokój, który przez cały rok był zastawiony prezentami, które dawała innym: kosze pełne rozmaitych cudownych rzeczy, które sama pakowała. Pewnego razu musiałam zwrócić stanik od Bergdorfa, który od niej dostałam, bo był za duży i za uzyskane pieniądze kupiłam sobie nowy kaszmirowy sweter. Kochana Nancy... krążyły plotki, że każdego ranka szła na mszę świętą, mimo że nałożono na nią ekskomunikę, ponieważ rozwiodła się i ponownie wyszła za mąż. Kiedy jej pierwszy mąż umarł, ekskomunika została zdjęta) przynajmniej tak mówiono. Mam nadzieję, że tak!

David Brown nadal pracował w *Cosmo*, ale wkrótce został zatrudniony w wytwórni Twentieth Century Fox jako redaktor scenariuszy i zaczął wspaniałą karierę. Zapytałam go, czy mógłby dać na okładkę *Cosmo* moje zdjęcie, jak wchodzę na pokład samolotu po schodach z wymalowanym logo Air France i dołączyć krótką informację mówiącą, że Air France to najlepszy wybór dla redaktorki działu mody, wybierającej się na narty. Nie ma sprawy, odpowiedział.

Udałam się do biura Air France, żeby porozmawiać z ich ludźmi od *public relations*. Czy, gdybym załatwiła reklamę w *Cosmo*, otrzymałabym darmowy bilet powrotny pierwszej klasy do Paryża? Ależ oczywiście, odpowiedzieli, możemy to pani obiecać.

Zaraz po powrocie z nart, zatroskany David Brown powiedział mi, że dowiedział się, iż p. Hearst nigdy nie pozwalał na najmniejszą wzmiankę o czymkolwiek francuskim na terenie swojego imperium. P. Hearst nienawidził tych *paskudnych, pieprzonych* Francuzów. „Ale, David, ja wykorzystałam ten bilet”, powiedziałam żalosnym głosem. „Nie mogę tego cofnąć, jakże im to wyjaśnię?” Dave Brown, jak zawsze dżentelmen, puścił zdjęcie i informację.

Andre i ja poleciliśmy innymi samolotami. Zdziwiałeśmy, że chociaż mieliśmy normalny romans, uważaliśmy, że to nie będzie „dobrze wyglądało”, jeżeli polecimy tym samym samolotem. Któż mógłby nas zobaczyć? Spotkaliśmy się w Paryżu i pojechaliśmy pociągiem do Monachium, skąd, jadąc przez całą noc, dotarliśmy do Kitzbühel, gdzie mieliśmy się spotkać z resztą przyjaciół.

Jednym z nich była Sophie Malgat, dziewczyna ze Szwajcarii i moja serdeczna przyjaciółka z Paryża, która do niedawna była czołową modelką u Jacquesa Fatha, kimś w rodzaju ówczesnej Claudii Schiffer. Zamieszkałam z Sophie w jednym pokoju, a Andre dzielił pokój ze starym przyjacielem z nart, imieniem Bill. Po prostu Bill. Sophie, która nie umiała jeździć na nartach i nie zamierzała się nauczyć, przywiozła ze sobą przynajmniej tuzin spodni narciarskich, dzięki czemu podczas każdego posiłku występowała w innym stroju. Za tydzień wybierała się do innego kurortu narciarskiego, gdzie miała się spotkać ze znanym producentem filmowym, Anatolem Litvakiem, który miał zostać jej drugim mężem. W wiele lat później, już po ich ślubie, byłam na lunchu w ich wspaniałym mieszkaniu na Champ-de-Mars, gdzie Litvak, patrząc na mnie podejrzliwie, spytał, gdzie urodziła się moja matka. Odparłam, „Moja matka to Litvak, panie Litvak.” Czasami — rzadko — udaje nam się znaleźć właściwe słowo we właściwym momencie!

„Co ty w tym widzisz?” spytała mnie ponuro Sophie pewnego wieczoru w Kitzbühel, kiedy szykowałyśmy się do obiadu.

„W czym?”

„W seksie.”

„W seksie? Co w tym *widzę?*” spytałam, nie wierząc własnym uszom.

„Tak.”

„Och, Sophie, jeżeli nie wiesz, ja ci tego nie powiem.”

Kiedy pewnego dnia, w parę lat później, usłyszałam nagle odmienioną Sophie, jak rozmawia przez telefon z Françoise Sagan, zrozumiałam, co się kryło za tamtym pytaniem.

Jedynym problemem związanym z naszym urlopem był fakt, że przez pierwsze pięć dni nie było śniegu. Zatrzymaliśmy się w hotelu ulokowanym na szczycie góry, z której się zjeżdżało do górnej stacji kolei linowej, która przywoziła ludzi z wioski leżącej poniżej i skąd zaczynał się trzynastokilometrowy zjazd w dół. W tej wiosce spędziliśmy mnóstwo czasu, spacerując i pijąc gorącą czekoladę, przygnębieni brakiem śniegu. Kiedy w końcu zaczął padać, rozpętała się trwająca cztery dni zamieć, podczas której nie mogliśmy się ruszyć z hotelu.

Kiedy się skończyła, okazało się, że spadło tyle śniegu, że mogli się w nim poruszać tylko najsilniejsi, najlepiej przygotowani narciarze. W końcu, po upływie następnych dwóch dni, odważyłam się wyjść na stok. Do tej pory przejechało tamtędy wystarczająco dużo narciarzy i śnieg był już dosyć ubity, ale kiedy trochę zjechałam z ubitego szlaku, natychmiast zapadałam się po kolana. Gdybym straciła kontrolę nad nartami, natychmiast mogłabym mieć poważne kłopoty. Założyłam rękawiczki, chwyciłam kijki i przygotowałam się do zjazdu z Andre. Ale tylko mignęły mi jego plecy, kiedy wraz z Billem ruszyli w dół z pełną szybkością, a ja musiałam zupełnie sama pokonywać długi zjazd w dół.

Zabrało mi to parę godzin. Na przemian wściekałam się i modliłam, kiedy zjeżdżałam ze stromej góry, często się przewracając. Nigdy ale to nigdy nie spotkałam się z tak nieodpowiedzialnym zachowaniem się na stoku! Wszelkie wątpliwości co do tego, czy Andre nadaje się na męża czy też nie, znikły, kiedy pomyślałam o jego oburzająco samolubnym postępowaniu. W takich warunkach po prostu nie wolno zostawiać samego nawet doświadczonego narciarza, bez względu na to, jak bardzo się palisz, żeby zjechać w dół. Nie odzywałam się do niego aż do powrotu do Paryża, kiedy to w końcu się pokajał.

Nasz związek trwał. Był to pierwszy w moim życiu przypadek, kiedy mężczyznę traktowałam tak jak często mężczyźni traktują kobiety. Chociaż bardzo dobrze się czułam w jego towarzystwie (pominawszy narty), nie kochałam go. Trzymałam go przy sobie ze względu na seks i byłam tego świadoma. Nie powiedziałam mu, że nigdy za niego nie wyjdę, bo gdybym to zrobiła, byłoby po seksie, a ja po prostu nie chciałam rezygnować z czegoś tak sympatycznego.

Jeśli miałam zostać ukarana za to wyrachowanie, to tak się stało. Latem tego roku spędziłam z Andre noc w jego mieszkaniu. W nocy wybuchła gwałtowna burza. Portier przy St. Urban zauważył szeroko otwarte okno w naszym mieszkaniu i wysłał jednego z windziarzy, żeby je zamknął. Następnego dnia ojcu, który z jakiegoś powodu zjawił się w domu, powiedziano, że zostawiłam otwarte okno.

Kiedy Tata spotkał się ze mną w pociągu, w drodze powrotnej do Stamford, powiedział spokojnie, „Zeszłej nocy nie spałaś w domu. Kiedy zaczęło padać, nie zamknęłaś okna.” Nie”, odparłam, zaskoczona, „nie zamknęłam.” „Mam nadzieję, że wiesz, co robisz”, powiedział z tym samym spokojem. „Wiem.” I to było wszystko, nie miał nic więcej do powiedzenia na ten temat. Była to druga i ostatnia rozmowa na tematy osobiste, jaką miałam z ojcem; pierwsza miała miejsce, kiedy poinformowałam go, że nie mam zamiaru wyjść za Harrisona. Przynajmniej tym razem coś powiedział, a nie tylko chrząknął. Potem wróciliśmy do lektury swoich gazet. Oczywiście, pomyślałam z satysfakcją, ojciec zdaje sobie sprawę, że już jestem dorosła i mam prawo do własnego życia.

W trzy minuty po powrocie do Connemara usłyszałam podniesiony głos matki, który rozlegał się w całym domu. „Judy, chodź tu zaraz.” Tata nie tracił czasu. Poszłam do jej pokoju, gdzie zobaczyłam ją tak wściekłą jak jeszcze nigdy w życiu. Tylko patrzyłam na nią chłodno. Kiedy wreszcie zamilkła, żeby złapać oddech, kiedy wyrzuciła z siebie cały gniew z powodu mego haniebnego, niesłychanego zachowania, czyli przespania się z mężczyzną, zadałam jej tylko

jedno pytanie. „Czy wolałabyś, żebym wyszła za Andre?”

Nic na to nie odpowiedziała. Była to pierwsza sprzeczką z matką, w której byłem górą. Wiedziałam, że ani ona ani ojciec nie chcą, żebym wyszła za Andre. Prawie nie miał pieniędzy i cierpiał na kompleks niższości, bo nigdy nie uczęszczał do college’u, jako że po szkole średniej od razu wstąpił do oddziału spadochroniarzy. W rezultacie w niektórych sytuacjach zupełnie tracił rezon. Po jednym z przyjęć w Connemara, Herb Mayes powiedział mi, „Twój francuski przyjaciel wygląda na miłego faceta; szkoda, że nie zna angielskiego.”

W taki właśnie sposób moi rodzice odkryli, że ich mała córeczka nie jest już dziewicą, a przecież nawet nie dopuszczali do siebie takiej myśli, kiedy przez rok mieszkałam sama w Paryżu!

Wkrótce potem niezwykle kulturalna kobieta, p. Sussman, osoba groźna i prostolinijna, zaprosiła mnie na lunch. Powiedziała, że jeżeli nie zamierzam poślubić jej syna, powinnam szybko mu to powiedzieć, ponieważ łamię mu serce. Musiałam się z nią zgodzić i niebawem Andre zniknął z mego życia, chociaż pozostaliśmy przyjaciółmi i do dziś dnia przysyła mi kartki na Boże Narodzenie i zdjęcia, na których wygląda tak seksownie jak zawsze.

Po naszym zerwaniu Andre szybko ożenił się z uroczą kobietą imieniem Nancy, która od lat go adorowała, zaadoptował czworo dzieci i w końcu przeprowadził się na Majorce, gdzie otworzył kolejną restaurację. Andre zostawił Nancy dla dwudziestojednoletniej dziewczyny, która wpadła do jego restauracji na lunch i osiedlił się w Mougins, koło Nicei, gdzie otworzył restaurację Le Relais de Mougins, która wkrótce dostała gwiazdkę od Michelina. Jego młoda żona uciekła z dyrektorem hotelu, po roku wróciła, a potem znowu wyfrunęła z kelnerem. Wtedy Andre zrezygnował z niej na dobre, a przynajmniej tak mi powiedział, kiedy spotkaliśmy się jakieś osiem lat temu.

Przez cały czas, kiedy prowadził Lutèce, zanim sprzedał ją swemu szefowi kuchni, Andre Soltnerowi, zdecydowanie odmawiał podawania gościom tego wstrętnego amerykańskiego napoju, mrożonej herbaty — Według niego, podawanie jej do francuskiego jedzenia byłoby zbrodnią. Jakież osiem lat temu, kiedy byłam z mężem na południu Francji, niedaleko Mougins, zadzwoniłam do Andre i złośliwie powiedziałam że chcemy wpaść do jego restauracji, ale tylko na... mrożoną herbatę. Andre umyślnie zrobił ją nie tak jak należy — była za ciepła i za mało słodka — ale jakoś się przemógł, przez wzgląd na starą przyjaźń. A my wypiliśmy ją... też przez wzgląd na starą przyjaźń. Czy potraktował by mnie tak samo jak Nancy? Być może... nigdy się tego nie dowiem, ale tamta wycieczka na narty była ostrzeżeniem. Zeszłego roku przysłał mi znów kartkę na Boże Narodzenie i swoje zdjęcie z Wenecji. Wciąż wyglądał, tak jak go zapamiętałam, ale nie mam żadnych wątpliwości, że zdjęcie zrobiła czarująca towarzyska podróży.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Na początku 1952 roku spotkałam starego przyjaciela, który powiedział mi, że nigdy, ale to nigdy nie wyjdę za mąż, jeśli będę nadal mieszkać z rodzicami, bo jest mi zbyt wygodnie, żeby się wyprowadzić. Ta uwaga zabrzmiała tak wiarygodnie, że następnego dnia rano powiedziałam rodzicom, iż zamierzam poszukać dla siebie mieszkania. Prawda, że nie chciałam wyjść za mąż, ale nie twierdziłam, że *nigdy* nie wyjdę za mąż. Rodzice próbowali mnie przekonać, że nie jest to konieczne, ale ja wiedziałam, że nie mają racji. Czasami wystarczy jedno słowo wypowiedziane przez kogoś z zewnątrz i nagle uświadamiasz sobie, że już to wiedziałaś, tylko nie przyjmowałaś do wiadomości.

W ciągu paru tygodni znalazłam mieszkanie na trzecim piętrze bez windy przy Zachodniej Pięćdziesiątej Piątej ulicy, między Piątą a Szóstą Aleją, za sto dziewięć dolarów miesięcznie. Mieściło się w tylnej części budynku i wychodziło na brudne podwórze; był w nim mały salon, niewielka kuchnia, mała sypialnia i oczywiście mała łazienka. Dla mnie był to raj. I nadal tak uważam.

Kiedy wyprowadziłam się z domu, rodzice postanowili się przenieść na Piątą Aleję, ponieważ mieszkanie przy St. Urban było dla nich o wiele za duże. Skorzystałam na tym, bo dostałam od nich trochę zbywających mebli. W salonie położyłam orientalny dywan z jadalni, postawiłam historyczną kanapę z sypialni matki, żółte wiktoriańskie krzesło i żółte biurko. W sypialni położyłam dywan, który okazał się za szeroki, ale zamiast płacić komuś, żeby go odpowiednio przyciął, ułożyłam go obok łóżka, tak że opierał się o ścianę. Na ścianie powiesiłam kilka czarno — białych fotografii krzeseł z Ogrodu Luksemburskiego, które wykonał Milton Greene, a całkowicie zadowolona poczułam się, kiedy

kupiłam klimatyzator, który na Manhattanie jest absolutnie niezbędny a którego rodzice, hołdując starym przyzwyczajeniom, nigdy nie zainstalowali w swoim mieszkaniu.

Chociaż nigdy nie nauczono mnie gotowania, pewnego wieczoru kiedy nie miałam randki, kupiłam dwa kotlety z jagnięcia, masło i patelnię. Pomyślałam, że każdy potrafi przyrządzić kotlety. Natychmiast się zapaliły, a ja bezmyślnie wyrzuciłam płonąca patelnię przez okno na podwórze. Przejęty od Mimi odruch pozbywania się jedzenia uratował moje mieszkanie przed pożarem. Od tego czasu, jeżeli ktoś akurat nie zaprosił mnie na obiad, w sklepie za rogiem kupowałam skrzydełko indyka.

Nagle zyskana swoboda zachęciła mnie do napisania artykułu dla *Good Housekeeping* pod tytułem „Dlaczego mieszkam sama?”; poczułam też, że muszę ufarbować włosy. Nigdy nie lubiłam swoich brązowych włosów, a nie miałam pieniędzy, żeby pójść do salonu fryzjerskiego, pamiętałam jednak, że siostra Taty, ciotka Bess, miała naturalne rude włosy, a w moich włosach przebłyskiwały tu i ówdzie rude pasemka. Kupiłam butelkę płynu pod nazwą Superoxide, zanurzyłam w nim grzebień i parę razy przejechałam po włosach. Wyszedł kolor pomarańczowy, ale nie na całej głowie; po prostu pomarańczowe pasemka. Nie było żadnego problemu z utrzymaniem tego stanu rzeczy; ilekroć miałam wrażenie, że coś jest nie tak, w sukurs przychodził Superoxide. Uważałam, że z moim zielonym tuszem do rzęs wyglądam bardzo naturalnie, czy też raczej oba te kolory są równie, ale sympatycznie nienaturalne.

Zawsze lubiłam przyjmować gości, a teraz miałam do tego doskonałe warunki. Ilekroć przyjechałam na weekend do Connemara, wykradałam jedną lub dwie butelki whisky z rzadko otwieranego barku. Kiedy zgromadziłam dostateczną ilość trunków, telefonowałam do Mamie,

gosposi mojej matki i ustalałam z nią dzień, na który ma przygotować wielką miskę swojej słynnej siekanej wątróbki. Następnie zapraszałam pięć razy więcej osób niż moje mieszkanie mogło pomieścić. Na tych przyjęciach zawsze panował taki tłok, że ludzie wylewali się na klatkę schodową, prawie na ulicę, co stanowiło gwarancję pełnego sukcesu. Czyż Elsa Maxwell, która wydawała największe przyjęcia lat trzydziestych, nie mawiała, że pierwszym warunkiem udanego przyjęcia jest zbyt duża liczba gości? Ja to jeszcze udoskonaliłam.

Zorganizowałam także podświadomą pułapkę na mężczyzn. Większość moich partnerów przychodziła po mnie do domu, a ja zawsze zapraszałam ich na drinka. Miałam jedną butelkę Jacka Danielsa, ulubionego burbona wszystkich mężczyzn, a kiedy była pusta, napełniałam ją Dantem, najtańszym gatunkiem burbona jaki można było dostać.

Moc etykiety jest tak potężna, że nikt nigdy nic nie powiedział, poza uwagami w rodzaju, „No, no, muszę przyznać, że ten Jack Daniel’s jest naprawdę doskonały.” Na podłodze, obok kanapy, stał gramofon, a koło niego kolekcja płyt z najbardziej romantyczną francuską muzyką — Piaf, Trenet, Sablon i Yves Montand (już nie płaczę przy jego piosenkach) oraz cztery płyty wydane przez Normana Grantza, na których Fred Astaire śpiewa na swój bardzo charakterystyczny sposób wszystkie wielkie hity ze swoich filmów. Kiedy otwierałam drzwi, zawsze grała u mnie muzyka, a na niskiej, pomalowanej na niebiesko, wiktoriańskiej ławie stało wiaderko z lodem, który był jedynym produktem znajdującym się w mojej małej lodówce.

Zawsze byłam ostrożna i z mężczyznami, z którymi umawiałam się w ciemno, spotykałam się w barze hotelowym, ponieważ nie chciałam, żeby wchodzili do mego mieszkania. Jednak mimo tych środków ostrożności, raz znalazłam się w nieprzyjemnej sytuacji i to z mężczyzną, którego znałam. Myślałam, że jest gejem i zabrałam go na przyjęcie, na którym miał okazję poznać Jacquesa Fatha, sławnego projektanta mody. Rzeczywiście bardzo sobie przypadli do gustu, ale kiedy mój partner odprowadził mnie do domu, nagle przewrócił mnie na ziemię i usiłował zgwałcić. Krzyknęłam i wtedy uderzył mnie tak mocno, że poczułam na ustach krew. „Wrzaśnij jeszcze raz”, zagroził, „a cię zatłukę.” Przerazona, cóż mogłam uczynić? Wybuchnęłam płaczem i, ku swemu zdumieniu, szlochając, wyszeptalam, „Mamo, mamo.” Ta nieoczekiwana, atawistyczna reakcja okazała się niespodziewanie skuteczna. Niosący gwałciciela był niemile zaskoczony moim niemilknącym płaczem i zostawił mnie w spokoju. Nadal uważam, że jest gejem.

Mój mąż zawsze nazywał moje małe mieszkanie „szczurzym gniazdem”, ale podejrzewam, że jest zwyczajnie zazdrosny. Pyszniłam się „moim własnym” mieszkaniem, jakie by nie było, ale niebawem się zorientowałam, że pochłania prawie wszystkie pieniądze, kiedy musiałam zapłacić czynsz, rachunek telefoniczny, rachunek za prąd i pralnię. Z moimi bardzo ograniczonymi umiejętnościami w zakresie matematyki, udało mi się jednak znaleźć dwa błędy w wyciągach z konta bankowego, oba na korzyść banku. Byłam bardzo dumna ze swoich umiejętności w dodawaniu i odejmowaniu.

Każdego tygodnia ostatnie grosze wydawałam na świeże kwiaty, które wstawiałam do wielkiego wazonu: gladiole, których nie znosiłam, latem i chryzantemy zimą. Wybierałam te właśnie gatunki, ponieważ przy odpowiednim traktowaniu mogły stać dobre dwa lub trzy tygodnie, dłużej niż jakiegokolwiek inne cięte kwiaty.

Wczesnym latem 1953 roku zaczęłam się spotykać z mężczyzną, który był członkiem zarządu w jakimś wydawnictwie i akurat się rozwodził. Nigdy przedtem nie spotykałam się z żonatym mężczyzną, ale Billy oficjalnie był w separacji. Pochodził z Irlandii; był dowcipny, światowy i wręcz nieprzyzwoicie pociągający. Miał czterdzieści lat, był więc dla mnie o wiele za stary, ale od kiedy zyskałam swobodę, w moim życiu nie było właściwie nikogo. Spotykałam się z wieloma mężczyznami, lecz, o ironio, z ani jednym takim, którego miałabym ochotę pocałować,

nie mówiąc już o pójściu do łóżka.

Mój umysł i moje ciało nie mogły się doczekać, kiedy znów kogoś pokocham, moje najgłębsze uczucia nie mogły znaleźć ujścia i wtedy pojawił się Billy. Spotykaliśmy się u mnie w mieszkaniu w porze lunchu, bo nie chcieliśmy, żeby widywano nas razem, dopóki Bill nie będzie już po rozwodzie.

Kochaliśmy się na jeden dzień przed terminem miesiączki i nie założyłam krążka. Ten jeden, jedyny raz i podobno w bezpiecznym momencie. W tydzień później, kiedy nie dostałam okresu, zaczęłam się niepokoić. Zrobiłam test i zapewniono mnie, że nie jestem w ciąży. Minął jeszcze tydzień czy coś koło tego i poszłam sobie zrobić następny test. Okazało się, że za pierwszym razem było zbyt wcześnie, żeby coś wykryć, ale teraz nie było wątpliwości. Byłam w ciąży.

Poszłam do domu, weszłam pod prysznic, umyłam głowę i zaczęłam się zastanawiać, co robić. Rzecz jasna, musiałam przerwać ciążę, pytanie tylko gdzie. Przejrzałam w myśli listę osób, które prawdopodobnie znały jakichś lekarzy, zaczynając od mojej starej przyjaciółki, Gillis McGill, która kierowała agencją dla modelek. Zrozumiałe, że w tych czasach, na długo przed legalizacją aborcji, modelki od czasu do czasu musiały zachodzić w ciążę. Nie wpadając w panikę, zastanawiałam się nad innymi osobami, które mogłyby mi pomóc.

Jednak zanim sama podjęłam jakiegokolwiek kroki, przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do Billa i podzielić się z nim tą niepomyślną nowiną. Na szczęście zdarzyło mu się to już przedtem — był niezwykle płodnym mężczyzną, podobnie jak ja byłam płodną kobietą. Znał lekarza na Park Avenue, który miał doskonałą opinię i przeprowadzał zabiegi przerwania ciąży niemal codziennie, przed godzinami przyjęć. Należało mu powiedzieć, że „mężczyzna odmawia poślubienia mnie”, co stanowiło coś w rodzaju szyfru; w przeciwnym razie nie zgadzał się na przeprowadzenie zabiegu. Honorarium wynosiło trzysta dolarów, co było normalną opłatą za zabieg i Billy dał mi na to pieniądze.

Wkrótce znalazłam się w poczekalni lekarza. Kiedy tam siedziałam, z przerażeniem zobaczyłam, jak do pokoju wchodzi kobieta, którą dobrze znałam, Lillian Baas, żona Paula Himmela. Od razu podeszła do mnie i siadła obok. „Cześć, Judy, co tu robisz?” „Och, dokucza mi jakieś idiotyczne swędzenie.” „No to trafiłaś we właściwe miejsce, ten facet odbierał poród dwojga moich dzieci i jest po prostu świetny. Wyleczy cię w mgnieniu oka.” „Mam taką nadzieję”, odpowiedziałam, znacznie uspokojona.

Lekarz wyznaczył mi wizytę na tydzień po 4 lipca, o godzinie ósmej rano. Było to dopiero za parę tygodni i kiedy czekałam na swój termin, zadzwonił do mnie jeden z przyjaciół nazwiskiem Selig Alkon, którego znałam jeszcze z Wellesley i spytał, czy nie zechciałabym spędzić weekendu wraz z grupą jego znajomych. Był moim starym kumplem i szukał partnerki na weekend w Montauk Manor, miejscowości wypoczynkowej na Long Island.

Mieli z nami jechać kuzynka Seliga, Barbara Walters, którą znałam jeszcze z czasów Birch Wathen, gdzie była o parę lat niżej; jej partner nazwiskiem Ted Cott; i ktoś, o kim nigdy przedtem nie słyszałam, mężczyzna nazwiskiem Steve Krantz, który był dyrektorem programowym kanału WNBT, flagowej stacji telewizji NBC i zarazem szefem Seliga i Barbary. Właśnie zerwał z dziewczyną i zaprosili go, żeby się trochę rozerwał w naszym towarzystwie.

Niekiedy objawiają się u mnie zdolności parapsychiczne, jak zresztą u każdego z nas i kiedy usłyszałam jego nazwisko, nagle poczułam niezwykle zaciekawienie. W mojej głowie wyraźnie odezwał się jakiś dziwny, natarczywy dzwonek. Nic ponadto, ale z jakiegoś powodu byłam znacznie bardziej zainteresowana poznaniem tego Steve'a Krantza, niż normalnie, kiedy poznaję jakąś nową osobę.

Zdałam sobie sprawę, że chociaż jak zawsze oczekiwano, że się pojawię na urodzinowym przyjęciu ojca, chyba nie mogłabym tam wytrzymać. Oznaczałoby to bowiem, że przyjaciele

rodziców będą mi zadawać pytania na temat moich ostatnich romansów w czasie, gdy czekałam na zabieg, starając się zapanować nad świadomym i tłumionym lękiem. Dlatego z wdzięcznością przyjął propozycję Seliga.

Rano trzeciego lipca siedzieliśmy w jadalni matki Barbary, pokrzepiając się przed podróżą. Steve Krantz jeszcze się nie pojawił. W końcu wszedł do pokoju, bardzo wysoki, bardzo opalony i bardzo przystojny. Natychmiast wzięłam na rękę małego, kudłatego pieska — normalnie nie lubię psów — tak że, kiedy podszedł, żeby się z nami przywitać, tuliłam do siebie to wierzące się stworzenie, tak jak tuli się dziecko. „Witaj, Judy”, powiedział. Sposób, w jaki to powiedział, zwrócił moją uwagę. Wydawał się jakoś znaczący. Ale jest dla mnie o wiele za wysoki, pomyślałam, a potem szybko poprawiłam się. Naprawdę nie jest za wysoki, pomyślałam z ulgą.

Rozdział dwudziesty drugi

Pojechaliśmy do Montauk dwoma samochodami: Selig i ja w jednym, a Steve, Ted i Barbara w drugim. Podczas podróży od czasu do czasu migał mi profil Steve'a, a w międzyczasie próbowałam się o nim jak najwięcej dowiedzieć od Seliga, starając się nie okazywać jakiegoś niezwyklego zainteresowania. Zerwał ze swoją dziewczyną, bo chciała, żeby się nawrócił na unitarianizm, tak aby mogli wziąć ślub kościelny. Pochodził z Brooklynu i służył jako oficer w siłach powietrznych na Pacyfiku. Selig powiedział mi, że Steve ma dwadzieścia dziewięć lat i jest absolwentem Columbia College oraz błyskotliwym twórcą telewizyjnym. Był zastępcą producenta *Steve Allen Show*, który potem zmienił nazwę na *Tonight Show*. Selig stwierdził, że lubi z nim pracować. To jest porządny facet, powiedział.

Sama mogłabym to powiedzieć. Od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłam, wiedziałam, że Steve Krantz to porządny facet. Można wiele powiedzieć na temat trafności pierwszego wrażenia i byłam pewna, na podstawie wyglądu, sposobu w jaki ścisnął dłoń i paru minut spędzonych przy posiłku, że jest przyzwoity w każdym calu. Chociaż zawsze był to dla mnie czynnik o zasadniczym znaczeniu, nie jest go łatwo rozpoznać, dopóki kogoś nie pozna się lepiej. W przypadku Steve'a było to widoczne już na pierwszy rzut oka.

Kiedy znaleźliśmy się w Montauk, rozpakowałyśmy się z Barbarą w pokoju, który miałyśmy dzielić. Byłam zaskoczona, kiedy zobaczyłam, że zabrała ze sobą z pół tuzina pięknych sukienek koktajlowych, bardziej eleganckich niż wszystko co przywiozłam ze sobą. Selig powiedział mi tylko o „kurorcie nad morzem” i nie miałam pojęcia, że Montauk Manor to ogromny hotel, gdzie wszyscy szukają potencjalnych partnerów. Wzięłam ze sobą tylko ubrania sportowe i proste bawełniane sukienki na wieczór.

Tak się złożyło, że owego popołudnia wszyscy graliśmy w ping-ponga. Krokiet, ping-pong i oczywiście Monopoli to były „moje” gry od dzieciństwa, kiedy grywałam w nie z rodzeństwem całymi dniami oskarżając się nawzajem, nie bez słuszności, o oszukiwanie. O ile pamiętam, ja nie oszukiwałam ale oni tak.

Jeśli chodzi o Steve'a, moją pierwszą „akcją” było wysokie zwycięstwo w ping-pongu. Wątpię, czy taką taktykę zaleca jakiś poradnik o tym, jak zdobyć mężczyznę, ale to go nie wyprowadziło z równowagi. Uznał, że to zabawne. Do dziś dnia, kiedy chce mnie zdenerwować, mówi, że się podłożył. Akurat!

Owego popołudnia odbyła się potańcówka i po pierwszych paru krokach Steve spojrzał na mnie i powiedział uspokajająco, „Odpręż się.” Tylko dwa słowa i od razu rozluźniłam się. Ufałam mu.

Później, kiedy przebierałyśmy się do obiadu, Barbara wspaniałomyślnie zaproponowała mi, żebym wybrała sobie jedną z jej sukienek. Była trochę ode mnie wyższa, ale wszystkie sukienki sięgały do połowy łydki, więc nie było z tym żadnego problemu. Leżały też dobrze. Byłam wtedy o jakieś pięć czy sześć kilo cięższa niż obecnie, ale cały mój ciężar był ulokowany głównie w biuście, więc głęboko wycięte sukienki Barbary nie stanowiły problemu... w istocie dawały mi dodatkową szansę. Dzisiaj Barbara powtarza, że dzięki tym sukienkom, „zawdzięczam jej życie.” Ale ja wiem, że nawet gdybym miała na sobie moje skromne bawełniane sukienki — a nawet habit zakonny — i tak osiągnęłabym cel.

W ciągu całego weekendu nie rozmawiałam z Seligiem dłużej niż pięć minut, ale stary kumpel nie poskarżył się ani słowem. Myślę, że zdał sobie sprawę, iż to niewiele pomoże. Leżąc na plaży i patrząc na opalone ciało Steve'a, nie mogłabym zainteresować się nikim innym. Kiedy poszedł

się wykąpać, posunęłam się do tego, że włożyłam czepek kąpielowy i weszłam z nim do wody, dając przekonujący występ, chociaż przez cały czas martwiłam się, że mimo czepka zamokną mi włosy. W wiele lat później, jak tylko zbudowaliśmy pierwszy basen kąpielowy, wzięłam obu synów i kazałam im patrzeć na coś, czego już *nigdy więcej* nie zobaczą, żeby dobrze to zapamiętali i nigdy nie mówili że tego nie potrafię. Po czym skoczyłam do wody, przepłynęłam na drugi brzeg i triumfalnie wyszłam z basenu; nigdy więcej nie skoczyłam do wody.

Pewnego razu rozmawialiśmy w Montauk o polityce i rozmowa zeszła na Dwighta Eisenhowera, który przed rokiem pobił w wyborach mego idola, Adlaia Stevensona. „Pieprzyć Eisenhowera!” wybuchłam. Zainteresowanie Steve’a, obudzone już przedtem, wzrosło. W tamtych czasach dobrze wychowane młode kobiety nie mówiły „pieprzyć” w towarzystwie i Steve pomyślał, że mam zdecydowane przekonania, energię i odwagę... i to mu się spodobało. Podczas ostatniego wieczoru wymieniliśmy się srebrnymi jednodolarówkami; moja moneta była ostatnią, jaka zachowała się z uroczystości srebrnego wesela rodziców. Dzisiaj, ponad czterdzieści pięć lat później, wciąż mamy wrażenie, że ta wymiana była zdumiewająco symboliczna i ważna, biorąc pod uwagę, że prawie się nie znaliśmy, ale wtedy wydawało to się niemal — choć może nie całkiem — przypadkowe.

Zanim ruszyliśmy w drogę powrotną, Steve wziął mnie na bok i zapytał o mój numer telefonu, domowy i biurowy. „O której przychodzisz do pracy?” spytał. „O dziewiątej trzydzieści”, odpowiedziałam.

Następnego dnia rano siedziałam już przy biurku o dziewiątej trzydzieści, bardziej punktualnie niż zazwyczaj, gdy zadzwonił telefon i usłyszałam głos Steve’a. Zakryłam dłonią mikrofon i triumfalnie obwieściłam mojej koleżance, Eileen, „Wygrałam!” Steve mówi, że jeśli wtedy wygrałam, to on musiał przegrać, ale tłumaczę mu, że istnieje coś takiego jak wygrana obu stron. Zaprosił mnie na obiad następnego dnia, we wtorek, ale ponieważ tego dnia miałam mieć zabieg, umówiliśmy się na środę.

Najgorszą rzeczą dla mnie, jeśli chodzi o zabieg, z pewnością nie była sama decyzja. Było dla mnie oczywiste, że nie będę rujnować sobie życia z powodu komórki jajowej i plemnika, które nigdy nie powinny się były spotkać. Nie wierzę, że dusza powstaje podczas poczęcia, a problem wyboru, choć wówczas nie używaliśmy tego terminu, ma dla mnie zasadnicze znaczenie. Aborcja nie stanowi dla mnie problemu moralnego. Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że niektórzy mogą to traktować jak problem natury moralnej, a w atmosferze wczesnych lat pięćdziesiątych był to problem czysto praktyczny: jak to załatwić? Prawie wszystkie niezamężne dziewczyny, jakie wówczas znałam, miały zabieg przerwania ciąży. Samo istnienie niezamężnej żydowskiej matki z wyższych klas średnich było jak jednorozec; po prostu było nie do pomyślenia. Nikt nigdy nie słyszał o czymś takim. Musiały być na świecie religijne dziewczyny, które rodziły nieślubne dzieci i oddawały je do adopcji, ale ja osobiście nie słyszałam o takim przypadku.

Nie, najgorsza była moja przesadna punktualność, przez co zjawiłam się na miejscu o pół godziny za wcześnie. Gabinet lekarza znajdował się na pierwszym piętrze bloku przy Park Avenue i musiałam spacerować dookoła, dopóki nie pojawił się lekarz, próbując sobie wyobrazić, co mogłabym powiedzieć komuś znajomemu, gdyby mnie zapytał, co robię sama w tej części miasta o tak wczesnej porze. Wbijałam oczy w chodnik i chodziłam pośpiesznie, starając się być niewidoczna. W końcu lekarz się zjawił. Przed rozpoczęciem zabiegu ostrzegł mnie, że nie może mi dać żadnego środka znieczulającego, bo muszę opuścić gabinet zanim zacznę przyjmować pacjentów i powinnam być w pełni przytomna. Podczas zabiegu kurczowo ścisnęłam szczęśliwą jednodolarówkę od Steve’a. Było to nieprzyjemne, ale dało się wytrzymać i, prawdę mówiąc, spodziewałam się czegoś gorszego. Lekarz pracował szybko i delikatnie; miałam wielkie szczęście, że go znalazłam. Był moim ginekologiem przez następne parę lat.

Po zabiegu pojechałam taksówką do domu, ostrożnie weszłam na górę i zadzwoniłam do biura, że nie przyjdę do pracy z powodu niedyspozycji. Jeremy przyniósł mi kanapkę i odpoczywałam przez całe popołudnie, czując ogromną ulgę. Następnego dnia byłam z powrotem w pracy i czułam się zupełnie normalnie.

Steve poprosił, żebym przyszła po niego do NBC, po czym pójdziemy na obiad. Włożyłam swoją ulubioną sukienkę z bładozielonej, pięknie plisowanej bawełny, uszytą według tego słynnego greckiego kroju, z cienkimi paskami oplatającymi ciało, który podkreślał figurę i z węzłem z przodu. Naturalnie nie włożyłam stanika. Nienawidzę, nie znoszę staników. Są gorsze niż kapelusze. Nigdy nie miałam naprawdę wygodnego stanika i do dziś dnia go nie noszę, chyba że mam wystąpić podczas jakiejś publicznej uroczystości.

Według relacji Steve'a, kiedy się pojawiłam na planie *Steve Allen Show*, w mojej boskiej sukience, z moim boskim tuszem do rzęs i boskimi pomarańczowymi włosami, uważał, że wyglądam jak prostytutka. Wciąż uparcie twierdzi, że moja sukienka prześwitywała, ale, wiercie mi, w 1953 roku nikt nie robił takich sukienek. Tylko mężczyzna mógł sobie wyobrazić, że pod materiałem widzi zarys sutka. Poprosił, żebyśmy się spotkali na planie, ponieważ tego wieczoru robił wywiad z merem Nowego Jorku, Vincentem Impellitteri i myślał, że ten spektakl może mnie zainteresować.

Następnie poszliśmy do doskonałej francuskiej restauracji Jimmy's La Grange, która już od dawna nie istnieje. Podczas obiadu poczułam, że nasza rozmowa się rwie, że trudno mi ją podtrzymać i tak się tym przejęłam, że poszłam do toalety, żeby pomyśleć jak temu zaradzić. W końcu, czyż nie prowadziłam rubryki „Rady dla nastolatków”? Szybko postanowiłam powiedzieć Steve'owi o wszystkim, czego nie potrafię; była to długa lista, która obejmowała pisownię, matematykę, gotowanie, śpiewanie bez fałszowania i większość sportów. Od razu się ożywił. Najwyraźniej czuł się trochę zaleźniony z powodu mego wykształcenia i mojej pracy — pamiętał też, że spędziłam rok w Paryżu — a poza tym był wciąż zaskoczony i zaintrygowany moim wyglądem. Moja długa lista wad była tym antidotum, jakiego potrzebował Steve i od tej chwili rozmowa potoczyła się gładko.

Kiedy tego wieczoru odprowadził mnie do mieszkania i pocałował, odniosłam niezatarte wrażenie, że oto znalazłam się w domu. Nie wiedziałam, co to oznacza, ale wrażenie było bardzo wyraźne. I silne.

Mimo to, kiedy zaczęliśmy się spotykać parę razy w tygodniu, nadal nie zastanawiałam się nad możliwością małżeństwa, chociaż każda normalna dziewczyna zobaczyłaby, że Steve Krantz ma wszystko, co powinien mieć mężczyzna i pomyślałaby o małżeństwie zaraz na początku. Wciąż byłam tak silnie nastawiona przeciwko instytucji małżeństwa i tak bardzo nie chciałam się pakować w to ryzykowne przedsięwzięcie, że ilekroć próbowałam pomyśleć o tym rozsądnie, mój umysł po prostu się wyłączał. Umysł, który powinien być racjonalny i podejmować inteligentne decyzje, nie chciał funkcjonować. Było to dokładnie tak, że kiedy tylko zaczynałam myśleć o małżeństwie, przede mną wyrastał mur, sięgający aż do nieba.

Zawsze miałam bardzo silne przekonanie, że bez względu na to, ilu mężczyzn „zaliczę” przed ślubem, kiedy już wyjdę za mąż, wszystko się skończy i to na dobre. Tylko dziesięć procent dziewczyn z mojej klasy w college'u jest po rozwodzie. My wszystkie, niezależnie od pochodzenia, miałyśmy silne przeświadczenie, że człowiek bierze ślub tylko raz. Byłam pewna, że będę wierną żoną i jestem.

Ponieważ tak się obawiałam małżeństwa, starałam się prowadzić „rozgrywkę” bardzo ostrożnie. Chciałam złapać tę wielką, piękną rybę, nawet gdybym potem miała ją z powrotem wrzucić do wody. Czułam, że teraz, bardziej niż kiedykolwiek, powinnam zachować całą moją niezależność. Nadal w każdym tygodniu spotykałam się z co najmniej dwoma innymi

mężczyznami, a ze Stevem dwa razy w tygodniu i w weekend. Jeżeli w jakiś wieczór nie miałam randki, siedziałam w domu i nie odpowiadałam na telefony aż do północy, kiedy to zaczynał dzwonić Steve, żeby się zorientować, co robiłam z moim wymyślnym partnerem. „Och, nic takiego, po prostu Le Veau d’Or na obiad, a potem poszliśmy do Village Vanguard, żeby posłuchać Harry’ego Belafonte”, kłamałam, czytając z przygotowanej uprzednio kartki, żeby to brzmiało wiarygodnie.

Kiedy w jakiś miesiąc potem Steve mnie zaskoczył, mówiąc, „Może spotykamy się zbyt często”, byłam na tyle bystra, aby natychmiast się z nim zgodzić i to nawet okazując entuzjazm. Zaproponowałam, żeby na jakiś czas wyjechał i wrócił do dziewczyny, z którą zerwał przed moim poznanie. „Naprawdę, kochanie, pobądź z nią przez parę tygodni, albo miesiąc czy dwa... Nie interesuje mnie odbijanie komuś mężczyzn.” Jediną rzeczą, jaką wiedziałam na temat ich związku, był ów konflikt na tle religijnym. Teraz nareszcie powiedział mi, że była wysoką, piękną blondynką, utalentowaną pianistką, modelką i należała do korporacji Phi Beta Kappa. Cieszę się, że nie wiedziałam tego wszystkiego czterdzieści pięć lat temu, ale i tak zareagowałabym dokładnie tak samo. Tak czy owak, spotkał się z nią tylko raz, zanim do mnie wrócił nieco zmieszany.

Prawie zawsze spotykaliśmy się w Sherry Netherland, najbardziej romantycznym barze w Nowym Jorku, z którego okien było widać konie i powozy, czekające na turystów przed Plażą, oraz fragment Central Parku i Piątej Alei. Stamtąd chodziliśmy na obiad do takich restauracji jak Sardi czy zupełnie wyjątkowa Café Nicholson, a często także do nocnych klubów, które wówczas były w okresie rozkwitu, zwłaszcza do Blue Angel. Były to prawdziwie staromodne i potwornie kosztowne zaloty, jakie widzi się w filmach. Przed obiadem piliśmy burbon, przynajmniej dwie podwójne porcje na głowę, i teraz czasami myślę, że wyszłam za mąż za człowieka, który się do mnie zalecał głównie wtedy, gdy byliśmy oboje dosyć wstawieni... ale wtedy wszyscy dużo pili, chociaż nie tak dużo, jak to miało miejsce podczas weekendów w college’u.

Kiedyś jesienią, po jednym z naszych spotkań, matka spytała mnie, czy tego roku kupiłam sobie jakieś nowe ubranie. Wyjaśniłam, że mnie na to nie stać. „Masz?”, powiedziała, wręczając mi trzydzieści pięć dolarów, „kup sobie nową sukienkę.” W hurtowni z ubraniami dla młodzieży, Judy i Jill, udało mi się kupić dwie ładne, wełniane sukienki i otrzymać radę, która odmieniła moje życie. Kiedy przymierzałam sukienkę, sprzedawczyni popatrzyła krytycznie na mój mały brzuszek i powiedziała, „Powinna pani nosić gorset.” Z trudem łapiąc powietrze — gorset, co za okropność! — przeszłam na dietę i zrzuciłam pięć kilo, i potem już utrzymałam wagę, z wyjątkiem okresu ciąży.

Z drugiej strony, matka nie trzymała w tajemnicy faktu, że Steve nie jest mile widziany jako kandydat na męża. Pomimo, że miał doskonałą pracę i dobrze się zapowiadał, jego rodzina była zupełnie bez pieniędzy. Podczas pierwszej wizyty w Connemara matka symbolicznie rzuciła na niego urok. Nigdy w domu nie podawaliśmy homarów, choć często jedliśmy je w restauracji, ale podczas pierwszej wizyty Steve’a podano wielkiego homara na zimno. Komunikat brzmiał: IDŹ SOBIE! Był to pierwszy homar w życiu Steve’a, chociaż poradził z nim sobie tak dobrze, że nigdy się tego nie domyśliłam. Jego rodzina nie była specjalnie religijna, ale nigdy tam nie podawano, a już zwłaszcza gościom, najdroższego trefnego, czyli nieczystego jedzenia.

Odczucia matki, jeśli chodzi o zagrożenie, jakie stanowił Steve, były tak silne, że wygłosiła pewną zabawną uwagę na jego temat. Patrząc na niego, bardzo opalonego i wysokiego, powiedziała, że przypomina „dwóch Portorykańczyków, stojących jeden na drugim”.

Ojciec, czego się należało spodziewać, też nie akceptował Steve’a. Jeśli nie liczyć Harry’ego Salzmana, nigdy mu się nie podobał żaden z mężczyzn, których zapraszałam do domu. Jednak Herb i Grace Mayes zakochali się w Stevie od pierwszego wejrzenia, z czego się ogromnie

cieszyłam, bo Herbert albo kochał ludzi albo nie mógł ich znieść, a Mayesowie byli tak ważną częścią mego życia.

Kiedy późną jesienią, po okresie czasu dziesięciokrotnie dłuższym niż normalnie, w końcu zdecydowałam się na wyjazd ze Stevem na pierwszy weekend, zapakowałam rzeczy w dwa pudła na kapelusze, po to aby nie rzucać się w oczy niosąc walizkę. Po co to wszystko? Te drobne środki ostrożności nie mogły przecież zamydlić oczu właścicielowi hotelu Black Bass w New Hope. Czy myślał, że zamierzam przez całą noc przymierzać kapelusze? Kilka weekendów spędziłam w mieszkaniu Steve'a przy Piątej Alei i dopóki nie wyprowadziliśmy się w trzy lata później, kiedy zaszłam w ciążę, nigdy nie potrafiłam żadnemu windziarzowi spojrzeć prosto w oczy, ponieważ wiedzieli o tych weekendach. Dobry Boże, seks w latach pięćdziesiątych!

Na Boże Narodzenie 1953 roku dałam Steve'owi szary kaszmirowy sweter od Saksa, najdroższy prezent jaki kiedykolwiek dałam mężczyźnie, a od niego dostałam zieloną skórzaną torbę na kosmetyki od Marka Crossa, bardzo elegancką choć niepraktyczną rzecz.

Nadal nie potrafiłam myśleć, racjonalnie czy nie, o małżeństwie i oboje unikaliśmy słowa „miłość”, mówiąc raczej, że się „uwielbiamy”, co jest znacznie mniej zobowiązujące. W sylwestra, w niecałe sześć miesięcy od naszego poznania, Steve zabrał mnie do Voisin i zamówił homara i suflet z czekoladą. Później wróciliśmy do mego mieszkania i kochaliśmy się. Potem siedzieliśmy na tej przeklętej, wszechobecnej kanapie, czekając na nadejście godziny dwunastej, kiedy niespodziewanie Steve poprosił, żebym za niego wyszła. Nie zdołałam wykrztusić „tak” — замуrowało mnie. Ale nie potrafiłam też powiedzieć „nie”; nie przychodził mi do głowy żaden argument przeciw, więc skinęłam głową. Na tak, nie na nie. Byłam naprawdę zaskoczona sposobem, w jaki mnie poprosił o rękę, bez żadnego przygotowania, nie dając mi czasu na zastanowienie się, wskutek czego moje środki obronne nie były w pogotowiu.

Prawie natychmiast, zamiast poczuć wielkie szczęście, zrobiło nam się niedobrze. Zdołaliśmy przezwyciężyć mdłości dopiero, kiedy zatelefonowaliśmy do kilku osób, żeby podzielić się naszą nowiną. Czy tę zapaść wywołała kombinacja homara i sufletu? Tak czy owak, Steve powiedział, że „musimy zachować naszą decyzję w tajemnicy”, co zabrzmiało tak, jakby był członkiem mafii; w końcu zawiadomiliśmy tylko naszych rodziców i paru przyjaciół. Jedynie kucharka mojej matki była naprawdę podekscytowana tą nowiną.

Postanowiliśmy się pobrać 19 lutego, czyli mniej więcej za sześć tygodni. Zamierzaliśmy urządzić skromne wesele z udziałem obu naszych rodzin. Ojciec Steve'a już nie żył, ale na przyjęcie przybyła jego matka, Rose, w towarzystwie swego trzeciego męża; poza tym była jego siostra, Sunny Onish, jej mąż i dwóch synów oraz wuj Steve'a, Leon. Ponadto zaprosiliśmy Herba i Grace Mayesów, Maggie Cousins oraz Fanny i Leonarda Cohenów. Przyjęcie odbyło się w mieszkaniu moich rodziców, naprzeciw Washington Square Park. Naszym drużbą był Ted Cott, szef i przyjaciel Steve'a, a druhną moja siostra.

Jimmy Abee, jeden z najlepszych fotografów mody i dobry przyjaciel, zrobił nam w prezencie zdjęcie ślubne, a u Lorda i Taylora kupiłam piękną białą suknię ślubną, z koronkową górą i rozkloszowanym dołem. Ku memu zaskoczeniu, matka uznała za stosowne zabrać mnie do Saksa, gdzie kupiła mi trochę ciuchów a nawet czarny perski zakiet. Wybraliśmy się ze Stevem do Tiffany'ego, gdzie kupiliśmy złote obrączki — moja kosztowała dwadzieścia dolarów, a Steve'a trzydzieści pięć — ale nie chciałam pierścionka zaręczynowego. Nie widziałam żadnego sensu w wydawaniu pieniędzy, których Steve nie miał zbyt wiele. W dziale mody obsypano mnie prezentami a Ted Cott wydał na naszą cześć wielkie przyjęcie, na które przybyło wielu pracowników NBC.

Potrzebowaliśmy rabiego, ale nie znaleźliśmy żadnego w okolicy. Koniec końców, Fanny Cohen poleciła nam Jonaha B. Wise'a, syna Stephena Wise'a, który powołał do życia judaizm

reformowany. Udaliśmy się do niego z obowiązkową wizytą, ale nie pamiętam, żeby udzielił nam jakiejś rady; zresztą w naszym przypadku i tak nie zdałaby się na nic. Całe spotkanie nie trwało dłużej niż dziesięć minut, ale zmartwiło mnie, kiedy Steve spytał go wprost, ile wynosi opłata. Rabi, wcale nie zaskoczony tak bezpośrednim pytaniem, odparł, że pięćdziesiąt dolarów. Kupa forsy! I raczej nie można się było targować.

Rano w dzień ślubu umyłam włosy, potraktowałam odrobiną płynu Superoxide i w towarzystwie Jeremy'ego pojechałam taksówką do mieszkania rodziców. Steve'a trzeba było przekonać, żeby sobie sprawił nowe czarne buty, ponieważ nie pozwoliłabym mu założyć brązowych butów do niebieskiego garnituru i to były całe nasze przygotowania.

Rozumiem, dlaczego ludzie robią z wesela takie przedstawienie przygotowując je miesiącami i wydając na nie fortunę, ale ja nie chciałam niczego w tym rodzaju. Mimi urządziła wielkie wesele, ale ja miałam dwadzieścia sześć lat i nigdy nie marzyłam, żeby być gwiazdą na własnym weselu. Moje koleżanki z Wellesley miały już troje lub czworo dzieci, a matka była naprawdę zaniepokojona, że przyjęcie weselne będzie kosztować dwadzieścia pięć dolarów od osoby.

Pół godziny przed zaplanowanym terminem ślubu, kiedy ubierałam się w sypialni matki, dostałam porządnego pietra i poprosiłam Jeremy'ego, żeby mi szybko zrobił drinka. Dzięki Bogu w wieku dwudziestu dwóch lat nie był doświadczonym barmanem i wrócił z wysoką szklanką, po brzegi napełnioną burbonem, którą wypiłam niemal jednym haustem. Tylko dzięki temu zdołano mnie wyciągnąć z pokoju. Przeszłam przez salon, prowadzona pod rękę przez ojca, cały czas powtarzając głośno, „To jest pomyłka, okropna pomyłka.”

Rabi był tak bardzo reformowany, że nawet nie miał na głowie jarmułki; nie miał jej zresztą nikt z pozostałych mężczyzn. Ceremonia trwała około czterech minut — pięćdziesiąt dolarów! — i wszystko, co pamiętam, to że Steve'owi tak zaschło w gardle, że ledwie zdołał wychrypieć „tak”. Pozostał mi w pamięci widok jego zlepionych warg — z pewnością byłam najmniej romantyczną panną młodą w historii. Prawie natychmiast po ceremonii zaniepokojony kucharz podszedł do mnie i spytał, co to za pomyłka. „To wszystko!” odparłam, wykonując dłonią szeroki gest. „Och, myślałem, że to coś poważnego”, odpowiedział, i uspokojony oddalił się.

Tego samego wieczoru mieliśmy ze Stevem pojechać na weekend do Hawany — tak, Hawany, przed erą Castro! — musieliśmy więc jakoś przetrwać to popołudnie. Wróciliśmy do jego mieszkania, oddalonego tylko o jedną przecznicę, kochaliśmy się, po czym (był to piękny, słoneczny dzień) poszliśmy do zoo w Central Parku. W pawilonie dla małych pawian z jasnoczerwonym zadem odwrócił się do nas tyłem i w najbardziej skandaliczny i wyraźny sposób dał nam do zrozumienia, co o nas myśli. Jestem pewna, że gdzieś w Afryce musi istnieć plemię, które wierzy, iż wielka, świeża kupa pawiana to zapowiedź szczęścia.

Po doskonałym obiedzie w Barberry Room, rozradowani pośpieszyliśmy na lotnisko, gdzie okazało się, że nasz samolot będzie miał opóźnienie. W owych czasach trzeba było lecieć do Miami i tam przesiąść się na samolot na Kubę. Samolot miał wielogodzinne opóźnienie i kiedy lotnisko zostało zamknięte na noc — możecie mi nie uwierzyć, ale wtedy tak było — nie było gdzie usiąść. W wieczór swego ślubu musiałam stać w tłumie przez trzy niekończące się godziny, starając się robić dobrą minę, mimo że wskutek płaskostopia odczuwałam dotkliwy ból. Jakoś wytrzymałam. Kiedy wreszcie samolot wystartował, Steve natychmiast zasnął, a mnie z oczu puściły się łzy, które nie przestawały płynąć aż do końca lotu. Z powodu bólu stóp cierpiałam katusze i byłam zupełnie wykończona — co za noc!

Humor wrócił mi dopiero w porze lunchu, kiedy znaleźliśmy się w naszym nadmorskim hotelu w Hawanie, a sam weekend to był istny raj. Nigdy już nie będzie takiego romantycznego i zmysłowego miejsca, jak Hawana przed nastaniem Castro. Pojechaliśmy tam jeszcze dwukrotnie, ostatni raz w rok po objęciu władzy przez Castro. Odkryty westybul naszego hotelu był pełen

maszerujących tam i z powrotem mężczyzn, ubranych w T-shirty i spadochroniarskie buty, którzy na karabinach mieli zatknięte bagnety. „Co się tu dzieje?” spytałam recepcjonistę. „Och, to są pracownicy Czerwonego Krzyża”, odpowiedział. „Nie zauważyła pani tych czerwonych krzyży na ich koszulach?” Zrobiłam sobie zdjęcie z tymi roześmianymi, brodatymi żołnierzami. Parę dni po naszym powrocie z wycieczki, Kuba i Stany Zjednoczone zerwały stosunki dyplomatyczne.

Podczas naszej podróży poślubnej na Kubę, zwykły trzydniowy weekend rozmyślnie przedłużyliśmy sobie o jeden dzień. Kiedy wróciłam do pracy o jeden dzień później niż powinnam, Herbert Mayes nie odzywał się do mnie przez dwa miesiące. Dzięki Bogu, polubił Steve’a, bo inaczej mogłoby to trwać rok.

Rozdział dwudziesty trzeci

Przed nami roztaczało się cudowne życie Nowego Jorku. Chodziliśmy na wszystkie dobre filmy, obejrzeliliśmy wiele doskonałych sztuk teatralnych, wydawaliśmy przyjęcia i chodziliśmy na przyjęcia, i — największy cud — NBC przysłało nam kolorowy odbiornik telewizyjny, jeden z pierwszych jakie w ogóle wyprodukowano. Była to wielka, brzydka skrzynka z małym ekranem. Korzystałam z niego tylko parę razy — miniaturowe zielone ludziki mówiły jakieś niezrozumiałe rzeczy — a potem włączałam go tylko po to, żeby zadziwić naszych gości, którzy nigdy przedtem nie widzieli kolorowej telewizji. Ten jeden szczegół uświadamia mi, jak dawno temu to było.

Zamieszkaliśmy ze Stevem w jego kawalerskim mieszkaniu przy Piątej Alei; po obiedzie wędrowaliśmy po okolicy, chodząc przez Washington Square Park do Bleecker Street, gdzie znajdowały się liczne kawiarenki, albo po mniej uczęszczanych uliczkach, odwiedzając nieznaną nam jeszcze bary, gdzie otaczały nas przyjaźnie nastawione lesbijki i geje.

W weekendy, o ile nie mieliśmy innych planów, rodzice zapraszali nas do Connemara. Jechaliśmy tam, ale dlaczego to robiliśmy, skoro nie musieliśmy a w dodatku nie mieliśmy specjalnej ochoty, dowodzi tylko, jak wielką władzę wciąż mieli nade mną rodzice.

Pomimo tych czterech lat spędzonych w college'u i roku w Paryżu, wreszcie półtora roku we własnym mieszkaniu, oraz pomimo faktu, że byłam już mężatką i miałam własny dom, nadal automatycznie grałam rolę dziecka, które bezwzględnie *musi* sprawić przyjemność swoim rodzicom, posłuszenie wypełniając ich życzenia, zwłaszcza że Mimi mieszkała w Kalifornii a Jeremy miał swoje własne życie. Byłam kompletną neurotyczką. Wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy, zrozumiałam to dopiero w połowie lat sześćdziesiątych, gdy poddałam się psychoanalizie.

Pewnego razu w ciągu pierwszych dwóch lat małżeństwa musieliśmy się wybrać w interesach do Los Angeles i tam wreszcie poznałam moją legendarną i złą babkę ze strony ojca, Tilly Janks.

Mimi od lat była z nią w kontakcie, ponieważ odwiedzała ją regularnie w Żydowskim Domu Starców. Mimi była tam znana nie jako jej wnuczka, lecz jako kuzynka, ponieważ babka Tilly niezłomnie utrzymywała, że p. Janks był jej jedynym mężem — nawet to było wątpliwe — a ona sama jest bezdzietna. Po opuszczeniu swych współmałżonków i dzieci, ona i ów Janks pojechali do Kanady i tam dorobili się majątku na handlu nieruchomościami. W końcu przenieśli się do Kalifornii, gdzie znów doskonale im się powiodło w tej branży... kolejna wersja znanej kalifornijskiej legendy o „babce, która była właścicielką Sunset Boulevard, dopóki Kryzys nie pozbawił ją całego majątku”, którą słyszałam od wielu przyjaciół. Kiedy była bogata, została głównym dobroczyńcą owego domu dla emerytów, w którym teraz mieszkała, gdzie traktowano ją jak prawdziwą królową.

Mimi, która opisuje ją jako „oszustkę, bystrą, uroczą i dowcipną”, wkrótce została łączniczką, która regularnie dostarczała jej ulubione lekarstwo, pięciogwiazdkową brandy Henessy, kupowaną za pieniądze, które ojciec posyłał Mimi. Popijała z przyjaciółkami, które podczas każdego wyborów pomagały jej w organizacji kampanii na rzecz Demokratów. Pielęgniarki zwracały się do niej „p'sze pani” i, jak mówi Mimi, miała nie tylko silny głos, ale była też hołubiona przez personel jako przykład korzyści płynących z umiejętności przewidywania. Kiedy Tilly wprowadzała się do Domu Starców, oddając im wszystko, co posiadała, dawano jej tylko rok życia, ale żyła jeszcze dwadzieścia siedem lat, aż do śmierci w wyniku wylewu w 1957 roku.

Pojechałam ją odwiedzić ze Stevem, żeby poznała jeszcze jedną kuzynkę i jej męża. Nie

rozmawialiśmy o niczym specjalnie ważnym, ale z niekłamanym zainteresowaniem przyglądałam się tej bardzo aktywnej i pełnej życia kobiecie, która spowodowała takie spustoszenie w życiu mego ojca. Jej pokój wypełniały zdjęcia naszej rodziny. Kiedy miała ją odwiedzić druga „rodzina”, zastępowały je zdjęcia Janksa.

Mimi mówi, że raz, zupełnie wyjątkowo, Tilly odwiedziła dom Mimi, żeby zobaczyć się z moim ojcem, który przyjechał do Los Angeles w interesach. Tylko dotknęła go, a on natychmiast pobiegł do łazienki i zwymiotował. Mdłości, tak, ale amnezja... cóż, nie wydaje mi się.

* * *

Jedynie prawdziwa miłość pozwoliła nam przetrwać naszą drugą podróż poślubną. Do Hawany pojechaliśmy po prostu na weekend; nasza prawdziwa podróż poślubna była zaplanowana od połowy maja do połowy czerwca, kiedy to mieliśmy na miesiąc wybrać się do Europy. Miała to być pierwsza wycieczka Steve'a na Stary Kontynent.

Ja, jako ekspert, odpowiadałam za plan naszej wyprawy i całymi godzinami studiowałam mapy, obliczałam odległości i wybierałam hotele. Według planu, mieliśmy polecieć do Rzymu, zatrzymać się tam na tydzień, po czym ruszyć samochodem w kierunku Paryża, gdzie zamierzaliśmy spędzić ostatni tydzień naszego miodowego miesiąca i gdzie chciałam poznać Steve'a z moimi przyjaciółmi.

Pierwszym błędem, jaki popełniłam, było usunięcie tuż przed wyjazdem ostatniego zęba mądrości. Poprzednie trzy zostały usunięte przez znanego specjalistę w ciągu minionego roku i nie pociągnęły za sobą żadnych komplikacji. Jak na kogoś kto ma zdrowe i mocne zęby, bardzo się nacierałam, zarówno w życiu jak i w moich paryskich kłamstwach.

Zęby, kapelusze, staniki, słońce, a niebawem uczulenie na żółte żakiety... ciesząc się poza tym dobrym zdrowiem, muszę robić wrażenie hipochondryczki, cierpiącej na liczne słabości. Oczywiście nic nie poradzę na to, że cierpię też na syndrom „księżniczki na grochu” i to, co dla innych kobiet nie stanowi żadnego problemu, mnie przeszkadza jak diabli. (Nigdy nie twierdziłam, że jestem niewymagająca, prawda?) Znacie kogoś, kto podróżuje z rolką taśmy, którą przykleja zasłony do ściany, żeby rankiem do pokoju nie dostała się ani odrobina światła? Znacie kogoś, kto potrafi przekonać recepcjonistę hotelu Savoy w Londynie, że musi zmienić pokój cztery razy w ciągu jednego popołudnia, nakłaniając go nawet do tego, aby położył się w swojej liberii na podłodze, żeby się przekonać, że metro powoduje drgania, które przy niezwykle wrażliwym słuchu mogą człowieka doprowadzić do szaleństwa? Przy każdej zmianie dostawałam coraz większy pokój, ale w tej samej cenie.

Mam także głęboko zakorzenione niedorzeczne dziwactwo dotyczące pakowania się, które pogłębia się z upływem czasu. Wyobrażam sobie, że gdzieś czai się człowiek z kieliszkiem pełnym czerwonego wina, którego zadaniem jest mnie oblać i zniszczyć całą garderobę, jaką szykuję na podróż. Moje przeświadczenie manifestuje się w ten sposób, że jeśli biorę ze sobą dwie pary białych spodni, muszę mieć dwie dodatkowe pary jako rezerwę, żeby pokrzyżować plany terrorysty z czerwonym winem... który jak dotąd się nie pojawił. To szaleństwo dotyczy każdej rzeczy w walizce. Już nie próbuję z tym walczyć, nie warto. Teraz wszystkie rzeczy rezerwowe muszą z kolei mieć swoje rzeczy rezerwowe. Ma to coś wspólnego z nerwicą natręctw. Jakże zazdroścę beztróscie tych, którzy potrafią się spakować bez problemu i podróżują bez zbędnego bagażu.

Teraz, przed naszą podróżą, niepokoiłam się, że ów ząb mądrości da o sobie znać, kiedy będziemy gdzieś we Włoszech. Lepiej więc pozbyć się go od razu. Udałam się więc na zabieg, podczas którego doświadczony dentysta uszkodził nerw, wskutek czego przez następny miesiąc

nieustannie dokuczał mi ostry ból zęba.

Do Rzymu poleciliśmy przez Amsterdam. Było to w okresie, gdy Steve mógł legalnie reklamować linie lotnicze i otrzymywać w zamian darmowe bilety, poleciliśmy więc ogromnym, czterosilnikowym samolotem KLM, co zabrało nam osiemnaście godzin. Codziennie ból ustawał na jakieś cztery czy pięć godzin w porze lunchu i obiadu, kiedy aplikowałam sobie aspirynę i parę szklaneczek whisky. Pamiętam jak podczas dnia przerwy w Amsterdamie poraził mnie niesamowity widok setek kwitnących tulipanów, którym starałam się delektować jak mogłam, zanim ból dopadnie mnie znowu.

Rzym pozostał w mojej pamięci jako mgliste wspomnienie, z wyjątkiem wizyty u Gucciego, gdzie jakoś zdołałam wziąć się w garść i wybrać wspaniałą czarną torebkę z aligatora, którą Steve mi kupił, a potem jeszcze go namówiłam na małą, wiśniową torebkę wieczorową, też z aligatora — do dziś mam je obie. Steve obudził się w środku nocy i, nie wierząc własnym oczom, ujrzał jak w świetle nocnej lampki napawam się widokiem moich nowych torebek.

Po opuszczeniu Rzymu, ruszyliśmy do Florencji i w połowie drogi, kiedy było już o wiele za późno, żeby coś na to poradzić, odkryliśmy, że wypożyczony przez nas samochód, nowy Fiat kabriolet — najmniejszy model, zwany Topolino — był *rodagio*. Innymi słowy, był na dotarcie i w silniku zainstalowano regulator, który ograniczał szybkość do około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przy tej szybkości podróży wszystkie moje starannie przygotowane wyliczenia wzięły w łeb. Kiedy dokonaliśmy tego odkrycia, zaczął lać deszcz. Dach tego pieprzonego kabrioletu nie domykał się i przez resztę drogi cały czas na głowę Steve'a kapłała woda.

Z powodu *rodagio*, ażeby dostać się z jednego hotelu do drugiego musieliśmy poświęcić czternaście godzin dziennie na jazdę samochodem, ale nie od razu zorientowaliśmy się, że powinniśmy byli odstawić samochód do Rzymu. Wkrótce znaleźliśmy się w punkcie bez powrotu. Było to w czasach, kiedy dopiero od niedawna zaczęto wypożyczać samochody i nie można było po prostu wymienić samochodu na inny podczas trwania podróży. Nie mogliśmy też zmienić planu i przesiąść się na pociąg; pragnęliśmy przecież zobaczyć okolicę, a ponadto mieliśmy jeszcze dwa tygodnie czasu, zanim zawitamy do Paryża.

Florencja to kolejne mgliste wspomnienie, ale Wenecję pamiętam doskonale. Przyjechaliśmy w bezchmurny dzień, zostawiliśmy przekłętego Fiata na stacji i pośpieszyliśmy do *motoscaffo*, który zawiózł nas do hotelu. Potem w pośpiechu zaprowadziłam Steve'a na Plac św. Marka, gdzie zatrzymałam się pod sklepieniem przejściem, skąd otwiera się wspaniały widok na ogromny plac.

„Ruszamy”, powiedziałam, po czym wyszliśmy na plac. Wtedy lunął na nas deszcz. Zawróciliśmy i co tchu pobiegliśmy do hotelu, gdzie spędziliśmy cały dzień w oczekiwaniu na jakieś oznaki przejaśnienia. Daremnie; w końcu z powrotem spakowaliśmy się i postanowiliśmy zmienić plan: pojechaliśmy w kierunku czegoś, co wyglądało na zwykłą górską przełęcz, prowadzącą do portu La Spezia, najbliższego miasta na trasie do Positano, gdzie mieliśmy zarezerwowany hotel.

W wieku dziewiętnastu lat, zaraz po ukończeniu Columbii, Steve zgłosił się na ochotnika do sił powietrznych, a potem w stopniu porucznika trafił do oddziału wojsk wodno-łądowych na Filipinach, gdzie zajmował się łącznością radiową z siłami powietrznymi, kierując samoloty na cel podczas bombardowań. Jednak orientowanie się według włoskiej mapy nie było tak prostym zadaniem jak operacje na okupowanej przez nieprzyjaciela wyspie na Pacyfiku.

Kiedy zapadła ciemność, nad naszymi głowami zawisły ciężkie chmury, a droga była pełna ostrych zakrętów, ledwie rozświetlanych reflektorami samochodu. Byliśmy dopiero w połowie drogi do La Spezia. Prerażona kuliłam się w wilgotnym ubraniu na siedzeniu i wciąż żegnałam

się w nadziei, że to pomoże. Na tym pustkowiu Steve jakimś cudem dojrzał drobną postać stojącą w ciemności. Zatrzymał się i kupił maleńki bukietek szarotek od stojącego przy drodze chłopca, który nie powinien był o tej porze tam przebywać. To dziwne, magiczne spotkanie wzięliśmy za dobry znak i przez cały czas, kiedy zdążaliśmy ku tej upiornej przełęczy, kurczowo ścisnęłam kwiatki w dłoni, aż wreszcie o północy dotarliśmy do obskurnego portu La Spezia i w jakiejś spelunce znaleźliśmy pokój, którego całe oświetlenie stanowiła słaba żarówka zwisająca nad łóżkiem.

Następnego dnia w ponurych nastrojach pojechaliśmy dalej i w strugach deszczu minęliśmy Positano, nawet nie zatrzymując się, żeby odwołać naszą rezerwację. Kiedy jechaliśmy, spojrzałam przypadkiem na twarz Steve'a i ujrzałam obcego, wściekłego i zawiedzionego mężczyznę, którego nie znałam. „Co ja, u licha, tu robię z tym człowiekiem i kim on, *u diavla*, jest?” zadawałam sobie pytanie, które każda szczęśliwa (i nieszczęśliwa) małżonka musi zadawać sobie tysiące razy. Zapamiętałam to tylko dlatego, że to uczucie zdumienia ogarnęło mnie wtedy po raz pierwszy.

Przekroczyliśmy granicę francuską i zatrzymaliśmy się w La Reserve de Beaulieu, małym, ale niezwykle eleganckim hotelu. Pamiętałam, że w 1948 roku spędziłam tam z rodziną kilka wspaniałych dni, podczas których po raz pierwszy zobaczyliśmy kobiety w kostiumach biki — ni, kąpiące się w hotelowym basenie. Następnego dnia, 20 maja, przypadały urodziny Steve'a i, kiedy obudziliśmy się, powitała nas piękna, słoneczna pogoda. Podarowałam mu jedwabny szlafrok, który udało mi się w tajemnicy przed nim kupić w Rzymie i oboje myśleliśmy, że najgorsze mamy już za sobą.

Czytelniku, jak piszą w reklamach horrorów, teraz będzie najgorsze. Następna klęska spadła na nas następnego dnia w Cassis, podczas lunchu. Nie wiem, jaką pyszną potrawą się wtedy uraczyliśmy, ale mniej więcej w tym samym czasie oboje dostaliśmy biegunki, a znajdowaliśmy się wtedy w drodze do Paryża. Nie była to przypadłość, jaką da się kontrolować. Mieliśmy szczęście, że za każdym razem udawało nam się szybko wyskoczyć z samochodu, zanim nadeszło najgorsze, a powtarzało się to bez końca. Takie chwile pozwalają dokonać odkrycia że sranie ma pierwszeństwo przed wszystkim. Nasza choroba utrzymywała się przez wiele tygodni, a nasiliła się w Nimes, gdzie, jak pamiętam, gryzłam hotelową poduszkę, kiedy dopadły mnie skurcze menstruacyjne, najgorsze jakie kiedykolwiek miałam, podczas gdy Steve gorączkowo próbował zdobyć jakieś lekarstwa u konsjerżki. Nie cierpiałam tak podczas żadnego porodu.

Podczas tej drogi do Paryża mieliśmy jedną chwilę wytchnienia. Mieliśmy rezerwację w małym hotelu o nazwie Le Prieure, w Villeneuve-les-Avignon, gdzie przybyliśmy jak zwykle po ciemku, ze względu na nasz wolno poruszający się samochód. Następnego ranka musieliśmy wyjechać zaraz po śniadaniu, żeby zdążyć na następny postój, ale oczarował nas widok małego hotelu po drugiej stronie Rodanu. Gdybyśmy tylko mogli zostać o jeden dzień dłużej, pomyśleliśmy smutno, ale wówczas nigdy nie zdążymy dojechać do Paryża w przewidzianym czasie; wpadłam w jakiś obłąd, tak byłam zdeterminowana, żeby dotrzeć do Paryża na czas, gdzie wreszcie pokażę memu mężowi miasto, które tak pokochałam.

Zarezerwowałam miejsce w hotelu San Regis, ulubionym hotelu ludzi ze świata mody. Napisałam do hotelu długi list, opisując pokój, jaki chcielibyśmy dostać, przy czym powołałam się na Dicka Avedona, Carmel Snów i Nancy White, którzy polecali mi to miejsce.

Tym razem przybyliśmy na czas i natychmiast zaprowadzono nas do nędznego pokoiku na poddaszu, niewątpliwie najgorszego pokoju w całym hotelu. Usiadłam na łóżku i rozpłakałam się. Czułam nienawiść do Francuzów setki razy, ale nigdy silniej niż w owej chwili. Bardziej praktyczny Steve niezwłocznie poszedł prosto do recepcji i załatwił nam porządną izbę. Tego wieczoru mieliśmy zarezerwowany stół u Maxima i w końcu mogłam założyć jedną z wielu

sukienek, które bez sensu woziałam ze sobą przez trzy tygodnie. Zamiast wziąć taksówkę, pojechaliśmy tam samochodem, a kiedy zatrzymaliśmy się przed wejściem do najwspanialszej restauracji w Paryżu, nasz Fiat na dobre odmówił posłuszeństwa. Pewnie poczuł się upokorzony. Następnego dnia z ogromnym uczuciem ulgi pozbyliśmy się go definitywnie.

U Maxima dostaliśmy doskonały stół i ledwo zdążyliśmy usiąść, gdy podszedł do nas Michel Paulmier–Peterson, niezwykle przystojny pół–Szwed i mój dawny chłopak, żeby się przywitać. Z dumą przedstawiłam mu męża, na którym ów pożeracz niewieścich serc zrobił znacznie mniejsze wrażenie niż na mnie. Kiedy to teraz wspominam, myślę, że to był najsympatyczniejszy moment naszej podróży poślubnej. Steve mówi, że dla niego takim momentem było wejście na pokład samolotu, którym wracaliśmy do domu.

Spotkanie z Michele stanowiło przedsmak naszych problemów w Paryżu. Wszędzie, gdzie chodziliśmy, przedstawiałam Steve’a swoim starym znajomym. Jednak nieodmiennym zwyczajem, Francuzi zaczęli rozmowę po angielsku, którym wszyscy mówili w miarę dobrze, ale w parę minut potem przechodzili na francuski. W owym czasie Steve nie znał jeszcze tego języka, więc oczywiście czuł się wyjątkowo niezręcznie i nie na miejscu, czego głupia nie przewidziałam. Paryż był ostatnim miejscem, które powinniśmy byli odwiedzić, a to był przecież mój pomysł. Nie ulega wątpliwości, że kompletnie spieprzyłam naszą podróż poślubną.

Biegunka Steve’a także nie ustępowała, poszedł więc do Paula–Emila, żeby dostać jakieś lekarstwo. Paul–Emile, który tak jak większość francuskich lekarzy przyjmował pacjentów w domu, poprosił, żeby Steve się rozebrał. „Mam tylko biegunkę”, zaprotestował Steve. „Proszę zdjąć ubranie”, nalegał doktor. Przepisał wielkie, budzące grozę pigułki, które wyrzuciliśmy do klozetu, ale od tej chwili Steve ozdrowiał.

Przez wiele lat wyobrażałam sobie, że Paul–Emile był ciekaw jak w całej okazałości wygląda mężczyzna, którego poślubiłam, dopóki nie poznałam jednej z jego dawnych pacjentek. Jako szesnastoletnia dziewczyna, cierpiała na jakąś drobną dolegliwość i Paul–Emile także kazał jej się rozebrać do naga, po czym poprosił, żeby usiadła na krześle, na wprost jego biurka. „Mademoiselle”, spytał, „czy Pani czytuje wiersze?”

W końcu wróciliśmy do Nowego Jorku i chociaż nie mieliśmy żadnej poważnej kłótni, zdałam sobie sprawę, że podróżowanie z mężem jest sprawą znacznie bardziej skomplikowaną niż sądziłam; coś jak włoska mapa drogowa. Wiedziałam, że mogę na niego liczyć w takich sprawach jak jazda po górskich drogach, obrona przed nieuprzejmą obsługą w recepcji czy zakupy u Gucciego. Pewnego razu Nancy White spytała mnie żalonym głosem, „Dlaczego masz ładniejszą torebkę niż ja?”

Jakieś sześć miesięcy później, jesienią, w Connemara, Steve załatwił coś przez telefon z agentem, który tak go rozwścieczył, że plecy przeszył mu nagły skurcz. Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w naszym mieszkaniu, było już tak źle, że musiał iść do szpitala, gdzie natychmiast umieścili go na wyciągu. Wróciłam do domu, rzuciłam się na łóżko i szlochając, wykrzykiwałam, „Wiedziałam, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.” „Wiedziałam, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe”, powtarzałam bez końca. Byłam pewna, że mój świat się zawalił. Była to u mnie zupełnie nietypowa reakcja. Zazwyczaj w sytuacji zagrożenia pozostaję spokojna. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to żeby po pracy zanieść Steve’owi do wypicia jakiś koktajl, ale od razu mi powiedział, że ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę, jest alkohol. Po trzech dniach opuścił szpital z zaleceniem, aby spał na desce, ale dzięki temu zdarzeniu zdałam sobie sprawę, jak bardzo moje szczęście zależy od niego.

* * *

Pod koniec dwóch wspaniałych, zupełnie pozbawionych kłopotów i komplikacji lat małżeństwa, tuż po tym jak skończyłam dwadzieścia osiem lat, któregoś dnia Steve powiedział, „Powinniśmy mieć dziecko.” „Musimy?” spytałam z powątpiewaniem. „No”, odpowiedział i w ciągu godziny zaszłam w ciążę. W taki właśnie sposób ludzie decydowali się w tamtych czasach na dziecko, nie poświęcając temu więcej uwagi niż sprawie kupna pary butów. Taki zwyczaj panował w latach pięćdziesiątych. Jeżeli nie mogłeś mieć dzieci, adoptowałeś je, ale po prostu musiałeś mieć dzieci, tak jak wszyscy wokół, a dwa lata po ślubie to był czas, kiedy większość małżeństw się na to decydowała. To zupełnie tak, jak w przypadku dwojga ludzi, których życie jest już doskonale zorganizowane. Spoglądają na siebie, wzruszają ramionami i jedno z nich mówi, „Chodźmy kupić sobie słonia.”

Rozdział dwudziesty czwarty

Wiedziałam, że jestem w ciąży na długo przedtem zanim poszłam do ginekologa, żeby się o tym upewnić. Wieczorami chodziliśmy ze Stevem na lekcje gotowania, organizowane przez faceta z Village, który przekształcił swój salon w ogromną kuchnię. On kupował rozmaite artykuły spożywcze, a my przynosiliśmy napoje i wino i do północy uczyliśmy się przyrządzać takie dania jak kaczka w pomarańczach czy pieczeń wołowa a la Wellington. Nasz wesoły, niepraktyczny nauczyciel zawsze miał podwinięte rękawy, które odsłaniały ciemną szczecinę włosów na rękach. Oczywiście kiedy obiad był już gotowy, byliśmy wszyscy zbyt wstawieni, żeby pamiętać, jak przygotowaliśmy te wspaniałe potrawy, ale nauczyłam się, jak obierać cebulę i jak używać tasaka i nabrałam pewności siebie w sprawach kuchennych, jakiej nie miałam nigdy przedtem.

W niecałe dwa tygodnie po tym, jak zaszłam w ciążę, stwierdziłam, że nie jestem w stanie pójść na lekcję gotowania, którą mieliśmy opłaconą z góry. Mogłam jeść tylko białe pożywienie: biały chleb, mięso z kurczaków, śmietanę, lody waniliowe... lista białych potraw jest krótka. Ale na samą myśl, że miałabym zjeść coś innego, zbierało mi się na wymioty.

Hilliard Dubrow, mój ginekolog, potwierdził moją własną diagnozę, co sprawiło, że byliśmy ze Stevem podekscytowani, że tak sprytnie osiągnęliśmy cel, że tak powiem, za pierwszym podejściem. Zaczęliśmy się rozglądać za większym lokum i w końcu wynajęliśmy mieszkanie na Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, o jedną przecznicę od parku na East River. Autobus linii 20 dowoził mnie bezpośrednio do pracy.

Kiedy byłam w piątym miesiącu ciąży, wybraliśmy się na wycieczkę do Paryża, ponieważ wiedzieliśmy, że po przyjściu na świat dziecka nie będziemy mogli podróżować zbyt wiele. Jeśli chodzi o garderobę, nie miałam właściwie nic do kupienia. Pozostawały tylko rękawiczki i perfumy. Gdybym potrzebowała jeszcze jakiegoś dowodu, że mój mąż ma świętą cierpliwość, dostarczyłoby go wspomnienie, jak przymierzałam rękawiczki z ręką opartą na ladzie, a sprzedawczynie starannie rozkładała każdą parę, żeby się upewnić, czy nie są za małe lub za duże. Dopiero gdy obejrzałam dwadzieścia siedem par dzieciennych rękawiczek, we wszystkich możliwych rozmiarach i kolorach, uznałam, że to wystarczy i rzeczywiście: przez całe dziesięciolecie nie musiałam już kupować żadnych rękawiczek. Od tej pory Steve nigdy już nie wybrał się ze mną na zakupy; epizod z rękawiczkami podkopał jego ducha.

Ostatniego wieczoru poszliśmy do słynnej klasycznej restauracji Lucas–Carton, gdzie przez cały czas lży nie przestawały mi płynąć z oczu. „Już nigdy nie będzie tak samo”, powiedziałam, czując głęboki, niemożliwy do opanowania smutek. Kelnerzy nie zwracali na mnie uwagi. Płaczące kobiety stanowią zapewne zwykły widok we wszystkich dużych francuskich restauracjach. Wiedziałam, że kiedy przychodzi na świat dziecko, życie zmienia się sposób tak zasadniczy, że jest to jak koniec całego rozdziału. Żadna zawiedziona miłość, żaden rozwód, żadna zmiana zawodu nie ma na dłuższą metę istotnego znaczenia, w porównaniu z posiadaniem dziecka. Dziecko jest jedyną rzeczą w życiu, której nie możesz zmienić czy od siebie odsunąć... jest największym i ostatecznym zobowiązaniem, jakie kiedykolwiek podejmiesz.

Ale była to przemijająca reakcja, jak wtedy, gdy płakałam podczas obiadu z rodzicami w Voisin, w moje dwudzieste drugie urodziny, ponieważ wiedziałam, że nigdy już nie będę naprawdę młoda. Teraz wiedziałam, że nigdy już nie będę naprawdę wolna. W obydwu przypadkach miałam rację, ale z drugiej strony czyż nie jest pocieszające, że nikt nie jest wiecznie młody i wolny? Przynajmniej „odłożyłam” utratę swojej wolności do dwudziestego

ósmego roku życia.

Kiedy zbliżał się termin rozwiązania, urządziliśmy w coś w rodzaju loterii. Za dolara ludzie proponowali imię naszego dziecka, a zwycięzca miał dostać dziesięć dolarów i pamiątkową laurkę. Prywatnie postanowiliśmy, że jeśli dziecko będzie chłopcem, damy mu na imię Nicholas i oczywiście to imię zaproponował Herb Mayes. Jego pierwszy wnuk miał także na imię Nicholas. Rzecz jasna, mogła się urodzić dziewczynka, ale miałam irracjonalne przekonanie, że to będzie chłopiec.

Byłam pełna irracjonalnych myśli: uważałam, że wyglądam wspaniale ważąc o piętnaście kilogramów więcej niż normalnie; uszyłam stroje ciążowe na zamówienie, bo wszystko to, co widziałam w sklepach, nie było wystarczająco szykowne; w końcu, kiedy byłam w ósmym miesiącu ciąży, zgłupiałam kompletnie i nakupowałam strojów na okres po porodzie. Skłoniło mnie do tego spotkanie z Patrickiem O'Higginsem, przemiłym facetem, który był prawą ręką Heleny Rubinstein. Ten superelegancki rudy Irlandczyk, który kiedyś był oficerem w Irish Guards, zapłacił swego dolara, proponując, żebyśmy dziecku dali na imię Ludwig von Krantz. „Von”, wyjaśnił, to drugie imię. Patrick często zabierał mnie na przyjęcia u p. Rubinstein, a kiedy byłam tam po raz ostatni, już w bardzo zaawansowanej ciąży, ta obwieszona klejnotami i zdumiewająca niewiasta wzięła moje dłonie i przytrzymała je przez długą chwilę, patrząc mi głęboko w oczy i nic nie mówiąc. Nie wiem, co właściwie chciała mi w ten sposób zakomunikować.

Najbardziej irracjonalną z moich myśli było przekonanie, że powinnam dowieść siły swego charakteru i odbyć poród wedle ówczesnie panującej mody, metodą znaną jako „bezbolesny poród”, wymyśloną przez dr Grantly Dicka Reeda z Anglii. Metodę tę stosowano w szpitalu Mount Sinai, gdzie postanowiłam urodzić, pomimo ostrzeżeń mego ginekologa, który mówił, że jest to doskonały szpital „szkoleniowy”, ale nie zapewnia odpowiednich wygod młodej matce. „Ale to najlepszy szpital w Nowym Jorku”, upierałam się, „a co zrobię w razie nagłego wypadku?”

Szkolenie w zakresie bezbolesnego rodzenia było w całości poświęcone oddychaniu brzuszemu, co miało odwrócić uwagę od „dyskomfortu”, ale odbywało się bez partnerów czy „instruktorów”. W owych czasach mężów w ogóle nie wpuszczano do sali porodowej; taki szalony i makabryczny pomysł nikomu nie przyszedł do głowy. Poród był aktem, w którym uczestniczyła wyłącznie kobieta i lekarz. Po co mężczyzna miałby brać udział w spektaklu, w którym jego żona znajduje się w tak mało romantycznej pozycji?

Jednak pod koniec kursu zaproszono nas wszystkich, wraz z mężami, abyśmy obejrżeli film nakręcony podczas prawdziwego porodu. Kamerę ustawiono dokładnie między szeroko rozłożonymi kolanami kobiety, z której ust ani na chwilę nie schodził uśmiech, kiedy zgrabnie rodziła ogromne dziecko. Wszyscy mężczyźni w pokoju wstrzymali oddech, a kobiety poczuły się ogromnie zakłopotane. W pewnym momencie, przed wykonaniem cięcia, lekarz zrobił pacjentce zastrzyk. Na widok tej długiej igły zrobiło mi się słabo. Spojrzałam na swoje współtowarzyszki i ich mężów. Patrzyły przed siebie kamiennym wzrokiem, wlepiając oczy w ekran. Może były w szoku albo przestały widzieć. Jeżeli one nie mdleją, to ja też nie zemdleję, pomyślałam, zaciskając głowę między kolanami i biorąc parę głębokich wdechów. Udało mi się nie zrobić z siebie widowiska.

Jednakże nalegałam, aby Hilly mnie uspił, zanim wbije mi tę igłę. „Nawet tego nie poczujesz”, zapewnił mnie, ale się uparłam.

Miałam jeszcze tylko jedno niemile przeżycie. Mniej więcej na tydzień przed urodzeniem Nicka byłam ze Stevem w kinie, kiedy nagle zdałam sobie sprawę, że to dziecko, które mnie kopie tam, od środka, ma tylko jedną drogę wyjścia. Do owej chwili zupełnie o tym nie

myślałam, pomimo filmu, który obejrzałam. *Tylko jedna droga wyjścia!* Jak, na Boga, mogłam się znaleźć w takim kłopotliwym położeniu? Dlaczego zgodziłam się na udział w tym groteskowym przedsięwzięciu? Cały ten projekt był zupełnie beznadziejny — jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć? Miałam przerażający atak paniki, coś co nie zdarzyło mi się nigdy dotąd, i wyciągnęłam Steve'a z kina, żeby kupić sobie lody brzoskwiniowe, jedyny dostępny lek, ponieważ od chwili zajścia w ciążę nie mogłam znieść nawet zapachu alkoholu.

Pracowałam aż do dwóch dni przed datą spodziewanego porodu, która przypadała piątego października. Pewnego dnia gadałam z przyjaciółką, która była w równie zaawansowanej ciąży, stojąc w korytarzu *Good Housekeeping*, kiedy natknął się na mnie Herb Mayes. Zatrzymał się i popatrzył na nas obie z najwyższym niesmakiem. „Jeśli jeszcze kiedyś zobaczę was razem, wyrzucę was obie!” krzyknął i oddalił się — I zdarzyło się to w redakcji magazynu, na którego okładce zawsze widniała uśmiechnięta twarz dziecka. Od tego czasu spotykałyśmy się w toalecie, jedynym bezpiecznym miejscu, jakie nam przyszło do głowy.

Chociaż moja ciąża przebiegała bez żadnych zakłóceń i tylko raz miałam atak paniki związany z samym porodem, w mojej podświadomości musiały drzemać jakieś mroczne myśli. Pewnej nocy, na krótko przed urodzeniem Nicka, wzięłam pieczołowicie przechowywane stare listy miłosne, z których zachowałam tylko te, które zawierały propozycje małżeńskie, i zniszczyłam je co do jednego. Co będzie, jeśli umrę przy porodzie, pomyślałam w chwili szaleństwa. Co będzie, jeśli jedyną rzeczą, jaka po mnie pozostanie, będą te listy od innych mężczyzn? O ileż gorzej musiałyby się czuć Steve po mojej utracie, gdyby przeczytał te listy, schowane w moim biurku. Dziś oczywiście żałuję tego, co wtedy zrobiłam, ale śmierć Melanie w powieści *Przeminęło z wiatrem* wywarła na mnie większy wpływ niż byłam skłonna przyznać.

Moja matka była na seminarium w Aspen i zamierzała wrócić dopiero kilka dni po dacie spodziewanego porodu. Zatelefonowałam do niej i poprosiłam, żeby wróciła wcześniej. „Dlaczego?” spytała zdumiona. „W jaki sposób mogę ci pomóc? Przecież nie jestem lekarzem.” Pełna zakłopotania, że pragnę jej wsparcia, choćby i niewidocznego i zdecydowana, powiedziałam, że jej potrzebuję i w końcu zgodziła się wrócić wcześniej. Nienaturalne? Tak, ale bardzo charakterystyczne dla Mickey Tarcher.

Parę dni przed terminem porodu, zgodnie z instrukcjami, między materacem a normalnym prześcieradłem położyłam prześcieradło gumowe. W nocy piątego października obudziłam się na wyraźny odgłos jakby pęknięcia, który odezwał się w mojej głowie. Właśnie odeszły wody płodowe. Zadowolona stwierdziłam, że oto znów jestem punktualna. Zawinęłam się w trzy ręczniki kąpielowe i zapadałam w sen pomiędzy powtarzającymi się skurczami. Kiedy odstęp pomiędzy nimi zmalał do około piętnastu minut, obudziłam Steve'a. Zadzwoniliśmy do Hilly, który powiedział, że jest jeszcze za wcześnie, żeby jechać do szpitala. Położyłam się więc z powrotem do łóżka, budząc się tylko podczas skurczów, a kiedy zaczęły się powtarzać co około dziesięć minut, ubraliśmy się, wezwaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do Mount Sinai, gdzie stał już zaparkowany mały czerwony kabriolet mego lekarza. Steve'owi powiedziano, żeby poczekał w hallu, gdzie wkrótce ktoś mu wręczył małą, żałośnie wyglądającą papierową torbę z moim ubraniem.

W międzyczasie naprawdę miło spędzałam czas w sali porodowej. Chyba nigdy jeszcze nie czułam się tak wspaniale. Oddychanie odbywało się bez problemów, a kiedy weszło słońce, przyleciała do mnie biedronka, której jakoś udało się dostać do klimatyzowanego szpitala miejskiego... kolejny nieoczekiwany dobry znak, jak ów mały chłopiec, sprzedający szarotki na górskiej przełęczy. Podtrzymywało mnie na duchu triumfalne uczucie panowania nad skurczami i cieszyłam się wizytą każdej pielęgniarki, która przychodziła, żeby zobaczyć jak mi idzie. Po sześciu godzinach, które minęły jak z bicia trząśł i prawie bez żadnych przykrości, z wyjątkiem

naprawdę paskudnych ostatnich trzydziestu minut, podano mi eter, a kiedy obudziłam się parę minut później, zobaczyłam Nicholasa, już umytego i w doskonałej kondycji, z uroczą, spiczastą główką.

Nick urodził się zbyt szybko, jak na ówczesne standardy i przeniesiono mnie do prywatnego pokoju, gdzie gwałtownie zwymiotowałam po zupełnie niepotrzebnej narkozie, przy której się uparłam. Zebrani w pokoju obok świętowali uroczystość obrzezania, z którą wiązało się sporo zgiełku i obezwładniający zapach pastrami, który w innych okolicznościach wydawałby mi się smakowity. Kiedy powiedziałam pielęgniarce jak się czuję, odparła lakonicznie, „Wszystko jest w porządku, po prostu urodziła pani dziecko.”

Hilly Dubrow miał rację: Mount Sinai nie był dobrym miejscem dla młodej matki. Kiedy w dwa lata i dziewięć miesięcy później rodziłam Tony’ego, poszłam do Doctors Hospital, miłego wiejskiego domu z doskonałym wyżywieniem i przyjaźnie nastawionymi pielęgniarkami. Tony urodził się błyskawicznie, w ciągu zaledwie pół godziny, nawet nie dając mi czasu na kontrolę oddychania; ledwie zdążyli mnie przenieść na salę porodową. Próbowałam przekonać pielęgniarki, żeby obudziły Hilly’ego z drzemki, krzycząc, „Dajcie tu zaraz tego zasranego dupka! Przysięgam na rany Chrystusa, że zaraz urodzę to pieprzone dziecko!” Chciałabym wierzyć, że był to przełom w normalnej procedurze, ale jestem pewna, że w tych okolicznościach zachowałam się jak każda inna porządna dziewczyna.

Rozdział dwudziesty piąty

Po urodzeniu Nicka wzięłam cztery miesiące urlopu macierzyńskiego. Ponad rok wcześniej przeniesiono mnie z działu mody na stanowisko osobistej asystentki Herba Mayesa d/s asortymentu, ale moja pensja *nadal* wynosiła siedemdziesiąt dolarów tygodniowo. W dalszym ciągu pisałam artykuły dla magazynu i chociaż dysponowałam teraz prawdziwym doświadczeniem w tej dziedzinie, dostawałam za to mniej więcej jedną trzecią tego, co dostałby ktoś z zewnątrz za wykonanie takiej samej pracy; ewidentna niesprawiedliwość, od której nie było odwołania. Moja nowa praca wymagała ciągłego dopływu nowych pomysłów, co często nie było łatwe, ale jakoś dawałam sobie radę, wykorzystując wiele pomysłów, które teraz wywołują we mnie uśmiech niedowierzania, ponieważ tak bardzo wyprzedzały swoje czasy, że wyglądały na żart. Przykładami mogą być artykuł na temat nikomu nieznanego p. Kennedy, która jako żona senatora jeszcze nie przeniosła się do Waszyngtonu, oraz na temat Woody Allena, który właśnie zdobywał popularność jako komik.

Herbert przeniósł mnie z jednego działu do drugiego, bo najwyraźniej miał wobec mnie jakieś plany na przyszłość, chociaż nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Myślałam, że jako mój mentor uważał, że ostatecznie będę redagować magazyn, a ja myślałam podobnie. Do dziś dnia jestem zdania, że byłaby to dla mnie odpowiednia praca. Cały *Good Housekeeping* to było moje podwórko: opracowywałam pomysły dla testowej kuchni, salonu piękności, działu podróży, działu dekoracji i wszystkich innych działów, które wydawały się warte poznania. Byłam osobą jakby stworzoną do pracy w magazynie i nawet teraz czytam ich tyle ile się da, często widząc swoje własne pomysły w nowej szacie i czując zazdrość, że obecnie redaktorzy cieszą się znacznie większą swobodą niż niegdyś, jeśli chodzi o sprawy seksu.

Miałam z Herbertem umowę, że po powrocie z urlopu macierzyńskiego będę pracować tylko przez pół dnia. Przyjęłam na stałe gosposię imieniem Rose, która była uciekinierką z Węgier. Rose, której jedyną wadą było to, że wszystko „przyprawiała” śmietaną, była prawdziwie dobrą duszą, która potrafiła doskonale zaopiekować się Nickiem rano kiedy nie było mnie w domu.

Ten idealny układ trwał tydzień. Pod koniec tygodnia Herbert wezwał mnie do biura i wyjaśnił, że wszystkie inne matki zatrudnione w magazynie zapragnęły pracy na pół etatu.

„Rozumiem”, powiedziałam. „Nie mam im tego za złe. Obawiam się więc, że będę musiała odejść.”

„Odejść?! Nonsens! Musisz wrócić do pracy na pełnym etacie.”

„Na pełnym etacie? I opiekunka miałaby wychowywać Nicka zamiast mnie? Nie, Herb, to nie wchodzi w rachubę, to niemożliwe.”

„Popelniasz największy błąd w życiu”, odparł.

„Nie sądzę”, powiedziałam spokojnie, zabierając się do odejścia.

Rzucił mi piorunujące spojrzenie i kiedy wychodziłam z jego pokoju, krzyknął za mną okropnym głosem, „Niech ci się nie zdaje, że potrafisz dobrze pisać!”

Był to przejaw tej strony Herba Mayesa, którą wszyscy znali, a z którą ja wówczas zetknęłam się po raz pierwszy. Było to dla mnie na tyle bolesne, że nie odezwałam się do niego ani słowem przez następne pięć lat. Przez minione dziewięć lat regularnie drukował moje artykuły, ale kiedy odważyłam się postawić dobro mego dziecka przed jego ukochanym magazynem, uderzył tam, gdzie jak wiedział zaboli mnie najbardziej.

* * *

Mniej więcej na tydzień przed urodzeniem Nicka, Steve przeszedł z NBC do Columbia Pictures Television, gdzie został szefem działu rozwoju. Postanowił przyjąć tę nową pracę, ponieważ uważał, że przyszłość telewizji leży nie w przekazach na żywo lecz w filmach.

Zatrudniłam swego pierwszego agenta, dobrze znanego i szanowanego Harolda Matsona, który niebawem zaczął mi dostarczać zamówienia z innych magazynów, chociaż nie było to nic wielkiego. Byłam bardziej zafascynowana Nickiem niż mogłam sobie wyobrazić i po raz pierwszy w życiu praca wydawała mi się bez znaczenia. Jak w przypadku większości matek, dziecko stało się moją pasją. Stanowiłam klasyczny przypadek. Oczywiście nie było nic wspanialszego niż moje dziecko... i naprawdę nie było. W międzyczasie Steve pracował nad wieloma cieszącymi się powodzeniem serialami, takimi jak *Hazel* i *Dennis the Menace*. Lata spędzaliśmy w Connemara, żeby uchronić Nicka przed upałami wielkiego miasta i stamtąd Steve dojeżdżał do pracy. W jesienne i zimowe weekendy wszędzie zabieraliśmy Nicka ze sobą, spacerując po Madison Avenue, zaglądając w każdą sobotę do galerii sztuki i na koniec lądując u P. J. Clarke'a, gdzie Nick siedział w swojej spacerówce i popijał sok pomidorowy. Dwa lata później znowu byłam w ciąży.

I znów musieliśmy się przeprowadzić do większego mieszkania. Rozglądaliśmy się po całym East Side, próbując znaleźć coś, na co nas będzie stać, ale moje przeznaczenie, które pozwoliło mi na spędzenie dwóch krótkich lat w tej dzielnicy, wzywało mnie z powrotem do Central Park West, mimo że starałam się przed tym bronić.

Znaleźliśmy dwunastopokojowe mieszkanie przy Central Park West 135 w starym, sławnym budynku, zwanym Langham Mansions, który znajdował się między dwiema przecznicami, ponurą Dakota, gdzie później zamieszkał i zginął John Lennon, a luksusową San Remo. Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze; oszklone drzwi zamiast okien w salonie i głównej sypialni wychodziły na Zachodnią Siedemdziesiątą Czwartą ulicę. Numer 135 był domem z teatralną przeszłością; wśród jego dawnych lokatorów byli Lee i Paula Strasberg z Actors Studio, brytyjski aktor Cyril Richard, Basil Rathbone i Merv Griffin. Mieszkanie miało „ustabilizowany czynsz”, co oznaczało, że jego właściciele, trzej Irańczycy, przy podpisywaniu nowej umowy najmu mogli podnieść czynsz tylko o piętnaście procent. Wynajęliśmy je za niecałe czterysta dolarów miesięcznie, w stanie „as is”.

I to okazało się pułapką. Przez ostatnie trzydzieści lat to ogromne mieszkanie wynajmował samotny mężczyzna, który zajmował się odnawianiem starych obrazów. Ten pustelnik miał obrzydliwe zwyczaje i zostawił mieszkanie w opłakanym stanie. Podłogi były pokryte zaschniętą farbą, kuchnia pamiętała czasy przed moim przyjściem na świat, a kiedy wezwałam miejskiego inspektora elektrycznego, stwierdził naruszenie przepisów przeciwpożarowych w 203 miejscach.

Mieliśmy dokładnie piętnaście tysięcy dolarów przeznaczone na odnowienie i urządzenie nowego mieszkania, co w 1958 roku było sporą sumą. Zniechęcona rozmiarami stojącego przed nami zadania, posłam do Yale'a Burge'a, dekoratora wnętrz, którego podziwiałam i który urządzał mieszkania w stylu rustykalnym. Delikatnie mi wyjaśnił, że za tę sumę może zrobić dwa pokoje. „Potem, kiedy zdobędzie pani więcej pieniędzy, podejmiemy na nowo pracę i doprowadzimy rzecz do końca”, powiedział, nie zdając sobie sprawy ze stanu mieszkania albo ze stanu mojej macicy.

Musiałam radzić sobie sama, ale starsza siostra Steve'a, Sunny, która była dekoratorką, zgodziła się użyczyć mi swojej karty, której mogłam użyć w hurtowniach, skupionych wokół budynku D&D. Nie miałam żadnego doświadczenia w urządzaniu mieszkania, jeśli nie liczyć niewielkich przeróbek w mieszkaniu przy Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, ale po dokonaniu

niezbędnych napraw instalacji elektrycznej oraz uruchomieniu kuchni i pralni, doszłam do wniosku, że nie mam innego wyjścia, jak zakasać rękawy i zabrać się do roboty.

Odwiedziłam wszystkie hurtownie i w końcu znalazłam takie tkaniny i tapety, jakie mi odpowiadały. Zmieniliśmy obicia mebli przywiezionych z Pięćdziesiątej Siódmej ulicy i za radą Sunny zamówiłam nową kanapę i krzesła do biblioteki. Na własną rękę znalazłam antyki, a także rozmaite drobiazgi i dywaniki, wszystko po okazyjnej cenie. Ilekroć odwiedzałam mieszkanie, żeby popatrzeć, jak się posuwa praca przy odnawianiu, musiałam skracać czas swoich wizyt, bo zapach farb przyprawiał mnie o mdłości, ale mieszkanie było prawie gotowe w piątą rocznicę naszego ślubu, która przypadała 19 lutego 1959 roku.

Ponieważ biblioteka była wciąż pusta, wynajęliśmy zespół muzyków i zaprosiliśmy sto pięćdziesiąt osób; tańczyliśmy do późna, a potem podaliśmy kolację przy tym długim stole w salonie. Był to początek szóstego miesiąca ciąży i cieszyłam się w pełni swoim cudownym życiem.

Ojciec odwiedził nas, żeby zobaczyć mieszkanie i wygłosił uwagę, „To najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałem”, co było w jego ustach rzadkim komplementem, który pamiętam do dziś.

Tony urodził się 16 czerwca 1959 roku. Wtedy odkryłam, że posiadanie dwojga dzieci to nie to samo, co jedno dziecko plus drugie dziecko, ale coś jakby sześcioro czy siedmioro dzieci naraz. Jednak podchodziłam do tego ze spokojem, ponieważ wiadro z pieluszkami stało w łazience Steve’a, a nie mojej. Tak, tak, czytelniku, jeszcze nie wynaleziono pieluszek jednorazowego użytku.

W niecały rok później Steve pewnego dnia oznajmił, że natychmiast na nieokreślony czas musimy się przenieść do Toronto. Pomimo wrażenia, jakie musieliście odnieść czytając tę książkę, tak naprawdę nie jestem osobą łatwo ulegającą rozpacz, chyba że w zupełnie ekstremalnych okolicznościach. Ale Toronto stanowiło taką właśnie okoliczność. Nie mogłam uwierzyć, że po urodzeniu drugiego dziecka i zadomowieniu się we wspaniałym mieszkaniu, znajdziemy się na wygnaniu w Kanadzie. Ale kanadyjska filia Columbia Television była w rozsypce i Steve miał zorganizować zaplecze produkcyjne i pokierować działem dystrybucji.

Ze smutkiem oddaliśmy nasze mieszkanie do wynajęcia, a sami wynajęliśmy na lato dom na północ od Toronto. Było tam gorąco jak w piekle, gorzej niż w Connecticut. Tam też odkryłam, że najlepszym miejscem, gdzie można zabrać dzieci po południu, jest miejscowy klimatyzowany supermarket, Loblaws, gdzie mogły siedzieć na podłodze, oglądać komiksy i rozmazywać lody po swoich słodkich buziach. Nic dziwnego, że nie chciałam wyjść za mąż, myślałam sobie, patrząc na to wszystko.

Sytuacja poprawiła się na jesieni, kiedy przeprowadziliśmy się do innego domu w Rosedale, na przedmieściach Toronto. Zatrudniłam niańkę i gosposię i dzięki pośrednictwu Harolda Matsona zostałam przedstawiona Kenowi Lefoli, redaktorowi naczelnemu *Maclean's*, ogólnokrajowego kanadyjskiego magazynu, będącego jakby skrzyżowaniem *Life* i *Saturday Evening Post*.

Zostałam zaproszona na spotkanie. Ken był poważnym, nieco złowrogim, ale przystojnym mężczyzną po trzydziestce, grubą rybą w branży i absolutnie nie miał zamiaru zatrudniać Amerykanki, która miałaby dla niego pisać. Kanadyjczycy byli — i nadal są — bardzo czuli na punkcie dominacji kultury amerykańskiej, zwłaszcza amerykańskich filmów, magazynów i telewizji, a ja w jakiś sposób reprezentowałam je wszystkie.

Jednak zaproponował mi napisanie artykułu, który — jak się spodziewał — natychmiast odrzucę. Jego tematem był „Problem hałasu w Kanadzie”.

Mruknęłam skromnie, że spróbuję i po paru tygodniach, w ciągu których stałam się ekspertem

od liczby decybeli w Toronto na każdym dużym skrzyżowaniu i po odbyciu rozmów z wieloma kanadyjskimi specjalistami d/s hałasu, dostarczyłam mu zgryźliwy, zabawny artykuł, który oznajmiał światu, że — co za cud! — problem hałasu w Kanadzie nie istnieje.

Lefoli i życzliwy Peter Czowski, polski hrabia oraz jego zastępca, poddali się i zaczęli mi zlecać kolejne zadania. Zanim wyjechałam z Kanady, zaproponowano mi stanowisko redaktora pomocniczego magazynu, co było zaszczytem, jakiego nie dostał dotąd żaden Amerykanin i żadna kobieta.

Pośród pracy i naszych nowych przyjaciół, coraz bardziej przyzwyczajaliśmy się do Toronto, które wtedy było starym, nudnym miastem, z purytańskimi przepisami; kina w niedziele zamknięte, żadnych interesujących okolic, nieciekawe wybrzeże, żadnych sklepów z alkoholem, z wyjątkiem państwowych, w których trzeba było okazać pozwolenie na kupno butelki. Nie było tam naprawdę nic ciekawego, dopóki Eddie Creed, który prowadził najlepszy w mieście sklep z odzieżą i Isadore Sharp nie postawili sporego motelu nazwanego Cztery Pory Roku, który niebawem zaczął przyciągać tłumy ludzi.

U Creeda zaopatrywałam się w ubrania i wkrótce Eddie zaproponował mi, żebym została kierowniczką działu *public relations* w Czterech Porach Roku. Natychmiast odrzuciłam tę propozycję, bo motel miał opinię miejsca, do którego wpada się na chwilę, żeby coś przekąsić. Motel ten był pierwszym ogniwem ogromnego łańcucha moteli tego rodzaju. Czy tę decyzję należy umieścić pod nagłówkiem niezrealizowane projekty, stracone okazje czy rzeczy, których nigdy nie będę potrafiła? Prawdopodobnie pod wszystkimi z nich.

Steve zatrudnił prywatnego nauczyciela, który dawał mu codziennie lekcje języka francuskiego, co otworzyło mu drogę do telewizji w Montrealu, a co inaczej nie byłoby możliwe. Praktycznie wszyscy biznesmeni w Ontario oczekiwali, że francuskojęzyczny biznesmen z Montrealu powinien znać angielski, więc Steve trafił w dziesiątkę. Ja byłam mniej szczęśliwa, z moim francuskim z Paryża. Dla nich zalatywał straszliwym snobizmem. Często jeździliśmy do Montrealu na weekendy, bo był stokroć bardziej interesujący niż Toronto. Raz pojechaliśmy nawet do Buffalo.

Kiedy już się naprawdę zadomowiliśmy w Toronto, nawiązawszy wiele interesujących znajomości wśród uchodźców z Węgier, Steve dostał polecenie powrotu do Nowego Jorku, żeby objąć kierownictwo działu międzynarodowej produkcji i dystrybucji w Columbia Television. Nasze wygnanie trwało ogółem półtora roku.

Wróciłam z zamówieniem napisania ostatniego artykułu dla *Maclean's* na temat nowego odkrycia, Roberta Gouleta, który wówczas grał sir Lancelota w musicalu *Camelot*. Widziałam znakomite przedstawienie tego musicalu z Richardem Burtonem i Julie Andrews przynajmniej z dziesięć razy, i to zarówno będąc na widowni jak i za kulisami. Nadal czasami słucham taśmy z nagraniem tego przedstawienia. Tak właśnie wyobrażam sobie prawdziwy musical i nie obchodzi mnie, że to świadczy o tym ile mam lat!

Toronto w 1961 roku to nie był Camelot. Ale bądźmy realistami: przy naszej obecnej wiedzy, podejrzewam, że nawet Camelot — Camelot króla Artura — nie był prawdziwym Camelotem.

W tych przedfeministycznych czasach bezwiednie znalazłam sposób, żeby mieć wszystko: wychowywać dzieci i pracować na pół etatu i to na moich warunkach. Oczywiście było to możliwe tylko dlatego, że nie byłam związana godzinami biurowymi, dzięki pomocy i wsparciu mego męża, który pokrywał koszty utrzymania, co zapewniało mi swobodę. Wątpię, czy wówczas zdawałam sobie sprawę, jak bardzo dopisało mi szczęście.

Rozdział dwudziesty szósty

Kiedy wróciliśmy do naszego nowojorskiego mieszkania, Steve zaczął często wyjeżdżać, czego wymagała jego nowa praca. Columbia miała filie na całym świecie, od Tokio do Sao Paulo i Steve musiał bywać we wszystkich tych miejscach; wydawało mi się, że niekiedy jednocześnie. Był niewiarygodnie energiczny, pełen ambicji i determinacji, ale pamiętam aż nadto dobrze, jak się czułam pozostając z dziećmi w domu, kiedy znikał na sześć tygodni, po czym pojawiał się i niebawem wyjeżdżał znowu. Z pewnością był poza domem więcej niż przez połowę każdego roku.

Kiedyś napisałam artykuł na temat żon podróżujących sprzedawców, które należały do najbardziej nieszczęśliwych kobiet, z jakimi kiedykolwiek rozmawiałam. Teraz przekonałam się o tym na własnej skórze. Nie tylko bardzo za Steve'm tęskniłam, ale czułam, że chłopcy też na tym cierpią, niezależnie od tego czy zdają sobie z tego sprawę czy nie; brakowało im ojca, który powinien każdego wieczoru wracać do domu. Nie wiedziałam, jak mam go zastąpić; nie chciałam też, żeby dzieci zastępowały mi męża. Bałam się, że mogę stać się matką, która od dzieci oczekuje potrzebnego jej uczucia. Czasami musiałam się powstrzymać przed prowadzeniem długich, jednostronnych rozmów z Nickiem, których z pewnością nie rozumiał, dzieląc się z nim swoim smutkiem. Często uraza spowodowana nieobecnością Steve'a powodowała, że witałam go gniewnie, co wkrótce prowadziło do otwartej kłótni, bo i on był bardzo zdenerwowany samotnością jakiej doświadczał podczas swych zagranicznych wypraw.

W tym czasie zatrudniłam Lori, młodą szwajcarską sekretarkę, która przyjechała do Stanów Zjednoczonych, żeby podszlifować swój angielski. Zamieszkała u nas i pomagała mi przy chłopcach. Prała ich rzeczy i zabierała ich na pobliski plac zabaw, czego ja osobiście szczerze nienawidziłam. Nick poszedł do przedszkola, kiedy miał trzy lata, a Tony, jeszcze mały brzdąc, wciąż pozostawał w domu.

Pewnego dnia, zupełnie nieoczekiwanie, Herbert Mayes zadzwonił do Steve'a, żeby zapytać, czy miałabym ochotę pisać artykuły do *McCall 5*, gdzie redaktorem wykonawczym był John Mack Carter. „Dlaczego Herb nie zapytał mnie wprost?” spytałam złośliwie, kiedy Steve mi o tym powiedział.

Wkrótce zadzwonił John Mack Carter. „Gdzieś słyszałem o tobie”, powiedział tonem, jakim się opowiada dowcipy w męskiej toalecie. „Czy mogłabyś się ze mną spotkać?” Zgodziłam się. Wiedziałam, że w 1958 roku Hearst nagle wyrzucił z pracy Herberta, z powodu błahej różnicy zdań z nowym kierownictwem, po tych wszystkich wspaniałych latach, które Herbert przepracował dla *Good Housekeeping*. Natychmiast porwała go redakcja *Mc Call's*, magazynu, którego właścicielem był Norton Simon. Prawie z dnia na dzień Herbert zrobił z tego magazynu najwspanialszy magazyn dla kobiet, jaki kiedykolwiek istniał. Teraz był dyrektorem naczelnym ogromnej korporacji McCalla i niechętnie przekazał Johnowi swoje redakcyjne obowiązki.

Podczas pierwszej wizyty u kędzierzawego Johna Mack Cartera, na którego twarzy zawsze gościł szeroki uśmiech i o którym Herbert w swoich pamiętnikach pisze „karmiony kaszą zarozumialec z Kentucky”, postanowiłam dać mu do zrozumienia, że nie urodziłam się wczoraj.

„Ja wiem i wiem, że ty także wiesz, że gdyby nie Herb Mayes, nie zadzwoniłbyś do mnie, więc nie udawajmy, że gdzieś słyszałeś o mnie”, oświadczyłam, gotowa do walki. Wyglądał na zaskoczonego, kiedy próbował wciąż od nowa zapalić fajkę, co było jego ulubionym sposobem, żeby zyskać na czasie. Jak często potężny redaktor wysokonakładowe — go magazynu zaprasza na spotkanie wolnego strzelca?

Pod koniec pierwszej godziny uzgodniliśmy, że zacznę dla niego pracować mniej więcej na tych samych zasadach jak pracowałam dla Herberta, wymyślając tematy i pisząc na te z nich, które mi odpowiadały. Podczas tego spotkania popełniłam jeden błąd: zdradziłam Johnowi, że kiedy pracowałam w *Good Housekeeping*, co miesiąc podrzucałam koło tuzina pomysłów, a nie powinnam była w żadnym razie podawać takiej liczby. Dwanaście świeżych pomysłów na miesiąc to było o wiele za dużo, a teraz musiałam je znaleźć.

Jednak pracowałam w domu, co miało zasadnicze znaczenie, biorąc pod uwagę, że chciałam spędzać jak najwięcej czasu z dziećmi. Zresztą do dziś dnia pracuję w domu. Postanowiłam także zwolnić mego agenta, ponieważ miałam już nie pisać dla innych magazynów. Nigdy tego nie żałowałam, ponieważ, w przeciwieństwie do Herberta, John zgadzał się płacić mi tak samo jak innym autorom. Chociaż zawsze pracowałam jako wolny strzelec i nigdy nie miałam stałego kontraktu, wołałam pisać dla jednego magazynu i kontaktować się bezpośrednio z redaktorem naczelnym. To dawało mi swobodę, jakiej potrzebowałam, jak również możliwość bezpośredniego kontaktu, do czego przywykłam, kiedy pracowałam dla Herberta.

Przez następne pięć lat pracowałam dla Johna w *McCall s*, a kiedy został redaktorem naczelnym *Ladies' Home Journal*, podążyłam za nim, ponieważ polubiłam jego samego i nasze przyjacielskie potyczki.

W ciągu miesiąca napisałam dwa artykuły dla *McCall s*, z których jeden wydrukowano w głównej części magazynu a jeden w części Metro, gdzie umieszczano artykuły na temat Nowego Jorku. Dumna z tego osiągnięcia, zadzwoniłam do matki, żeby jej powiedzieć, aby kupiła numer tego magazynu. Minął miesiąc, a ona jeszcze tego nie zrobiła. Zatelefonowałam i spytałam dlaczego. „Po prostu nigdy nie przechodzę koło budki z gazetami”, odpowiedziała kobieta, która codziennie dojeżdżała do pracy metrem, nieustannie mijając liczne budki. Odwiesiłam słuchawkę i gorzko zapłakałam nad jej brakiem zainteresowania. Przysięgłam Steve'owi, że już jej nigdy o to nie poproszę.

Mimi jako matka dwóch wyjątkowo ładnych i bystrych córek, które ukończyły Harvard, Alizy i Susanny, mówi, że jest to przykład swego rodzaju zazdrości, na który cierpią wszystkie matki, kiedy ich córki dorastają. „To nieprzyjemny moment, kiedy wchodzisz do pokoju i nikt cię nie zauważa, z wyjątkiem własnej córki”, mówi Mimi, „a jeszcze trudniej jest widzieć jak się cieszą swoją młodością i swymi osiągnięciami, kiedy na ciebie nikt nie zwraca uwagi, a ty się starzejesz. Jednak trzeba się po prostu z tym pogodzić.” Matka nigdy tego nie potrafiła — może dlatego, że nigdy nie korzystała z dobrodziejstw psychoanalizy.

W 1962 roku jadłam obiad sam na sam z matką. Steve był jak zwykle poza miastem, a po śmierci mego ojca, ulegając moim perswazjom, matka przeprowadziła się z niebezpiecznej Greenwich Village do mieszkania na Pięćdziesiątej Ósmej ulicy przy Park Avenue, do budynku, w którym aż roilo się od portierów i ochroniarzy, gdzie odtworzyła atmosferę mieszkania na St. Urban. Kiedy byliśmy w połowie obiadu, Mimi zadzwoniła z Kalifornii, gdzie czekała do piątej po południu czasu Los Angeles, żeby powiedzieć matce, że tego ranka poprosiła Davida o rozwód. „To takie dla ciebie typowe ten telefon o tak późnej porze”, powiedziała rozgniewana matka. „Powinnaś była wiedzieć, że zepsujesz mi obiad.”

Posługiwała się słowami w sposób wyjątkowy. Jeśli chodzi o uczucia... brak mi słów. Kiedy myślę, w jaki sposób ja, podobnie jak inne kobiety, interesuję się wydarzeniami z życia swoich dzieci, po prostu nie potrafię zrozumieć tej strony charakteru mojej matki i już dawno przestałam próbować.

Następnego dnia polecałam do Kalifornii, żeby przez parę dni pobyc z Mimi i zobaczyć, czy mogę jej jakoś pomóc. Ona i David, jak to mówią ludzie chcący ukryć prawdziwe przyczyny, „oddalili się od siebie”, ale rozwód dostali dopiero w dwa lata później. Kilka lat potem Mimi

wyszła za cudownego człowieka, nazwiskiem Jacques Brien, który był francusko — kanadyjskim katolikiem i owym rzadkim typem lekarza, łączącym klasyczną medycynę z freudowską psychoanalizą. Kościół kierował do niego wielu hierarchów, którzy przeżywali kryzys z powodu rozmaitych problemów psychologicznych, a znacznie częściej romantycznych.

* * *

Podczas owych dwunastu lat, kiedy my i matka mieszkaliśmy po przeciwnych stronach Central Parku, prawie zawsze zapraszałam ją w niedzielę na lunch, i na obiad w jakiś inny dzień tygodnia. Nawet interesowała się chłopcami, zwłaszcza Nickiem, który był starszy i w tym okresie bardziej otwarty niż Tony, a kiedy Steve'a i mnie nie było w mieście, czasami zapraszała ich do siebie na obiad, ale oczywiście nie była normalną babką, która ma bzika na punkcie wnuków.

Kiedyś, gdy chłopcy byli jeszcze bardzo mali i obaj naraz przechodzili krupa, zatelefonowała do mnie i zapytała nad czym obecnie pracuję. Kiedy powiedziałam, że nie pracuję, ponieważ opiekuję się chorymi dziećmi, parsknęła, „A gdzie twoje poczucie własnej godności?”

Nawet dziś, po upływie trzydziestu pięciu lat, uważam to za wyjątkowo bezduszne, zwłaszcza, że dotyczyło to jej własnych wnuków. Właściwie jest to wręcz nienormalne. Ale to ujawnia, jaką matką była — czy raczej nie była — podczas tych lat, których nie pamiętam. Oczywiście myślała, że chłopcy powinni być pod opieką niańki, a ja powinnam pracować, tak jak ona, kiedy jej własne dzieci były chore. Interesowała się głównie wnuczkami: Alizą i Susanną, które mieszkały w Kalifornii, a jeszcze bardziej córką Jeremy'ego i Shari, Mallory, która mieszkała w Nowym Jorku.

Shari Lewis, żona Jeremy'ego, była jedynym członkiem naszej rodziny, któremu matka rzeczywiście okazywała szacunek. Ilekroć rozmawiałam z nią przez telefon, najpierw musiałam wysłuchać ostatnich wiadomości na temat Shari i jej osiągnięć. Lubiłam Shari i cieszyłam się z jej sukcesów i nigdy nie pamiętam, żebym z jej powodu odczuwała zazdrość. Shari była fenomenem obdarzonym nadzwyczajnymi zdolnościami, których nie posiadałam; nie miałam też takich aspiracji. Jak mogłabym być zazdrosna o kobietę, która przez całe życie pracowała tak ciężko, znacznie ciężej niż ja kiedykolwiek chciałabym pracować? Jak mogłabym być zazdrosna o kogoś, kogo podziwiałam z całego serca? Shari była cudowną, kochającą bratową, którą darzyłam wielkim uczuciem i z którą często zaśmiewaliśmy się do łez; zmarła przedwcześnie w sierpniu 1998 roku. Wysłała mnie nawet do swego nauczyciela śpiewu, Stormy Saksa, który zdołał nauczyć mnie śpiewać pierwszą linijkę „Happy Birthday”, tak abym się więcej nie kompromitowała podczas przyjęć urodzinowych. Po lekcji, powiedział mi, że „dysponuję odpowiednim instrumentem, ale nawet gdyby był wyćwiczony, nie można by stwierdzić, czy brzmiałby mile dla ucha.” Wzięłam to sobie do serca i nie mówmy już o tym więcej.

Teraz Mallory, która jest błyskotliwą, piękną i seksowną kobietą, a jej osobowość stanowi połączenie wszystkich cech charakteru Shari i Jeremy'ego, dynamizmu i wewnętrznego ciepła — nie, nie jestem stronnica, tylko spostrzegawcza — jest żoną wspaniałego człowieka, Brada Hooda i ma synka, imieniem James Abraham Tarcher Hood. Byłaby absolutnie doskonała, gdyby jej ulubionym sportem nie były skoki z opóźnionym otwarciem spadochronu. Tak bardzo przypomina córkę, której nigdy nie miałam, jak to tylko możliwe, a może nawet bardziej, bo nie musiałam z nią mieć do czynienia jako matka. Jestem jej ogromnie wdzięczna, że wypełnia w moim życiu lukę, którą tylko córka może wypełnić.

Jednak jest mi ogromnie przykro, że przez te wszystkie lata, kiedy matka znała Steve'a, aż do jej śmierci w wieku lat osiemdziesięciu, nigdy nawet nie starała się dostrzec jego wielkich zalet,

polubić jego poczucia humoru czy choćby złożyć mu podziękowania, na które niewątpliwie zasłużył, za troskliwość, okazywaną jej córce i wnukom. Albo za jego cierpliwość!

Ale Steve nie zajmował wyróżnionej pozycji. Dlaczego miałyby traktować swego zięcia lepiej niż traktowała własnego syna?

Shari z pewnością wiedziała, jak dotrzeć do mojej matki, czego żadne z jej dzieci nigdy nie zdołało uczynić. Kiedy matka skrytykowała Shari za źle powieszony obraz podczas pierwszej wizyty w ich nowym mieszkaniu, Shari nie zaprosiła jej drugi raz przez cały rok. Tak twarde podejście było jedyną skuteczną metodą, ale w naszym przypadku było to zupełnie niemożliwe.

Nasza trójka nigdy się nie zniechęciła do prób zdobycia sympatii matki, która powinna być dla nas bardziej matczyzna, ale w jej naturze nie leżało to, co nazywamy uczuciami macierzyńskimi. Na przykład, nie podobna sobie wyobrazić, że mówi coś w rodzaju „Wyglądasz na zmartwioną, może mogę ci jakoś pomóc.” A mimo to przez ponad trzydzieści lat chętnie udzielała pomocy i dodawała otuchy biednym nieznanym, którzy mieli kłopoty natury prawnej. Prawdziwa zagadka.

Niemniej jednak matka dawała z siebie wszystko w takim zakresie, w jakim potrafiła. Rozumiem, choć to niełatwe, że jej trudne dzieciństwo i konieczność utrzymywania młodszego rodzeństwa nie nauczyły jej, co matka a teraz babka powinna czuć do swych dzieci i wnuków. Inne kobiety pochodzące z tego samego środowiska potrafią okazywać macierzyńskie uczucia. Jednak od nikogo nie można oczekiwać, żeby dokonał więcej niż ona była w stanie dokonać. Moja matka to była Mickey Tarcher i to, samo w sobie, czyniło z niej zdumiewającą kobietę. Koniec, kropka.

Dla mnie, pisarki, jest rzeczą fascynującą prześledzić, jak bardzo stosunek do matki wpłynął na moją pracę. W dziesięciu powieściach sześć spośród matek moich bohaterek umiera, kiedy te mają mniej niż osiem lat. W dwóch dalszych, *Córce Mistrala* i *Dopóki nie spotkamy się znowu*, moje bohaterki, Maggy, której matka nie żyje i Eve, której matka zaniedbuje córkę, pojawiają się w powieści mając szesnaście i trzynaście lat, a potem same mają córki, dla których są dobrymi matkami, ale *tylko* dlatego, że występują w powieści w pierwszoplanowych rolach. Na końcu obu tych powieści nadal żyją i są w dobrym zdrowiu. W powieści *Tylko Manhattan* moja bohaterka ma naprawdę złą matkę, Lily Amberville, z którą godzi się pod sam koniec książki. W powieści *Kolekcja wiosenna* mamy matkę, która umiera młodo i niezbyt przyzwoitą matkę, która umiera jako kobieta w średnim wieku. W dziesiątej i ostatniej powieści, *Klejnoty Tessy Kent*, bohaterka jest złą matką, która sama miała złą matkę, ale staje się dobrą matką pod koniec książki, na krótko przed własną przedwczesną śmiercią.

Tylko Billy Winthrop Ikehorn Orsini Elliott, mojej pierwszej bohaterce, której matka umiera wkrótce po jej urodzeniu, pozwałam — ale dopiero po trzech małżeństwach — urodzić bliźnięta w *Kochankach*, trzeciej części trylogii zaczynającej się od *Skrupulów*, która była moją ósmą powieścią. Co więcej, pod koniec książki miewa się doskonale!

Jak widzicie, żadna z opisanych przeze mnie matek, o ile od początku nie występuje w pierwszoplanowej roli, nie żyje zbyt długo. W rzeczywistości byłam troskliwą, miłą córką dla kobiety o trudnym charakterze, która dożyła osiemdziesiątki. Moje posłuszeństwo wobec matki było bezpośrednim wynikiem mego pragnienia, mającego swe korzenie jeszcze w czasach dzieciństwa, żeby matka mnie pokochała. Jednak w wykreowanej przeze mnie fikcji taki scenariusz nie był zbyt prawdopodobny.

Dość wcześnie zdałam sobie sprawę z „syndromu matki” w moich powieściach, ale niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, matki nadal ginęły. Było tak jakby moje bohaterki nie mogły mieć dobrych, kochających i pomocnych matek, bo inaczej jakie zadanie miały do wykonania, jakim wyzwaniom musiały stawić czoła, aby stać się prawdziwymi bohaterkami?

Jednak wprowadziłam też wiele postaci zastępujących matki: ciotki, starsze przyjaciółki a nawet kochanki ojców, które wkraczają w życie moich pozbawionych matek bohaterek, kiedy te mają kilkanaście lat i darzą je macierzyńskimi uczuciami.

Co najważniejsze, każdej mojej bohaterce zawsze towarzyszy postać, o której piszę z wielką przyjemnością; jest to jej najlepsza przyjaciółka. Jako kobiety, są one trochę nieprzyzwoite, dziwaczne i niekonwencjonalne, udzielają doskonałych, rozsądnych i praktycznych rad, są lojalne, pomysłowe, mają zwariowane życie erotyczne, a moje bohaterki nie mogą sobie bez nich dać rady. Mój punkt widzenia w znacznej mierze reprezentują owe najlepsze przyjaciółki, nie zaś same bohaterki. Jest to jakby kwestia mojej własnej skromności. W moim mniemaniu nie jestem typem bohaterki, ale mogę być bardzo dobrą przyjaciółką.

Dziwnym trafem, udało mi się stworzyć parę postaci troskliwych ojców. Myślę, że było to możliwe, ponieważ mój własny ojciec zajmował tak nieistotne miejsce w moim życiu emocjonalnym, że łatwo mi przyszło stworzenie tej postaci od zera. Niezależnie od tego, jakie wady miała moja matka, nie unikała uczestnictwa w naszym życiu, tak jak to czynił mój ojciec. Miała zdecydowane zdanie na temat naszych uczynków — zazwyczaj negatywne — ale była na tyle zaangażowana, aby część swojej niewyczerpanej energii skierować w naszą stronę. Gdyby przebywała w domu i była nastawiona wyłącznie na nas, nie zaś na swoją pracę, nasze życie byłoby równie nie do wytrzymania, jak jej w podobnych warunkach.

Kiedy w wieku siedemdziesięciu lat piszę o kobiecie, która nie żyje od osiemnastu lat, pragnę być wobec niej tak uczciwa jak to możliwe. Zawdzięczam jej szereg cech, które ukształtowały mnie w sposób zasadniczy.

Zanim sama nie zostałam matką, była dla mnie wzorem i utwierdzała moje postanowienie, żeby nie wychodzić za mąż zaraz po ukończeniu college'u, ale by samej poznać życie i, nade wszystko, by zdobyć zawód. Kiedy zaczęłam pisać, inspirowała mnie, sprawiając, że wszystkie moje protagonistki są silnymi, niezależnymi kobietami, pełnymi ognia i determinacji, dzięki czemu budzą odzew czytelników.

Chociaż wspomnienie mojej nieobecnej matki uświadamia mi, że kariera nie była dla mnie tak ważna jak przebywanie z dziećmi, nigdy nie czułam się dobrze, jeśli nad czymś nie pracowałam. Etyka pracy staje się z czasem nawykiem i wiele z tego zawdzięczam swojej matce.

Matka nie przejmowała się także nadmiernie swoim zdrowiem. Nie pamiętam, czy kiedyś spędziła dzień w łóżku, chociaż jest zrozumiałe że czasami musiało tak być. Stanowiła odwrotność hipochondryczki i tę bezcenną cechę przekazała Mimi i mnie. Jeśli mamy jakieś problemy ze zdrowiem, radzimy sobie z nimi nie tracąc pogody ducha i niepotrzebnie ich nie rozdymając. (Nie liczę tutaj mego zachowania podczas podróży.)

Niezależnie od tego jak bardzo tego pragnęła, nigdy otwarcie nie namawiała mnie do poślubienia kogoś, kogo nie kochałam, tylko dlatego, że był bogaty, ale zachęcała mnie do pracy. Była osobą bardzo prawą. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby robiła coś podstępnie czy postępowała małostkowo. Od najwcześniejszych lat uczyła nas wszystkich, jak żyją inni, mniej uprzywilejowani ludzie.

Moja matka była niezwykle lojalna wobec swych licznych przyjaciółek. W sumie tej kobiecie, która aż do dwudziestego trzeciego roku życia musiała sama zdobywać wszystko, zawdzięczam własną siłę.

Matka zakończyła życie w sposób nieoczekiwanie szczęśliwy. Wkrótce po śmierci mego ojca, kiedy miała tylko sześćdziesiąt dwa lata, zaczęła się często spotykać z jednym ze swych kolegów z Towarzystwa Porad Prawnych, czarującym i znacznie od niej młodszym Irlandczykiem, którego znała od wielu lat. Była tak szczęśliwa, że nie mogła się powstrzymać, żeby nam o tym nie powiedzieć... przyznając, że był to dla nas szok, ale ekscytujący.

Mężczyzna ten miał żonę i był głęboko wierzącym katolikiem; miał też pięcioro dzieci. Nie rozwiódł się, ale przez wiele lat miał z mamą romans. Nalegał, aby matka nauczyła się pić martini, tak aby mogła z nim razem wypić jeden kieliszek. Nigdy nie wolno jej było pić przy ojcu, ponieważ dostawała wtedy rumieńców — jeszcze jeden skuteczny sposób egzekwowania przez ojca swej niewidzialnej dominacji. Jednak po wypiciu jednego martini — nigdy nie tknęła drugiego — nie tylko jej wspaniała cera nie ulegała żadnym zmianom, ale ona sama przeobrażała się w pełną ciepłą, figlarną osobę, której prawie nie poznawałam, tak długo jak trwało działanie alkoholu.

W jednej z rozmów Mimi z Fanny Cohen, ta ostatnia powiedziała, że matka była taka przez cały czas, kiedy była młodą mężatką, zanim ojciec nie zaczął jej zdradzać. Jest zupełnie możliwe, że ów brak ciepła a nawet gorycz miały swe źródło w głębokim, nieprzemijającym rozczarowaniu własnym małżeństwem.

Mama nigdy nie pojęła, dlaczego, ilekroć przyjeżdżała z wizytą do Kalifornii, co miało miejsce parę razy do roku, Mimi i ja zawsze witałyśmy ją kieliszkiem martini.

Rozdział dwudziesty siódmy

Na początku lat sześćdziesiątych zaszły we mnie pewne drobne zmiany i już nie byłam tą dziewczyną z pomarańczowymi pasemkami, którą poślubił Steve. Kiedy zaczął mnie utrzymywać i już nie musiałam płacić czynszu, moim pierwszym krokiem było udanie się do salonu piękności i przefarbowanie się na blondynkę, czego zawsze pragnęłam. Kiedy miałam rok, byłam platynową blondynką, ale włosy wkrótce zmieniły kolor na jasnobrązowy; nigdy się z tym jednak nie pogodziłam, czemu sprzyjało oglądanie zdjęć Shirley Tempie, która była idolem mego dzieciństwa. Och, jakże pragnęłam umieć śpiewać i tańczyć i jak bardzo chciałam mieć jej włosy!

Jak tylko skończył się nasz miodowy miesiąc, zastąpiłam moje domowej roboty pomarańczowe pasemka jasnymi, ku wielkiemu rozczarowaniu Steve'a, ponieważ kiedy się we mnie zakochał, byłam ruda. Od tej pory moje włosy były koloru blond z dodatkiem mego naturalnego koloru, przy czym blond był dominujący. Zdumiałam wnuczki mego rodzeństwa a ostatnio moją własną wnuczkę, kiedy im powiedziałam — miały wtedy mniej więcej po sześć lat — o władzy jaką będą miały nad swymi włosami, kiedy tylko dorosną.

Rok po ślubie zaczęłam trzy razy na tydzień chodzić do sali gimnastycznej i ku swemu zaskoczeniu odkryłam, że mam dryg do gimnastyki, jedyne sportu, jaki przychodzi mi bez trudności. Spędziłam pięć lat u Nicka Kounovsky'ego, stając na głowie, śmigając na trapezie i zonglując obręczami, przy czym proszono mnie, żebym w obecności nowicju — szek ukrywała swoje umiejętności, żeby ich nie zniechęcać.

Ostatecznie przeszłam na metodę zwaną Pilates, która została wymyślona prawie przed stu laty przez urodzonego w Niemczech Joe Pilatesa i miała służyć rehabilitacji tancerzy, którzy doznali kontuzji. Przez ostatnie trzydzieści dwa lata ćwiczyłam według tej metody regularnie trzy godziny w tygodniu. Zapewnia ona gibkość i siłę i rozwija wszystkie mięśnie, przy czym nacisk położony jest na giętkość grzbietu.

Metoda Pilates jest teraz bardzo modna, ale kiedy zaczęłam ją stosować, mieszkając w Nowym Jorku, uczyły jej tylko dwa czy trzy ośrodki w całych Stanach Zjednoczonych. Moja kalifornijska instruktorka, Dianę Severino, nauczyła się tej metody w ośrodku Rona Fletchera, gdzie potem została jedną z czołowych instruktorek. Ron, były tancerz, poznał ją dzięki samemu Joe Pilatesowi, tak więc Dianę „pochodzi” w prostej linii od Pilatesa. Współpracuję z Dianą od prawie dwudziestu lat i podczas lekcji stale prowadzimy rozmowę. Nasz ulubiony temat? Jedzenie, jedzenie i jeszcze raz jedzenie.

Jednak wtedy, na początku lat sześćdziesiątych, kiedy Steve tak często wyjeżdżał, dzieci, dorywcza praca dla magazynu i trzy godziny ćwiczeń w sali gimnastycznej nie wystarczały, żeby mi wypełnić samotne wieczory. Starłam się tak często jak mogłam dołączać do Steve'a podczas jego podróży służbowych i spędzać z nim trochę czasu, podczas gdy Lori zajmowała się dziećmi. Razem byliśmy na Alasce, kiedy uzyskała status nowego stanu, a w Juneau, pomimo strachu przed lataniem, zmusiłam się do polecenia ze Steve'm maleńkim samolotem, który wznosił się i opadał nad rozległymi lodowcami. W końcu ze strachu byłam tak mokra od potu, że musiałam rozebrać się do koszuli. Ten wieczór uczciliśmy wódką z lodem, który pochodził z lodowca i ledwie chciał się topić.

Kiedyś dołączyłam do Steve'a w Egipcie, gdzie jak głupia włożyłam szeroką sukienkę, żeby na grzbiecie wielbłąda pojechać do piramid. Piramidy są znacznie mniejsze i nie robią takiego wrażenia jak na fotografiach; poza tym podczas tej wyprawy oblaży mnie setki pcheł ukrytych w

siodłach i urządziły sobie ucztę na moich udach, co wywołało swędzącą wysypkę, która dokuczała mi przez wiele tygodni. Chociaż każdego dnia spędzałam wiele godzin oprowadzana przez przewodnika po niemal pustym muzeum, zachwycając się tymi wszystkimi skarbami, które potem pojechały do Nowego Jorku i do których ustawiały się kolejki trzykrotnie oplatające Metropolitan Museum, nie mogłam nie zauważyć na ulicach kobiet z małymi dziećmi, po których powiekach spacerowały muchy, a matki nawet nie zadawały sobie trudu żeby je spędzić. Na bazarze, na który pojechaliliśmy samochodem z kierowcą, tłum przypatrujący się, jak spacerujemy wśród stoisk, zaczął się zachowywać naprawdę groźnie. W tym czasie w Egipcie pracowali niemieccy naukowcy, krzyknęłam więc do Steve'a, „*Achtung, Werner!*” mając nadzieję, że akcent był poprawny. „Werner, lepiej się stąd zabierajmy czym prędzej!” Tłum zaczął kołysać naszym samochodem z boku na bok, ale jakoś udało nam się wydostać.

A żeby móc coś załatwić w Egipcie, Steve musiał do paszportu wbić wizę Adwentystów Dnia Siódmego. Byliśmy na obiedzie z ważną figurą z kierownictwa egipskiej telewizji, który nam powiedział, że wkrótce wyruszana wojnę z Izraelem. „Dlaczego?” spytałam. „Bo istnieje”, brzmiała odpowiedź. Boże, od tej pory zniecierzyłam Egipt!

Starałam się wyważyć między pozostawianiem dzieci pod opieką Lori, która była absolutnie godna zaufania, a nie opuszczaniem ich na zbyt długo. W szczególności pragnęłam towarzyszyć Steve'owi w Londynie, ponieważ kiedy był zajęty, mogłam odwiedzać muzea i wędrować po sklepach z antykami, dzięki czemu wcale nie czułam się samotna. Nawet jeśli nie jesteś klientem, londyńscy handlarze antykami są znakomitymi partnerami do rozmowy; szczerze mówiąc, dotyczy to handlarzy antykami w ogóle.

Czasami wynajmowałam samochód z kierowcą i spędzałam dzień, jadąc do jednego w wielu wspaniałych parków, otwartych dla publiczności. Moim ulubionym miejscem był zamek Sissinghurst w hrabstwie Kent, dom Vita Sackville-West, sławnego ogrodnika i nieco mniej sławnego pisarza i poety.

Pewnego dnia, wczesną wiosną, pojechałam tam i stwierdziłam, że jedynymi kwitnącymi kwiatami są wielkie białe bratki. Ten widok zrobił na mnie większe wrażenie niż gdybym ujrzała cały ogród w kwiatach. Potem łąziłam po ogrodzie i rozmawiałam z wieloma terminującymi ogrodniczkami, które przyjechały z Kew Gardens, żeby uporządkować ogród na wiosnę.

Samotnie poszłam do biblioteki i jakoś zdołałam się oprzeć chęci, którą zawsze żywiłam, żeby ukraść książkę, jakąkolwiek książkę, jako pamiątkę z tego świata, o którym czytałam w rozmaitych biografiach i autobiografiach. Przed wyjściem zatrzymałam się przy kiosku, żeby kupić parę książek, między innymi historię Pepity, tancerki, która była babką Vity, ekstrawaganckiej piękności, pół-Hiszpanki, pół-Cyganki, która z kolei urodziła Victorię, matkę Vity. (Rzeczywistość jest często bardziej zagmatwana niż fikcja.) Okazało się, że sympatyczny pan, u którego kupiłam książki i który poświęcił dobre pół godziny, żeby mi cierpliwie choć daremnie wyjaśnić zawiloci brytyjskiego systemu monetarnego, był synem Vity, nazwiskiem Nigel Nicolson, który później napisał *Portret małżeństwa*, fascynującą historię dziwnego choć tętniącego życiem i silnego związku między swoją matką — lesbijką a snobistycznym dyplomatą i homoseksualistą, Haroldem Nicolsonem, który był jego ojcem.

Latem 1962 roku Steve musiał spędzić dwa miesiące w Ameryce Południowej, szybko przemieszczając się z miejsca na miejsce. Postanowiliśmy, że wezmę dzieci i Lori na wakacje do Le Bois Normand, zamiast tkwić z nimi w rozpalonym Nowym Jorku.

Dziwny i smutny był ten powrót po czternastu latach do miejsca, które tak polubiłam w 1948 roku. Kiedy zainstalowaliśmy się w tym wspaniałym domu, na pozór wydawało się, że nic nie uległo zmianie, ale naprawdę wszystko było inne niż niegdyś. Byłam w towarzystwie dzieci i tęskniącej za domem Lori, która snuła się z nieszczęśliwą miną. Pogoda była beznadziejna, przez

dwa miesiące było zimno i padał deszcz i choć wypuszczałam się z dziećmi do wsi, jak tylko przestawało padać, chłopcy wcale nie byli szczęśliwi. W domu mieszkali liczni sublokatorzy, którzy byli przyjaciółmi Nicole i często przyjeżdżali na dwa tygodnie. Synowie prędko się nauczyli, jak wszystkim grzecznie podawać rękę przy wejściu do pokoju, ale ta nowość szybko im spowszedniała.

Co najgorsze, Nicole oszczędzała tak bardzo, że na wieczorny posiłek podawała tylko zupełną jarzynową, chleb, masło i ser. Moje dzieci były mięsożerne, jak wszyscy Amerykanie i nie chciały jeść tych wyszukanych serów, Pont-l'Évêque i Camembert. Musiałam jej taktownie wytłumaczyć, żeby na kolację dostawali przynajmniej jajka, ponieważ hamburgery, za którymi przepadali, nie wchodziły w grę.

Nie robi to może wrażenia, że sytuacja była szczególnie trudna, ale fakt, że wiedziałam o tej kiepskiej sytuacji finansowej oraz jej wrażliwość sprawiły, że sprawa tych jajek doprowadziła do poważnego kryzysu. W żadnym wypadku nie mogłam zaproponować, że będę im kupowała dodatkowe jedzenie, bo to by niezmiernie skomplikowało cały ten delikatny układ. Nie mogłam ich też zabierać na posiłki do restauracji, ponieważ wszyscy by to zauważyli i wybuchłby wielki skandal. Wszystko, co mogłam uczynić, to kupować im sok pomidorowy i kanapki z szynką, kiedy byliśmy we wsi. Jedynym przyzwoitym posiłkiem tego lata był obiad, na który zaproszono miejscowego księdza, kiedy to podano pieczoną kaczkę. Zdumiewało mnie, że w rodzinie, w której nikt nie chodził do kościoła (z wyjątkiem Wielkanocy), tego zwykłego księdza traktowano z taką wyjątkową atencją.

Pewnej nocy, nie mogąc zasnąć z głodu, wstałam i zeszłam do kuchni. A tam, ku memu zaskoczeniu, leżał pieczony kurczak, z którego śmiało odkroiłam i pożarłam skrzydełko. Nadal nie potrafię zrozumieć, co taki piękny ptak robił w spiżarni. Kiedy następnego dnia rano zeszłam na śniadanie, trwało tam prawdziwe śledztwo. Kto był tym nędznym złodziejem i ukradł skrzydełko? Wszyscy żarliwie bronili swej niewinności, kiedy się zjawiłam i szybko wyjaśniłam, że to ja je wzięłam, bo byłam strasznie głodna. To zakończyło sprawę. Płaciłam za pokój i wyżywienie dla czterech osób, co tego lata było podstawą dochodów Nicole, ale tego nie można było głośno powiedzieć.

Niestety, głośno powiedziano coś innego. Pewnego dnia, już pod koniec naszego pobytu, Nicole zapytała, czy może zabrać chłopców na jacht, należący do jej bliskich przyjaciół. Zgodziłam się, ucieszona tą nieoczekiwaną propozycją. Kiedy wróciła, powiedziała mi, zupełnie nie zdając sobie sprawy ze znaczenia tego co mówi, że chciała udowodnić swoim przyjaciółom, że żydowskie dzieci też potrafią być grzeczne. Kiedy to usłyszałam, moja długoletnia sympatia dla Nicole ulotniła się niemal bez śladu. W ten sposób nieświadomie przyznała się do głęboko zakorzonego antysemityzmu, na który nie zwróciłam uwagi w 1948 roku, kiedy to zapewniła mnie, że nikomu nie powie, że jestem Żydówką, jak gdyby wyświadczała mi jakąś przysługę.

W rzeczywistości, kiedy myślę o Nicole, zastanawiam się, czy moje uczucia wobec niej nie były w znacznej mierze nieświadome i głębokie, dlatego że stanowiła namiastkę matki, zwłaszcza w tym nieznanym mi świecie, w którym próbowałam znaleźć swoje miejsce. Naprawdę nie zasłużyła na moje przywiązanie. Była kobietą, która trzymała swoje dzieci na dystans i wykorzystywała mnie jako narzędzie, żeby wzbudzać w swych córkach zazdrość, co nastawiało je wrogo do mojej osoby. Byłam jednak kompletnie omamiona tym poczuciem intymności. Nicole brakowało elementarnej uczciwości, czego dowodem był fakt, że wynajęła pokój, za który nadal płaciłam, kiedy u niej mieszkalam; szpiegowała mnie podczas mego pierwszego romansu, a jej migreny i układanie kompozycji z kwiatów zdominowały całe życie w Le Bois Normand. Była urocza wobec mego ojca i Steve'a, którego nazywała „biedaczysko”, ale zastanawiam się, czy kiedykolwiek grała ze mną uczciwie. Ale mimo wszystko, bez Nicole i jej

sióstr, bez jej kochanka i jego kumpli, jakie życie bym wiodła w Paryżu? Z pewnością odmienne od tego życia jakby wyjętego z powieści Colette, które było moim udziałem, kiedy byłam jej sublokatorką.

* * *

Podczas owego pochmurnego lata 1962 roku poleciałam na dziesięć dni do Londynu, gdzie miałam napisać artykuł o Peterze Sellersie, który nadal pracował dla Bolting Brothers, grając w błahych angielskich komedijkach, ale wkrótce miał kręcić swój pierwszy film w Hollywood. Zatrzymałam się w Savoyu, w czwartym z kolei pokoju, który recepcjonista mi zaproponował, a Theo Cowan, agent Petera, z którym się wkrótce zaprzyjaźniłam, umówił mnie na planie na piątek, który był ostatnim dniem zdjęciowym. Tam też przeprowadziłam pierwszy wywiad z aktorem, który grał kanciarza, udającego francuskiego projektanta mody. Peter do tego stopnia wszedł w rolę, całując dłonie pań, flirtując i rzucając żartami, a wszystko to z udawanym francuskim akcentem, że w taki sposób przebiegł też sam wywiad.

W następny poniedziałek, kiedy rozmawiałam z nim ponownie, zaczął zdjęcia do nowego filmu, w którym grał rolę anglikańskiego duchownego. Podczas weekendu rzucił palenie; był oschły, małomówny, niekomunikatywny i wściekły, że został umówiony na rozmowę, ponieważ — jak powiedział — pozostawał w skórze swojej postaci przez cały czas realizacji filmu, a rozmowa ze mną „wytrącała go z transu”. Rzeczywiście miał na myśli trans. Kiedy „opracował” cechy fizyczne swojej postaci, jej sposób poruszania się, włosy, ubranie i charakterystykę, każdego dnia przed rozpoczęciem zdjęć wprowadzał się w trans.

Odkryłam, że święcie wierzył w świat duchów i trzy razy w tygodniu spotykał się ze swoim medium. Prawie codziennie rozmawiał ze swoją matką. To z jego strony bardzo po synowsku, ale niestety pani o której mowa, opuściła ten świat już dawno temu.

Szybko postanowiłam, że zamiast rozmawiać z samym zainteresowanym, przeprowadzę wywiady z osobami z jego otoczenia, jego przyjaciółmi i współpracownikami. Odkryłam, że ten bardzo dziwny człowiek w ogóle nie ma stałej osobowości. Po prostu stawał się postacią, którą aktualnie grał.

Jak dziecko, interesował się wszystkimi przedmiotami mechanicznymi, takimi jak kamery i drogie samochody, ale jeśli po próbnej jeździe jakimś samochodem nie był z niego zadowolony, chwycił lewarek i demolował auto. Załatwił w ten sposób jakieś sześćdziesiąt samochodów najsławniejszych firm. Pewnego wieczoru jadłam z nim obiad w koszernej restauracji w Soho i byłam tak spięta, że zamówiłam siekaną wątróbkę na przystawkę, a potem pieczoną wątróbkę jako danie główne. Nie wiem jakie wartości odżywcze ma wątróbka, ale musiałam jej wtedy bardzo potrzebować. Znałam wielu aktorów, ale żaden z nich nie był tak dziwaczny, udęczony i utalentowany jak Peter Sellers. Jednak było w nim też coś podłego. Zabawiał się jak szalony, podczas gdy jego żona cały czas była mu wierna. Koniec końców, kiedy ta udęczona kobieta miała romans z dekoratorem wnętrz, który odnawiał ich nowe mieszkanie, Peter natychmiast wystąpił o rozwód, jako strona pokrzywdzona, oskarżając ją o cudzołóstwo! Uważam, że było to wyjątkowo paskudne. Nie był prawdziwym dżentelmenem.

W rok po owym pechowym lecie w Le Bois Normand, Nicole poddała się i doszła do wniosku, że musi sprzedać dom. Ona i jej rozwiedziony mąż mogli teraz opuścić mieszkanie na bulwarze Lannes i znaleźć sobie osobne mieszkania. Jej były mąż wkrótce ożenił się z kochanką, co wprawiło ją w irytację, ponieważ niewiele się nim interesując, nie wiedziała, że ją ma.

* * *

Kiedy wróciliśmy do Nowego Jorku, planowano wielką paradę na cześć Johna Glenna, pierwszego Amerykanina, który okrążył Ziemię. Wiedziałam, że nigdy nie zdołam ujrzeć mego bohatera ponad głowami tłumu, więc udałam się do działu dla młodych matek, na drugim piętrze magazynu przy Piątej Alei i zajęłam narożną przymierzalnię, której okno wychodziło na trasę pochodu. Kiedy wciąż przymierzałam rozmaite stroje dla matek (których nie potrzebowałam), ażeby nie opuszczać przymierzami, dołączyły do mnie podniecone sprzedawczynie i razem podziwiałyśmy uroczystość. W tydzień potem zwróciłam wszystkie kupione ubrania i ku swemu osłupieniu otrzymałam list, anulujący mój rachunek z powodu wielkości kwoty. To się nie mogło zdarzyć! Po namyśle, zdałam sobie sprawę, że mam tylko jedną wymówkę. Niechętnie napisałam list, informując, że poroniłam. Rachunek natychmiast uznano. Jeszcze jedna fikcja? Cóż mogła uczynić dziewczyna niskiego wzrostu?

W wiele lat później, w ową noc, kiedy pierwszy człowiek postawił stopę na Księżycu, byłam sama w naszym dosyć odosobnionym wiejskim domu i bardzo się bałam, bo nie mogłam zamknąć na klucz frontowych drzwi. Ubroiłam się w długi pogrzebacz i nóż i przez całą noc oglądałam Waltera Cronkite'a, którego głos działał na mnie wybitnie uspokajająco. Tylko Cronkite mógł dodać mi tyle odwagi. Jakże niewinni, dumni i patriotyczni czuliśmy się wszyscy, kiedy odbywał się ten pierwszy spacer na Srebrnym Globie.

* * *

Podczas owego lata 1962 roku wiele rzeczy poszło nie tak jak trzeba. Prawie codziennie pisałam do Steve'a, nadawałam list na pocztę Honfleur, ale z powodu rewolucji na całym obszarze Ameryki Południowej, moje listy prawie nigdy nie dochodziły. Steve wciąż do mnie pisał rozgniewany pytając, dlaczego nie dostaje ode mnie żadnych listów. Moja obsesyjna punktualność i napięcie wywołane jego gniewnymi listami doprowadzały mnie do szału. Różnica czasu i szybkość jego przemieszczania się uniemożliwiały kontakt telefoniczny. Nie było sposobu, żeby się z nim skontaktować.

Któregoś dnia Lynn Tornabene, przyjaciółka z Good Housekeeping, przyjechała wraz ze swym mężem do Paryża. Lynn otrzymała zadanie przeprowadzenia wywiadu z Audrey Hepburn, która akurat przebywała w Paryżu, gdzie kręciła film z Williamem Holdenem. Wzięłam parę wolnych dni, żeby pojechać do Paryża i pójść z Lynn na plan. Tam odkryłam, że mój idol, Audrey Hepburn, nie tylko pali papierosa za papierosem lecz także jest istotą z krwi i kości. Mówiła „cholera” ze swobodną miną kogoś, kto stale używa tego słowa podczas rozmowy. Byłam tym naprawdę zaszokowana i zaszokowana, że mnie to zaszokowało. Podczas naszej drugiej randki poszliśmy ze Stevem na *Rzymskie wakacje* na pokładzie statku *Andrea Doria* i to była ta Audrey Hepburn, która, jak sądziłam, istnieje w rzeczywistości. Cholera!

Później tego samego dnia Lynn, jej mąż Frank i ja poszliśmy na obiad do mojego dawnego „lokalu”, Les Trois Canettes, ale byłam tak wytrącona z równowagi sytuacją ze Stevem, że pożegnałam się z nimi zaraz po obiedzie i w ponurym nastroju samotnie spacerowałam, aż w końcu usiadłam, żeby wypić filiżankę kawy. W pewnym momencie podszedł do mnie przystojny, młody Francuz i bardzo grzecznie starał się nawiązać rozmowę. „Na miłość boską, czy nie można tu mieć choć trochę prywatności?!” krzyknęłam. W innych okolicznościach na pewno zachowałabym się inaczej.

Jedyną jaśniejszą chwilą tych dwóch miesięcy było to, że w momencie wyjazdu z Francji

wciąż miałam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wybrać się do Deauville i kupić sobie pierwszą ale oczywiście nie ostatnią torebkę u Hermesa. Moje upodobanie do skóry Gucciego przeniosło się na Hermesa i tak już pozostało. We wciąż zmieniającym się świecie dla kobiety, która ma słabość do torebek, Hermes jest jak skała pośród szalejącej burzy.

Kiedy wróciliśmy do Nowego Jorku i Steve przestał podróżować, zaczęliśmy prowadzić ożywione życie towarzyskie. Moja dawna koleżanka z Vassar, Sue Kaufman, wyszła za mąż za Jerry'ego Barondessa, który był lekarzem internistą. Oboje zostali naszymi najbliższymi przyjaciółmi, a sam Jerry został naszym lekarzem rodzinnym. W sylwestra nasza czwórka zwykle odwiedzała trzy lub cztery rozmaite przyjęcia. Kiedy w końcu zjawialiśmy się ze Stevem w domu, widzieliśmy jak wszystkie gwiazdy wychodzą gromadnie z hallu naszego domu, wracając z przyjęcia, które urządzali Lee i Paula Strasbergowie.

Należeliśmy do interesującej grupy młodych małżeństw, z których wiele działało w świecie sztuki, jak Aaron Shikler i jego żona, Pete. Aaron, który namalował portrety Jackie i Jacka Kennedy w Białym Domu, zrobił mi portret z okazji trzydziestych piątych urodzin, na którym mam dziwnie wojowniczy wyraz twarzy — portretowi temu nadałam nazwę „Siostra Edith Clavell tuż przed powrotem z frontu”. Do grupy tej należeli też Terry i Roy Davis (później się rozwiedli), którzy wraz z ramiarzem Bobem Kulickiem byli współwłaścicielami najlepszego sklepu w Nowym Jorku, gdzie oprawiano obrazy. Kiedyś Roy zaproponował mi obraz Prendergasta, jednego z moich ulubionych malarzy, ale obraz był dosyć mierny i nie zdecydowałam się na jego kupno. Był tam David Levine, dziś legendarny karykaturzysta; Bernie Owett, błyskotliwy szef działu sztuki u Younga i Rubicama i jego żona Trudy, redaktorka działu mody, która została psychoterapeutką; Berty Prashker, która jeszcze nie była sławną redaktorką i jej mąż, prawnik (później się rozwiedli); Bob Loggia, który jeszcze nie przeniósł się do Hollywood i jego żona Marge (później się rozwiedli); Dick i Mary Stewart Krolick, aktorka występująca w telenowelach (później się rozwiedli); oraz wielu innych.

Żadne z nich nie dorównywało bogactwem Joannie i Alfredowi Sternom, którzy pieniądze zawdzięczali jego matce. Sternowie byli tak bogaci, że zaangażowali niesłychanie wziętą firmę Dennings and Fourcade do odnowienia całego swego ogromnego mieszkania przy Piątej Alei i wymiany wszystkich mebli, po czym wydali wielkie przyjęcie, na którym podawano wyłącznie kanapki z kawiozem, fois-gras i steki.

Wielu innych mieszkało we wspaniałych mieszkaniach na East Side; byli wśród nich Barbara i Jeny Goldsmith oraz bracia Stantonowie, którzy zawiadywali całym handlem Volkswagenami na Wschodnim Brzegu. Frank i Judy Stanton później się rozwiedli, podobnie jak Howard i Sunny Sloan, którzy wydawali przyjęcia, na których gospodarz nosił koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, a gospodyni dzinsy.

Żaden z tych wystrojonych gości tego nie rozumiał, ale teraz zdaję sobie sprawę, że Sloanowie musieli wyczuć, że zaczęły się lata sześćdziesiąte. Podobnie Nancy Dinę, żona malarza Jima Dinę, która włożyła dzinsy i roboczą koszulę na jedno z wielkich przyjęć u Barbary Goldsmith. Patrzyłam na nią, jak nic sobie nie robi z innych gości ani nawet z gospodyni, spojrzałam na moją brokatową suknię, która została zrobiona na zamówienie u Niny Ricci podczas ostatniej podróży do Paryża i zdałam sobie sprawę, że to mi się nie podoba i nigdy się nie będzie podobało. Po co wydawać przyjęcia, jeśli ludzie nie ubierają się jak trzeba?

Wśród naszych znajomych był jeszcze prawnik, Mort Janklow i jego żona Linda, która była wnuczką Harry'ego Warnera, tego od Warner Brothers. Później Mort został moim agentem.

Jakieś piętnaście lat temu, na pogrzebie Mervyna LeRoya, ojca Lindy, słyszałam jak Loretta Young wygłasza mowę, która zdobyła nagrodę dla najgłupszej mowy wszystkich czasów. Przedefilowała przez nawę kaplicy Forest Lawn, odziana w seksowną, oblepiającą ciało czarną

sukienkę i największy kapelusz jaki kiedykolwiek widziałam. „Mervyn LeRoy mnie odkrył”, oświadczyła powoli. Pauza. „Nie. Nie mieliśmy romansu.” Długa pauza. „Miałam tylko trzynaście lat”, dodała po namyśle, jakby starając się coś wyjaśnić. Kto panią o to prosił? zastanawiałam się, podczas gdy wśród gości zaległo pełne osłupienia milczenie.

Mieliśmy jeszcze wielu innych przyjaciół, takich jak Meltzerowie i Crownowie, którzy mieli poglądy silnie lewicowe i, podobnie jak my, mieszkali na Central Park West, ale o ile wiem, nikt nie był Republikaninem.

Właśnie u Crownów miała miejsce najbardziej agresywna reakcja mego życia, a wydarzyło się to zaledwie po dwóch kieliszkach. Ktoś przez nieuwagę rozlał alkohol na drogi adapter, co zobaczywszy wyrwałam chusteczkę do nosa z kieszonki jakiegoś wyjątkowo eleganckiego dentysty, którego prawie nie znałam i wytarłam nią zachlapany adapter. „Jak pani śmie zabierać mi chusteczkę?” warknęła. „Alkohol kapał prosto na adapter i mógł go zniszczyć”, odparłam, zdumiona jego gniewną reakcją. „Powinna była pani poprosić mnie o pozwolenie, zanim złapała pani moją chusteczkę, nie miała pani prawa!” upierał się podniesionym głosem. W tym momencie chlusnęłam mu zawartością kieliszka prosto w twarz. I to wszystko! To takie banalne, żalotne, ale nie potrafię sobie przypomnieć czy kiedykolwiek zachowałam się bardziej wrogo w stosunku do kogokolwiek.

Oddałabym prawie wszystko, żeby przez tydzień być Sandrą Bernhard. Ach, mieć jej siłę, jej nieugiętą postawę, jej odwagę, żeby móc zrobić i powiedzieć wszystko, nie licząc się ze zdaniem innych. Wierzę, że taka jest naprawdę, ale nawet jeśli to tylko gra, i tak jest wspaniała.

Nawet nie mogłam naprawdę poflirtować. Małżeństwo zniszczyło moje umiejętności w tym względzie. Jednak Steve zdecydowanie temu zaprzecza. Wciąż utrzymuje, że jestem flirciarką i że przez wiele lat naszego wspólnego życia był często (i niepotrzebnie) wściekle zazdrosny. Jest to źródłem mego zażenowania i gniewu, ponieważ wiedziałam, że jeśli zechcę poflirtować, to znaczy poflirtować naprawdę, zrobię to w taki sposób, że nigdy się nie połapie.

Kiedyś ten uroczy nicpoń, A. E. Hotchner, redaktor, powieściopisarz i autor biografii Hemingwaya, bardzo atakowanej przez wdowę po pisarzu, który później miał wejść w spółkę z Paulem Newmanem, zaprosił mnie na lunch do Plaża. Jego ogromne i podejrzone rachunki, kiedy pracował w *Cosmo*, były przez długi czas przedmiotem plotek. Nie byłam pewna, czy to zaproszenie jest przygrywką do czegoś ale zgodziłam się, jednak następnego dnia zatelefonowałam do niego i powiedziałam, że nie mogę pójść na lunch, bo „będę musiała powiedzieć Steve’owi, a on się nie zgodzi”. Hotch był oburzony, ale Steve rzeczywiście by się nie zgodził. Z drugiej strony, muszę przyznać, że w owym czasie w Nowym Jorku „lunch” rzadko kończył się na lunchu, zwłaszcza w przypadku takiego modela jak Hotch.

Były to interesujące czasy. Wydawałam przyjęcia dla dwunastu osób, które przygotowywałam przez wiele dni, bo byłam już wtedy doświadczoną kucharką. W niedzielne popołudnia urządzaliśmy także małe przyjęcia z kanapkami dla całego tłumu znajomych. Jeden z nich przynosił nam długie włoskie bułki prosto z piekarni, po czym przygotowywał kanapki na zamówienie poszczególnych osób; kanapki te łądowały na stole, zastawionym licznymi półmiskami z kielbasą, serem i pieczoną papryką.

Pewnego dnia, w 1963 roku, byłam w sklepie delikatesowym, patrząc jak sprzedawca kroi wędzonego łososia na niedzielny lunch, kiedy przez radio usłyszałam jakąś niejasną wiadomość na temat Dallas i Kennedy’ego. Nie było to wiele... za mało, żebym zostawiła mego łososia, mruczając, że nigdy nie powinien być jechać do Dallas... ale kiedy się znalazłam na Madison Avenue, popędziłam do taksówki, w nagłej panice zapominając o pozostałych sprawach. Nie do wiary, ale normalny hałas miasta ustąpił miejsca prawie zupełnej ciszy. Wbiegłam do mieszkania i złapałam Nicka za rękę. Jak tylko włączyłam telewizor, powiedziałam mu, żeby musi patrzeć i

zapamiętać, bo oto przed nim rozgrywa się historia. Wkrótce podano komunikat o śmierci prezydenta.

Dla mego pokolenia był to wielki cios. Nie mogę mówić w imieniu innych pokoleń, ale dla nas nikt nie znaczył tak wiele jak Jack Kennedy. Nikt nigdy nie będzie już tyle znaczył, nawet w połowie.

Owego wieczoru poszliśmy na dawno zaplanowany obiad u Betty Prashker. Wszyscy pytali, czy go odwołuje, ale nikt nie chciał być sam, jak podczas stypy, więc wszyscy się stawili. Podczas obiadu wstaliśmy ze Stevem od stołu i poszliśmy na górę, kiedy wszyscy byli zajęci rozmową i opłakiwaniem zmarłego prezydenta. Oglądaliśmy przyłot *Air Force One* i patrzyliśmy na Jackie Kennedy w zakrwawionym kostiumie, idącą za trumną, a potem słuchaliśmy przemówienia Lyndona Johnsona. Wróciliśmy na dół i pamiętam jak wszystkim mówiłam, że myślę, iż Johnson będzie w porządku, a potem pojechałam do domu i znów oglądałam telewizję, płacząc jak nigdy dotąd i tak było przez następne cztery dni.

Nie odwołaliśmy naszego niedzielnego lunchu i akurat siedziałam, oglądając telewizję i czekając na naszych gości, gdy zobaczyłam jak Jack Ruby zabija Lee Harveya Oswalda. Na żywo, nie odtworzone z taśmy.

Rozdział dwudziesty ósmy

W 1963 roku Steve opuścił Columbia Pictures Television i założył własną firmę. Od dawna interesował się animacją i odegrał znaczącą rolę w sprowadzeniu Billa Hanny i Joego Barbera do Columbii. Teraz otworzył własne studio animacji, w którym produkował kreskówki z superbohaterami, między innymi Spiker-Mana i wiele innych. Zbudował międzynarodową sieć dystrybucji, żeby sprzedawać własne filmy telewizji i innym większym przedsiębiorstwom.

W tym samym roku postanowiliśmy wynająć na lato dom w Westport, w stanie Connecticut, zamiast wysyłać dzieciaki na obóz i spędzać lato w mieście. Podczas tego pierwszego lata z radością odnowiłam dawną, sięgającą jeszcze moich szkolnych lat przyjaźń z Ritą i Herbem Salzmanem. Salzmanowie byli praktycznie częścią rodziny Tarcherów. Siostra Herba, znacznie od niego starsza Sally Pepper, była jedną z najbliższych przyjaciółek mojej matki, a jego rodziców zgodnie wyznaczaliśmy do pełnienia roli naszych dziadków. Rita, cztery lata ode mnie starsza, była olśniewającą rudą pięknoscią, której cała wyprawa ślubna pochodziła od Hattie Carnegie, w owym czasie największego i najbardziej ekskluzywnego projektanta mody w Nowym Jorku,

Salzmanowie mieszkali w Westport, które wtedy było małym miastem leżącym nad przesmykiem Long Island, gdzie mieli duży letni dom nad wodą i niemal bez przerwy zapraszali gości. Mieli liczną grupę przyjaciół, którzy przyjeżdżali do Westport na weekendy. Od czasu do czasu odwiedzaliśmy Ritę i Herba, kiedy byliśmy w Kanadzie, zwłaszcza w dniu czwartego lipca i właśnie u nich oglądałam pierwszą debatę Nixon–Kennedy, podekscytowana błyskotliwymi odpowiedziami JFK.

Pod koniec lata, w wieczór tradycyjnego przyjęcia z okazji Dnia Pracy, które urządzali Salzmanowie, ujrzałam Steve'a pogrążonego w rozmowie z Carol Fortas, budzącą grozę żoną Abe Fortasa, sędziego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Zastanawiałam się, o czym, u licha, może rozmawiać z Carol. Była znaną prawniczką w Waszyngtonie, obdarzoną ostrym językiem, która chodziła w żeglarskiej czapeczce, od czasu do czasu paliła cygara, a jej szorstkość budziła przerażenie wszystkich.

Kiedy tego wieczoru wróciliśmy do domu, zamierzając następnego dnia wyjechać do Nowego Jorku, Steve powiedział mi, że omawiał kupno letniego domku Fortasów i jednego akra gruntu, pod warunkiem że wyrażę zgodę. Ustalił z Carole cenę bez pośrednictwa agenta handlu nieruchomościami. Żadne z nas nigdy nie widziało tego domu, miałam więc następnego dnia rano pojechać na miejsce, żeby go obejrzeć. Byłam zbyt zaskoczona, żeby w ogóle zareagować na tę nowinę. Zamiast tego poszłam spać i przyśniła mi się jabłoń uginająca się pod ciężarem owoców, a wokół niej świeżo spadłe dojrzałe jabłka.

Następnego dnia, po uporządkowaniu domu, z którego wyprowadzaliśmy się, zostawiłam naszą nową opiekunkę, Ninę, z Nickiem i Tonym, przykazawszy im, żeby usiedli na schodach i nie wchodzili do domu, żeby nie narobić bałaganu, a ja wrócę za pół godziny. I pojechałam na Minutę Man Hill do domku Fortasów. Stało tam drzewo, dokładnie tak jak w moim śnie, a wokół niego leżały jabłka. Jeszcze zanim spojrzałam na sam dom, wiedziałam, że go kupimy. Było to najsilniejsze przeżycie psychiczne, jakiego doświadczyłam w życiu.

Carol oprowadziła mnie po małym, pięciopokojowym domu, który miał swój specyficzny urok, jako że został zbudowany w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku dla głównego pastucha, w czasie gdy Minutę Man Hill było dużym gospodarstwem mleczarskim. Właściciele farmy mieszkali nieco dalej w wielkim domu z kamienia, gdzie Carol i Abe spędzali teraz letnie

weekendy; między domami rosły tylko drzewa i rozciągał się szeroki trawnik. Niedaleko stała czerwona stodoła; wydawało się, że się niedługo zawali. Był tam też mały lasek i widać było jasnoniebieskie wody przesmyka Long Island; sam dom stał w najwyższym punkcie okolicy. Plaża Compo była oddalona zaledwie o trzy minuty jazdy samochodem.

Nie pamiętam co powiedziałam Carol, ale była to jakaś forma TAK. W końcu przypomniałam sobie o Ninie i dzieciach i kiedy do nich wróciłam, okazało się, że czekają na mnie cierpliwie. A minęło co najmniej półtorej godziny. Byłam niezwykle podniecona. W tydzień później świętowaliśmy nasz zakup na pikniku na plaży z udziałem Fortasów. Carol przyniosła jedzenie: wielki dzban martini i po jednym hot dogu na głowę.

Nie mogliśmy się wprowadzić do domu podczas zimy, ponieważ Carol go wcześniej wynajęła, ale zaglądając przez okno i odgadując rozmiary pokoi, udało mi się u Bloomingdale'a kupić meble i wszystkie okazały się bezbłędnie trafione.

Jednak podczas pierwszego lata, jakie tam spędziliśmy, cała instalacja kanalizacyjna padła i Tony, który już miał sześć lat, z uporem, którego nie zdołałam pokonać, odmówił wyjazdu na obóz. Nick bawił się tam świetnie, ale Tony pałętał się, znudzony i naprzykrzał się wszystkim. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie popełniliśmy błędu, kupując ten dom. Pamiętam jak patrzyłam przez okno na górze jak armia hydraulików wymienia szambo i mówiłam do siebie na głos, „Nie zamierzałam mieszkać na wsi, jestem dziewczyną z miasta.”

Carol Fortas była świetnym ogrodnikiem, ale ja nie znosiłam ponurych barw ogrodu, jaki tam urządziła; wszędzie lawenda i kłujący oset, który uwielbiała. Nigdy w życiu nie zajmowałam się ogrodnictwem, więc zatrudniłam człowieka, żeby zasadził setki rozmaitych cebulek na następny rok; tylko niewiele z nich się rozwinęło.

Byłam wściekła, że tak nas oszukano i potraktowano jak palantów z miasta. Zrozumiałam, że muszę wziąć sprawy w swoje ręce i powiedziałam Steve'owi, że sama zajmę się ogrodnictwem, zaczynając od zasadzenia grządki róż wokół patio. „I jak tego dokonasz?” spytał z powątpiewaniem. „Przestudiuję podręcznik i zastosuję się do instrukcji, tak jak w przypadku książki kucharskiej”, odparłam.

Nigdy nie miałam najmniejszych wątpliwości, że potrafię urządzić ogród — może to jakieś geny, które mi przekazał ojciec? — ale, ku memu wielkiemu zadowoleniu, udało się i to bez żadnej pomocy, jeśli nie liczyć człowieka, który kosił trawę i przycinał gałęzie, których nie mogłam dosięgnąć. Pewnego wieczoru, w drugim roku naszego pobytu na Minutę Man Hill, ustawiłam na stole z dziesięć wazonów z różnymi kwiatami, po czym usiadłam i przyglądałam się im chyba z godzinę, tak dumna jak z każdej napisanej książki.

Przez następne sześć lat marzyłam o ogrodzie w sposób jak najbardziej realistyczny. Nosiłam ciężary; ryłam ziemię jak mężczyzna; a pielienie stało się moją obsesją. Prawie każdego ranka, jak tylko Steve jechał do miasta, zaczynałam polować na sadzonki w okolicznych szkółkach kwiatowych. Pewien przystojny hodowca sprawił mi prawdziwą przyjemność, kiedy uroczyście ofiarował mi największą cukinię, jaką kiedykolwiek widziałam. Kiedy już znalazłam się sama w samochodzie, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Wyobrażam sobie, co by o tym powiedział Freud. Mniejsza o cygara — ale ta cukinia!

Nowe sadzonki starannie ukrywałam za doniczkami, dopóki ich ukradkiem nie przeniosłam do ogrodu i stopniowo prawie cały trawnik zniknął zastąpiony różnymi roślinami, które tam zasadziłam. Steve w ogóle tego nie zauważył. Moja grządka liliowca żółtawego wyrosła z cebulek, które zasadziłam w dniu pogrzebu Bobby'ego Kennedy'ego. Cebulki te właśnie przyjechały z White Flower Farm i stwierdziłam, że ważniejszą rzeczą jest jak najszybsze umieszczenie ich w ziemi niż oglądanie pogrzebu, chociaż i tak ciągle latałam do telewizora.

Kiedy mieliśmy nasz dom, każdego lata tam jeździłam i pracowałam w ogrodzie co najmniej

pięć godzin dziennie, ubrana w długie spodnie, koszulę z długimi rękawami i w kapeluszu na głowie, żeby się ochronić przed światłem słonecznym, na które jestem uczulona. Kiedy nadchodziła jesień, cóż to była za radość pokrywać cały ogród dziesięciocentymetrową warstwą wysuszonego obornika, żeby moje rośliny przetrwały zimę!

Kiedy było już zimno, dom robił się dla nas zbyt mały, musieliśmy więc spuszczać wodę ze wszystkich rur, żeby nie zamarzała i porzucać nasze ukochane miejsce aż do wiosny.

Wkrótce odbudowaliśmy stodołę, w której ustawiliśmy stół do ping-ponga. Przed stodołą urządziliśmy basen, dobudowaliśmy taras, garderobę oraz bar i daliśmy Carol Fortas klucz do furtki prowadzącej na basen. Trzymałam dla niej butelkę jej ulubionego burbona, a ona codziennie pływała w basenie jak szalona. W rewanżu zapraszała nas na wieczory muzyki kameralnej, w których grał Abe, utalentowany skrzypek wraz ze swymi przyjaciółmi, Izaakiem Sternem i Pinchasek Zukermanem. Były to wieczory pełne magii.

Steve położył na ścianach tapetę, co zrobił bardzo profesjonalnie, oraz pomalował i zainstalował okiennice.

Popołudniami, kiedy było zbyt gorąco, żeby pracować w ogrodzie, kładłam się z kapeluszem na głowie na materacu, który unosił się na wodzie wypełniającej basen i czytałam Trollope'a — jest dla mnie źródłem niewyczerpanej radości i powracam do niego wciąż od nowa. Kiedyś, gdy cenny mały tomik wpadł do wody, wysuszyłam go w piecyku, w wyniku czego cały się poskręcał, ale nadal nadawał się do czytania. Wzięłam dodatkowe lekcje gotowania, stając się znakomitą kucharką i często przyjmowaliśmy gości. W weekendy dwa małe pokoiki chłopców zazwyczaj wypełniali goście, których zapraszaliśmy na przyjęcia. Kiedy skończyło się lato, wielu przyjaciół z Westport zostało naszymi nowojorskimi przyjaciółmi.

Kiedy dzieciaki wróciły do domu, zorganizowałam dla nich lekcje nurkowania pod okiem sympatycznego miejscowego ratownika. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy nagle zdałam sobie sprawę, że dla niego — miał siedemnaście lat — byłam kimś całkowicie pozbawionym seksu, „mamą”. Ta prawda była dla mnie przynębiająca — byłam dopiero po trzydziestce — ale jakoś doszłam do siebie. Cóż więcej mogłam uczynić, skoro nie byłam typem „Mrs. Robinson”?

W początkowym okresie naszego pobytu w Westport wokół osoby sędziego Abe Fortasa wybuchł wieki skandal. Wyszło na jaw, że brał zaliczki w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów rocznie za udzielanie porad biznesmenowi nazwiskiem Wolfson i okryty hańbą został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska sędziego Sądu Najwyższego. Nic nigdy mnie nie przekona, że pomysł pochodził od Abego. Jak przyznał ze smutkiem, Carol dosłownie zmusiła go, żeby sprzedał nam swój ukochany letni domek i, w przeciwieństwie do swego męża, stale i niepotrzebnie martwiła się o pieniądze. Jestem przekonana, że te zaliczki to był jej pomysł. Oboje musieli przechodzić okropne chwile, ale podczas weekendów, kiedy spotykaliśmy się na drinka, nigdy nie usłyszeliśmy nawet najmniejszej wzmianki o wydarzeniu, które było w nagłówkach gazet w całym kraju.

Ze Stevem i ze mną nie było dobrze. Pewnego dnia w 1965 roku Steve nagle zdecydował się na wizytę u psychoanalityka. Przeżywał głęboką depresję. Jego sukces zawodowy wiązał się z częstymi podróżami, co oznaczało nieobecność w domu. Ogromna presja związana z uruchomieniem i prowadzeniem własnej firmy oraz utrzymywaniem rodziny tylko pogarszała sprawę.

Kiedy widziałam go w tym stanie, zawsze wydawało mi się, iż jego milczenie oznaczało, że jest na mnie zły i że powinnam siedzieć cicho, tłumiąc gniew i urazę, ponieważ nie wiedziałam, co złego uczyniłam. To długo się ciągnące nieporozumienie w końcu się wyjaśniło, ale zanim to się stało, musieliśmy oboje przejść bolesną lekcję. Żadne z nas nie potrafiło stawić temu czoła i wyartykułować co nas gnębi, co oczyściłoby atmosferę, ponieważ oboje pochodziliśmy z

domów, w których od najmłodszych lat nam wpajano, żebyśmy siedzieli cicho i unikali kłopotów. I tak to nasze wychowanie obróciło się przeciwko nam. Na pozór wszystko wyglądało całkiem dobrze, ale w głębi duszy byliśmy oboje nieszcześliwi i baliśmy się do tego przyznać.

Kiedy Steve powiedział mi o swoim postanowieniu udania się do psychoanalityka, poparłam jego decyzję, chociaż nic na ten temat nie wiedziałam. W college'u nawet nie brałam udziału w lekcjach psychologii. Zawsze byłam zdania, że jeśli będę miała jakiś problem, wystarczy telefon do trzech przyjaciółek, rozmowa na gnębiący mnie temat i problem zniknie. Byłam zupełnie nieprzygotowana, a jednocześnie przeprowadzałam z ludźmi wywiady na temat ich własnego życia i udawało mi się w pewnym stopniu zrozumieć ich problemy.

Jak to się często zdarza, kiedy jedno z małżonków idzie do psychoanalityka, drugie szybko podąża w jego ślady, ponieważ czuje się opuszczone i odczuwa potrzebę podzielenia się z kimś tą nową sytuacją. Tak właśnie było ze mną. Poszłam do Jerry'ego Barondessa, żeby polecił mi jakiegoś lekarza. Zaproponował, że sam ze mną porozmawia o moich problemach, ale mąż mojej najlepszej przyjaciółki a zarazem mój internista był ostatnią osobą, z którą chciałabym omawiać ten temat. W końcu Jerry dał mi listę psychiatrów i udałam się do pierwszego z nich, nieżyjącego już dr Benjamina Rubensteina. Był stuprocentowym zwolennikiem Freuda, a ja, będąc pełną ignorantką w tej materii, chciałam się dostać do lekarza stosującego metody jedyne psycho —

Bez skrupułów

analityka o jakim słyszałam. Wiedziałam, że jedną z podwalin freudowskiej psychoanalizy była zasada, że pacjent podczas leczenia nie powinien dokonywać żadnych poważnych zmian w swoim życiu i wydawało mi się, że teraz potrzebuję właśnie tego rodzaju dyscypliny.

Tylko doświadczeniu Rubensteina należy zawdzięczać, że podczas mojej pierwszej wizyty nie tarzał się za śmiechu. Sporządziłam dokładną listę rzeczy, których nie chcę, nie potrzebuję czy nie zamierzam z nim omawiać, ponieważ nie stanowią w moim życiu żadnego problemu. Odczytałam tę listę na głos. Obejmowała moją matkę, ojca, męża, dzieci, dzieciństwo — w istocie powiedziałam mu całkiem poważnie, że jedynym powodem mojej wizyty jest to, że zdaję sobie sprawę, iż wydaję za dużo pieniędzy na ciuchy i ostatnio trochę oddaliłam się od siostry.

Było to tak, jakbym poszła do lekarza w zaawansowanym stadium trądu i mówiła, że wyskoczył mi pryszcz. Miałam wtedy prawie trzydzieści sześć lat i wiedziałam o sobie bardzo, bardzo mało. W ciągu następnych pięciu lat miałam się dowiedzieć bardzo dużo. Leczenie rozmową, jak je nazywano, właśnie na tym polega. Dr Rubenstein mówił tak niewiele, że do dziś dnia — a potem miałam jeszcze mnóstwo podobnych wizyt — jestem przekonana, że z wyjątkiem snów, które wyjaśniał bardzo dobrze, analizowałam sama siebie.

Ten łysiejący lekarz w średnim wieku odbył studia w Anglii pod kierunkiem Ernesta Jonesa, który był autorem biografii Freuda. Dr Rubenstein dał mi pewną radę, którą pamiętam do dziś. Na Madison Avenue, naprzeciwko jego gabinetu, była kawiarnia, w której często jadłam lunch. Pewnego dnia powiedziałam mu, że wreszcie wpadłam na pomysł jak powinni przygotowywać hamburgery, aby były niedopieczone (a zawsze były przesmażone). „Dobry Boże, niech pani nie je tego niedopieczonego mięsa!” wykrzyknął. W ciągu pięciu lat, kiedy odwiedzałam go trzy razy w tygodniu, był to największy przejaw jego troski.

Zamieniłam jednego człowieka, który nigdy nie wypowiedział ani słowa (mego ojca) na innego, którego latami uczono, żeby jak najmniej mówił, żeby był jak niezapisana karta. Z perspektywy czasu widzę, że potrzebowałam dobrej, wrażliwej kobiety—psychoanalityka i powinnam siedzieć wyprostowana, patrząc jej prosto w oczy, zamiast leżeć twarzą w dół na miękkiej leżance w pozycji, która powodowała, że czułam się bezsilna.

Po dwóch tygodniach wizyt u dr Rubensteina, przysniło mi się, że prawdziwe imię mego ojca brzmiało Artur. „Co oznacza dla pani imię «Artur»?” spytał Rubenstein. Moim jedynym

skojarzeniem był król Artur. Zabrało mi przynajmniej pół godziny, zanim sobie przypomniałam pianistę, Artura Rubinsteina. Wydawało się to takie banalne! Przez pierwsze dwa lata mojej psychoanalizy moją największą obawą było to, że Rubenstein umrze i zabierze ze sobą wszystko, czego się o mnie dowiedział. Nie powinnam się była niepokoić; wszystko, czego się nauczyłam, spoczywało bezpiecznie we mnie.

Gabinet Rubinsteina urządzony w europejskim stylu znajdował się w jego prywatnym domu i był wypełniony mnóstwem bibelotów. Często w windzie spotykałam jego żonę i wtedy nigdy nie patrzyłyśmy na siebie; potem aż do drzwi do jego mieszkania szłam za nią w bezpiecznej odległości. Ona wchodziła jednymi drzwiami, a ja drugimi, prowadzącymi do poczekalni. Oczywiście nigdy o niej nie rozmawialiśmy, chociaż uważam, że sytuacja, kiedy dochodziły do mnie zapachy przygotowywanego lunchu, była dosyć fałszywa. Naturalnie zasięgnęłam informacji i dowiedziałam się, że żona Rubinsteina była fotografem dziecięcym, że nie mieli dzieci i że każdego lata wyjeżdżali na dwa miesiące do jego ojczystej Finlandii.

Kiedy spoczywałam na leżance, nie mogłam widzieć lekarza i jedyną formę kontroli nad własnym ciałem stanowił rytuał zdejmowania butów i biżuterii, oraz przykrywanie się kocem (na szczęście nie musiałam zakładać piżamy). Przez pierwsze dwa lata moich wizyt u Rubinsteina traciłam tyle energii (także na dojazdy), że w ogóle przestałam pisać.

Przez dwa lata co miesiąc wysyłałam mu czek, bo wydawało mi się rzeczą niewłaściwą płacić mu bezpośrednio za takie intymne rewelacje, których, jak sama siebie przekonywałam, wysłuchiwał z sympatii do mnie, a nie dla pieniędzy. Jednocześnie wierzyłam, że naprawdę nie nazywał się Rubenstein i że zachęcał mnie do mówienia, udając, że jest Żydem! W trzecim roku kuracji, kiedy odzyskałam już trochę rozum, delikatnie kładłam czek na gzymsie kominka, a w czwartym roku zaczęłam go kłaść na jego biurku. W piątym i ostatnim roku wręczałam mu czek bezpośrednio. (Jedna z moich przyjaciółek powiedziała, że nie będę całkowicie wyleczona, dopóki nie zacznę mu płacić, sypiąc drobne prosto do jego dłoni!) Tak więc był pewien postęp... przyznałam, że robi to dla pieniędzy, a nie dlatego, że jestem taka godna uwielbienia. Na szczęście miałam dwadzieścia tysięcy dolarów, które dali mi rodzice, więc mogłam sama płacić za te wizyty.

Każdego lata staczałam z Rubensteinem walkę w związku z tym, że kiedy Nick i Tony kończyli szkołę, natychmiast przenosiliśmy się do Westport, na dwa tygodnie przed rozpoczęciem jego urlopu. Zaproponowałam, że będę płacić za te dwa tygodnie, ale on stał na stanowisku, że kiedy przyjmuje pacjentów, powinnam przyjeżdżać na swoją godzinną sesję. I zostawiać mój ogród? Niedoczekanie! Byłam neurotyczna, ale nie do tego stopnia. Pewnego dnia, kiedy żegnałam się z nim na lato, powiedziałam, „Miłej zabawy na tej wyspie w Finlandii.”

Prawie zsiniał. „Skąd pani o tym wie?” „Och, na litość boską, nie rozumie pan, że jeśli nic pan ludziom nie mówi, sami próbują się czegoś dowiedzieć?” spytałam. Był to jedyny moment, kiedy w jego towarzystwie poczułam się jak równy z równym.

Wszystko to się działo w drugiej połowie lat sześćdziesiątych i kiedy po raz pierwszy zjawiłam się na wizycie w spodniach, wyglądał na tak zaskoczonego jakbym oświadczyła, że zamierzam się poddać operacji zmiany płci. „Proszę się nie przejmować, doktorze, to najnowsza moda”, uspokoiłam go, „i zamek jest z tyłu.” Widząc, że mam długie włosy, aż podskoczył ze zdumienia. „Gdyby pan zaprenumerował *Women's Wear*, nie byłby pan tak zaskoczony”, powiedziałałam ucieszona, że przyłapałam go na jakiejś ludzkiej reakcji. Ach, ci freudyści!

Jednak psychoanaliza jest lepsza niż nic, a ja musiałam wiedzieć, że mój lekarz hołduje tradycji i nie będzie eksperymentował z moim umysłem. Ale nie wiedziałam, że dawniej Jerry Barondess był także jego pacjentem. Pewnego dnia, kiedy to wyszło na jaw, wymknęło mi się, „Do licha, Jerry, jesteś jedynym jego pacjentem, jakiego znam i nadal jesteś neurotykiem.” Jerry

wcale nie był zachwycony, ale to była prawda.

Uważam, że podczas mego pierwszego kontaktu z psychoanalizą odkryłam samą siebie, co w innych okolicznościach nie miałoby miejsca. Była to szansa poddania ponownej ocenie mego życia i wyznawanych przeze mnie wartości, szansa żeby nie zamykać się w przeszłości, żeby zadać sobie pytanie, dlaczego robię to co robię. Dzięki temu uległy poprawie moje kontakty z ludźmi, zwłaszcza ze Stevem, z którym byłam teraz znacznie bardziej szczerą. Pewnego dnia, podczas pierwszych sześciu miesięcy psychoanalizy, ni stąd ni zowąd powiedziałam mu o tym, że miałam zabieg usunięcia ciąży, czego przedtem nie powiedziałabym nikomu. Wykazał pełne zrozumienie i wcale nie był zaszokowany. Od tej chwili powoli zaczęliśmy oboje opowiadać sobie rozmaite rzeczy, które dotąd ukrywaliśmy przez dziesięć lat małżeństwa i dzięki temu stawaliśmy się coraz bardziej sobie bliscy. Maską porządnej dziewczyny, którą poznał, zaczynała opadać.

Najważniejszą rzeczą, jakiej się dowiedziałam, było uświadomienie sobie, jak silny wpływ wciąż mają na mnie rodzice i jak bardzo moje życie było podobne do tego, jakiego chciała matka. Wyruszyłam w długą, długą drogę, aby odnaleźć samą siebie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Byłam o dziesięć lat za stara, żeby móc zrobić coś więcej niż tylko poczuć smak lat sześćdziesiątych. Nigdy nie potrafiłam się zmusić, żeby zatańczyć twista, nie czując się przy tym głupio, prawdopodobnie dlatego, że byłam zbyt spięta; nigdy też nie paliłam trawki, bo nigdy mi tego nie zaproponowano. Nigdy jej nawet nie widziałam na oczy. Czy wiedziałabym jak to jest, gdybym spróbowała? Mam nadzieję.

Kiedy przyjaciel męża zobaczył moje długie włosy (miałam wtedy tylko trzydzieści pięć lat), skomentował to, mówiąc, „Jeszcze jedna stara baba z długimi włosami”, przez co natychmiast został przeniesiony do kategorii byłych przyjaciół. Zostałam ekspertem w przyklejaniu sztucznych rzęs i entuzjastycznie przyjąłam modę minispódniczek i długich butów, ale dla kobiety, mającej dwoje dzieci poniżej dwunastu lat, lata sześćdziesiąte zawsze wydawały się dotyczyć kogoś innego, kogoś kto ma najwyżej dwadzieścia parę lat.

Jednak były pewne wyjątki. Ilekroć byliśmy w Londynie, gdzie zdobywaliśmy coraz więcej przyjaciół, czuliśmy się częścią tych czasów i tej atmosfery. W Nowym Jorku, dzięki pośrednictwu przyjaciela Steve’a, Jacka LeViena, zostaliśmy członkami ekskluzywnego klubu, który zdominował świat dyskotek. Nosił nazwę Le Club i marzeniem każdego było tam pójść i potańczyć. Był to okres poprzedzający Studio 54 i eleganckie stroje były wciąż pożądane.

Jack był jednym z owych mężczyzn, obdarzonych talentem towarzyskim, którzy wydawali się znać dosłownie każdego w Londynie i Nowym Jorku. Jego przyjaciele wywodzili się ze wszystkich możliwych środowisk. Kiedyś był oficerem w londyńskim sztabie Eisenhowera, odpowiedzialnym *public relations*, a później wyprodukował film pt. *Historia króla* z księciem Windsoru i serial telewizyjny *Winston Churchill: lata męstwa*, zrealizowany pod kierunkiem Steve’a.

Och, Jack był takim cudownie niemądrym facetem! Nieustannie wybuchał śmiechem, który wciąż dźwięczy mi w uszach. Znał więcej sekretów niż jakakolwiek kobieta. Skądinąd był zupełnym zerem, ale w każde towarzystwo wnosił niczym nieskrępowaną radość.

Jego „bazą” był Londyn, gdzie mieszkał razem z uroczą, spokojną kobietą nazwiskiem Lady Josephine Cato. Często bywał w Annabel’s, tym najsławniejszym z londyńskich nocnych klubów. Kiedy pewnego wieczoru Jack przedstawił mnie Tony’emu Shaftsbury, który poślubił jedną z byłych żon Jacka, próbowałam, raczej bezskutecznie, nawiązać rozmowę z tym staroświeckim Anglikiem. W końcu spytałam go po prostu, czy mieszka w Londynie. „Nie, na wsi, przyjechaliśmy tu tylko na wieczór.” „Och”, powiedziałam, Jaka szkoda... Londyn jest teraz taki interesujący, musi pan być nieszczęśliwy, że wraca pan na tę nudną wieś.” „Hmm”, odrzekł, odwracając się do kogoś innego. Kogoś, kto wiedział, że rozmawia z hrabią Shaftsbury, a hrabiowie mieszkają na wsi w swoich wielkich majątkach i nigdy nie są znudzeni, będąc właścicielami ogromnych połaci tego kraju.

Ten rodzaj zabawnych nieporozumień był charakterystyczny ilekroć spotykaliśmy się z Jackiem, który niczego nie traktował poważnie i zawsze był gotów do żartów. Przez wiele lat przewijał się przez nasze życie. Pewnego dnia poważnie zachorował i musiał się poddać kosztownej kuracji, a po kilku latach zmarł. Podczas choroby był pod opieką CIA. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że był ważnym funkcjonariuszem CIA i od czasu wojny aktywnie służył organizacji. Uważajcie na niezbyt mądrych facetów. Mogą zdobyć o wiele więcej informacji niż ci poważni. Teraz, gdy wiem czym naprawdę zajmował się Jack, jawi mi się niby sam Graham Greene, pogodny człowiek w zalanym słońcem miejscu.

W Nowym Jorku często byliśmy zapraszani na przyjęcia do Barbary Walters. Kiedyś wdałam się w dłuższą rozmowę z Barbarą, Martą Graham i Charlotte Curtis, która była redaktorką działu kobiecego w dzienniku *New York Times*. Nagle zdałam sobie sprawę, jak swobodnie się czuję w towarzystwie tych dynamicznych kobiet. Piszę wyłącznie dla magazynów dla kobiet, pomyślałam, nikt nigdy nie jest ciekaw mego nazwiska, ale mimo to nie jestem onieśmielona. Do licha, chciałabym robić coś *ważniejszego*.

To jedyna myśl o podłożu ambicjonalnym, jaką sobie przypominam z tego okresu czy w ogóle z całego życia, aż do chwili, gdy byłam w połowie powieści *Skrupuły*, w 1976 roku. Jednak często miałam świadomość, że bardzo pragnęłam robić *jedną rzecz*, cokolwiek, co wyrwie mnie ze „zwyczajności”. Ale nie miałam pojęcia, co by to mogło być.

Wiele lat wcześniej, podczas Święta Dziękczynienia u Mayesów, poznałam nową, trzecią z kolei żonę Davida Browna, Helen. Była szalenie miła, miała łagodny głos, była trochę nieśmiała i jakoś nie w swoim żywiole (tak pomyślałam), bo dlaczego nie zauważyła, że widać górną część jej czarnego, koronkowego stanika? Naiwni mężczyźni, nigdy nie lekceważcie kobiety, która celowo, jak się w przyszłości przekonałam, pokazuje fragment swojej bielizny.

Pod koniec lat sześćdziesiątych napisałam do Helen Gurley Brown, proponując napisanie krótkiego artykułu na temat nowego popularnego słowa „funky”. Helen z miejsca odpisała, że „funky” pożyje najwyżej pół roku — nie miałaś racji, Helen — ale jeżeli mój list miał znaczyć, że mogłabym pracować nie koniecznie dla Johna Mack Cartera, to pragnie zaproponować mi pisanie artykułów dla magazynu *Cosmo*. Właśnie! Tak rozpoczęła się najbardziej owocna współpraca z magazynem w moim życiu.

Cosmo drukował co miesiąc bardzo wiele materiałów, a Helen miała wielką księgę, wypełnioną pomysłami, czekającymi na opracowanie. Była typem redaktora, na jakiego liczą autorzy. Żadnego przepisywania, żadnych uwag w rodzaju „proszę to przerobić”, ale, zamiast tego, rzeczowe polecenia: „Na trzeciej stronie, w trzecim akapicie, w szóstym wierszu, proszę to wyrazić jaśniej.” Był to doskonały, bezpośredni sposób nadzoru nad ostatecznym kształtem tekstu.

Nauczyłam się nigdy nie przyjmować zadania, dopóki nie napisałam Helen, jaki mam na to ogólny pogląd. Jeśli nie zgadzałyśmy się, w ogóle nie brałam się do roboty. W *Cosmo* każde słowo stanowiło odbicie opinii Helen, więc jeśli byłyśmy odmiennego zdania, po co w ogóle zaczynać? Na szczęście często zgadzałyśmy się ze sobą, dzięki czemu miałam co robić. Wkrótce awansowała mnie na stanowisko jednego z sześciu „redaktorów współpracujących”.

W 1967 roku Steve sprzedał swą swoją, mającą już cztery lata, firmę dużemu przedsiębiorstwu telewizji kablowej. Oferta była świetna i po raz pierwszy w życiu poczuliśmy się rzeczywiście zabezpieczeni finansowo. Steve zgodził się dalej kierować firmą przez następne pięć lat. Byłam szalenie dumna z tego, co Steve osiągnął na własną rękę w tak krótkim czasie. Startując od zera, doszedł do światowej pozycji w dziedzinie animacji i dystrybucji.

W wigilię świąt Bożego Narodzenia przyjechałam do domu, kiedy podpisywał dokumenty sprzedaży firmy i zastałam wiadomość, że dzwonił jakiś p. Maximilian i zostawił swój numer telefonu. Oddzwoniłam z czystej ciekawości, bo nie znałam żadnego p. Maximiliana. Okazało się, że rozmawiam ze sprzedawcą u Maximiliana, najslawniejszego kuśnierza na świecie, który zawiadamał mnie, że mój mąż właśnie zamówił dla mnie futro z soboli. „Ale sobole pogrubiają!” zaprotestowałam. „Mogę pani obiecać, że nie”, odparł, rozbawiony.

Kiedy moje nie pogrubiające futro z soboli było gotowe, zmieniłam zdanie. Ponadto, kiedy byłam u Maximiliana u miary, zobaczyłam brązowe futro z jagniąt, z zamszowym wykończeniem i, kiedy o tym wspomniałam od niechcienia — naprawdę od niechcienia, przysięgam — Steve kupił mi je także. Wywołało to nieoczekiwany komentarz ze strony dr

Rubensteina, który na chwilę stracił swoje chłodne, freudowskie opanowanie. „Co? Jeszcze jedno futro?” Myślę, że po zakończonej sesji ogarnął go wstyd. Gdybym tylko zachowała przytomność umysłu i jakoś na to zareagowała. Ach... te dwa słowa „gdybym tylko”; obiecałam sobie, że nie będę ich więcej używać. Obietnice... obietnice...

Jak zwykle, choć wtedy akurat finalizował transakcję sprzedaży firmy, Steve znalazł czas, żeby zrobić mi niespodziankę i podarować mi coś, o czym nigdy nie marzyłam. Moje sobolowe futro było pierwszym z trzech, które nosiłam tak często, że w końcu dwa z nich z tyłu „wyłysiały” i zostały wykorzystane jako podszewka w płaszczu przeciwdeszczowym. Kiedy w wiele lat później noszenie futer, nawet w zimowe wieczory, stało się rzeczą niestosowną, przekonałam się, że kiedy noce w Kalifornii stają się chłodne, około czwartej po południu nie ma nic miłszego niż usiąść na dworze, owinąwszy się w jedyne ocalałe sobolowe futro i patrzeć na refleksy złotego światła wieczoru na powierzchni wody naszego basenu. Tylko w takich rzadkich, pełnych spokoju i wolnych od pracy chwilach czuję się prawie — prawie, bo jednak nie całkiem — jak jedna z moich bohaterek.

Dwa lata po sprzedaniu firmy, Steve poczuł, że praca dla kogoś jednak mu nie odpowiada i założył nową firmę pod nazwą Steve Krantz Productions.

W 1971 roku zapragniemy zamieszkać w Londynie, aby wyrwać się z Nowego Jorku, który stawał się coraz bardziej brudny i niebezpieczny. Washington Square Park został opanowany przez gangi motocyklowe. Nasze mieszkanie dwukrotnie obrabowano, kiedy byliśmy w Westport. Ponieważ mieszkaliśmy na drugim piętrze i tylne wejście do domu nie było strzeżone, musieliśmy założyć metalowe kraty we wszystkich oknach z tyłu i stalowe pręty w drzwiach kuchennych, żeby rabusie nie mogli się dostać do środka. „Needle Park” był tylko o dwie przecznice od Dakoty na Siedemdziesiątej Drugiej ulicy i, idąc do miejscowych delikatesów, musieliśmy koło niej przechodzić.

Co gorsza, moich synów już cztery razy napadnięto na ulicy, gdzie otoczyła ich grupka dzieciaków z nożami, żądając pieniędzy, zegarków i biletów autobusowych. Nigdy im się nic nie stało, ponieważ powiedzieliśmy naszym chłopcom, żeby od razu oddawali wszystko co mają i zawsze uważali, żeby nie wychodzili nie mając czegoś, co mogą oddać bandytom. Kiedyś byłam w parku ze Stevem i Nickiem, któremu zabrano rower, jak tylko zniknął za zakrętem oddalonym zaledwie o trzy metry od miejsca, gdzie siedzieliśmy. Innym razem Nick przyszedł do domu i powiedział, że spotkał „fajnych” bandytów, którzy oddali mu bilet autobusowy, ale wtedy już wiedziałam, że czas się stamtąd wynosić.

Od dawna wiedzieliśmy, w jakiej dzielnicy Londynu chcielibyśmy zamieszkać. Nasi przyjaciele mieszkali na ulicy Ilchester Place w Knightsbridge, sąsiadującej z Holland Park, wyspą zieleni w tym pięknym mieście. Byłam w stałym kontakcie z agentami handlu nieruchomościami i w końcu zwolnił się dom na skraju Holland Park. Natychmiast poleciałam do Londynu, żeby go obejrzeć. Dom był w sam raz i miał otoczony murem ogród, za którym rozciągał się park, w którym z daleka można było dojrzeć kort tenisowy. Dom był z cegły, zbudowany w georgiańskim stylu. Przez ponad czterdzieści lat mieszkała w nim ta sama rodzina i nawet zupełny laik mógł zauważyć, że cała instalacja elektryczna groziła pożarem; wszędzie było widać postrzępione przewody.

Jednak kiedy już kupiliśmy dom w Londynie, Steve wpadł na nowy pomysł. Kiedy mi o nim powiedział, pomyślałam, że oszalał. Chodziło o komiks z czarno — białymi rysunkami, którego autorem był Robert Crumb. Komiks nazywał się *Fritz the Cat* i mój pracowity mąż, który przed chwilą mówił, że marzy o przejściu na emeryturę w Londynie, teraz został owładnięty ideą zrobienia z tego komiksu pełnometrażowego filmu animowanego. Oczywiście w Kalifornii. Londyn? Zapomnijmy o tym. Wszystkie firmy, do których się zwrócił, odmówiły sfinansowania

filmu, więc postanowił sfinansować go sam. Dawniej, gdy był właścicielem studia animacji, zaangażował nikomu nieznanego reżysera, nazwiskiem Ralph Bakshi, który, jak uważał, był wielką nadzieją kinematografii. Teraz zaangażował go ponownie i dał mu szansę przerobienia komiksu na film.

Ralph był dziki, głośny, nieokrzesany i ubierał się jak robotnik portowy. Jego język był językiem ulicy, ale był przy tym niewątpliwie utalentowany. Może był i zabawny, ale go nie lubiłam.

Steve i Ralph wyjechali na parę dni do Kalifornii, żeby zatrudnić grupę animatorów ze studia Disneya, ponieważ Steve postanowił, że do *Fritza* musi mieć najlepszych z najlepszych. W 1971 roku byłam jedyną osobą, która sprzedała dom w Londynie ze stratą, przy czym zostałam zwyczajnie okradziona przez mego agenta. Musiałam także sprzedać nasz ukochany dom w Westport. Ostrzegłam nabywcę, żeby albo zajął się ogrodnictwem albo też powyrywał wszystko, co posadziłam i zastąpił to trawą.

Postanowiłam podnająć nasze nowojorskie mieszkanie, które mieliśmy wynajęte na trzy lata, ponieważ miałam ciche wątpliwości co do Fritza i wyjazdu do Kalifornii. Najemcą okazał się elegancki Anglik, nazwiskiem Peter Brown, który chciał nam płacić miesięcznie o dwieście dolarów więcej niż płaciliśmy sami. „Ale dlaczego chce pan mieszkać sam w takim dużym mieszkaniu?” spytałam. „Widzi pani”, odparł bardzo przekonująco, „urządzą liczne i duże przyjęcia, a to mieszkanie doskonale się do tego nadaje.” Jak tylko wynieśliśmy się, wprowadził się Peter Brown wraz w pół tuzinem sekretarek i mnóstwem teleksów, po czym zaczął w naszym mieszkaniu prowadzić dzień i noc przesłuchania do musicalu *Jesus Christ, Superstar*.

Zrozumiałe, że właściciele bez trudu namówili naszych sąsiadów do podpisania petycji, żeby nas wyeksmitować. Peter Brown, ten paskudny, podstępny oszust pracował dla Stigwooda i miał z naszym właścicielem cichą umowę, żeby się nas pozbyć. Właściciel był we wszystko wtajemniczony od samego początku. Jak tylko wypowiedziano nam umowę, sekretarki i niedosłe gwiazdy Broadwayu natychmiast wyparowały, a Stigwood wynajął nasze mieszkanie za sześć tysięcy dolarów miesięcznie, czyli sumę ponad dwanaście razy większą niż to co sami płaciliśmy.

W następnych latach widywałam w rozmaitych magazynach zdjęcia Johna Travolty lub innych gwiazd Stigwooda, wychylających się z jednego z balkonów, gdzie corocznie zapraszaliśmy dzieci, aby podziwiały pochód w Dniu Dziękczynienia. Pamiętam jak podczas śnieżycy wchodziłam do pogrążonego w ciemnościach salonu i patrzyłam na śnieg wirujący w światłach latarni Central Parku; jak wpatrywałam się w znajdujące się dokładnie naprzeciw naszego domu wieże Piątej Alei podczas długich godzin kryzysu kubańskiego i zastanawiałam się, czy naprawdę wszyscy za chwilę wyparujemy; jak co roku w oknie biblioteki stawialiśmy wielką choinkę, udekorowaną papierowymi zabawkami, które Steve kupił w San Francisco i małymi białymi lampkami, dopóki pewnego dnia Nick nie powiedział mi, żebyśmy dali sobie spokój, jeśli robimy to dla nich i wtedy zdałam sobie sprawę, że robiłam to dla siebie... ponieważ moja matka nie akceptowała choinki na Boże Narodzenie. Pamiętam jak razem z naszymi kochanymi sąsiadami z góry, Davisem i Karen Thomasami, jechaliśmy wystrojeni na rowerach po zaśnieżonym Central Parku, żeby dostać się na bal wydany przez Johna Lindsaya, z okazji wybrania go na mera Nowego Jorku, bo w mieście akurat ogłoszono strajk pracowników komunikacji.

Kiedy powiedziałam dr Rubensteinowi, że muszę zakończyć sesję psychoanalizy, bo przenoszę się do Kalifornii, wydawał się zupełnie nieporuszony tą nowiną. Nigdy nie próbował zakończyć naszych spotkań. Jednak podczas mojej ostatniej wizyty wyraził żal, że wciąż nie rozumiałam, że muszę naprawdę zechcieć ujrzeć „pierwotny obraz”, kiedy dziecko widzi jak

rodzice kochają się. Freud mógłby o tym wiele powiedzieć... albo raczej nie sam Freud, ale ci jego zwolennicy, którzy interpretują jego metodę bardzo dosłownie i zawężają ją w sposób, pod którym on sam pewno by się nie podpisał.

Niemniej jednak bardzo się cieszyłam, że poddałam się psychoanalizie, choć — jak teraz widzę — mój lekarz nie był zbyt dobrym specjalistą. Starał się jak najmniej mówić, ale — o ile mi wiadomo — nie zrobił mi w ten sposób żadnej krzywdy, a sama możliwość podzielenia się z kimś moimi myślami, lękami i fantazjami trzy razy w tygodniu ogromnie mi pomogła. W ten sposób zbliżyłam się do Steve'a bardziej niż kiedykolwiek. Gdybyśmy oboje nie poddali się psychoanalizie niemal równocześnie, wcale nie jestem pewna, czy nasze małżeństwo przetrwałoby trudne lata sześćdziesiąte.

Dzięki temu bardzo dojrzałam. Dowiedziałam się, że przygotowana przeze mnie na pierwsze spotkanie z lekarzem lista spraw, które nie są dla mnie źródłem niepokoju, jest w istocie listą głęboko mnie nurtujących problemów. Musiałam odkryć i zrozumieć te problemy najlepiej jak potrafię, aby się dowiedzieć, dlaczego nimi są, a także co mogę uczynić, żeby to zmienić. Nauczyłam się słuchać innych w odmienny sposób, poznawać ich wykorzystując liczne wskazówki, które przedtem uchodziły mojej uwadze i rozumieć motywy ich postępowania. Nauczyłam się wybaczać i nie zwracać uwagi na ludzi, którzy nieustannie czymś się martwili. Mam poważne wątpliwości, czy bez psychoanalizy w ogóle potrafiłabym pisać powieści, ponieważ zrozumienie, dlaczego moje postaci działają tak a nie inaczej, ma dla mnie zasadnicze znaczenie. Ich działania muszą mieć w sobie psychologiczną prawdę.

Ta prawda nie musi być widoczna dla czytelnika, ale musi być obecna, żeby to co piszę było wiarygodne. Norman Mailer powiedział, „Każde pisarstwo wyrasta w jakimś stopniu z własnego ego; trzeba zdobyć się na przyznanie się przed samym sobą, że sposób, w jaki się pisze, jest tym jedynie możliwym.” Jeśli o mnie chodzi, zgadzam się z jego zdaniem całkowicie, a uświadomienie sobie tego zawdzięczam psychoanalizie.

Psychoanaliza wyposażyła mnie także w szczególny język, którym potrafią się posługiwać jedynie ci, którzy się jej poddali. Czasami zastanawiam się, jak przebiegałyby dzisiaj rozmowy bez użycia tego języka.

Dowodem tego, że zmieniłam się, były rozmaite nieoczekiwane efekty. Całymi latami nawiedzał mnie przerażający koszmar senny, w którym znajdowałam się w zepsutej windzie, która pędziła w górę i zaraz miała przebić strop i unieść się w przestworza. Pewnego dnia w ostatnim roku sesji psychoanalizy znowu mi się przyśnił ten sam koszmar, ale tym razem powiedziałam sobie, że winda w ogóle się nie porusza, po czym otworzyłam drzwi i przekonałam się, że wciąż stoi na parterze. Było to wyraźne potwierdzenie mego wewnętrznego rozwoju.

Rozdział trzydziesty

15 czerwca 1971 roku, jak tylko dzieci skończyły szkołę, poleciliśmy do Kalifornii, do Steve'a. „Mamo”, powiedział Nick z wyrzutem, starannie podnosząc mały skrawek papieru i wrzucając go do kosza na śmieci”, dlaczego nie przyjechalśmy tu wcześniej?”

To pierwsze lato spędziliśmy w apartamencie hotelu Bel — Air. W soboty i niedziele zawsze odbywały się śluby i na trawniku przed naszymi oknami (mieszkaliśmy na parterze) ustawiał się szpaler przybyłych gości. Chłopcy w marynarkach i pod krawatem przechodzili szpalerem, gdzie brano ich za czyichś kuzynów, i przynosili talerze pełne zakąsek na patio, gdzie siedzieliśmy.

Zaraz drugiego wieczoru prawnik Steve'a, nieżyjący już Gene Wyman, zaprosił nas na obiad i projekcję filmu. Kiedy chłopcy zasiedli w głębokich fotelach, ze słodyczami w zasięgu ręki i patrzyli, jak z podłogi wyjeżdża ogromny ekran, byli tym równie oszołomieni jak ja. Była to najczystsza hollywoodzka fantazja.

Podczas tego pamiętnego tygodnia zostaliśmy ze Stevem zaproszeni na nasze pierwsze kalifornijskie przyjęcie przez Billa Doziera, przyjaciela mego męża z okresu jego studiów na Columbii; jego żoną była Ann Rutherford, gwiazda, która grała dziewczynę Mickey Rooney'a, Polly Benedict, w filmach Andy Hardy'ego i jedną z sióstr *vi Przemięło z wiatrem*. Po obiedzie jeden z gości zaczął częstować jakimiś papierosami o dziwnym kształcie; domyśliłam się, że to marihuana. Odmówiłam, tłumacząc, że nigdy nie nauczyłam się palić.

Towarzystwo natychmiast zainteresowało się moją osobą. Steve patrzył z lekką dezaprobatą, kiedy wszyscy próbowali mnie nauczyć jak to się robi, ale na próżno. Tylko się rozkaszałam. Przez większą część lata na różnych przyjęciach mnóstwo osób próbowało mnie tego nauczyć, ale dopiero kiedy jedna z przyjaciółek zaprosiła nas samych na obiad, w końcu „zaskoczyłam”. Szalenie mi się spodobało to uczucie i te wszystkie zabawne myśli, które przelatywały mi przez głowę. Często mówiłam do siebie na głos, ale inni mnie nie słuchali, ponieważ sami byli pogrążeni we własnych myślach; po wypaleniu trawki, Steve czuł się jak paranoik.

W końcu dowiedziałam się gdzie kupować marihuanę, jak ją oczyszczać i jak samemu robić skręty, ponieważ w towarzystwie, w jakim obracaliśmy się, każdy miał trawkę pod ręką. Niemniej jednak, ilekroć wyjeżdżaliśmy z miasta, spuszczaaliśmy ją z wodą w toalecie (są problemy, unosi się na powierzchni), tak że gdybyśmy oboje zginęli w katastrofie lotniczej, dzieci nigdy by się o tym nie dowiedziały. Ach, ta niewinność! Obaj chłopcy mieli już włosy do ramion i prawdopodobnie (choć nigdy ich o to nie pytałam) mogliby mi pokazać jak się zaciągać, jeśli nie wtedy, to na pewno za parę lat.

Koniec końców, w ciągu roku przytrafiły mi się dwa nieudane odjazdy, prawdopodobnie dlatego, że zmieszałam haszysz z trawką. Raz nie mogłam zasnąć przez całą noc, wciąż przewracając się w łóżku z boku na bok, a innym razem przez sześć godzin usiłowałam zakręcić włosy. Nawet te nieudane odjazdy były jakieś *staromodne*. Ponieważ Steve nadal nie znośił trawki, postanowiłam przestać ją palić i wkrótce musieliśmy się zaprzyjaźnić z innymi ludźmi, ludźmi, którzy nie uznają wieczoru za nieudany, dopóki nie są naćpani.

Wiele lat później, chociaż nie paliłam już trawki długo, postanowiliśmy z bratem i siostrą urządzić wspólne palenie, żeby się przekonać, czy nie odkryjemy czegoś związanego z naszym dzieciństwem, ponieważ wszyscy urodziliśmy się w ciągu czterech lat i wychowywaliśmy się w tym samym otoczeniu. Wybraliśmy mieszkanie Mimi, bo była wówczas niezamężna i zjawiliśmy się z naszymi współmałżonkami. Steve obiecał, że o północy odstawi Jeremy'ego i mnie do domu.

Był to niesamowity wieczór. Mimi pamięta go zdecydowanie najlepiej; w jej pamięci pozostało tyle zaskakujących szczegółów, że doszliśmy do wniosku, że jeśli któreś z pozostałej dwójki pamięta to samo, można to uznać za prawdę, nie wierzyliśmy bowiem dobrze znanej z wybujałej wyobraźni Mimi. Ona i ja wciąż mówiłyśmy i mówiłyśmy, a Jeremy słuchał z wyrazem pełnego zadowolenia na twarzy. „Dlaczego nic nie mówisz?” dopytywałam się. „Lubię was słuchać”, odparł, „to brzmi jak wielka aria operowa.” Pod koniec wieczoru wymieniliśmy wrażenia na temat chyba wszystkich istotnych przeżyć związanych z rodzicami. To bardzo dodaje otuchy, jeśli się wie, że doznania z dzieciństwa są w zasięgu ręki. W końcu Jeremy zabrał głos i powiedział, że byliśmy dla niego fantastycznymi starszymi siostrami, dzięki czemu zdołał wytrzymać totalny brak zainteresowania ze strony rodziców. Dziwnym trafem, chociaż zamierzaliśmy powtórzyć to doświadczenie, nigdy tego nie uczyniliśmy. Prawdopodobnie było dla nas tak pełne, że nie wymagało dodatkowego potwierdzenia.

* * *

Już przywykłam do poruszania się po sennych uliczkach Westport, a teraz musiałam stawić czoło agresywnym kalifornijskim kierowcom. Za każdym razem, gdy wsiadałam do samochodu, oblewał mnie zimny pot. Kiedy wozilałam chłopców na lekcje tenisa z Pancho Gonzalezem, dawnym mistrzem, którego w latach czterdziestych widziałam na Forrest Hills, a który teraz dawał lekcje tenisa w pobliskim hotelu Beverly Hills, zapinałam im pasy i ostrzegałam, żeby nie odzywali się *ani słowem*, kiedy spięta i prawie nie oddychając przemierzałam blisko kilometrowy, kręty i o tej porze spokojny odcinek Sunset Boulevard.

Kiedy znaleźliśmy się w Kalifornii, miałam jednak znacznie poważniejsze zmartwienia. Dwa i pół roku wcześniej, u męża Mimi, dr Jacques'a Briena, rozpoznano guz mózgu. Zastosowano eksperymentalne leki, które podawano jeszcze tylko czterem osobom w kraju, ze względu na jego pozycję w świecie lekarzy, dzięki czemu zdołano go utrzymać przy życiu i umożliwiono kontynuowanie praktyki lekarskiej jeszcze przez blisko dwa i pół roku. Jak tylko się o tym dowiedział, poinformował pacjentów o swoim stanie i dał im do wyboru albo pozostanie u niego albo przeniesienie do innego lekarza.

Ci którzy pozostali, a było ich wielu, uczynili w ciągu tego okresu znaczne postępy, tak jakby wiedzieli, że nie ma czasu do stracenia. Jednak kiedy Jacques zdał sobie sprawę, że jego umiejętności zaczynają go opuszczać, kiedy nie mógł już mówić czy myśleć tak jasno jak dawniej, postanowił popełnić samobójstwo, ponieważ życie bez pracy, życie, które i tak wkrótce się skończy, przy czym jego stan będzie się stale pogarszał, nie dawało żadnych powodów, żeby ciągnąć je dalej. Mniej więcej w dwa tygodnie po naszym przyjeździe i w sześć tygodni po zaprzestaniu praktyki, kupił pistolet i wynajął pokój w nowo otwartym hotelu Holiday Inn, którego okna wychodzą na Sunset Boulevard. I tam zastrzelił się. Powiedział Mimi, że wybrał Holiday Inn, bo jest to najbrzydszy budynek jaki kiedykolwiek zbudowano i pragnął to jakoś zmanifestować. Nalegał też, aby w jego nekrologu nie pisano, że „umarł z własnej ręki”, ponieważ silnie wierzył w prawo każdego do samobójstwa.

Mimi, która przez cztery lata żyła u boku umierającego człowieka, którego kochała, była bardzo przybita i oczywiście spędzałam dużo czasu z nią i jej dwiema córkami. Aliza miała wkrótce zacząć studia na Harvardzie, a Susanna była w drugiej klasie szkoły średniej. (David Karney, pierwszy mąż Mimi, był wyjątkowo wziętym budowniczym i dla swoich córek pozostał oddanym ojcem.) Moja matka była głęboko zaniepokojona, że w nekrologu wymieniono samobójstwo, ponieważ wedle swoich staroświeckich poglądów (tak uważałyśmy z Mimi) była zdania, że samobójstwo to skandal, który należy ukryć.

Na długo przed poznaniem Jacquesa, Mimi miała burzliwy romans z mężczyzną nazwiskiem Jack Dyckman, który był znanym architektem. Jego małżeństwo było nieudane, ale był katolikiem i miał dzieci, więc, podobnie jak dawna miłość mojej matki, nie chciał się rozwieść. Teraz, wkrótce po śmierci Jacques'a, ponownie pojawił się na scenie i objął kierownictwo katedry Jamesa Irvine'a na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, wówczas jedynej katedry planowania urbanistycznego w kraju i niebawem znów wkroczył do życia mojej siostry. Jack był uważany za geniusza w skali światowej, jak również za alkoholika w tejże skali.

Jack i Mimi zamieszkali razem, a w połowie lat siedemdziesiątych Jack w końcu dostał rozwód i przekonał Mimi, że przestał pić. W 1977 roku zgodziła się wyjść za niego za mąż, ale małżeństwo utrzymało się tylko przez dziewięć miesięcy, ponieważ znowu zaczął pić. Trudno było uwierzyć, że człowiek może tyle wypić, a mimo to funkcjonować jak gdyby był trzeźwy.

Związek Mimi i Jacka trwał jeszcze po ich rozwodzie, aż do jego śmierci na raka mózgu. Mój ojciec, Jack Tarcher, Jacques Brien, a teraz Jack Dyckman — wszyscy zmarli na raka mózgu i Mimi była niemal przekonana, że miało to jakiś związek z nią samą. Musiałam ją przekonywać, że nie dysponuje aż taką mocą. Po śmierci Jacka Dyckmana, poprzysięgła nigdy więcej nie wstępować w związek małżeński i, jak dotąd, dotrzymuje słowa... choć przy jej uroku osobistym nigdy nie wiadomo.

* * *

Jak tylko przeniosłam się do Kalifornii, zaczęłam poszukiwać studia Pilatesa. W Nowym Jorku słyszałam pogłoski, że takie studio właśnie zostało otwarte w Beverly Hills. Okazało się, że jestem pierwszą i jedyną klientką Rona Fletchera. Ron, który natychmiast oświadczył, że należy do Anonimowych Alkoholików, ale nie pił od dwunastu lat, że jest pół-Amerykaninem, pół-Irlandczykiem (czegoż można się spodziewać po takich genach?), od razu zdobył moje serce. Był czołowym tancerzem na Broadwayu, a potem został instruktorem.

Chłopcy byli na obozie letnim, więc miałam Rona tylko dla siebie codziennie przez dwie i pół godziny. Miał w sobie iście diabelski wdzięk Irlandczyka i kiedy nastąpiła jesień, pojawiły się nowe osoby: Ali MacGraw, Candy Bergen, Katherine Ross, Brooke Hayward i wiele innych, przede wszystkim Peggy Goldwyn, która potem została wraz ze swoim mężem naszą wierną przyjaciółką.

Czasami wpadała Nancy Reagan, żona ówczesnego gubernatora, która znała Rona Fletchera z czasów, gdy oboje występowali w *Lute Song* na Broadwayu. Zamykali się godzinami w prywatnym pokoju, skąd dobiegały do nas salwy niepowstrzymanego śmiechu. Zawsze wiedziałam, że Nancy Reagan ma dwa zupełnie różne oblicza. Ale czyż każda kobieta nie ma przynajmniej pięciu czy sześciu różnych twarzy?

W studio rozgrzewaliśmy się przed wielkim lustrem i tylko wyraźna przewaga w ćwiczeniach, które wykonywałam latami, pozwalała mi się nie poddawać uczuciu, któremu ulegałam, kiedy pracowałam z modelkami i nieopatrznie spojrzałam w lustro. Nasze lekcje przerodziły się w coś w rodzaju terapii grupowej, ponieważ — jak zawsze w przypadku pięknych kobiet — dostrzegają one jedynie swoje niedostatki. Candy, której uda mogłyby zapewne być nieco szczuplejsze, mówiła o sobie „Grubaśna Helga” i naprawdę tak uważała. Ali, która uczęszczała do Wellesley i nie znosiła tego miejsca, mieszkała w Trancas ze Stevem McQueenem i potrafiła ubrać się w mgnieniu oka, zawiązując wokół głowy długi szal i drugi wokół trykotu, po czym wyglądała jakby pracowało nad nią przez wiele godzin pięciu fachowców z *Vogue*. Piękna i łagodna Katherine była najbardziej pogodna z nich wszystkich i wesoło opowiadała o swoim ogrodzie w Malibu, skąd przynosiła do studia rozmaite kwiaty.

Pewnego popołudnia inna stała klientka, Brooke Hayward, córka zmarłego agenta i producenta, Lelanda Haywarda, z wściekłością rzuciła się na maszynę obok mnie. „Niech diabli wezmą tę cholerną Pamelę, doprowadziła mego ojca do bankructwa i złamała mu serce, a teraz jest żoną najbogatszego człowieka na świecie!” „Za kogo wyszła?” „Za Averella Harrimana.” Podekscytowana, spytałam Brooke, jak można wyjaśnić powodzenie Pameli Harriman u mężczyzn. „Prowadzi najbardziej komfortowy dom”, było jedyną odpowiedzią, jaką zdołałam z niej wydobyć. Na tej podstawie zbudowałam później całą postać Annabel w *Księżniczce Daisy*.

Ron miał fioła na punkcie gwiazd. Pewnego dnia zajmował się Barbrą Streisand, podczas gdy Ali i ja ćwiczyliśmy w pobliżu na materacu. „Gdyby któreś z nas przydarzyło się teraz zatrzymanie akcji serca, myślisz, że Ron by zauważył?” zapytałam. „Wykluczone”, odpowiedziała.

Tej jesieni wyprowadziliśmy się z hotelu, wynajmując stary dom w Beverly Hills (zbudowany przez Charlie Chaplina dla jednej z żon, Lity Grey), tak abym miała czas rozejrzeć się za własnym domem i lepiej poznać system szkolny w Beverly Hills. Tony, który miał wtedy dwanaście lat, zaczął chodzić do szkoły w El Rodeo, a Nick poszedł na pierwszy rok do Beverly Hills High, ja natomiast nieustannie zajmowałam się szukaniem domu.

W domu, który wynajęliśmy, wydaliśmy przyjęcie z okazji pierwszej rocznicy istnienia studia Rona Fletchera i zaprosiliśmy wszystkich, którzy tam bywali, tych, których znaliśmy i tych, którzy byli nam obcy, nawet jego właścicielkę, dosyć sztywną facetkę nazwiskiem Aida Gray, królową kosmetyków z drugiej ligi. W wieczór poprzedzający przyjęcie przygotowałam grube skręty, na wypadek gdyby trzeba było szybko przełamać lody. Przyjęcie trwało zaledwie trzy minuty, kiedy doszłam do wniosku, że nadeszła pora zaproponowania skrętów i zaczęłam je rozdawać wszystkim dookoła. „Co to jest?” zapytała Aida. „Marihuana, proszę pani”, odpowiedziałam i zobaczyłam jak wraz z mężem wybiegają z przyjęcia, jakby szykowałam się na lot.

W końcu znalazłam dom na rogu ulic North Rexford Drive i Lexington, o jedną przecznicę od Sunset Boulevard i o jedną przecznicę od hotelu Beverly Hills, otoczony skrawkiem ziemi o powierzchni jednego akra. Po drugiej stronie ulicy mieszkał Edward G. Robinson, a parę przecznic dalej swoje domy mieli Jimmy Stewart i Lucille Ball. Nasz dom otaczał trawnik, na którym rosły wielkie drzewa; miał też swoją historię, jak prawie każdy dom w okolicy. Kiedyś należał do gwiazdy operowej, Lawrence’a Tibbetta, potem do Mickey Rooney’a i na koniec do Jane Wyman. Jej fani nadal dzwoniли do drzwi i pytali, czy zastali Jane, aż w końcu postawiliśmy wokół domu mur.

Z radością odkryłam, że mogę się ubiegać o kartę w State Board of Equalization, która umożliwi mi dokonywanie hurtowych zakupów na podstawie zapłaty z góry w ciężar mojego podatku obrotowego.

Poszłam tam z Cynthią Lasker, którą dobrze znałam ze studia Rona Fletchera. Jej mąż, nieżyjący już Eddie Lasker, był synem Alberta Laskera, jednego z największych speców w dziedzinie reklamy, który był na tyle sprytny, że kupił piętnaście procent udziałów w firmie Philip Morris. Cynthia była właścicielką prawdziwej posiadłości w Bel Air i prowadziła nader wystawne życie; była jedyną kobietą, jaką znałam, która miała pokojówkę, która każdego wieczoru zmieniała jej w łóżku prześcieradło i prasowała je codziennie przed popołudniową drzemką swojej pani. Kiedy dla określenia wysokości podatku obrotowego, szef State Board of Equalization zapytał ją, jakiego rzędu będą jej wydatki, piękna Cynthia skromnie wymruczała, że „prawdopodobnie bardzo małe”.

Wiedziałam, że będę musiała wydać masę pieniędzy na urządzenie domu, więc kiedy przyszła moja kolej, podałam mu realną wielkość kosztów. Wymierzył mi ogromny podatek obrotowy, a

Cynthię puścił bez słowa! Kiedy opowiedziałam mężowi tę ponurą historię, nalegał, żebym zadzwoniła do Equalization Board i zmieniła śpiewkę. Uczyniłam to z oporami, mówiąc, że prawdopodobnie byłam zbyt optymistyczna. Facet westchnął i zwrócił większą część wpłaty.

Podczas gdy zajmowałam się sprawą domu, Steve kończył pracę nad filmem *Fritz the Cat*. Film był szokujący: przedstawiał historię młodych ludzi (w postaci zwierząt), którzy wyrwali się z okowów lat pięćdziesiątych i lądowali w pełnych swobody latach sześćdziesiątych. Motion Picture Review Board dała mu X, oceniając go jako „antropomorficzne skrzywienie”!!! Określenie to musiał wymyślić ktoś z poczuciem humoru, ale krytycy uznali film za kamień milowy. Miał świetną kasę i jeszcze teraz jest w obiegu. Studenci szkół filmowych do dziś uczą się na nim reżyserii.

Fritza zaproszono na festiwal filmowy w Cannes, gdzie miał być pokazany w ramach „Tygodnia krytyki”, więc oczywiście pojechaliśmy tam i zatrzymaliśmy się w Hotel du Cap, co okazało się straszliwie kosztownym doświadczeniem, które później wykorzystałam w powieści *Skrupuły*.

Fritz, pokazany w niewielkim kinie w Cannes, wkrótce stał się sensacją festiwalu, a Steve został ulubieńcem dystrybutorów z całego świata. Pamiętam jak siedziałam sama na tarasie hotelu Carlton, a on przy innym stoliku, niby jakaś południowa piękność, przyjmował kolejno dystrybutorów, którzy chcieli z nim ubić interes. Patrzyłam na niego wilkiem i przelewałam dojmujące uczucie odręczenia na kartkę do Bob — bie Ashley. Wtedy po raz pierwszy przeżyłam uczucie zazdrości i zupełnie mi się to nie podobało, więc następnego dnia wynajęłam samochód z kierowcą i wybrałam się na wycieczkę do Grasse. Zatrzymałam się na lunch w La Colombe d'Or w Saint — Paul de Vence, gdzie zauważyłam siwowłosą, mocno zbudowaną kobietę, pogrążoną w lekturze porannej gazety, podobnie jak ja czekającą na lunch. Była to Simone Signoret. Bóg raczy wiedzieć, gdzie jest teraz Yves Montand, pomyślałam ponuro.

W *Skrupułach* wykorzystałam te parę godzin spędzonych na terasie hotelu Carlton w scenie, w której Vito Orsini zabiera Billy Ikehorn do hotelu Carlton i mówi jej, co widzi przed sobą.

„Ten mężczyzna w kapeluszu zarobił pięćdziesiąt milionów dolarów na nieprzyzwoitych filmach nakręconych w Japonii. Przyszedł tu, żeby wyszukać jakieś piersiaste szwedzkie dziewczyny, które zgodzą się na operację plastyczną oczu, która upodobni je do Japonek. Potem, kiedy je podda charakteryzacji, nakręci z nimi jeszcze bardziej nieprzyzwoite filmy, ponieważ uważa, że japońskie dziewczyny mają za małe piersi. Ten facet koło niego ma pięćdziesiąt szwedzkich dziewczyn do sprzedania — teraz się targują. Wysoka blondynka przy tamtym stole to w istocie mężczyzna. Czekają na kochanka, który jest szefem d/s obsady i akceptuje jedynie mężczyzn w kobiecym przebraniu. Wydaje u Diora na stroje czterdzieści tysięcy dolarów rocznie. Trzej Arabowie siedzący za nami są z Kuwejtu. Mają dziewięćset milionów dolarów i marzą o uruchomieniu w swym kraju przemysłu filmowego. Ale nikt za żadną cenę nie chce tam jechać i żyć. Jeżeli wrócą do kraju z pustymi rękami, mogą zostać zabici, więc są trochę zdenerwowani. Na serio planują porwanie Francisa Forda Coppoli, a może i Stanleya Kubricka, ale nie są pewni, czy im się to uda. Rosjanie, którzy czekają na wolny stolik, starają się nakłonić George'a Roya Hilla do zrealizowania nowej wersji Wojny i pokoju i chcą mu zaproponować wykorzystanie za darmo całej armii. Ale chcą, żeby akcja filmu była umieszczona w przyszłości, tak aby mogli wykorzystać swoje lotnictwo i nowe łodzie podwodne z napędem jądrowym”

„Vito!”

„Gdybym ci powiedział prawdę, byłoby to nudne.”

* * *

Kiedy wróciliśmy do Kalifornii, Steve i Ralph zaczęli pracować nad kolejnym filmem animowanym pod tytułem *Duży ruch*. W trakcie realizacji Steve odkrył, że Ralph, który miał wyłączny kontrakt ze Steve Krantz Productions, w tajemnicy porozumiał się z innym producentem, zamierzając sprzedać film wytwórni Paramount. Wykorzystywał należący do Steve'a sprzęt do animacji i pracował w czasie przeznaczonym dla Steve'a. Ta zdrada nastąpiła w najmniej odpowiednim momencie i Steve musiał zamknąć Ralphowi wstęp do studia oraz samo studio, co naraziło go na straty rzędu kilkuset tysięcy dolarów; ponadto zagroził wytwórni Paramount i samemu Ralphowi sankcjami prawnymi. W końcu znaleziono rozwiązanie i Ralph dokończył realizację *Dużego ruchu*, chociaż on i Steve porozumiewali się odtąd wyłącznie na piśmie. *Duży ruch* okazał się wielkim sukcesem, ale nie mając dobrze ustawionego producenta jakim był Steve, Ralph, mimo swego talentu, już nigdy nie zrealizował dobrego filmu.

W międzyczasie nadal pisałam dla *Cosmo*. Mój najbardziej znany artykuł, o który mnie wciąż pytają, nosił tytuł „Mit wielokrotnego orgazmu”; do jego napisania zainspirowała mnie książka, której autorem był lekarz, niejaki dr Rubin, który utrzymywał, że każda kobieta, która zadowala się mniej niż pięćdziesięcioma orgazmami podczas jednego seansu, jest oszukiwana. Inna książka, która w owym czasie krążyła po kraju, została napisana przez kobietę, która podpisywała się jako J., „zmysłowa kobieta” i która domagała się nie mniej niż setki orgazmów. Co noc. *Setki? Litości!*

Przeprowadziłam wywiady z pięćdziesięcioma pięcioma kobietami, z których jedynie osiem procent miało orgazm wielokrotny, wedle definicji Mastersa i Johnson. Tylko jedna z nich, która wymagała prawie godzinnej gry wstępnej zanim osiągnęła pierwszy orgazm, stwierdziła, że nigdy nie osiąga pełnej satysfakcji i zawsze może mieć jeszcze jeden orgazm, niezależnie od tego ilu doświadczyła przedtem. Przeprowadziłam także rozmowy z sześcioma znanymi terapeutami, dla przedyskutowania uzyskanych wyników. Stwierdzili, że ta kobieta była typową nimfomanką.

Ilekoć poruszałam ten temat na przyjęciu, szukając kobiet, z którymi mogłabym przeprowadzić wywiad, zapadała cisza, a potem padało pytanie, „Jaka jest normalna liczba orgazmów u kobiety?” Kiedy odpowiadałam, „Jeden, jeżeli ma fart”, reakcją zawsze był śmiech pełen ulgi.

Jeżeli kiedykolwiek przyczyniłam się w istotny sposób do tego, by kobiety żyły w zgodzie ze swoją seksualnością, to dzięki temu artykułowi. Orgazmy wielokrotne nie pojawiają się też w moich powieściach. Teraz, gdy patrzę na *Cosmo*, stwierdzam z niesmakiem, że artykuł wstępny nosi tytuł „Jak za każdym razem osiągnąć piętnaście orgazmów”, przy czym badania obejmowały tylko personel samego magazynu. Jestem absolutnie pewna, że musieli nagiąć statystykę, tak aby pasowała do tytułu tego artykułu. Co za paskudna „przysługa” wobec łatwowiernych czytelników!

Zainspirowana własnym przypadkiem, pod pseudonimem napisałam także artykuł pt. „Lifting twarzy z czystej próżności”. Pewnego dnia, kiedy zbliżałam się do pięćdziesiątki, stałam u Rona przed lustrem, zajęta swoimi ćwiczeniami, kiedy z tyłu podeszła Joannę Rydell, wówczas żona reżysera Marka Rydella. „Wczoraj wieczorem widziałam w telewizji coś naprawdę fascynującego”, powiedziała. „Był tam chirurg plastyczny, który stojąc za plecami kobiety położył jej palce na twarzy, o tak, i pokazał, jak by wyglądała po przeprowadzeniu liftingu.” „Pokaż mi jeszcze raz, Joanne”, poprosiłam. Moje lekko obwisłe policzki, które przypominały policzki mojej matki, natychmiast zniknęły. „OK, kupuję to”, powiedziałam i zabrałam się do szukania chirurga plastycznego.

Steve był zdania, że jeśli naprawdę uważam lifting za konieczny, powinnam się mu poddać i tak też zrobiłam. Zabieg przeprowadzony na wciąż elastycznej skórze dał tak dobry wynik, że wystarczył na ponad dwadzieścia lat. Nigdy się nie wstydziłam tego liftingu; w istocie

namówiłam do tego inne kobiety, które mnie pytały o zdanie. Jednak nie chciałam podpisać artykułu własnym nazwiskiem, ponieważ mieli go też czytać obcy; artykuł zawierał szczegółowe wskazówki dotyczące całego procesu.

Tak, pierwsze dwadzieścia cztery godziny, aż do zdjęcia opatrunku uciskowego, są wyjątkowo nieprzyjemne; tak, jesteś opuchnięta i sina przez dobre dziesięć dni, po czym barwa zmienia się na zieloną, żółtą a w końcu, mnie więcej w trzy tygodnie po zabiegu, ciało odzyskuje swój naturalny kolor; ale — mój Boże! — warto się pomęczyć. W ogóle nie rozumiem tych wszystkich umoralniających gadek na temat chirurgii plastycznej; o tym, że kobiety są na to zbyt młode, że powinny być „dumne” ze swoich zmarszczek. Dajcie spokój! To nie pełne trudów życie i bolesne doświadczenia są źródłem zmarszczek, ale po prostu dobrze znana siła ciężenia i nie ma powodu, żeby odczuwać dumę z powodu działania sił przyrody. Zmarszczki nie oznaczają także siły charakteru. Charakter tkwi gdzieś wewnątrz i jest kształtowany przez życie człowieka, nie ma więc potrzeby obnosić się z nim na twarzy. Lifting twarzy jest kwestią wyboru, osobistą decyzją, której nikt nie podejmie za ciebie. Ja na przykład nigdy nie poddawałam się żadnym zabiegom kosmetycznym twarzy i uciekałam przed wszelkimi zabiegami chemicznymi czy przy użyciu lasera. Żadnych „kontrolowanych oparzeń” mojej czystej i delikatnej skóry, dziękuję bardzo.

Większość kobiet w Hollywood nie przyznaje się otwarcie do żadnych zabiegów upiększających, ale gwarantuję wam, że wszystkie kobiety po pięćdziesiątce, które wciąż cieszą się piękną linią podbródka, musiały się im poddać. Nikt nie jest odporny na działanie siły ciężenia, pięć lat temu ponownie zrobiłam sobie lifting; wykonał go cudowny dr Frank Kamer, który słynie z tego, że „nie przesadza”, więc moja skóra nie jest zbyt napięta. Jeżeli jeszcze trochę pożyję, zrobię to sobie po raz trzeci. Dlaczego niby mam nie oszukiwać Matki Natury? I tak nas wszystkich prędzej czy później dopadnie.

Przez pierwsze parę tygodni po pierwszym liftingu twarzy, cierpiałam na lekką dePrésję, której powód w końcu zdołałam odkryć. Doszłam do wniosku, że skoro jestem na tyle stara, że potrzebuję liftingu, znaczy to, że nie jestem już młoda. Coś podobnego!

W cztery lata po naszym przybyciu do Kalifornii postanowiłam wrócić do psychoanalizy. Co rok pisałam listy do dr Rubensteina (w nadziei, że będzie zainteresowany kimś, z kim się spotykał trzy razy na tydzień w ciągu trzech lat), relacjonując co się wydarzyło, ale nigdy nie otrzymałam odpowiedzi. Tym razem napisałam, domagając się, żeby wyjaśnił swoje milczenie.

Odpisał, że nie wyobraża sobie, po co mi jeszcze psychoanaliza i że, no tak, nie odpisał na moje listy, bo zapomniał. ZAPOMNIAŁ! Wciąż nie mogę pojąć, jak mógł coś takiego napisać, nie rezygnując z uprawianego przez siebie zawodu, ale mam to czarno na białym.

Wtedy zrozumiałam, że dobrze zrobiłam, iż zaczęłam szukać innego psychoanalityka.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Pewnego dnia w 1976 roku Steve wyznał mi, że w tajemnicy bierze lekcje latania w szkole przy lotnisku w Santa Monica i niebawem czeka go egzamin na licencję pilota. Byłam pełna niedowierzania. Kiedy się pobraliśmy, każde z nas zrezygnowało z czegoś, co lubiliśmy: Steve z latania a ja z nart. Steve nie lubił marznąć i padać, czego w narciarstwie nie można uniknąć, a ja śmiertelnie bałam się latania. Teraz widzę, że Steve powinien był nauczyć się jeździć na nartach, a ja latać. Och, jakże bym chciała, żeby całe to „teraz widzę” nie istniało. To prowadzi do nikąd... ale nie mogę się przed tym powstrzymać.

Beztriosko latałam przed dziewięć lat, od 1944 do 1953 roku, zanim zaczęłam się bać, kiedy samolot, którym leciałam, dostał się w obszar turbulencji.

Od tego czasu nie potrafiłam wsiąść do samolotu bez mnóstwa środków uspokajających i nie wypiuwszy paru kieliszków alkoholu. Przez te wszystkie lata, kiedy podróżowaliśmy, dręczyła mnie świadomość, że muszę *tam* lecieć samolotem, a kiedy już się *tam* znajdę, będę musiała wracać też samolotem. Jednak nie pozwoliłam, aby strach przed lataniem zupełnie mną owładnął. Podczas jednego, szczególnie przerażającego lotu z Sewilli do Madrytu, byłam tak wytrącona z równowagi, że namówiłam Steve'a, który normalnie nie chciał rozmawiać na ten temat, żeby mi opowiedział o swoich dawnych dziewczynach, tak abym miała o czym myśleć, nie tylko o nadchodzącej katastrofie. Niestety, kiedy wylądowaliśmy, wszystko co opowiedział, kompletnie mi wywietrzało.

Teraz postanowiłam, że też zapiszę się na lekcje latania, tak abym mogła latać razem ze Stevem. Widziałam film pt. *Port lotniczy*, w którym stewardesa sama ląduje i wyobraziłam sobie sytuację, gdy Steve nagle umiera przy sterach, a ja muszę dalej poprowadzić samolot. Alternatywą mogło być oświadczenie w rodzaju: „Idź sobie latać, ty podstępny, paskudny gnojku, dla którego zrezygnowałam z jedyne sportu, jaki lubiłam, ale na mnie nie licz.” Jednakże po prostu nie mogłam sobie wyobrazić, że będziemy spędzać tyle czasu bez siebie.

Znalazłam szkołę latania przy lotnisku Van Nuys i zapisałam się. Teoretycznie kurs latania samolotem jednosilnikowym zabiera średnio od ośmiu do dwunastu godzin, a nawet mniej. Mnie zabrało to aż czterdzieści godzin. Cóż, nie jestem do tego stworzona.

Ale już po pierwszej godzinie pozbyłam się strachu przed lataniem! Kiedy zrozumiałam, co utrzymuje samolot w górze i kiedy sama siedziałam za sterami, a instruktor był obok, mając pod ręką drugi układ sterowania maszyną, zaczęło mi się to podobać. Największą frajdą było, kiedy umyślnie kierowałam samolot w górę pod tak ostrym kątem, że tracił szybkość i zaczynał nurkować w dół i wtedy znów wyrównywałam lot. Inną sztuczką było, gdy instruktor nieoczekiwanie wyłączał silnik, zmuszając mnie do wybrania terenu do lądowania. Stopniowo, krążąc i wykorzystując prądy powietrzne, sprowadzałam samolot w dół, a wtedy, zanim dotknęłam ziemi, instruktor ponownie włączał silnik.

To czego nie lubiłam, to lądowanie. Start jest wyjątkowo podniecający, ale wylądować bez kołysania samolotem jest sztuką trudną. Kiedy ćwiczyłam lądowanie, zauważyłam, że prawie zawsze towarzyszy mi inny instruktor. Byłam tak beznadziejna, że musieli postanowić, by dzielić się niebezpieczeństwem, jakie powodowały moje manewry. Kiedy poszłam na obowiązkowe badanie wzroku, lekarz, który sam był pilotem, nie mógł uwierzyć własnym oczom. „To znaczy, że latała pani bez okularów do dali?” „A potrzebuję ich?” „Na Boga, tak!”

Dzięki okularom, trzy pasy startowe, które widziałam przedtem, nagle zwały się w jeden i zrobiłam takie postępy, że potrafiłam wylądować, nie waląc w ziemię i nie wprawiając samolotu

w dzikie podskoki.

W końcu poleciałam sama, okrążyłam lotnisko trzykrotnie i wylądowałam. Kiedy przybyłam na następną lekcję, usłyszałam słowo „nawigacja”. Powinnam to była przewidzieć. Tylko nieliczni piloci lecą ot tak, bez celu. Ale nawigacja oznacza opanowanie mnóstwa rzeczy, w tym ocenę szybkości, zużycia paliwa, odległości od najbliższego lotniska — a wszystko to wymaga znajomości matematyki. „Musi się pani po prostu nauczyć używać suwaka logarytmicznego”, wyjaśnił cierpliwie instruktor. „To żaden problem.” Uścisnęłam mu dłoń, wyszłam i już więcej nie wróciłam. PO PROSTU suwak logarytmiczny! Ja i suwak logarytmiczny? Nigdy, przenigdy.

Nie mogłabym napisać mojej piątej powieści, *Dopóki nie spotkamy się znowu*, gdybym nie miała pojęcia o lataniu, ponieważ jedna z moich trzech bohaterek, Freddy de Lancel, którą w ośmiogodzinnym mini–serialu zagrała Courtney Cox, była pilotem i część książki obraca się wokół tematu latania. Podczas wojny, od 1943 do 1945 roku, Freddy latała w Brytyjskim Pomocniczym Transporcie Lotniczym, który stanowiła grupa złożona z kilkuset kobiet–pilotów, które transportowały rozmaite rodzaje samolotów z fabryk, gdzie je zbudowano, na lotniska Królewskich Sił Powietrznych i Królewskiej Marynarki Wojennej. Książkę zadedykowałam tym dzielnym kobietom, bez których żołnierze nie mieliby na czym walczyć.

Freddy nauczyła się latać w wieku szesnastu lat, a jej pierwszy, samodzielny lot był daleko trudniejszy niż mój.

„Tak, tak, tak”, powiedziała głośno, nie zdając sobie sprawy, że mówi rozkazującym tonem, kiedy kołowała w kierunku końca pasa startowego, a potem rozpędzała się przy otwartej przepustnicy, czując rosnący ciąg silników, kiedy zbliżała się do owego magicznego punktu, gdy będzie miała odpowiednią szybkość, by oderwać się od ziemi i poszybować w górę, ku zachodzącemu słońcu.

Kiedy znalazła się w powietrzu i zaczęła szybko piąć się do góry, była łucznikiem, była strzałą. Ani razu nie spojrziała w kierunku pustego siedzenia obok. Czas istniał dla innych, ale nie dla niej. Kiedy osiągnęła odpowiednią wysokość, jej dłonie poruszyły się i zaczęły kontrolować ruchy maszyny, a jej serce bilo jak oszalone, wypełnione radością, jakiej nie zaznała nigdy dotąd, kiedy lekki samolot posłusznie poddawał się jej rozkazom, jak gdyby było to jej własne ciało. Manewry, które powtarzała tyle razy, wydawały jej się czymś nowym teraz, kiedy leciała sama, a punkty orientacyjne wokół lotniska nabrały nowego znaczenia. To była boska chwila, kiedy skrzydła samolotu obejmowały noc, silnik pracował miarowo, a maszyna i ona sama, wysoko w górze, stanowiły jedność. Usłyszała swój śmiech i na niebie, które stało się już granatowe, ujrzała gwiazdę wieczorną. Także tęskniła do chwili, gdy uniesie się jeszcze wyżej i jej oczom ukażą się gwiazdy i gwiazdozbiór Koziorożca. Książki mówiły, że są bardzo daleko, za daleko, żeby je ujrzeć. Nie wierzyła w to, nigdy w to nie uwierzy, ponieważ wiedziała, że właśnie leci pod gwiazdozbiorem Koziorożca, znaku, pod którym się urodziła.

Przez długi czas powieść nosiła tytuł *Spod znaku Koziorożca*, ponieważ sama jestem spod tego znaku (powolny, solidny, godny zaufania, zdecydowany), ale potem usłyszałam piosenkę z okresu I Wojny Światowej pt. *Dopóki nie spotkamy się znowu* i zakochałam się w niej do tego stopnia, że zmieniłam tytuł powieści. Tytuły moich powieści zazwyczaj zmieniają się dwa lub trzy razy, dopóki nie znajdę takiego, który wydaje mi się najlepszy.

Ponieważ nie miałam w sobie pasji Freddy de Lancel, która rzeczywiście lubiła nawigację, gdzieś w połowie 1976 roku dałam sobie spokój z lataniem i rozejrzałam się, żeby zobaczyć, co się dzieje wokół mnie. A działa się wiele. Obaj synowie mieli już prawo jazdy, a w Kalifornii, kiedy w wieku szesnastu lat chłopak otrzymuje ów paszport do wolności, znika. I to na dobre. Zobaczysz go znowu, gdy dokuczy mu głód albo gdy akurat się znajdzie w pobliżu, ale zasadniczo kiedy dostanie cztery kółka, przenosi się na wyższy poziom bytu, gdzie niewiele od

ciebie potrzebuje, a ty przestajesz cokolwiek wiedzieć o jego życiu. Nick był na USC, ale jako student pierwszego roku nadal mieszkał w domu, ponieważ w akademiku nie było dla niego miejsca, zaś Tony kończył szkołę średnią w Beverly Hills i w następnym roku wybierał się na Berkeley. W 1977 roku gniazdo miało naprawdę opustoszeć.

Zdałam sobie sprawę, że pisanie artykułów do magazynów zaczęło mnie nudzić. Robiłam to nieprzerwanie od 1949 roku i nie mogłam się już nauczyć niczego nowego; nie stanowiło to też żadnego wyzwania.

A ja byłam gotowa do nowych wyzwań. Ostatnio wyszukałam nowego psychoanalityka, niejakiego dr S., którego polubiłam. Był ode mnie o dziewięć lat młodszy i pochodził z Indiany. Zapewnił mnie, że nie jest wyznawcą Freuda, chociaż „jak wszyscy psychoanalitycy, stoi na jego barkach.” Chętnie odpowiedział na wszystkie pytania, które mu zadałam, zanim zdecydowałam się zostać jego pacjentką: ile ma lat, jakie ma wykształcenie, jaki jest jego stan cywilny, czy ma dzieci i jakiego jest wyznania. Był Żydem i kiedy spotkałam się z nim po raz drugi, zdałam sobie sprawę, że zapomniałam go spytać, czyjego żona także jest Żydówką. Nie, nie była i wskutek tego został wydziedziczony przez swoją religijną rodzinę. Ukończył uczelnię medyczną i zarabiał na opłacenie kursu psychoanalizy, pracując na Long Beach jako lekarz ogólny. Polubiłam jego sympatyczny, przyjacielski uśmiech. Był dosyć niski ale miał budowę atlety (w college’u był członkiem drużyny kolarskiej), miał kręcone włosy i mnóstwo wdzięku. W sumie, chociaż znów znalazłam się na leżance, uważałam, że dokonałam właściwego wyboru.

Kończyły mi się lektury. Ilekroć wybrałam się do Hunter’s, największej z sześciu księgarni na Rodeo Drive, znajdowałam książki o nazistach spiskujących, żeby objąć władzę nad światem albo książki w rodzaju „Katastrofa 1979 roku”, które mnie w ogóle nie interesowały. Moi ulubieni pisarze, Colette, Updike, Cheever, Proust, Trollope, Roth, Robertson Davies, Iris Murdoch, Margaret Drabble i George Eliot albo już nie żyli albo wydawali nową książkę zbyt rzadko, żeby zaspokoić mój apetyt, chociaż wiele moich ulubionych książek przeczytałam po raz wtóry, a obecnie po raz czwarty jestem pochłonięta Proustem, niemal na każdej stronie odkrywając coś nowego.

Ostatnio musiałam zbeletryzować niewielki artykuł z *Cosmo*, poświęcony znaczeniu fantazji erotycznych kobiet. Nie mogłam znaleźć dostatecznie wielu kobiet, które miały ochotę zrelacjonować mi swoje fantazje na ten temat, ponieważ fantazja ubrana w słowa nazbyt często traci całą siłę oddziaływania, więc pod przybranym nazwiskiem dodałam parę własnych. Zadzwoiła Helen, żeby mi powiedzieć, że „chłopcy z góry” czyli kierownictwo Hearsta odmówili druku, o ile niektóre z tych fantazji nie zostaną stonowane. Jedyne, do których mieli zastrzeżenia, to były *moje* fantazje. Byłam z siebie dumna — za mocne dla Hearsta — ale nie przyszło mi do głowy, że właśnie zrobiłam krok w kierunku pisania beletrystyki.

Jednak często nawiedzały mnie myśli, które biegły mniej więcej tak: „Była sobie kobieta, która zakochała się w swoim zięciu.” Jak tylko coś takiego przyszło mi do głowy, wyrzucałam to, bo dokąd to mogło prowadzić? Pisania bałam się jeszcze bardziej niż latania. Nie napisałam nic od czasu tych paru opowiadań w Wellesley w 1945 roku, a wtedy przyszło mi to z wielkim trudem. Wtedy nie wiedziałam, że wielu pisarzy ma kłopoty z krótkimi formami i o wiele lepiej radzą sobie w powieściach.

Kilka lat wcześniej miałam pomysł na książkę niebeletrystyczną o kobietach i ich matkach, ale mój ówczesny agent, Roz Targ, tak wszystko pogmatwał u potencjalnego wydawcy, że definitywnie porzuciłam myśl napisania jakiegokolwiek książki. Pozbyłam się też Roza, który przypuszczalnie byłby moim agentem do dziś dnia, gdyby umiał dobrze bronić moich praw u wydawcy. W międzyczasie Nancy Friday opublikowała książkę *Moja matka i ja* i w ten sposób temat został wyczerpany.

Wiedziałam, co to jest dobra beletrystyka. Studiowałam ją i przyswajałam przez cztery lata w college'u. Będąc ofiarą zbyt starannego wykształcenia, byłam przekonana, że nigdy nie będę mogła zostać pisarką. Wydawało mi się, że trzeba urodzić się z takim nastawieniem i, tak jak Truman Capote, zacząć pisać w bardzo młodym wieku. Nigdy nie prowadziłam pamiętnika, ani nie napisałam żadnego wiersza; nie wykazywałam też najmniejszych ciągot w tym kierunku. Pisanie listów było łatwe; wymieniałam wiele listów, ale listy to nie beletrystyka.

Tylko jedna osoba — mój mąż — uważał, że mam zadatki na powieściopisarkę i powtarzał to wielokrotnie.

Przez dwadzieścia dwa lata naszego małżeństwa Steve uważał mnie za osobę obdarzoną wrodzonym darem opowiadania, kogoś, kto potrafi relacjonować wydarzenia w interesujący, szczegółowy i barwny sposób. Od chwili, kiedy w Rzymie, podczas naszej podróży poślubnej, obudził się i zobaczył jak się wpatruję w swoje nowe torebki od Gucci'ego, wiedział, jak bardzo potrafię odczuć istotę konkretnej przyjemności. Uważał, że mam oryginalne poczucie humoru, które się objawia w tym co piszę oraz że jestem tak wygadana jak, nie przymierzając, cała Izba Reprezentantów. Podejrzewam też, iż chciał, żebym się czymś zajęła, ponieważ traciłam mnóstwo czasu na zakupy.

Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam sobie, że jedynym sposobem, żeby Steve przestał mnie męczyć pomysłem, że potrafię napisać powieść, było wziąć się do roboty i spróbować to zrobić. Był to jedyny sposób, żeby mu dowieść, że *nie jestem* pisarką i żeby przestał mnie dręczyć.

W college'u nigdy się nie uczyłam sztuki pisania, ale wydawało mi się rzeczą logiczną, że nowicjusz powinien spróbować znaleźć jakiś wzorzec, wedle którego będzie mógł powołać do życia szereg postaci. Takim wzorcem mogła być popularna powieść Vicki Baum pt. *Grand Hotel*.

Głowiąc się nad tym problemem, nadal chodziłam na gimnastykę trzy razy w tygodniu, a raz na tydzień bywałam u fryzjera. Oznaczało to, że parkowałam samochód na Rodeo Drive i przechodziłam przez ulicę tam i z powrotem osiem razy na tydzień. Ostatnio zauważyłam, że na Rodeo zaczynają się pojawiać pierwsze butikiki.

Kiedy przenieśliśmy się do Kalifornii, na Rodeo Drive, poza domami towarowymi, były tylko dwa sklepy, w których można było kupić ubrania: u Freda Haymana i u Amelii Gray, gdzie sprzedawano wyroby firmy Galanos i inne modne stroje. Poza tym na ulicy było mnóstwo rozmaitych sklepów, z których największymi były Gucci i Van Cleef & Arpels. Były tam też księgarnie, małe sklepiki z pończochami, David Orgell, gdzie sprzedawano porcelanę i szkło, włoska galanteria dla mężczyzn, sklep z biżuterią i herbaciarnie.

Moją ulubioną herbaciarnią była Elizabeth's, gdzie przed zajęciami u Rona zazwyczaj zamawiałam kanapkę z indykiem i sałatką, ponieważ kiedy kończyłam ćwiczenia, byłam już nieźle wygłodzona. Wiele z nas siadywało w kącie herbaciarni, gdzie jadłyśmy i gawędziłyśmy na temat naszego treningu. Mogłam z łatwością spędzić tak cały dzień.

Pewnego dnia kelnerka w herbaciarni powiedziała mi, że zamykają sklep, żeby zrobić miejsce dla Right Bank Clothing Company, drogiego butikiku z fantastycznymi koszulkami i strojami sportowymi dla dwudziestolatków. Wciąż gotowało się we mnie z powodu tej straty, kiedy, przechodząc przez ulicę, nagle doznałam olśnienia. Było to dokładnie tak jakby w mojej głowie zapaliła się lampka. Tak jak komiks w *New Yorkerze*. *Butik! Na Boga, jeżeli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich! Butik będzie doskonałym tematem... butik na Rodeo Drive.*

Podekscytowana tym pomysłem — być może nieświadome echo pomysłu Harrisona sprzed dwudziestu sześciu lat? — poszłam do domu i na biurku w pokoju gościnnym napisałam na maszynie kilka stron o kobiecie, która przychodzi do szalenię luksusowego butikiku na Beverly

Hills, butiku, który jeszcze nie ma nazwy. Kiedy Steve wrócił do domu, pokazałam mu to, co napisałam i spytałam, czy jego zdaniem to jest beletrystyka. To nie to że jestem debilką, ale wydawało się rzeczą tak naturalną to, że napisałam tych parę stron i że to może być właśnie beletrystyka.

„To na pewno beletrystyka”, powiedział zachwycony. „Może teraz wrócisz do maszyny i napiszesz coś więcej?”

Zrozumiałam, że to było lepsze niż latanie, lepsze niż wszystko, co kiedykolwiek przedtem napisałam; to było jak otworzenie butelki szampana, jak gdybym całe życie nie robiła nic innego — tak się właśnie czułam kończąc pierwszy Rozdział *Skrupulów*.

Rozdział trzydziesty drugi

Nawet u szczytu owego ogromnego podniecenia, kiedy odkryłam w sobie tę nową umiejętność, zdawałam sobie sprawę, że jeden rozdział to jeszcze nie książka. Czy kiedykolwiek zdołam dojść do połowy książki, nie mówiąc już o doprowadzeniu jej do końca? A nawet jeśli jakimś cudem ukończę książkę, czy ktoś zechce ją kupić? Chociaż byłam zupełną amatorką w dziedzinie pisania powieści, przynajmniej nie miałam problemu, jeśli chodzi o agenta. Nigdy nie miałam problemów ze znalezieniem agenta. Chociaż wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, to poczucie pewności działo cuda, jeśli chodzi o podtrzymanie budzącej się ambicji.

Natychmiast rozumiałam, że nie mogę pracować dla *Cosmo* i pisać powieści w czasie wolnym od zajęć. Zatelefonowałam do Helen Brown i powiedziałam jej, że właśnie próbuję pisać powieść i chciałabym dostać urlop. Zaufałam jej, że nikomu o tym nie powie, ponieważ, gdyby powinna mi się noga, co jak przewidywałam może nastąpić, nie chciałam, żeby jeszcze ktoś się o tym dowiedział. Zapewniła mnie, że dochowa tajemnicę i dotrzymała słowa.

Przez tydzień pisałam mniej więcej pięć godzin dziennie, ale stale przerywały mi telefony, gosposia przychodząca po instrukcje i chłopcy, którzy weszli do pokoju z lada powodu. Po tygodniu przygotowałam napis, który przytwierdziłam taśmą klejącą do drzwi. Napis głosił, „Nie wchodzić, żeby się przywitać. Nie informować mnie, że jesteście w domu. NIE PYTAĆ, CO JEST NA OBIAD. Nie przeszkadzać, chyba że wybuchnie pożar!”

O dziwo, sposób ten zdał egzamin. Mogłam pisać bez przeszkód od dziesiątej rano, po wydaniu wszelkich niezbędnych poleceń, z przerwą na lunch, aż do późnego popołudnia, kiedy wyjeżdżałam do dr S. albo Rona. Byłam w stanie napisać około dwóch tysięcy słów dziennie albo dziesięć tysięcy w ciągu tygodnia, i po upływie sześciu miesięcy pierwsza wersja książki była gotowa. Było to najbardziej zdumiewające przeżycie, gdy odkryłam, że potrafię napisać utwór beletrystyczny. Kiedy moje postacie i ich koleje życiowe nabrały rumieńców, zakochałam się w nich i w samym procesie ich tworzenia, procesie, którego nie próbowałam zgłębiać czy kwestionować, ponieważ obawiałam się, że może wtedy zniknąć.

Chociaż byłam początkująca, odkryłam, że posiadam umysł, obdarzony umiejętnością opowiadania oraz że mam naturalną łatwość konstruowania dialogów. Przepowiadałam to sobie na głos, aż w końcu brzmiało to jak rozmowa prawdziwych ludzi. Czasami moje pisanie przypominało próbę skruszenia skały za pomocą wykałaczki, ale na ogół podczas godzin, które spędzałam w gościnnym pokoju wśród moich bohaterów, towarzyszyło mi uczucie bezgranicznego szczęścia. W ciągu z górą dwudziestu lat pisania to uczucie radości nigdy nie spowszedniało, chociaż po napisaniu *Skrupulów* nigdy już nie powróciło owo wrażenie pełnej swobody pisania tylko dla samej siebie, bez oglądania się na potencjalnych odbiorców.

W każdy poniedziałek podjęcie pisania na nowo było koszmarem. Jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że nie można pozwolić, aby historia „wystygła” przez weekend, ponieważ historia nie zatrzymuje się w biegu tylko dlatego, że jest właśnie sobota lub niedziela. Powiedziałam swemu psychoanalitykowi, że zamierzam napisać powieść, ale nie omawiałam z nim dokładnie tej kwestii... to nie był problem, który mógłby być przedmiotem analizy, ponieważ nie potrzebowałam w tej materii żadnej pomocy czy rady.

Po ukończeniu kursu w lokalnym ośrodku, przez kilka lat dwa razy dziennie uprawiałam medytację transcendentálną. Lubiłam uczucie spokoju, jaki mnie wtedy ogarniał; czułam jakby wszystkie troski zniknęły i jakbym się pogrążyła w kąpieli z czystego, ciepłego mleka. Nauczyłam tej sztuki Tony’ego i kiedy wracał ze szkoły, oddawał się medytacji, po czym zasypiał aż do

obiadu (podczas tego roku urósł o trzydzieści centymetrów i obecnie obaj moi synowie mają po około 190 centymetrów wzrostu). Teraz stwierdziłam, że ilekroć próbuję medytować, głowę wypełnia mi nowy dialog i bez względu na to jak bardzo się staram przywrócić spokój umysłu, nie udaje mi się. Wobec rosnącego zaangażowania w sprawy powieści, dałam sobie spokój z medytacją transcendentálną. Moje postacie stały się żywymi ludźmi i owe pierwsze twory mego umysłu pozostają wciąż żywe w mojej pamięci.

Po ukończeniu kilku nowych rozdziałów, dawałam je do przeczytania Steve'owi, a sama chowałam się w drugim pokoju, nie ośmielając się spojrzeć mu w twarz. Kiedy po skończeniu czytania wołał mnie do siebie, zbliżałam się najwolniej jak mogłam i słuchałam co ma do powiedzenia, z zaciśniętymi zębami i pięściami. Nigdy nie miałam lepszego redaktora niż mój własny mąż i *Skrupuły* nigdy nie ujrzałyby światła dziennego bez jego pomocy, ale nowe strony powstającej właśnie powieści są tak „wrażliwe” i tak osobiste, że czyjś krytyczny wzrok przyprawia o prawdziwe męczarnie.

Kiedy z jakiejś sceny nie udawało mi się wydobyć tyle napięcia ile powinnam, zawsze mi to mówił; kiedy jakaś scena była w porządku, też; a kiedy nie wiedziałam, co jeszcze umieścić w danej scenie, często zwracał uwagę na oczywisty fakt: scena była gotowa, zamknięta. Prawie zawsze miał rację, a przede wszystkim był absolutnie szczery. Nigdy nie powiedziałby, że coś jest OK, tylko po to, by sprawić mi przyjemność.

Jakoś doprowadziłam książkę do końca i tak samo było w przypadku następnych dziewięciu. Za każdym razem jest trochę łatwiej i już dawno temu nauczyłam się przyjmować jego krytyczne uwagi. Ponieważ miałam domowego redaktora, tę niezbędną drugą parę oczu, potrzebną większości pisarzy, zawsze wysyłałam wydawcom rękopis, który prawie nie wymagał dalszych zabiegów redakcyjnych. Począwszy od drugiej książki, zawsze przygotowywałam szkic powieści, ale nigdy nie pokazywałam wydawcy nieukończonych książki; jedynym wyjątkiem jest moja druga powieść, *Księżniczka Daisy*.

Używałam kalki, co doprowadzało mnie do szału, bo często zakładałam ją na odwrót. Pisałam na starej maszynie Smith–Corona, a napisane strony przechowywałam w lodówce, bo gdyby w domu wybuchł pożar, lodówka przetrwałaby najdłużej. Kiedy pojechaliśmy na urlop do Ventany, zabrałam wszystko ze sobą, a potem co noc denerwowałam się, że ktoś skradnie to z samochodu. Jakoś nigdy nie pomyślałam, żeby ukryć to pod hotelowym łóżkiem. Cała sytuacja była wtedy dla nas tak nowa, że ani Steve'owi ani mnie nie przyszło do głowy, żeby kupić fotokopiarkę, co też uczyniłam zaraz po sprzedaniu książki wydawcy.

Przygotowanie pierwszej wersji powieści, która w wydaniu książkowym liczyła 474 strony, zajęło mi sześć miesięcy. W ciągu następnych trzech miesięcy poddałam ją przeróbkom. Gotową powieść zaniósłam do Pip's Instant Pr ss do powielenia i wtedy ich maszyna zepsuła się w połowie pracy, co kosztowało mnie bezsenńą noc, dopóki nie zakończono kopiowania. Jadąc do Pip's, dokonałam cudu. W naszym garażu, wyposażonym w troje drzwi, tylko jedno otwierały się i w ciągu pół godziny udało mi się obrócić samochód *wewnątrz* garażu, cofając go o pięć centymetrów, potem jadąc pięć centymetrów w przód i szaleńczo kręcąc kierownicą, dopóki nie udało mi się wyjechać na zewnątrz; tak bardzo pragnęłam powielić moją książkę.

Kiedy ukończyłam powieść, która teraz nosiła tytuł *Skrupuły*, zadzwoniłam do Davida Browna. Był zachwycony. „Judy, to cudowne! Jestem taki podekscytowany! Czyż to nie wspaniałe uczucie skończyć pisać książkę?” Przyznałam, że tak, próbując ukryć zaskoczenie jego entuzjazmem na wiadomość o zupełnie mu nieznaney książce. Zapytałam, kogo mógłby mi polecić jako agenta. Najpierw zaproponował Irvinga Lazara, ale Irving był znany z tego, że nie odpowiadał na telefony, a ostatnią rzeczą jakiej potrzebowałam był załatwany agent, na którego telefony wciąż musiałabym czekać. Powiedziałam Davidowi, że chcę mieć jakiegoś nowego

agenta, dla którego będę ważną klientką, a nie kogoś kto ma setki klientów o ustalonej renomie.

„To może Mort Janklow?” zaproponował David. „Słyszałem, że właśnie wszedł do branży.” Powiedziałam, że trochę znam Morta i jego żonę z Nowego Jorku. Tego samego wieczoru Steve skontaktował się z nim telefonicznie i powiedział, że wysyłamy do niego powieść. Następnego dnia zapakowałam rękopis *Skrupulów* w trzy pudełka papieru maszynowego, dołożyłam książkę telefoniczną Beverly Hills, żeby paczka miała kształt regularnego prostokąta i zaniósłam na pocztę.

Mort dostał powieść we czwartek, przeczytał ją w ciągu weekendu 1 w poniedziałek rano zadzwonił, informując, że chętnie zostanie moim przedstawicielem. Najpierw wysłał książkę do Michaela Kordy z wydawnictwa Simon & Schuster. Po jakimś czasie Michael odpisał, że powieść została odrzucona.

Mort przeczytał mi jego list, pierwszą i ostatnią odmowę, jaką otrzymałam w ciągu swojej powieściopisarskiej kariery. Według Michaela *Skrupuły* miały „za dużo akcji i zbyt wiele postaci”. Byłam bardzo zmartwiona. Co stanowi surowiec powieści jeśli nie akcja i postacie? Mogłam coś dodać, ale absolutnie nie mogłam nic ująć. Zupa była już przyrządzona.

Kiedy Korda skrytykował moją książkę, byłam tak niepewna co do swojej przyszłości, że zadzwoniłam do Helen Brown i poprosiłam o nowe zlecenie, zamierzając powrócić do pracy w magazynie, skoro nikt nie chciał mojej powieści. Dostałam zadanie napisania o tym, gdzie „piękni ludzie” z Beverly Hills ćwiczą, kupiłam więc nowy trykot i umówiłam się na szereg spotkań w salach gimnastycznych.

Przed upływem dziesięciu dni Mort wysłał moją książkę oraz jeszcze jedną powieść do Crowna, który nie miał żadnych powiązań z siecią księgarń. Był to dziwny choć, jak się miało okazać, szczęśliwy wybór, ponieważ Crown wydał tylko kilka książek beletrystycznych. Było to wydawnictwo specjalizujące się w wyprzedaży niesprzedanych książek innych wydawnictw oraz w publikowaniu książek poświęconych sztuce i bestsellerów nie będących beletrystyką, takich jak np. *Jak uniknąć poświadczenia autentyczności testamentu*. Byli bogaci, ale nie uważano ich za wydawców liczących się na rynku. W swojej bibliotece nie miałam żadnych książek wydanych przez Crowna.

Jednakże założyciel i jedyny właściciel wydawnictwa, Nat Wartels, bardzo malowniczo postać: stary kawaler, gracz na wyścigach, gracz w pokera i kuty na cztery nogi starszy pan, doszedł do wniosku, że na beletrystyce można zrobić pieniądze. Michelle Sidrane, jego redaktorka, zaproponowała, żeby poszukać jakiejś kobiecej beletrystyki i niedawno poprosiła swego redaktora pomocniczego, Larry’ego Freundlicha, żeby się rozejrzył. Kiedy Larry dostał owe dwie książki od Janklowa, dał *Skrupuły* do przeczytania swemu asystentowi, nazwiskiem Drew Hart. Drew był zachwycony książką i dał ją Michelle Sidrane, której także bardzo się spodobała. W końcu Larry sam ją przeczytał. Była to niewątpliwie długa droga, prowadząca do jedynej osoby, która mogła podjąć decyzję.

Kiedy agent znów do mnie zadzwonił (było to w weekend, w 1977 roku), poinformował mnie, że otrzymał od Crowna zaliczkę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Była to wówczas bardzo duża suma jak za pierwszą książkę nieznannej autorki. W tej sytuacji i dziś byłaby to duża zaliczka.

Chwila, w której dowiedziałam się, że moja powieść ma się ukazać drukiem, była najbardziej ekscytującą chwilą mojego życia. Kiedy zachodzisz w ciążę, spodziewasz się, że urodzisz dziecko. Kiedy się zaręczasz, jakoś przygotowujesz się do tego wydarzenia, a kiedy bierzesz ślub, wiesz, że będziesz miała męża. Ale kiedy piszesz pierwszą powieść, możesz tylko żywić ślepa nadzieję i wcale nie wiesz, ani przez chwilę, czy znajdziesz wydawcę.

Kiedy tego dnia poszłam do dr S. i, wniebowzięta, podzieliłam się z nim nowiną, wspominając

też o wysokiej zaliczce, powiedział, że nie jest zaskoczony, bo mówiłam już przedtem, że mam taki zamiar, a jest dla mnie charakterystyczne, że staram się realizować to co postanowiłam. Jego reakcja sprawiła mi wielką przyjemność. Ale kiedy opuszczałam jego gabinet, powiedział, jakby myślami był gdzieś daleko, „To zadziwiające, nieprawdaż? Czy pani wie, że Herman MeWille dostał tylko sześć dolarów i czternaście centów zaliczki na *Moby Dicka*?”

Kiedy jechałam do domu, rosło we mnie uczucie wściekłości. Złośliwość tej uwagi była zbyt oczywista, żeby ją przeoczyć. W tak ważnym momencie mego życia, kompletnie odebrał mi pewność siebie, przypominając, że dzieło geniusza kupiono za pół darmo, a za moją małą powieść zapłacono tak wiele. Kiedy byłam u niego następnym razem, usiadłam na krześle naprzeciw jego biurka i powiedziałam, że pojawił się pewien problem i o ile nie zdołamy go rozwiązać, naszych sesji nie da się kontynuować. Powtórzyłam jego uwagę i powiedziałam, jak się wtedy poczułam. Dodałam, że ponieważ wiem, ile mu płacę i można łatwo odgadnąć, ile godzin w tygodniu pracuje, wiem jaki procent jego rocznych dochodów stanowią moje pieniądze. Myślał przez minutę, po czym zgodził się, że jego uwaga była rzeczywiście niefortunna reakcją na mój nieoczekiwany sukces.

Musiałam przyznać, że nawet psychiatrzy mają czasami ludzkie odruchy i kontynuowałam sesje psychoanalizy. Podejrzewałam, że dr S. nigdy się nie pogodzi z wielkością sumy jaką zarobiłam, a w przyszłości miałam zarobić jeszcze więcej, co położyło się cieniem na ośmiu latach — tak, ośmiu latach — jakie z nim spędziłam. Dlaczego nie zwrócił się z tym do swego lekarza, co normalnie powinien był uczynić stanowi dla mnie tragiczną tajemnicę, ponieważ powinien był zdawać sobie sprawę, że coś jest bardzo nie w porządku w związku z jego reakcją na mój sukces.

Ale przedmiotem jego niepokoju były nie tylko pieniądze. W przyszłości (a pozostawałam pod jego opieką cały czas, kiedy pisałam *Księżniczkę Daisy* i *Córkę Mistrala*), nigdy nie wyraził swego uznania, że potrafię pisać dobrze sprzedające się książki, ale uporczywie powtarzał, że „mogłabym stworzyć coś lepszego, gdybym się tylko zechciała postarać”. „Lepszego” znaczyło dla niego bardziej „literackiego”, poważnego, literaturę „wysoką”, której wszakże nie potrafiłam albo nie chciałam tworzyć.

Był, jak teraz pojmuję, kimś w rodzaju mojej matki. „Cały kłopot z tobą, Judy, polega na tym”, mówił w istocie dr S., „że upierasz się przy zarabianiu pieniędzy pisząc coś, co lubią czytać miliony ludzi, podczas gdy mogłabyś pisać dla paru wybranych, którzy potrafią docenić prawdziwą literaturę.” Do diabła, teraz to rozumiem. Gdybym to rozumiała dwadzieścia lat temu! Najpierw miałam dr Rubensteina, który był jak mój ojciec, a potem dr S., który przypominał moją matkę. Doprawdy trzeba mieć dużo szczęścia!

Jednak zrozumienie przyszło dużo później. Teraz postanowiłam pojechać do Nowego Jorku, aby poznać tych niewątpliwie wybitnych ludzi, którzy mieli wydać moją powieść. Sylvia Wallace, żona Irvinga, dała mi nieocenioną radę, zamykając się w tym jednym słowie: *limuzyna*. „Pamiętaj, zawsze podróżuj limuzyną”, powiedziała tonem doświadczonej kobiety.

Zatrzymałam się w hotelu Plaża i w dniu, w którym miałam jechać do siedziby Crowna, zamówiłam limuzynę z hotelowego garażu. Nie określiłam jaka dokładnie ma być, więc przysłali mi najdłuższą i najdroższą jaką mieli, połyskliwy, ciemnoniebieski samochód o naprawdę imponujących rozmiarach. Poznałam Larry’ego Freundlicha, który okazał się bardzo serdecznym facetem i którego jedyną sugestią było, żeby usunęła cały, bardzo dramatyczny fragment książki, ponieważ Billy Winthrop była zbyt miłą dziewczyną, żeby „zachowywać się w taki sposób”. Uważał, że jest rzeczą niezwykle ważną, abym wszystkim mówiła, że mam czterdzieści sześć lat i nie ujawniała swego prawdziwego wieku, bo kiedy książka wyjdzie drukiem, będę miała pięćdziesiątkę i „kobiety nie znalazłyby wspólnego języka z pisarką w wieku

pięćdziesięciu lat.”

Niechętnie się na to zgodziłam, ale wydawało się, że jest przekonany o tym, co mówi, a ja byłam taką nowicjuską, że godziłam się prawie na wszystko. Wkrótce poprosiłam o spotkanie z Natem Wartelsem. Dowiedziałam się od brata, że Nat jest w branży prawdziwą legendą, jednoosobowym zespołem, który ma u siebie w gabinecie siedem biur, zawalonych stosami artykułów, które w razie potrzeby potrafi odnaleźć w mgnieniu oka. Siedziby wydawnictwa nigdy nie opuścił choćby jeden rachunek, na którym nie byłoby podpisu Nata.

Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Powiedziałam mu, czego się dowiedziałam o jego sposobie segregowania materiałów, a on pokazał mi, że to wszystko prawda. W którymś momencie padło nazwisko Herba Mayesa i okazało się, że od dawna się przyjaźnią. Kiedy wyjaśniłam mu swój stosunek do Herba, natychmiast stałam się członkiem rodziny. Nat przedstawił mnie Bruce’owi Harrisowi, który był w wydawnictwie kierownikiem działu promocji, więc spytałam go, czy wezmę udział w tournée związanym z promocją książki. Odpowiedział, „Och nie, to absolutny obłęd. Znalazłaby się pani w Cleveland i musiałaby pani wziąć udział we wszystkich programach rozrywkowych w telewizji, bo w mieście jest akurat drugi pilot Danny Kaye’a.” Byłam trochę zawiedziona, ale przyjąłam to za dobrą monetę, nie zdając sobie sprawy, że nie chce zorganizować tournée z powodu wydatków, jakie się z tym wiąże.

Poszliśmy z Lanym na lunch. Larry przywołał taksówkę. „Nie, daj spokój, mój mąż nie ufa nowojorskim taksówkarzom. Upiera się, żebym jeździła limuzyną”, wyjaśniłam rzeczowo, kiedy moja limuzyna podjechała i zatrzymała się, a kierowca wysiadł, żeby otworzyć nam drzwi. Lany poczerwieniał a potem zbladł. Zjedliśmy lunch w Le Cirque, a potem mu zaproponowałam, że odwiozę go z powrotem do biura, ale uparł się, że pojedzie taksówką. Jak tylko zniknął, kazałam kierowcy jak najszybciej jechać do hotelu. Chciałam szybko pozbyć się tego samochodu, za którego wynajęcie zapłaciłam mnóstwo pieniędzy, ale wiem, że było warto. Dzięki radzie Sylvii, wywarłam niezatarte wrażenie.

W Nowym Jorku spędziłam tydzień i codziennie dzwoniłam do Sue Kaufman Barondess, próbując nawiązać kontakt. Nadal regularnie dzwoniłyśmy do siebie i często pisałyśmy listy. Zaledwie kilka lat wcześniej napisała powieść *Spadające ciała*, która zaczynała się sceną, w której z okna mieszkania wypada pies i roztrzaskuje się na chodniku. Podzieliłam się z nią swoją opinią na temat tej powieści, która miała wiele zalet, a Sue w odpowiedzi przysłała mi list, jeden z niewielu, jakie do mnie napisała.

Wystarczy powiedzieć, dziecko, że to były naprawdę trudne miesiące. Krytyczne przyjęcie Spadających ciał — z tą maniacką recenzją w Sunday Times — jeszcze pogorszyły sytuację. Bardzo się cieszę, że książka ci się podobała. Podobała się wielu ludziom i jestem rada, że ją napisałam. Chociaż nieprędko przylapiesz mnie na tym, że znów opisuję amerykańską rodzinę, czuję, że powiedziałam coś, czego dotąd nie powiedziano — i stos listów od kobiet to potwierdza. Smutne jest to, że Ruch Wyzwolenia Kobiet zareagował tak gwałtownie — a temat nieszczęśliwej kobiety z klasy średniej to niemal tabu... Ciesz się, że nie jesteś autorką beletrystyki, dziecko — wiem o pięciu pierwszorzędnym powieściopisarkach, które mówią, że nie chciałyby więcej brać się do pisania powieści.

Wciąż próbowałam się dodzwonić do Sue, ale przez trzy dni udało mi się tylko porozmawiać z Jerrym, który powiedział, że Sue jest zajęta i zatelefonuje później. Pewnego dnia popełnił głupi błąd, mówiąc, że właśnie poleciała do Los Angeles. Wiedziałam, że Sue nigdy nie postawi stopy na pokładzie samolotu — wołałaby już pogłaskać grzechotnika.

Następnego dnia rano zadzwoniłam do niej zaraz po obudzeniu się i w końcu ją dopadłam. Rozmawiałyśmy przez parę godzin, jakbym nigdy nie wyjechała do Kalifornii, śmiejąc się jak w

czasach owych podwójnych randek na Harvardzie, ale Sue nie mogła się zdecydować na spotkanie ze mną, tłumacząc się nawalem pracy. Byłam do tego przyzwyczajona, ponieważ nigdy nie wychodziła z domu, kiedy była zajęta pracą i nawet nie znalazła czasu na wspólne zjedzenie lunchu w dniu moich czterdziestych urodzin. Codziennie do siebie dzwoniłyśmy aż do mego wyjazdu i za każdym razem nasze rozmowy były tak bez troski jak zawsze. Kiedy wróciłam do Los Angeles, pierwszą rzeczą, jaką powiedział mi Steve, było to, że poprzedniej nocy Sue popełniła samobójstwo wyskakując z okna swego mieszkania na osiemnastym piętrze. To czego nie wiedziałam i co Jerry starał się przede mną ukryć to fakt że w ciągu ostatnich lat Sue była wielokrotnie hospitalizowana powodu depresji i że następnego dnia miała się znów znaleźć w szpitalu psychiatrycznym, ale wolała umrzeć niż przeżyć to jeszcze raz. Zawsze wiedziałam, że nigdy naprawdę nie znałam Sue, ale szok spowodowany jej samobójstwem był druzgocący. Oczywiście napisałam do Jerry'ego, ale nigdy nie odpisał; nigdy też nie skontaktował się z żadną z wielu przyjaciółek Sue, które żywiły do niej ogromną sympatię.

W ciągu paru tygodni otrzymałam wiadomość, że Larry Freundlich dał rękopis mojej powieści Howardowi Kaminsky'emu z wydawnictwa Warner Books, które zaproponowało odkupienie praw do wydania książki w miękkiej okładce za pół miliona dolarów. Czy godzę się na tę cenę czy też Crown ma szukać dalej? „Brać!” krzyknęłam, nie wierząc własnym uszom, „zanim się rozmyślą.”

Nagle zadzwonił Bruce Harris. Crown, odzyskawszy pięćdziesiąt tysięcy dolarów zaliczki i mając zapewnioną połowę dodatkowych czterystu pięćdziesięciu tysięcy, zapragnął zorganizować objazd piętnastu miast z moją książką; objazd miał się zacząć 15 marca w Cleveland od lunchu z moim udziałem, na którym miałam wygłosić mowę. „Ale powiedział pan, że w Cleveland...” „E tam, nigdy tak nie mówiłem”, odparł żartem. Odbyla się licytacja sprzedaży praw autorskich do Anglii, w której wzięło udział piętnastu wydawców i książkę sprzedano po rekordowej cenie.

Spędziłam wiele bezsennych nocy, kiedy głowę mi rozsadały rozliczne spekulacje, ale od Dnia Pamięci Poległych przez całą zimę 1977/1978 roku nigdy, aż do dnia kiedy książka ukazała się drukiem 9 marca 1978 roku, nie wierzyłam, że ktokolwiek zechce ją przeczytać. Mam głęboko zakorzeniony zwyczaj nie liczyć na coś, co nie jest jeszcze zupełnie pewne i zwyczaj ten nigdy nie zmanifestował się mocniej niż wtedy, w okresie oczekiwania na premierę książki.

Któregoś dnia, podczas lunchu, dostałam nieoczekiwany telefon od kogoś nieznanego, kto okazał się szefem telewizji Warnera. Alan Shayne zaproponował mi kupno opcji na *Skrupuły* za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. W tym przypadku nie potrzebowałam żadnej rady. Dysponowałam jakąś podstawową wiedzą na temat przemysłu rozrywkowego. „Jeżeli książka okaże się niewypałem, nie nakręci pan filmu, a jeśli odniesie sukces, zapłaci pan znacznie więcej. Żadnej opcji, ale dziękuję za zainteresowanie.” Steve już wcześniej wycofał się z ubiegania się o prawo do produkcji miniseriale, mówiąc, że wyglądałoby to na nepotyzm i że mam prawo do niezależnego działania.

W styczniu, na moje pięćdziesiąte urodziny, pojechaliśmy na dwa tygodnie do Francji i Anglii; były to nasze pierwsze, prawdziwe wakacje od wielu lat. W Londynie wydaliśmy przyjęcie dla wszystkich przyjaciół, które zaczęło się w naszym apartamencie u Claridge'a od drinków i przekąsek a skończyło się obiadem w The White Elephant. Nieoczekiwanie dla samej siebie (zazwyczaj nie mam oporów przed ujawnianiem własnego wieku) nie chciałam powiedzieć, że to moje urodziny — nagle pięćdziesiąt wydało mi się zbyt dużą liczbą — ale kiedy zaleźliśmy się z powrotem w hotelu, poczułam się przybita i w końcu zdałam sobie sprawę, że jest mi przykro, że zrobiłam z tego tajemnicę. Nigdy nie urządzaście urodzin, nie mówiąc, że to urodziny. Nie musicie mówić, które. Prawdziwi przyjaciele nie będą pytać.

W Paryżu Steve krążył jak błędny, próbując się dowiedzieć o wyniki rozgrywek Super Bowl, ale wyglądało na to, że nikt nie wie, o co mu chodzi. W końcu przyszło mi do głowy, żeby udać się do dostojnego Ritzu i zapytać, czy nie mają jakichś wiadomości na ten temat. „Powinni być w stanie zrobić wszystko dla swoich klientów”, powiedziałam. „Ale my nie jesteśmy ich klientami.” „Mimo wszystko zapytajmy.” Trzy recepcjonistki w Ritzu, poważne i świadome własnego znaczenia były pierwszymi osobami w Paryżu, które wiedziały co to jest Super Bowl. Jedna z nich zatelefonowała do redakcji *International Herald Tribune*, żeby się dowiedzieć o wynik rozgrywek i skróciła cierpienia mego męża. Pomyślałam, że to dobry omen. „Zatrzymujemy się w tym hotelu, ilekroć będziemy w Paryżu”, zaproponowałam. I tak też robimy.

Po latach poszukiwań wreszcie znaleźliśmy „swój” hotel w Paryżu. Podczas trzech lat spędzonych w tym mieście w połowie lat osiemdziesiątych miałam w Ritzu otwarty rachunek i mogłam w recepcji realizować swoje czeki, wiedziałam jak odnaleźć doskonale zamaskowaną toaletę dla pań, a pewnego pamiętnego dnia jeden z młodych kierowników spytał, czy chciałabym zobaczyć nowego właściciela hotelu, Sułtana Brunei. Podekscytowana, podążyłam za nim do jednego z pokoiów koło głównego hallu, gdzie grupa robotników kręciła się wokół jakiejś dziury w podłodze. „Gdzie jest sułtan?” spytałam. „To ten”, powiedział, wskazując na drobnego mężczyznę w dżinsach, który właśnie podnosił deskę. „Ten?” spytałam z niedowierzaniem. „Tak, to ten facet w koszulce z napisem «Galleries Lafayette».” Galleries Lafayette to wielki dom towarowy, coś jak Macy’s.

Dziś Bill Gates jest dziesięć razy bogatszy od sułtana, który wtedy był zdecydowanie najbogatszym człowiekiem na świecie, ale żaden z nich na pewno nie znalazłby się na liście najlepiej ubranych mężczyzn.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Podczas gdy borykałam się z coraz bardziej rozrastającymi się i skomplikowanymi przygotowaniem do tournée promocyjnego *Skrupulów*, przyszedł mi do głowy pomysł na nową powieść. Od chwili sprzedania *Skrupulów* szukałam natchnienia, jako że powodował mną strach, że stanę się autorką jednej książki. Zrobiłam to raz, ale czy potrafię po raz wtóry? Ta myśl mnie prześladowała.

W środku nocy, zimą 1978 roku, obudziłam się i w głowie pojawiło mi się takie oto zdanie: „Urodziła się jako księżniczka Marguerite Alexandrovna Valensky, ale wszyscy zawsze nazywali ją Daisy.” Podniecona nabazgrałam to zdanie na kartce papieru i przykleiłam do lustra w łazience Steve’a, dodając, „Co o tym sądzisz?”

Przygotowałam szkic powieści i 24 stycznia 1978 roku, prawie dwa miesiące przed planowaną datą publikacji *Skrupulów* i rozpoczęciem promocyjnego tournée, podpisałam z Crownem kontrakt na *Księżniczkę Daisy*, którą miałam ukończyć do 1 stycznia 1980 roku, opiewający na czterysta tysięcy dolarów za prawa do wydania książki w twardej okładce.

Moja pierwsza powieść stanowiła jedyny przypadek, kiedy pisałam dysponując pełną swobodą, w zaciszu własnego domu, pełna nadziei ale bez wyraźnych oczekiwań, bez żadnej zaliczki, bez agenta, wydawców czy ludzi od *public relations*, którzy by mi stali nad głową.

Kiedy teraz, po napisaniu dziesięciu powieści, patrzę wstecz, główne uczucie radości związanej z moją karierą nie dotyczyło *napisania* powieści, ale samego procesu pisania. Usiąść rano przed monitorem, mając przed sobą cały dzień nieprzerwanej pracy, włączyć komputer, wiedząc, co chcę napisać w kolejnej scenie, nad którą pracuję, jest źródłem takiego zadowolenia, jakiego nigdy w życiu nie doświadczałam. Nie, zdarza się to codziennie; akcja musi już być dobrze zaawansowana, postacie uformowane, zanim uda się osiągnąć ten rzadki i cenny stan ducha i często nie pojawia się on ponownie przez tydzień lub dwa, kiedy pracuję nad bardziej przyziemnymi partiami tekstu. Ale nie ma nic lepszego niż owe godziny, gdy wyobrażenia i kunszt idą ręką w rękę i w końcu, wydaje się, że po chwili, chociaż w rzeczywistości minęło sześć godzin, czytam to, co napisałam i mówię do siebie na głos, „Myślę, że mi się udało.”

Jednak kiedy książka jest już skończona, idzie do druku i na koniec ląduje w księgarniach, nie towarzyszy temu słodkie uczucie spełnienia, jak po udanym dniu pracy, ale raczej niepokój, jak książka zostanie przyjęta, kiedy ujrzy światło dzienne. Tyrania listy bestsellerów dziennika *New York Times* jest nie do uniknięcia. Bez względu na to jak bardzo staram się uodpornić przeciwko takim emocjom, ta gra liczb zawsze jest obecna, od chwili gdy *Skrupuły* znalazły się na tej liście.

Kiedy powieść znajdzie się na czele listy bestsellerów, to, jak napisała Charlotte Brontë, „życie jest tak urządzone, że rzeczywiste zdarzenie nie może dorównać i nie dorówna oczekiwaniom.” Tak, kiedy książka się znajdzie na szczycie, czuje się dreszcz podniecenia, ale towarzyszy temu pytanie: jak długo utrzyma się taki poziom sprzedaży? Czy w przyszłym tygodniu nadal będzie się lepiej sprzedawać niż inne książki z listy? A w tydzień potem? Najlepiej sprzedający się powieściopisarze konkurują ze sobą tak samo jak mistrzowie tenisa czy baseballu. Zawsze się znajdzie nowy gracz, który może ci odebrać koronę. Nie potrafię sobie wyobrazić, że powieściopisarz, który pisze dla szerokiej publiczności, może być naprawdę odporny na tę ogromną presję, która tak bardzo umniejsza radość płynącą z faktu wydania książki.

Dopiero gdy nowa powieść ruszy w świat, mogę myśleć o książce z pewną dozą zadowolenia, że to ja ją stworzyłam. Ale nawet wtedy często się zdarza, że jeśli ulegnę pokusie ponownego

prze czytania choćby jednej strony przed upływem co najmniej dwóch lat po napisaniu Książki, natychmiast znajduję zwroty czy całe akapity, które chciałabym przerobić! Moje uparte i obsesyjne dążenie do doskonałości odbija się na mojej pracy, ale bez względu na to jak wyraźnie widzę jałowe takiego podejścia, nie potrafię go przezwyciężyć.

Kiedy pisałam książkę za książką, nigdy, dosłownie nigdy, nie ośmieliłam się pomyśleć, „Poprzednie książki odniosły sukces, więc ta nowa też na pewno nie będzie wyjątkiem.” Gorzko żałuję, że nigdy nie osiągnęłam takiego zaufania do swoich umiejętności, że nigdy bezmyślnie nie rozkoszowałam się więcej niż przez jedną minutę tym, że jestem na szczycie. Psychiczne cechy, które pozwalają odczuwać takie zdrowe, optymistyczne i godne pozazdroszczenia zadowolenie, nigdy nie leżały w mojej naturze — wręcz przeciwnie — i teraz nauczyłam się ten fakt akceptować. Mogę przynajmniej patrzeć na stos moich dziesięciu książek i mieć poczucie spełnienia, poczucie pełnej satysfakcji, zwłaszcza że przetłumaczono je na tyle języków — czterdzieści siedem, według ostatnich obliczeń — co jest dowodem, iż nawiązałam kontakt z milionami ludzi na całym świecie, których nigdy nie poznam... ale oni znają mnie. Każdy, kto przeczytał kilka moich powieści, zna moje myśli i uczucia dotyczące tego, co jest dla mnie ważne.

Na szczęście, kiedy pisanie szło mi źle, potrafiłam szybko uczyć się na własnych błędach i mogę sobie powiedzieć, „Ten koszmar już kiedyś przeżyłam, tego można się było spodziewać i nawet gdy dzisiaj mi nie idzie, jutro będzie lepiej, a jeśli nie jutro, to następnego dnia.”

Kiedy teraz zajmuję się *public relations* mojej dziesiątej powieści, *Klejnoty Tessy Kent*, która zostanie wydana za dwa miesiące, przed świętami Bożego Narodzenia 1998 roku, kradnę każdą minutę, żeby pisać te wspomnienia, chociaż nie mam pewności czy znajdę wydawcę. Mam nadzieję, że tak, ale luksus pisania bez autocenzury, bez zastanawiania się nad tym, jak to zostanie przyjęte, którego to uczucia nie miałam od czasu *Skrupulów*, jest rzeczą fantastyczną.

Gdybym była pewna, że niniejsza książka nigdy nie zostanie wydana, i tak bym ją napisała, po prostu dlatego, że pozwala mi spojrzeć na własne życie i czegoś się o sobie dowiedzieć. Nie w pełni zdawałam sobie sprawę ze znaczenia wydarzeń mego życia, dopóki nie spisałam ich w porządku chronologicznym. Nigdy nie byłam tak bardzo świadoma tego, w jaki sposób ludzie, których znałam i doświadczenia, które były moim udziałem, wpłynęły na moje życie, kiedy ulegałam siłom, których wówczas nie pojmowałam. Żadna psychoanaliza nigdy nie dostarczyła mi odpowiedniej perspektywy, która pozwoliła mi zrozumieć, w jaki sposób moi rodzice, klimat mego dzieciństwa, moje szkolne lata, moje rodzeństwo i moje doświadczenia z Joem, owym kadetem, odciska się na mojej osobowości. Jeżeli jednym z celów psychoanalizy jest prowadzenie „kontrolowanego” życia, spisanie szczerych wspomnień może stanowić rodzaj samokontroli. I jest o wiele tańsze. Na pomysł napisania tej książki wpadłam, kiedy pewnej nocy wspominałam przyjęcie, na którym poznałam Jackie Sussan. Przyjęcie odbyło się w 1971 roku, wkrótce po naszym przyjeździe do Kalifornii, a ponieważ Steve był jak zwykle nieobecny, Bill i Ann Dozier zabrali mnie do Joyce Haber. Joyce była wtedy u szczytu sławy, po sukcesie bestsellera *Użytkownicy*, a przyjęcie zostało wydane z okazji urodzin jej ówczesnego męża, producenta telewizyjnego, Douga Cramera.

Podeszłam z Ann do drzwi domku plażowego Joyce, koło którego łąziło dwóch bardzo atrakcyjnych mężczyzn, patrząc na nas z zainteresowaniem. Nie mogłyśmy przejść obok nich bez słowa, nie przedstawiając się, więc Ann wyciągnęła dłoń do jednego z nich a ja do drugiego, po czym wymieniłyśmy nasze imiona. Nie wyciągnęły dłoni w odpowiedzi, w ogóle nie zareagowały. Spojrzałyśmy na siebie i wzruszyłyśmy ramionami. Cóż to mogli być za goście? Weszłyśmy do środka i w tłumie spostrzegłyśmy Henry Kissingera z towarzyszką, bardzo ładną Jill St. John. Okazało się, że Ann i ja chciałyśmy wymienić uścisk dłoni z tajnikami Kissingera. „Myślisz, że

podejrzewali, iż w dłoniach mamy ukryte zatrute strzałki?” spytałam Ann, która była ode mnie nieco wyższa, ale z pewnością nie powinna budzić lęku.

Podczas przyjęcia, bardzo hollywoodzkiego, na który przyszło wiele sław, zauważyłam wysoką, atrakcyjną, czarnowłosą kobietę ubraną w koszulkę i autentyczny robotniczy kombinezon. Nasze oczy spotkały się i wtedy zdałam sobie sprawę, że patrzę na Jackie Sussan. Nawet ja, z moim upodobaniem do klasyki, czytałam jej książki. Jej spojrzenie było tak przyjazne i miało charakter tak osobisty, że choć nas sobie nie przedstawiono, odniosłam wrażenie, iż w jakiś sposób nawiązałyśmy kontakt. Nigdy nie zapomnę ciepła tego spojrzenia i było mi przykro, kiedy zmarła w trzy lata później. Nie, nie sądzę, żeby we mnie rozpoznała przyszłą pisarkę; nie sądzę, że tym spojrzeniem chciała mi coś przekazać — taki był po prostu jej sposób bycia.

Ale coś związanego z tym wspomnieniem kazało mi zdać sobie sprawę, że w swoim życiu otarłam się o wielu interesujących ludzi. W parę tygodni po tym, jak przypomniałam sobie to przyjęcie, które się odbyło dwadzieścia siedem lat temu, jeden z magazynów poprosił mnie o napisanie artykułu o objętości sześciuset słów na temat dojrzewania seksualnego w latach czterdziestych. Wówczas zdałam sobie sprawę że w tak krótkim artykule nie da się zawrzeć prawdy o latach czterdziestych. To oraz owo wspomnienie Jackie Sussan w ułamku sekundy przerodziło się w pomysł napisania niniejszej książki.

Jedną z najprzyjemniejszych rzeczy związanych z pisaniem autobiografii jest możliwość buszowania we własnym życiu i odkrywania w jaki sposób coś, co wydarzyło się, kiedy miałaś sześć lat, wiąże się z czymś, co wydarzyło się sześćdziesiąt lat później, czyli możliwość swobodnego przeskakiwania w czasie... co jest nie do pomyślenia w normalnej powieści.

Wracając do sprawy publikacji *Skrupulów*, Crown postanowił wydać największy pierwszy nakład powieści, jaki kiedykolwiek ujrzał światło dzienne. Po dokonaniu szczegółowej analizy, ustalono liczbę egzemplarzy na 106 000. Przygotowano znakomitą obwolutę i do wszystkich księgarzy wysłano fantastycznie zaprojektowaną ulotkę promocyjną, która wzbudziła ogromne zainteresowanie.

Jeśli o mnie chodzi, postanowiłam, że powinnam sobie zrobić zdjęcie, które umieszczone na obwolutie książki uświadomi przyszłym czytelnikom, że ta nieznaną autorka ma solidne przygotowanie do pisania o świecie mody. Musiałam teraz wybrać odpowiedniego fotografa. Zwróciłam się do Helen Brown, która była tak uprzejma, że umówiła mnie na spotkanie z Francesco Scavullo, który wówczas był u szczytu sławy.

Crown chciał pokryć jedynie tysiąc dolarów z czterech tysięcy, których zażądał Scavullo. Nat Wartels był człowiekiem oszczędnym pomimo ogromnych zysków, jakie mi zawdzięczał, ale ja zawsze uważałam, że warto w siebie inwestować, jeżeli inni nie chcą. Pokryłam tę różnicę i poleciałam do Nowego Jorku. Ponieważ fotograf nigdy o mnie nie słyszał, przyjął mnie wyjątkowo chłodno. Charakteryzator wygłupiał się, tak że w końcu ledwo mogłam wytrzymać, ktoś inny potargał mi włosy, po czym powiedziano mi, żebym została w prostej białej bluzce, w której przyjechałam, chociaż przywiozłam ze sobą inne stroje.

Po czterech godzinach oczekiwania, Scavullo kazał mi usiąść na lodowatej betonowej podłodze swego atelier, w samej bluzce i halce, czym szybko i w bardzo niesympatyczny sposób zrobił trzy czy cztery rolki filmu. Ilekroć uśmiechnęłam się, przestawał fotografować, więc nie otwierałam ust i wyszłam stamtąd zmaltretowana.

Przysłał mi tylko sześć odbitek stykowych, z których miałam dokonać wyboru. Zrozpaczona i ogromnie zawiedziona, wybrałam tę, która wydawała mi się najmniej zła, bo nie było już czasu na szukanie drugiego fotografa. To czarno-białe zdjęcie jest wciąż jednym z najlepszych zdjęć, a z pewnością najbardziej szczerym, jakie mi kiedykolwiek zrobiono. W następnych latach

Scavullo nadszukał mi, kiedy robił zdjęcia do *Harper's Bazaar*, ale ostatecznie wybrane zdjęcie było jednym z najgorszych, jakie mi kiedykolwiek zrobiono. Tę historię pozostawiam bez morału.

W styczniu 1978 roku, na dwa miesiące przed datą wydania książki, zaczęłam prowadzić swój prywatny dziennik — nikt, nawet Steve, nigdy go nie czytał — zapisując w nim swoje wrażenia na temat otaczających mnie zdarzeń. Zawsze pisałam nocą, kiedy byłam zbyt podenerwowana, żeby zasnąć, więc dziennik ten nie odzwierciedla dokładnie, jak się czułam w normalnych warunkach. Jest dla mnie jednak bezcenny jako jedyna relacja dotycząca tych dni, kiedy rodziły się nowe ambicje i dążenia. W jednym z pierwszych zapisów znajduję takie oto zdanie: „To wszystko gdzieś tu jest, ale jeszcze nie mam tego w garści. I nie mogę budować zamków na lodzie. Chcę zobaczyć te sto sześć tysięcy egzemplarzy w księgarniach, a potem drugie wydanie i tak dalej... ale nikt tego jeszcze nie wie. Nerwowa sytuacja — ale nie jestem zbyt zaniepokojona.”

Nadchodzące miesiące, które miały się okazać emocjonalnie i fizycznie wyjątkowo trudne, wymagały takiego właśnie nastawienia. Często doprowadzała mnie do wściekłości demonstrowana przez Crowna nieumiejętność reklamowania beletrystyki. Bruce Harris i Nancy Kanane, szefowa działu *public relations*, wysuwali niezliczone żądania; Prawie codziennie dzwonili do mnie z jakąś nową wiadomością, jak na Przykład, że mają zamiar mnie namówić do zabrania głosu podczas lunchu w Seattle, po czym akwizytor Crowna zawiezie mnie samochodem do Portland. Mieszkając w Nowym Jorku, nie mieli pojęcia, że te dwa miasta są od siebie oddalone przynajmniej o sześć godzin jazdy. Uparłam się, że muszę mieć samolot.

Nancy zaplanowała nawet dla mnie spotkanie w Nowym Jorku w Dniu św. Patryka, jedynym dniem, kiedy nie da się nawet przejść na drugą stronę Piątej Alei z powodu trwającego cały dzień pochodu, nie wspominając już o konieczności szybkiego przemieszczania się. Nancy, która później została moją kumpelką i doskonałą specjalistką od *public relations*, miała w tym momencie znacznie gorsze rozeznanie niż ja. A fakt, że kiedyś była zakonnicą, ni mniej ni więcej tylko siostrą miłosierdzia, oznacza, że jej gafa z Dniem Św. Patryka jest tym bardziej niewybaczalna! Kiedy się o tym dowiedziałam, w pełni zdałam sobie sprawę, że nikt w wydawnictwie nie dysponuje odpowiednim doświadczeniem w tej dziedzinie. Ja także go nie miałam, ale przynajmniej zachowałam rozsądek i potrafiłam dostrzec niektóre oczywiste zagrożenia. Crown nigdy, ale to nigdy przedtem nie planował tournée żadnego powieściopisarza i stało się jasne, że dopiero się tego uczą i to na mój koszt.

27 stycznia zapisałam: „Po raz pierwszy w pełni zdałam sobie sprawę, że muszę polegać na własnej ocenie w odniesieniu do każdego drobiazgu, bo oni nie mają o tym bladego pojęcia. To tak jak być jednocześnie czcigodną chińską cesarzową i chińską niewolnicą, którą się wykorzystuje bez końca, aż padnie trupem bez słowa skargi. Cóż, wybrali niewłaściwą osobę.”

Jestem zdumiona, że na wiele tygodni przed rozpoczęciem promocyjnego tournée, byłam w stanie tak jasno i dokładnie widzieć przyszłość, która całkowicie pozostawała poza obrębem moich doświadczeń.

W międzyczasie u dr S. przeżywałam ciężkie chwile. Podarowałam mu autorski egzemplarz *Skrupulów*, a kiedy opowiedziałam o swoich bojach w związku z nierealnymi i absurdalnymi planami Crowna, powiedział poważnym tonem, „Po przeczytaniu książki i nawet nie widząc cię na oczy, mogą dojść do wniosku, że można na ciebie łatwo wywrzeć nacisk, ze względu na twoje pragnienie bogactwa i sławy, co można dostrzec między wierszami powieści.” Naturalnie nie zapytałam, „I co w tym złego?” Jednak wywnioskowałam z tonu jego głosu, że „bogaci i sławni” to dla niego to samo co „obrzydlivi materialści”. Ponadto powiedział, że uważa, iż Spider Elliott, mój cudownie męski bohater, „tak naprawdę boi się kobiet”.

Napisałam, że Spider sprawiał, iż niepewne modelki miały wrażenie, że są milutki, rozpieszczane i w ogóle cudowne. Lubił je wszystkie — i te tyczkowate z Teksasu, które jeszcze nosiły aparaty zębowe, które namaszczaniem zakładały podczas przerw w pracy; i te twarde, które lubiły opowiadać nieprzyzwoite historie, mimo że były one szokujące tylko dla nich samych; i te, które stale gubiły szkła kontaktowe; i te smutne dwudziestoczerolatki, które czekały na swoje dwudzieste piąte urodziny jak na koniec świata; i te samotne, które odkryto w Europie na długo przedtem, zanim były na tyle dorosłe, aby mogły opuścić swój rodzinny dom; lubił nawet te, które nie jadły przez cały dzień, rujnując swój układ nerwowy, a potem oczekiwały, że im kupi na obiad możliwie najchudsze steki. Wysokokaloryczne potrawy białkowe dla głodujących kobiet zaliczały się do jego najpoważniejszych wydatków... Dla Spidera apetyt był niekwestionowanym znakiem kobiecości.

Czytelniku, czy wygląda na to, że ów mężczyzna bał się kobiet?

Dr S. powiedział mi też, że w powieści rozgrywającej się w świecie handlu „stroje zawadzają w akcji”. Dodał, że ponieważ dla niego przykładem dobrego autora jest Kafka, *Skrupuły* to nie jest „ten rodzaj książek, które lubi”. Co za kompletny palant, jak mówiłyśmy w college’u. Z pewnością nie pisałam tej powieści, mając na myśli jego jako potencjalnego czytelnika.

Powinłam była od razu rozstać się z tym lekarzem, ale byłam zbyt niepewna siebie i ogromnie wrażliwa, jeśli chodzi o własne możliwości. Nie potrzebowałam psychiatry, który jest ekspertem od komercyjnej beletrystyki, ale nie powinłam była chodzić do takiego, który był tak mentorski, negatywnie nastawiony i pełen uprzedzeń, co podkopywało moją wiarę w siebie. Z pewnością odebrał mi znaczną część radości wynikającej z odniesionego sukcesu. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, przypuszczam, że musiałam przy nim pozostać, ponieważ nie byłam w stanie znieść dodatkowego zamieszania w czasie, gdy moje życie tak się komplikowało i było pełne znaków zapytania.

Podczas pierwszych lat swojej kariery powinłam była — tak, powinłam była — dać sobie z nim spokój. Dzięki Bogu, nie pozwoliłam, aby to powstrzymało mnie od pisania! Zaniósłam mu nawet po jednym egzemplarzu swoich trzech pierwszych powieści, licząc choćby na odrobinę uznania, ale się tego nie doczekałam. Znacznie bardziej by mi się przydał ortodoksyjny zwolennik Freuda, choćby nie wiem jak milczący.

W międzyczasie Steve okropnie się przeziębził, a nasza gosposia też była akurat chora. Pewnej ciemnej, lutowej nocy, podczas ulewnego deszczu, musiałam pojechać do miejscowych delikatesów, żeby kupić Steve’owi zupę z kurczaka. Sama czułam, że bierze mnie grypa, ale następnego dnia Crown umówił mnie na obiad w prywatnej sali w restauracji Bistro, która była wówczas najelegantszą restauracją w Los Angeles, gdzie miałam się spotkać z dwudziestoma sześcioma miejscowymi księgarzami i byłam zdecydowana, żeby tam iść. Zanim ojcowski Ernie Greenspan, przedstawiciel lokalnych władz, przyszedł, żeby zawieźć mnie do Bistro, siedziałam już ubrana do wyjścia w pokoju telewizyjnym razem ze Stevem, sparaliżowana perspektywą zbliżającego się obiadu. Uczucie to było prawie tak silne jak wtedy, przed ślubem, ale nie odważyłam się wypić nawet jednego drinka.

Obiad był zupełnie surrealistyczny i przypominał sen. Wszyscy bez wyjątku dodawali mi odwagi, a wśród nich Larry Todd z Huntera, najbardziej znanej księgarni w Beverly Hills. Jim Zeidman, kierownik lokalnej placówki Doubleday’a, stwierdził nawet, że książka stanie się bestsellerem numer jeden, „ponieważ umiem opowiadać i nigdy sienie myślę.” Inny księgarz założył się o pięć dolarów, że dostanę się na pierwsze miejsce listy w *New York Times*.

W swoim dzienniku zapisałam, „Wciąż nie mogę uwierzyć, że poprzedniego wieczoru, na przyjęciu, byłam taka spokojna. Było to tak, jakbym robiła to już dziesiątki razy i myślę, że moja beztroska wynika z faktu, iż nie potrafię sobie wyobrazić, że zainteresowanie i pochwały dotyczą

mojej osoby — mogę to więc przyjmować bez zdenerwowania. Nie wierzę w sukces, którzy wszyscy przepowiadają, i dlatego nie nastąpiła we mnie żadna zmiana. Może być «sławą», jak to nazywa Tony, nie różni się znowu tak bardzo od bycia normalnym człowiekiem?

Pogoda zepsuła się, stale przeciekał nam sufit w salonie, drogi były zamknięte i pewnego razu, wracając z delikatesów i niosąc ciężką torbę, wypełnioną zakupami, do parkingu, myślałam, że nie dam rady — Okropne wspomnienie tego spaceru w ciemnościach, pośród burzy, prześladowuje mnie do dziś. Jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby zamówić taksówkę. Nie rozumiałam, że moje zdrowie jest najważniejszą rzeczą, Wtóra muszę chronić, bez względu na to, co się stanie.

Dotąd nie odbyła się jeszcze ogólnokrajowa promocja powieści. Reklama książki tylko wtedy jest użyteczna, jeśli książka jest dostępna, chyba że jest to wielkie wydarzenie wydawnicze i zostaje podane do publicznej wiadomości wcześniej. Jeżeli książka nie jest oczekiwana, ogólnokrajowa dystrybucja ma charakter sporadyczny. Po wydaniu *Skrupułów* moje następne powieści pojawiały się we wszystkich księgarniach w kraju w tym samym dniu, ale wtedy jeszcze tak nie było. Niemniej jednak miejscowym księgarniom obiecano, że otrzymają książkę tego samego dnia.

Jednak księgarnia Huntera otrzymała pięćdziesiąt egzemplarzy książki wcześniej, ponieważ Larry Todd zamówił dostawę eksPrésową. Nic o tym nie wiedząc, zjawiłam się w studio Rona, gdzie zobaczyłam Dona Henley'a, który siedział na macie i powiedział mi, że właśnie kupił moją książkę. Zaalarmowałam Crowna, który obiecał mi, że wyśle akwizytora, żeby odkupił te egzemplarze, ale Larry Todd odmówił ich wydania. W dzień później były już sprzedane.

Inna mała księgarnia na przedmieściach Chicago otrzymała trzydzieści siedem egzemplarzy książki podczas szalejącej zamieci, sprzedała je w ciągu jednego dnia i zamówiła jeszcze pięćset; wkrótce potem Jim Zeidman połowę swojej wystawy udekorował moją książką, umieszczając ją między książkami Sidneya Sheldona i Josepha Wambaugh. Każdy telefon od Crowna nosił znamiona lekkiej hysterii, kiedy zdali sobie sprawę, że podawana z ust do ust wiadomość o wydaniu mojej powieści zaczęła przynosić owoce.

Ale całe to rosnące podniecenie zostało ostudzone nie tylko z powodu pogody, ale w związku z kompletnym brakiem jakiegokolwiek reakcji ze strony mojej matki, która miała książkę już od dziesięciu dni, a normalnie czytała z szybkością błyskawicy. Zadzwoiła do Mimi i powiedziała jej, że poczuła wielką ulgę kiedy się dowiedziała, że książkę przeczytała jedna z jej przyjaciółek i kupiła ją dla innej przyjaciółki, ale ja nie dostałam od niej żadnej wiadomości. Kiedy w końcu po dwóch tygodniach zadzwoniła, nie potrafiła się cieszyć moim sukcesem. Swoje milczenie wyjaśniła mówiąc, że to jest „trudna książka” dla matki, ponieważ wciąż widzi moją „kochaną buzię wychylającą się zza ramion p. Glentz”, kiedy niańka kładła mnie spać. „Ile miałam wtedy lat?” „Dziewięć miesięcy.” „Ale teraz mam pięćdziesiąt lat”, odparła i pomyślałam, że kiedy miałam dziewięć miesięcy, byłoby miło, gdyby to matka kładła mnie spać. W parę tygodni później zadzwoniła znów i oświadczyła, że doszła do wniosku, iż *Skrupuły* nie są „właściwie książką pornograficzną, ale socjologiczną.” A ja myślałam, że to beletrystyka.

16 lutego nagle zrobiła się wiosna, a *Skrupuły* znalazły się na dwunastym miejscu listy Daltona — Pickwicka i na dziesiątym miejscu listy niedzielnego *Los Angeles Times*. Były w sprzedaży zaledwie przez tydzień, a ja nie mogłam zasnąć przez całą noc. „Czy to się dzieje naprawdę?” napisałam w dzienniku. „Czy to jest ta wspaniała przyszłość to wszystko, czego zawsze pragnęłam, ale myślałam, że nigdy nie osiągnę? A jeśli tak, to co? Pod pewnymi względami nic się nie zmieni, pod innymi wszystko, ale jeszcze nie wiem jak.”

W tym czasie udzieliłam wielu wywiadów i dopóki do tego nie przywykłam, stwierdziłam, że mówienie bez przerwy o sobie i odpowiadanie na wciąż te same pytania, napełnia mnie uczuciem prawdziwego niesmaku. Ale z drugiej strony, jakby patrząc z boku, słuchałam samej siebie, jak

udzielałam tych wywiadów, całkowicie rozluźniona i pewna siebie. Teraz, gdy było już widać nadchodzący sukces, Warner Brothers Television kupił prawa do produkcji miniseriale za 350 000 dolarów. W rolach głównych wystąpili Barry Bostwick jako Spider i Lindsay Wagner jako Billy, a serial stał się przebojem 1979 roku i jeszcze dziś pokazuje go telewizje kablowe. Dramatyczny fragment książki, o którego usunięciu prosił Larry Freundlich, był centralnym elementem serialu. Faceci z telewizji napisali scenariusz na podstawie rękopisu, nie zaś na podstawie książki. Nikt nie zauważył tej pomyłki, oprócz Steve'a i mnie.

W środku nocy, w dwudziestą czwartą rocznicę naszego ślubu, 19 lutego 1978 roku, napisałam w dzienniku:

Steve jest dla mnie najważniejszą osobą pod tak wielu względami, że czuję niemal przerażenie. Teraz zdaję sobie z tego sprawę bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ oboje tak bardzo zmieniliśmy się — w stosunku do siebie — staliśmy się o wiele bardziej szczerzy, ufni, wrażliwi, zależni od siebie i zgodni co do najważniejszych problemów życiowych, nikt nie mógłby być nawet jedną dziesiątą tego czym on jest dla mnie a ja dla niego. Jest tak czuły, delikatny i tak cierpliwy, jeśli chodzi o moje opętanie książką i ataki niepokoju (jeden z nich mam właśnie teraz). Mój Boże, gdybym tylko mogła mieć pewność, że dam sobie radę z innymi problemami! Jak wytrzymam to tournée bez jego rad, ale wiem, że mogę to zrobić, bo muszę. „Tournée nowej autorki bestsellera” — czyż nie brzmi to fantastycznie? Myślę, że będzie to literacki odpowiednik wojny!

Herbert Mitgang, autor rubryki „Kulisy bestsellerów” w *The New York Times*, poprosił o czterdziestominutowy wywiad przez telefon. Powiedziałam mu, że mam czterdzieści sześć lat i w ten sposób w moich ‘aktach’ znalazło się kłamstwo. Próbował mnie zagiać pytaniami w rodzaju, „Czy można panią porównać z Colette?” Odpowiedziałam, że „dzięki wrodzonej pokorze, przeczytałam jedną stronę Colette”, ale coś mi mówiło, że przyjacielskie miejscowe wywiady wkrótce będą należały do przeszłości. Nie omyliłam się. Jego artykuł był złośliwy, pełen drwin i uwag na temat seksu i wtedy obiecałam sobie, że nie będę więcej udzielać wywiadów przez telefon; postanowienie to, z czego wówczas nie zdawałam sobie sprawy, nie dało się jednak zrealizować.

Kłamstwo dotyczące mojego wieku odbiło się rykoszetem. Wszędzie gdzie się znalazłam podczas mego tournée, dziennikarze informowali, że mam czterdzieści sześć lat, a absolwenci Wellesley z 1948 roku natychmiast pisali do redakcji lokalnych gazet, mówiąc, że dadzą sobie głowę uciąć, że kiedy kończyłam wraz z nimi college, miałam na pewno więcej niż szesnaście lat. Pod koniec tournée nazbierało się tych listów tyle, że wypełniły połowę strony w najbardziej poczytnej rubryce „Agent” magazynu *New York*, co stało się źródłem zasłużonych kpîn. Napisałam do korespondenta *Wellesley Magazine*, że pragnę podziękować tym wszystkim, którzy chcieli pokazać, gdzie jest moje miejsce i od tej pory znów byłam absolwentką klasy z 1948 roku.

Pewnej nocy miałam cudowny sen o tym jak John Mack Carter proponuje mi pracę za siedemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, a ja muszę odmówić, ponieważ nie będę pracować za tak marne pieniądze. Czy w moim śnie był John czy Herbert Mayes, nie ma znaczenia: nawet m^oja podświadomość przyjęła do wiadomości, że robię pieniądze. Na Przyjęciu u Freda Haymana poznałam Johna Deana (tak, Johna Deana Watergate), który „podróżował” ze swoją książką prawie przez rok. Powiedział mi, że w telewizji nie powinnam mieć żadnych kłopotów z uwagi na swoją osobowość, ale żebym nigdy, przenigdy nie patrzył w kamerę. Pomyślałam, że musi wiedzieć, o czym mówi i zapamiętałam tę pożyteczną radę. Odtąd dosłownie przestałam dostrzegać karne ry w studio telewizyjnym, chociaż, jak sądzę, muszą się tam znajdować

3 marca, w dniu wydania książki (data wydania jest w istocie terminem sztucznym, ponieważ

w rzeczywistości książka często pojawia się w sprzedaży na długo przed wyznaczoną datą wydania), spędziłam sześć godzin prowadząc przez telefon gorączkowe rozmowy z Crownem i starając się wyjaśnić szczegóły dotyczące tournée, które komplikowało się coraz bardziej. Pracownicy Crowna wydawali się nie pojmować, że gdybym trzy dni z rzędu miała brać udział w trzech porannych programach telewizyjnych, musiałabym codziennie wstawać o 4.30 rano, żeby zjeść śniadanie, umalować się, ubrać i pojechać do studia, co było nie do przyjęcia dla kogoś, kto nie zasypia przed północą i na dodatek ma problemy z przestawieniem się na inną strefę czasową. Fakt, że nie potrafiłam im tego wytłumaczyć, był dla mnie źródłem ogromnej frustracji.

W tym czasie pozowałam do mnóstwa zdjęć do różnych artykułów. Podczas okropnej burzy jechałam samochodem do doliny San Fernando wraz z Betty Shapian, weterance *public relations*, która zajmowała się moimi sprawami na miejscu. W jakiejś niewielkiej rozgłośni dziennikarz spytał mnie udreżonym głosem sfrustrowanego pisarza, „Dlaczego pani? Dlaczego, spośród tych wszystkich wydawanych powieści, to właśnie pani?” Tym razem nie znalazłam żadnej odpowiedzi.

Następnej niedzieli *Skrupuly* wskoczyły na jedenaste miejsce listy *New York Times* i szóste miejsce listy *Los Angeles Times*, a Peter Barsochini z *Merv Griffin Show*, który wówczas był znany w całym kraju, odwiedził mnie w domu, żeby przeprowadzić ze mną wstępny wywiad przed ewentualnym zaproszeniem do programu. Zapisałam w dzienniku, „Zawsze myślałam, że wielki sukces będzie stanowił szczyt szczęścia. Nie starczyło mi wyobraźni, żeby przewidzieć, jakie to będzie ciężkie. Ależ mam podły charakter, gdzie moja odwaga, poczucie humoru, zamiłowanie do przygód?” (Musiałam to napisać podczas wyjątkowo męczącej nocy!)

Miałam wygłosić mowę na autorskim lunchu w Nowym Jorku i tym moja matka postanowiła przyjść, zabierając ze sobą kilka przyjaciółek ponieważ w *New York Post*, który był jej ulubioną popołudniówką — zamieszczono bardzo pochlebny artykuł na mój temat. Poprosiła, żebym podczas wystąpienia nie używała żadnych nieprzyzwoitych słów, więc zapewniłam ją, że oświadczę, iż „wśród publiczności jest moja matka i obiecałam jej, że nie użyję słowa «pierdolić».” Przerazona, powiedziała, „A więc nie przyjdę!” Chociaż raz sprawiła, że się roześmiałam.

W końcu, 6 marca, prąd zaczął zmieniać kierunek i zamiast walczyć z różnymi żądaniami i naciskami, zaczęłam płynąć wraz z nimi czując, że posuwam się do przodu, zamiast rzucać się i krzyczeć. Dr S. był zdania, że źródłem mego spokoju podczas tej kampanii reklamowej i wśród tego całego zamieszania wokół tournée, było to, że wiedziałam, iż „to wszystko tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia.” Powiedziałam mu, że jak dotąd sukces różni się od moich wyobrażeń, ale jest o niebo lepszy niż porażka. Postanowił pozostać po stronie prawdziwej sztuki.

Zostałam zaproszona do *Merv Griffin Show*, ale po pół godzinie zaproszenie odwołano. Postanowiłam i tak ułożyć sobie włosy i wyjąć z szafy nową sukienkę z turkusowego jedwabiu, którą swego czasu oddałam do skrócenia. Kiedy owego popołudnia zjawiłam się u dr S., nadziałam się na Betty Shapian, która zagroziła mi drogę i oświadczyła, że dziś nie zobaczę swego lekarza i że za dwie godziny muszę być gotowa. Zaprośli mnie ponownie. „Muszę pójść na górę, żeby go uprzedzić.” „Już to zrobiłam.”

Pojechałam do domu i zastanowiłam się, co mam zrobić. Najpierw wzięłam Miltown, ten najstarszy środek uspokajający, którego używałam, bo dr Rubenstein zabronił mi brać pigułki nasenne. Potem przymierzyłam sukienkę, żeby sprawdzić czy wszystko jest w porządku, przypięłam dodatki, oczyściłam turkusowe kolczyki, starannie umalowałam oczy i w końcu wzięłam kąpiel.

Nigdy przedtem nie brałam udziału w wywiadzie telewizyjnym,

Jednak postanowiłam nie czekać w zielonym pokoju i oglądać pierwszą część programu (ja

sama miałam wystąpić w ostatniej), ale spędzić ten czas w przydzielonej mi garderobie, pozbyć się innych nieproszonych gości i jeszcze raz przeanalizować szczegóły tego, co mnie czeka. Kiedy się zjawiłam na scenie, byłam zaskoczona, słysząc oklaski.

Przez dwanaście minut po prostu patrzyłam Mervowi prosto w oczy nigdy nie odwracając wzroku, tak abym nie widziała kamery i odpowiadałam na jego pytania, w ogóle nie czując zdenerwowania. Żadne go. Merv był fantastycznym słuchaczem i rozmawiało się z nim bez żadnych oporów. Przed wejściem programu na antenę, codziennie uprawiał medytację transcendentalną, co mogło tłumaczyć jego spokój i otwartość. Miałam okazję uczestniczyć w tym programie jeszcze dziewiętnaście razy, zanim Merv doszedł do wniosku, że ma już dosyć i po dwudziestu trzech latach wycofał się.

Merv sam trzymał w ręku książkę — każdy autor kochał go za to — i zachęcał ludzi, żeby ją niezwłocznie kupili. Większość prowadzących taki program w najlepszym razie daje pięciosekundowe zbliżenie książki leżącej na stole. Kiedy znalazłam się z powrotem w zielonym pokoju, zobaczyłam Betty Shapian i Nancy Kahane, która przyleciała dzień wcześniej. Na pewno w zielonym pokoju podawano trunki i podczas nerwowego oczekiwania musiały ich wypić немало. Tańczyły wokół mnie jak szalone, wrzeszcząc, „Byłaś taka naturalna!” Myślałam, że się wygłupiają wskutek nadużycia alkoholu, ale jak później zrozumiałam, podczas wywiadów telewizyjnych zupełnie się nie peszyłam. Nie jest to zaskoczeniem, jeśli się lubi rozmawiać, nie ma się tremy i nigdy się nie patrzy w stronę kamery.

Po programie trochę się rozluźniłam, ale emocje nie opadły. Za bardzo się niepokoiliłam o zbyt mojej książki, aby odczuwać coś poza trzeźwym przekonaniem, żeby nie oczekiwać zbyt wiele oraz twardym postanowieniem, aby uczynić wszystko co możliwe, żeby przyczynić się do sukcesu książki. Zżerała mnie ambicja, uczucie, którego dotąd nie znałam, co sprawiało, że byłam spokojna, zdecydowana i gotowa.

Kiedy chłopcy Crowna zadzwonili do mnie nazajutrz, po złożeniu gratulacji, wszyscy nieodmiennie pytali, „Nie miałaś na sobie stanika, prawda?” Oczywiście nie miałam. Uważałam, że góra mojej nowej sukienki jest na tyle luźna, że stanik nie jest potrzebny, ale jeżeli to zauważyli na małym ekranie, może jednak był potrzebny. Może.

Rozdział trzydziesty czwarty

Przyjęcie z okazji publikacji książki, które wydał Fred Hayman w swoim butik, Giorgio's, odbyło się na początku marca 1978 roku. W 1991 roku wydał drugie przyjęcie z okazji ukazania *Skrupulów Dwa*, ale dobrze pamiętam tylko to pierwsze. Przedtem Fred pracował w Beverly Hilton jako organizator bankietów, w związku z czym wszystkie szczegóły były doskonale dopieszczone, jedzenie urozmaicone, a na przyjęcie przybyli wspaniale wystrojeni goście, których ogromnej większości w ogóle nie znałam. Jakoś udało mi się wytrzymać trzy godziny na stojąco, nic nie jedząc, nic nie pijąc, nie siusiając i nie przysiadając na krześle, a wokół kręcili się dziennikarze i faceci z kamerami z całego Hollywood. Fred zaprosił mnóstwo sławnych osób, które należały do jego klientów.

Zapamiętałam dwa momenty. Na przyjęcie przybyli Charlton Heston i jego żona, Lydia, która — prawdopodobnie była do tego przyzwyczajona — została prawie odepchnięta przez fotografów, kiedy jej mąż ujął mnie za rękę, żeby razem pozować do zdjęcia. Patrzył prosto przed siebie i uśmiechał się, podczas gdy ja, nie znając zasad fotografowania sławnych osób, starałam się nawiązać rozmowę. W końcu, nie wiedząc co począć, spytałam idiotycznie, „Jak to jest być gwiazdą?” Kątem ust syknął, „To taki tryb życia”, nie przestając uśmiechać się do kamery.

Teraz, kiedy już jestem lepiej zorientowana, zdaję sobie sprawę, że żadna sława nie lubi być fotografowana podczas rozmowy albo z profili, chyba że ten profil jest wyjątkowo fotogeniczny. To czego sławy szczególnie nienawidzą to fotograf, który mówi, „Po prostu proszę normalnie ze sobą rozmawiać.” Jeżeli zobaczycie zdjęcie jakiejś sławy na Pacerze albo jak z kimś rozmawia, możecie być pewni, że nie wiedziała, iż jest fotografowana. Prawie poczułam ochotę, żeby spytać Tony'ego Shaftsbury, jak to jest być hrabią. Myślę, że to też taki tryb życia.

Drugi pamiętny moment miał miejsce na ulicy, gdzie stał zaparkowany wielki, klasyczny Rolls-Royce Freda, który otaczały modelki w efektownych sukniach, pozujące tłumowi fotografów. Stałam i patrzyłam na nie z podziwem, dopóki nagle nie zdałam sobie sprawy że to przecież *moje* przyjęcie i wtedy zwinnie wskoczyłam na maskę samochodu, lądując pośród dziewcząt, i pomachałam ręką do widzów.

Uczyłam się, ale bardzo powoli.

Kiedy rano, w przeddzień przyjęcia, obudziłam się, znalazłam na łóżku pudełko od Tiffany'ego, w którym znajdowała się niezwykle szeroka bransoletka. Na bransoletce wygrawerowano logo *Skrupulów*, a po drugiej stronie w trzech wierszach: INTERES RUSZYŁ, po czym 9 MARCA 1978, oficjalna data wydania książki i wreszcie słowa JESTEM TAKI DUMNY — STEVE. Czytelniku, pamiętaj, że było to zanim *Skrupuly* odniosły sukces.

Popatrzyłam na bransoletkę i natychmiast pojawiły się dwa skojarzenia. Była to jednocześnie mała złota korona i kajdanki. I tak rzeczywiście było. Nigdy się bez tej bransoletki nie fotografuję, nigdy bez niej nie wychodzę z domu, a kiedy wracam, natychmiast ją zdejmuję. Teraz, po dwudziestu latach, trzeba poprawić grawerowanie, ale jestem zbyt przesądna, żeby zdjąć ją na tak długo.

W końcu wyruszyłam na długo planowane tournée z książką: wyjechałam do Cleveland 14 marca, a następnego dnia rano wzięłam udział w trzech wywiadach telewizyjnych. W mojej głowie zamieszkiwała zwariowana lecz spostrzegawcza istota, która nie miała nic lepszego do roboty jak obserwować moje występy w telewizji i pilnować, żebym za każdym razem miała na sobie coś innego. Żeby ją oszukać, wkładałam strój, w którym szłam na lunch (ta zwariowana

istota nigdy nie chodziła na lunch), a potem miałam go na sobie podczas pierwszego programu, na drugi zakładałam wielki szal, a na trzecim występowałam w samej bluzce i spódnicy. Ktoś, kto mnie eskortował z jednego programu do drugiego, powiedział, „Tylko raz widziałam, jak ktoś robił to samo. Kto to był?” „Danny Thomas.”

W zatłoczonej sali balowej, gdzie podano lunch, słuchałam autorki (byłej zakonnicy), która występowała przede mną i żywo opisywała jak przez dwanaście godzin torturowano ją w więzieniu w Chile. Serce mi marło. Jak mogę wystąpić po niej z moją cukierkową powieścią? Jednak zdołałam sobie wytłumaczyć, że tortury prawdopodobnie nie są tym, co pragnęły usłyszeć te elegancko ubrane kobiety i rozpoczęłam, przytaczając anegdotę o Charltonie Hestonie i tłumacząc, że mój strój wynika z faktu, iż jest to moje pierwsze spotkanie autorskie i poprosiłam, żeby zechciały być dla mnie wyrozumiałe, ponieważ jestem dziewczyną. (Znowu? Czyż ja w ogóle nie mam wstydu? Najwyraźniej nie.) W dzienniku zanotowałam, „Jeśli powiedziałam to do siebie, musiałam być wzniosła.” Dobrze jest teraz wiedzieć, że mimo wszystkich wątpliwości, zakłopotania i zdenerwowania, miałam takie momenty. Bóg mi świadkiem, że ich potrzebowałam podczas kampanii reklamowej, która ciągnęła się pięć miesięcy.

W Minneapolis najciekawsze zdarzenie miało miejsce podczas programu telewizyjnego, który prowadził sławny lokalny prezenter, Henry Wolf. Jego pierwszym gościem był baptysta, który wygłaszał tyrady przeciw prawom dla gejów, po czym wystąpiło dwóch gejów, którzy opowiadali o tym, jak ich dusze wędrowały w przestrzeni kosmicznej. Kiedy nadeszła moja kolej, myślałam, że wszystko pójdzie dobrze, dopóki, już przed kamerą, nie zdałam sobie sprawy, że ciężki mikrofon, przyczepiony do częściowo rozpiętej bluzki, ciągnie w dół tak silnie, że bluzka omal nie spadła mi z ramion. Na szczęście tym razem miałam na sobie stanik, ale kamerzysta musiał się nieźle bawić dając zbliżenia moich palców, którymi niezdarnie próbowałam zapiąć guziki, nie przestając ani na chwilę prowadzić rozmowy z Henrym. Widzowie, którzy wszystko obserwowali na monitorze, co chwila wybuchi śmiechem.

Trzeciego dnia tournée dopadło mnie po raz pierwszy uczucie samotności, do którego w przyszłości miałam przywyknąć, ale wtedy było to zupełnie nieoczekiwane. Był to zwykły dzień: dwa programy telewizyjne rano; lunch i rozmowa z dziennikarzem, podczas której zrozumiałam, żeby nie zamawiać niczego poza jajecznicą, którą mogłam łatwo przełknąć, ponieważ nie można było odpowiadać na pytania z pełnymi ustami; trzy czy cztery wywiady dla lokalnych radiostacji plus a wypraw do księgarń, gdzie podpisywałam książkę.

Kiedy wróciłam do hotelu — wszystkie pokoje, w jakich się zatrzymam, były albo za gorące albo za zimne — otrzymałam fantastyczną wiadomość z Nowego Jorku. *Skrupuły* znalazły się na drugim miejscu listy w *New York Post*, także na drugim miejscu w *Los Angeles Times* i na pierwszym miejscu w *Pacific Northwest Gill*, a wszystkie dzienniki w Nowym Jorku chciały przeprowadzić ze mną wywiad. Jednak nie potrafiłam cieszyć się tą nowiną, bo byłam sparaliżowana swoją samotnością. Nie mogłam się skontaktować ze Stevem, który właśnie brał udział w trzydniowym maratonie, zajęty mikсовaniem dialogu, muzyki i efektów dźwiękowych do filmu. Z powodu zaangażowania przy produkcji filmów telewizyjnych, nigdy nie miał czasu, żeby ze mną podróżować, chociaż czasami przylatywał do mnie na weekend.

Czułam się kompletnie odizolowana od świata i musiałam jeszcze wyprasować swoją garderobę na następny dzień. (Wszędzie wozilałam ze sobą żelazko, dopóki nie nauczyłam się zabierać na tournée wyłącznie niegniotącą się bieliznę.) Zamówiłam na obiad pieczonego kurczaka, który, poza wołowiną, był jedynym daniem dostępnym w hotelowym menu. Minęło półtorej godziny, zanim go dostałam, czym byłam tak zdegustowana, że zadowoliliłam się zwykłym chlebem z masłem. Zresztą i tak byłam zbyt zmęczona, żeby odczuwać głód.

To uczucie odosobnienia i napady chandry po męczącym dniu, kiedy bez przerwy mówiłam,

musiałam mieć napiętą uwagę i musiałam stale być ożywiona, miały się stać dobrze znanym elementem moich licznych tournée, a jedynym powodem, dla którego pamiętam tak dobrze tamten raz, jest fakt, że zapisałam to na gorąco.

Następnym przystankiem było Chicago, które, jak zawsze, było jaśniejszym punktem tournée. Chicago to miasto, w którym żyją wyjątkowo przyjaźnie usposobieni, normalni ludzie, gdzie jest wspaniałe jedzenie i mnóstwo mediów. Kierownicą wynajętej przeze mnie limuzyny była cudowna blondynka, imieniem Roberta, która cały wolny czas poświęcała lekturze *Skrupulów*, dziennikarz radiowy, który mnie spytał, jak ratować chwiejące się małżeństwo i któremu odpowiedziałam, że nie wiem, bo moje małżeństwo jeszcze się nie zachwiało; lunch z reporterką, która miała na sobie sobolowe futro, takie jak moje, i powiedziała porozumiewawczym tonem, „Złote sobole to nie jest najlepszy gatunek”; oraz wizyta w Water Tower Place, wielkim centrum handlowym, gdzie natychmiast zakochałam się w lalce, którą tam ujrzałam. Była w wiktoriańskim stylu, ubrana w aksamitną suknię, miała grzywkę i długie brązowe loki, a wmontowana pozytywka grała „Hi Lili, Hi Lo, ale oczywiście jej nie kupiłam, bo miałam pięćdziesiąt lat i jakby wyglądało, gdybym wróciła z pierwszego tournée z lalką?

Kiedy Steve usłyszał tę historię, wytropił lalkę i odtąd jest to moja ulubiona i jedyna lalka, która siedzi przy mnie, kiedy piszę, odgrywa swoją piosenkę, kiedy potrzebuję natchnienia i którą ostrożnie chowam szafie, kiedy nie pracuję. Każda kobieta, w każdym wieku potrzebuje lalki, która może jej towarzyszyć i rozweselać.

Pewien księgarz z Chicago powiedział mi największy komplement, jaki kiedykolwiek słyszałam. „Proszę pani, jestem zawodowcem”, powiedział, „więc odrabiam pracę domową, czytając absolutnie wszystko i nagle zdałem sobie sprawę, że mówię do kogoś, żeby mi nie zdradzał zakończenia *Skrupulów* i pomyślałem, do licha!, dałem się złapać.”

Niebawem znalazłam się w Nowym Jorku, zaledwie dwa tygodnie po *Merv Griffin Show*, a następnego dnia miałam wziąć udział w lunchu z Jimmem Fixem, biegaczem, który spopularyzował jogging i Eriką Jong. Była tam także moja matka, Fanny Cohen, Grace Mayes, Sally Pepper i kilka innych kobiet, które znałam od zawsze. Siedziałam na podium obok Nata Wartelsa, a matka, która robiła się coraz bardziej niecierpliwa, kiedy pojawiali się kolejni mówcy, stale spoglądała w moją stronę i gestykułowała poirytowana, tak jakbym mogła coś na to poradzić. Nat obrócił się do mnie i spytał, czy zauważyłam kobietę, która próbuje „ze mną flirtować.” Uspokoiliam go i zabrałam głos z takim spokojem, jakby tych kobiet w ogóle tam nie było.

Potem dołączyła do mnie Nancy Kahane. Dzięki pracy przy *Skrupulach*, dostała dwie oferty pracy i nawet kiedy zgodziłam się dodać do mego przeładowanego tournée Detroit, Phoenix, San Francisco i San Diego, sama się wygłupiłam, pisząc w dzienniku, że „Crown w końcu zrozumiał.”

Dzień przed niedzielą Wielkanocną, wiedząc, że w następnym tygodniu *Skrupuly* znajdą się na czwartym miejscu listy *The New York Times*, za *Ptakami ciernistych krzewów*, *Silmarillionem* i *Krwawą linią*, postanowiłam kupić sobie brylantowe kolczyki.

Mojemu rozumowaniu nie można było nic zarzucić. Jeżeli *Skrupuly* nie dostaną się na pierwsze miejsce, kolczyki będą dla mnie pocieszeniem, a jeżeli to osiągną, będę ich potrzebowała podczas świętowania sukcesu. Wybrałam się do Van Cleefa & Arpelsa i spędziłam tam dwie godziny, przymierzając wszystkie kolczyki, jakie mieli, a pomagały mi w tym dwie eleganckie i uprzejme Francuzki w średnim wieku. Był to najlepszy sposób spędzenia czasu: znów mogłam rozmawiać po francusku, przymierzałam brylantowe kolczyki i w końcu, kiedy znalazłam odpowiednią parę, próbowałam się targować, czego nigdy nie zrobiłabym mówiąc po angielsku, argumentując, że jestem „przyjaciółką domu”. Zapłaciłam za kolczyki, ale zostawiłam

je u Van Cleefa, bo pomyślałam, że jeśli je wezmę ze sobą, to mogą mi przynieść pecha.

Kiedy tego wieczoru rozmawiałam ze Stevem, który spytał mnie, jak minął dzień, odparłam, „Och, dziś rano kupiłam naprawdę śliczne brylantowe kolczyki”. Nastąpiła krótka cisza, po czym powiedział, „Dobrze.” W ciągu całego naszego małżeństwa nigdy przedtem czegoś takiego nie uczyniłam, mówiąc o tym w tak spontaniczny sposób. Zdałam sobie sprawę, że *zmieniłam się*. Sama zarabiałam teraz tyle pieniędzy, że mogłam sobie pozwolić na kupno brylantowych kolczyków, nie zastanawiając się nad tym, jak Steve na to zareaguje.

Matka w końcu uznała, że może się cieszyć z mojego sukcesu, do czego popchnęła ją reakcja jej przyjaciółek na moją książkę i wydała popołudniowe przyjęcie, zapraszając mnie, Mayesów oraz z tuzin swoich bliskich przyjaciół i wręczając wszystkim egzemplarz mojej książki. Z tego popołudnia najwyraźniej zostało w mojej pamięci, jak Herb Mayes szeroko się do mnie uśmiecha, wyciągając rękę z książką, żeby dostać autograf; nigdy sobie nie wyobrażałam, że dożyję takiej chwili.

Tylko raz widziałam, jak jeden z moich synów czyta *Skrupuły* czy też którąś z moich książek. Pewnego dnia zapukałam do drzwi pokoju Tony’ego i kiedy weszłam, okazało się, że czyta książkę. „Och, Tony, o czym teraz czytasz?” zapytałam, rozpromieniona. „Nieważne!” odparł i zatrzasnął książkę, a ja szybko zmieniłam temat, domyślając się, że musiała to być scena łóżkowa. Jednak kiedy zbliżał się Dzień Matki, przychodził do mnie, żebym podpisała książki dla matek jego przyjaciół z college’u. „Jesteś pewien?” pytałam, zastanawiając się, czy to jest odpowiedni prezent. „Tak, jego mama jest w porządku”, odpowiadał Tony.

Oto cała wiedza na temat wrażeń moich synów, dotyczących napisanych przeze mnie dziesięciu książek. Każdemu ofiarowywałam egzemplarz i wiem, że je czytali, zwłaszcza Nick, który zawsze mówi mi, jak bardzo książka mu się podobała. Wiem, że są ze mnie dumni, ale nigdy nie rozmawialiśmy na temat treści książki, jej fabuły czy też występujących w niej postaci. Wydaje się, że Judith Krantz, która pisze te książki, nie jest ich matką, nie może być mamą, która wie tyle o seksie, że może swobodnie o tym pisać. Temat ten stanowi naturalne tabu i uważam, że to jest całkiem zabawne, chociaż synowie są teraz dorosłymi mężczyznami, a nie skrępowanymi nastolatkami. Myślę sobie, ale być może się mylę, że gdybym miała córkę, zadawałaby mi rozmaite pytania dotyczące każdej książki, nawet na tematy związane z seksem, które zawsze zostały starannie zaplanowane, dla „wzmocnienia” intrygi, jak również po to, aby zarówno mnie jak i czytelnikowi dostarczyć zmysłowych przyjemności.

Niniejsze wspomnienia z pewnością dostarczą moim synom mnóstwa nowych informacji, na które lepiej nie reagować. Kiedy przeczytają o kobiecie nazwiskiem Judy Tarcher, która poślubiła Stephena Falka Krantza i urodziła dwoje dzieci imieniem Nicholas Tarcher Krantz i Anthony Falk Krantz, czy nadal będą wierzyć, że ta postać to nie ich mama? Muszę przyznać, że na tę myśl zaczynam chichotać. Przynajmniej poznają o wiele lepiej historię rodziny swojej matki. Świadomie napisałam w tej książce niewiele o moich synach, ponieważ szanuję ich prywatność. Ich życie należy do nich, nie do mnie, a opowiadając o wszystkich dobrych i złych wydarzeniach, które następują na styku rodzice–dzieci, z pewnością naruszyłabym tę prywatność.

* * *

Dzień po niedzieli Wielkanocnej Nancy i ja byłyśmy na lunchu z Leo Lermanem, legendarnym wydawcą *Vogue*. Podczas spotkania z tą żywą legendą byłam spięta, dopóki nie powiedział, uprzejmie uśmiechając się, że „wszystkie porządne żydowskie dziewczyny przechowują stare numery *Vogue* i wciąż wierzą we wszystko, co tam napisano.” Wtedy znów poczułam pewny grunt poci nogami. Okazało się, że zna prawie wszystkich tych, których znają

moi rodzice, w tym Lillian Poses, znaną jako „Posy”, jedną z najstarszych przyjaciółek mojej matki, z którą Leo utrzymywał bardzo bliski kontakt. Jak tylko wróciłam do hotelu, czym prędzej zadzwoniłam do niej, żeby ją uprzedzić o zmianie swojego wieku. „Posy, słuchaj, Leo —” „Już do mnie dzwonił.” „Cholera!! Co powiedziałaś?” „Powiedziałam mu, że jesteś mniej więcej w wieku Barbary.” Barbara Kafka, znana autorka książki kucharskiej była córką Posy i była znacznie młodsza ode mnie.

Następnego dnia uczestniczyłam z Nancy w lokalnym program telewizyjnym pt. *Midday Live*. Wśród gości były dwie dobrze znane, starsze aktorki, Arlene Francis i Alexis Smith oraz terapeuta, a dyskusja obracała się wokół tematu „Strach przed sukcesem”.

Nancy i ja siedziałyśmy w małym studio, słuchając jak dwie gwiazdy wykrzykują, że do sukcesu można przywyknąć, a w końcu się nim znudzić. Wpadłam w taką wściekłość, że jestem na widowni a nie na scenie, że Nancy musiała mnie trzymać za ramię. W końcu, kiedy poproszono mnie, żebym do nich dołączyła i kiedy znalazłam się na scenie, terapeuta zapytał mnie czy nie czuję strachu, czekając na swoją kolej. Wtedy napadłam na niego, niemal krzyżąc, „Na Boga, nie!! Jestem wściekła, bo myślałam, że skończy się czas i nie będę miała okazji nic powiedzieć na temat *Skrupulów!!!*” I od tej chwili aż do końca programu już nie zeszałam ze sceny.

Z Nowego Jorku poleciałam z powrotem do Los Angeles na zaplanowany „wypoczynek” przed drugą połową tournée. W rzeczywistości przez cały ten czas wykonałam tak wiele telefonów do Crowna w związku z wołającym o pomstę do nieba brakiem reklamy w Atlancie i Teksasie (co natychmiast uległo zmianie, gdy wytropili sprawczynię i wyrzucili ją), że pewnego razu, gdy ktoś omyłkowo się ze mną połączył i zapytał czy to „Flying Emery Board”, odpowiedziałam, „Nie, ale miałabym na to ochotę.” W końcu doszliśmy ze Stevem do wniosku, że Crown nie zapewnia mi należytej reklamy i zatrudniliśmy Henry’ego Rogersa, najbardziej znanego i najpotężniejszego specja od *public relations* w Hollywood.

W swoim dzienniku znajduję taką notatkę, „Po prostu nie mogę tego przeskoczyć, nadal tylko numer cztery na liście *New York Times*, to są czasy Datsuna i Toyoty. Tak się zmieniłam od czasu, gdy ponuro zastanawiałam się, dlaczego muszę sama sprzedawać książkę, że wydaje się, jakbym przeszła operację zmiany płci. Jechałam dwieście kilometrów do Newport Beach tylko po to, aby podpisywać swoją książkę i każdemu, kto ją kupuje, daję dedykację na całą stronę. Zrobię *wszystko* żeby znaleźć się na pierwszym miejscu listy. No, może nie popełnię morderstwa, ale podpalenie — tak.”

Niekiedy „zrobienie wszystkiego” prowadziło do kłopotliwych sytuacji, których jeszcze nie nauczyłam się unikać. Postanowił o mnie napisać magazyn *People* i pewnego razu, kiedy akurat byłam w domu, przysłał jednego ze swoich „patentowanych” fotografów, który miał mnie podbić swoim czarem. Kiedy obejrzał dom i zrobił zdjęcie Steve’a i mnie razem w łóżku, czego magazyn bezwzględnie żąda od każdego małżeństwa, wyglądał na niepokieszonego i pokonanego. „Jezu, wy wcale nie jesteście zabawni”, wyjęczał, „małżeństwo to żaden temat, żebyście chociaż mieli tutaj jakiś ciekawy pokój.” „Mamy saunę”, przypomniał sobie mąż. „Ale nigdy jej nie używaliśmy”, zaoponowałam. Twarz fotografa rozjaśniła się. „To może uratować artykuł. Judy, rozbierz się, owiń ręcznikiem i zrobię ci zdjęcie w saunie, jak czytasz książkę.” „Ale, ale...” „Zostań w białiznie, ale nie pokazuj ramiączek stanika, to żaden problem.”

Na pewno wyglądało to niegroźnie. Owinęłam się wielkim ręcznikiem kąpielowym, podczas gdy fotograf rozglądał się za odpowiednią książką i wreszcie, po długich poszukiwaniach, wręczył mi nieoczekiwanie *Radości gotowania*. Kiedy robił wszystkie możliwe ujęcia, nieustannie pomrukiwał, że powinnam się odprężyć, bo może się zdarzyć, że mimo wszystko zdjęcie nie zostanie wykorzystane w magazynie. Oczywiście dano je na pierwszą stronę, jako

ilustrację całego artykułu, a nagłówek głosił JEJ GARNEK KIPI; potem *People* wykorzystał zdjęcie jako pełnostronicową reklamę w *The New York Times*. Moja matka była potwornie zawstydzona, ale powiedziała mi, że zdjęcie jest tak marne, że garnek wcale nie wygląda na taki wielki, a poza tym i tak nikt mnie nie rozpozna. Ale jakoś mnie to nie pocieszyło.

Kiedy po ukazaniu się *Księżniczki Daisy* zjawił się następny fotograf *People* i poprosił, żebym pozowała ze stokrotką w zębach, już wiedziałam, że jeśli nie będę pozować, nie będą mieli zdjęcia, więc nie Przyjęłam tego wyjątkowego zaszczytu.

Rozdział trzydziesty piąty

Ani się obejrzałam, jak trzeba było ruszać do Atlanty i przekonać się na własne oczy, jak wielki jest Teksas. Nic, co czytałam, nie przygotowało mnie do tego, co ujrzałam w rzeczywistości.

W Houston akwizytor Crowna, Brad Fidell, który powiedział mi, że od trzynastu lat jest „najlepszą partią” w mieście (ale z pewnością nie był zbyt punktualny), zawiózł mnie na lotnisko tak późno, że chociaż zdążyłam oddać swoje walizki, w ostatniej chwili coś mnie tknęło, żeby zostawić przy sobie torebkę z kosmetykami. Moje bagaże nie przyjechały z Lubbock, gdzie utknęły na trzy dni, ale nie było już czasu, żebym kupiła jakieś ubrania na zmianę. Jest taka piosenka country, w której jest taki wiersz „jakie to szczęście zobaczyć Lubbock w lusterku wstecznym.” Podpisuję się pod tym obiema rękami.

Spędziłam dwa dni w Dallas i jeden dzień w Fort Worth, występując w tym samym ubraniu, które miałam w Houston. Musiałam użyć klującej tweedowej peleryny jako płaszcz kąpielowego, a spałam w bieliznie i rajstopach, których nie mogłam uprać, bo nie zdążyłyby wyschnąć, a było zbyt zimno, żeby spać z gołymi nogami. Przynajmniej mogłam się wykapać. Przekonałam się, że jakoś potrafię sobie poradzić, mając tusz do rzęs. Terrorysta z czerwonym winem zniknął, przynajmniej na te trzy dni. W Dallas, w lokalnym porannym programie telewizyjnym, rozmowę prowadził szalenie przystojny i zabawny młody człowiek. Miał tylko połowę widowni, ale prosząc widzów, żeby prze” siadali się z miejsca na miejsce, uzyskał wrażenie, że studio jest wypełnione. O ile pamiętam, oboje siedzieliśmy na poduszkach na podłodze i rozmawialiśmy, stale się śmiejąc, przez około godzinę. Nigdy o nim przedtem nie słyszałam — facet nazywał się Charlie Rose.

Chociaż o to nie poprosiłam, mój kierowca w Dallas, przejechał bok budynku składnicy księgarskiej, jak gdyby była to pierwsza rzecz, jaką każdy gość powinien zobaczyć. Było to takie spokojne miejsce: stary, niemalże wiktoriański budynek z czerwonej cegły, pod błękitnym, porannym niebem — prawie nie można było rozpoznać tego miejsca, mając przed oczyma fotografie Zaprudera. Musiałam to zobaczyć, ale potem tego żałowałam.

* * *

Po długim objeździe Południa, spędziłam krótki weekend w domu, gdzie ponownie zrobiłam sobie jasne pasemka we włosach. W dzienniku zapisałam,

Jestem taka przygnębiona. Jutro znów muszę wyjechać do Portland. To prawie nie do wytrzymania, te powroty do domu, wrażenie, że to tutaj tętni prawdziwe życie, a ja muszę się tylko martwić uczesaniem, strojem, zdrowiem i planem tournée. Te weekendy w domu naprawdę mnie wykańczają, wprawiają mnie w taki okropny nastrój, wydaje się jakby wszyscy wykorzystywali mnie, żeby pokonać jak najdłuższą trasę; teraz muszę lecieć z Portland do Seattle, a potem od razu do St. Louis, z przesiadką w Chicago, a półtorej godziny po wylądowaniu koktajl z księgarzami. Ponieważ przesiadamy się w O’Hare, kto wie, gdzie wylądujemy? To bezpośrednio odbija się na moim obsesyjnym poczuciu odpowiedzialności i punktualności. Koktajl to jak piekielnie trudny bieg z przeszkodami, gdzie trzeba przez dwie godziny stać, rozmawiając z nieznanymi, popijając wodę i starając się zapamiętać nazwiska. Jestem tak przybita, że mogłabym się rozplakać, a wszyscy mi zazdroszczą i myślę, że mam „takie szczęście” i „powinnam być podekscytowana”, a gdybym powiedziała im prawdę, nikt oprócz

Steve'a by tego nie zrozumiał. Muszę SOBIE PORADZIĆ. Ponieważ muszę jechać, trzeba wziąć się w garść i w drogę! Tak dobrze wypadłam w Teksasie. To powroty do domu wytrącają mnie z rytmu. Gdyby to było fizycznie możliwe, lepiej y było nie wracać — ale tak może uczynić tylko mężczyzna, żadnych problemów z włosami, tylko ogolić się, włożyć czystą koszulę i nie zapomnieć zapiąć rozporka. No i mężczyzna nie ma tych wszystkich niemiłych objawów menopauzy, którą właśnie przechodzę. Najbardziej boję się tego, że nagle krew uderzy mi do głowy, kiedy akurat jestem przed kamerą i wtedy po twarzy zaczyna mi spływać pot. Jak dotąd, dzięki Bogu, jeszcze to się nie zdarzyło, ale ta myśl stale mnie prześladowuje.

Miałam rację niepokojąc się planem Seattle–St. Louis, któremu sprzeciwiałam się od samego początku. Do St. Louis dotarłam po niekończącym się i okropnie męczącym locie, a ożywiłam się dopiero w lodowatej sali balowej hotelu, wypełnionej ponad setką księgarzy. Z Nowego Jorku przylecieli Alan Merkin, wicedyrektor Crowna oraz siostrzeniec Nata Wartelsa, który miał odziedziczyć cały majątek swego bezdzietnego wuja.

Potem Alan z córką i przyjacielem zabrali mnie na obiad i chociaż dla nich w restauracji było ciepło, nie mogłam zmusić się do zdjęcia futra czy choćby rękawiczek, mimo że miałam na nogach kozaki. Dygotałam z zimna ale za każdym razem, kiedy mówiłam o tym Alanowi, odpowiadał, „Och, daj spokój, nic ci nie będzie”, w ogóle nie zwracając uwagi na fakt, że najwyraźniej coś się ze mną dzieje, jeśli pod koniec długiego dnia nawet nie chce mi się jeść. Alan zawsze był miły... ale był także wydawcą, który miał na głowie mnóstwo spraw związanych z *public relations*. Nie chciał przyznać, że nie jestem w formie. Byłam zbyt wyczerpana, żeby zrobić jakąś scenę, ale jak tylko znalazłam się w hotelu, w panice zadzwoniłam do Steve'a i wciąż powtarzałam, „Po prostu nie mogę się rozgrzać, nie wiem, co mi jest, ale nie mogę się rozgrzać. Ciągle dygoczę.”

Steve miał następnego dnia wyjechać w interesach, ale natychmiast to odwołał. „Jutro wracasz do domu”, powiedział. Zatelefonuję do Crowna i wszystkim się zajmę, załatwię ci bilet. Jeżeli nie możesz jutro wystąpić w programie, nie rób tego, wszystko odwołaj, ale jeśli możesz, wsiadaj do samolotu zaraz potem, tu będzie na ciebie czekał samochód.”

„Aleja nie mogę tak po prostu wyjechać”, jęknęłam. „Mam wszystko zaplanowane na najbliższe dwa tygodnie.”

„Możesz i zrobisz to.”

Udało mi się wystąpić w programie, po czym wsiadłam do samolotu w najgorszym nastroju, w jakim kiedykolwiek byłam. Myślę, że byłam bardzo bliska załamania nerwowego. I było to zrozumiałe.

Podczas tego pierwszego tournée zawsze mnie umieszczano w załatwianym w pośpiechu i niewygodnym pokoju hotelowym, gdzie nigdy nie było dostatecznie jasno, żebym mogła się umalować, gdzie nigdy nie działało ogrzewanie, centrala telefoniczna działała rzadko, a obsługa hotelowa nigdy, ale to nigdy, nie funkcjonowała należycie, tak że jedyną rzeczą, jaką można było bezpiecznie zamówić, była gorąca kanapka, która zawsze była zimna. Najgorsze zaś było to, że łóżko prawie zawsze było bardzo niewygodne, złe materace, złe prześcieradła, złe koce. (Woziałam ze sobą własną poduszkę.) Stale próbowałam się skontaktować z osobami, które przebywały w innej strefie czasowej i nie mogłam pójść spać, zanim nie wyprasowałam ubrania na następny dzień i nie zakręciłam włosów.

W nocy się czułam samotna. Nikomu nie mogłam się poskarżyć, nikt nie mógł mnie pocieszyć, nikt nie mógł mi powiedzieć, że dobrze sobie radzę.

Tylko kiedy akurat byłam na pokładzie samolotu, wszystko to nie miało znaczenia; ciągnano mnie z miejsca na miejsce, a ja miałam już po dziurki w nosie tego podawanego w samolocie jedzenia. Największym zaś problemem było to, że, mając trudności z zaśnięciem i starając się

zasnąć w niewygodnym łóżku hotelowym, przeżywałam istne katusze.

Fakt, że Crown zupełnie się nie orientował w sprawach organizacji tournée i, poza załatwieniem samochodu, nie potrafił zapewnić żadnych wygód; fakt, że jestem szczupła i mam niskie ciśnienie, niedoczynność tarczycy i jestem na granicy anemii; fakt, że nikt mi nigdy nie pomagał przy moich bagażach — to wszystko nie poprawiało sytuacji. Nie poprawiał jej też fakt, że musiałam chodzić z jednego końca lotniska na drugi i stać przez cały czas podczas tych koktajlów, co przy moim płaskostopiu było wyjątkowo uciążliwe. To płaskostopie to przekleństwo rodziny Tarcherów, ponieważ mieli ją także moja siostra, moja matka i mój ojciec. Każde przyjęcie na moją cześć było koszmarem z powodu bólu, jakiego doświadczałam, ale nigdy nie dało się usiąść i jednocześnie grać rolę „gościa honorowego.”

Wróciłam z St. Louis zdecydowana, żeby więcej nie wyjeżdżać z domu, ale 24 kwietnia zanotowałam w dzienniku, że „po odpoczynku w weekend, mniej więcej wróciłam do siebie.”

Dostałam telefon od Henry’ego Rogersa, który powiedział, że „powinął moją karierę w *Cosmo* i zrobił ze mnie gospodynię domową z Beverly Hills, która napisała książkę właściwie przypadkiem i, patrzcie no, książka okazała się bestsellerem.

Byłam nieźle sfrustrowana. Parę tygodni wcześniej byłam w biurze Rogersa i Cowana, gdzie spędziłam dwie godziny, opowiadając im wszystkim szczegółowo o wszystkich artykułach, jakie napisałam w ciągu dwudziestu czterech lat, na czym mogą oprzeć kampanię reklamową, a tu zjawia się znakomity fachowiec, człowiek, którego znam od pięciu lat i, pomimo moich oczywistych osiągnięć, całkowicie ignoruje moje referencje i, w oparciu o swoje wrażenia dotyczące mojej osoby obmyśla kompletnie chybiony i destrukcyjny plan. W dzienniku próbuję sobie wyobrazić, jak do tego doszło.

To nie może po prostu wynikać z głupoty Henry’ego, bo on nie jest głupi, musi zatem wynikać z naszych dawnych stosunków. Teraz każdy, kto spotyka mnie po raz pierwszy, odnosi się do mnie z pewnym szacunkiem, ale Henry zobaczył kogoś, typową gospodynię z Beverly Hills, kto nigdy nie istniał. Nigdy nie traktowałam siebie zbyt poważnie. Znam swoje dobre strony, ale nie zwracam na nie uwagi. Z mego punktu widzenia, one po prostu są. Więc skupiam się na tym, co widać, na swojej powierzchowności. To wszystko jest cacy, ale jeśli nie docenię własnej wartości, inni też tego nie zrobią.

*Mimo to, jeśli chodzi o interesy, zawsze domagałam się swojej działki. W interesach gwizdzę na to, czy ktoś mnie aprobuje, bo nie sprzedaję siebie, ale swoją pracę, która ma określoną wartość. Oczywiście postanowiłam pokazać w *Skrupułach* życie pełne blasku ze względów czysto handlowych. Fakt, że zawarte w książce poważne uwagi na temat ograniczeń, jakie niosą ze sobą blask i bogactwo, pozostały w znacznej mierze niezauważone, jest ceną, jaką zapłaciłam za to, że w książce pisałam o pięknej kobiecie, która ma 250 milionów dolarów — nie można mieć wszystkiego na raz. Muszę dotrzeć do źródeł tego lekceważenia samej siebie. Tak wiele kobiet pozbawionych jakichś szczególnych talentów traktuje się z wielką powagą — musi istnieć coś pośredniego. Czy jest to strach przed tym, że mogą stać się pretensjonalna? Czy to może, jak zwykle, odzywa się moja matka, która tylko wtedy traktowała mnie poważnie, kiedy się uśmiechałam? Albo może mój ojciec, nigdy nie traktował mnie na tyle poważnie, żeby ze mną porozmawiać? Ale na Boga, nienawidzę tych zarozumiałych bab. Jestem osobą ze świata rozrywki — jak ludzi bawić i jednocześnie być traktowanym poważnie? Może to po prostu niemożliwe.*

Następnego dnia byłam na lunchu z Henrym i powiedziałam mu, że bardzo się myli. Zastanawiał się nad tym przez jakieś trzy sekundy, o czym przyznał, że jest w błędzie. Powiedziałam, że skoro płacą mu ryczałt, oczekuję, że odtąd zacznie pracować i nie będzie liczył czasu, jaki dotąd poświęcił, na co od razu wyraził zgodę. Po owym lunchu już nigdy nie

traktował mnie z lekceważeniem.

W ciągu paru dni poczułam się na tyle dobrze, żeby pójść pogadać ze znajomym księgarzem u Doubledaya, Jimem Zeidmanem. Kiedy się poskarżyłam na trudne warunki podczas tournée, powiedział tylko, „Sidney pojechałby jeszcze raz”, i ta wzmianka o autorze książki, która była na liście tuż przed moją, uświadomiła mi, że Jim ma rację. W ciągu tygodnia wyruszyłam do Detroit, potem do Filadelfii, żeby wziąć udział w bardzo liczącym się wówczas *Mike Douglas Show*, a stamtąd do Bostonu i z powrotem do Nowego Jorku, po czym na spotkanie ze Stevem z okazji jego urodzin, a potem do Waszyngtonu i San Francisco.

W Detroit miałam wziąć udział w głównym programie poświęconym książkom, którym był program radiowy J. P. McCarthy’ego. Gospodarz programu, zaglądając głęboko we wspaniały dekolt innej uczestniczki programu, w ogóle nie zwracał na mnie uwagi, nawet nie przywitał się, aż w końcu sama przerwałam to jego zauroczenie, wygłaszając uwagę, że *Skrupuly* są obecnie na trzecim miejscu listy *New York Times*. To zwróciło jego uwagę, ale przez resztę programu musiałam rywalizować z kimś, kogo opisałam w dzienniku jako „agresywną rozmówczynię, najtrudniejszą rywalkę, z jaką dotąd przyszło mi się zmierzyć.” Skończyło się remisem. A było to dwadzieścia lat temu, kiedy Arianna Huffington właśnie zaczynała karierę. Owego wieczoru, w hotelu, dostałam elegancko opakowany egzemplarz jej książki poświęconej Marii Callas, wraz z uroczą dedykacją.

Ach, ta Arianna! Zawsze robiła tyle zamieszania. W wiele lat później, zostaliśmy ze Stevem zaproszeni na jej przyjęcie urodzinowe w Santa Barbara, gdzie witała gości w jasnoczerwonej sukni balowej bez ramiączek, zupełnie jak Scarlett O’Hara, przy czym dół jej sukni był tak szeroki, że ledwie mieścił się w drzwiach, a orkiestra symfoniczna z Santa Barbara, stojąc na schodach, grała walce Straussa. Niezapomniany widok. Gdyby ta zawzięta Republikanka urodziła się tutaj, z tym swoim olśniewającym umysłem, inteligencją i ambicją, mogłaby się ubiegać o urząd prezydenta. A jako Demokratka? — na samą myśl przeszywa mnie dreszcz. Jednak mamy tak wielu mniej interesujących polityków... ale dajmy temu spokój.

Dniem, w którym *The New York Times Book Review* zawiadamiał wydawców o zajmowanym miejscu na liście, zawsze był czwartek na dziesięć dni przed niedzielą, w którą ukazywał się dziennik. We czwartek, 7 czerwca, jadłam ze Stevem i jeszcze kimś lunch kiedy zadzwonił Nat Wartels.

Odebrałam telefon, a rozradowany Nat poinformował mnie, że *Skrupuly* znajdują się na pierwszym miejscu w niedzielę, 18 czerwca. Poczułam, jakby miękka ale potężna eksplozja uniosła mnie w powietrze. Przywarłam do słuchawki, nie mogąc wykrztusić słowa. To było niemożliwe. Po tych wszystkich zmaganiach, to mi się wydało zupełnie nierzeczywiste. Jak w transie, powoli, jak gdybym na nowo uczyła się chodzić, wróciłam do salonu i spokojnie powiedziałam do Steve’a, „Pierwsza, w następnym tygodniu”, nie chcąc, aby nasz gość zrozumiał, o co chodzi. Steve natychmiast wstał od stołu, podniósł mnie do góry, mocno przycisnął i pocałował. Następnie zatelefonował do Van Cleefa w Nowym Jorku i powiedział, żeby natychmiast wysyłali kolczyki.

Miało to miejsce akurat w trzy miesiące po wydaniu książki i w piętnaście tygodni od chwili, gdy *Skrupuly* zaczęły wędrować w górę listy. Wtedy, w latach siedemdziesiątych, taki wypadek, kiedy nieznana powieść nieznanej powieściopisarki lądowała na pierwszym miejscu listy bestsellerów, zdarzał się raz na dziesięć lat. *Skrupuly* utrzymały się na pierwszym miejscu przez sześć tygodni, dopóki nie ukazała się nowa powieść Michenera, a na liście pozostały przez czterdzieści tygodni, aż do końca grudnia. W ciągu ponad czterech miesięcy kampanii reklamowej naprawdę dobrze się spisałam, a jeszcze, tak jak obiecałam, miałam jechać do San Francisco, po czym wracałam do Los Angeles, gdzie zaplanowano szereg spotkań w kobiecych

organizacjach charytatywnych. W marcu 1979 roku miałam zacząć następne tournée, związane z ukazaniem się wydania w miękkiej okładce.

W dzienniku zanotowałam: „Zawsze chciałam być w czymś najlepsza i w tym tygodniu jestem najlepsza w beletrystyce rozrywkowej dla nabywców książek w twardych okładkach. Będzie to zawsze mój kwiat w butonierce. Dziękuję wam, Billy, Spider, Valentine, Dolly, Josh, Lester — dziękuję wam wszystkim za to, że stało się to możliwe. A Vito odegrał naprawdę zasadniczą rolę. Mój kochany Steve. Jest taki dumny — to fantastyczne. Opłaciło się!”

Kiedy napisałam dla siebie krótkie oskarowe przemówienie, w dniu 15 czerwca, tak jak zaplanowałam, zabrałam się za *Księżniczkę Daisy*.

Rozdział trzydziesty szósty

Odłożyłam dziennik mojego pierwszego tournée i aż do 7 czerwca 1978 roku nie pojawiły się w nim żadne nowe zapisy. W sześć miesięcy później, w nocy 12 stycznia 1979 roku, kiedy pracowałam nad siedemnastym rozdziałem pierwszej wersji *Księżniczki Daisy*, przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć do dziennika (jakoś nie mogłam zasnąć) i dokonać kolejnego zapisu.

Jestem zadowolona z Daisy — świetna fabuła, interesujące postacie, bohaterka, którą musisz polubić, interesujący bohaterowie, wspaniały czarny charakter — Ram, ten pieprzony Ram, który gwałci Daisy, swoją przyrodną siostrę — dramat, podniecenie, rozrywka, a Skrupuły stają się już hasłem, kiedy Richard Marek reklamuje książkę jako „Skrupuły nad rzeką Potomac”. Widzę swoje pisarskie ograniczenia jasno, ale mam niewątpliwie „talent do zabawiania ludzi”, jak kiedyś powiedział o sobie Noel Coward.

W jakiś czas po tym zapisie skończyłam pisać pierwszą wersję *Księżniczki Daisy* i odłożyłam ją na parę tygodni, żeby nabrać dystansu, zanim zabiorę się do przeróbek.

Byłam zachwycona, że udało mi się napisać powieść tak odmienną od *Skrupulów*. Tym razem — tak sobie przyrzekłam — moja bohaterka będzie biedna i będzie musiała borykać się z losem; będzie dziewczyną, która musi wspierać finansowo swoją siostrę — bliźniaczkę, Danielle, młodszą od niej o cztery minuty, podczas których brak dopływu tlenu do mózgu spowodował opóźnienie jej rozwoju, który zatrzymał się na poziomie sześciolatniego dziecka.

Pewien krytyk określił *Skrupuły* mianem powieści typu „seks i zakupy”, co w moim mniemaniu nie oddaje dobrze jej charakteru, ale określenie przyjęło się do tego stopnia, że postanowiłam je wykorzystać, zamiast z nim walczyć.

Jeśli chodzi o *Księżniczkę Daisy*, postanowiłam, że Daisy, choć to księżniczka, będzie nosić skromne ubrania, kupione za grosze. Osierocona i bez szans na ukończenie college’u, ponieważ Ram obrabował ją resztek pieniędzy, jakie miała, a także odpowiedzialna za Danielle,

Daisy znalazła pracę jako pomocnica w firmie produkującej reklamy dla Nowego Jorku.

Jednak jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, w jaki sposób mój styl wpłynie na ubóstwo bohaterki.

Wkrótce potem jak nauczyła się swego fachu, odkryła, że ponieważ ktoś jej stale szuka, żeby rozwiązać jakiś problem, dzinsy i koszula robocza sprawiały, że trudno ją było dostrzec wśród tłumu pracowników, noszących dzinsy. Wymyśliła więc strój, który miał trzy zalety: był tani, praktyczny i doskonale widoczny. Podczas zimnej pogody nosiła zwyczajne spodnie marynarskie U.S. Navy z trzynastoma guzikami, wykonane z mocnej tkaniny. Latem wkładała białe marynarskie dzwony. Do tych spodni zakładała rozmaite chłopięce pulowery w szerokie pasy iw najbardziej jaskrawych kolorach, jakie zdołała wyszukać. W wielkim, niechlujnym studio zawsze miała na nogach tenisówki i grube białe skarpetki, a włosy zaplatała w gruby warkocz, który opadał jej na ramię, ale przynajmniej nie zakrywał twarzy... Spotkanie zakończyło się, kiedy Daisy zastanawiała się nad tym, jak ma wyglądać jutro — kostium, wysokie obcasy, ciasno zwinięty kok i rękawiczki.

Ubrania na wieczór Daisy kupowała na wyprzedaży rzeczy używanych w angielskim kościele, ale kiedy szperała wśród rozmaitych skarbów, żeby znaleźć coś odpowiedniego na wieczór w Middleburgu u koniarzy, gdzie rysowała dzieci na kucykach, żeby zarobić trochę dodatkowych pieniędzy, zawsze zasięgała rady swej najlepszej przyjaciółki, Kiki Kavenaugh.

„Aha!” podskoczyła Daisy. „Jakże mogłam o tym zapomnieć? Schiaparelli na ratunek, jak zwykle. „Triumfująco uniosła w górę strój z późnych lat trzydziestych, kiedy to odważny

Schiaparelli robił ubrania, które o cztery dziesięciolecia wyprzedzały jego czasy. Była to marynarka z zielonego tweedu z cekinami w klapach oraz para ciemnozielonych, sztruksowych spodni. „Tego mi trzeba, nie uważasz?”

„To jest boskie — naprawdę idealny rozmiar.”

„Krótko mówiąc, naprawdę muszę dostać to zamówienie, ważne jest, żebym wyglądała, jakbym go nie potrzebowała.”

„No to lepiej znowu załóż moje fałszywe szmaragdy.”

„Smaragdy z zielonymi cekinami?”

„Zwłaszcza z zielonymi cekinami.”

No, dobra. Pisarka nigdy nie powinna zmieniać swego naturalnego stylu, zwłaszcza gdy jest to źródłem niezłej zabawy. Daisy była wciąż biedną sierotą. Czy to była jej wina, że ta tania garderoba wyglądała na niej tak fantastycznie?

Ostatnio dostałam list od mojej fanki, nazwiskiem Barbara Schar która mieszka w Whitehorse, w Kanadzie i jest koordynatorką pomocy dla ofiar na obszarze swego terytorium. Napisała, „Pani książki nie tylko dostarczyły mi wielu godzin przyjemnej lektury, lecz także stały się narzędziem w mojej pracy wolontariuszki z ofiarami przemocy, zwłaszcza z maltretowanymi kobietami. Ponieważ główne i drugorzędne postacie kobiece okazują siłę i odwagę w obliczu przeciwności losu, bez wahania polecam pani książki kobietom, które próbują doprowadzić do ładu swoje zrujnowane życie; często pomogły one kobietom uczynić kolejny krok w procesie leczenia. Na przykład jedna z tych kobiet, kupująca ubrania w sklepie z rzeczami używanymi, poczuła się o wiele lepiej, kiedy przeczytała, że Daisy Valensky przekształciła używane ubrania w dzieła sztuki.” Nieczęsto list od fanki ma dla mnie taką wartość.

Spędziłam wiele tygodni przygotowując się do pisania *Księżniczki Daisy*, łąząc po nowojorskich firmach produkujących reklamy, spędzając mnóstwo czasu w Londynie, gdzie Daisy mieszkała w dzieciństwie ze swym ojcem, księciem Stashem Valenskim, szukając w bibliotekach informacji na temat życia rosyjskiej szlachty przed rewolucją i na temat leczenia gruźlicy w Davos w 1925 roku. (Babka Daisy chorowała na gruźlicę.) Odkryłam nawet, że mój brytyjski wydawca ma narzeczoną, która jest właścicielką psa, mieszańca charta z owczarkiem szkockim, takiego, jakiego chciałam dać Daisy i stałam się prawdziwą znawczynią tego gatunku.

Cóż, nic nie szkodziło spróbować stracić opinię pisarki od seksu i zakupów, co do czego mam pewność, że znajdzie się na początku mego nekrologu. Ta etykieta, może dlatego, że tak łatwo ją zapamiętać, była wymieniana prawie we wszystkich wywiadach, jakich udzieliłam, bez względu na to, ile stron zajmują seks i zakupy w którejkolwiek z moich książek i bez względu na to, jak wieloma innymi tematami zajmowałam się w trakcie mojej pisarskiej kariery. Dziś już się z tym całkowicie pogodziłam. Jeśli się nad tym zastanowić, seks i zakupy to fantastyczna sprawa, to rzeczy, o których ludzie lubią rozmawiać i czytać — a nawet robić! — i gdybym miała do tego określenia dodać jeszcze tylko dwa słowa, byłyby to „pracujące kobiety.”

W czasie, gdy odłożyłam rękopis *Daisy*, żeby „ostygł”, skończyłam pisać artykuł pt. „Gdzie piękni ludzie chodzą poćwiczyć”, który obiecałam Helen już dawno temu. Czułam, że muszę się wywiązać ze swojej obietnicy, co przyczyniło się do nadwreżenia mięśni i zmusiło mnie do spędzenia całego dnia w centrum odnowy biologicznej pod nazwą Ashram, gdzie oddawano cześć pracy nad poprawieniem kondycji, a lunch składał się z małych kawałków siekanych jarzyn, które spożywano przy użyciu pałeczek, żeby „posiłek trwał dłużej.” Posiłek?

Kiedy w końcu ponownie przeczytałam *Księżniczkę Daisy*, z konsternacją odkryłam, że kiedy nie miałam z nią do czynienia, książka zrobiła się do niczego.

Problem polegał na tym, że powieść obejmowała zbyt wiele pokoleń, było tam zbyt wiele retrospekcji, które odwoływały się do kolejnych retrospekcji. Postanowiłam napisać sagę trzech

pokoleń i wpadłam w zastawioną przez samą siebie pułapkę.

I wtedy, jedyny raz w całej swojej karierze, wezwałam Crowna na pomoc. Steve nie miał żadnego pomysłu, jak rozwiązać mój problem i wiedziałam, że potrzebuję po prostu drugiej pary oczu. Miałam teraz nowego redaktora, kobietę, którą spotkałam tylko raz w przelocie; nazywała się Carole Baron. W połowie pracy nad *Daisy* zastąpiła Larry'ego Freundlicha, który odszedł z wydawnictwa.

W parę dni później Carole Baron przybyła do Kalifornii. Wyglądała jakby kiedyś była wysportowaną dziewczyną z college'u, być może kapitanem drużyny piłki nożnej; miała błyszczące, proste włosy koloru popielatoblond, spięte spinką. Prawdopodobnie była już dobrze po trzydziestce, ponieważ była macochą pięciorga dzieci. Od pierwszej chwili ogromnie ją polubiłam i szybko siadłyśmy do roboty przy stole w salonie, przerywając tylko, żeby zjeść kanapkę i pracując znacznie dłużej niż, jak sądziłam, mogę wytrzymać, nie mdlejąc. Carole była prawdziwym tytanem pracy. Kiedy wreszcie miała dość, wypiliśmy drinka n czym Steve zabrał nas na obiad.

Nie pytajcie mnie, co się działo podczas tych trzech dni, kiedy pracowałyśmy razem. To było jak magia. Carole nigdy nic nie sugerowała. Po prostu siedziała i obserwowała uważnie, jak analizuję każdą stronę i, ponieważ teraz miałam „słuchaczy”, mówiłam do niej, tak jakbym mówiła do siebie. I tak, strona po stronie, odkrywałam, gdzie mogę dokonać skrótów, gdzie mogę coś przestawić, gdzie powinnam coś zmienić gdzie poszłam fałszywym tropem i gdzie trzeba coś dodać. Kiedy znalazłam rozwiązanie, które mnie satysfakcjonowało, a Carole kiwała głową, wyrażając aprobatę, zapisywałam numer strony w żółtym bloczku, tak abym potem mogła to poprawić, kiedy ona powróci do Nowego Jorku.

Późnym popołudniem trzeciego dnia w końcu skończyłyśmy pracę nad rękopisem i siedziałyśmy wyczerpane w salonie, chociaż nie mogłam sobie wyobrazić, że ona jest wyczerpana, kiedy zadzwonił telefon. Był to Howard Kaminsky, prezes Warner Brothers, który wydał *Skrupuły* w miękkiej okładce. Howard był bystrym i zabawnym facetem, kuzynem Mela Brooksa i początkowo sprzeciwiał się tytułowi *Skrupulów*.

„Moja sekretarka nie wie, co to znaczy”, skarżył się.

„Czy nie pomylę się, jeśli powiem, że wolałbyś taki tytuł jak «Dziesięć nocy namiętności»)»?” spytałam złośliwie.

„No cóż... niezupełnie, ale tak, o to mnie więcej chodzi.”

„Zapytaj sekretarkę, czy wie, jakie jest znaczenie zwrotu «pozbawiony skrupulów»), tak jak Richard Nixon, albo zatrudnij nową sekretarkę”, zaproponowałam i na tym się skończyło.

Jednak w ciągu dziesięciu lat, kiedy Warner miał licencję na wydawanie *Skrupulów*, wykonali doskonałą robotę, wznawiając powieść, ilekroć wydawałam nową książkę i zaopatrując okładkę w napis „Autorka *Córki Mistrala*” czy też podając tytuł mojej ostatniej książki.

Chociaż *Skrupuły* wydane w miękkiej okładce wskoczyły na pierwsze miejsce listy *Timesa* w ciągu dziesięciu dni od daty wydania, ściśle kierownictwo Warner Brothers, mimo takiego wyniku, odmówiło wyłożenia miliona czterystu tysięcy dolarów, których zażądał Nat za prawa do wydania *Księżniczki Daisy* w miękkiej okładce. Wściekły i obrażony Wartels postanowił wówczas sprzedać książkę na aukcji. I stąd ten telefon od Howarda.

Co się u ciebie dzieje?” zapytał Howard.

Pracuję z Carole Baron, wyglądając Księżniczkę Daisy”, odpowiedziałam.

Czy mógłbym z nią porozmawiać?” spytał.

Słuchałam uważnie, co mówi Carole, ale nie dowiedziałam się niczego, dopóki nie usłyszałam jak Carole mówi zagadkowo, „Żadnych negatywów”, i chociaż byłam dość daleko od telefonu, usłyszałam krzyk bólu Howarda Kaminsky'ego.

„Żadnych negatywów?” zapytałam Carole, kiedy skończyła rozmowę. Czułam się zawiedziona. Myślałam, że książka jest znacznie lepsza niż sugerował ten zwrot. „Czy to wszystko co masz do powiedzenia na ten temat?”

„«Żadnych negatywów» oznacza najwyższą możliwą pochwałę.”

„Jak to?”

„To określenie techniczne... oznacza, że nie ma na świecie nikogo takiego, kto nie chciałby przeczytać tej książki — mężczyźni, kobiety, nastolatki, obcokrajowcy od Finlandii do Tokio, wszyscy będą chcieli przeczytać *Księżniczkę Daisy*.”

„Chcesz powiedzieć, że to oznacza *same pozytywy*?”

„Można tak powiedzieć”, zgodziła się Carole z uśmiechem.

Następnego dnia Carole wróciła do Nowego Jorku, skąd została porwana w jakieś półtora roku później, kiedy pisałam swoją trzecią powieść, *Córka Mistrala*, przez wydawnictwo Dell — Delacorte, gdzie została wziętą redaktorką, ale od czasu owego trzydniowego maratonu zostałyśmy bliskimi przyjaciółkami. Dyrekcja Crowna tak się wściekła odejściem Carole, że odmówili podarowania jej starego krzesła, w którym czuła się tak wygodnie.

Po przekazaniu do Crowna rękopisu *Daisy*, udało nam się ze Stecem pojechać na urlop w Europie. Wróciliśmy do domu, ponieważ chcieliśmy być na miejscu podczas trwania aukcji, zatrzymując się po drodze w Nowym Jorku, gdzie odwiedziłam matkę. Wyglądała na wychudzoną, więc namówiłam ją, żeby odwiedziła Jerry’ego Barondessa w celu przebadania się. Matka nie wierzyła w lekarzy — „Cóż oni wiedzą?” było jej najuprzejmiejszą uwagą w odniesieniu do zawodu lekarza — i minęło już osiem lat od kiedy ostatni raz była u lekarza.

Polecieliśmy do Los Angeles i akurat zdążyliśmy na aukcję jaka miała się odbyć następnego dnia. Wszystkie aukcje książkowe przeprowadza się wyłącznie przez telefon, więc mogliśmy ją równie dobrze śledzić z domu.

Ustalono ofertę wyjściową dla *Daisy*. Wyniosła ona milion dolarów, które zaoferowało wydawnictwo Bantam Books. To dało im prawo do nie brania udziału w aukcji i „przejęcia” książki przez „przebicie” ostatniej oferty, jeśli tego chcieli. Osiem wydawnictw, które pragnęły wziąć udział w licytacji — w tym Warner Brothers — miały kilka tygodni czasu, w ciągu których musiały zapoznać się z rękopisem i przeprowadzić obliczenia, na podstawie których będą mogły ocenić, ile mogą zapłacić za książkę i jeszcze wyjść na swoje.

Aukcję prowadziła Michelle Sidrane, kolejno rozmawiając przez telefon w redaktorami ośmiu wydawnictw. Każdemu z nich powiedziała, ile wynosi ostatnia oferta i dała im czas na podniesienie stawki lub zrezygnowanie z dalszego udziału w licytacji. Po każdej rundzie licytacji, spodziewano się, że jakiś wydawca wypadnie z gry. Dzień przed aukcją każdy z ośmiu zainteresowanych wydawców otrzymał kosz stokrotek; ten uroczy pomysł podsunęła mi Michelle.

Późnym rankiem tego dnia zatelefonowali do mnie Marc Jaffe i słynny Oscar Dystel, członkowie ścisłego kierownictwa Bantam. Nie znałam żadnego z nich, ale cała ta rozmowa z dwoma nieznanymi przypominała żartobliwe przekomarzanie się, jakie zazwyczaj poprzedza propozycję randki w ciemno. Nic istotnego nie powiedziano i nikt nie wspomniał słowem o odbywającej się aukcji.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, spytałam Steve’a, „O co, u licha, w tym wszystkim chodzi?” „Po prostu upewniali się, że istniejesz naprawdę”, odpowiedział, uśmiechając się do mnie z wyrazem dumy na twarzy, „i że zawsze będziesz istniała!” Na szczęście telefon był dla mnie zawsze ulubionym narzędziem porozumiewania się, zwłaszcza jeśli chodzi o flirtowanie, a właśnie to było treścią tych rozmów.

Po każdej rundzie licytacji, które trwały wiele godzin, Michelle dzwoniła do Morta Janklowa,

żeby mu przekazać ostatnie wyniki, jak że to on był osobą, która oficjalnie się ze mną komunikowała. Mort dzwonił do mnie, a każda rozmowa nieodmiennie zaczynała się od słów, „Nigdy nie zgadniesz, co się właśnie stało!” Nerwy miałam tak napięte, że błagałam go, żeby nie kazał mi zgadywać, tylko od razu przechodził do rzeczy, ale zawsze chciał potrzymać mnie przez chwilę w niepewności. Aukcja ciągnęła się i ciągnęła. Druga po południu w Kalifornii była godziną końca pracy w Nowym Jorku i część wydawców chciała odłożyć aukcję do następnego dnia, ale Michelle nie pozwoliła, aby tempo zmalowało i powiedziała im, że muszą wytrwać.

W końcu Mort poszedł na obiad, ale zabrał ze sobą telefon, więc Michelle mogła go informować o rozwoju sytuacji. Pomiędzy tymi telefonami, bez naszej wiedzy i wbrew ustaleniom z Crownem i Bantamem, Mort kontaktował się z reporterem z *The New York Times*, przekazując mu na gorąco informacje na temat postępu licytacji.

Staralam się zachować spokój, rozpakowując się po podróży i prasując pomięte ubrania, dopóki ostatnia oferta nie pobiła poprzedniego rekordu, należącego do Mario Puzo za prawa do wydania *Ojca chrzestnego*. Wtedy powiedziałam do Steve'a, że powinniśmy się napić, bo prasowanie niewiele pomaga.

W którymś momencie przyszła ostatnia oferta, którą zgłosiło wydawnictwo Warner Books i która była dwukrotnie wyższa niż suma, której nie chcieli zapłacić Natowi Wartelsowi, kiedy się do nich zwrócił po raz pierwszy. Wówczas Bantam skorzystał z prawa przebicia i zapłacił trzy miliony dwieście tysięcy dolarów, otrzymując tym samym prawo do wydania Daisy w miękkiej okładce.

Byłam zbyt zmęczona, żeby cokolwiek odczuwać, poza czymś w rodzaju głupkowatego zaskoczenia i dreszczykiem rozkoszy, mieszającej się z przecuciem, że nie reaguję odpowiednio na ten triumf. Chociaż bardzo się starałam, nie potrafiłam odczuwać żadnych emocji, tak jak wtedy, kiedy się dowiedziałam, że Crown kupił *Skrupuły*, albo gdy znalazły się na pierwszym miejscu listy bestsellerów. Wciąż sobie powtarzałam, że wydawałoby się to bardziej realne, gdyby ktoś wszedł do domu z naręczem dwudziestodolarówek i po prostu mi je wręczył albo rzucił przede mną na dywan. Jednak trzy miliony dwieście tysięcy dolarów to nie była suma, którą mogłam ogarnąć umysłem.

Kiedy się obudziłam następnego dnia, nadal wydawało mi się to nierealne, dopóki nie wzięłam do ręki *The New York Times* i nie zobaczyłam na pierwszej stronie opisu przebiegu licytacji. Gdybym tylko pomyślała, żeby oprawić tę stronę w ramki, czy choćby ją zachować, mogłabym powiedzieć, co było tam napisane, ale w zasadzie była to informacja, że właśnie otrzymała największą sumę jaką kiedykolwiek zapłacono za prawa do wydania książki w miękkiej okładce. Jak, cytując Byrona, powiedziała Coco Chanel po sukcesie swojej pierwszej kolekcji, „Obudziłam się i okazało się, że jestem sławna”. Ja także, przynajmniej w świecie książek.

Wtedy wreszcie coś poczułam. Nie radość, nie podniecenie, nie dumę, lecz raczej głęboki szok. Gdyby wielkość tej sumy znali poza mną tylko Bantam i Crown oraz Mort i Steve, byłoby w porządku, ale żeby wszyscy wiedzieli, ile mam pieniędzy? Nikt nie miał pojęcia, ile zarobiły *Skrupuły* i w tym nagłośnieniu całej sprawy było coś głęboko zenującego. Stałam się osobą publiczną w taki sposób, że nie mogłam tego kontrolować. Jednak kiedy się bije rekord, nie da się tego ukryć. Bez względu na to, jak bardzo przywykłam do utarczek z wydawcami o dodatkowe kilkaset dolarów za artykuł, byłam kompletnie nieprzygotowana do takiego sukcesu.

To było tyle pieniędzy! Nawet po odjęciu dziesięciu procent prowizji dla mego agenta, nawet po uwzględnieniu, że czterdzieści procent dostanie Crown, nawet po zapłaceniu podatku dochodowego, była to kupa forsy i, jak miałam się przekonać, nikt nie sądził, że muszę się z kimkolwiek podzielić tymi pieniędzmi. Czułam się niemal winna, ponieważ nigdy mnie nie

nauczono otwartej rywalizacji i nigdy nie zaszczepiono wiary, że wartość i pieniądze mogą iść w parze.

Wydawało mi się, że każdy wyobraża sobie, że cała ta suma, nietknięta i zapewne w postaci złotych sztabek, została mi dostarczona tego popołudnia samochodem dostawczym. Przez kilka lat byłam w przemyśle wydawniczym odpowiednikiem Billy'ego Gatesa i, podobnie jak on, byłam znienawidzona przez wszystkich tych, z którymi nie podzieliłam się swoim ciastkiem. Poczułam ulgę, kiedy w cztery lata później James Clavell pobił mój rekord i nie towarzyszyły temu ani fanfary ani dezaprobata. W jego przypadku aukcja wydawała się całkiem na miejscu, ponieważ Clavell jest znakomitym pisarzem i znaną postacią wielu lat. Co najważniejsze, James Clavell jest mężczyzną a nie kobietą. WIEM, że gdybym była mężczyzną a nie kobietą tylko z jedną błahą książką na koncie, nie atakowano by mnie z taką furią. Nie od razu to zumałam, ale do licha... mam szczerą satysfakcję, że pobiłam rekord i bardzo się cieszę, że tak się stało.

Moja matka, zaszokowana i okazująca, przynajmniej słownie, dezaprobate — może zazdrosna, że zaszłam o tyle dalej niż ona — wyłączyła mnie z testamentu, argumentując, że nie potrzebuję spadku. Może nie uwierzycie, ale wówczas uważałam, że ma rację.

Jeśli chodzi o Crowna, to po opublikowaniu *Skrupulów*, natychmiast znalazł się w gronie wydawców beletrystyki. Teraz *Daisy* utrwaliła jego pozycję i umożliwiła, dzięki pieniądзом z aukcji, wydawanie dzieł takich pisarzy jak Jean Auel, który właśnie napisał *The Clan of Cave Bear*. W sumie osiągnęli ogromny dochód z zainwestowanych we mnie pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Rozdział trzydziesty siódmy

Prawie natychmiast po tym, jak zobaczyłam *Times*, zatelefonowała Nancy Kahane i powiedziała, że za dwa dni muszę ze Stevem lecieć do Nowego Jorku, ponieważ pracownicy wydawnictw Bantam i Crown nie znają się osobiście i chcą zorganizować obiad zapoznawczy z udziałem Judy w prywatnej sali restauracji Rainbow Room.

Kiedy znów znalazłam się w Nowym Jorku, zadzwoniłam do Jerry'ego Barondessa. Poinformował mnie, że matka ma raka trzustki. Miałam rację, niepokojąc się jej chudością. Ta diagnoza oznaczała dla niej wyrok śmierci. O ile tego rodzaju rak nie zostanie wykryty bardzo wcześnie i nie usunie się trzustki operacyjnie, jest nieuleczalny. Chemioterapia i radioterapia mogą jedynie przedłużyć życie najwyżej o rok czy dwa, a matka już oświadczyła, że nie interesują ją takie środki. Nie odczuwała bólu, ponieważ guz znajdował się na cienkim końcu trzustki i spokojnie odmówiła przyjmowania leków. Nie było wiadomo, ile życia ma jeszcze przed sobą, ale na pewno było to mniej niż rok.

Miałam to stale w pamięci, kiedy siedzieliśmy przy tym nie kończącym się obiedzie, z którego niewiele pamiętam. Był tam długi stół i spotkanie było pełne kurtuazji i jeżeli ktoś zauważył, że ze mną jest coś nie tak, musiał to położyć na karb zmęczenia.

Spędziliśmy ze Stevem jeszcze parę dni w Nowym Jorku, żeby pobyć z matką, która w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat na nowo podjęła lekcje francuskiego, spotykała się z młodymi prawnikami, bywała na lunchu z przyjaciółmi i czytała. Wiedziałam, że zdaje sobie sprawę z rokowania, ale, jak zwykle pełna determinacji, w ogóle nie przywiązywała wagi do swojej choroby, a tym bardziej nie rozmawia ze mną na ten temat. Bez słowa dała do zrozumienia, że temat jest wyczerpany — Takie podejście było dla niej jedynym sposobem wytrwania i myślę, że miała rację.

Stwierdziłam, że prześladowuje mnie coś, co jej zrobiłam i co, jak się okazało, bardzo ją przstraszyło. Kilka lat wcześniej, kiedy brałam lekcje latania, a ona akurat była z wizytą w Kalifornii, zaprosiłam ją, żeby mi towarzyszyła w locie szkoleniowym do Cataliny i z powrotem. Lejałyśmy z instruktorem, więc oczywiście nasza wyprawa była zupełnie bezpieczna. Ku memu zaskoczeniu, od razu się zgodziła a potem siedziała z tyłu samolotu, nieprzytomna ze strachu. Ani razu nie odważyła się wyjrzeć przez okno, ani razu też nie poskarżyła się. Realność tego przeżycia wyraźnie ją przytłoczyła. Nie potrafię tego wydarzenia wymazać z pamięci.

Parę miesięcy po postawieniu diagnozy, pod koniec grudnia, matka przybyła do Kalifornii ze zwykłą dwutygodniową wizytą, jaką składała kilka razy w roku; była może trochę szczuplejsza, ale poza tym jak zwykle pełna energii. Po jej wyjeździe poszłam na rutynową kontrolę do ginekologa i dowiedziałam się, że mam guz jajnika; oczywiście trzeba go było usunąć i zbadać, czy jest łagodny czy złośliwy.

Poprosiłam lekarza, żeby wykonał pełną histerektomię, tak abym w przyszłości nie miała problemów z następnym guzem albo rakiem macicy. Lekarz wyraził zgodę. Miałam dokładnie jeden dzień między badaniem a operacją, więc poszłam kupić sześć kompletów poszew i poszewek w kwiatki, tak abym mogła wracać do zdrowia z fasonem. Była to ekstrawagancja, na jaką nie pozwoliłabym sobie w żadnych innych okolicznościach... więc teraz wiem, co bym zrobiła, gdyby się okazało, że mam raka. Zakupy! W ciągu ostatnich miesięcy moja matka także kupowała ubrania i biżuterię częściej niż kiedykolwiek.

Tournée z okazji wydania *Księżniczki Daisy* w twardej okładce trzeba było przełożyć, ponieważ po tego rodzaju operacji trzeba w ciągu dwóch miesięcy unikać podnoszenia ciężkich

przedmiotów. Odłożenie mego tournée dało początek plotkom, że umieram na raka, więc poprosiłam Ronę Barrett, która prowadziła program telewizyjny, poświęcony plotkom z Hollywood, żeby powiedziała telewidzom, że poddałam się hysteroktomii i że nie ma żadnych powikłań. Zamiast tego Rona oznajmiła tajemniczo, że poddano mnie operacji i że będę „wyłączona” przez dwa miesiące. W ostatniej chwili nie przeszło jej przez gardło słowo *hysteroktomia*. Może było zbyt bezceremonialne i źle brzmiało w uszach pani Barrett, ale byłam przerażona, bo plotki jeszcze nasiliły się.

Już przedtem wyraziłam zgodę na to, że będę gościem honorowy na „Balu Księżniczki Daisy”, który miał się odbyć wczesną wiosną w Lighthouse for the Blind i obiecałam, że do tego czasu na pewno dojdę do siebie. Miałam jednak silne przeczucie, że moja matka umrze tej właśnie nocy — było to na parę miesięcy przed owym bale. Mimi uważała, że jestem śmieszna — „Nie dysponujesz taką mocą”, powiedziała bez obsłonek — ale jakoś nie mogłam się uwolnić od przeświadczenia, że te dwa wydarzenia nastąpią w tym samym czasie.

Po operacji w szpitalu Cedars–Sinai, wczesnym rankiem próbowałam się dowiedzieć czy guz był łagodny czy też złośliwy. Pielęgniarka co zrozumiała, nie potrafiła mi tego powiedzieć, ale kiedy lekarz nie pokazał się, żeby przekazać mi tę informację, wpadałam w coraz większy gniew i coraz bardziej zaczynałam się bać. Kiedy wreszcie pojawił się o ósmej wieczorem, przynosząc, dzięki Bogu, dobre nowiny, chyba bym go zabiła, gdybym miała dość siły. To skandal, żeby ktoś musiał leżeć przez cały dzień, zastanawiając się czy ma raka czy nie, kiedy krótka wizyta czy telefon mogłyby rozwiać wątpliwości. Żaden lekarz nie powinien być aż tak zajęty!

Sama hysteroktomia nie jest operacją niebezpieczną, ale można umrzeć potem, w wyniku powikłań. Nie jest związana z dotkliwym bólem; swego czasu miałam ropień, który rozlał się na cztery zęby, więc wiem, co to jest prawdziwy ból. Na szczęście żaden ból nie trwa bardzo długo, chociaż, kiedy doskwiera, wydaje się, że to wieczność.

Pewnej nocy, 3 stycznia 1980 roku, tak bardzo cierpiałam, że znów sięgnęłam po swój dziennik i opisałam, jak się czułam wiedząc, że za dwa tygodnie każda księgarnia w kraju będzie miała *Księżniczkę Daisy*, której pierwszy nakład wyniósł 240 000 egzemplarzy.

Co się stanie? Czy po prostu od razu zniknie z księgarń, czy też będzie się to odbywać wolniej? Mam prawo mieć nadzieję, że sukces będzie pełny, ale po prostu nie mogę jeszcze tego do końca przewidzieć. Krytycy będą żądni krwi, pisząc o pieniądzach a nie o samej książce, ale choćby to miało bardzo zboleć, wiem, że książka jest dobra. Chciałabym, żeby to oczekiwanie już się skończyło, tak abym mogła zobaczyć ruch w księgarniach, ale teraz ważne jest odzyskać siły i zacząć myśleć o bohaterce Córki Mistrala, ognistorudej dziewczynie, obdarzonej ogromnym temperamentem, odwagą, i determinacją. Teraz odpoczywam, że nie tak jak chciałam, ale jak tylko zacznę działać, znów nie będą mi dawać spokoju.

Jestem rada, że to zapisałam, bo teraz bym w to nie uwierzyła. Sprzedano już pięć milionów egzemplarzy *Skrupulów* w miękkiej okładce; na Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie *Daisy* została okrzyknięta „książką roku”, a w Anglii zapłacono za nią pół miliona zaliczki i podobnie w Niemczech; sprzedano ją także do około trzydziestu innych krajów, ale nawet dysponując takimi dowodami, plus rekordowy wynik aukcji, wciąż nie mogłam uwierzyć w swój sukces.

Byłam w „branży” wydawniczej zaledwie od 9 marca 1978 roku, mniej niż dwa lata, ale po moim szalonym rajdzie, czyż nie powinnam być większą optymistką? Czyż można być aż tak ostrożnym? Przypuszczam, że naprawdę nieoczekiwany sukces *Skrupulów* i równie nieoczekiwana rekordowa cena sprzedaży praw do *Daisy* sprawiły, że doszłam do wniosku, iż to za dużo szczęścia naraz. Zawsze byłam dosyć przesądna i każda rozmowa ze Stevem na temat wyniku jakiegoś przedsięwzięcia prowadziła do tego, że co chwila odpukiwaliśmy w

niemalowane drewno. Może mój dziennik był po prostu odbiciem tego stanu umysłu. Kiedy czułam się dobrze, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby w nim coś zapisywać.

Och, jaka szkoda, że wówczas nie miałam niczym niepohamowanej wiary w siebie, kiedy byłam na szczycie i mogłam pławić się w rozkoszach sukcesu. Niestety, nigdy taka nie byłam i nie potrafiłam tego zmienić. Ten nieprawdopodobny, zupełnie nieoczekiwany sukces przyszedł, kiedy miałam już ponad pięćdziesiąt lat i dlatego nie spowodował żadnych istotnych zmian mojej osobowości.

Właściwie to jest coś, co mnie rzeczywiście interesuje. Większość ludzi oczekiwała, że sukces mnie odmieni, że stanę się snobką, że to mi uderzy do głowy, że będę zajęta wyłącznie własną sławą, czyli, mówiąc krótko, zostanę kolejną okropną sławną „osobistością”, która pragnie utrzymywać stosunki towarzyskie tylko z innymi sławnymi osobistościami.

To z czego nie zdawano sobie sprawy — nigdy nie zdano sobie sprawy — to fakt, że jeśli sukces przychodzi późno, kiedy twój charakter jest już całkowicie ukształtowany i życie uczyniło cię taką jaką jesteś takie zmiany nie są już możliwe. Jedyne zmiany, to zmiany wewnętrzne. Na przykład mogłam zostać przedstawiona jakiejś sławie i nie przejmować się, o czym będziemy rozmawiać, ponieważ wiedziałam, że jest to taki sam człowiek jak ja. Kiedy na małym przyjęciu znalazłam się sam na sam z Jackiem Nicholsonem, wiedziałam, że jako fani Lakersów mamy ze sobą wiele wspólnego, a fakt że to był, wielki Boże, *Jack Nicholson*, nie uniemożliwił mi prowadzenia normalnej, swobodnej rozmowy. A przed *Skrupułami* byłoby to niemożliwe. Przywykłam także do nieznanym, którzy teraz są bardziej zainteresowani poznaniem mnie niż w przeszłości. Nauczyłam się przyjmować komplementy, ponieważ to, czego dokonałam, czyni je wiarygodnymi i, kiedy patrzę na swoje książki, mam poczucie spełnienia.

Zniechęcająca choć nieunikniona strona medalu to przyjaciele, których straciłam. Niektórzy po prostu nie mogli ścierpieć mego sukcesu; ich zawiść była zbyt wielka i zniknęli z mojego życia, a zastąpili ich ludzie, których poznałam w swoim nowym wcieleniu. Każdy kto kiedyś odniósł sukces, nawet bardzo mały, wie, że tak właśnie jest, ale i tak to napawa smutkiem. Mimi była wspaniała. „Skoro to się nie przydarzyło mnie”, powiedziała, „jestem szczęśliwa, że przydarzyło się tobie.” Oto zdrowa reakcja! Tak samo odbieram fakt, że ona ma córki a ja nie.

* * *

17 lutego 1980 roku, *Księżniczka Daisy* znalazła się na pierwszym miejscu listy *Timesa*, detronizując *Smiley's People* Johna Le Carre.

Jednak zanim w końcu mogłam ruszyć na tournée z *Daisy*, okazało się, że moja matka czuje się coraz gorzej. Byłam kilkakrotnie w Nowym Jorku, żeby się z nią zobaczyć przed rozpoczęciem tournée i stwierdziłam, że pogodziła się z myślą o śmierci, bo zebrała całą swoją biżuterię, ułożyła na kolanach i spytała mnie, czy chcę, żeby zostawiła m to czy owo, czy też ma to dać Mimi albo Shari. Nie mogłam znieść widoku, jak jej nieugięty duch przegrywa walkę, która utrzymywał ją przy życiu przez ostatnie siedem miesięcy. Rzecz jasna, nie miałam zamiaru odpowiadać na te pytania, ze względu na ich oczywiste intencje, ale nie mogłam jej powstrzymać od ich zadawania, więc, wybrałam wyjście pośrednie, oświadczyłam, że nie potrzebuję żadnej biżuterii i starałam się ją nakłonić, żeby na razie odłożyła ją na miejsce.

Znalazłszy się z powrotem w Los Angeles, zajęłam się przygotowywaniem garderoby na zbliżające się tournée. Byłam jeszcze zbyt słaba, żeby pójść na zakupy, a poza tym trochę przybrałam na wadze, zwłaszcza w pasie, więc postanowiłam poprosić Nolana Millera, żeby mi uszył stroje, jakich potrzebowałam.

Nolan, bardzo wysoki, bardzo przystojny i bardzo sympatyczny miał jedyną pracownię w

mieście, o jakiej słyszałam, gdzie można było uszyć ubrania na zamówienie i gdzie byli zatrudnieni najlepsi krawcy, którzy wcześniej przeszli staż w Europie.

Kreacją, jakiej naprawdę potrzebowałam, była suknia balowa, którą miałam włożyć na Lighthouse Ball. Chciałam, żeby była biała, bardzo prosta, ale odpowiednio udrapowana, żeby zamaskować moją wagę, i luźna. Nie potrzebowałam w tym celu iść do scenografa Dyrcośto. Kiedy Nolan skończył szyc tę skomplikowaną suknię, mogłam ją założyć jedynie z pomocą Steve'a, bo miała tyle trudnych do odszukania haftek.

W ostatniej chwili zorientowałam się, że nie mam co założyć na tę suknię i poprosiłam Nolana, żeby uszył jakaś pasującą do sukni pelerynę. Kiedy przyszłam na pierwszą miarę, okazało się, że peleryna jest prawie gotowa: biały szyfon, obszyty piętnastocentymetrową, puszystą lamówką z białych lisów. „Nie sądzi pan, że będę wyglądała jak Lana Turner w latach trzydziestych?” wykrztusiłam, przerażona pomysłem założenia czegoś takiego w wyrafinowanym Nowym Jorku. „Oczywiście”, rozpromienił się Nolan. „Czyż nie jest to dobry pomysł?”

Nie, kochany Nolanie, to nie był dobry pomysł. Strój wylądował w Muzeum Okręgowym Los Angeles. Wkładałam go do zdjęć dla wszystkich nowojorskich dzienników i na fotografiach wyglądał wspaniale, ale czułam się w nim nieswojo. Jednak do Nolana musiało to dotrzeć, bo w parę lat potem, kiedy potrzebowałam sukienki na przyjęcie z okazji wydania powieści *Tylko Manhattan*, które się odbywało w atrium Trump Tower, namawiał mnie na suknię luźną, „bo wie pani, dlaczego”, tym razem była to najlepsza sukienka jaką miałam, z liliowego szyfonu, prosta, której jedyną ozdobą był sztywny kołnierz z szyfonu w kwiaty.

Kiedy przybyłam do Nowego Jorku, codziennie, zaraz po powrocie z tego młyna związanego z *public relations*, odwiedzałam matkę. Była już w śpiączce, leżała w domu, w swoim łóżku i miała dwudziestoczterogodzinną opiekę pielęgniarską. Jerry Barondess, który nadal się nią opiekował, celowo jej nie odwiedzał, ponieważ i tak nic nie most zrobić, poza podawaniem silnych środków farmakologicznych, ale ona tego zdecydowanie nie chciała.

Obszernie zdawałam jej sprawę z tego, co się wokół mnie dzieje chociaż byłam niemal pewna, że mnie nie słyszy. Ten rodzaj porozumienia, który przypominał mi czasy, kiedy jej opowiadałam o tym jak minął dzień w szkole, stanowił dla mnie ogromną pociechę. Byłyśmy tylko my dwie w pokoju, jak to często bywało, kiedy byłam młoda i miałam jej coś do opowiedzenia, wiedząc, że mnie pochwalą.

W wieczór przed balem, poprosiłam Steve'a, żeby następnego dnia odwiedził moją matkę, ponieważ czułam, że potrzebuję całej swojej energii, fizycznej i psychicznej, jaką potrafię zebrać, żeby przetrwać następny wieczór, zwłaszcza wobec tego przecucia co do jej śmierci. Bałam się, że widok matki, leżącej w łóżku, teraz takiej drobnej i pożółkłej, ale nadal będącej sobą, chociaż nie mogła już otworzyć oczu ani odezwać się, spowoduje, że mogę sprawić zawód setkom gości w sali balowej Plaża. Jednak Steve dzwonił do mnie kilkakrotnie w ciągu dnia, zapewniając, że jej stan jest stabilny.

Sam bal był nadzwyczajny. Kiedy wraz ze Stevem weszliśmy do Plaża, przywitały nas oślepiające błyski fleszów, coś, czego nie doświadczyłam nigdy przedtem. Ponieważ nie wiedziałam, jak mam na to zareagować, jeśli w ogóle jest to możliwe, patrzyłam prosto przed siebie, koncentrując się na tym, żeby nie przydeptać sukni.

Sala balowa Plaża była wspaniale udekorowana w kolorach białym i złotym, jak w dniach świetności rosyjskiego imperium, a orkiestra grała walce. Kiedy wieczór rozwijał się i zaczęto podawać kolejne dania, zawsze ktoś podchodził i prosił mnie do tańca akurat w momencie, gdy pojawiał się mój talerz, a kiedy odprowadzał mnie na miejsce, kelner właśnie zabierał moje nietknięte danie. Byłam zbyt zajęta i starałam się być uprzejma, więc nie uskarżałam się na znikające jedzenie, ale owego wieczoru nauczyłam się, żeby przed każdym przyjęciem na moją

cześć zjeść porządną kanapkę.

Jak tylko wyszli ostatni goście i moja rola gościa honorowego dobiegła końca, poszliśmy ze Stevem do Sali Edwardiańskiej, żeby coś jeść. Kiedy już złożyłam zamówienie, spojrzałam na Steve'a i nagle usłyszałam jak mówię, „Moja matka nie żyje, prawda?” „Tak, zmarła ubiegłej nocy. Już nie żyła, kiedy tu przyjechałam rano.”

Zaczęłam płakać, ale wzięłam się w garść, kiedy zdałam sobie sprawę że siedząc tam i szlochając w swojej pelerynie a la Lana Turner zwracam uwagę innych gości. Kiedy zapytałam Steve'a o dalsze szczegóły, okazało się, że spędził cały dzień, robiąc gorączkowe przygotowania do pogrzebu: zadzwonił do Mimi i Jeremy'ego, zamówił kwiaty, skontaktował się z synami, którzy byli w college'ach i załatwił im bilety lotnicze do Nowego Jorku, a także starał się dopilnować, żeby zawiadomiono przyjaciółki mojej matki, tak aby wedle żydowskiego zwyczaju pogrzeb mógł się odbyć następnego dnia. Kiedy tylko miał chwilę przerwy, telefonował do mnie, żeby mi dodać otuchy, rozumiejąc, że gdybym się dowiedziała, nigdy nie poszłabym na ten bal i sprawiłabym ogromny zawód jego organizatorom.

W niecałe dwanaście godzin później, jako najstarsza z rodzeństwa, szłam na czele całej rodziny nawą kaplicy pogrzebowej, w kierunku trumny, którą pokrywał dywan pięknych, wiosennych kwiatów. Z dnia pogrzebu mojej matki pamiętam tylko ten jeden moment.

Zostaliśmy w Nowym Jorku jeszcze przez parę dni, dopóki pozwolili mi moi prześladowcy z Crowna, po czym Steve musiał wracać do swoich spraw w Kalifornii, a ja udałam się do Toronto. W moim tournée i tak nastąpiła już przerwa spowodowana operacją, więc teraz dalsze opóźnienie nie wchodziło w grę. Prawa, które obowiązują w świecie wydawniczym, stanowią, że żałoba musi poczekać aż do zakończenia kampanii, związanej z *public relations*.

Kiedy owinięta w futro siedziałam w samolocie do Kanady, gdzie miałam zaplanowany trzydniowy triumfalny objazd, a na lotnisku w Toronto już czekał na mnie samochód, byłam pochłonięta myślami o Mickey Tarcher, która miała w głowie całą mapę nowojorskiego metra i nigdy nie mogła się przemóc, żeby wziąć taksówkę, chyba że się zgodziłam zapłacić za taki niepotrzebny luksus.

Była wyjątkowa i żadne z jej dzieci tak naprawdę nigdy nie wyrwało się spod jej wpływu. Zawsze była i w jakimś sensie nadal jest niezwykłą kobietą.

Rozdział trzydziesty ósmy

Po tournée z Księżniczką Daisy, całymi miesiącami odpowiadałam na nieprzyjemne pytania na temat aukcji, próbując dawać sobie z tym radę najlepiej jak potrafiłam.

Czy to było „naturalne” czy nie, zdałam sobie sprawę, że potrzebuję jakiegoś specjalnego instruktazu, żeby sobie radzić z mediami i szczęśliwym trafem dowiedziałam się o firmie On Camera, która specjalizowała się w rozwiązywaniu tego rodzaju problemów. Szefowa firmy, Kristen Brown, uczyła, jak najlepiej wypaść przed kamerą: kandydatów do pracy, aktorów, którzy promowali swoje filmy, spikerów oraz pisarzy, borykających się z problemami podczas tournée.

Może istnieją inne metody, ale ta stosowana przez Kristen była wyjątkowo skuteczna. Siedziałam na podium, vis-à-vis Kristen i jej towarzysza, którym zawsze był bardzo doświadczony dziennikarz telewizyjny i odpowiadałam na szybko zadawane pytania, a wszystko filmowała kamera zamkniętej sieci telewizyjnej. Potem następowała naprawdę straszna część, kiedy oglądałam nagraną rozmowę, którą zatrzymywano w kluczowych momentach, żeby pokazać mi dokładnie, co robiłam.

Oglądanie siebie w telewizji było upokarzające. W telewizji wygląda się tak, jak widzą cię inni ludzie, a nie tak jak wyglądasz w lustrze, do którego przywykłaś, więc zobaczyć siebie jak mówisz, a wargi poruszają się nie w tą stronę co trzeba i uśmiech jest jakby zniekształcony — to prawdziwy szok. Do dziś dnia nie mogę znieść swego widoku na ekranie, kiedy mówię. Staram się o tym nie pamiętać, bo inaczej prawie bym nie mówiła. Jaka byłaby to strata dla świata...

Odkryłam, że kiedy chcę na coś zwrócić uwagę, często unoszę palec wskazujący prawej dłoni. Tego elementu języka ciała ludzie najbardziej nienawidzą, jest to bowiem gest powszechnie używany w szkole i wszyscy widywaliśmy go aż nazbyt często. Nie zawsze siedziałam w pozycji dostatecznie „otwartej”, z twarzą wspartą na rękach, spoczywających na kolanach, ale zamiast tego próbowałam spleść nogi, przez robiłam wrażenie, jakbym się próbowała ukryć.

Kristen powiedziała mi, „Ludzie przede wszystkim zwracają uwagę na twój język ciała i prawie nie obciążają mózgu słuchaniem tego, co mówisz.”

Po paru sesjach, nauczyłam się jak wykonywać gesty w lekko zakrzywionej płaszczyźnie poziomej, a mój palec wskazujący prawie przywarł do pozostałych. Nauczyłam się jak patrzeć, kiedy chcę wygłosić niezwykle ważną uwagę, łącząc palce pod podbródkiem, tak aby tworzyły coś w rodzaju otwartej piramidy. (Pomyśl o Jimmym Carterze i nie wykonuj tego gestu więcej niż raz podczas jednego wywiadu.) Dowiedziałam się także, że jeśli będę potrafiła się stale uśmiechać, albo przynajmniej zachować miły wyraz twarzy, kiedy jestem krytykowana, choćby nie wiem jak niesłusznie, mogę w ten sposób odeprzeć (to zdumiewające) większość zarzutów.

Kristen i jej towarzysz zamieniali się rolami, grając na przemian dobrego gliniarza i złego gliniarza. „Kochasz sztukę, prawda?” gruchała. „I piękne wnętrza i stroje, i te wszystkie rzeczy, które tak dokładnie opisujesz w swoich książkach?” Kiedy przytakiwałam, uśmiechała się i pytała, „A kiedy zrobiłaś sobie lifting?” Takie właśnie sytuacje, które prawdopodobnie nigdy nie nastąpią w trakcie wywiadu na żywo, miały służyć temu, aby nauczyć mnie, żebym zawsze miała się na baczności.

Dowiedziałam się, że absolutnie każda odpowiedź jest do przyjęcia, ale że przed kamerą nie potrafię kłamać. Kiedy próbowałam i poprosiłam, żeby zmusili mnie do kłamstwa w sprawie mego wieku, w następnym zdaniu, mówiąc o sobie, użyłam określenia „stare pudło”, obrzydliwe określenie, którego nigdy nie używałam w prawdziwym życiu.

Prawdopodobnie najważniejszą rzeczą, jakiej próbowałam się nauczyć, ale nigdy nie udało mi się jej naprawdę dobrze opanować, była świadomość, że mogę powiedzieć „nie”. Teoretycznie zawsze powinnam mieć możliwość udzielenia odpowiedzi przeczącej na jakieś pytanie, o ile zrobię to w sympatyczny sposób. Byłoby idealnie, gdyby mogło się wydawać, że odpowiadam na pytanie, podczas gdy zwracam uwagę na coś zupełnie innego, biorąc wywiad we własne ręce i odpowiadając tylko na te pytania, które chciałabym, żeby mi zadano.

Ilekoć mi się to udawało, czułam się wspaniale, ale ta trudna taktyka jest prawdziwą bronią jedynie w rękach bystrego i doświadczonego polityka. Zwykle czułam głupią, dręczącą potrzebę odpowiedzi na pytanie, które odnosiło się do mojej osoby. Dawne dni, kiedy byłam pupilką nauczycieli powróciły, żeby mnie prześladować. Jednak teraz po dwudziestu latach udzielania wywiadów, osiągnęłam biegłość w nie poddawaniu się i zwykle wywiad jest dla mnie dobrą zabawą; igram nim i dokuczam prowadzącemu, ponieważ nie jest to już dla mnie kwestia życia lub śmierci. Ostatnio byłam gościem programu *Politically Incorrect*, w którym wszystkie zasady, których mnie nauczono, żeby nie przerywać innym i zachowywać się uprzejmie, wyrzucono na śmietnik. Kiedy byłam gościem tego programu, miałam więcej zabawy niż się mogłam spodziewać. Dobry gość to krnąbrny gość i byłam tak krnąbrna jak to tylko możliwe.

* * *

Wkrótce po sukcesie *Daisy*, Nat Wartels sprzedał swego Crowna wydawnictwu Random House, którego właścicielem był Si Newhouse, jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce. Podczas mojej następnej wizyty w Nowym Jorku, ten nieznany miliarder wydał na moje powitanie przyjęcie, zapraszając tylko ściśle kierownictwo wydawnictw Crown i Random House. On sam i Bob Bernstein, który wtedy był jego zastępcą, wypytywali mnie, próbując się zorientować, kim właściwie jest jest Kalifornijka, poza tym, że jest wziętą powieściopisarką. „Więc do jakiej szkoły średniej chodziłaś?” zaczął Bob. „Birch Wathen.”

„Wielki Boże, znałaś może moją kuzynkę, Alice Bernstein?” „No cóż, oczywiście, przecież byłyśmy w tej samej klasie”, odpowiedziałam.

„A co robiłaś po ukończeniu college’u?” chciał się dowiedzieć Si.

„Pracowałam u Herba Mayesa w *Good House*.”

„Herb? Znam go od zawsze. To wielki człowiek”, powiedział Si.

„Mój ojciec był jednym z jego najlepszych przyjaciół”, powiedziałam skromnie, „a Alex jest jedną z moich najstarszych i najlepszych przyjaciółek”, dodałam, wiedząc doskonale, że Si chodził swego czasu z ich córką, Alex, oraz że jego matka, Mitzi Newhouse, i Grace Mayes są przyjaciółkami.

Twarze obu mężczyzn rozpromieniły się. Właśnie rozegrano znakomity mecz żydowskiej geografii, i przekonano się, że posiadam pierwszorzędne referencje, że jestem superporządną nowojorską Żydówką, nie zaś jakimś egzotycznym dziwolągiem z Kalifornii.

Wkrótce po tym obiedzie wyruszyłam do Niemiec, gdzie miałam objechać główne miasta, ponieważ właścicielem Bantama była ogromna niemiecka spółka Bertelsmann, która była także właścicielem „moich” wydawnictw w Anglii i Australii. Zaproszono mnie do odwiedzenia ich centrali w Gütersloh, leżącej na wiejskich terenach Wschodniej Westfalii.

Steve był zbyt zajęty, żeby mi towarzyszyć, pojechałam więc sama. Kiedyś poznałam kilku Niemców, którzy pracowali u Bertelsmanna; wszyscy oni byli młodzi (urodzili się po wojnie), komunikatywni, ale perspektywa tej samotnej wyprawy do Niemiec jakoś mi się nie podobała.

W Monachium miały mnie spotkać dwie osoby *odpublic relations*; jedną z tych osób był baron, którego dawne ziemie leżały na terenie Niemiec, wciąż kontrolowanych przez Rosję, a

drugą była ładna, dwudziestopięcioletnia dziewczyna, imieniem Anna, która u niego pracowała. Powitali mnie kwiatami i umieścili w najlepszym hotelu w mieście, który kiedyś był ulubionym hotelem Hitlera. Kiedy po raz pierwszy szłam przez hall, miałam wyraźną wizję, w której ujrzałam niezwykle wyraźnie tłum roześmianych, łaknących uciech nazistowskich oficerów, którym towarzyszyły piękne, obwieszane klejnotami przyjaciółki, widziałam nawet ich płaszcze ze srebrnych lisów i cygarniczki, które leniwie przesuwają w dłoniach. Była to zaskakująca wizja z czasów wojny, przedstawiająca ten aspekt ówczesnej rzeczywistości, nad którym się nigdy wcześniej nie zastanawiałam; było to niepokojące, nieoczekiwane przeżycie i zdecydowanie nieprzyjemna podróż w czasie.

Dostałam wspaniały apartament, ale nie miałam zamiaru iść spać przed wieczorem. Aby zmniejszyć do minimum nieprzyjemne skutki zmiany strefy czasowej, poprosiłam Annę, żeby po południu zaprowadziła mnie do muzeum. Chodziłyśmy po owym muzeum raczej bez cel oglądając dziewiętnastowieczne obrazy, gdy nagle Anna wykrzyknęła, „Och, proszę popatrzeć, tutaj wiszą wybitne dzieła szkoły pejzażu z Dachau.”

„CO POWIEDZIAŁAŚ?”

„Szkola pejzażu z Dachau”, powtórzyła, wskazując kilka uroczych obrazów, przedstawiających wiejski krajobraz. „To dobrze znany ruch artystyczny.”

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że Anna zupełnie nic nie wie o historii. W głowie mi zawirowało i zastanawiałam się, od czego zacząć jej edukację, ale szczęśliwym trafem akurat mijaliśmy obraz Judyty, trzymającej za włosy odciętą głowę Holofernesa. Powiedziałam jej, że moje imię pochodzi ze Starego Testamentu, tak jak imię mojej siostry, Miriam i mego brata, Jeremiasza (jeśli chodzi o Jeremy’ego, trochę przesadziłam), ponieważ jesteście Żydami.

„Och, kocham Żydów, są tacy twórcy, tacy uwrażliwieni na muzykę i rytm”, odparła, pełna prawdziwego entuzjazmu. Ach, Sammy Davis Jr., pomyślałam sobie, teraz wiem trochę lepiej jakie są twoje odczucia.

Chociaż wszyscy pracownicy Bertelsmanna, jakich poznałam, a było ich niemało, traktowali mnie jakbym sama była księżniczką Daisy, przekonałam się, że ilekroć byłam na lunchu z baronem, uparczywie nie chciał, nawet najłżejszym mrugnięciem, dać do zrozumienia, że wie, iż jestem Żydówką. Oczywiście wiedział o tym doskonale. Było to tak, jakby w tej sprawie postanowił być głuchy i niemy, ponieważ chciał być taktowny. Jeżeli bardziej taktownie jest nie akceptować faktu, że ktoś jest Żydem... myślę, że odgadłam jego myśli.

Kiedy już objechaliśmy Monachium, Hamburg i Berlin, a w końcu poleciliśmy samolotem do Gütersloh, zapomniałam o stosunku barona do Żydów. Jechaliśmy przez przerażające, złowrogie miasto ogromnych, pozbawionych okien magazynów, wypełnionych, miałam taką nadzieję, książkami, zanim znaleźliśmy się we wspaniałym, zdumiewająco nowoczesnym budynku, gdzie poznałam większość kadry kierowniczej. Kilka spośród tych osób czekało na zewnątrz, żeby mnie oficjalnie powitać ogromnym bukietem kwiatów. Potem udaliśmy się do biura założyciela firmy, które się mieściło w małym, wyłożonym drewnem, starym pokoiku doskonale zachowanym wewnątrz tego gigantycznego gmachu, gdzie wpisałam się do „złotej księgi” gości i uroczyście wypiałam kieliszek sherry.

Potem był lunch w luksusowej jadalni dla kierownictwa, a kartę opatrzone napisem, „Lunch z okazji wizyty Judith Krantz”, pod którym znajdował się wykaz wielu smakowitych dań i doskonałych win. Ledwie podano pierwsze danie, gdy do pokoju wpadł baron. „Judith, nie jedz, na gorze czeka na ciebie prasa, a już jesteś spóźniona”, powiedział, chwytając mnie za ramię i odciągając od stołu. Pomachałam ręką na pożegnanie i pomyślałam, że największe uroczystości na moją cześć zawsze dobrze służą mojej diecie, po czym pięć kolejnych godzin spędziłam z miejscowymi reporterami.

Następnego wieczoru w miejscowym hotelu wydano wspaniały obiad, w którym wzięły udział setki dziennikarzy i wyższych urzędników. Nagle znalazłam się przed wspaniałym, jasnowłosym i niebieskookim młodym mężczyzną, zbyt aryjskim nawet jak na reklamę Ralpa Laurena. „Czy była pani w Jerozolimie?” spytał. Wyznałam, że jeszcze nie. „Och, to okropne! Dla Żydówki, nigdy tam nie być... to doprawdy szokujące! Prowadzę w Izraelu nasz klub książki i mówię pani, to jest najcudowniejszy kraj na świecie, fantastyczni ludzie, kocham to miejsce! Musi pani przyjechać, nalegam! Proszę mi obiecać, że odwiedzi mnie pani, a ja wszystko pani pokażę.” Ledwie się trzymając na nogach ze śmiechu, obiecałam. Co za odświeżająca zmiana po baronie!

Nigdy nie piję silnych trunków, kiedy „jestem na służbie” i przez to zyskałam, zupełnie niesłusznie, opinię abstynentki. Wkrótce obiad dobiegł końca i równocześnie dobiegła końca moja oficjalna wizyta w Niemczech. Wszyscy mężczyźni koło mnie zamówili miejscową specjalność, poobiedni trunek pod nazwą *steinhdger*, który, jak mnie zapewniono, powali każdego, kto tylko nań spojrzy. „Myślę, że też się napiję”, powiedziałam. „Och, nie, nie wolno pani”, rozległ się chór protestów. „Nikt, kto nie jest do niego przyzwyczajony, nie zdoła wytrzymać” Nalegałam, więc postawiono przede mną wysoki kieliszek przezroczystej, lodowatej cieczy.

Normalnie piję czystą wódkę (musi być dobrze schłodzona), więc *steinhäger* nie powalił mnie za ziemię. Kiedy moi opiekunowie patrzyli, wstrzymując oddech i przewidując mój rychły zgon, podniosłam kieliszek, głośno wzniosłam po hebrajsku toast „Le Chaim” i wychyliłam jego zawartość jednym haustem. Tak jak myślałam, nic się nie stało. Można powiedzieć, że trunek był dosyć łagodny. „Czy mogę prosić o jeszcze?” spytałam, co niewątpliwie przeszło do historii wydawnictwa.

Dzień po zakończeniu tournée, kiedy się znalazłam z powrotem w Monachium, podczas lunchu Annie nagle przyszedł do głowy świetny pomysł, który jej podsunął serial telewizyjny pt. *Korzenie*. „Dlaczego nie pojedziesz do Jerozolimy, Judith, i nie pójdziesz do ratusza, żeby odszukać dokumenty na temat swego drzewa genealogicznego?” zapytała. Kiedy usiłowałam tej beznadziejnie niedouczonej dziewczynie wyjaśnić historię diaspory, baron wreszcie zdecydował się włączyć do rozmowy.

„Podziwiam stare plemiona”, powiedział. „Kiedyś przez parę tygodni podróżowałem z Cyganami i przekonałem się, że to fascynujący lud. Zdajesz sobie sprawę, że tradycje cygańskie są równie stare jak tradycje żydowskie?”

Przyznałam się do pełnej ignorancji, jeśli chodzi o tradycje cygańskie, ale następnego dnia, kiedy siedzieliśmy z baronem na lotnisku, czekając na samolot, który miał mnie zabrać z powrotem do Los Angeles, powiedziałam w zamyśleniu, „Myślałam o Cyganach i Żydach i wydaje mi się, że Żydzi dali światu Einsteina, Freuda, Marksa i, jeśli o to idzie, samego Jezusa Chrystusa — ale nie mogę sobie przypomnieć wielu Cyganów, którzy zmienili świat, a ty?” Nawet ten okropny baron w końcu musiał się roześmiać i powiedział: „Touché”.

Moje australijskie tournée było gigantycznym sukcesem; prawie cały czas spędziłam przy telefonie, udzielając wywiadów dla radia, najpierw przez tydzień w Sydney, a potem w Melbourne. W owym czasie do większości Australijczyków można było dotrzeć jedynie za pośrednictwem miejscowych radiostacji, znajdujących się w miasteczkach, rozsianych po całym kraju. W przeglądach prasy, które wszyscy otrzymywali, wspomniano jedynie o moim głośnym artykule opublikowanym w *Cosmo* pt. „Mit wielokrotnego orgazmu.”

Ogólnie biorąc, Australijczycy byli wtedy jakies dwadzieścia w tyle za Stanami Zjednoczonymi, jeśli chodzi o otwarte wypowie temat seksu. Kiedy gospodarze talk-show, a byli to wyłącznie mężczyźni; odkryli, że potrafię głośno powiedzieć „orgazm”, ich radość była nie do opisanania.

Trzymali mnie przy telefonie jak długo się dało, po czym dzwonili do mojego łącznika z *public relations* i pytali, czy mogliby znowu zadzwonić jutro, żeby sobie uciąć pogawędkę o orgazmie. „Ach, Judith, dokładnie masz na myśli, kiedy, ach, mówisz o «obszarze plateau»?” W sumie, w kraju, który wówczas liczył około ośmiu milionów mieszkańców, czyli mniej niż Nowy Jork, udzieliłam osiemdziesięciu czterech wywiadów radiowych, a *Daisy* pozostawała na pierwszym miejscu listy bestsellerów przez cały rok. Nawet teraz, ilekroć biorę udział w przekazie satelitarnym do Australii, drugie pytanie po „Jak się masz?” nieodmiennie dotyczy orgazmu. Pokochałam Australię tak mocno, jak mocno znienawidziłam Egipt.

W Anglii kulminacyjnym punktem był pewien wieczór w Manchesterze. Miałam tam wziąć udział w programie pod nazwą *Live from the Old Mill*. Był to transmitowany przez BBC na cały kraj godzinny program i ludzie czekali przez dwa lata na okazję znalezienia się na widowni i zajęcia miejsc przy stolikach, na których stały kieliszki wypełnione winem, którego nie wolno było wypić aż do zakończenia programu. Pozostałymi trzema gośćmi programu byli Peter Ustinov, Petula Clark i prawdziwa baronowa von Trapp, o której nakręcono film *The Sound of Music*.

Program stanowił ważne przedsięwzięcie, przed którym odbywała się normalna próba generalna, a ja przez dwanaście godzin musiałam nosić ukryty pod spódnicą mikrofon. Byłam przekonana, że ilekroć wychodziłam do łazienki, było to transmitowane. Baronowa, starsza osoba, była w paskudnym nastroju... „Nein, nein, w filmie wszystko pokręcili, nein, dzieci wcale nie były miłe...” Nawet normalnie pełen humoru Peter Ustinov nagle przestał mieć ochotę na dowcipy, więc obowiązek zabawiania towarzystwa spoczął na Petuli Clark i na mnie. Kiedy usłyszałam jak śpiewa „Szarotkę”, pomyślałam o małym chłopcu sprzedającym szarotki na górskiej przełęczy, kiedy byliśmy w podaży poślubnej, i poczułam dreszcz.

* * *

Latem, po powrocie z moich zagranicznych, mogliśmy wreszcie Pojechać ze Stevem do Villeneuve-les-Avignon, owego małego miasteczka, gdzie zatrzymaliśmy się na jedną noc podczas naszej nieszczęsnej podróży poślubnej, i spędziliśmy tydzień w Le Prieure, hotelu który wspominaliśmy tak miło. Pewnego wieczoru, w miejscowej pizzerii właściciel opowiedział nam o górach Luberon, gdzie wybraliśmy się na pieszą wycieczkę. Trzeba objechać dookoła samego Avignon, po czym ruszyć prosto na wschód, na wieś, aż do znaku, który wskaże drogę do miasteczka Menerbes, które radził nam odwiedzić.

Menerbes było olśniewającą małą wioską otoczoną fortyfikacją mi, która przysiadła na wysokim północnym stoku Luberon, *le versant nord*, oddaloną tylko o parę kilometrów od innych podobnych wiosek które przed wiekami były widownią upiornych wojen religijnych, w których francuscy katolicy wymordowali co do nogi francuskich protestantów. (Cóż w tym nowego?) Wokół rozciągały się bujne winnice. Od cmentarza przy starym wiejskim kościółku, rozpościerał się rozległy widok na okoliczne pola, które ciągnęły się we wszystkich kierunkach. Roussillon, Apt, Bonnieux, Oppede-le-Vieux... to tylko niektóre z nazw miasteczek, tak dużych jak Apt, albo zaledwie kilku domów, jak Oppede, leżących w pobliżu Menerbes. Byliśmy pod takim wrażeniem, że wciąż wracaliśmy do Menerbes.

W nadchodzącym dziesięcioleciu Peter Mayle miał tam spędzić sporo czasu i opisać Menerbes w książce *Rok w Prowansji*, wydanej w 1990 roku, oraz *Zawsze Prowansja*, wydanej rok później, ale kiedy podróżowaliśmy po okolicy, zawsze wracając do Menerbes, wszyscy, których spotkaliśmy, od artystów i pisarzy, którzy przyjeżdżali na pół roku, do mieszkańców, którzy byli tam zawsze, błagali mnie, abym nigdy nie wymieniała w książce nazwy Menerbes, ponieważ to

przyciągnie zbyt wielu turystów, spowoduje wzrost cen nieruchomości i zrujnuje cały urok miasteczka.

Jednak Mayle postanowił zignorować te płynące z głębi serca życzenia i dzięki swym poczytnym książkom, zwrócił uwagę świata na miasteczko i jego mieszkańców. Wszystko, czego się obawiano, sta się faktem. Teraz czytam, że on sam spędza letnie wakacje gdzie i dziej, bo „Menerbes jest zbyt zatłoczone.” Zastanawiam się, czyja wina, panie Mayle? ,

Kiedy ze Stevem przemierzaliśmy okolicę, natknęliśmy się na miasteczko o nazwie Cavaillon, słynące z najlepszych melonów na s gdzie zgodnie z przewodnikiem Michelina, miała się znajdować stara synagoga.

Ponieważ się tam znaleźliśmy, postanowiliśmy ją zobaczyć. Stała małym, pustym placu, ale jeszcze przez pół godziny miała być zamknięta. Kiedy czekaliśmy, wydawało nam się, że jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy chcą tam wejść, ale jak tylko przewodnik otworzył drzwi, natychmiast w jakiś tajemniczy sposób pojawił się tłum ludzi, mówiących we wszystkich językach.

Nie chcąc zwiedzać synagogi z przewodnikiem, kupiliśmy małą broszurkę, z której dowiedzieliśmy się, że synagogę zbudowano w 1499 roku, a potem przebudowano w 1774 roku. Obejrzeliśmy ją, trzymając się z dala od tłumu.

W *Córce Mistrala*, w scenie z Fauve i jej żydowskim chłopakiem, imieniem Erie Avigdor, odtworzyłam atmosferę, jaka nam towarzyszyła, kiedy weszliśmy do centralnej części synagogi.

Nagle zatrzymali się... kompletnie zaskoczeni... w niemal pustym pomieszczeniu, które jednak emanowało jakąś łagodną harMonią. Może był to salon jakiegoś opuszczonego pałacu, zbudowanego na wzór Wersalu... architekt i rzemieślnicy z Cavaillon, którzy pracowali przy budowie jego wnętrza, byli mistrzami w niezrównanym, delikatnym stylu z czasów Ludwika XV...

Fauve ostrożnie oparła się o balustradę... i pomyślała, że z tego punktu obserwacyjnego świątynia wygląda jak sala balowa, w której mogła sobie wyobrazić tańczące pary dam z upudrowanymi fryzurami i panów w brokatowych szatach. Ale przewodnik, do którego jeszcze raz zajrzała, mówił, że stoi na czymś, co niegdyś było mównicą, skąd celebrowano nabożeństwo. Jej wizja tańczących par rozwiała się, kiedy spojrzała w dół i próbowała sobie wyobrazić wspaniałą małą świątynię, zastawioną ławkami, które wypełniali ludzie ubrani tak jak się ubierali mieszkańcy Prowansji, w strojach, które dziś noszą tylko ludowi pieśniarze, występujący na festiwalach.... Jak wszystkie opuszczone święte miejsca, gdzie kiedyś ludzie przeżywali głębokie wzruszenia, tętno ono ukrytą energią i zmuszało odwiedzających do milczenia.

Kiedy opuszczaliśmy Cavaillon, pod głębokim wrażeniem małej synagogi; na którą natknęliśmy się zupełnie przypadkowo, uświadomi — m sobie, że akcja mojej następnej książki będzie osadzona w Prowansji.

Zapytaliśmy właścicieli Le Prieure, Jacquesa i Marie — France Mn czy możemy zostać u nich w hotelu jeszcze przez tydzień, a potem jeszcze jeden, aż w końcu spędziliśmy tam sześć tygodni, podczas których rozglądałam się wokół i układałam plan swojej powieści.

Po raz pierwszy zbudowałam akcję powieści wokół bohatera Julienu Mistrala, wielkiego malarza, nie zaś wokół kobiety. Mistral od początku okazał się postacią tak dominującą, że w końcu zdałam sobie sprawę, iż muszę mu przeciwstawić trzy bohaterki.

Książka zaczyna się w 1925 roku, a Maggy, pierwsza z jej bohaterek, wyróżnia się zdecydowaną, śmiałą urodą, jakby należąca do przyszłej epoki, która nadejdzie dopiero za ćwierć wieku... W czasach gdy wszystkie kobiety obcinały włosy, jej włosy były długie i lśniąco, koloru ciemnobrązowego, a grube, niewyskubane brwi okalały trochę zbyt szeroko rozstawione oczy. Były szczere i szeroko otwarte, białka miała jasne, tęczówki żółto-zielone, jak szklanka Pernoda, zanim zostanie rozcieńczony wodą. Wargi miała tak pełne i wyraźnie zarysowane, że

stanowiły centralny punkt jej twarzy, wyraźny jak znak drogowy... Wyglądała jak wielki złocisty kot, owiewany lekkim wiatrem. Nic w jej postawie, znamionującej pewność siebie, nie zdradzało jej wieku, ale skórę miała tak delikatną jak dłoń dziecka... usianą drobnymi piegami.

Maggy naprawdę miała na imię Magali, które to imię znalazłam jedynie w języku prowansalskim, a znaczy ono tyle co *marguerite* we francuskim albo „stokrotka” w angielskim, co łączy ją z księżniczką Daisy w sposób tylko mnie znany, który ma dla mnie silne zabarwienie uczuciowe. Dziecko, które się rodzi w ostatnim rozdziale mojej najnowszej powieści, *Klejnoty Tessy Kent*, otrzymuje imię Daisy, a jej matka (właśnie zdałam sobie z tego sprawę) ma na imię Maggie.

Nigdy się w rzeczywistości nie spotkałam z imieniem Daisy, ale niektóre imiona mają dla mnie szczególne znaczenie, czego nie pojmuję i nie próbuję rozwikłać. Kiedy pisarz znajduje imię, które „pasuje z punktu widzenia psychologicznego, trzeba to zaakceptować bez zastrzeżeń. Nazwisko Maggy, Lunel, wzięłam od nazwy miasta Lune, ponieważ wiele żydowskich rodzin, z braku własnego nazwiska, wywodzi je od nazwy rodzinnego miasta, a Żydzi osiedlili się w Prowansji przed ponad dwoma tysiącami lat.

Maggy była moją pierwszą i jedyną bohaterką, będącą Żydówką „pełnej krwi”, chociaż inne bohaterki *Mistrala* są żydowskiego pochodzenia, a wiele ich najbliższych przyjaciółek czy kochanków to Żydzi.

Maggy była jedynym nieślubnym żydowskim dzieckiem w swoim rodzinnym mieście i, chcąc uniknąć planowanego małżeństwa, uciekła domu w wieku siedemnastu lat, żeby zostać modelką malarzy w Paryżu. Kiedy przygotowywałam szkic powieści, szybko wymyśliłam, że skoro Maggy została największą modelką Mistrala i jego kochanką, ona także urodzi nieślubne dziecko, córkę imieniem Teddy, której przybranym ojcem zostanie amerykański Irlandczyk i katolik. (Lubię mieszać pochodzenie etniczne moich bohaterek, dodając krew włoską i irlandzką.) Maggy założy pierwszą i największą agencję modelek w Nowym Jorku, a Teddy, kiedy dorośnie, zostanie wyrzucona z Wellesley za picie alkoholu na terenie college'u... ach, te wspomnienia... i zostanie czołową modelką lat pięćdziesiątych. Pojedzie do Prowansji na sesję zdjęciową dla magazynu mody, zakocha się w Mistralu, dawnym kochanku jej matki i urodzi kolejną nieślubną córkę, imieniem Fauve, utalentowaną artystkę i trzecią bohaterkę mojej powieści.

Opowiadam to wszystko dlatego, że przyszło mi do głowy, iż powieściopisarka prowadząca dziennik powinna przynajmniej raz krótko przedstawić szkielec fabularny swojej powieści. Wprowadzając postać Mistrala oraz jego pokręcone stosunki rodzinne z trzema nieślubnymi dziećmi, matką, córką i wnuczką, dysponowałam solidną podstawą, na której mogłam zbudować złożoną fabułę i „zagęścić” akcję powieści. Zawsze myślę o powieści jak o gulaszu o wielu rozmaitych składnikach, które dodaję powoli i ostrożnie — albo szybko, gdy wpadnę na nieoczekiwany pomysł — a potem uważnie obserwuję, stale przyprawiając do smaku, pilnując, żeby się gotowało bardzo powoli, dopóki smakowite danie nie będzie gotowe do podania na stół.

Teraz, kiedy nazwę Ménerbes zmieniłam na Félice, zaczął się etap „badawczy”. Mistral i Kate, jego bogata amerykańska żona, osiedlają się na wielkiej farmie o nazwie La Tourello, która stanowi zlepek wielu prawdziwych farm, jakie odwiedziliśmy. Opisując Félice i La Tourello, zachowałam koloryt lokalny, ale nie określiłam dokładnie ich położenia. Ten etap badawczy był niesłychanie pracochłonny, ponieważ, poza dokładną znajomością tego okresu na obszarze Prowansji, obejmował paryski świat sztuki w latach dwudziestych i trzydziestych, nowojorski świat mody od lat trzydziestych do siedemdziesiątych i, co okazało się najtrudniejsze, Francję widzianą od wewnątrz, w okresie hitlerowski okupacji.

Miałam wyjątkowe szczęście, które sprawiło, że powstała książka bardzo odmienna od

przewidywanej. Millesowie, z którymi się serdecznie zaprzyjaźniliśmy, wysłali mnie do człowieka nazwiskiem Jean Garcin który sprawował urząd przewodniczącego Conseil General de Vaucluse' będący odpowiednikiem senatora Prowansji.

Popełniłam błąd, zakładając, że skoro podczas wojny Mistral jest mężczyzną czterdziestoletnim, będzie mógł nadal malować obrazy w Félice podczas wojny. Kiedy przedstawiłam fabułę powieści Jeanowi Garcin, nagle mi przerwał i spytał czy Mistral był kolaborantem. Oburzona odpowiedziałam, że oczywiście nie. Garcin, który od samego początku okupacji był członkiem miejscowego ruchu oporu, powiedział mi, że gdyby Mistral nie kolaborował z okupantem, to jako zdrowy mężczyzna zostałby niewątpliwie wysłany do pracy na farmie na terenie Niemiec. Zaskoczona, musiałam przyznać, że Julien Mistral, jakiego sobie wyobrażałam, nigdy nie pozwoliłby, aby wojna przerwała jego pracę.

Teraz, tkwiąc już głęboko w powieści, stanęłam twarzą w twarz z „bohaterem”, który w jakimś stopniu musiał być kolaborantem i musiałam ten fakt wziąć pod uwagę. Sprawa okazała się poważna, akty kolaboracji nabrały decydującego znaczenia, a konsekwencje postępowania Mistrala podczas wojny musiały wywrzeć wpływ na akcję całej powieści, w szczególności na reakcje Fauve. Kiedy odkryła prawdę o swoim ojcu, a zwłaszcza gdy dowiedziała się, że odmówił schronienia swemu wiernemu dealerowi, nazwiskiem Adrian Avigdor, który był ojcem Eryka i Żydem, całkowicie zerwała z Mistralem i nie zobaczyła go już nigdy. Sprawilo to, że fabuła bardzo się skomplikowała i nabrała dodatkowych znaczeń.

Kiedy się żegnałam z Jeanem Garcin, popatrzył na mnie i zapytał, „Madame, czy pani jest Żydówką?” Kiedy odpowiedziałam, że ta , powiedział, „Moja żona także. Poznaliśmy się w ruchu oporu.” Następnego dnia przysłał mi bezcenny prezent, opracowaną przez Arnian Mosse historię Żydów z Avignonu i okolic, którą wydrukowano w trzystu egzemplarzach. Nie dysponując faktami, które znalazłam w tej książce, mogłabym wprawdzie napisać *Mistrala*, ale wówczas nie zawierałby wielu istotnych szczegółów, dotyczących życia Żydów, które znacznie wzbogaciły moją historię.

Po śmierci Mistrala, Fauve dowiaduje się, że w testamencie zapisał jej kilka prac, które znajdują się w jego pracowni i noszą nazwę „Cykl Cavaillon”. Erie niechętnie przekonuje ją, żeby je zobaczyła.

Fauve... uniosła wzrok i spojrzała na wnętrze pracowni.... Całe to ogromne pomieszczenie było zupełnie puste, poza kilkoma ogromnymi obrazami, większymi niż cokolwiek co Mistral kiedykolwiek namalował, które powieszono w sposób, świadczący o tym, że uczyniono to po głębokim namyśle.... Wtedy na ścianie w głębi ujrzała największy z nich i od razu uległa jego magnetycznej sile przyciągania. Całe bogactwo pozostałych obrazów zbladło, kiedy się zbliżyła do gigantycznego płótna, na którym siedmioramienne kandelabry płonęły niesamowitym blaskiem; monumentalna menora, rozsiewająca światło tysiącletniej wiary. Fauve patrzyła oniemiała, wydawało się, że serce wyskoczy jej z piersi, umysł wypełniała mieszanina zachwyty i lęku.

Stojący z tyłu Erie przeczytał na głos słowa, które Julien Mistral wypisał wielkimi literami u dołu obrazu.

„La lumiere qui vit toujours. La synagogue de Cavaillon, 1974 — światło, które trwa wiecznie...”

„On... był w Cavillon!” krzyknęła Fauve zdumiona i uradowana.... „Ale pozostałe obrazy? Co...?”

Razem przeszli przez całą pracownię i zatrzymali się przed pierwszym wielkim malowidłem.... Na białym obrusie stały dwie wysokie świece w wypolerowanych lichtarzach, bochenek chleba i srebrny kielich, po brzegi wypełniony winem. Każdy z tych prostych przedmiotów wyrażał

wdzięczność za dary Stwórcy. Z obrazu emanował spokój i radość i Fauve poczuła, że zaczyna rozumieć.

„Shabbat”, powiedział brodaty ekspert z Paryża, tłumacząc napis, który był po hebrajsku”. Sabat.” Fauve uważnie przyjrzała się kształtowi liter i rozpoznała wyraźne cechy stylu Mistrala, jednak poddane dyscyplinie, jakiej nie wykazywał nigdy przedtem.

W trakcie tej sceny Fauve i Erie oglądają pozostałe obrazy, które, jak się okazuje, zostały poświęcone Exodusowi i na których Mistral umieścił symbole Pieśni nad Pieśniami, *Shavous* czyli Święta Lata i *Sukos* czyli Święta Jesieni.

Coś w Fauve nagle się utworzyło i nadeszło zrozumienie: Julien Mistral przekroczył zielone pola czasu i zamieszkał w starej Jerozolimie; swoim pogańskim pędzlem namalował, jak świętuje lud, który oddawał cześć — i nadal to czyni — niewidzialnemu Bogu.

Szanował niewidzialność ich Boga. Nie próbował rzeczy niemożliwej; nie usiłował namalować głosu z gorejącego krzaka, ale dotarł do sedna ich święta i namalował ducha, który uosabiał ich Boga, a namalował to w taki sposób, że wszystkie inne ludy na całej ziemi mogły zrozumieć, że wszyscy ludzie żyją dzięki wiecznie obracającemu się kołu natury.

Kiedy Fauve i Erie wreszcie opuszczają pracownię, Fauve zawraca mijając sztalugi, „dostrzegłszy skrawek papieru, przypięty pinezką do drewna, na którym znajomym charakterem pisma napisano jeden, jedyny wiersz. Zatrzymuje się. Papier jest zniszczony i pożółkły i sprawia wrażenie, jakby często trzymano go w dłoni.

„Słuchaj, O Izraelu, Pan, nasz Bóg, jest jeden”, czyta na głos. „To wszystko.”

„Czyż to nie wystarczy?” mówi Eric.

* * *

Wiedziałam, że nigdy nie napisałam nic lepszego niż *Córka Mistrala*. Powieść miała doskonale recenzje i 20 lutego 1983 roku znalazła się na pierwszym miejscu listy *New York Times*. Wymuszona opinia dr S. brzmiała, że jest „lepsza niż inne.” Tę uwagę wygłosił tonem, który stanowił dodatkowe potępienie pierwszych dwóch powieści.

Jednak ta reakcja była mniej zaskakująca niż reakcja mojego francuskiego wydawcy, Ivana Nabokova, bratanka Vladimira Nabokova. Choć Ivan zarobił mnóstwo pieniędzy na *Skrupulach* i *Daisy*, teraz stanowczo odmówił wydania *Mistrala*. Powiedział, że to nie do pomyślenia i użył absurdałnego porównania. „Jak byś się czuła, gdyby Francuz ośmielił się pisać o waszej wojnie domowej?” spytał gniewnie. Zastanawiałam się, czy sądził, że Amerykanów ogarnia w związku z wojną domową takie same uczucie wstydu, jak Francuzów w związku z wydarzeniami, które miały miejsce podczas nie tak dawnej okupacji.

Książkę szybko kupiło wydawnictwo Edition Stock, którego szef, Jean Rosenthal, tłumaczył, jak się okazało, moje pozostałe książki na francuski. Kiedy *Mistral* został wydany we Francji, natychmiast stał się zdecydowanie największym sukcesem, jaki kiedykolwiek odniosłam w tym kraju, gdzie amerykańskich powieściopisarzy w owym czasie nie doceniano — w przeciwieństwie do innych krajów, takich jak Włochy czy Niemcy, gdzie ich książki czytano z upodobaniem. (Obecnie moje powieści zostały przetłumaczone na czterdzieści siedem języków, w tym chiński mandaryński, a ostatnio na litewski, język kraju, z którego pochodziła moja matka.)

Pewnego dnia w Beverly Hills, zimą 1982 roku, Steve wytropił mnie telefonem. Znał moje ulubione trasy zakupów i udało mu się dopaść mnie w butik Saint Laurenta. Powiedział, że bym natychmiast wracała do domu, bo ma gościa, który chciałby poznać całą fabułę książki, opowiedzianą po francusku, ponieważ nie zna dobrze angielskiego. Dowiedział się o jeszcze

nieopublikowanym rękopisie.

Przez dwie godziny siedziałam w towarzystwie Jeana Chalopin, zagadkowego, błyskotliwego i dziwaczego młodego Francuza i wyjaśniałam wszystkie zawilości fabuły, obejmującej sześćdziesiąt lat. Kiedy skończyłam, Chalopin, który pracował dla europejskiej sieci CLT, której centrala mieści się w Luksemburgu, natychmiast postanowił sfinansować przeniesienie *Mistrala* na ekran jako ośmiogodzinnego miniseriału, który byłby całkowicie realizowany w plenerach Paryża i Prowansji. Kiedy to do mnie dotarło, zrozumiałam, że zamieszkamy ze Stevem we Francji przez co najmniej półtora roku.

Kiedy powiedziałam dr S., że nasze sesje trzeba będzie przerwać prawie natychmiast, nie wyraził najmniejszego niepokoju, że jakieś ważne spostrzeżenia mogą pozostać nieujawnione, albo że nadal wykazuję objawy nerwicy. Z pewnością poznał tajniki działania przemysłu wydawniczego lepiej niż jakikolwiek psychoanalityk w Los Angeles.

Podobnie jak dr Rubenstein, nie uczynił niczego, żeby dokonać jakiegoś podsumowania wyników minionych ośmiu lat. W końcu, o wiele za późno, zrozumiałam, że byłam dla niego jedynie źródłem gotówki i gdyby nie wyjazd do Paryża, dr S. mógłby mnie kłaść na swojej leżance i kazać mi opowiadać o swoich przejściach z wydawcami przez następne osiem lat. Wyrażenie „lepiej późno niż wcale” jest o wiele słabe, żeby wyrazić to co czułam.

Przez długie lata opowiadałam mu głównie o swoim bieżącym życiu zawodowym i to mu wystarczało! Co gorsza, przywykłam do tego. Nigdy mnie nie naciskał, nigdy nie nakłaniał do zagłębienia się w na prawdę trudne sprawy stosunków i uczuć między ludźmi, co niejako automatycznie powinien uczynić dobry i uczciwy psychoanalityk. Zbyt wielu pacjentów oraz niechęć do drażenia niemiłych, bolesnych, żenujących i głęboko skrywanych problemów ich prywatnego życia.

Niewybaczalne jest to, że dr S. nigdy nie raczył wykorzystać materiału trzech powieści, które napisałam, podczas gdy u niego bywałam żeby opowiadać o swoich problemach, a dla dobrego psychoanalityka powinny one być kopalnią informacji. Nie powinien był ignorować mojej inwencji twórczej tylko dlatego, że nie jestem Kafką. Napisałam do niego list na ten temat jakieś dziesięć lat temu, ale dotąd nie otrzymałam odpowiedzi, której zresztą nie oczekiwałam.

Nigdy nie powinno się chodzić do psychoanalityka tylko dlatego, że się do tego przywykło i można sobie na to pozwolić. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Gdybym musiała z trudem zdobywać pieniądze, żeby mu zapłacić, jestem pewna, że zrezygnowałabym z niego wiele lat temu i wyszłoby mi to na zdrowie. Zabrakło mi odwagi spojrzenia wgląd siebie samej i mam z tego powodu głębokie poczucie winy. Oszukiwałam tylko siebie i te lata psychoanalizy, które mogłyby bardzo mi pomóc, zostały w znacznej mierze zmarnowane.

Przypuszczam, że dr S. pomógł mi rozwiązać parę ważnych spraw, choć nie potrafię wskazać dokładnie jakich, i spisał się całkiem dobrze w przypadku moich synów, kiedy dorastali. Oczywiście omawiałam z nim tkwiące głęboko we mnie problemy związane z poczuciem własnej wartości, ale brak mi poczucia, że pomógł mi je zrozumieć i nauczył, jak sobie z nimi radzić. Raczej je zwiększył, odrzucając moje powieści. Kiedy chodziłam do niego na sesje psychoanalizy, miałam powtarzające się sny o tym, jak znęca się nade mną fryzjer... te sny jakoś się z ni wiązały i musiał to zrozumieć, ale nigdy mi tego nie wyjaśnił. Nie, dr z pewnością nie był — i nie jest — ozdobą swego zawodu.

Niefortunną cechą tej profesji jest to, że wielu psychoanalityków, tak jak dr S., nie dba czy pacjent jeszcze ich potrzebuje, nawet gdy już funkcjonuje zupełnie dobrze, pracuje i jest w zasadzie zadowolony z życia, tak jak ja, kiedy wyjeżdżałam do Paryża. Co gorsza, wielu psychoanalityków woli leczyć takich pacjentów, dopóki PŁACĄ ZA WIZYTY W TERMINIE. Rzecz jasna, płaciłam co do minuty! Ostatnie słowa, jakimi mnie pożegnał dr S., idealnie

oddawały jego postawę wobec pięćdziesięcioletniej kobiety.

„Wszystko będzie dobrze”, powiedział., Jesteś już dużą dziewczynką.”

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Postanowiliśmy ze Stevem wynająć mieszkanie w Paryżu i zostawić dom w Beverly Hills pusty, ponieważ, po owym doświadczeniu z wynajęciem naszego nowojorskiego mieszkania, kiedy przebywaliśmy w Toronto, wiedzieliśmy, że nawet najbardziej godni zaufania lokatorzy mogą poczynić niesamowite szkody, jeżeli mieszkanie nie jest ich własnością.

Pojechaliśmy do Paryża, zatrzymaliśmy się w Ritzu i zaczęliśmy polować na mieszkanie, czytając ogłoszenia w *International Herald Tribune*. Jedno z nich szczególnie nas zainteresowało; było to mieszkanie na Ile Saint-Louis, na Quai de Bourbon. Wydawało się, że jest romantyczne i najbardziej paryskie z możliwych.

Ciepłego i słonecznego dnia wybraliśmy się, żeby je obejrzeć i wszedłszy po mrocznych, kręconych schodach, znaleźliśmy się w trzypokojowym mieszkaniu, z wielkim salonem, gdzie cztery wysokie okna wychodziły prosto na Sekwanę. I, o dziwo, na podwórzu był garaż, a nad samym mieszkaniem jeszcze dwa pokoje dla służby. Kuchnia była zaopatrzona w duży zasób pięknych naczyń, kieliszków i sreber, oraz komplet garnków i patelni; wszystko to pokazała nam Madame, wysoko urodzona i zarozumiała właścicielka mieszkania.

Jakim cudem mieliśmy tyle szczęścia, zadawaliśmy sobie pytanie, siedząc w jednej z kawiarni na samym końcu Ile de Saint-Louis, skąd widać było wieże Notre-Dame na Ile de la Cite. Daliśmy się ponieść wyobraźni, wiedząc, że te dwie wyspy, leżące pośrodku Sekwany i połączone kładką, były miejscem, gdzie plemię rybaków założyło niewielką osadę o nazwie Lutèce, z której później wyrósł Paryż. Tu biło serc tego miasta. Nie musieliśmy nawet podejmować decyzji czy pytać kogo o radę; wiedzieliśmy, że nie możemy przepuścić tej wyjątkowej okazji zamieszkania w najstarszej części Paryża, która liczyła prawie dwa tysiące lat. Musieliśmy natychmiast zapłacić czynsz, chociaż mieliśmy się wprowadzić dopiero za kilka miesięcy, ale przewidzieliśmy to.

Moje jedyne obawy budziła błyszcząca, wypolerowana klatka schodowa. Kiedyś spadłam ze schodów, nie odnosząc wprawdzie żadnych obrażeń, ale od tego czasu, schodząc ze schodów, odczuwałam lęk. Po prostu będę mocno trzymała się balustrady, ponieważ nie mogłam sobie wyobrazić, że nie zamieszkać w tym domu.

Wróciliśmy do Beverly Hills, żeby się spakować. Miałam dwa składane owalne stoły ze sklejki, tak pomyślane, że przy jednym z nich mogliśmy jadać posiłki, a drugi dostawialiśmy, kiedy mieliśmy jakąś imprezę. Jasne obrusy i serwetki były wykonane z żółtego i różowego materiału, który znalazłam w Pierre Deux w Prowansji. Drugi pokój wyobrażałam sobie jako połączenie biblioteki i salonu, ponieważ kiedy go zobaczyliśmy, był prawie nieumeblowany.

Domem w Beverly Hills miał się opiekować godny zaufania przyjaciel Mimi; załatwiliśmy, żeby opłacać ogrodników i człowieka zajmującego się basenem, i pod koniec 1982 roku przybyliśmy do Paryża, gdzie znów zatrzymaliśmy się w Ritzu, zanim na dobre wprowadziliśmy się do wynajętego mieszkania.

Wówczas, po wielu podróżach do Paryża, mieliśmy w Ritzu zaprzyjaźnionego recepcjonistę, młodego człowieka z włoskich Alp, nazwiskiem Helmut Profensor, jasnowłosego, szczupłego i niezwykle sprawnego. Pierwszą rzeczą, jakiej potrzebował Steve w naszym nowym mieszkaniu, był telex, a kiedy się przekonał, że nie potrafi go uruchomić, któregoś niedzieli przyszedł Helmut, żeby rozgryźć ten problem; siedli we dwóch na podłodze i zaczęli się głowić nad tą przeklętą maszyną, aż udało im się ją uruchomić, dzięki czemu znowu mieliśmy kontakt ze światem. (Faksów jeszcze wtedy nie było.)

W międzyczasie dokonałam paru odkryć. Cała piękna zastawa i naczynia kuchenne, które nam pokazywano, zastąpiono możliwie najtańszymi rzeczami, więc nasze „całkowicie umeblowane” mieszkanie było teraz wyposażone w tuzin zwykłych białych talerzy, tuzin brzydkich kieliszków do wina i tuzin kompletów sztućców ze stali nierdzewnej. Jedynymi działającymi elementami wyposażenia kuchni były lodówka i dwa spośród czterech palników gazowych, co umożliwiała łatwe gotowanie wody, gdyby Madame była tak łaskawa, żeby zostawić na czajnik, ale tego nie uczyniła. Żadnych ostrych noży, prawie żadnych misek, brak wyposażenia do przygotowania prawdziwego posiłku. Wszystkie ozdoby, które sprawiały, że salon był tak uroczy, znikły; zdjęto nawet obrazy, a drugi pokój był zupełnie pusty, bez telewizora, który stał tam przedtem. Ona sama przytomnie znikła i pokazała się dopiero wtedy, gdy opuszczaliśmy mieszkanie, chciała się bowiem upewnić że nie ukradliśmy jej zastawy ze stali nierdzewnej.

Łóżka były rodem z *La Boheme* — nie, byliśmy zbyt podnieceni żeby je wypróbować przed wynajęciem mieszkania. Ręczniki znikły razem z naczyniami; zasłony w salonie i sypialni były bardzo brudne — teraz gdy już nie podziwialiśmy widoku z okna i nie skakaliśmy do góry z podniecenia, dywan w sypialni okazał się tak brudny i wystrzępiony, że wolałam na niego nie wchodzić gołymi nogami. Jednym słowem, zdarto z nas skórę. Ale mimo wszystko miejsce było cudowne i mieliśmy widok na Sekwanę.

Och, tak. Ten widok. W dniu, kiedy wprowadziliśmy się, zaczęło lać i tak było przez całą zimę i tak zwaną „wiosnę”. Wkrótce statki przestały kursować po Sekwanie, ponieważ poziom wody był tak wysoki, że prześwit pod mostami zniknął. A jeśli chodzi o miejsce, to jak wyjaśniła mi jedna z poznanych kobiet, „zupełnie nie da się zaparkować samochodu na Ile Saint — Louis, nie ma tam przystanku metra ani autobusu i nigdy nie można złapać taksówki, więc jeśli chcecie się bawić, róbcie to w restauracji, do której ludzie mogą dojechać, bo inaczej nikt nie przyjmie waszego zaproszenia.”

Niebawem kupiłam nowe łóżka i pościel oraz wygodną kanapę do drugiego pokoju, tak abyśmy tam mogli usiąść i wpatrywać się w ogień — co pozostało zresztą nigdy nie zrealizowaną fantazją, chociaż zamówiłam drewno do kominka; w sypialni położyłam nowy dywan; na ścianach powiesiłam plakaty; kupiłam rośliny kwiatowe; dałam do prania wszystkie zasłony; wreszcie udałam się do Bazaar de l’Hôtel de Ville — był znany jako BHV — największego w Paryżu magazynu z artykułami żelaznymi i kupiłam nowe rzeczy do kuchni, talerze i tak dalej; niektóre z tych rzeczy mam do dziś dnia.

Wszystko na Ile Saint — Louis było prawie dwukrotnie droższe niż w centrum Paryża, od papieru toaletowego do pralni, od kiści bananów do filiżanki herbaty. Wszystkie sklepy miały monopol, ponieważ większość mieszkańców postanowiła nigdy nie chodzić na lewy czy prawy brzeg, ponieważ była to tak długa wyprawa i zbyt wielki kłopot. W przeciwieństwie do nas, długoletni mieszkańcy Ile Saint-Louis zgodzili się być więźniami tego miejsca.

Nawet kiedy w mieszkaniu zapanował jaki taki porządek, pogoda nie zmieniła się ani trochę i, jak pisały gazety, była najgorsza od czasów napoleońskich, kiedy to zaczęto we Francji prowadzić rejestry pogody. W pierwszych dniach często wyglądałam przez okno, patrząc na wezbraną Sekwanę, smaganą falami deszczu, na której unosiły się wielkie drzewa, oczekując, kiedy zobaczę ciało topielca. Tylko bułeczki, które Steve przynosił codziennie na śniadanie z pobliskiej kawiarni, mogły wyciągnąć mnie z łóżka.

Nie miało to nic wspólnego z Paryżem, oczywiście nie z Paryżem mojej młodości, ale z Paryżem, do którego przywykliśmy podczas wielu późniejszych wizyt w tym mieście. Jeden ze znajomych powiedział mi, że gdyby dom na Ile Saint — Louis zapalił się, wszystko poszłoby z dymem, bo ulice były zbyt wąskie, żeby wozy strażackie mogły się tam dostać. Inny znajomy zapytał mnie, czy nie zwróciłam uwagi na klimat *coupe-gorge*. Jasne, że tak! Jeśli mieliby nam

w Paryżu poderznąć gardło, stałoby się to właśnie tutaj, gdzie nabrzeża i jedyna główna ulica były w nocy prawie nie oświetlone.

Przez wiele miesięcy prawie codziennie jadalśmy obiady w przytulnej Brasserie de l'Île na rogu, otworzywszy parasole i puszczając się biegiem od bramy naszego domu do rozkosznego ciepła wielkiej restauracji, w której siadaliśmy przy długich stołach, przykrytych papierowymi serwetkami, wśród nieznajomych, którzy patrzyli zdumieni, jak zdejmuję kolejne części garderoby i umieszczam je na wieszaku na kapelusze.

W końcu znalazłam młodą kobietę, która miała nam gotować obiady i przystojnego Portugalczyka, imieniem Alberto, który miał być kierowcą wynajętego przez nas samochodu i pomagać w domu. Z dumą poinformował nas, że jest naprawdę doświadczonym kamerdynerem, która to funkcja ulegała postępującej degradacji. Zamieszkał z żoną w małym mieszkanku po drugiej stronie podwórza.

Ponieważ Steve jeszcze nie znalazł lokalu na biuro, jego sekretarka przejściowo zajęła jedyne biurko, które stało w salonie. Chociaż wiedziałam, że wkrótce zniknie, a ja, nie mając biurka, i tak nie mogłam pracować, było to dla mego morale równie fatalne, jak wezbrane kłębiące się wody Sekwany.

Odkryliśmy, że Alberto wieczorem bierze nasz samochód i jeździ po mieście, przekraczając przy tym dozwoloną prędkość. Francuska policja jest zaopatrzona w kamery, które odnotowują numery rejestracyjne samochodów jadących z nadmierną prędkością. Zanim się zorientowaliśmy, co się dzieje, minęło trochę czasu, ponieważ sekretarka Steve'a i Alberto, rzeczywiście dobrana para, nie tracili czasu i nawiązali romans, a ona, mając dostęp do poczty, ukrywała przed nami przychodzące mandaty. Wyrzuciliśmy ją, ale Alberto nie chciał odejść. Zamiast tego, zaczął nas szantażować.

Czym mógł nas szantażować? Otóż kiedyś wydałam przyjęcie i poprosiłam Alberta, żeby zaangażował paru dodatkowych kelnerów. Powiedział, że może to załatwić, ale pod warunkiem, że zapłacę im gotówką. Uczyniwszy to, nieświadomie pogwałciłam prawo. Powiedział, że jeśli go wyrzucimy, zadenuncjuje nas na policji, a był tego rodzaju typkiem, że mógł to uczynić. Jako nowi mieszkańcy kraju, którego praw nie znaliśmy, nie chcieliśmy ryzykować i narażać się na kłopoty. Patrząc wstecz, jest oczywiste, że powinniśmy byli pójść do amerykańskiej ambasady i wyjaśnić cały problem. Później przyjaciele, którzy usłyszeli o tej historii, powiedzieli nam, że Alberto prawdopodobnie zostałby deportowany.

Alberto został także antybohaterem mojej ulubionej francuskiej anegdoty. Kiedy wreszcie znalazłam kucharkę, odmówiła usługiwania nam do stołu, bo „to nie była jej praca.” Alberto, nasz kamerdyner, także odmówił, bo było nas tylko dwoje, a szanujący się kamerdyner usługuje przynajmniej trzem lub czterem osobom, a nie tylko swoim pracodawcom. Kiedy w końcu udało mi się z nich wydobyć to absurdalne wyjaśnienie, wciąż pełna niedowierzania ale zarazem głodna, targana na przemian to śmiechem to gniewem, poszłam do kuchni i sama podałam obiad. Następnego dnia wyrzuciłam kucharkę, ale wciąż nie siedzieliśmy, jak się pozbyć Alberta.

Prowadzenie we Francji domu w takich warunkach było iście piekielnym zajęciem i nie mogłam się zabrać do pracy nad następną książką której dałam tytuł *Tylko Manhattan*.

Jednak ogromna różnica między życiem w Beverly Hills i w Paryżu była oczywista niemal od samego początku. Prawie od początku pobytu, nasze życie towarzyskie w Paryżu było wyjątkowo intensywne i oscylowało pomiędzy cygańskim a arystokratycznym, podczas gdy w Beverly Hills wszystko było przewidywalne i podporządkowane potrzebom przemysłu filmowego.

Kiedy przenieśliśmy się do Kalifornii, miałam czterdzieści trzy lata i byłam zmuszona zostawić wiele osób, z którymi blisko zaprzyjaźniłam się w ciągu tych wielu lat, zarówno przed

ślubem jak i potem, które cały czas przewijały się przez nasze życie na Manhattanie. Kiedy przybyliśmy do Los Angeles, znaleźmy zaledwie parę osób, dzięki kontaktom służbowym Steve'a. Czuliśmy się jak wysiedleni. Pierwszy rok w Los Angeles zmarnowaliśmy z ludźmi palącymi trawkę, a kiedy przestaliśmy palić, przestali nas interesować. Od tego czasu, poza swoją siostrą, chyba nie spotkałam kobiety, do której mogłabym się zbliżyć. Chociaż gościliśmy u siebie wiele nowo poznanych par, odkryliśmy, że tylko kilka z nich polubiłoby na tyle, żeby się z nimi bliżej zaprzyjaźnić.

Kiedy się ma ponad czterdzieści lat, trudno jest znaleźć nowych przyjaciół w obcym mieście. Wszystkie kobiety jakie poznałam w Beverly Hills, znały się od czasów, gdy odwoziły dzieci do szkoły i wytworzyła się między nimi silna więź, która nie pozwalała się zbliżyć ludziom z zewnątrz.

Tak, spotkałam kobiety, z którymi mogłam pogawędzić w sali gimnastycznej, ale były to wyłącznie gwiazdy filmowe, a ja jako „cywil”, jeszcze nie spotkałam żadnej gwiazdy filmowej, którą mogłabym uważać za prawdziwą przyjaciółkę, chociaż z Ali MacGraw byłam bardzo blisko. W zasadzie one wszystkie żyją we własnym świecie i ich najbliżsi przyjaciele to osoby z przemysłu filmowego.

Kiedy zaczęłam pisać powieści, stałam się tak zapracowana, że nie miałam ani chwili na spotkanie się z ludźmi i podtrzymywanie przyjaźni. Ten brak bliskich przyjaciółek stanowił największy minus mojego nowego zawodu. Z wyjątkiem corocznego lunchu urodzinowego z Mimi oraz lunchów z przyjaciółką i pierwszorzędną specjalistką od *public relations*, Judi Davidson, od czasu wydania *Skrupulów* aż do wyjazdu do Paryża w pięć lat później, nie byłam na lunchu z żadną inną kobietą. Dla mnie lunch w restauracji to rozbięcie całego dnia, który mogłabym wykorzystać na pisanie, przerabianie czy szkicowanie powieści, nie wspominając o czasie traconym podczas spotkań z ludźmi. Praca mnie po prostu pochłaniała. Moje kontakty pozarodzinne obejmowały głównie rozmowy telefoniczne z Alex Mayes, z którą nigdy nie straciłam kontaktu i która była dla mnie jakby „rodziną” od czasu gdy dorosłyśmy na tyle, że różnica wieku przestała odgrywać rolę. Carole Baron, która mieszkała o pięć tysięcy kilometrów ode mnie, była moją jedyną nową przyjaciółką i tylko fakt, że obie lubiliśmy telefonować, trzymał nas razem.

Przyjaźń kobiet ma dla mnie nieocenioną wartość. Jest tak ważna jak samo powietrze. Przez osiem lat w okresie, kiedy kształtowała się moja osobowość, beznadziejnie za nią tęskniłam, później w szkole średniej i w college'u miałam wiele przyjaciółek, ale podczas tych pierwszych lat spędzonych w Beverly Hills nie nawiązałam żadnych nowych przyjaźni.

Teraz mam przyjaciółki dzięki temu, że jestem zaangażowana w Blue Ribbon of the Music Center of Los Angeles County, która jest najbardziej prężną grupą kobiet zbierającą fundusze na cele związane ze sztuką. Zawsze mam dla nich czas, bez względu na to, jak bardzo jestem zajęta i dzięki temu poznaję wciąż nowe, interesujące, sympatyczne, pracowite i otwarte kobiety, których przyjaźń bardzo sobie cenię.

Chociaż przyjechaliśmy do Paryża, mając tylko jeden kontakt, osoba ta okazała się idealna i dzięki niej zaczęliśmy prowadzić niezwykle bogate życie towarzyskie. Latem roku poprzedzającego wyjazd do Paryża byliśmy na urlopie w Wenecji, kiedy zadzwoniła Nancy Kahane i poinformowała mnie, że magazyn *People* pragnie napisać o mnie artykuł w związku z pracą nad *Mistralem* i żebym czym prędzej wracała. Nie było sensu protestować; artykuł w *People* jest marzeniem każdego dziennikarza.

Dziennikarzem okazała się reporterka nazwiskiem Pam Andriotakis — to właśnie z okazji jej urodzin wydałam przyjęcie, które później było powodem szantażu — spędziliśmy trzy dni z nią i fotografem, z którym przyjechała i z każdym dniem czuliśmy się coraz bardziej beztrosko. Pam

była młoda i niezamężna, zbliżała się do trzydziestki, ale pracowała w Paryżu od sześciu lat i znała wielu ludzi. Pochodziła z Detroit była bardzo inteligentna, bardzo dojrzała jak na swój wiek, miała ciemne, kręcone włosy i wyraziste rysy. Podczas trzech dni, które spędziliśmy razem w Luberon, Steve i ja bardzo ją polubiliśmy.

Pam była dla nas jak lina ratunkowa. Przedstawiła nas uroczemu małżeństwu, Pat i Fredowi Paintonom. Przebywali w Paryżu od dwudziestu lat, a Fred był szefem biura magazynu *Time*. Paintonowie z kolei poznali nas z Dimi i Yvonne Paniza z *Reader's Digest*, gdzie Dimi pełniła funkcję szefowej. Okazało się, że niezwykle wyrafinowana Yvonne jest jedną z najważniejszych kobiet w Paryżu. Uczęszczała do szkoły przyklasztornej, gdzie zaprzyjaźniła się z wieloma ludźmi, a dzięki Dimi krąg jej przyjaciół jeszcze znacznie się poszerzył.

Yvonne, której brat, Vincent Fourcade, przed wielu laty był autorem dekoracji podczas pamiętnego przyjęcia u Sternów, prawie od razu zaprosiła nas na lunch, żebyśmy poznali jej ośmioro przyjaciół i tak zetknęłam się z Jean Bakker, żoną ambasadora Holandii i jedną z najsympatyczniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek poznałam.

W ciągu paru tygodni zaczęłam bywać na lunchach w ambasadach na rue de Grenelle, gdzie poznałam całe zastępy interesujących kobiet.

Leo Lerman z magazynu *Vogue* nalegał, abym zadzwoniła do jego przyjaciółki, nazwiskiem Sybille Gausson. „Ona zna wszystkich i wszystko”, powiedział. Zatelefonowałam więc do Sybille i, ponieważ mieszkała na Ile Saint-Louis, zaprosiłam ją na obiad. Poinformowała mnie, że nie może jeść, bo jest na diecie, ale przyjdzie, jeśli obiecuję, że nie będę jej na nic namawiać; zadowolony się szklanką wody. Spodziewałam się, że zobaczę kobietę po pięćdziesiątce z nadwagą.

I tak, na początku kwietnia drobna Sybille wkroczyła w nasze życie; miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, była maklerem giełdowym, diabelnie ładna, czarnooka, śmiejąca się tak jakoś nieprzyzwoicie i obdarzona szelmowskim wdziękiem. Nie wzięła ze sobą parasolki, ponieważ mieszkała niedaleko, ale kiedy miała wychodzić, lało jak z cebra — Steve przygotował jej wodoszczelny strój z wielkiej torby plastikowi, w której zrobił otwory na oczy i ręce.

Tak zaczęła się bliska przyjaźń z Sybille; zaprzyjaźniliśmy się także z jej rodzicami, którzy byli w naszym wieku: Gérardem Gaussonem wysokim, emerytowanym dyplomatą i jego piękną żoną, Solange zapraszali nas na weekendy do swego zaczarowanego zamku, Saint-Antonin, u podnóża Mont Saint-Victoire, w Aix-en-Provence, z którego roztaczał się widok tak podobny do obrazów Cezanne'a, że aż nierzeczywisty.

Nieoczekiwanie zatelefonowała Polly Platt Grchich, dawna koleżanka z Wellesley. Nie wiedziałam, że mieszka w Paryżu, ale w istocie zajęła miejsce w samym sercu francuskiej arystokracji, wyszedłszy za męża za Andiego, Serba, który niewątpliwie byłby co najmniej wielkim księciem, gdyby takie tytuły jeszcze istniały. Polly wydała na naszą cześć wielkie przyjęcie, na którym nie było nikogo, kto by nie szczyił się jakimś tytułem. Kiedy usłyszałam, jak szalenie elegancka markiza wpada do pokoju i pyta o „le peepee room”, odkryłam, że jest to niezwykle elegancka forma oznaczająca damską toaletę. Sama nigdy jej nie używałam, bo coś w jej brzmieniu sugerowało, że musiałabym być co najmniej baronową.

Michelle Tourneville wkroczyła w nasze życie, kiedy poszliśmy do jej rosyjskiej restauracyjki, La Tchaika, na lunch i stwierdziliśmy, że właścicielka jest czarującą rudowłosą damą z Bretanii. Przypadliśmy sobie wzajemnie do gustu i Michelle wydała dla nas obiad, przez co poczuliśmy się, jak gdybyśmy się znaleźli we francuskim filmie, *Cousin Cousine*, gdzie wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Był tam też jej amant, George Delorme, którego pierwsza żona była szefem kuchni i razem z Michelle współwłaścicielką restauracji; jeden z dawnych amantów Michelle ze swoją nową partnerką; jej ojciec ze swoją przyjaciółką... w ogóle nie chcieliśmy wyjść z jej maleńkiego mieszkania i faktycznie często tam wracaliśmy.

Wkrótce poznaliśmy Helyette de Rieux, jedną z przyjaciółek Pam i, jak odkryliśmy, także Herba i Grace Mayesów oraz Muriel i George'a Marka, którzy przez długi czas pracowali u mego ojca. Prawie każdej niedzieli, Helyette wydawała sute przyjęcia, gdzie bufet był zaopatrzony w najlepszego wędzonego łososia, foie gras, sery i małe ciasteczka, ale nie podawano żadnego dania głównego. Kiedy po raz pierwszy poszliśmy na jedno z tych przyjęć, Steve oblał ją winem. I to trzykrotnie najpierw białym, potem czerwonym, a na końcu szampanem. Był ogromnie zakłopotany swoją niezdarnością, dopóki do niego nie dotarło że nie okazała żadnej irytacji, odczytawszy to jako dowód jego ogromnego zainteresowania jej osobą i że w ten sposób chciał zwrócić jej uwagę — Od tej pory Helyette po prostu go uwielbiała.

Polly Guggenheim, rzeźbiarka, która mieszkała w Paryżu przez większą część swego życia, została naszym przewodnikiem po świecie sztuki, tak jak Helmut i jego kochanek, piękny Argentyńczyk, imieniem Eduardo, zostali naszymi przewodnikami po świecie gejów. Świat gazet otworzyła przed nami Carolyn Pfaff, której mąż Bill pisał do *International Herald Tribune*, i pewnego dnia obudził mnie telefon od Nicole, księżnej Bedford, której Jack LeVien powiedział, żeby się ze mną skontaktowała. „Proszę jutro przyjść na lunch do Maxima, a w niedzielę Gérard van de Kemp, kustosz Giverny, wydaje dla nas przyjęcie w ogrodzie Moneta i nie możecie tego przegapić!” powiedziała, choć przecież w ogóle mnie nie znała. Niezupełnie.

Takie rzeczy nie zdarzają się w Beverly Hills. Paryż to jak Nowy Jork i Waszyngton razem. Na francuskiej prowincji dzieje się niewiele; wszystko dzieje się w Paryżu, od rozrywek po sztukę, politykę, działalność wydawniczą, stosunki międzynarodowe i wielkie interesy i mieliśmy szczęście zanurzyć się w tym wszystkim, oprócz wielkich interesów i polityki.

Steve i ja byliśmy przybyszami z zewnątrz i zapraszano nas na tyle spotkań, że nie dawaliśmy rady. Każdy był nas ciekaw, tej pary Amerykanów mówiących po francusku; facet producent filmowy i telewizyjny (*Fritz* odniósł we Francji wielki sukces), a ona to bestseller. (We Francji nie nazywano mnie autorką bestsellerów, lecz po prostu bestsellerem.) Prawie wszyscy, których poznaliśmy, byli gościnni i przyjaźnie nastawieni, co całkowicie odbiegało od normalnego stereotypu Francuza, chłodnego wobec wszystkich, z wyjątkiem własnych ziomków.

Oczywiście gdybyśmy nie znali francuskiego, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Francuzi oceniają cię niemal wyłącznie po tym, czy potrafisz rozmawiać w ich języku, a nam udało się ten test zdać z wynikiem pozytywnym. W przeciwnym razie, musielibyśmy się ograniczyć do świata innych Amerykanów mieszkających w Paryżu.

Teraz, gdy znowu posługiwałam się językiem francuskim na co dzień, nabrałam takiej płynności, że nieznajomi często przypuszczali iż jestem z pochodzenia Białorusinką: „Musi pani znać moją przyjaciółkę, księżną Karinską.” Najwidoczniej Białorusini są znani ze swych uzdolnień językowych. Kiedy spotykałam nieznajomego, szybko napomykałam, że jestem z pochodzenia rosyjską Żydówką, wiedziałam bowiem, że bez względu na to, jak przyjaźnie nastawiona jest gospodyni, niektórzy goście niewątpliwie będą antysemitami i lepiej było od razu się przyznać, że jestem Żydówką. Wszyscy Francuzi, jakich spotkaliśmy, należeli do pokolenia, któremu od dziecka wpajano, że Żydzi zabili Chrystusa... a my dwoje zaliczaliśmy się do nich... i w niektórych spośród nich ten pogląd wciąż pokutował. Chciałam wobec takich osób ujawnić swoje pochodzenie jak najszybciej, aby niepotrzebnie nie tracić czasu.

Sensowność takiego podejścia umocniła się w wyniku rozmowy z Nicole Bouchet de Fareins, która teraz mieszkała sama, bo jej córki już dawno powychodziły za mąż. Układała wyjątkowe kompozycje ze sztucznych kwiatów, które sprzedawała firmie zajmującej się dekoracjami.

„Powiedz mi”, zapytała poważnie, kiedy byliśmy same. „Ty i Steve nie praktykujecie żadnych obrzędów religijnych, prawda?”

„Zupełnie żadnych”, odparłam.

„Więc dlaczego mówicie, że jesteście Żydami?”

„Bo jesteśmy.”

„Ale słuchaj, Judy, nie *musicie* być, skoro nie jesteście religijni.”

„To nie jest kwestia wierzeń religijnych czy praktykowania obrzędów, czy wreszcie „musieć czy nie musieć być Żydem”, powiedziałam cierpliwie, próbując to wyjaśnić tej katoliczce, która do kościoła chodziła tylko na Wielkanoc. „Mieliśmy żydowskich rodziców, którzy też mieli żydowskich rodziców i, jak przypuszczam, to się ciągnie od tysięcy lat, wyjąwszy pogromy i gwałty. Odkąd wiem, moi przodkowie byli Żydami. Sam ten fakt aż nadto wystarcza, żebyśmy się uważali za Żydów.”

Kręcąc ponuro głową na to moje nieustępliwe szaleństwo, odpowiedziała, „Nigdy nie pojmowałam, dlaczego, u licha, postanowiłaś y Żydówką, skoro mogłabyś z łatwością być kimś innym.”

Dla Nicole być Żydem oznaczało prawdziwe nieszczęście, potworny ciężar, który trzeba było dźwigać przez całe życie, coś, co powinno się odrzucić. Nigdy nie mogła zrozumieć, bez względu na to, jak jej to tłumaczyłam, że skoro urodziła się jako członek pewnej grupy, która przez wieki była prześladowana, *tym bardziej* masz powód, żeby się od tego nie odwracać i żyć w kłamstwie tylko dlatego, że okoliczności zmieniają się na tyle, że takie odrzucenie stanie się możliwe. Ta rozmowa oznaczała dla mnie ostatnią godzinę znajomości, którą nawiązałam mając dwadzieścia lat.

Dowiedziałam się z żalem, że po śmierci Paula–Emila Ginette powróciła do rodzinnej Anglii. Oboje znali i lubili Steve’a. Zanim przenieśliśmy się do Paryża, kiedyś przylecieliśmy do Londynu w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Zawieziono nas do naszego apartamentu w Connaught i dopiero wtedy poinformowano, że do następnego dnia rano obsługa kelnerska pokoiów nie pracuje.

Zgłodniali pojechaliśmy taksówką do Savoyu, gdzie kierownik sali popatrzył na nas wciąż ubranych w stroje podróżne i wyjaśnił, że w restauracji odbywa się oficjalne przyjęcie z tańcami i że może nas wpuścić, jeżeli siądziemy w sąsiedniej sali, za parawanem, tak aby nas nie było widać i obiecamy, że pod żadnym pozorem nie będziemy tańczyć. „A czy będę mógł sobie nucić w takt muzyki?” spytał Steve, kiedy nas dyskretnie ukryto przed oczami innych.

W chwilę później usłyszałam głos Ginette, w którym brzmiało zaskoczenie i radość. Siedziała wraz z mężem przy sąsiednim stoliku i też nie mieli na sobie odpowiednich strojów. „Kochani, to fantastyczne! Chodźcie — no tutaj i siadajcie z nami. Co za szczęście was widzieć! Znasz Larry’ego, prawda?” powiedziała, przedstawiając mnie Laurence’owi Olivierowi. Dech mi zaparło z wrażenia, kiedy wymieniałam uścisk dłoni z Heathcliffem, mężczyzną moich marzeń, ale wkrótce zdałam sobie sprawę, że minęło już sporo czasu i Heathcliff gdzieś zniknął. Jednak był to pamiętny obiad, a potem Sir Laurence zaproponował, że odwiezie nas do hotelu.

Wsadził Ginette, Paula–Emila i mnie na tylne siedzenie samochodu, a Steve’a umieścił z przodu, między kierowcą a sobą. Następnie Olivier zaczął emablować Steve’a, zupełnie ignorując naszą trójkę, najwyraźniej Ginette i Paul–Emile nie byli tym zaskoczeni. Kiedy nas wysadził przed hotelem, powiedział Steve’owi, że następnego dnia w kasie będzie czekał na niego bilet na przedstawienie, w którym teraz gra „Och, i dla niej też zostawię”, dodał jakby roztargniony, kiedy zauważył, że wysiadam razem ze Stevem. Na przedstawienie poszliśmy, za kulisy już nie.

Innym razem byliśmy na drinku u Ginette i zobaczyliśmy, że poza nami jedynym gościem jest Marlena Dietrich. Ginette odciągnęła mnie na bok. „Jeśli spodobać się jej oboje, zaprosi was dziś na obiad i absolutnie nie odmawiajcie, niezależnie od tego, jakie są wasze plany.” Po pół godzinie Dietrich doszła do wniosku, że się jej podobamy. „Teraz wychodzę”, powiedziała,

„żeby przygotować małą przekąskę. Oczekuję was wszystkich za pół godziny.” „Ale... ale...” zaczął Steve, chcąc jej powiedzieć, że mamy rezerwację na obiad. „Przyjdziemy”, powiedziałam, rzucając mu znaczące spojrzenie.

Kiedy nasza czwórka zjawiła się w jej mieszkaniu, zabrała się za przyrządzanie znakomitego czterodaniowego posiłku, obejmującego filets mignon, które musiała kupić tego dnia rano i powiedziała, że nie siądzie z nami do stołu, ponieważ pełni teraz rolę kucharki. Dietrich była fantastyczną kucharką; wielokrotnie wchodziła na stojące w kuchni składane schodki, żeby się do czegoś dostać, pokazując przy tym, ku uciesze mego męża, swoje wspaniałe nogi. Następnego dnia rano posłaliśmy jej sześć tuzinów długich morelowych tulipanów, a ona w odpowiedzi przysłała liścik z podziękowaniami, napisany na maszynie, która była jej nowym nabytkiem i z której była bardzo dumna.

Gdyby Ginette nadal mieszkała w Paryżu, życie byłoby jeszcze barwniejsze, ale z radością wyjechała, bo u Balmaina było nowe kierownictwo i wszystko się zmieniło.

Podczas gdy ja kazałam się Albertowi wozić z jednego spotkania na drugie, Steve miał własnego kierowcę, imieniem Elie, który pracował tylko w filmach. Był sympatycznym szaleńcem, który spojrzawszy z niesmakiem na uliczny korek, wjeżdżał na chodnik i jechał nim powoli i ostrożnie, tak że nigdy nie potrafił żadnego przechodnia, dając do zrozumienia, że jest tutaj panem. Nigdy go nie zatrzymał żaden policjant. Może sam był policjantem?

Mój mąż był zajęty pracami poprzedzającymi okres zdjęciowy, które niesłuchanie się skomplikowały wskutek tego, że CBS odkupiła amerykańskie prawa telewizyjne i nagle doszła do wniosku, że obliczonego na osiem godzin Mistrala trzeba zrealizować „w przyśpieszonym tempie”, aby wypełnić lukę w harmonogramie.

Steve od razu zdał sobie sprawę, że jedynym sposobem ukończenia Mistrala w terminie jest równoczesna praca dwóch zespołów realizacyjnych, z dwoma reżyserami, dwoma producentami, dwoma montażystami, dwoma zespołami aprowizatorów i tak dalej. Nagle Steve znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, musiał bowiem robić dwa filmy jednocześnie, jedno ujęcie w Paryżu a drugie w Prowansji, przy czym miał do dyspozycji tylko jeden zespół aktorów.

Podczas pierwszych paru miesięcy, dwukrotnie latał do Hollywood w sprawie obsady; w końcu ustalił z CBS, że Stacy Keach wystąpi w roli Mistrala, Stefanie Powers w roli Maggy i Lee Remick w roli Kate, bogatej Amerykanki, żony Mistrala. Wszyscy mieli pracować w maju, czerwcu i lipcu, a cały serial miał być gotowy w sierpniu.

Prace poprzedzające okres zdjęciowy rozpoczęły się w deszczu, jak tylko zjawiliśmy się w Paryżu i wtedy odkryłam, że mój mąż jest zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego poślubiłam i, jak mi się wydawało, poznałam. Steve zawsze ze mną omawiał problemy związane ze swoją pracą i już dawno temu uświadomiłam sobie, że cały blask przemysłu rozrywkowego jest dla producenta jednym wielkim gównem.

Ale teraz problemy związane z nadzorowaniem całej produkcji dosłownie go zżerały. Była to dla niego kwestia życia i śmierci. Steve przecierał nowy szlak w produkcji miniseriali, realizując film wyłącznie w autentycznych plenerach, wyłącznie z udziałem zagranicznych ekip realizacyjnych, i to dwóch naraz i chociaż przedsięwzięcie było finansowane głównie z pieniędzy pochodzących z Europy, musiał stale toczyć potyczki z CBS. W jego życiu była tylko jedna osoba, która nie była zaangażowana w produkcję, tylko jedna osoba, z którą nie musiał rozmawiać spokojnie i rozważnie i okazywać dobry nastrój. Już wiecie, kogo mam na myśli.

Zaczęłam się nie na żarty bać tego nowego Steve'a. Naprawdę był w tak ponurym nastroju, że miałam wrażenie, iż nie powinnam z nim na ten temat rozmawiać i pogłębiać jego kłopotów. Nie można było przewidzieć jego reakcji. Miał napady gniewu z tak nieoczekiwanych powodów, jak na przykład kupno dwóch zielonych butelek, takich samych jakie zbieraliśmy od naszego

miodowego miesiąca; w związku z tym usunęłam się w cień, jak tylko mogłam, bojąc się wywołać kolejny na pad gniewu. Ale to było nie do wytrzymania. Utraciłam mego najlepszego przyjaciela i nie mogłam mu o tym powiedzieć, ponieważ nie był już moim najlepszym przyjacielem. Kiedy był w domu i jeśli akurat gdzieś nie wychodziliśmy, cały czas spędzał przy telefonie albo wysyłał teleksy, więc mój brak ożywienia nie miał dla niego znaczenia. Znaczenia? On tego nawet nie zauważał.

Owe dni szalonej aktywności, dni tak pełne nerwów, stanowiły dla niego — a tego niestety nie rozumiałam — źródło ogromnej radości. Nigdy nie próbował mi tego wytłumaczyć, ponieważ wtedy nawet sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Bez względu na to, jak się zachowywał, w rzeczywistości *uwielbiał* cały ten zgiełk! Cieszył się, że nie jest w Hollywood i że pracuje z Francuzami, których kwalifikacje były znacznie wyższe niż mógłby oczekiwać w Hollywood za tę samą cenę; cieszył się z wyzwania, jakie niósł fakt, że jest pionierem w tej dziedzinie; kochał wszystkich tych ludzi, którzy musieli polegać na jego decyzjach; uwielbiał każdą najdrobniejszą chwilę tego przedsięwzięcia, bez względu na to, jak bardzo to przeżywał. Nie dałby sobie tego odebrać za żadną cenę. Nie miał pojęcia, jaki stał się ponury i przerażający.

Gdybym wówczas wiedziała to wszystko, przestałabym się o niego martwić. Powinnam była całkowicie go ignorować... chociaż to przekraczało moje możliwości. „Powinnam była” powinno być moim drugim imieniem, zamiast Bluma — Gittel. Niestety byłam głęboko zaniepokojona tą zmianą jego osobowości, przez co czułam się porzucona i nie kochana, więc uwijałam się wokół, starając się załatwiać wszystko, co mogłam, w naszym domu. Powinnam była się przenieść do Ritza!

Znany kompozytor Vladimir Cosma zaczął pisać muzykę do serialu, która miała stać się olbrzymim przebojem na całym świecie. Tytułowa piosenka „L'Amour en heritage”, która była zarazem francuskim tytułem *Córki Mistrala*, przez rok była najpopularniejszą piosenką w Europie.

Wybrałam imię Mistral ze względu na sławny wiatr, wiejący w Prowansji, ten *mistral*, który wywiera wielki wpływ na życie na wsi i bywa gorący lub zimny, podobnie jak Santa Ana w Kalifornii. Kiedy wieje, kobiety, które zabijają swoich mężów, mogą ten fakt podać przed sądem jako wyjaśnienie swego postępu. Podczas produkcji tego serialu, mistral wiał dla mnie nieustannie.

(Ten wybór był podwójnie niefortunny. Kiedy brałam udział w tournée związanym z wydaniem książki, dziennikarze niezmiennie nazywali ją „MenstruaFs Daughter”, „MinstreFs Daughter”, lub „Mistrial's Daughter.”)

Wiosną 1983 roku wreszcie wyrzuciło słońce, wody Sekwany opadły i Paryż znów był taki jak dawniej. Z dnia na dzień mój ponury nastrój z jesieni i zimy zniknął i znowu stałam się sobą, znowu byłam beztroska i szczęśliwa. Zawsze byłam niezwykle wrażliwa na pogodę. I na hałas, na światło... nie chcielibyście mieć mnie za towarzysza podróży.

„Wiem, dlaczego jesteś taka przybita”, powiedziała Sybille, kiedy jadłyśmy lunch na tarasie jej klubu, Cercie Interallie, gdzie codziennie przychodziła popływać. „To wasze mieszkanie. Powinniście znaleźć sobie inne. Masz tu nazwisko mojej pani od nieruchomości. Zadzwoń do niej któregoś dnia.”

Lunch miał miejsce 23 czerwca. W pięć dni potem, a był to taki dzień, kiedy agenci handlu nieruchomościami zarabiają za jednym zamachem tyle, ile normalnie zarabiają w ciągu całego roku, po obejrzeniu kilku mieszkań, po prostu zakochałam się w jednym z nich. Było na piątym piętrze, ze wspaniałym widokiem na duży ogród, ale Steve go nie chciał, bo nie lubi mieszkać tak wysoko. Następnego dnia znalazłam inne mieszkanie, na parterze, i 30 czerwca Steve w pięć minut obejrzał je, powiedział „tak” i zniknął, wracając do swoich zajęć. Później tego samego dnia

podpisaliśmy dokumenty, w których zobowiązaliśmy się do jego kupna.

W jeden tydzień! Minął tylko jeden tydzień od czasu wynajęcia małego mieszkania do kupna wielkiego apartamentu na lewym brzegu Sekwany. (W ogóle nie przyszło nam do głowy, żeby szukać na prawym brzegu.) Nie zdając sobie z tego sprawy, postanowiliśmy na stałe zamieszkać w Paryżu, w ogóle nie omawiając tego problemu, zwłaszcza że obaj nasi synowie byli w college'u i już prowadzili własne życie. Każde z nas miało zupełnie inne powody. Dla mnie zamieszkanie w Paryżu oznaczało nowych, serdecznych przyjaciół i możliwość prowadzenia znacznie bardziej interesującego życia niż dotąd, kiedy mieszkaliśmy w Kalifornii.

Natomiast Steve, kiedy był szefem działu sprzedaży w Columbi' prowadził interesy prawie ze wszystkimi liczącymi się dyrektorami z branży w Europie i był wciąż z nimi w doskonałych stosunkach. Na podstawie dotychczasowych sześciu tygodni pracy nad *Mistralem*, mógł już stwierdzić, że jest w stanie zająć znaczące miejsce w europejskiej produkcji filmowej. Jako amerykański producent, mieszkający w Paryżu i znający język, miał tutaj o wiele więcej możliwości niż miałby kiedykolwiek w Hollywood. We Francji był kimś.

Nie martwiłam się o to, gdzie będę kontynuować pracę. Napisałam trzy powieści w pokoju gościnnym w naszym domu w Beverly Hills w pokoju, którego oszklone drzwi otwierały się na ogród i takie warunki stały się istotnym czynnikiem w mojej pracy. Teraz znalazłam mieszkanie, którego cztery ściany otaczały prywatny ogród i mój gabinet, jak większość pozostałych pokoi, miał także oszklone drzwi. To było jak omen. Znów świeciło słońce i, poza butikiem Saint Laurenta, u Chanela odkryłam nowego projektanta mody, Karla Lagerfelda. Jego stroje były doskonałe dla drobnej kobiety i od pierwszej zaprezentowanej kolekcji, zaczęłam się u niego ubierać. Czym tu się jeszcze martwić?

Rozdział czterdziesty

Jedynym sposobem na to, by Stacy Keach mógł się wywiązać z wymagań, jakie narzucała rola Juliana Mistrala, było częste kursowanie między Paryżem a Niceą, gdzie kierowca zabierał go z lotniska i odwoził do wiejskiego hotelu, w pobliżu miejsca w Luberon, gdzie kręcono zdjęcia do serialu. Sceny z udziałem Stefanie Powers kręcono wyłącznie w Paryżu, a z udziałem Lee Remick głównie w Prowansji, ale Stacy był tylko jeden i występował w ogromnej większości scen.

Chociaż miał letnią przerwę w zdjęciach do serialu *Mike Hammer* w którym występował, Stacy miał jeszcze przed sobą parę godzin nagrań ścieżki dźwiękowej. Chciał w tym celu wyjechać do Londynu, ale Steve, który wiedział, że cały Mistral opiera się na jego nieustannej obecności na planie aż do ostatniej minuty ostatniego dnia zdjęć, nalegał, aby te nagrania zrobił w Nicei, korzystając z doskonałej aparatury, jaką tam dysponowano. Poleciał mu, aby w żadnym wypadku nie wyjeżdżał do Londynu, nie chcąc, by jego gwiazda znikła choćby na jedno popołudnie.

Ale Stacy miał co innego w głowie. Pewnego dnia, na początku lipca, o świcie pojechał taksówką na lotnisko w Nicei i wsiadł na pokład samolotu do Londynu. W Londynie psy policyjne szybko wywąchały, że puszka kremu do golenia, którą miał przy sobie Stacy, zawiera około trzydziestu sześciu gramów kokainy. Nigdy się nie dowiemy, dlaczego to zabrał ze sobą, zwłaszcza wiedząc o tym, jak skuteczna jest kontrola antynarkotykowa na Heathrow, choć niektórzy podejrzewali, że jest to przykład irracjonalnego strachu narkomana, że zostanie bez swoich prochów.

Stacy został aresztowany a Steve'a natychmiast powiadomiono o całej sprawie, na szczęście na tyle wcześnie, że zdążył na samolot do Londynu, wpłacił kaucję i zabrał Stacy'ego z powrotem do Paryża, zaraz po wyznaczeniu terminu rozprawy sądowej, na którą Stacy musiał się stawić w Londynie. Rozprawa miała się odbyć na parę tygodni przed zakończeniem zdjęć do serialu.

Nie mieliśmy pojęcia, czy brytyjski sędzia wsadzi tego kretynowatego, nieodpowiedzialnego i lekkomyślnego dupka za kratki czy ukarze go grzywną. Oznaczało to, że do końca zdjęć nie będziemy mieli absolutnie żadnej gwarancji, że *Córka Mistrala* zostanie w ogóle ukończona. Zależnie od tego, co postanowi sędzia, cały ten skomplikowany proces, godziny przygotowań, setki ludzi biorących udział w produkcji serialu i miliony dolarów, które kosztował, mogą pójść na marne.

Jak tylko Stacy został złapany, odkryliśmy, że wszyscy garderobiani, charakteryzatorzy a nawet kierowcy wiedzieli o jego silnym uzależnieniu od kokainy. Ich przełożeni także. Z pewnością nie był to pierwszy czy ostatni plan, na którym aktor brał kokainę. Jedyną osobą, przed którą utrzymywano to w tajemnicy, był producent i oczywiście jego żona. „Nie zdradzanie” kolegi jest w przemyśle rozrywkowym powszechne. Nikt nie chce stracić pracy i nikt nie chce podpaść. Ludzie, którzy powinni byli ostrzec Steve'a o całej sprawie, siedzieli cicho. Steve mówi, że tak jest przy produkcji każdego filmu, nie tylko Mistrala.

Ale nawet z perspektywy piętnastu lat, jakie minęły od tego czasu, nadal nie potrafię zaakceptować ani wybaczyć faktu, że tak wiele osób brało udział w konspiracji, która miała tak poważne konsekwencje. To jeden z wielu powodów, dla których cieszę się, że nie pracuję w przemyśle rozrywkowym, chociaż w ciągu wielu lat dowiedziałam się o paru podobnych przypadkach także w przemyśle wydawniczym.

Zanim się to wszystko wydarzyło, Steve i ja spędzaliśmy sporo czasu ze Stacyem i jego ówczesną żoną, kiedy byliśmy razem w Saint-Tropez i, jeśli kogoś można by uważać za wzorowego obywatela, to był nim właśnie ten aktor, inteligentny i bardzo dbający o swoją sprawność fizyczną. Miałam kiedyś w Hollywood znajomego, który, jak się w końcu połapałam, brał kokainę, ale żadne widoczne oznaki nie zdradzały jej działania. Nie mówił zbyt szybko, nie ciekło mu z nosa i nie znikał w łazience podczas obiadu. Musiał się zaprawiać tuż przed spotkaniem.

Pewnego dnia w Menerbes, wkrótce po aresztowaniu Stacy'ego, przysiadłam na nagrobku, żeby popatrzeć na trzy pogrzeby, które filmowano na tym położonym na wzniesieniu i owiewanym przez wiatr cmentarzu, ze wspinałym, rozległym widokiem na Vaucluse, na którego terenie kręcono kolejne ujęcie. Z przyczyn oszczędnościowych, trzy pogrzeby, które w powieści oddzielał znaczny szmat czasu — pogrzeby Teddy Lunel, Kate Mistral i samego Mistrała — filmowano jednego dnia, jeden po drugim, ale w chronologicznej kolejności. Tylko stroje i charakterystyka żałobników oraz trumny i aktor grający księdza musieli być inni.

Nagle zdałam sobie sprawę, że trzy sceny, które napisałam w pokoju gościnnym w Beverly Hills, właśnie rozgrywają się przed moimi oczami. Siedziałam w osłupieniu i dumałam, że gdyby nie ja, cały ten skomplikowany projekt nie zostałby zrealizowany. Wymyśliłam fabułę, która obejmowała te trzy zgony, napisałam książkę, która nas przywiodła do Francji, a teraz miałam zobaczyć pogrzeby, które, jak sobie wyobraziłam w swojej pracowni, odbędą się na tym samym cmentarzu. Trudno mi było ogarnąć umysłem ten krąg wydarzeń, jako coś co sama przeżywam — miałam uczucie, że przyglądam się temu gdzieś z zewnątrz — ale przepełniało mnie także uczucie niekłamanej radości i zadowolenia z własnego osiągnięcia. Zamknęłam się na dziewięć miesięcy w pokoju, pograżyłam w marzeniach, cierpliwie pisząc na maszynie i oto *to się dzieje!*

Ze wszystkich chwil, jakie spędziłam na planie filmu, ta była najpiękniejsza. Było to dziesięć minut czystego szczęścia, dopóki nie pojawił się Stacy, oplakujący śmierć swej umiłowanej kochanki, Teddy. Kiedy patrzyłam jak płacze nad grobem, miałam ochotę zerwać się i zepchnąć drania w dół.

Przez następne pięć czy sześć tygodni prawie wszystkie nasze myśli obracały się wokół Stacy'ego. Kładłam się spać, zastanawiając się, co się stanie z nim, z filmem i z nami, i budziłam się wciąż myśląc o tym samym.

Steve, który pracował jak opętany, znalazł doskonałego angielskiego prawnika, który miał reprezentować Stacy'ego, a sędzia w Londynie, dzięki Bogu, zwolnił Stacy'ego, każąc mu się zameldować za kilka miesięcy. Przed upływem tego czasu, *Mistral* został ukończony.

Na początku powieści jest taka scena, w której Mistral i Maggy biją się w wannie w łaźni publicznej. Steve nie mógł znaleźć odpowiedniej łaźni, więc postanowił tę scenę sfilmować w ogrodowej fontannie. Roztropnie postanowił ją nakręcić w ostatnim dniu zdjęć, nie chciał bowiem, żeby Stefanie się przeziębiła. Scena została sfilmowana pewnej zimnej, deszczowej nocy w sierpniu, a Stefanie okazała prawdziwy hart ducha, ponieważ sama zaproponowała, żeby ją powtórzyć trzykrotnie, zanim wszystko nie będzie jak trzeba. Nikt z nas nie ruszył się z miejsca, dopóki film nie znalazł się w puszcze. Dopiero wtedy mogliśmy się odprężyć.

Kiedy Stacy stawiał się przed sądem, został skazany na sześć miesięcy więzienia, co definitywnie przerwało realizację *Mike'a Hammera*.

Mieliśmy naprawdę niesamowite szczęście.

* * *

Stefanie Powers była tak zachwycona całą produkcją serialu (w którym dzięki perukom i

charakteryzacji zestarzała się od siedemnastu do sześćdziesięciu lat), a zwłaszcza samym producentem, że zaprosiła nas oboje na obiad do Caviar Kaspia, małej, eleganckiej rosyjskiej restauracji na placu Madelaine, nad znanym sklepem z delikatesami. Menu tej restauracji obejmuje niewiele poza kawiozem, wędzonym łososiem, blinami i wódką, podawaną w karafkach i zamrożoną kawałkami lodu. „Dwieście pięćdziesiąt gramów białego dla każdego”, powiedziała, „i karafkę wódki.” Ona i Steve jedli kawior z blinami, a ja pochłonęłam swoją ogromną porcję prosto z talerza, jedząc łyżką z macicy perłowej. Potem Stefanie zamówiła następną kolejkę, z którą tylko ja nie miałam problemów. Kiedy oboje przyglądali się w pełnym niedowierzania milczeniu, zamówiłam jeszcze na deser porcję białego, norweskiego wędzonego łososa.

Jak tylko zdjęcia dobiegły końca i zaczęły się prace przy montażu filmu, Steve mógł się wyrwać z Paryża. Pojechaliśmy do Klosters w Szwajcarii, gdzie Herb i Rita Salzman wypożyczyli nam swoje mieszkanie. Tam też padało. Krótka, cudowna wiosna zamieniła się w wyjątkowo deszczowe lato, które utrudniało produkcję filmu, a Klosters byto po prostu morzem błota.

Większość czasu spędziłam przy kuchennym stole, pracując na *Manhattanem*. Pewnego dnia mieliśmy już tak dość, że postanowiliśmy się wybrać do kina, a ponieważ grali tylko *Goldfingera*, nie mieliśmy wyboru; okazało się, że film został zdubbingowany i opatrzony napisami w języku, który był szwajcarskim dialektem niemieckiego! W kasie zwrócono nam pieniądze, a ja na pocieszenie kupiłam sobie piękny złoty zegarek. A coś na pocieszenie dla Steve'a? No cóż, on za to płacił.

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w Paryżu, Steve przystąpił do prac po zakończeniu zdjęć, a ja zaczęłam pracować w mieszkaniu. Miało naprawdę doskonałą lokalizację: rue Cassette 17, zaraz za rogiem obok placu Saint — Sulpice, gdzie wznosiła się katedra i biła ogromna fontanna, z której strumienie wody tryskały na cztery strony świata. Przy placu mieszkała Catherine Deneuve, ta najbardziej francuska ze wszystkich aktorek, która codziennie robiła zakupy w okolicznych sklepach. Na placu mieścił się także wielki butik Saint Laurenta, jak również kawiarnie, ratusz szóstej dzielnicy i lokalna stacja straży pożarnej.

Mieszkaliśmy zaledwie parę kroków od naszych dwóch ulubionych paryskich piwiarni, Lippa i La Coupole i dwie przecznice od Ogrodu Luksemburskiego. W pobliżu były także Saint-Germain-des-Prés, Café de Flore i Les Trois Canettes, które się nic nie zmieniły od 1948 roku. Gdybym miała wskazać najlepsze miejsce w Paryżu, byłoby to właśnie tam, gdzie znajdowały się wszystkie moje ukochane dawne miejsca spotkań. Nie posiadałam się z radości i podniecenia, że udało nam się znaleźć to tak bardzo paryskie gniazdko.

Budynek, w którym mieściło się nasze mieszkanie, był tak stary, że znajdował się pod ochroną Instytutu Sztuk Pięknych i można w nim było dokonywać jedynie przeróbek wewnątrz. Ktoś już urządził ogromną, nowoczesną i doskonale pomyślaną łazienkę i obok głównej sypialni zainstalował kilka szaf w ścianach.

Długi salon był zaopatrzony w szereg oszklonych drzwi wychodzących na ogród, a na jego samym końcu znajdował się wielki kominek. Poza wspaniałym hallem wejściowym i jadalnią wyłożoną boazerią, były tam duże gabinety dla Steve'a i dla mnie oraz bardzo wygodne mieszkanie przy drugiej klatce schodowej, dla kucharki albo gospośi.

Nasze mieszkanie zajmowało trzy piętra i otaczało wewnętrzny ogród. Przed wiekami w budynku tym mieścił się klasztor, w którym żyli członkowie zakonu Les Petits Peres Blancs, a na najniższym poziomie znajdowały się trzy ogromne piwnice win, duża pralnia, garaż na dwa samochody, jak również pokój mojej nowej sekretarki, Florence z którego otwierał się widok na ogród.

Kiedy mieszkaliśmy na Ile Saint-Louis i odwiedzał nas ktoś z rodziny, umieszczaliśmy go w

pobliskim hotelu. Właśnie tam, w recepcji, znalazłam ładną, jasnowłosą Florence i namówiłam ją, żeby przyszła do mnie pracować. Alberta udało nam się pozbyć w wyniku zwykłego przekupstwa, a Florence zatrudniła odpowiedzialnego kierowcę. Kazałam jej zająć się poszukiwaniem kucharki i sprzątaczkę, a sama zabrałam się za urządzenie mieszkania, tak abym jak najszybciej mogła przystąpić do pracy nad moją nową książką.

W końcu ze wszystkim się uporałam, ale nie ustrzegłam się poważnego błędu, całkowicie przeoczywszy fakt, że światło w Paryżu jest zupełnie inne niż światło w Beverly Hills. Zawzięłam się, żeby stworzyć w mieszkaniu kalifornijską atmosferę, która będzie stanowiła przeciwwagę dla okropnej paryskiej pogody — oto pomysł, który kłóci się ze wszystkimi prawami natury.

Tkaniny i kolory, które byłyby doskonałe w Los Angeles, były rzeczywiście olśniewające wieczorem, w sztucznym świetle i nasi przyszli goście stwierdziliby, że mamy urocze mieszkanie, zwłaszcza po włączeniu oświetlenia ogrodu. Ale w ciągu dnia całe to miejsce było przygnębiające, cała wesoła atmosfera gdzieś się ulatniała, ustępując miejsca szaremu światłu, kiedy w Paryżu była dobra pogoda, ale przy złej pogodzie, było tam po prostu ponuro.

Teraz, zbyt późno, zrozumiałam, że aby uzyskać wrażenie ciepła w zimnym klimacie i przy złym oświetleniu, trzeba używać ciemnych, głębokich barw: czerwieni, zieleni i ciemnego brązu. Z pewnością udowodniłam w ten sposób, że dobrze zrobiłam, nie próbując zostać dekoratorką wnętrz. Ponadto, jak się miało okazać, pogoda w ciągu najbliższych dwóch lat pobiła wszelkie rekordy. Miesiąc w miesiąc padał deszcz ze śniegiem lub grad, było przeraźliwie zimno i deszczowo, i trwało to tak długo, że nie mogliśmy się doczekać wiosny czy jesieni, a jedyną przerwę stanowiły okropnie gorące i niezwykle krótkie lata. Jak gazety lubiły przypominać, były to NAJGORSZE TRZY KOLEJNE LATA W HISTORII FRANCUSKIEGO INSTYTUTU METEOROLOGII (podkreślenie moje).

* * *

Stopniowo wyszły na jaw rozmaite minusy mieszkania, które kupiłam w takim pośpiechu. Ogromny salon był zbyt duży, żeby można go było właściwie ogrzać, a kominek nie dał się uruchomić. Z Belgii ściągnęliśmy specjalne grzejniki, które zainstalowaliśmy w sypialni i w gabinetach; musieliśmy także urządzić zupełnie na nowo kuchnię, co spowodowało taki wzrost zużycia prądu, że poprosiłam o przeprowadzenie oficjalnej kontroli, obawiając się, że wszystko może wylecieć w powietrze, jeśli tylko włączę dodatkowo zwykłą lampkę.

Force po francusku oznacza rozporządzalną energię elektryczną, a inspektor oznajmił z widoczną dezaprobatą, że w mieszkaniu zainstalowano *force*, która mogłaby zasilać niewielki szpital. Kiedy dostałam pierwszy, comiesięczny rachunek za elektryczność, opiewający na ponad dwa tysiące dolarów, zrozumiałam, dlaczego Francuzi są tak oszczędni, używając żarówek czy grzejników. Ale o ile pamiętam, to jeszcze nie wtedy pojawiły się pierwsze wątpliwości w związku z kupnem tego mieszkania. Skoro ogrzanie i oświetlenie mieszkania kosztowało kilka tysięcy dolarów miesięcznie, cóż mogliśmy na to poradzić, pytałam siebie zuchowato.

Później mieliśmy się przekonać, że kiedy pogoda była przyzwrotna i odważyliśmy się wreszcie wyjść do ogrodu na drinka, wszyscy sąsiedzi mieli szeroko pootwierane okna, co zresztą nie powinno dziwić, bo takie okazje były raczej rzadkie. Ich rozmowy telefoniczne, telewizja, muzyka i głośne kłótnie były nie tylko doskonale słyszalne, lecz jakby wzmocnione w komorze pogłosowej i odbijające się od czterech ścian, otaczających nasz ogród. Było zupełnie tak, jakbyśmy mieszkali na dnie kwadratowej studni albo wewnątrz skrzypiec, na których ktoś niemożliwie rzępoli. Albo też, musiałam to wreszcie przyznać, jak w drogiej, historycznej

kamienicy.

Kiedy wychodziliśmy na zewnątrz, byliśmy często obserwowani przez dziesiątki ludzi, z których wielu prawdopodobnie zazdrościło nam — niesłusznie! — tego ogrodu. Po dwóch czy trzech próbach, kiedy próbowaliśmy udawać, że jesteśmy sami, i czując się jak trzeciorzędni aktorzy w sztuce Noela Cowarda, przestaliśmy wychodzić do ogrodu w pogodne wieczory, ale były one tak nieliczne, że, prawdę mówiąc, nie było czego żałować; tak sobie przynajmniej mówiłam, starając się za — głużyć myśli, w których powtarzały się słowa, „ty skończona idiotko dlaczego nie pomyślałaś o tym wcześniej?”

Nad naszym ogrodem wznosiło się pięć pięter, na których mieszkali ludzie. Najwyższe piętra znajdowały się na tyle wysoko, że wpadało tam dzienne światło, które do nas docierało jedynie latem a i to tylko przez godzinę lub dwie, dopóki słońce nie schowało się za murami i wszystko znów nie pogrążyło się w cieniu.

„Czy nie pomyślałaś”, zapytała Sybille, kiedy siadła i przyglądała się ogrodowi, wkrótce po tym, jak kupiliśmy mieszkanie, „że mogłaś mnie poprosić, żebym przyszła i obejrzała je, zanim podejmiesz decyzję? Powiedziałabym Ci wtedy, abyś nigdy, ale to nigdy, go nie kupowała! Jeśli w Paryżu chcesz mieć mieszkanie pełne światła, musisz kupować lokal na ostatnim piętrze. Ale przypuszczam, że jest już za późno, prawda?”

Rzeczywiście. Słowa Sybille tylko potwierdziły moje wątpliwości, które próbowałam lekceważyć. Bez chwili spokojnego namysłu, bez obejrzenia innych miejsc, dosłownie rzuciłam się na drugie z oglądanych mieszkań, tak bardzo chciałam się wyrwać z Ile Saint — Louis. A teraz dziesiątki robotników w pocie czoła pracowały, aby mój błąd uczynić jeszcze bardziej kosztownym. *Gdybym tylko...* Jeśli chodzi o miejsce zamieszkania, oboje byliśmy czasami tak impulsywni, że to przypominało prawdziwą manię. Rue Cassette była najgorszą decyzją w tej materii, jaką kiedykolwiek podjęłam.

Ale nie mogłam podzielić się ze Stevem swoimi wątpliwościami. Żył wyłącznie problemami związanymi z produkcją filmu, które absorbowały go bez reszty; pod koniec dnia nie miał już ani odrobiny cierpliwości, aby słuchać moich niezbyt jasno sformułowanych wątpliwości, a zresztą cóż mogliśmy zmienić? Byliśmy w pół drogi, wszystko było niedokończone i było za późno, żeby cokolwiek zrobić. Zdecydowanie wypchnęłam wątpliwości ze swego umysłu i skupiłam uwagę na fakcie, że jak tylko się wprowadzimy, zamknę się w gabinecie i naprawdę zabiorę się do pracy.

Jednak plan ten stale był odraczany w irytujący sposób, ponieważ wszyscy najważniejsi robotnicy w piątek w południe odkładali narzędzia i wyjeżdżali na wieś na polowanie, co traktowali jako symbol swego statusu społecznego, nader istotny dla ich poczucia własnej wartości.

Francuski tydzień pracy wynosił trzydzieści dziewięć godzin i niech was Bóg broni, jeśli poprosiliście, żeby pracowali w nadgodzinach. Lekarze pracowali tylko trzy dni w tygodniu, ponieważ gdyby pracowali dłużej, całe zarobione pieniądze pożerałyby podatki. Ilekroć we wtorek czy we czwartek wypadało święto, większość robotników „wypełniała lukę” poniedziałkiem lub piątkiem i korzystała z czterodniowego weekendu. Święta religijne we Francji są powszechnie respektowane. W ciągu maja było tak wiele tych świąt i tak wiele luk zostało wypełnionych, że banki państwowe były otwarte tylko przez osiem dni w miesiącu. A teraz tydzień pracy skrócono do trzydziestu pięciu godzin!

Przez cały czas naszego pobytu w Paryżu, bez względu na to, gdzie mieszkaliśmy, 15 lipca słyszeliśmy złowróżbne szczekanie żelaznych okiennic, które zamykano we wszystkich okolicznych sklepach, ponieważ sklepikarze szykowali się na sześciotygodniowe lub dwumiesięczne wakacje. Kiedy ponownie otwierali swoje sklepy we wrześniu, wołali do siebie

wesoło, „Bonjour Madame, Bonjour Monsieur, jak się udały wakacje? I kiedy wyjeżdżacie znowu?”

Przekonałam się na własne oczy, jak działa zasada domina. Kiedy zamykały się sklepy spożywcze, klienci, którzy się w nich zaopatrywali, musieli wyjeżdżać z Paryża do swoich wiejskich rezydencji lub miejscowości wypoczynkowych, które wówczas przeżywały turystyczny boom. To z kolei powodowało, że wszystkie pozostałe sklepy i punkty usługowe, takie jak pralnie i restauracje, zamykały się także, co czyniło z Paryża miasto — widmo na całe lato, z wyjątkiem hoteli, które były pełne turystów, zawiedzionych, że tyle restauracji nie pracuje.

Ponieważ Steve najwięcej pracował latem, podczas którego mógł angażować aktorów, którzy mieli przerwę, każdego lata przekonywałam swoją pomoc domową, żeby została i dalej zajmowała się domem za podwójną opłatą i biorąc dłuższe wakacje jesienią. Jedyńm sposobem zaopatrywania się w żywność były wyprawy do Le Bon Marche, wielkiego domu towarowego, który był wtedy otwarty.

Taki rytm życia codziennego, tak odmienny od tego, do którego przywykliśmy w Stanach Zjednoczonych, był czymś, do czego nigdy nie potrafiłam się przyzwyczaić. W supermarketach w Los Angeles spędzałam całe godziny. Nigdy przedtem nie zdawałam sobie sprawy, jak bezproblemowe jest życie w Kalifornii.

Zarówno Steve jak i ja posiadamy silnie zakorzenioną etykę pracy Poświęcamy się jej bez reszty, nigdy nie uciekamy przed pracą w nadgodzinach i zawsze dostarczamy wyniki na czas. Ale we Francji tak nie jest i nigdy nie będzie. Dla nich wakacje, długi weekend, przerwa to rzecz święta. Ale kto mówi, że nie mają racji? W porównaniu z Amerykanami, tylko dwadzieścia pięć procent Francuzów umiera na atak serca. Ale cztery razy więcej Francuzów umiera z powodu niewydolności wątroby, ponieważ spożywają o wiele więcej alkoholu. Ponieważ i tak każdy kiedyś umrze, może wybrali przyjemniejszy sposób.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Jeszcze zanim zaczęłam pisać *Tylko Manhattan*, zdałam sobie sprawę, że muszę lepiej poznać świat magazynów. Chociaż tkwiłam w nim tak długo, głównie pisałam artykuły, a nie zajmowałam się redagowaniem, jak moja nowa bohaterka, Maxi Amberville, która miała trzech mężów.

Postanowiłam, że skoro nikt nie akceptuje faktu, że inne moje bohaterki, z wyjątkiem Billy Ikehorn, pracowały, żeby mieć własne pieniądze, mogę równie dobrze powołać do życia leniwą, bogatą i zepsutą dziewczynę z rodziny bogatych wydawców. Kiedy już miałam się do tego zabrać, postanowiłam zbudować fabułę powieści na motywach *Hamleta*. Maxi dopinguje do działania śmierć ojca z rąk jego pożądnego młodszego brata, który zamierza poślubić jej równie pożądną matkę i przejąć rodzinny interes. Wtedy zdałam sobie sprawę, że żaden recenzent nie zwróci na to uwagi, ponieważ będzie szukał czegoś o seksie i zakupach. I rzeczywiście, nikt nigdy nie zauważył, że fabuła została skradziona z *Hamleta*, z wyjątkiem pewnej znanej telewizyjnej recenzentki, Connie Martinson — absolwentki Wellesley, co odnotowuję z dumą.

W październiku 1983 roku poleciałam do Nowego Jorku na spotkanie z Helen Brown, Amy Gross z *Vogue*, Cathy Black z magazynu *New York*, Ellen Levine i Peterem Diamandisem z *Woman's Day*, Kate White z *Family Weekly*, Walterem Andersonem z *Parade* i Bobem Colacello z *Interview*.

Kiedy byłam z Helen, przez parę dni biorąc udział w konferencjach zespołu redakcyjnego, poszłyśmy do działu mody. „Co to jest?” spytała Helen, wskazując na jakiś ubiór sportowy. „Zgadnij”, odparł redaktor. „ZGADNAĆ?” odparła Helen, oburzona. „Zgadnij”, powtórzył redaktor. W końcu się zorientowałam, przypomniawszy sobie owe pierwsze reklamy, które uczyniły z Claudii Schiffer gwiazdę i wyjaśniłam to Helen, skręcając się ze śmiechu. Helen nie jest typem redaktorki, która można prosić, żeby odgadła coś, co powinna wiedzieć.

* * *

Akcję swoich powieści umieszczam w świecie, gdzie codzienna praca otacza atmosfera pełna blasku. Jest to wybór zamierzony; o takim świecie potrafię pisać. Zanim zacznę nową książkę, pierwszym pytaniem, jakie sobie zadaję, jest, w jaki sposób moja bohaterka zarabia na życie. Aby mogła ją naprawdę polubić musi być pracowita, ambitna i oddana swojej pracy, bez względu na to, jak bardzo lubi się stroić czy jak bardzo jej zajęcie jest pełne blasku. I musi się uczyć. Zdałam sobie z tego wszystkiego sprawę dopiero po napisaniu kilku powieści. Takie podejście jest tak podobne do mojego własnego, że po prostu przyjmuję je za oczywiste.

Gdyby ktoś miał mnie spytać, jaki jest mój podstawowy temat, odpowiedź brzmiałaby „sprzedaż.” W każdej powieści powracam do problemu, w jaki sposób coś można jak najlepiej sprzedać. Myślę, że to tkwi w moich genach; w końcu jestem córką człowieka, który zajmował się reklamą.

Choć prawdopodobnie żaden czytelnik nie zdaje sobie z tego sprawy, wiem, że w każdej powieści postacie, fabuła, szczegóły dotyczące życia poszczególnych osób i ich wszystkie przygody są zawsze podporządkowane temu podstawowemu tematowi, jak wprowadzić na rynek dużą ilość rozmaitych produktów.

W *Skrupulach* zajmowałam się sprzedażą detaliczną ubrań, sprzedażą hurtową sukienek i tym,

jak zapewnić sukces niskobudżetowego filmu. W *Księżniczce Daisy* omawiam wszelkie aspekty produkcji reklam telewizyjnych, co oczywiście pociąga za sobą szczegółowe omówienie samych produktów. W *Córce Mistrala* pokazuję czytelnikom, jak być wielkim dealerem dzieł sztuki i jak prowadzić wielką agencję modelek, a w powieści *Tylko Manhattan* wprowadzam na rynek nowy rodzaj magazynu dla kobiet. Pomimo tego, że w powieści *Dopóki nie spotkamy się znowu* poruszam temat obu wojen światowych, wiele uwagi poświęcam też branży handlu szampanem, a jedna z moich bohaterek zakłada firmę zajmującą się frachtem lotniczym w okresie, gdy tego rodzaju firmy dopiero zaczynały funkcjonować. Powieść *Olśnienia* obraca się wokół atelier fotografii reklamowej, z którym związane są postacie trzech fotografów; jeden z nich sprzedaje żywność, drugi samochody, a bohaterka zajmuje się fotografowaniem sławnych ludzi. Drugi wątek fabuły dotyczy ważnego problemu właściwych i niewłaściwych metod handlu nieruchomościami. W *Skrupulach Dwa* skupiam się na widzianej od środka historii produkcji wysokobudżetowego filmu i wymyślam nowy rodzaj katalogu ubrań, co było powodem, że Emily Woods, szefowa J. Crew, z którą przeprowadzałam długi wywiad, podejrzewała, że sama zamierzam uruchomić tego rodzaju interes. Akcja *Kochanków* obraca się wokół dwóch agencji reklamowych, a moja bohaterka, Gigi Orsini, organizuje skuteczną kampanię sprzedaży kostiumów kąpielowych o dużych rozmiarach, wymyśla nową sieć sklepów dla dzieci pod nazwą Zaczarowane Poddasze i uruchamia nowy rodzaj rejsów wycieczkowych; z kolei Billy Winthrop wymyśla katalog pełnego wyposażenia domu, co najmniej na rok przed Portery Barn. W *Kolekcji Wiosennej* opisuję, jak zaczęła się kariera nowego paryskiego projektanta mody, a w *Klejnotach Tessy Kent* zajmuję się funkcjonowaniem wielkiego domu aukcyjnego i reklamą ogromnej aukcji biżuterii.

Blask jest nieodzownym elementem skutecznej reklamy. *Blask się sprzedaje*. Dlatego fabuła moich powieści jest osadzona w rozmaitych miejscach pełnych blasku, a moje bohaterki to kobiety pełne blasku.

W rzeczywistości nigdy nie znalazłam kobiety, która nie musiała pracować, żeby podtrzymać tę iluzję, jest to bowiem zawsze tylko iluzja — być może z wyjątkiem Suzy Parker w latach pięćdziesiątych. Być z natury pełną blasku to sprzeczność sama w sobie. Z natury piękna, tak; z natury błyskotliwa, tak; z natury ekscytująca, tak; ale to co zwiemy „blaskiem”, to tylko maska, czar, który trzeba stworzyć. Nie musicie mi wierzyć na słowo. *Oxford English Dictionary*, ten strażnik poprawności językowej, mówi, „Magiczne lub fikcyjne piękno, związane z osobą czy przedmiotem: zwodniczy lub nęcący urok.”

Swego czasu pracowałam nad jedną z części programu *Dzisiaj z Ivaną Trump*, która wówczas była żoną Donalda, Beverly Sills, Iman i Palomą Picasso. Kiedy siedziałyśmy w piątce, rozmawiając w wypełnionym orchideami salonie w Plaža, a wokół nas uwijali się technicy i niewidzialne kamery, zadawałam sobie pytanie, czy to właśnie jest ów blask.

Mało prawdopodobne. Musiałyśmy trzykrotnie wchodzić i wychodzić z hotelu, żeby nas odpowiednio sfilmowano, spędziłyśmy długie godziny, ubierając się, malując i czesząc do tego trwającego dwanaście minut odcinka i wszystkie coś *sprzedawałyśmy*.

Kiedy tworzę postacie, które pod pewnymi względami przewyższają kogoś, kogo można spotkać w rzeczywistości i są piękniejsze od zwykłych ludzi, mam pełną świadomość tego, co czynię. Taka „podrasowana” rzeczywistość jest kwestią gustu i niektórzy nad tym ubolewają, bo widzą w tym nadmiar.

„Nadmiar” to dla mnie kwestia z Ruperta Brooke’a. Opisywał on kobietę, która jest „niewiarygodnie, niezwykle, druzgocąco, nieśmiertelnie, katastroficznie piękna.” Nadmiar? I to jaki! Ale ja uwielbiam to właśnie z tego powodu. Myślę, że mogę odnosić sukcesy jako pisarka, tylko zawierając swemu instynktowi, który mi mówi, „Idź swoją drogą, nie bój się tego.” Przy

moim zamiłowaniu do sprzedawania, zawsze pamiętam o tym, żeby fabuła i wzajemne ścieranie się postaci dostarczały prawdziwej rozrywki, tak aby odciągnąć uwagę mojej wyimaginowanej czytelniczki, która nie znosi latania a właśnie znalazła się w samolocie, krążącym nad miastem w mglisty wieczór, od myśli o ciężkim położeniu, w jakim się znalazła. Pragnę, aby jedynym jej zmartwieniem było to, czy zdąży przeczytać książkę przed wylądowaniem. Zwykle, codzienne wydarzenia nie załatwiają sprawy.

* * *

Tylko Manhattan był moją czwartą powieścią, która znalazła się na pierwszym miejscu listy *Timesa*, co nastąpiło w maju 1986 roku. Między wydaniem *Mistrala* i *Manhattanu* minęło ponad trzy lata, zamiast normalnych dwóch lat, jakie wynikały z rachunku, wedle którego w ciągu dwudziestu lat napisałam dziesięć powieści; powodem był fakt, że przenieśliśmy się do Paryża.

Normalnie pisanie i przerabianie powieści zajmuje mi około dziewięciu miesięcy, co stanowi naturalny rytm, którego nie przyspiesza używanie komputera, ponieważ moje procesy myślowe nie biegną dzięki temu szybciej. Pozostały czas wypełniają promocja powieści i wymyślanie następnej, jak również szukanie materiałów i przygotowywanie szkicu.

W pewien niezapomniany, mokry poniedziałek, zbierałam informacje na temat jeszcze nie dokończonej Trump Tower, gdzie, jak postanowiłam, Maxi będzie miała mieszkanie. Donald Trump, który wtedy był tylko napuszonym budowniczym, nie zaś powszechnie znanym architektem, Boże, miej nas w swojej opiece — nawet nie „Donaldem” — oprowadził mnie po całym budynku, z dumą pokazując przyszłe mieszkania, które wtedy stanowiły tylko belki i otwory. Na koniec zaprowadził mnie do swego, już gotowego trójpoziomowego mieszkania na najwyższym piętrze i uparł się, żebyśmy obejrzeliby ogród urządzony na dachu, gdzie rosły normalnej wielkości drzewa.

„Nie, nie chcę”, zaprotestowałam, „tam jest zbyt mokro. Niech pan patrzy, wierzchołki drzew są w chmurach. Zniszczę sobie uczesanie!” Myślałam, że ta straszna perspektywa sprawi, że się opamięta.

„No już”, powiedział, chwytając mnie za ramię, a może za kark? Miałam wrażenie, że znalazłam się w objęciach King Konga; zobaczyłam jego drzewa i zniszczyłam uczesanie, ale później, kiedy Maxi potrzebowała pieniędzy, wymyśliłam scenę, w której odsprzedaje swoje mieszkanie Donaldowi. Wysłałam mu tę scenę, prosząc o opinię, aby mieć pewność, że jest w porządku z prawnego punktu widzenia, a on wyraził zgodę.

Nawet później, kiedy Steve realizował miniseriał, wynajął atrium w Trump Tower, gdzie sfilmował scenę sprzedaży mieszkania. Donald grał samego siebie, z szykiem, pośpiesznie i całkowicie lekceważąc scenariusz. Kiedy organizowano przyjęcie z okazji wydania książki, gdzież można je było urządzić, jak nie w tym samym atrium z różowego marmuru, z udziałem Donalda, wręczającego mi klucz do Trump Tower. Kiedy tańcząc, znalazłam się w pobliżu Petera Duchina, którego żoną jest obecnie Brooke Hayward, grającego na fortepianie wraz ze swoim zespołem, zatrzymałam się i spytałam, czy nadal uważa, że jestem najbardziej staroświecką osobą, jaką kiedykolwiek spotkał, tak jak powiedział dwadzieścia lat temu, kiedy robiłam z nim wywiad. Nie odpowiedział — tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu. Prawdopodobnie znaczyło to, że w ogóle nie pamięta uwagi, której ja nigdy nie zapomniałam — albo może wiedział, podobnie jak ja, że wciąż jestem staroświecka. Staroświecka, ale na tyle bystra, że zdaje sobie z tego sprawę.

Czy ktoś z mego pokolenia i o podobnej przeszłości był hipem? W końcu, jest to po prostu kwestia postawy. Jak możesz zostać hipem jeśli nie wyrzucisz ze swego umysłu i psychiki

wszystkich burżuazyjnych wartości, na których cię wychowano? Czy jedynym sposobem jest amnezja? Czy ktoś słyszał o porządnej żydowskiej dziewczynie i hipce, która osiągnęła pełnoletność w późnych latach czterdziestych? Wątpię.

Norman Mailer był i prawdopodobnie nadal jest hipem, podobnie jak Robert Mitchum, kiedy go aresztowano za palenie trawki i sfotografowano, jak wcale nie skruszony szczyrzy zęby w oknie policyjnej furgonetki. Mitchum w sądzie! Ali MacGraw i Steve McQueen byli hipami i to jakimi, kiedy ze sobą kręcili. Judy Garland była postacią zbyt tragiczną, żeby mogła być hipką, a Madonna jest zbyt „przejrzysta”, żeby była hipką. O. J. Simpson był trochę hipem, dopóki nie zamordował swojej żony, ale Nicole Simpson nigdy nie była hipką, podobnie jak Faye Resnick. Według mnie, dzisiejszym ucieleśnieniem hipa jest Chris Rock. Ostatnio zirytował mnie artykuł w *The New York Times Magazine*, napisany przez czterdziestoczteroletniego Luca Sante, który opisuje swoje olśnienie samochodem Citroen DS, który po raz pierwszy zobaczył w Paryżu w 1963 roku. Po opisanie sposobu, w jaki „róg samochodu jest przeciwstawiony mądrości wieku dojrzałego” (?), oświadcza, że „moje pokolenie, niech to będzie jasne, jest ostatnim pokoleniem hipów.”

Nie zgadzam się z p. Sante. Być hipem to nie znaczy podziwiać jakiś obiekt, nawet tak wspańiały jak Citroen. Chociaż skojarzenia dotyczące samochodu (pierwsze minispódniczki, wczesne filmy Godarda) są całkiem zabawne, to nie jest przez to jednym z ostatnich hipów, tak jak ja nie byłam jedną z pierwszych hipek, chociaż żyłam w grzechu i mieszkalam w burdelu czternaście lat przed tym jak Luc Sante zobaczył samochód swoich marzeń. Byłam staroświecką dziewczyną w hipowskiej sytuacji, to wszystko.

Nigdy się nawet o to nie otarłam. Ale z moim zielonym tuszem do rzęs i pomarańczowymi włosami myślę, że miałam swoje „momenty”. Oczywiście wtedy nie miałam o tym pojęcia, tak jak inni w latach pięćdziesiątych. Alex Mayes mówi, że kiedy miała sześć lat a ja dziewięć — naście, patrzyła, jak szcztokuję przed lustrem włosy i myślała, że jestem najelegantszą kobietą na świecie. Och, jakże kocham ten obrazek. Alex musiała być wyjątkowo bystrą sześciolatką! Dziś wystarczyłoby mi, gdybym była Cameron Diaz (komu by nie wystarczyło?) — ale jeszcze mi tego nie zaproponowano.

* * *

Ponieważ byłam w Stanach Zjednoczonych, Bantam wysłał mnie na dwutygodniowe tournée z okazji wydania *Mistrala*, jak tylko skończyłam zbierać materiały do swojej nowej powieści. Jedyne, co z tego zapamiętałam, to moment w Cincinnati, kiedy bez uprzedzenia musiałam wziąć udział w transmitowanym na żywo porannym programie, ponieważ ich pierwszy gość się nie pojawił. Dźwiękowiec szybko założył mi mikrofon, nie przejmując się tym, że patrzy na nas cała widownia. Po prostu to zrobił, rozbierając mnie i nie pytając o zgodę. Miałam na sobie kostium z rozpinaną spódnicą, majtki i rajstopy, na szczęście nienagannie czyste. Następnie zamieniłam parę słów z kolejnym gościem, Billem Blassem, który właśnie przybył z Tokio, kompletnie wyczerpany i półprzytomny z niewyspania. „Fajnie jest być Billem Blassem, nie?” zapytałam. „Fajnie jest być Judith Krantz, nie?” odpowiedział ze śmiertelną powagą.

Odpowiedź na oba pytania brzmiała „tak”. I wiedzieliśmy to oboje.

* * *

Na rue Cassette praca postępowała powoli. Na Boże Narodzenie 1984 roku pojechaliśmy do

Los Angeles, żeby zobaczyć się z dziećmi i uciec przed ponurą atmosferą Paryża. W następnym roku podczas Świąt pojechaliśmy znów do Klosters i zatrzymaliśmy się w hotelu, ale co wieczór spotykaliśmy się z Salzmanami i ich przyjaciółmi. Zaprzyjaźniliśmy się z Irwinem Shaw i jego żoną, Marian, mimo że na początku odnosili się do nas dosyć chłodno. Po sukcesie *Skrupulów*, żaden uznany pisarz, nawet Irwin Shaw, nie chciał zaakceptować mnie bez walki... taka szczeniacka reakcja.

Święta Bożego Narodzenia są dla Francuzów okazją wyjazdu na tradycyjne i ukochane narty. Na nartach jeździ mnóstwo ludzi; jest ich taka masa, że rząd musiał wprowadzić specjalne przepisy, zgodnie z którymi kraj podzielono na trzy obszary geograficzne, posiadające tereny narciarskie i określono liczbę osób, które w danym czasie mogą wyjechać na narty do każdego z tych obszarów. W tym samym czasie kierowcy ciężarówek tradycyjnie ogłaszali nielegalny strajk, blokując autostrady, które stanowią jedyną drogę dojazdu na tereny narciarskie. Czasami całe rodziny tkwiły w samochodach przez pięćdziesiąt godzin zanim rząd nie zdecydował się spełnić żądań kierowców.

Błyskawiczny, nieoczekiwany strajk we Francji to codzienność. Codziennie rano słuchaliśmy radia, żeby się dowiedzieć, kto strajkuje, wiedzieliśmy więc, kiedy wyłączyć wodę lub elektryczność, albo czy będzie działał transport w mieście i poza jego granicami.

Wreszcie, pokonawszy trudności związane z napiętym rozkładem zajęć Steve'a, udało nam się wybrać do Luwru. Od dawna mieszkaliśmy w Paryżu i jeszcze nie byliśmy w największym muzeum na świecie, odwiedzając w weekendy mniejsze galerie, które nie były tak zatłoczone. Kiedy się tam zjawiliśmy, okazało się, że właśnie tego dnia rano strażnicy ogłosili strajk. „Jak długo to potrwa?” spytałam jednego ze strażników, który podszedł do zakratowanych drzwi. „Aż dostaniemy to, czego żądamy!” krzyknął wściekle. Bardzo zachęcające.

Ale groźniejsze od strajków były częste rozruchy. Były to pierwsze lata nowego socjalistycznego rządu Mitteranda i rozruchy były na porządku dziennym; do ich tłumienia używano silnie uzbrojonych oddziałów policji, wyposażonych w karabiny maszynowe i gaz łzawiący. Pewnego popołudnia, kiedy byłam w butik Saint Laurenta na Chaps-Elysées, wszyscy klienci zostali dla swego własnego bezpieczeństwa zamknięci wewnątrz przez policję. Kiedy przyciskaliśmy nosy do okien, żeby popatrzeć na zażarty bój, jaki toczył się na zewnątrz, sprzedawczyni powiedziała, „Och, jakże chciałabym do nich dołączyć!”

„Dlaczego, przeciw czemu się burzą?”

„To nie ma znaczenia — występują przeciw temu okropnemu rządowi, to mi wystarczy.”

Nie można się było połapać, o co w tym wszystkim chodzi, jeśli człowiek nie czytał dziennika *Tribune* i amerykańskich magazynów, po które co tydzień jeździłam do amerykańskiej księgarni. Wiadomości były tak ściśle kontrolowane, że pewnego razu, kiedy dwóch wyjątkowo popularnych dziennikarzy telewizyjnych podpadło rządowi, po prostu zniknęli z anteny bez żadnego wyjaśnienia i nigdy już się nie pokazali. To było tak jakby Peter Jennings, zabierając ze sobą Katie Couric, zniknął pewnego dnia bez śladu. Ledwie mogłam uwierzyć, że możliwe jest takie pogwałcenie praw człowieka, ale moi francuscy przyjaciele nawet nie mrugnęli.

W końcu nauczyliśmy się wybierać inną trasę, kiedy na moście, którym musiałam przejechać, żeby się dostać do mego fryzjera, spodziewano się rozruchów; w końcu nauczyliśmy się, że niezależnie od tego co robi rząd, życie biegnie swoim torem i że z czasem wszystkie strajki wygasają. Ale, i to jest wielkie ale, życie w warunkach pół-dyktatury (bo taki w moich oczach był rząd Mitteranda) nigdy nie było normalne czy choćby do przyjęcia. Jako Amerykanka, zawsze miałam lekkie ale wyraźne uczucie dyskomfortu, zwłaszcza widząc naprawdę budzące lęk oddziały policji nacierające na tłum, albo dowiadując się, że banda studentów przez całą noc przewracała i podpalała samochody na ulicach Paryża. Każdego dnia mogła mieć miejsce

francuska odmiana Kent State.

Nauczyłam się nigdy nie zwracać się do francuskich policjantów po francusku, udając że jestem zagubioną turystką z nieszkodliwej Kanady. „*Je*, mój Boże, nie mówię *Français*, ani słowa.” W ten sposób nie można było wpaść w tarapaty.

Jeśli chcecie, możecie mnie nazwać niereformowalną Demokratką, ale jestem fanką dobrze działającego systemu dwupartyjnego.

6 czerwca 1984 roku nagle zdałam sobie sprawę, jak bardzo Francuzi sfalszowali historię. Był przepiękny poranek i Jean Bakker zaprosiła mnie do ambasady holenderskiej na lunch. Przedtem miałam wizytę u fryzjera koło placu Vendôme, co oznaczało przejazd przez najwspanialsze części miasta, żeby dostać się do ambasady, która znajdowała się na rue de Grenelle.

Jak tylko znaleźliśmy się na bulwarze Saint — Germain, zauważyłam że na wszystkich drzewach powiewają flagi, trzepocą na wszystkich latarniach i łopoczą we wszystkich oknach. Całe miasto było spowite dziesiątkami tysięcy czerwono—biało—niebieskich flag. Nigdy Paryż nie wyglądał tak odświętnie i tak pięknie. Kiedy przecinaliśmy Sekwanę, zobaczyłam Luwr cały we flagach i serce aż podeszło mi go gardła. Nastrój wszechobecnego święta malował się nawet na twarzach przechodniów.

Nagle zdałam sobie sprawę, że jest to czterdziesta rocznica lądowania aliantów w Normandii. Zaczęłam się uważnie przyglądać flagom, szukając amerykańskich, brytyjskich, australijskich i nowozelandzkich — flag wszystkich sprzymierzonych wojsk, które wylądowały we Francji i powoli, ponosząc ogromne straty, zaczęły wyzwalać Europę.

Ani jednej! Nie było widać ani jednej z tych flag. *Tego dnia powiewały tylko flagi francuskie.*

Kiedy dotarłam do ambasady holenderskiej, tak się we mnie wszystko gotowało, kiedy pomyślałam jak francuski rząd zlekceważył fakty dotyczące inwazji, że nie zwracałam uwagi, na to co mówię. Weszłam do pokoju, w którym było pełno żon dyplomatów i, jak jakiś agitator, wyraziłam z pasją swoje oburzenie faktem, że wszyscy Francuzi poklepują się po plecach, tak jakby to oni *wyzwolili samych siebie*, gdy tymczasem większość z nich, wykonując rozkazy własnego rządu, szybko poddała się Niemcom. Rozejrzałam się wokół, oczekując jakiejś reakcji, ale napotkałam tylko obojętne spojrzenia i twarze bez wyrazu. Było zupełnie tak, jakbym była niewidzialna, jakbym w ogóle nie pojawiła się w tym pokoju.

Te dobrze wychowane, dobre żony dyplomatów już dawno temu nauczyły się, jak trzeba się zachowywać w obcym kraju... jak te trzy małpki, głucha, niema i ślepa. Mój wybuch potraktowano jak gafę tak oczywistą, że trzeba ją zupełnie zignorować. Rozmowy wokół mnie toczyły się jak gdyby nigdy nic, a podczas lunchu nikt nie podszedł do mnie i nie szepnął mi do ucha, że się ze mną zgadza. Dla nich, po prostu, nie powiedziałam ani słowa.

To doświadczenie otworzyło mi oczy na Francję i Francuzów skuteczniej niż wszystkie strajki czy rozruchy. Kiedy teraz o tym piszę, znów budzi się we mnie gniew.

Rozdział czterdziesty drugi

Czas mijał, a deszcz padał nieprzerwanie, kiedy wprowadzaliśmy się do mieszkania na rue Cassette 17. Nigdy nie spadłam z tych przerażających schodów na Ile Saint — Louis i nigdy nie wydałam obiadu, który wymagałby wykorzystania mego drugiego stołu. Naszych gości przyjmowaliśmy w restauracjach, do których można było dojechać.

Florence przeprowadziła rozmowy z wieloma kucharkami, kierując na rozmowę ze mną tylko najbardziej obiecujące kandydatki. Od razu spodobała mi się jedna z nich; była to dawna Paryżanka, która aż do rozwodu prowadziła własny pensjonat w Dordogne. Odniosłam wrażenie, że ta kobieta w średnim wieku, nazwiskiem Monique Bovais, ma kwalifikacje, których poszukiwałam: doświadczenie, zdrowy rozsądek i spokojny, pogodny charakter. Pracę zaczęła natychmiast i okazała się najlepszą osobą jaką mogłam znaleźć. Była niezastąpiona, jeśli chodzi o wybór odpowiednich win do każdego dania. W Paryżu można zyskać bądź stracić reputację pani domu z powodu gatunku podawanego wina, a w przeciwieństwie do mnie, żaden Francuz nie ma oporów, żeby poprosić kelnera o pokazanie etykiety, zanim ten napelni kieliszek.

W tym pierwszym roku naszego pobytu, w Dzień Dziękczynienia, Monique przyrządziła obiad z indyka, czego nigdy przedtem nie robiła i nawet sama przygotowała nadzienie oraz sos z żurawin. Wśród naszych gości byli David i Helen Brown oraz Dimi i Yvonne Paniza, a ja przyrządziłam danie rybne. Za pomocą elektrycznego noża pokroiłam chleb na cienkie plasterki, posmarowałam je słodkim wiejskim masłem, a na wierzchu położyłam delikatne plasterki wędzonego łososia, przybranego kaparami. Zrobiło to wrażenie nawet na tej doświadczonej francuskiej kucharce.

Teraz, gdy miałam swój gabinet z oknami wychodzącymi na ogród wreszcie zabrałam się do pracy. Trzymając się uparcie swego planu położyłam na podłodze wielki dywan w kolorze wiosennej trawy, a ściany i okna pokryłam nabłyszczanym żółto-białym perkalem. Bezużyteczny kominek zastawiłam tyłoma roślinami, ile byłam w stanie podlać a zbyt jasne draperie zasłoniły przygnębiający widok ogrodu.

Widok deszczu padającego na kamienie leżące pod drzewami nappełniał mnie przeraźliwym smutkiem. Kamienie szybko zarastały mchem, kazałam więc kierowcy, który w czasie gdy pracowałam nie miał nic do roboty, aby co tydzień zeskrobywał ten mech, co zdawało się jedynie przyspieszać jego wzrost. Nawet przy włączonych grzejnikach, musiałam zakładać ciepłe ubranie, żebym nie marzła podczas pisania, i aż do czerwca 1985 roku spałam w ciepłej bieliźnie.

Oczywiście, pomimo moich narzekañ, Paryż, nawet w deszczu, nie stracił zupełnie swego uroku. Nasze piwnice były teraz częściowo wypełnione skrzynkami wspaniałego Bordeaux, Chateau Beychevelle, które kupiliśmy bezpośrednio u właściciela jednej z winnic. Poznaliśmy go podczas długiego weekendu w zamku Gaussensów w Aix-en-Provence; kiedy dowiedział się, że nie mamy żadnych zapasów wina, był tak zaszokowany, że sporządził dla nas listę swoich najlepszych roczników.

Ostatnio w sklepie z winami w Los Angeles ostrożnie wzięłam do ręki butelkę Beychevelle, żeby zobaczyć cenę. Sześćdziesiąt dolarów. My płaciliśmy mniej niż dwanaście. Moje kostiumy od Chanela, które kupiłam wraz z jedwabnymi bluzkami, kosztowały osiemset dolarów za sztukę i nadal je noszę, zwłaszcza marynarki. Ceny nowych kostiumów sięgają teraz trzech tysięcy dolarów. Kiedy poszłam kupić Ste — ve'owi na urodziny stary teleskop, udało mi się znaleźć piękny egzemplarz za całkiem rozsądną cenę, a równocześnie wypatrzyłam wspaniałe popiersie kobiety, które po prostu musiałam mieć. Modelka musiała być kobietą z półświatka, bo jedną

pierś miała odsłoniętą. Nazwałam ją Sarah, ponieważ pomyślałam, że tak właśnie musiała mieć na imię, i natychmiast została królową całego mieszkania. Teraz Sarah stoi na okrągłym stoliku w mojej pracowni w Bel Air, otoczona oprawionymi w ramki listami moich bestsellerów. Myślę, że czuje się tu dobrze.

Skorzystałam z rady przyjaciół i poszłam do Monsieur Massaro na rue de la Paix, żeby w związku ze swoim płaskostopiem zamówić sobie buty na miarę. Ów słynny *bottier*, który zaprojektował klasyczne beżowe pantofle Chanela z czarnym noskiem, zrobił aż trzynaście przymiarek, żeby pierwsza para była jak należy, ale potem już było łatwiej i stopniowo zgromadziłam całą szafę butów; niektóre z nich noszę do dzisiaj. Odkryłam w sobie zamiłowanie do majoliki i zaczęłam ją kupować za psie pieniądze, dopóki w niedzielnym magazynie *Figaro* nie ukazał się artykuł na jej temat, po którym stała się niesłychanie modna, ale wciąż przystępna według amerykańskich standardów — dolar amerykański był wówczas wart w Paryżu dwa razy więcej niż obecnie.

Kiedy Monique miała wolny weekend, regularnie urządzaliśmy sobie ucztę u Lippa, gdzie Roger Cazes, budzący lęk autokratyczny właściciel, decydował kto ma usiąść przy jakim stoliku. Nigdy nie przyjmowano żadnych rezerwacji. Pewnego wieczoru, kiedy byłam w szczególnie dobrym nastroju po wspaniałym *choucroute*, poinformowałam go, że jesteśmy jego sąsiadami i pocałowałam w policzek. Ku memu zdumieniu, uśmiechnął się! Od tej pory zawsze mieliśmy dobry stół. Może zbyt mało kobiet odważyło się pocałować Monsieur Cazes?

Kiedy jakieś siedem lat później pisałam *Skrupuły dwa*, umieściłam tam scenę, której pomysł podsunął mi ów wieczór; w tej scenie Billy, wytracona z równowagi tym, co się stało, po krótkiej drzemce postanawia sama wybrać się na obiad do restauracji.

Myśląc tylko o jednym, Billy weszła do zatłoczonej restauracji... i pośpiesznie przecisnęła się przez tłum ludzi, którzy ze szklankami w dłoniach kłębili się przy drzwiach. Policzki miała zaróżowione od zimna, ciemne oczy błyszczące po niezamierzonej drzemce, włosy potargane przez wiatr. Kołnierz z nerek sterczał do góry, okalając jej piękną twarz... dolna część płaszcza zawinęła się, kiedy wpadła do środka, niesiona podmuchem zimy, jak rosyjska księżniczka, uciekająca przez step przed goniącą ją hordą wilków. Skierowała się prosto do wąskiego mężczyzny w średnim wieku, o surowej, pozbawionej uśmiechu twarzy, który najwyraźniej był tu szefem.

„Dobry wieczór, Monsieur”, powiedziała, uśmiechając się, „mam nadzieję, że znajdzie się miejsce dla jednej osoby”.

Wąsaty mężczyzna, którym był Roger Cazes, najbardziej poważany restaurator we Francji, popatrzył na nieznajomą w swój zwykły, pozbawiony wyrazu sposób i doszedł do wniosku, że musi się dla niej znaleźć miejsce, nawet przy największym tłoku. Wszystkim tym ludziom na zewnątrz... powiedział, że muszą się liczyć z godzinnym oczekiwaniem ale ta kobieta, ta nieznajoma o szeroko otwartych oczach, która właśnie poprosiła o coś niemożliwego, kierowana ślepą wiarą, że to otrzyma, zaraz dostanie miejsce. Spełnienie tego niewinnego, szalonego żądania sprawiło, że Monsieur Cazes poczuł, iż posiadanie restauracji może być niezwykle przygodą....

Billy natychmiast zaprowadzono do najświętszego miejsca w restauracji, małego, hałaśliwego kąta, w którym zawsze siadywali ulubieńcy Monsieur Cazes — politycy, pisarze, aktorzy... gdzie nikt, nawet ktoś spośród najpotężniejszych ludzi we Francji, nie mógł siąść przy tym samym stoliku dwa razy z rzędu, w obawie, by nie uznał, że to miejsce mu się należy.... Billy znalazła się między dwoma wielkimi, roześmianymi grupami ludzi, którzy siedzieli na długiej, skórzanej ławie, dociśniętej do małego stolika, przykrytego białym obrusem, który pojawił się nie wiadomo skąd, co zdarza się tylko w najlepszych restauracjach na świecie. Spojrzała na krótkie, nigdy nie

zmieniające się menu, wydrukowane na małej kartce.

„Wędzony losoś, pieczeń z jagnięcia i karafka czerwonego wina”, powiedziała Billy do wiekowego kelnera, nieświadoma spojrzeń, jakie rzucali na nią pozostali goście.

...Nagle, nieoczekiwanie, Billy odprężyla się i poczuła swojsko w tej wibrującej witalnością atmosferze; tak potrzebowała tego relaksu... sęczyła wino, podczas gdy otaczające ją Francuzki obcięte na krótko zastanawiały się czy zapuścić włosy, tak aby im opadały na twarz, a te z długimi włosami rozważały czy warto je obcinać... kobieta najbardziej wyróżnia się wtedy, gdy samotnie je obiad w eleganckiej restauracji, jeśli jej zachowanie wskazuje, że czuje się tam swobodnie i nie okazuje żadnego zakłopotania z powodu tego, że jest sama... Billy nigdy bardziej nie wyróżniała się niż owego wieczoru u Lippa... jedząc z ogromnym apetytem... jej usta rozchylone w uśmiechu, który sprawiał, że połowa mężczyzn wyprostowała się przy swych stolikach i patrzyła na nią z zaciekawieniem.

Rzadko miałam okazję jadać samotnie u Lippa, chociaż parę razy byłam tam na lunchu, kiedy polowałam na antyki, a raz nawet posadzono mnie w tym najświętszym miejscu. Sprawilo to, że poczułam się trochę skrępowana. Nie Billy Winthrop, ja.

W rzeczywistości nie chciałabym być żadną z moich bohaterek, ale raczej jedną z ich ukochanych, bezproblemowych, mądrych i pogodnych przyjaciółek. Bohaterki muszą walczyć, mają trudne dzieciństwo, umierają im bliscy i nic nie przychodzi im łatwo. Mają wiele przywilejów, ich życie bywa pełne blasku, ale nie jest im dane szczęście, jakie jest udziałem ich przyjaciółek. Pod pewnymi względami, ale nie pod względem fizycznym, moje bohaterki bardzo przypominają mnie samą. Nie, nie chciałabym być jedną z nich, a z racji mego wieku i ponieważ jestem mężatką, udaje mi się unikać wielu nękających je problemów. Ale nie wszystkich.

* * *

Pójście na lunch z udziałem Francuzek jest sztuką samą w sobie i po roku wreszcie się nauczyłam, na czym to polega. Najpierw dostałam pisemne zawiadomienie od gospodyni, z wyszczególnieniem nazwisk gości oraz kim są, tak jakbym była w stanie zapamiętać te wszystkie informacje i połączyć je z twarzami ośmiu czy dziesięciu nieznajomych. Kiedy się zorientowałam, że to jest po prostu niemożliwe, przestałam się katować, próbując je zapamiętać.

Następnie, jako gość honorowy, ponieważ byłam nowa, musiałam jako pierwsza nakładać sobie na talerz. Należało to robić z szykiem. Nauczyłam się chwycić sztucę i jak najszybciej nabierać nimi danie jakie właśnie podano, tak swobodnie jakbym robiła to przez całe życie. Poczułam ulgę, gdy po jakimś czasie pojawili się nowi goście honorowi.

Ja osobiście jem powoli, ale pozostałe panie dosłownie pożerały swoje jedzenie, bez względu na to co jadły. Było to dla mnie szczególnie trudne, ponieważ wiedziałam, że gospodyni czeka aż skończę, zanim poda główne danie. Kiedy w końcu odważyłam się zapytać, dlaczego tacy cywilizowani ludzie jedzą z takim pośpiechem, wszystkie panie zgodziły się, że wynika to z „treningu”, jaki przeszły w latach szkolnych. Jeżeli nie skończyły jeść w ciągu dwudziestu minut, nie dostawały deseru. Wydawało się, że nie zdają sobie sprawy z faktu, że minęło bardzo dużo czasu odkąd jadły lunch pod nadzorem zakonnicy. Żadna z nich nie musiała wychodzić do toalety, co znów jest skutkiem nawyków nabytych w szkole, dzięki którym mają tak wytrzymałe pęcherze.

Nauczyłam się wysyłać do gospodyni liściki z podziękowaniami natychmiast po powrocie do domu, a następnego dnia kwiaty z którejs z trzech uznanych kwiaciarni w Paryżu. Najgorszą rzeczą, jaką można było uczynić, było wysłanie gotowego bukietu, oznaczało to bowiem, że powątpiewasz w zdolności gospodyni w tym względzie, ale raz strzeliłam gafę tylko trochę mniej

naganną, wysyłając kwiaty przed lunchem. Kiedy przybyłam na miejsce, zastałam gospodynię starającą się pośpiesznie ułożyć moje tulipany; bez wątpienia przeklinała mnie, próbując włożyć kwiaty do wazonu, zanim odezwie się pierwszy dzwonek.

Jedynym sposobem przekonania się, czy okazałam się dobrym gościem, było czy po lunchu panie poproszą mnie o wizytówkę. (Oczywiście wtedy miałam już wizytówki z moim adresem i numerem telefonu.) Im więcej wizytówek wymieniono, tym bardziej udane przyjęcie.

Na lunchach w ambasadach zawsze przed wejściem na salę znajdowała się pokryta skórą tablica, na której umieszczano rozkład gości. Dzięki temu, wiedziałam, gdzie mam usiąść i znałam nazwiska sąsiadów z prawej i lewej strony. Musiałam więc zapamiętać tylko dwa nazwiska i w miarę jak poznawałam coraz więcej osób, stawało się to łatwiejsze, chociaż zawsze miałam lepszą pamięć do potraw niż do nazwisk.

Obiady były znacznie mniej skomplikowane. Panie na lunchach w udziałem kobiet w końcu przestały mnie lustrować, wypytywać o różne rzeczy i decydować, co powinnam uczynić a co nie. Wiele z nich już mnie znało.

Ale wciąż gdzieś czyhały pułapki. Na przykład na obiedzie największą gafą było zapytać mężczyznę, czym się zajmuje, coś co Amerykanie robią niemal automatycznie. Ponieważ jednak odpowiedź może wskazywać ile ktoś zarabia, takie pytanie stanowiło absolutne tabu. Jeżeli dany mężczyzna powiedział, że jest bankierem, był z pewnością bogatszy niż ktoś, kto powiedział, że jest wydawcą. Nie, nie, nigdy nie należy zadawać tego pytania, które może prowadzić do interesującej rozmowy. Podczas wielu takich przyjęć łądowałam między dwoma mężczyznami, których zawodów nie znałam i tak już musiało pozostać. Tęskniłam za otwartymi, amerykańskimi prezentacjami i normalną amerykańską swobodą.

Oczywiście istniały sposoby przekazania informacji na temat własnej pozycji, jak w przypadku pewnego gościa, który nieustannie narzekał na przeciekający dach swego zamku. Spotkałam także na lunchu kobietę, która oznajmiła wszystkim obecnym, że zamknęła całe skrzydło swego zamku, ponieważ zimą ogrzanie takiej gigantycznej powierzchni jest zupełnie niemożliwe. Kiedy wychodziła, powiedziała, zamiast pożegnania, „Muszę wracać na moje włości”. Muszę to kiedyś wykorzystać.

Jedynymi ludźmi, jakich znałam, którzy przedstawiali innych w inteligentny amerykański sposób, byli mój wydawca i boska Michelle Tourneville; ta ostatnia lubiła tłumaczyć, jak, wskutek cielesnego podobieństwa, każdy ma coś wspólnego ze wszystkimi innymi.

* * *

Pewnego dnia otrzymaliśmy ofertę kupna za gotówkę naszego domu w Beverly Hills, którego jeszcze nie zdecydowaliśmy się sprzedać. Teraz, zrywając ostatnią nić, łączącą nas z Kalifornią, przyjęliśmy ofertę, która pochodziła od Chińczyków z Hong Kongu. Dawali sześć razy więcej niż zapłaciliśmy za dom trzynaście lat wcześniej. Kiedy teleksowaliśmy do naszej przyjaciółki, kobiety, która prowadziła agencję handlu nieruchomościami (jak wiele takich kobiet, kiedyś była modelką), poczułam jakby ostrzegawczy sygnał, ale zignorowałam go równie zdecydowanie, jak fakt, że nie mogę się przyzwoicie wyspać w naszej sypialni, gdzie, jak byłam przekonana, tyleż nedorzecznie co gruntownie, umarł jakiś biedny człowiek, ponosząc karę za śmiertelny grzech, jaki popełnił. Wydawało mi się, że nad tym pokojem wisi jakieś tragiczne fatum, jakby jego ściany były nim przesiąknięte, chociaż Steve spał tam doskonale. Powinnam była go (pokój) egzorcyzmować.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, iż astrolog nabywców powiedział im, że aby zapewnić powodzenie, jest niezmiernie ważne, żeby wprowadzili się przed wygaśnięciem depozytu.

Odteleksowaliśmy, że skonsultowaliśmy się z naszym własnym astrologiem, który nam powiedział, że gdybyśmy na to pozwolili, oznaczałoby to wielkiego pecha. Oczekali, kupili dom i po roku odsprzedali go po dwukrotnie wyższej cenie. Tak się zaczął wielki mieszkaniowy boom w Beverly Hills i w ciągu następnych kilku lat dom, który tak lubiłam, trzykrotnie zmieniał właścicieli, aż w końcu ostatni nabywcy zburzyli go, wyrwali z korzeniami wszystkie drzewa, wybudowali gigantyczny dom i kort tenisowy — płacąc dwadzieścia razy więcej niż my kiedyś zapłaciliśmy. Do dziś dnia, ilekroć koło niego przejeżdżam, czuję w sercu ukłucie, kiedy pomyślę o swoich krzakach róż.

Jednak w Paryżu byłam zachwycona, widząc jak Monique wybiega do ogrodu, starając się uniknąć deszczu i wybiera jarzyny, które tam przechowywała, aby przyrządzić na obiad supę ze świeżych jarzyn.

Często prowadziłyśmy ze sobą długie rozmowy, ponieważ Steve wracał do domu bardzo późno, a ja, po dniu pracy, rozpaczliwie chciałam z kimś porozmawiać. Pewnego dnia Monique zapytała mnie, czy może następnego dnia wziąć wolne, chociaż nie podała żadnego powodu, mówiąc tylko, że to ważne. Odpowiedziałam, że oczywiście. Nagle zdałam sobie sprawę, że następnego dnia wypada Yom Kippur, najważniejsze żydowskie święto. „Monique, gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, pomyślałabym, że jesteś Żydówką”, zażartowałam. „Och, Madame”, powiedziała, wybuchając płaczem, „jestem, jestem Żydówką. Ale proszę nie mówić Florence, proszę nie mówić nikomu, musi mi to pani obiecać.”

Dopiero kiedy przysięgłam, że nigdy nikomu nie powiem, wyjawiała mi swoją historię, i nawet dzisiaj, respektując jej wolę, nie używam jej prawdziwego imienia. Ona, jej matka i trzy siostry spędziły całą wojnę ukryte na strychu w Paryżu, dokąd jedzenie przynosili im otwarcie antysemitów sąsiedzi. Kiedy wojna się skończyła, ci sami sąsiedzi natychmiast powrócili do swego dawnego, nieprzyjaznego nastawienia. Dali do zrozumienia, że żywili rodzinę Bovais jedynie dlatego, że tak nakazuje chrześcijański obowiązek. Przynajmniej ten chrześcijański obowiązek nie pozwolił im na zadenujcowanie ich przed Niemcami.

To przeżycie — sześć lat zamknięcia na strychu, na łasce ludzi, którzy nienawidzili Żydów — pozostawiło u Monique zrozumiałą urazę, którego nie mogła się pozbyć. Podejrzewała, że nawet Florence zmieni swoją o niej opinię, jeśli dowie się prawdy. Zdałam sobie sprawę, że mała uczta, jaką Monique czasami dla nas przygotowywała, siekana wątróbka i zupa na macy, którą tak ze Stevem lubiliśmy, taki nieśmiały hołd wobec naszego pochodzenia, była czymś więcej, ale przez długi czas nie mówiła na ten temat ani słowa.

* * *

Biuro, jakie urządził sobie Steve na rue Cassette, miało tę wadę, że jego teleks było doskonale słychać przez ścianę mojej łazienki. Co wieczór, kiedy szykowałam się do snu, słyszałam jak maszyna rusza, wypływając rolki papieru na podłogę, które Steve przeczyta rano, ponieważ wstawał wcześniej i chodził spać przede mną.

Teraz, kiedy nadeszła wiosna, choć wciąż było zimno, wydawało się, że teleks pracuje dłużej niż normalnie. Jego klekot wkrótce zaczął mnie doprowadzać do pasji. Wchodziłam do jego gabinetu i z wściekłością patrzyłam na niekończący się strumień papieru, jak gdybym samym tylko patrzeniem mogła sprawić, że przestanie działać.

CBS była tak zachwycona sukcesem *Córki Mistrala*, która została nadana we wrześniu 1984 roku i do dziś jest pokazywana na całym świecie, że zlecono Steve'owi realizację innych miniseriali, co zapewniło mu pracę na następny rok. Najbliższy serial nosił tytuł *Grzechy*, podobnie jak książka, na której był oparty, i jedyne, co na początku się dla nich liczyło, to fakt,

że Joan Collins zgodziła się zagrać główną rolę. Zarówno Joan, której akcje stały bardzo wysoko po nakręceniu *Dynastii*, jak i jej nowy partner, Peter Holm, uparli się, żeby ich uczynić producentami wykonawczymi, czym Steve się nie przejął. Wiedział, kto będzie musiał odwalać robotę i tytuł producenta zupełnie mu wystarczał.

Podczas gdy Steve rozpoczynał prace poprzedzające zdjęcia, angażując Gene Kelly'ego jako partnera Joan oraz Timothy Daltona, Lauren Hutton i Marisę Berenson, ja borykałam się z postrzeloną Maxi Amberville. Często wieczorem, kiedy skończyłam pisać, wychodziłam na dwór i biegałam jak szalona wokół fontanny na placu Saint-Sulpice.

Nigdy w życiu nie biegałam w ten sposób i to moje bieganie miało w sobie coś gorączkowego. Nie mogłam się zatrzymać, dopóki nie byłam kompletnie wyczerpana. Odczuwałam przymus biegania, żeby uciec od tego domu i swoich problemów, starając się zachować dobry nastrój, dopóki znowu nie pogrążę się w pracy.

Pewnego wieczoru Steve wrócił wcześniej i Monique powiedziała mu, gdzie mnie szukać. Nieoczekiwanie pojawił się koło mnie, chwycił za ramię, zatrzymał i spytał, co się dzieje. „Nie wiem”, powiedziałam, nie chcąc się na nic skarżyć, kiedy, jak wiedziałam, był pochłonięty swoją pracą. „Po prostu nie wiem. To musi być ta książka.”

Wróciliśmy do domu i zaniepokojony Steve zapytał o zdanie Monique. „Madame powinna wyjechać z Paryża”, powiedziała. „To niedobra pora roku. Radziłabym kąpiele lecznicze w Quiberon, w Bretanii.”

„Och, to bez sensu. Nie mogę na tak długo przerwać pracy”, zaprotestowałam, ale w parę minut Steve i Monique przekonali mnie, że potrzebuję odmiany. Wiedziałam, że tak jest, chociaż nie chciałam się do tego przed sobą przyznać.

Nic nikomu nie mówiąc, udałam się do młodego internisty po pigułki przeciwdepresyjne, ale kiedy w ciągu trzech dni nie przyniosły żadnej poprawy, wyrzuciłam je, ponieważ nie wiedziałam, jak długo mogą działać. Postawa lekarza nie skłaniała do zadawania pytań. „Jest pani zdrowa, pisze pani bestsellery, dlaczego miałaby pani cierpieć na depresję?” spytał sardonicznie, wręczając receptę. Właśnie, dlaczego? zapytałam samą siebie i oczy wypełniły mi się łzami, kiedy wychodziłam z jego gabinetu.

Próbowałam wytłumaczyć sobie tę depresję szarością Paryża, przypominając sobie, że zawsze mieszkałam otoczona zielenią, nawet gdy był to Central Park w samym środku zimy. Tłumaczyłam swoją depresję brakiem dobrych sal gimnastycznych, gdzie mogłabym ćwiczyć; faktem, że tak często musieliśmy jadać w drogich restauracjach, kiedy tak naprawdę potrzebowałam niewyszukanych potraw; faktem, że wszyscy w Paryżu palili i po każdym przyjęciu chciałam wywietrzyć sobie włosy, tak jak wietrzyłam ubrania; zmęczeniem, spowodowanym nieustannymi zaproszeniami na przyjęcia, które zaczynały się o ósmej trzydzieści i kończyły strasznie późno; brakiem zwykłych koców elektrycznych — w domu przez trzydzieści lat spałam pod takim kocem. Jednak w Paryżu musiałam się ogrzewać pod ciężkim stosem moherowych koców, których włoski stale włożyły mi do ust — tłumaczyłam swoją depresję wszystkim, tylko nie tym, że popełniliśmy wielki błąd, ponieważ w ogóle nie powinniśmy byli się przeprowadzać do Francji.

Wyjechałam do Quiberon, które leży w Bretanii nad brzegiem morza, gdzie panuje mikroklimat, dzięki któremu przez cały rok jest pogodnie. Kuracjusze chodzą w płaszczach kąpielowych i kłapkach i spędzają ranek, kursując z jednego zabiegu na drugi. Były tam bicz wodne, zabiegi grupowe w wielkim basenie jacuzzi i mój ulubiony zabieg, wanna wypełniona gorącą wodą z bąbelkami, które unosiły się z dna, przez co czułam się jakbym siedziała w kąpieli z gorącego szampana. Między zabiegami wszyscy odpoczywali w pokojach relaksacyjnych, w których ściany i leżanki były pokryte białą tkaniną, gdzie czytali bądź drzemali, albo — w końcu

to była Francja — odwiedzali okoliczne bary.

Każdego popołudnia zazwyczaj wszyscy oglądali w swoich pokojach filmy na wideo. Ja wykorzystywałam ten czas biegnąc na strome skałki, gdzie nie było nikogo, z wyjątkiem paru osób, które wychodziły z psami na spacer. Wśród skał znalazłam małe platformki, tuż nad oceanem, na których siadałam i tkwiłam godzinami, próbując oczyścić swój umysł, wdychając morskie powietrze i patrząc na fale kłębiące się poniżej. Często obserwowałam przyływ i odpływ. Potem pogrążałam się w myślach. Jedną ze stale powracających myśli było coś, co Georges Delorme, kochanek Michelle Tourneville i wydawca rosyjskich książek, kiedyś mi wyjaśnił. „Nie ma znaczenia, jak długo tu mieszkasz czy jak dobrze znasz język, zawsze będziesz tu obca, ponieważ jako dziecko nie byłeś z nami *en classe*. Widzisz, *nie znasz naszych wierszyków dla dzieci*. Bez tego, zawsze będziesz wyłącznie gościem.”

Wieczorami pozostali pacjenci, teraz nie do rozpoznania, wkładali do obiadu modne sportowe stroje. Na szczęście siedziałam sama, czytając książkę — doskonałą powieść pt. *Adieu, Volodia*, napisaną przez Simone Signoret; Steve chciał uzyskać prawa do jej sfilmowania — i jedząc soczyste *tourteau*, wielkie miejscowe kraby, które miały takie powodzenie, że trzeba je było zamawiać na parę dni naprzód. Chociaż raz nie musiałam dbać o fryzurę i mogłam mieć to w nosie.

Po dwóch tygodniach wróciłam z Quiberon jak nowo narodzona. Byłam wypoczęta i pełna energii. Kiedy dumałam, siedząc nad oceanem, tak cudownie daleko od Paryża, odkryłam, że tak, popełniliśmy wielki błąd, ale nie było żadnego racjonalnego powodu, żeby go dalej ciągnąć.

Zanim zdążyłam to przedyskutować ze Stevem, oświadczył, że znalazł lekarstwo na moją chandrę, którą określił jako sezonowe zaburzenia, które zidentyfikowano niedawno i które atakują osoby, nie mające dostatecznego kontaktu ze światłem w okresie zimowym. Najwyraźniej istniała specjalna lampa, używana do leczenia tej przypadłości, zwana SAD. Wszystko, co trzeba uczynić, powiedział zadowolony z siebie, to zainstalować kilka takich lamp nad moim biurkiem, włączać je podczas pracy i wszystko będzie dobrze. Wesoły jak ptaszek. Patrzy — łam na niego z niedowierzaniem. Czy wyglądał na szczura laboratoryjnego?

Ten absolutnie szalony i nieludzki pomysł ze strony mego normalnie życzliwego, troskliwego i kochającego męża uzmysłowił mi, jak bardzo mam rację, chcąc opuścić Francję i wrócić do Kalifornii. Starannie wybrawszy moment, kazałam Steve'owi usiąść, żeby przeprowadzić z nim długą, poważną rozmowę.

„Nie uważasz”, zapytałam, „że człowieka męczy, kiedy zawsze, w każdej grupie ludzi, jest *wyjątkiem*? Czyż nie jest trudno występować w roli jedynych Amerykanów, o których mówi się, że są „do przyjęcia”, choć bynajmniej nie dla wszystkich, ponieważ jest nas tylko dwoje, znamy język i wykonujemy pracę, której wyniki ludzie znają? Czy nie jesteś zmęczony tym, że ciągle cię oceniają wedle standardów, których nawet nie znasz? Czy nie jesteś znużony tym, że musisz informować obcych, iż jesteś Żydem, aby uniknąć usłyszenia przypadkowej antysemickiej uwagi? Czy nie doszedłeś do wniosku, że nie znosisz mieszkać w kraju, w którym nie można włączyć telewizora, żeby nie uraczono cię stekiem kłamstw? Czy nie znudził cię kult przodków, na którym opiera się życie Francuzów, których poznaliśmy?”

„Czy nie tęsknisz za dziećmi?” ciągnęłam. „Czyż to nie cudowne mieć wolność prasy i wolność słowa, które są czymś oczywistym? Czy nie fajnie jest spotkać kogoś nieznanego, do kogo poczujesz sympatię i możesz z nim natychmiast nawiązać swobodną rozmowę, nie martwiąc się tym, że trzeba się trzymać jakichś absurdalnych reguł? Czy nie poczulibyśmy się wyzwoleni, gdybyśmy mogli znów sami prowadzić samochód? Czyż nie byłoby fantastycznie zasypiać, wiedząc, że jutro będzie świeciło słońce? A, przede wszystkim, czy nie powinno się żyć we własnym kraju? *Czy kiedykolwiek czuleś się tutaj naprawdę jak u siebie w domu?*”

Steve wysłuchał mnie z uwagą i w końcu powiedział, że biorąc pod uwagę fakt, że prawie cały czas spędza pracując w przyjaznej, rodzinnej atmosferze na planie filmowym, nawet w jednej dziesiątej nie przeszkadza mu to wszystko tak jak mnie, chociaż tak, to do niego też dotarło. Zawsze mi zazdrościł tego roku spędzonego w Paryżu po ukończeniu college'u, ale teraz sam przeżył swoją francuską przygodę. Ponieważ jestem tak mocno przeświadczona, że tutaj nie ma dla nas przyszłości, doskonale może pracować i w Stanach Zjednoczonych. Przypomniał mi, że zaciągnął mnie do Kanady ze względu na swoją pracę i że jakoś przyzwyczaiałam się, że wyrwał mnie z domu rodzinnego na Manhattanie i zabrał do Kalifornii ze względu na swoją pracę i powiedział, że teraz, na tym etapie naszego wspólnego życia, nie chce być przyczyną tego, że żyję w miejscu, gdzie nie potrafię być szczęśliwa.

Zgodziliśmy się, że mieszkanie nie jest jedynym minusem. Gdybyśmy naprawdę chcieli zostać we Francji, moglibyśmy sprzedać mieszkanie, kiedy skończę pisać książkę i kupić inne, gdzie będzie więcej światła i powietrza i gdzie będzie bardziej zacisznie. W istocie, kiedy wreszcie zdecydowaliśmy się je sprzedać, uczyniliśmy to, pomimo fortuny, jaką utopiliśmy w jego urządzenie.

Kiedy mieszkanie wystawiono na sprzedaż, zaraz pierwszego dnia kupili je pierwsi klienci, którzy je zobaczyli, Corinne i Patrick Ricard. Patrick Ricard jest szefem rodzinnej firmy, Pernod Ricard, produkującej sławne pastis i napój o nazwie Orangina, jak również importującej whisky i burbon. Według ostatniego wydania *W*, Ricardowie „mieszkają wraz w dwojgiem dzieci w historycznym *hotelparticulier* na lewym brzegu.” Na fotografii piękna blondynka, Madame Ricard, ma na sobie suknię od Givenchy i pozuje do zdjęcia w naszym dawnym mieszkaniu, na tle ściany pokrytej ciemnozielonym brokatem i z rozciągającym się od ściany do ściany dywanem, siedząc w zabytkowym fotelu w brązowo-beżowe paski. Najwyraźniej urządziła mieszkanie sensowniej niż ja.

Reakcja Steve'a na moją przemowę przyniosła mi wielką ulgę. Ponieważ tak często widywałam go w gniewie, nie zdawałam sobie sprawy, co oznacza dla niego ta decyzja. Musiał zrezygnować ze wszystkich możliwości produkowania filmów w Europie, które miałyby do dyspozycji, gdyby został tu, gdzie wszyscy w branży znali go jako Amerykanina, któremu można ufać.

Z drugiej strony wiedziałam, że gdybym została w Paryżu, nigdy bym już nie napisała żadnej książki. Życie towarzyskie było tutaj zbyt intensywne, abym mogła wysiedzieć przed maszyną do pisania i pracować z żelazną dyscypliną, przez dziewięć miesięcy, sześć godzin dziennie, jak to ma miejsce, kiedy piszę powieść. Ponadto brakowałyby mi inspiracji, którą normalnie czerpię z obserwacji życia w Ameryce i karier rozmaitych kobiet.

Zdecydowaliśmy, że po ukończeniu zdjęć do *Grzechów* osiedlimy się w Santa Barbara, miejscu, które nam się od dawna podobało. Ponieważ zanim rozpoczęła się realizacja filmu, akurat nadarzyła się sposobność wyjazdu do Kalifornii, polecieliśmy na tydzień do Los Angeles. Spędziliśmy dzień w Santa Barbara, bezowocnie poszukując domu za pośrednictwem agentki handlu nieruchomości. Pod koniec dnia widząc, że jesteśmy już mocno zmęczeni, zaproponowała, że pokaże nam wolną działkę. Zgodziliśmy się z czystej ciekawości, a za parę godzin zostaliśmy właścicielami dwudziestu dziewięciu akrów zupełnie nadzwyczajnego i przepięknego kawałka gruntu, na stoku łagodnie opadającym w stronę oceanu, rozciągającego się jak okiem sięgnąć i z widokiem na góry w oddali. Światło było wspaniałe — Santa Barbara słynie ze swego złotego światła — a działka była przeznaczona na dziewięć domów, chociaż zamierzaliśmy postawić tylko jeden. W kilka dni później znaleźliśmy architekta, który był znany z nowatorskich rozwiązań i poprosiliśmy go o przygotowanie wstępnego planu. Zrobiłam parę zdjęć z miejsca, gdzie miał stanąć dom, pokrywając cały widok, tak abym po powrocie do

Paryża mogła skleić ze sobą zdjęcia i otrzymać panoramiczny widok z mego przyszłego domu.

Patrząc na tę panoramę i śniąc o domu, który kiedyś zbudujemy, będę mogła ukończyć pracę nad powieścią *Tylko Manhattan*.

Czytelniku, w następnym roku Santa Barbara została dotknięta wielką suszą i cofnięto wszystkie pozwolenia na budowę, więc w końcu musieliśmy sprzedać naszą działkę za połowę ceny. Kiedy ostatnio pojechaliśmy do Santa Barbara na lunch, jakiś rok temu, odwiedziliśmy to miejsce i zobaczyliśmy, że nadal jest nietknięte i tak samo piękne, jak je zapamiętaliśmy.

Kiedy jednak wróciliśmy na dobre do Los Angeles, roztropnie wynajęliśmy mało atrakcyjny dom na dziewięć miesięcy, w ciągu których obejrzałam sto dwanaście domów. Moja agentka powiedziała, że nigdy przedtem nie miała tak trudnej, pełnej wahań i bojaźliwej klientki i tylko jej dawna przyjaźń i świadomość, że musimy *kupić jakiś* dom, pozwoliła jej wytrwać.

W końcu zdecydowałam się na dom, położony w pobliżu Bel Air Country Club, ze wspaniałym widokiem na wszystkie strony świata. Z niektórych pokoi widać było graczy w golfa, którzy z dala przypominali stada nieszkodliwych zwierząt, a jedynym dźwiękiem, jaki czasami dobiegał naszych uszu, było gromkie „Cholera!” kiedy piłeczka wpadała do naszego basenu. Pięciokrotnie tam przychodziłam, żeby obejrzeć dom w różnych warunkach, przy każdej pogodzie, i sprawdzić światło, zanim zdecydowaliśmy się na jego kupno. Decyzję podjęłam w deszczowy dzień. W końcu czegoś się nauczyłam na swoich paryskich błędach. Dom jest doskonały.

Oczywiście parę lat temu kupiliśmy nowiuteńki domek plażowy, zaledwie po dwóch, piętnastominutowych wizytach, bowiem trudno się wyzwolić ze starych nawyków. Długie weekendy na plaży ogromnie odmieniły nasze życie, więc impulsywność nie zawsze oznacza szaleństwo.

Rozdział czterdziesty trzeci

„Wystąpisz u Pivota!” oznajmił mój wydawca głosem drżącym z podniecenia. Zdołałam tylko wykrztusić, „Oj!”

Wyobraźcie sobie program telewizyjny, który w każdy piątkowy wieczór od siedmiu lat oglądała większość Francuzów, program, którego widownia była równa widowni amerykańskich programów *Rosie, Oprah, ER, Seinfeld, Alf, McBeal, Letterman, Tonight Show, The Practice* i *Larry King* razem wziętych. Tym programem był *Apostrophe* Jacquesa Pivota, który trwał pełne półtorej godziny, nie był przerywany żadnymi reklamami i był poświęcony wyłącznie książkom.

Bez względu na to, jakie cechy Francuzów irytują Amerykanów, Francuzi bardzo interesują się wszystkimi wydarzeniami kulturalnymi: kupują książki jak szaleni, a absolwenci zwykłych szkół średnich opuszczają szkołę znacznie lepiej przygotowani, niż ogromna większość absolwentów naszych college'ów.

Forma tego programu, który często oglądałam, polegała na tym, że wokół stołu siadało pięciu czy sześciu autorów, którzy prowadzili ożywioną rozmowę, pod przewodnictwem gospodarza programu, Jacquesa Pivota, który zawsze zadawał pytania, ciekawe zarówno dla jego gości jak i dla widowni. Jacques Pivot był ciemnowłosym, błyskotliwym, misiowatym mężczyzną, o rozbijającym wyglądzie, tak rezolutnym jak tylko może być Francuz; mężczyzną, którego zainteresowania i cały sposób życia właśnie przyniosły mu doroczną nagrodę, którą przyznawano osobie, najlepiej uosabiającej *L'Art du Bien Vivre*. Możecie sobie wyobrazić, ile czystej radości musiał rozsiewać wokół siebie człowiek, którego uznano za umiającego najlepiej korzystać z życia!

Raz w roku Pivot poświęcał swój program zagranicznym bestsellerom, a ponieważ *Mis trał* miał we Francji ogromny rezonans, było to wyzwanie, którego nie mogłam odrzucić, ale na tę myśl przeszywał mnie dreszcz.

Apostrophe nie był rodzajem wywiadu, ale raczej słowną Olimpiadą. Wszyscy autorzy wiedzieli, że jeden z nich nieoficjalnie „wygra” w oczach publiczności, podczas gdy inni przegrają. Każdy autor musiał przeczytać książki wszystkich innych uczestników programu i być przygotowany do wyrażenia inteligentnej opinii na ich temat, kiedy bowiem Pivot strzelał pytaniem, dotyczącym jakiegoś szczegółu omawianej książki, nie dało się go oszukać. Był to telewizyjny odpowiednik publicznej obrony pracy doktorskiej.

Najpierw musiałam przejść wstępny test: lunch z Madame Pivot. Najwyraźniej w ostatnich latach zaprosili kilku zagranicznych autorów, którzy sprawili im zawód z powodu marnej znajomości języka francuskiego i Madame Pivot chciała ocenić, jak władam tym językiem.

Test zdałam — ona wypila całą butelkę Burgunda (istotnie *l'art du bien vivre*), ja piłam tylko wodę — po czym zasiadłam do lektury pięciu powieści, które musiałam opanować, studiując je znacznie uważniej niż jakiegokolwiek inne książki od czasów college'u. Stale telefonowali do mnie zaniepokojeni przyjaciele i dawali rozmaite rady.

„Nie strój się, nie zakładaj niczego od Chanela, publiczność natychmiast cię znienawidzi.”

„Włóż kostium od Chanela, tego właśnie ludzie oczekują, musisz wyglądać jak bestseller; w przeciwnym razie odniosą wrażenie, że ich lekceważysz i cię znienawidzą.”

„Pamiętaj, że publiczność nie znosi dowcipnisiów, więc, na Boga, nie próbuj żartować, bo cię wyśmieją.”

„Staraj się być jak najbardziej zabawna, ludzie to lubią.”

„Pamiętaj, że jest ogromnie ważne, żebyś była bardzo uprzejma wobec wszystkich autorów;

publiczność będzie cię oceniać wedle twoich manier.”

„Nigdy nie zabieraj głosu, dopóki cię o to nie poproszą.”

„Wtrącaj się do rozmowy, w ten sposób zrobisz wrażenie osoby inteligentnej.”

Oj!

Jedyną radą, co do której wszyscy byli zgodni, było, „Przede wszystkim nie mów nic złego na temat książek pozostałych autorów. Jest to coś, czego musisz absolutnie unikać. Nigdy, nigdy tak się nie robi.”

Zamknęłam się na dziesięć dni z tymi przeklętymi książkami, które zostały przetłumaczone na francuski. Ilekroć natrafiłam na coś, co chciałam zapamiętać, zaznaczałam to miejsce długim paskiem papieru, na którym zapisywałam najważniejszą myśl.

Jedna z tych książek, napisana przez brytyjskiego satyryka, traktowała o wydawcy, który stał się niesłychanie bogaty dzięki temu, że posiadał niezwykłą zdolność rozpoznawania bestsellerów. Im większe miał mdłości podczas lektury danej książki, tym większa szansa, że książka będzie się dobrze sprzedawać. Jeśli w końcu zwymiotował na rękopis, *voilà!* był to niechybny znak, że trafił na super — bestseller. Postanowiłam tę książkę zignorować i zdecydowałam, żeby nie ryzykować i założyć beżową sukienkę i prostą różową bluzkę, wychodząc z założenia, że każda kobieta czasami zakłada różową bluzkę i że to nie może wpłynąć na opinię publiczności o mojej osobie.

Dni poprzedzające *Apostrophe* były jak oczekiwanie na premierę wielkiego musicalu na Broadwayu, w którym przyszło mi grać główną rolę, chociaż nie umiem ani śpiewać ani tańczyć. Nigdy nie przeżywałam takiej okropnej tremy, ale nie mogłam już odwrócić biegu czasu. W dniu zero zgromadziłam małą grupkę swoich klakierów, obejmującą Steve’a, Sybille, Florence, Jeana Rosenthala i Monique, która miała się znaleźć na widowni, i ruszyłam do studia.

Naturalnie wskutek swojej obsesji nie spóźniam się, zjawiłam się pierwsza, jeśli nie liczyć Jacques’a Pivota, który mi się przedstawił i poprosił, żebym zajęła miejsce po jego prawej stronie. Był dziwnie milczący, patrzył gdzieś w przestrzeń, nucił pod nosem i wciąż zakładał nogę na nogę, jakby nie mógł spokojnie usiedzieć. Próbując nawiązać rozmowę, spytałam go, ile już ma na koncie takich programów. „Ten jest czterysta czterdziesty czwarty”, odparł, „i wciąż się denerwuję.”

Ogromnie mi ulżyło. Jeżeli sam Pivot się denerwował, dlaczego i ja nie miałabym się denerwować? Właściwie dlaczego u licha mam się denerwować? Cóż mam do stracenia? Później i tak wrócę do domu. Moja przyszłość nie zależy od tego, czy wygram czy też nie. W programie *Oprah* wystąpiłam parokrotnie i prawie się nie denerwowałam, choć miał on dla mnie o wiele większe znaczenie.

Kiedy przybyli pozostali goście i zostaliśmy sobie przedstawieni przed rozpoczęciem programu, odkryłam, że byłam jedyną autorką we własnej osobie. Wszyscy pozostali byli albo francuskimi wydawcami albo francuskimi agentami autorów, których książki przeczytałam. Najwyraźniej pozostali autorzy nie zdali testu Madame Pivot.

Nagle program się zaczął i Pivot, natychmiast wchodząc w rolę, nieoczekiwanie zadał mi pytanie. Nie pamiętam już, co to było, ponieważ w tym momencie postanowiłam odrzucić wszystkie rady, jakie otrzymałam.

Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam, że zanim odpowiem na jego pytanie, pragnę złożyć gwałtowny (*violent*) protest wobec obrzydliwej (*detestable*) książki, według której bestseller można rozpoznać po tym, że powoduje wymioty (*vomir*). Następnie wygłosiłam krótką mowę na temat zalet bestsellerów — dając za przykład francuską powieść *Bonjour tristesse* — i, zanim zamilkłam, wyraziłam głęboką pogardę wobec angielskiego satyryka.

Pozostała część programu to była istna euforia. Wiedziałam, że wygrałam Pivota w ciągu

pierwszych pięciu minut, ponieważ zawierzyłam swemu instynktowi, łamiąc zasady i mówiąc to co myślę. Odprężyłam się i przypomniałam sobie wszystkie zapisane uwagi, mogłam więc powiedzieć coś miłego na temat każdej książki. Przez resztę programu byłam wyłącznie sympatyczną panią w różowej bluzce.

Co za sukces! Żaden z moich występów nie da się z tym porównać, może z wyjątkiem pierwszego programu *Mery Griffin Show*, kiedy byłam nowicjuską i dlatego nie odczuwałam tremy. Przez następne miesiące nieznajomi podchodzili do mnie na ulicy, przedstawiali się i gratulowali mi odniesionego zwycięstwa.

* * *

Prace poprzedzające zdjęcia do *Grzechów* były w toku, podczas gdy ja znów zaniedbywałam swoją książkę, przygotowując się do występu w programie Pivota. Teraz dowiedziałam się, że w Ritzu wynajęto dla Joan Collins apartament plus dodatkowy pokój na stroje i jeszcze jeden na sprzęt do ćwiczeń, który wozila ze sobą. Steve załatwił z Valentino, żeby przygotować dla niej dużą ilość eleganckich strojów, które miała nosić jako projektantka mody, a w dziale kostiumów uszyto dla niej dodatkowe efektowne kreacje. Miała we Francji spędzić wakacje ze swym nowym adoratorem, Peterem Holmem. Towarzyszyła jej także asystentka i najlepsza przyjaciółka, Judy Bryer, naprawdę zachwycająca kobieta.

Dynastię oglądałam tylko raz czy dwa razy, ale oczywiście wiedziałam, jaką kobietą jest Joan Collins. Jej reputacja osoby wyjątkowo podlej była tak dobrze ugruntowana, że nigdy tego nie kwestionowałam. Nigdy bym nie zgadła, że okaże się znaczącym wyjątkiem od reguły, iż gwiazda filmowa nie może być prawdziwą przyjaciółką; że nadejdzie dzień, kiedy dojdziemy do wniosku, że Joan jest bezpośrednią, gościnną i miłą kobietą, obdarzoną swoistym poczuciem humoru i mającą mnóstwo przyjaciół, a także oddaną matką, której hart ducha pozwolił przetrwać wiele trudnych chwil.

Nasze pierwsze spotkanie nie ujawniło niczego. Była spokojna i chłodna i podczas przyjęcia powitalnego w Tour d'Argent zachowywała się z wyraźną rezerwą. Peter był Norwegiem, wysokim i jasnowłosym mężczyzną, według mnie niezbyt atrakcyjnym (mówiło się, że jest poszukiwany w kilku krajach), którego oczy zdradziły zainteresowanie dopiero wtedy, gdy poruszyłam temat rosnących cen nieruchomości. Na przyjęciu byli także nieżyjący już Douglas Hickox, który reżyserował „paryski” fragment Mistrała i jego żona Annabelle.

Pierwszego dnia zdjęć Joan zjawiła się na planie z dwugodzinnym opóźnieniem. Nikt tego nie skomentował. Drugiego i trzeciego dnia także spóźniła się o dwie godziny. W końcu Steve doszedł do wniosku, że musi interweniować i odbył z nią poważną rozmowę. Następnego dnia spóźniła się o trzy godziny.

Wtedy wyjaśniła, o co chodzi. Postanowiono zmienić rozkład zajęć „pod gwiazdę”, ponieważ wszystko inne przyniosłoby skutek odwrotny do zamierzonego. Jednak kiedy już była gotowa, nikt nie mógł jej dorównać, jeśli chodzi o profesjonalizm. Kiedy była na planie, dawała z siebie wszystko. Żeby ją zrozumieć, trzeba było wiedzieć, że nie może żyć, jeśli codziennie nie pójdzie na zakupy. Tylko podczas tych porannych godzin mogła obejrzeć wystawy i wypatrzeć rzeczy, które później przysyłano jej do hotelu, żeby je mogła przymierzyć. Nie mając tej możliwości, była nieszczęśliwa, a nieszczęśliwa Joan...

Cała ekipa *Grzechów* miała później spędzić dziesięć dni w Wenecji. Tam Joan występowała w kostiumie i przez dziewięć dni zjawiła się na czas, z wyjątkiem jednej niedzieli, kiedy wpadliśmy na nią na Lido. Jednak dzień przed planowanym wyjazdem odkryłam, że Judy Bryer kupiła dla Joan dziewięć nowych walizek.

„Po co jej te walizki?” spytałam. „Nie ma tu ani chwili czasu, żeby pójść na zakupy.” „Będziesz zaskoczona”, odparła Judy z tajemniczym uśmiechem. Później zdałam sobie sprawę, że sklepy w Wenecji wysyłały mnóstwo rzeczy do hotelu, gdzie mieszkała Joan, żeby każdego wieczoru, po pracy, mogła sobie coś wybrać.

Pominąwszy jej uzależnienie od zakupów, przekonałam się, że Joan potrafi być wyjątkowo urocza i zabawna. Tę stronę jej charakteru najlepiej przedstawia historia, którą pewnego wieczoru opowiedział mi Tony Newley, głosem człowieka, który właśnie wyszedł z groźnego wypadku samochodowego zupełnie bez szwanku. „Wiesz, byłem mężem Joan i przed rozwodem przytaczano moją wypowiedź, że wolałbym pocałować Hitlera niż ją”, powiedział. „Cóż, tego popołudnia musiałem z nią spędzić parę godzin, żeby porozmawiać o wysłaniu naszych dzieci do szkoły i, Boże miej mnie w swojej opiece, znów omal się w niej nie zakochałem.”

(Myślę, że pierwszą osobą, która użyła tego zwrotu, był Tony Curtis, po ukończeniu realizacji filmu *Pół żartem, pół serio*, mając na myśli Marilyn Monroe, ale to nieważne.)

Prawdziwe trudności przy realizacji *Grzechów* wiązały się z osobą Petera Holma. Tytuł producenta wykonawczego uderzył mu najwyraźniej do głowy i pewnego dnia właściwie ukradł księgi rachunkowe z biura realizacji filmu i zabrał je do Ritza, żeby sprawdzić, czy on i Joan nie zostali oszukani. Oczywiście nic nie znalazł. Steve powiedział mu, że może przyjść, kiedy sobie zyczy, bo księgi są dostępne przez cały czas. Jeszcze dwukrotnie Peter urządzał śmieszny nalot na biuro realizacji filmu, ale nigdy nie znalazł niczego, co mógłby zakwestionować. Jednak nieustannie był źródłem jakichś kłopotów.

Z rozmaitych powodów okres realizacji *Grzechów* był tak trudny, że Steve'owi nie dawano spokoju od samego rana. Gdybym nie wiedziała, że mamy opuścić Paryż, miałabym ochotę przenieść się do innego hotelu, żeby uciec przed teleksem i wszechobecnymi problemami, które prześladowały mego męża. Ale te buntownicze myśli należą do kategorii „powinna być”. Bez względu na to, jak bardzo byłam wytrącona z równowagi, nigdy bym nie pogłębiła jego kłopotów, znikając ze sceny w takim momencie.

Podczas zdjęć w Wenecji miałam dołek. To chyba najbardziej niewdzięczne miejsce na świecie do robienia filmu, ponieważ każdy element wyposażenia trzeba załadować na barkę i powoli, powoli transportować z miejsca na miejsce. W międzyczasie aktorzy, z wyjątkiem Joan, zachowywali się jak banda napalonych nastolatków, siejąc wokół zniszczenie. Zabierali *motoscaffos* i wynajętych dla ich potrzeb przewoźników i znikali, ignorując wszystkie polecenia, żeby nie ruszali się z miejsca, tak aby reżyser mógł ich zawsze znaleźć. Było to piekło dla wszystkich z wyjątkiem samych aktorów, którzy znakomicie się bawili, traktując Wenecję jak letni obóz seksu.

Nie mając nic do roboty, chodziłam na samotne spacery uliczkami miasta. Samotne spędzanie czasu w Wenecji mogłoby być rozkoszne, ale zamieniło się w jeden długi koszmar. Prawie nie mogłam się porozumieć ze Stevem i starałam się schodzić mu z drogi. Wciąż powtarzałam sobie, że jego zaabsorbowanie nie ma nic wspólnego z moją osobą. Wiedziałam o tym, ale to niewiele pomagało. Wciąż postanawiałam, że powiem mu, jak bardzo mnie przeraża, ale potem, kiedy widziałam, pod jaką Pręsją się znajduje, dochodziłam do wniosku, że nie powinnam go dobijać. Nie miałam powodu, żeby obserwować realizację filmu. Bogu dzięki, *Grzechy* nie były moją książką i miałam wrażenie, być może błędne, że nie jestem na planie mile widziana.

Jeśli chodzi o Petera Holma, Joan miała niebawem poślubić tego straszego człowieka — byliśmy na przyjęciu weselnym, które wydała w Los Angeles — i wkrótce się z nim rozwieść. Nazwijcie to wielką pomyłką. Jestem pewna, że Joan ma na to znacznie barwniejsze określenie.

Wieczorem w dniu otrzymania rozwodu (na rzecz Petera zasądzono alimenty) ukryliśmy się wraz z Joan przed prasą; towarzyszyli nam nasi wspólni przyjaciele, Don Quine i jego żona, Judy

Balaban Kantor Franciosa Quine, która napisała naprawdę znakomitą książkę o swojej długiej przyjaźni z Grace Kelly, której była druhną. Zaproponowałam, żebyśmy poszli coś zjeść gdzieś, gdzie nikt nie będzie szukał Joan, w spokojnej, zacisznej restauracji hotelu Bel-Air. Dla Joan był to szalenie smutny wieczór. Naprawdę kochała Petera, Bóg jeden wie dlaczego, i latem, kiedy powstawały *Grzechy*, ich romans był w pełnym rozkwicie. Ale to było dawno temu, a teraz w jej życiu jest nowy mężczyzna. Nic nie potrafi załamać Joan na długo...

W dniu, kiedy pierwszy odcinek *Grzechów* pokazywano w telewizji (było to w lutym 1986 roku), Joan wydała przyjęcie w swoim domu w Los Angeles, na które Timothy Dalton przyprowadził swoją odwieczną miłość, Vanessę Redgrave, której proarabskie nastawienie sprawiło, że od razu poczułam do niej nienawiść.

Wysoka i tyczkowata, była prawie pozbawiona włosów, ponieważ akurat pracowała nad filmem pt. *Playing for Time*, którego akcja rozgrywa się na terenie obozu koncentracyjnego. Chciałam się trzymać od niej możliwie jak najdalej, ale Timothy, z którym zaprzyjaźniliśmy się podczas kręcenia *Mistrala* i *Grzechów*, tkwił stale przy jej boku.

Koniec końców, musiałam do niego podejść, żeby mu pogratulować i wtedy przedstawił mnie Vanessie. Dzięki Bogu, kobiety zawsze mogą rozmawiać o uczesaniu! Pod koniec dwudziestominutowej rozmowy na ten temat, doszłam do wniosku, że Vanessa jest tak czarująca, że pocałowaliśmy się przy pożegnaniu. Ona się schyliła i ja także, po czym Vanessa ucałowała czubek mojej głowy, a ja jej obojczyk. *Och, ta potęga osobowości*. Osobowość jest bezsprzecznie prawdziwa, tak jak blask jest fałszywy, a Vanessa Redgrave, czy się to podoba czy nie, jest po prostu szalenie miłym stworzeniem, jeśli politykę zostawić na uboczu.

* * *

Pewnego ranka późną wiosną 1985 roku, zadzwonił książę Patrie d'Harcourt i zaprosił nas na lunch w eleganckim mieszkaniu, które dzielił z Thyrą, swoją przepiękną, ciemnowłosą księżną. „Steve też musi przyjść, przyjęcie odbywa się na cześć comtesse de Paris. Nie możecie odmówić.”

Zgodziłam się natychmiast i zaczęłam się zastanawiać, jak tę wiadomość przekazać Steve'owi, który wciąż miał pełne ręce roboty przy *Grzechach*. Lubił wieczorne imprezy towarzyskie, ale nigdy nie był na proszonym lunchu w środku tygodnia, ponieważ bywały na nich wyłącznie kobiety, a poza tym i tak nie miał na to czasu.

Jednak ten lunch miał się odbyć w domu jednego z trzech „pierwszych” książąt Francji, potomka w prostej linii człowieka, którego obowiązkiem było obwieszczać, „Umarł król, niech żyje król”, i nie miałam zamiaru przepuścić takiej okazji. W końcu po prostu oznajmiłam Steve'owi, że idziemy; musiał założyć niebieski garnitur i czarne buty i zarezerwować sobie czas, ponieważ nie mogłam tam iść bez niego. Chciałam zobaczyć na własne oczy żonę comte de Paris, pretendenta do tronu Francji.

W 885 roku, Eudes, comte de Paris, został wybrany pierwszym królem Francji i, dla moich przyjaciół rojalistów, jego potomek był wciąż królem Francji. To niespodziewane zaproszenie było zupełnie wyjątkowym wydarzeniem.

Spotkałam Thyrę d'Harcourt parokrotnie i przekonałam się, że jest bezpretensjonalna i nowoczesna, prawdopodobnie dlatego że pochodziła z hiszpańskiej rodziny i zachowała świeżą hiszpańską spontaniczność. Harcourtów poznaliśmy przez comte i comtesse Dominique Fremy.

Michelle Fremy była jedną z najlepszych gospodyń w Paryżu. Ona i jej mąż pracowali razem, wydając corocznie encyklopedię pod nazwą *Quid*, liczącą ponad tysiąc sześćset stron, w której można było znaleźć informacje na każdy temat. Jej nakład w 1984 roku wyniósł ponad czterysta

tysięcy, a ponieważ fakty i liczby tak szybko ulegały zmianom, rzecz się stale rozrastała. Wraz ze swym personelem prowadzili interes w dawnych stajniach swego domu, najpiękniejszego jaki widziałam w całym mieście. Był to klasyczny mały zamek, otoczony ze wszystkich stron wielkim ogrodem i starymi drzewami, oaza jakby wyjęta z odległej wsi, gdzie strzelista wieża kościoła była jedynym wysokim budynkiem w polu widzenia, ukryta za wysokim murem w środku siódmej dzielnicy, niedaleko od nas.

Monique i Florence były tym zaproszeniem równie przejęte jak ja — mieliśmy się znaleźć w samym sercu starej rojalistycznej arystokracji.

„Madame, musi pani dygnąć przed comtesse de Paris”, poinformowała mnie Florence.

„Ależ ja jestem Amerykanką! Nancy Reagan nie dygała przed królową brytyjską, kiedy ją zaproszono na ślub księcia Karola.”

„Madame, proszę mi wybaczyć, ale pani nie jest Nancy Reagan”, powiedziała stanowczo Monique. Obie patrzyły na mnie surowo. W końcu postanowiłam się podporządkować tradycji i przeciwczyłam z nimi podawanie ręki, lekko skłaniając głowę i uginając kolana, dopóki nie uznały, że robię to jak należy.

Kiedy przybyliśmy do Harcourtów, zobaczyliśmy dziewięć innych osób, które stały i gawędziły, czekając z tłumionym podnieceniem na przybycie honorowego gościa. Kiedy się pojawiła, nie doznaliśmy rozczarowania. Bardzo wysoka, wyjątkowej postawy, o gęstych, falujących, siwych włosach, związanych w kok, comtesse de Paris, pochodząca z dawnej królewskiej rodziny w Portugalii, była olśniewającą, najpiękniejszą starszą panią, jaką kiedykolwiek widziałam. Niepodobna było uwierzyć, że urodziła dwanaścioro dzieci, które znano pod wspólnym mianem *Les Enfants de France*. Promiennie uśmiechnęła się do wszystkich, także do młodego, socjalistycznego dziennikarza, który właśnie wydał biografię Mitteranda.

Byłam zafascynowana. Do wszystkich gości, których знаła, comtesse zwracała się po imieniu, używając formy „tu” zamiast zwykłego „vous”, a oni zwracali się do niej w trzeciej osobie, np. „Czy mogę zaproponować comtesse kieliszek szampana?” Może takie było boskie prawo kogoś, kto mógłby być królową Francji, gdyby nie rewolucja. Mogłam dygnąć, ale zarówno Steve jak i ja zwracaliśmy się do niej w pierwszej osobie, ponieważ w przeciwieństwie do prawie wszystkich obecnych, nie byliśmy zainteresowani restauracją monarchii.

W pewnym momencie podczas lunchu w rozmowie pojawił się temat rodzin, w których posiadaniu jest fragment prawdziwego krzyża. Zgłoszono tak wiele roszczeń, że w chwili milczenia usłyszałam jak Steve mówi, „Prawdziwy krzyż musiał być chyba tak wielki jak arka Noego.” Na chwilę zapadła cisza, a potem rozległy się oklaski.

Thyra d’Harcourt poprosiła mnie, żebym zawiozła comtesse do domu; ta po drodze zapytała mnie, czy może mi przysłać swoje pamiętniki oraz czy mogę jej polecić jakiegoś amerykańskiego wydawcę. Oczywiście się zgodziłam, ale kiedy je przeczytałam, stwierdziłam, że dwa tomy zawierające setki informacji na temat narodzin, śmierci, ślubów, zaręczyn i przyjęć urodzinowych dawnych członków rodziny królewskiej — które sięgały kilku pokoleń wstecz — całkowicie usuną w cień jej własne dzieje.

Z pewnością mogła się tam znajdować fascynująca historia o tym, jak wychowywała się księżniczka i wnuczka cesarza i jak została żoną pretendenta do francuskiego tronu. Problem polegał na tym, jak ją odnaleźć. Mnie się to nie udało, chociaż bardzo się starałam. Pamiętniki można było wydać tylko po angielsku, ze względu na ściśle ograniczoną liczbę osób, które mogły być zainteresowane niezliczonymi szczegółami dotyczącymi życia rodziny królewskiej w czasach, które przeminęły na zawsze, a swoich wydawców znałam na tyle dobrze, żeby mieć pewność, że nie będą tym zainteresowani.

Nie miałam zamiaru zwodzić comtesse de Paris, więc napisałam do niej, tłumacząc dlaczego nie mogę jej pomóc. Przyszło mi do głowy, że gdybym chciała to uczynić, mogłabym stracić mnóstwo czasu, albo co gorsza, udając, że wciąż się staram, zostać jej nową, najlepszą przyjaciółką. Droga była otwarta i w ten sposób mogłabym się dostać do obozu starej francuskiej arystokracji. Ale nawet gdybym miała zamiar pozostać we Francji, byłoby to po prostu bezlitosne wspinanie się po szczeblach drabiny społecznej, czym zawsze pogardzałam.

Lubiłam zajrzeć do obcego mi świata, do którego zyskiwałam dostęp dzięki osobom, które się z niego wywodziły, świata, który normalnie jest niedostępny dla obcych, ale to mi wystarczało. Tak się złożyło, że wokół siebie miałam tych arystokratów aż nadto, a teraz nadszedł czas, abym sama wydała lunch, żeby się wywiązać ze swoich towarzyskich obowiązków.

Jean Bakker, Yvonne Paniza, Thyra d'Harcourt, Michelle Fremy, Polly Platt Grhich, Solange Gausson — oto nazwiska niektórych spośród moich jedenastu gości, które pewnie pamiętacie.

Przeprowadziłam z Monique długą rozmowę na temat menu. „Łosoś”, zarządziła, „na pierwsze danie.”

„Łosoś? Słuchaj, Monique, jadłam łososia na każdym lunchu, na jakim byłam tej wiosny. Powinnyśmy podać coś innego.”

„Nie, Madame, kiedy jest sezon na łososie, jest oczywiste, że wszyscy podają go przy każdej okazji, jak szparagi czy mięso z jagnięcia, a poza tym teraz jest Wielki Post.”

„*Wielki Post?* Monique, bądź rozsądna... nawet papież mówi, że katolicy mogą teraz jeść mięso w piątki. Dlaczego przypuszczasz, że moi przyjaciele zrezygnowali z mięsa na cały miesiąc?”

„Ale, Madame, jeśli się przestrzega postu, tak jest bardziej *delicate*, bardziej *comme il faut*. Nie wie pani, którzy spośród pani przyjaciół nadal postępują wedle starego zwyczaju.”

Tak wyglądała rozmowa dwóch Żydówek.

Podaliśmy łososia i tylko to danie pamiętam ze wspaniałych potraw tamtego przyjęcia. Nigdy nie ośmieliłabym się sprzeciwić Monique w tak subtelnej materii.

Następnym problemem było rozsadzenie gości. Była wśród nich księżna i żona ambasadora, która we Francji cieszy się wielkim szacunkiem i jest tytułowana *Madame l'ambassadrice*. Która z nich powinna usiąść po mojej prawej stronie? W końcu, nie będąc w stanie podjąć decyzji, zadzwoniłam do sekcji protokołu dyplomatycznego ambasady amerykańskiej i przedstawiłam swój problem. Urzędnik, z którym rozmawiałam, powiedział, „Och, obie panie są dobrymi przyjaciółkami, to nie sprawi żadnej różnicy.” „Jest pan pewien?” „Całkowicie, stale zadają mi takie pytania.”

Ale, pomyślałam, oznacza to, że jedna z nich będzie obsługiwana jako pierwsza, a druga jako przedostatnia. Rzecz jasna, to było nie do przyjęcia. (Gospodyni jest zawsze obsługiwana jako ostatnia, w odróżnieniu od oficjalnych zwyczajów w Ameryce.) Problem ten rozwiązałam bez trudności, angażując jeszcze jednego kamerdynera, tak że jeden z nich zaczynał od mojej lewej strony, a drugi jednocześnie od prawej i dzięki temu wszystkie potrawy były gorące.

Pamiętam, jak siedziałam w salonie, wszystkie przygotowania do przyjęcia były już zakończone, a ja błogosławiłam fakt, że zaraz do pokoju zajrzy słońce i może nawet będzie świeciło przez cały lunch. Ale byłam potwornie zdenerwowana.

Przyjmowałam gości od dwudziestego pierwszego roku życia, kiedy to w małym pokoiku hotelowym wydałam przyjęcie z okazji urodzin Harrisona. Było to w 1949 roku, trzydzieści sześć lat temu, ale nigdy przedtem nie czułam przed żadnym przyjęciem takiego napięcia. Czy wynikało to z faktu, że na moich barkach spoczęła organizacja przyjęcia z udziałem francuskich dam, czy też w głębi duszy czułam się jak oszustka? Czyż wszyscy moi goście nie byli do mnie nastawieni przyjaźnie? Byli. Czyż nie należeli do najlepszych przyjaciół, jakich tam znalazłam?

Tak, *ale*. Stan moich nerwów był niemal równie oplakany jak przed programem *Apostrophe*.

Teraz, w Los Angeles, nie czuję już ani odrobiny niepokoju przed wydaniem przyjęcia dla kobiet i organizuję je dosyć często. Wiem, że to po prostu niemożliwe, żeby nie znalazły się tematy do rozmowy w pokoju pełnym kobiet, i to nawet wtedy, gdy dopiero co się poznały.

Ale wróćmy do Paryża. Niemal zaraz na początku przyjęcia wiedziałam, że będzie bardzo udane, a kiedy dobiegło końca, patrzyłam jak panie przypieczętowują ten sukces, wymieniając wizytówki tak zręcznie jak japońscy biznesmeni. Jednak nigdy nie zapomnę, jak sobie zadawałam pytanie, dlaczego, u licha, wpędziłam się w takie położenie, dlaczego naraziłam się na takie męczarnie. Z perspektywy czasu widzę, że wiele przemawia za teorią oszustki.

Był to pierwszy zorganizowany przeze mnie lunch i gdybym została w Paryżu dostatecznie długo, żeby zorganizować następny, jestem pewna, że już bym się tak nie denerwowała. Ale jednak. Zanim opuściliśmy Paryż, któregoś dnia byłam na lunchu z Polly Platt Grchich, która weszła w ten świat dzięki małżeństwu z europejskim arystokratą, i wtedy powiedziała mi, że po trzydziestu latach, chociaż się całkowicie włączyła w paryskie życie, wciąż tęskni za Ameryką i wciąż *nie czuje się w Paryżu jak u siebie w domu*. Oto słowa, jakie usłyszałam z ust kobiety, która napisała książkę cieszącą się wielkim powodzeniem, *Francuz czy wróg*, na temat życia w Paryżu amerykańskich kobiet, które znalazły się tu po raz pierwszy.

Paryż to trudne wyzwanie. Cieszę się, że wiem, iż potrafię mu sprostać, ale znacznie bardziej się cieszę, że nie muszę.

Rozdział czterdziesty czwarty

Kiedy zdecydowaliśmy się ze Stevem wrócić do Stanów Zjednoczonych, postanowiliśmy nikogo nie informować o naszych zamiarach. Mieliśmy takie kłopoty z urządzeniem się w Paryżu i zaprzyjaźniliśmy się z tyloma ludźmi, że mogliby odnieść wrażenie, iż oszaleliśmy, skoro postanowiliśmy rzucić to wszystko. A naszych powodów, naszych głęboko skrywanych uczuć, nie zdołalibyśmy wyjaśnić. Były bez sensu dla wszystkich z wyjątkiem nas samych. Poza tym, w czasie gdy podjęliśmy tę decyzję, nasz wyjazd był jeszcze tak odległy, że nie chcieliśmy żyć przez cały rok w zawieszaniu.

Poza tym trzeba było jeszcze skończyć *Grzechy*. Tylko raz poszłam na plan. Joan Collins i Gene Kelly mieli brać ślub w dużym kościele w Paryżu i Steve powiedział, że mogę zabrać ze sobą Monique i Floence i zająć miejsca w ławkach jako zaproszeni goście. Ceremonia przebiegała gładko, dopóki Joan i Gene nie musieli się przeżegnać. Wtedy wybuchła kłótnia między panną młodą a panem młodym, w którą stronę należy się żegnać, z prawa na lewo czy z lewa na prawo. Kapłan, do którego się zwrócono o rozstrzygnięcie, powiedział oburzony, „Jestem tylko aktorem!” Reżyser, anglikanin, nie był pewien. Powstrzymywałyśmy śmiech najlepiej jak umiałyśmy, a kłótnia trwała w najlepsze. Wydawało mi się, że Gene Kelly, który był irlandzkim katolikiem, ma rację, ale nie śmiałam się odezwać. W końcu doszli do porozumienia, a my, jak tylko udało nam się wyslizgnąć z kościoła, w naszych strojach weselnych gości, poszłyśmy do herbaciarni, żeby się wyśmiać.

Podczas naszej następnej wyprawy do Kalifornii na spotkanie z rodziną zrobiłam szybki objazd Rodeo Drive. Od dnia wydania *Skrupułów* zawsze miałam zabawne wrażenie, że ta ulica należy do mnie, ponieważ była tak ważna w mojej karierze, i lubiałam wpadać do rozmaitych butików, żeby zobaczyć czy nadal mają się dobrze.

U Pierre'a Deux zauważyłam ładne, choć może nie jakieś specjalnie oryginalne francuskie szafy. Byliśmy parę razy na pchlim targu, Marche aux Puces, w Paryżu, gdzie oglądaliśmy stoiska Birona, Vernaisona czy Serpette, w których nie ma rupieci i oparłam się pokusie kupienia bardzo podobnych mebli po cenie, która wynosiła niecałą jedną trzecią ceny w Kalifornii.

Ponieważ nie jestem znawcą, zawsze podejrzewałam, że zapłacę za dużo, zwłaszcza że francuscy antykwariusze zjawiają się na pchlim targu o czwartej rano, kiedy się otwiera, i błyskawicznie wyłapują najlepsze kaski, albo jadą po towar na wieś, gdzie znajdują go w miejscach, które znają tylko oni sami.

„Dlaczego u was jest tak drogo?” zapytałam kierownika u Pierre'a Deux. Zaprowadził mnie do biura i udzielił bezcennej lekcji na temat narzutów.

„Ceny nie są wysokie, są realistyczne. Musimy zapłacić za wyprawę do Francji, licząc wszystkie wydatki, nawet filiżankę kawy; musimy zapłacić za zapakowanie mebli i wysłanie ich do Los Angeles; musimy wszystko odrestaurować i doprowadzić do idealnego stanu; a następnie musimy zapłacić gigantyczny czynsz na Rodeo Drive i wypłacić pensje naszym sprzedawcom, nie wspominając o reklamie i *public relations*. A co najważniejsze, zajmujemy się tym dlatego, żeby mieć z tego zysk. Dobry zysk. Kiedy się to wszystko uwzględni, cena wzrasta trzykrotnie.”

„Więc gdybym chciała kupować meble do domu, wypadłoby o wiele taniej, gdybym je kupiła we Francji.”

„Tak, oczywiście. Wtedy zapłaciłaby pani normalną cenę plus koszty zapakowania i wysyłki.”

„A gdybym kupiła meble u znanych francuskich antykwariuszy, ponieważ nie posiadam specjalistycznej wiedzy na temat antyków i nie mam układów, takich jak pan, jako stały klient?”

„Nadal oszczędziłyby pani masę pieniędzy”, zapewnił.

Kiedy sprzedaliśmy dom w Beverly Hills, daliśmy jednemu z naszych synów meble, na które miał ochotę, a resztę sprzedaliśmy nowym nabywcom, ponieważ nie chcieliśmy przechowywać ich w magazynie, przekonani, że już tu nie wrócimy. Teraz, z wyjątkiem nowoczesnych, obrzydliwych kalifornijskich mebli, które kupiłam do mieszkania w Paryżu, nie mieliśmy nic.

Informacje uzyskane u Pierre’a Deux równały się stwierdzeniu, że za chwilę okaże się, że o ile nie kupisz nowej szafy, znajdziesz się na ulicy nago.

Wróciłam do Paryża z nowym nastawieniem, jeśli chodzi o antykwariuszy, których sklepy znajdowały się w pobliżu rue Cassette. Teraz, kiedy mijałam ich wystawy, już nie musiałam ich podziwiać tylko z ulicy czy odgrywać roli kogoś, kto tylko przyszedł popatrzeć; miałam być prawdziwą klientką.

Postanowiłam szukać tylko mebli na tyle niedużych, żeby mogły się zmieścić w każdym domu i odwiedzać tylko znanych antykwariuszy, o ustalonej renomie. Meble u nich były już sprawdzone i wołałam, żeby na nich normalnie zarobili niż żebym sama miała iść na pchli targ.

Antyki są jak futra czy klejnoty; nikt tak naprawdę nie wie czy są tym, na co wyglądają, poza samymi antykwariuszami, którzy przez całe życie się uczyli, jak oceniać ich wartość. W rzeczywistości najlepszym miejscem do kupowania antyków jest ekspozycja z udziałem wielu antykwariuszy, gdzie zespół ekspertów ocenia każdy przedmiot przeznaczony na sprzedaż.

Nie miałam czasu, żeby się przejść po antykwariatach na lewym brzegu — wciąż dużo pracowałam, choć z przerwami, nad powieścią *Tylko Manhattan* — ale znalazłam sklep niedaleko rue Cassette, który był znany i cieszył się zaufaniem i zaczęłam bardzo powoli i ostrożnie kupować meble. Kiedy realizacja *Grzechów* na dwa tygodnie przeniosła się na południe Francji, dostrzegłam wielką szansę, żeby coś kupić po niższej cenie i kazałam naszemu kierowcy przyjechać do Nicei, gdzie zakwaterowany był cały zespół.

I stamtąd, gdy Steve był pochłonięty pracą, wyruszałam na długie, całodzienne wyprawy do Aix-en-Provence, do Nimes, do Avignon i do Cannes, gdzie znajdowały się liczne sklepy z antykami. Moim jedynym błędem był nadmiar ostrożności. Chociaż wiedziałam, że mam wyjątkową okazję, jaka zdarza się raz w życiu, chociaż miałam wokół tysiące rzeczy, w których mogłam wybierać, teraz trudno mi było zadowolić i trudno mi się było zdecydować. Lekcja z rue Cassette przestraszyła mnie dostatecznie, żeby nie decydować szybko. Ale wszystko, co kupiłam, kiedy w końcu znalazło się w Los Angeles, okazało się jak znalazł do naszego przyszłego domu.

Największą przyjemność sprawił mi zakup dwóch pięknie złożonych luster weneckich, z których jedno miało biegnące przez sam środek pęknięcie. „Ależ naturalnie, Madame, niewątpliwie trochę ucierpiało”, powiedział sprzedawca. „Ale takie jest życie, nie? Proszę spojrzeć, jak pięknie wygląda.” Szybko się przekonałam, że wszystko, co jest w doskonałym stanie, zupełnie mi nie odpowiada. Tym, co mnie pociągało, były ślady upływu czasu. W odróżnieniu od wielu ludzi, którzy kupują antyki, nie kupowałam ich ze względu na wartość muzealną, ale dlatego, że mi się podobały.

„Najpierw proszę mi pokazać, gdzie jest uszkodzone”, było pierwszym pytaniem, jakie zadawałam antykwariuszom w Prowansji i już to zdanie mówiło im, że nie jestem zupełną ignorantką. Ponadto przypuszczenie, że coś może być nie tak, powodowało, że ujawniali defekty chętniej, niż gdybym weszła do sklepu szukając czegoś w stanie nienaruszonym.

W *Skrupulach Dwa* wykorzystałam wiedzę, której nigdy nie posiadałam, ale wiedziałam, że mogę jej użyć, opisując mój czarny charakter, kobietę nazwiskiem Cora de Lioncourt i jej męża, imieniem Robert.

Każdego znanego antykwariusza w Europie przeszywał dreszcz, kiedy wchodzili do sklepu,

ponieważ kupowali dokładnie te rzeczy, które antykwariusz, wbrew swoim zasadom, miał zamiar zachować dla siebie: antyki, które wkrótce miały stać się modne albo przedmioty tak dziwaczne, tak niezwykle, że nie zwracano na nie uwagi, dopóki Lioncourtowie nie zaczęli szperać gdzieś w kącie. Cora i Robert de Lioncourt potrafili natychmiast przelecieć całą Europę, żeby wziąć udział w pogrzebie antykwariusza, wiedząc, że przy takiej okazji zachłanne rodziny zgodzą się na sprzedaż jakiegoś rarytasu za pół ceny, jeśli im się zapłaci gotówką. Biorąc udział w licytacjach, zdobyli takie doświadczenie, jak sami antykwariusze, ponieważ nigdy nie dawali się ponieść emocjom. Umknęło ich uwadze parę transakcji dotyczących nieruchomości i obecnie zabiegali o względy dziesiątków staruszek, które w młodości zbierały różne przedmioty, a teraz sprzedawały swoje skarby, jeden za drugim, żeby im starczyło na utrzymanie.

Istnieją raz liczne radości związane z pisaniem powieści, ale niewiele z nich może się równać z tworzeniem czarnych charakterów, czy to mężczyzn czy kobiet. Odsłanianie motorów ich działania interesuje mnie tak samo jak zagłębianie się w psychikę bohaterki czy bohatera... a pisanie o kimś złym jest o wiele ciekawsze niż pisanie o kimś godnym podziwu. Nigdy nie było takiej paskudnej postaci, którą wykreowałam, do której potem nie poczułam sympatii. Wiem, jakie koleje losu sprawiły, że stali się źli; w końcu, to nie ich wina. Moja. Szczerze lubię czarne charaktery, zwłaszcza jeśli są to kobiety... dają mi możliwość wykorzystania najgorszych cech mego charakteru, wszystkich popędów i fantazji, których u siebie nie podejrzewałam, a następnie ich wzmocnienia, co pozwala im zachowywać się tak jak ja sama nigdy bym się nie zachowała. Przez siedemdziesiąt lat byłam tak *cholernie* dobra, taka prostolinijna, tak mi zależało, żeby światu pokazać przyzwoitą twarz, że jestem tym śmiertelnie znudzona, ale niewiele już mogę uczynić, żeby zmienić swój (niemal święty) wizerunek. Wolę tworzyć wspaniałe czarne charaktery niż wspaniałe sceny łózkowe. Z przyjemnością myślę, że udało mi się jedno i drugie.

Moim ulubionym czarnym charakterem jest Susan Avery, która po raz pierwszy pojawia się w *Skrupulach* i powraca w *Skrupulach Dwa*. Urodziła się w Hollywood, a jej mąż jest właścicielem studia, produkującego filmy Vito Orsiniego. Wtrąca się w życie Billy, próbując nie dopuścić do jej ślubu z Vito, ale dopiero w *Skrupulach Dwa* pokazuje co potrafi. Trzyma swego męża pod pantoflem, niszczy Vito i prowadzi tajemnicze życie, które obejmuje częste wypadki do Nowego Jorku, gdzie w swoim mieszkaniu, o którym nikt nie wie, prowadzi całkowicie bezwstydne życie, zapraszając młodych, jurnych byczków. W końcu zwraca się ku samemu Vito, z którym nawiązuje romans, rozpoczynający się od wspaniałego rżnięcia, które obiecuje dalsze nieograniczone szaleństwa seksualne. Ach, Susan, nigdy w życiu nie odważyłabym się uczynić żadnej z tych rzeczy, które ty robisz z taką swobodą. Jesteś niewyobrazalnie podła i zdeprawowana, droga Susan, ale czyj umysł powołał cię do życia? Mogę być beznadziejnie staroświecka i sympatyczna, ale nigdy nie twierdziłam, że mój umysł jest taki sam... to miłe pocieszenie wobec tych wszystkich świństw, które mnie ominęły!

Pisanie powieści jest jedynym sposobem jaki znam, żeby dla zabawy i zysku mieć wiele osobowości. Ale zastanawiam się, czy osoba o wielu osobowościach byłaby w stanie koncentrować się przez pięć czy sześć godzin dziennie, manipulując innymi w taki sposób, że uczestniczą w określonych dialogach i grają określone role, które popychają naprzód akcję powieści.

* * *

Odkryłam, że moja pierwsza paryska przyjaciółka, Pam Andriotakis, ma od dawna poważny romans. Poznała czarującego młodego Polaka, Artura Gromadzkiego, siostrzeńca Nelli Rubinstein, wdowy po wielkim Arturze Rubinsteinie. Nella, wielka dama, bogata, potężna i

adorowana przez całe życie, teraz liczyła, że Artur, imiennik jej zmarłego męża, poświęci się jej rozległym sprawom prywatnym i publicznym. Absolutnie nie miała zamiaru stracić go dla jakiejś amerykańskiej dziennikarki z Detroit. Artur był obiecującym lecz ubogim studentem, rozdartym pomiędzy obowiązkami wobec swojej ciotki a miłością do Pam. Cała jego rodzina, liczni bracia i siostry, nadal mieszkali w Polsce.

W tym samym czasie w życiu Sybille Gausen miały miejsce romantyczne wydarzenia; Sybille miała trzech niezamężnych starszych braci. Odkąd ją znałam, dręczyła swoich rodziców, przedstawiając im kolejnych beznadziejnych facetów. Teraz wreszcie skierowała swoją uwagę na właściwego człowieka, wyjątkowo przystojnego, ujmującego i zabawnego młodzieńca, nazwiskiem Jean–Paul Denfert–Rocherau. Poznałam go na pierwszym obiedzie u Gausenów. Jego przodek, sławny pułkownik Denfert–Rocherau był odpowiedzialny za zwycięską obronę Belfort w 1870 roku. (Nie wiem, na czym polegała obrona Belfort. To nie jest podręcznik historii.) Plac, na którym znajduje się wejście do paryskich katakumb i wielka stacja metra noszą nazwę Denfert–Rocherau.

W dziesięciu powieściach, poza Dickiem Avedonem jako Falkiem, fotografem w *Mistralu*, Sybille jest jedyną osobą, jaką poznałam, która posłużyła za model postaci Maxi Amberville, bohaterki powieści *Tylko Manhattan*. Opisałam Sybille, jak zwykle trochę przesadzając, oczami Pavki Mayera, dyrektora artystycznego wydawnictwa Amberville.

Chociaż znał ją dobrze, zawsze był trochę zaskoczony — jak w wyniku lekkiego porażenia prądem — jej wyglądem, ponieważ Maxi była jakoś bardziej realna od innych ludzi. Była tylko średniego wzrostu... i jej ciało nie zajmowało wiele miejsca, ale roztaczała wokół siebie magnetyczną aurę. Przypominała wielkie kurtyzany z Belle Epoque, była cienka w pasie, miała wydatne piersi i wspaniałe biodra, nie była jednak przesadnie zmysłowa, a męski wygląd jej stroju czynił ją jeszcze bardziej kobiecą... Żaden fotograf nigdy nie był w stanie uchwycić jej istoty... ale nigdy się nie znudził obserwując jej oczy, zawsze skierowane prosto przed siebie... przykuwałyby wzrok w pokoju pełnym pięknych kobiet, ponieważ sprawiała wrażenie, że sama uroda wydawała się nie tylko nieistotna ale i mało interesująca... Usta ma jak prawdziwa czarodziejka, powiedział do siebie, wyrażając opinię człowieka, który kochał kobiety od ponad pięćdziesięciu lat.

Byłam zachwycona tymi wszystkimi obiecującymi romansami. Jako matka synów — którzy nigdy nie rozmawiali ze mną o sprawach intymnych, co jest równie naturalne jak frustrujące — zawsze tęskniłam za córką, a Sybille i Pam były nie tylko przyjaciółkami, choć dopiero zbliżyły się do trzydziestki, lecz także substytutem córek, które nie były źródłem problemów, jakie stają przed prawdziwymi matkami. Nigdy ich nie oceniałam; służyłam radą, ale tylko jeśli o to poprosiły; słuchałam z zainteresowaniem ich relacji; nigdy nie zadawałam pytań, które mogłyby być niepożądane; wreszcie moje opinie były nieobowiązujące. Jeśli zmieniały zdanie, ja także byłam na to gotowa. Podejrzewam, że jest dużo łatwiej, jeśli nie ma się prawdziwej córki.

W tym samym czasie do naszych drzwi zapukało przeznaczenie. Pewnego dnia w mieszkaniu nad nami, które przez długi czas stało puste, zamieszkali ludzie, którzy byli jego właścicielami, jeszcze zanim my się tam zjawiliśmy. Ich nazwisko? *Fatal*. Sam Dickens nie wymyśliłby lepszego.

Monsieur i Madame Fatal oraz ich troje małych dzieci zamieszkali tylko parę metrów nad nami. Gdybym kiedykolwiek miała najmniejsze wątpliwości co do naszego wyjazdu, państwo Fatal rozwialiby je całkowicie.

W bardzo starych budynkach, takich jak na rue Cassette, dość kruche drewno, które stanowi podłogę jednego mieszkania, jest zarazem sufitem drugiego. Kiedy któreś z nich chodziło po mieszkaniu, kroki odbijały się echem; kiedy rozmawiali, słyszeliśmy wszystko na dole.

Monsieur Fatal był dyplomatą w jednym z krajów Bliskiego Wschodu i miał nader oryginalne poglądy na temat wychowywania dzieci. Nie mogąc uwierzyć własnym uszom, które rejestrowały regularne odgłosy ciężkich upadków, wybiegłam do ogrodu, skąd usłyszałam, jak wydaje dzieciom rozkazy, „No, skacz! Dobrze. Następny, skacz! Nieźle. Teraz twoja kolej, skacz! Znakomicie.”

Czytelniku, czy kiedykolwiek słyszałeś o kimś, kto codziennie po szkole przez godzinę trenuje dzieci w zeskakiwaniu z mebli na podłogę... a może był to jakiś duch, który wstąpił w ciało Monsieur Fatal?

Próbowałam się z nim zaprzyjaźnić, ponieważ wszystkie te odgłosy najlepiej było słyszeć w moim gabinecie. Pewnego dnia przedstawiłam mu się jako jego nowa sąsiadka, dałam francuskie przekłady *Mistrala* i *Daisy* dla jego żony i w końcu zapytałam od niechcenia o stosowane przez niego metody pielęgnowania kultury fizycznej. Od razu przejrzał mnie na wylot. „Czy pani przeszkadza, że moje zdrowe dzieci ćwiczą sobie mięśnie, Madame? Więc radziłbym, żeby pani zaczęła pracować w innym pokoju. Myślę, że ma pani u siebie aż nadto miejsca. Do widzenia, Madame.”

Kupiłam najlepsze na świecie zatyczki do uszu i, założywszy je, próbowałam dalej pisać. Teraz skoki na górze odbijały się echem w moim ciele, jak gdyby coś ciężkiego waliło mi się na głowę.

Kiedy nadeszło lato, zdałam sobie sprawę, że muszę się dowiedzieć, czy te fatalne dzieci wyjeżdżają na obóz, co dałoby mi dwa miesiące spokoju — akurat tyle potrzebowałam, żeby skończyć *Manhattan*. Z okna naprzeciw mego gabinetu zobaczyłam, że Monsieur Fatal akurat siedzi w jednym z okien swego mieszkania. Popędziłam przez cały dom i niby to przypadkowo pojawiłam się w ogrodzie.

„Bonjour, Monsieur Fatal. Piękny mamy dziś ranek, prawda?”

„Bonjour, Madame. Rzeczywiście.”

„Proszę mi powiedzieć, czy pańskie dzieci przypadkiem nie wybierają się na wakacje? Albo na obóz?”

„Czy ja pytam panią o plany wakacyjne? Czy interesuję się pani prywatnymi sprawami? Czy pozwalałam sobie na taką ciekawość?”

„Nie, ale proszę pana.

„Więc zastanawiam się, kto dał pani prawo interesowania się moimi planami.”

„Sama mam dzieci, proszę pana i pamiętam jakie to zdrowe, jeśli mogą pooddychać świeżym...”

„Pozwoli pani, że sam będę się troszczył o swoje dzieci. Dzięki Bogu są silne, zdrowe i w doskonałej formie. Oddychają wspaniale. Życie w Paryżu im służy. Do wiedzenia, Madame.”

Jedynie świadomość, że nie będę już musiała długo mieszkać, mając ich nad głową, sprawiła, że zachowywałam się względnie uprzejmie wobec tego potwora i zdołałam zignorować fakt, że będę musiała znosić jego samego i jego muskularne potomstwo. Kiedy ponownie przeczytałam *Manhattan*, stwierdziłam, że nie widać w nim żadnych oznak napięcia, w jakim powstawał. W istocie, to chyba najzabawniejsza z moich książek. Wynika to prawdopodobnie z tego, że kiedy się już zabiorę do pracy, tracę poczucie czasu, przestaję odczuwać niewygodę, głód, pragnienie, zmęczenie oczu, mięśni, czy cokolwiek co może mnie oderwać od pracy, jeśli tylko w domu jest ktoś, kto może odbierać telefony.

Oczywiście powiedziałam Florence i Monique o naszym zamiarze opuszczenia Francji. Florence była zakochana w człowieku, który właśnie miał się przenieść do Kalifornii i postanowiła pojechać tam naszym — i jego — śladem. Przez ponad rok była moją asystentką w Los Angeles, dopóki romans nie wygasł i sprawy rodzinne nie wezwały jej z powrotem do

Paryża. Monique była znacznie bardziej niepokieszona. Kochane i lojalne stworzenie, naprawdę nas polubiła. Wciąż do nas pisuje a my do niej. Trochę nosiła się z zamiarem pojechania z nami, ale wyjątkowo nie nadawała się do życia w Kalifornii. Nigdy nie prowadziła samochodu, nie znała angielskiego, a poza tym wszystkie jej siostry mieszkały w Paryżu. Stanowiły bliską rodzinę i były dla niej bardzo ważne. Jak mogłaby pójść na targ, jak mogłaby się z kimś zaprzyjaźnić, a przede wszystkim, jak mogłaby zostawić siostry i ich dzieci? Rozmawialiśmy na ten temat przez wiele godzin i obie doszliśmy do wniosku, że w Los Angeles nie potrafiłaby sobie urządzić życia.

Gérard i Solange Gaussen wydali pierwsze przyjęcie spośród wielu, które zakończyły się pełnym przepychu ślubem Sybille w Wenecji, mieście gdzie się urodziła, co miało miejsce już po naszym powrocie do Stanów Zjednoczonych. Nie przyjęliśmy zaproszenia; dziesięć tysięcy kilometrów to po prostu za daleko, żeby jechać na ślub.

Pam i Artur postanowili się pobrać, niezależnie od tego co powie Nella, i ich ślub odbył się w greckim kościele prawosławnym w Paryżu. Nikt z zaproszonych gości nie miał najmniejszego pojęcia, jakiej to będzie wymagało wytrzymałości. Uroczystość odbyła się pięciokrotnie, w pięciu różnych językach, z udziałem pięciu księży. Był tam więc amerykański ksiądz dla amerykańskich przyjaciół Pam i jej rodziny, który przybył z Detroit specjalnie w tym celu; był polski ksiądz dla licznej rodziny Artura, której członkowie otrzymali wizy weekendowe na przyjazd do Francji, podczas gdy ich dzieci pozostały w Polsce w charakterze zakładników; był grecki ksiądz, który, jak przypuszczam, odprawiał ceremonię będącą greckim odpowiednikiem koszernej jedzenia; był francuski ksiądz dla francuskich przyjaciół Pam i Artura; był wreszcie ksiądz, który odprawił mszę po łacinie, nie bardzo wiem, dlaczego. I tak zgubiłam się po pierwszych dwóch.

Pam miała na sobie długą suknię ślubną od Karla Lagerfelda, a na ramionach rodzaj bolera z długimi rękawami; kiedy je zdjęła, okazało się, że pod spodem ma wspaniałą suknię bez ramiączek. Goście byli poubierani w eleganckie letnie stroje, jako że niekończąca się zima nagle ustąpiła miejsca bardzo gorącemu latu. Ja miałam na sobie najelegantsze ze swoich pantofli na niskim obcasie, nie wiedząc, że cztery długie ceremonie będą celebrowane na stojąco! Na długo przed początkiem drugiej części zdjęłam buty i stałam dalej bosą na chłodnej posadzce. Tylko amerykański ksiądz pozwolił nam usiąść, niech go Bóg błogosławi. Żadna para na świecie nie mogła mieć pełniejszego ślubu niż Pam i Artur.

Obecnie Artur ma doskonałą posadę w wielkim, międzynarodowym przedsiębiorstwie inwestycyjnym, mieszka z żoną w Genewie i, podobnie jak Sybille w Paryżu, ma troje dzieci, jedno ładniejsze od drugiego. Pam, która mnie odwiedziła któregoś dnia, nigdy nie wyglądała lepiej, a Nella ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat. I tak to leci.

Po ślubie odbyło się niezwykle oryginalne i sympatyczne przyjęcie z tańcami, które wydano w restauracji na wyspie, na jednym z dopływów Sekwany. Gości przywiozła i odwiozła flotylla małych łódek, a ja zdążyłam na powrót założyć buty, tak że mogłam nawet tańczyć.

Następnego dnia, w niedzielę, wydaliśmy przyjęcie na cześć Pam i Artura i ich rodzin... a Nella oczywiście starała się bawić jak najlepiej. Zaangażowałam najlepszego kucharza w Paryżu, a stoły porozstawiano w całym domu. Potrawy stały na długich bufetach, umieszczonych w naszym wielkim hallu, dzięki czemu w salonie było mnóstwo miejsca, a tego pięknego, ciepłego dnia nasz obsypany kwiatami ogród wyglądał wspaniale. Otworzyliśmy wszystkie drzwi do ogrodu, dzięki czemu powstał jakby wielki pokój na wolnym powietrzu. Tym razem wszystko wyglądało tak nierealnie jak sceny z jakiegoś filmu o Paryżu. Wyglądało to dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, kiedy kupowałam to cholerne mieszkanie!

Podczas tego przyjęcia wreszcie zdołałam zapomnieć o swoich uprzedzeniach wobec

mieszkania przy rue Cassette i spojrzeć na nie oczami uroczej rodziny Artura i jego dystygowanego ojca. Mieszkanie było po prostu wspaniałe! Któż mógłby pragnąć czegoś bardziej przestronnego i piękniejszego? Poczułam się zawstydzona, kiedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo nie z tej ziemi musiało się wydać to mieszkanie tym wybitnym, wykształconym Polakom, którzy następnego dnia wracali do swego kraju i życia pełnego wyrzeczeń. Podobnie jak Tony Newley i Joan, prawie się w nim zakochałam po raz wtóry... ale wiedziałam, że prawdziwą przyczyną jest to przyjęcie, nie zaś miejsce.

Steve jest przekonany, że wydaliśmy to przyjęcie nie tyle dlatego, że pragnęliśmy uczcić ślub naszej pierwszej przyjaciółki w Paryżu, ale dlatego, że podświadomie chcieliśmy, żeby nasza francuska przygoda zakończyła się jak w bajce, w takim samym nastroju, jaki przeżyaliśmy prawie trzy lata temu, kiedy kupowaliśmy mieszkanie na Ile Saint-Louis. Jeśli to prawda, nasza podświadomość musiała być w zмовie z francuskim instytutem meteorologii.

* * *

Zaczęłam tę autobiografię od wspomnienia i kończę innym wspomnieniem tego pełnego szczęścia dnia prawie czternaście lat temu. Wszystko, co się potem wydarzyło, było dosyć zwyczajne, bez wlotów i upadków. Steve i ja zaczęliśmy znów prowadzić normalne życie, jak to ma miejsce, kiedy się ma dużo, dużo szczęścia. Odpukać w niemalowane drewno!

Wyjechaliśmy z Paryża kilka miesięcy po owym przyjęciu weselnym w wiatr i deszcz; powróciliśmy do Los Angeles, poznaliśmy wielu nowych przyjaciół; przyjaciół, w których towarzystwie mogę swobodnie — nie wypowiadać swoje zdanie; przyjaciół, z którymi czuję się jak u siebie w domu; a wśród nich nawet uroczych i kochanych Republikanów (z którymi nie rozmawiam o polityce). Z nawiązką zastąpili mi przyjaciół i zwariowane życie towarzyskie, które zostawiliśmy w Paryżu. I każdy z nich zna te same wierszyki dla dzieci co ja.

Napisałam jeszcze sześć powieści, w tym *Dopóki nie spotkamy się znowu*, którą po *Mistralu* cenię najbardziej i dzięki której znalazłam się na pierwszym miejscu listy londyńskiego *Timesa*. Każda z nich zabrała mi około dziewięciu miesięcy pracy i każda ma podobną formę, w której dominującym elementem jest opowiadanie pewnej historii.

Największa zmiana polega na tym, że dojrzałam jako powieściopisarka. *Skrupuły* napisałam ze ślepej odwagą i brawurą neofitki. *Daisy* pisałam owładnięta przemożnym pragnieniem udoskonalenia *Skrupułów* pod każdym względem. *Mistrala*, który był zdecydowanie najtrudniejszym wyzwaniem i pozostaje moją ulubioną powieścią, napisałam jak profesjonalna pisarka, zbierając informacje na nieznanym sobie terytorium i wreszcie w *Manhattanie* zyskałam pewność siebie na tyle, żeby dać sobie radę mimo nieustannych przerw w pracy. Pozostałe sześć powieści to dzieła wytrawnej pisarki. Jestem z nich wszystkich dumna.

Steve zrealizował mnóstwo miniseriów i filmów tygodnia i całkowicie odzyskał dobry humor. Nick i Tony dorosli i stali się mężczyznami, jak wszyscy synowie na świecie. Nick poślubił Lynn Blocker i mają dwoje dzieci, jedenastoletniego Michaela i siedmioletnią Kate, która jest moją jedyną wnuczką. Kate zdecydowanie ma zadatki na przyszłą bohaterkę, ale tym razem szczęśliwą. Właściwie widzę w niej przyszłą primadonnę. Założę się, że nigdy nie powie, „Gdybym tylko...” Dwa miesiące temu Tony poślubił Kristin Dornig i teraz czekam na ich dzieci.

Może będzie wśród nich dziewczynka albo nawet dwie. Byłam zmuszona tworzyć swoje bohaterki na papierze, ale inna kobieta musi je stworzyć naprawdę.

W przyszłym roku, 19 lutego 1999 roku, Steve i ja będziemy obchodzić czterdziestą rocznicę naszego ślubu. Tej liczby, czterdzieści pięć, po prostu nie jestem w stanie ogarnąć.

Kiedy piszę te słowa, nie mam nic przeciwko temu, że mam siedemdziesiąt lat, ponieważ nie potrafię sobie wyobrazić siebie jako siedemdziesięcioletnią kobietę. Ale ta rocznica to poważna sprawa. Czterdzieści pięć lat! Jak, u licha, mogliśmy przeżyć tyle czasu razem i coraz bardziej cieszyć się życiem? I dlaczego to wcale nie wydaje się tak długo?

Te ostatnie lata naszego małżeństwa są przepojone o wiele większą szczerością i cenniejsze niż pierwsze. Jesteśmy czymś więcej niż dwojgiem kochających się ludzi, jesteśmy parą najlepszych przyjaciół, których przyjaźń przetrwała. Wiemy jakie mieliśmy szczęście, coś, z czego ludzie młodzi nie w pełni zdają sobie sprawę, ponieważ przyszłość jest pogrążona w mroku. Może powodem, dla którego nie mogłam się zdecydować na poślubienie Steve'a był fakt, że decyzja już została podjęta, a ja po prostu nie potrafiłam się do tego przed sobą przyznać. To musi być powodem, dla którego tak wiele postaci moich powieści często zakochuje się od pierwszego wejrzenia.

Pisanie tych wspomnień było dla mnie znacznie bardziej ekscytujące niż którejkolwiek z moich powieści, ponieważ mogłam swobodnie opowiedzieć o sobie publicznie, w pierwszej osobie i w sposób, na jaki bym się nie powazyła poprzednio. Zdemaskowałam się. Przestałam ukrywać swoje wewnętrzne dramaty w osobach moich bohaterek czy ich najlepszych przyjaciółek, czy wreszcie najgorszych wrogów. Zabrałam swoich czytelników za kulisy swego własnego życia i niczego ważnego nie ukryłam. (I oparłam się pokusie opowiedzenia paru fantastycznych i skandalicznych historii, które zasłyszałam w różnych kręgach, w jakich przyszło mi się obracać, ponieważ mogłabym w ten sposób skrzywdzić ludzi, którzy wciąż żyją.) Stałam twarzą w twarz ze swymi nieustannymi „powinnam była” i zostawiłam je za sobą stanowią część mego życia i moich nerwic, które, mam nadzieję, nie odbiegają obecnie od przeciętnej. Przyznałam się do swoich nałogów i zdałam sobie sprawę, że pokonałam wiele z nich. Potrafię żyć z pozostałymi, ponieważ rozumiem ich siłę, więc walka z nimi to tylko strata czasu. Poza tym, przeszkadzają tylko mnie.

Co najważniejsze, odkryłam swoje genetyczne, kulturowe i etniczne korzenie oraz konstelacje rodzinne, które wyjaśniły mi tak wiele i pozwoliły zrozumieć, dlaczego jestem taka jaka jestem. Wszystko, nawet miejsca najbardziej bolesne, ma dla mnie znaczenie. Zaakceptowałam je. Czy kobieta, która miała spokojnych, przeciętnych rodziców oraz pogodne, normalne dzieciństwo, pozbawione poważnych problemów, a następnie dorosła, prowadząc spokojne, konwencjonalne życie, chciałaby pisać powieści? Mam poważne podejrzenia, że trudne momenty, jakie przeżyłam, stanowią te elementy mego życia, które uczyniły ze mnie pisarkę.

Moje życie, widziane jako strumień powiązanych ze sobą wydarzeń i to jak sobie z nimi dawałam radę — mówią mi, kim jestem. A kobieta powinna mieć jasny pogląd na to, kim jest. Na dobre czy na złe, jest to źródłem prawdziwej satysfakcji.